

J.M. SIMMEL



Nie
zawsze
musi
być
kawior



Johannes Mario Simmel

**NIE ZAWSZE
MUSI BYĆ KAWIOR**

**Zuchwałe przygody i wyszukane przepisy kulinarne
tajnego agenta mimo woli Thomasa Lievena**

Przełożył: Włodzimierz Bialik

**KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
Poznań**

TYTUŁ ORYGINAŁU: ES MUSS NICHT IMMER KAWIAR SEIN

- © Johannes Mario Simmel
- © 1960 by Schweizer Druk und Verlaghaus AG, Zurich
- © 1991 by Krajowa Agencja Wydawnicza

**Fragmenty „Opery za trzy grosze” B. Brechta w przekładzie
Bruno Winawera i Barbary Witek-Swinarskiej.**

Przepisy dań w przekładzie Krystyny Szmajowej.

**Projekt okładki: Jacek Pietrzyński
Redaktor: Anna Gutowska
Redaktor techniczny: Piotr Zalisz**

ISBN 83-03-03472-3



**Krajowa Agencja Wydawnicza — Poznań, ul. M. Palacza 87a
Wyd. I. Ark. wyd. 33 Ark. druk. 36,25
Druk i oprawa Drukarnia Narodowa w Krakowie.
Zam. 320/91**

*Powieść ta nie jest fikcją.
Opisane w niej zdarzenia są autentyczne.
Nazwiska i osoby zostały wymyślone,
a ich podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych
jest prawie całkiem przypadkowe.*

Prolog

1

— My, Niemcy, droga Kitty, jesteśmy w stanie dokonać cudu gospodarczego, ale nie umiemy porządnie przyrządzać sałaty — powiedział Thomas Lieven do czarnowłosej dziewczyny o ponętnej figurze.

— Tak jest, szanowny panie — zgodziła się Kitty.

Wyrzuciła z siebie te słowa, z trudem łapiąc powietrze, albowiem kochała się na zabój w swym szarmanckim pracodawcy. Rozkochanymi oczami wpatrywała się w Thomasa Lievena, który stał właśnie obok niej w kuchni.

Thomas Lieven miał na sobie ciemnogrnatowy smoking z wąskimi wyłogami, a na nim kuchenny fartuszek. W ręce trzymał serwetkę, a w niej delikatne liście dwóch prześlicznych główek sałaty.

Co za mężczyzna, myślała Kitty. Jej oczy błyszczały. Kitty kochała się w Lievenie także dlatego, że jej chlebodawca, właściciel ogromnej, luksusowej willi, znakomicie i całkiem naturalnie poruszał się po jej królestwie — kuchni.

— Właściwe przyrządzanie sałaty to już prawie zapomniana sztuka — rzekł Thomas Lieven. — W środkowych Niemczech podaje się ją na słodko i smakuje jak spleśniały placek, zaś w południowych na kwaśno, więc przypomina w smaku króliczą paszę, a w północnych gospodynie przygotowują ją nawet zwykłą oliwą. O święty Lukullusie! Oliwy używa się do zamków i maszyn, nie do sałaty!

— Tak jest, szanowny panie — przytaknęła Kitty, ciągle jeszcze nie mogąc złapać tchu.

Gdzieś w oddali zaczęły dzwonić kościelne dzwony. Był 11 kwietnia 1957 roku, godzina dziewiętnasta.

Ten 11 kwietnia zdawał się być dniem jak każdy inny. Ale nie dla Thomasa Lievena! Łudził się nadzieją, że tego dnia zdoła wreszcie definitywnie zerwać ze swą burzliwą, przestępczą przeszłością.

Owego 11 kwietnia 1957 roku, tuż przed swymi czterdziestymi ósmymi urodzinami, Thomas Lieven wynajmował willę w najwytwor-

niejszej części Cecilien-Allee w Düsseldorfie. Posiadał znaczny majątek w „Rhein-Main-Bank” oraz luksusowy sportowy samochód niemieckiej produkcji, za który zapłacił 32 000 marek.

Bliski pięćdziesiątki Thomas Lieven trzymał się znakomicie. Był wysoki, szczupły i opalony. Miał pociągłą twarz, mądre, nieco melancholijne oczy, delikatne usta i krótko przystrzyżone, na skroniach lekko szpakowate włosy.

Thomas Lieven był kawalerem. Sąsiedzi znali go jako spokojnego, wytwornego człowieka. Wychodzili z założenia, że jest solidnym zachodnioniemieckim biznesmenem, choć nie dawał im spokoju fakt, że tak niewiele można się było o nim dowiedzieć...

— Moja droga Kitty — powiedział Thomas Lieven — jest pani piękna, młoda i na pewno wielu rzeczy będzie się pani jeszcze w życiu musiała nauczyć. Czy chce się pani czegoś nauczyć ode mnie?

— Z przyjemnością — szepnęła Kitty, tym razem z ogromnym trudem łapiąc powietrze.

— Dobrze, zdradzę pani wspaniały przepis na przyrządzenie sałaty. Co do tej pory zrobiliśmy?

Kitty dygnęła.

— Przed dwoma godzinami namoczyliśmy dwie średniej wielkości główki sałaty, szanowny panie. Potem odrzuciliśmy twarde liście i wyszukaliśmy same delikatne...

— Co dalej? — dopytywał się Lieven.

— Włożyliśmy je do serwetki i zawiązaliśmy wszystkie cztery rogi, a potem zaczął pan nią wymachiwać...

— Odwirowywać, droga Kitty, odwirowywać, by wszystko dokładnie osuszyć. Liście muszą być całkiem suche, to niezwykle istotne. A teraz przejdźmy do przyrządzenia sosu. Niech mi pani poda, proszę, szklaną misę i sztucce do sałaty!

Gdy Kitty przypadkiem musnęła długą, smukłą dłoń swego pracodawcy, przeszył ją rozkoszny dreszcz.

Co za mężczyzna, pomyślała...

Dokładnie takie same myśli zaprzętały mnóstwo ludzi, którzy poznali Thomasa Lievena w ciągu ostatnich kilku lat. Opinię o nim można sobie wyrobić na podstawie tego, co Thomas Lieven kochał i czego nienawidził.

Thomas Lieven kochał piękne kobiety, wytworny wygląd, antyczne meble, szybkie auta, dobre książki, wyborne jedzenie i zdrowy ludzki rozsądek, nienawidził zaś mundurów, polityków, wojny, głupoty, przemocy i kłamstwa oraz złych manier i chamstwa.

Był czas, kiedy Thomas Lieven był uosobieniem porządnego obywatela. Wzdragał się przed wszelką intrygą i skłaniał do życia

w bezpieczeństwie, spokoju i wygodzie. I właśnie takiego człowieka osobliwe zrządzenia losu wyrwały — opowiemy o tym obszernie — z tego spokojnego, ułożonego światka.

Przykładny obywatel Thomas Lieven, stosując gwałt i podstęp, został zmuszony wystawić do wiatru następujące organizacje: Niemiecki Wywiad Wojskowy i gestapo, brytyjski "Secret Service", francuskie „Deuxieme Bureau”, amerykańskie „Federal Bureau of Investigation” i radziecką służbę bezpieczeństwa.

Przykładny obywatel Thomas Lieven został zmuszony do posiadania, w ciągu pięciu lat wojny i dwunastu lat powojennych, szesnastu fałszywych paszportów dziewięciu różnych krajów.

W czasie wojny Thomas Lieven powodował ogromne zamieszanie, tak w niemieckim sztabie generalnym, jak i w kwaterach głównych armii alianckich, choć nie wydawało mu się, by był do tego stworzony. Wręcz przeciwnie.

Po wojnie natomiast przez krótki czas ogarnęło go — jak chyba nas wszystkich — uczucie, że ten koszmar, w którym i z którego żył, wreszcie się skończył.

Nic bardziej błędnego!

Panowie z cienia już go nie wypuścili ze swych łap, nic więc dziwnego, że mścił się na swych prześladowcach. Grabił bogaczy, zbijających fortuny na ruinach okupowanych Niemiec, hieny reformy walutowej, dorobkiewiczów ery cudu gospodarczego.

Dla Thomasa Lievena nie istniała żadna Żelazna Kurtyna. Działał wszędzie, prowadził interesy na Wschodzie i na Zachodzie. Władze drżały przed nim ze strachu.

Deputowani różnych Landtagów i członkowie Bundestagu do dziś nie mogą spać spokojnie, bo Thomas Lieven żyje i wie mnóstwo o kasynach gry, machlojkach budowlanych, pakietach zleceń dla nowo powstałej zachodnioniemieckiej Bundeswehry...

Oczywiście nasz bohater nie nazywa się naprawdę Thomas Lieven.

Chyba w świetle przytoczonych tu okoliczności można nam wybaczyć, że zmieniliśmy jego nazwisko i adres. Ale historia tego niegdyś pokojowo usposobionego obywatela, którego jedyną pasją pozostało do dziś gotowanie, i który wbrew własnej woli został jednym z największych awanturników naszych czasów, ta historia jest prawdziwa.

Rozpoczynamy naszą opowieść wieczorem 11 kwietnia 1957 roku, w owym historycznym momencie, kiedy to Thomas Lieven wygłaszał wykład na temat przyrządzania zielonej sałaty.

A zatem wróćmy do kuchni w jego willi!

— Sałata nawet na moment nie może zetknąć się z metalem — oznajmił Thomas Lieven.

Kitty jak urzeczona wpatrywała się w smukłe dłonie swego chlebobdawcy. Słuchała jego wywodów, a jej ciało przeszywały ustawiczne dreszcze.

— Do sosu — ciągnął Thomas Lieven — bierzemy szczyptę pieprzu, szczyptę soli i łyżeczkę ostrej musztardy. Do tego drobnitko pokrajane jajko na twardo, dużo pietruszki i jeszcze więcej szczypiorku. Wreszcie cztery łyżki oryginalnej włoskiej oliwy z oliwek. Kitty, niech pani poda, proszę, oliwę!

Kitty, oblawszy się rumieńcem, spełniła jego życzenie.

— A zatem, jako się rzekło, cztery łyżki oliwy. Teraz jeszcze tylko ćwiartka śmietany, kwaśnej albo słodkiej, rzecz gustu, ja używam kwaśnej...

W tej chwili rozwarły się drzwi od kuchni i do środka wkroczył jakiś olbrzym. Miał na sobie spodnie w czarno-szare paski, bonzurkę w niebiesko-białe paski, białą koszulę i takąż muszkę. Jego głowę zdobiła równitko przyszyżona fryzura na jeża. Gdyby miał łysinę, można by go wziąć za nieco przydużą kopię Yula Brynnera.

— Słucham, Bastianie? — przywitał go Thomas Lieven.

— Przybył pan dyrektor Schallenberg — oznajmił służący z lekkiem, nosowym francuskim akcentem.

— Punktualnie co do minuty — rzekł Thomas. — Będzie można z nim wejść w interes.

Zdjął fartuszek.

— A więc jedzenie za dziesięć minut. Bastian będzie podawał, a pani, drogie dziecko, jest wolna.

Podczas gdy Thomas mył ręce w wykafelkowanej na czarno łazience, Bastian jeszcze raz wyszczotkował jego smokingową marynarkę.

— Jakże wygląda ten dyrektor? — spytał Thomas Lieven.

— Tak jak zwykle — rzekł olbrzym. — Tłusty i solidny. Byczy kark i brzuch jak beczka. Porządna prowincja.

— To brzmi sympatycznie.

— Ma też dwie bliźny.

— To już mniej sympatyczne. Cofam wszystko, co powiedziałem.

Thomas założył smokingową marynarkę. Coś mu podpadło, więc spojrzał na służącego z dezaprobatą i powiedział:

— Bastianie, znów się dobrałeś do koniaku!

— Pociągnąłem tylko łyżeczek. Byłem trochę zdenerwowany...

Menu, 11 kwietnia 1957

Zupa à la Lady Curzon

Kurczak w papryce

Salata „Clara”

Ryż

Szpikowane jabłka w winnym sosie

Grzanka z serem

Ten posiłek przyniósł dochód w wysokości 717 850 franków szwajcarskich.

Zupa à la Lady Curzon: Lady Curzon była żoną Lorda Curzona, wicekróla Indii. On pisał książki o polityce, ona zaś układała recepty. Do zupy żółtowej zalecała użycie przednich nóg tych smakowitych stworzeń. To były najlepsze kaski żółtowego mięsa! Z przypraw należało wziąć: dragon i tymianek, imbir, gałkę muszkatołową, goździki oraz curry. Do zupy należało wlać również szklankę mocnego, hiszpańskiego wina. Jeżeli to możliwe, w zupie powinny pływać żółte jajka, kielbaski obrane ze skórki i pulpety z żółtwej wątroby. Jeżeli jednak wydaje się to komuś zbyt pracochłonne (!), może kupić sobie w sklepie puszkę gotowej zupy żółtowej, nie zapominając jednak wlać sporą ilość sherry (mocne hiszpańskie wino) i pełną filiżankę śmietany.

Kurczak w papryce: pieczemy młodego kurczaka nie rumieniąc go zbyt, po czym dzielimy go na cztery lub sześć części i trzymamy na małym ogniu. Osobno na maśle dusimy cienko pokrojoną cebulę z łyżeczką papryki, podlewamy wodą lub rosółem wołowym aż do zagotowania. Do sporej ilości gęstej, kwaśnej śmietany dodajemy mączki kukurydzianej, rozbełtujemy starannie, doprawiając do smaku solą i papryką. Aby otrzymać pożądaną, czerwony kolor sosu, dodajemy trochę koncentratu pomidorowego. W otrzymanym w ten sposób sosie układamy kawałki kurczaka i trzymamy przez parę minut na małym ogniu.

Ryż: prawie zawsze z ugotowanego ryżu powstaje gęsta papka. A przecież to takie proste ugotować ryż tak, aby był sypki! Proszę uważać: po dokładnym wypłukaniu ryżu gotujemy od 10-15 minut w dowolnej ilości wody. Potem wylewamy go na sito i przepłukujemy zimną wodą. To najlepszy sposób na oddzielenie ryżu od lepiałej się mączki ryżowej. Tuż przed podaniem podgrzewamy ryż w sicie na parze. Wysypujemy ryż na półmisek, doprawiamy do smaku solą lub według gustu curry, szafranem lub pieprzem, dodając odrobinę masła.

Szpikowane jabłka w winnym sosie: jednakowo duże, kruche jabłka obrać ze skórki i gotować powoli na małym ogniu w lukrze z dodatkiem wanilii, uważając aby się nie rozgotowały, po czym ostrożnie wyjąć z sosu i pozwolić im obciec na sicie. W tym czasie

pokroić migdały na cienkie plasterki, rozłożyć na blasze i uprzyżyć w gorącym piekarniku. Dobrze obsuszone jabłka należy teraz nasączyć likierem, rumem lub koniakiem, następnie naszpikować migdałami. Przygotowane w ten sposób jabłka układamy na półmisku i polewamy winnym sosem. Przygotowujemy go w następujący sposób: 2 żółtka ucieramy ze 100 g cukru, 20 g mączki kukurydzianej rozbeltanej w 1/2 szklanki wody, z dodatkiem 1/4 litra białego wina i łączymy z uprzednio przygotowaną masą, lekko mieszając całość na małym ogniu dopóki nie zgęstnieje. Dodajemy ubitą na sztywno pianę z dwóch białek, doprawiając powstały w ten sposób sos rumem lub koniakiem do smaku.

Grzanka z serem: pokrojone kawałki bułki paryskiej smarujemy pośrodku grubo masłem. Na grzankę kładziemy plaster sera — najlepiej Emmentalera lub Edamskiego. W ten sposób przygotowaną bułkę układamy na blasze i wkładamy na 5 minut do mocno rozgrzanego piekarnika. Gdy grzanki nabiorą charakterystycznego złotawego koloru, podajemy na gorąco.

— O ten łyczek za dużo! Gdyby zaszły jakieś nieprzewidziane okoliczności, potrzebuję cię trzeźwego. Nie złoisz skóry dyrektorowi, jak będziesz pijany.

— Tego grubasa załatwię nawet w delirium tremens!

— Spokój! Czy pamiętasz znaczenie poszczególnych dzwonek?

— Tak jest.

— Powtórz.

— Jeden dzwonek — serwuję kolejne danie, dwa dzwonki — wnoszę fotokopie, trzy dzwonki — przychodzę z workiem treningowym.

— Byłbym ci wdzięczny — powiedział Thomas Lieven, piłując paznokcie — żebyś był tak łaskaw i się nie pomylił.

2

— Znakomita zupa — powiedział dyrektor Schallenberg.

Rozpostarł się na krześle, osuszając usta adamaszkową serwetką.

— Lady Curzon — wyjaśnił Thomas i zadzwonił, wduszając krótko przycisk pod blatem stołu.

— Lady co?

— Curzon. To nazwa tej zupy. Żółw z sherry i ze śmietaną.

— Ach tak, oczywiście!

Płomienie stojących na stole świec zamigotały nagle. Do pokoju wszedł bezszelestnie Bastian, serwując kurczaka w papryce.

Po chwili świece uspokoiły się. Ich ciepłe, żółte światło padało na granatowy dywan, szeroki staroflamandzki stół, wygodne drewniane krzesła z wiklinowymi oparciami i na ogromny staroflamandzki kredens.

Kurczak też wprawił w zachwyt dyrektora Schallenberg.

— Wyborny, po prostu wyborny. To naprawdę czarujące z pańskiej strony, że mnie pan zaprosił, panie Lieven! A przecież chciał pan tylko pogadać ze mną o interesach...

— Dobre jedzenie sprzyja prowadzeniu rozmów, panie dyrektorze. Proszę dołożyć sobie jeszcze ryżu, stoi przed panem.

— Dziękuję. No więc, niechże pan wreszcie powie, panie Lieven, o jaki interes chodzi?

— Może jeszcze trochę sałaty?

— Nie, dziękuję. Niech pan wali!

— Dobrze. Panie dyrektorze, jest pan właścicielem dużej fabryki papieru.

— Zgadza się. Zatrudniam dwustu ludzi. Wszystko podźwignąłem z ruin.

— Wspaniały sukces. Na zdrowie...

Thomas Lieven wznosił toast.

— Już, już...

— Jak wiem, produkuje pan, panie dyrektorze, najwyższej jakości papier ze znakami wodnymi.

— Tak jest.

— Między innymi jest pan dostawcą papieru ze znakami wodnymi, na którym drukuje swe najnowsze, mające dopiero wejść na rynek, akcje „Deutsche Stahlunion-Werke”.

— Zgadza się. Akcje firmy DESU. Ach, mówię panu, ile z tym kłopotu, te ciągle kontrole! Żeby moi ludzie nie ulegli czasem pokusie i nie kazali sobie wydrukować paru akcji... cha, cha, cha!

— Cha, cha, cha — zawtórował Lieven. — Panie dyrektorze, chciałbym zamówić u pana pięćdziesiąt wielkoformatowych arkuszy tego papieru.

— Chce pan... co takiego!?

— Pięćdziesiąt dużych arkuszy. Jako szefowi firmy nie sprawi panu chyba większych trudności ominięcie wspomnianych kontroli.

— Na miłość boską, po co panu ten papier?

— Żeby wydrukować nieco akcji DESU, oczywiście. A co pan myślał?

Dyrektor Schallenberg złożył serwetkę, spojrział nie bez żalu na swój zaledwie do połowy opróżniony talerz i oznajmił:

— Obawiam się, że będę zmuszony już pana opuścić.
— W żadnym wypadku. Będą jeszcze jabłka z bitą pianą i grzanki z serem.

Dyrektor wstał.

— Mój panie, zapomnę, że kiedykolwiek stanęła tu moja noga.

— Wątpię, żeby pan to kiedykolwiek zapomniał — zapewnił Thomas, nakładając sobie nieco ryżu. — Dlaczego pan właściwie stoi, panie wehrwirtschaftsführer? Niechże pan siada.

Twarz Schallenbergera nabiegła ciemną purpurą.

— Co to ma znaczyć? — zapytał cicho.

— Niech pan siada. Kurczak panu ostygnie.

— Czy pan powiedział wehrwirtschaftsführer?

— Owszem. Przecież zajmował pan to wysokie stanowisko w zaopatrzeniu hitlerowskiej armii. Nawet jeśli w roku 1945 pan o tym zapomniał. Na przykład w ankietach władz okupacyjnych. Zresztą po co zaprzętać sobie tym pamięć? Wtedy właśnie wystarał się pan o nowe dokumenty i załatwił sobie nowe nazwisko. Jako wehrwirtschaftsführer nazywał się pan Mack.

— Pan zwariował!

— Nie sądzę. Zajmował pan stanowisko wehrwirtschaftsführera w Warthegau, Kraju Warty. Ciągle jeszcze znajduje się pan na liście poszukiwanych przez polski rząd zbrodniarzy wojennych. Oczywiście pod nazwiskiem Mack, nie Schallenberg.

Dyrektor Schallenberg opadł na staroflamandzkie krzesło z wiklinowymi oparciami, przetarł sobie czoło adamaszkową serwetką i powiedział bez przekonania:

— Naprawdę nie wiem, dlaczego wysłuchuję tych bzdur.

Thomas Lieven westchnął.

— Widzi pan, panie dyrektorze, ja też mam za sobą burzliwą przeszłość. Chciałbym się od niej uwolnić. Dlatego potrzebuję tego papieru. Podrobienie go zajęłoby mi za dużo czasu, mam natomiast godnych zaufania drukarzy... Czy pan się źle poczuł? Ejże... Niech pan wypije łyk szampana, to stawia na nogi... Tak, widzi pan, panie dyrektorze, wówczas, po zakończeniu wojny, miałem dostęp do wszystkich tajnych akt. W owym czasie zaszył się pan właśnie w Miesbach...

— Wierutne kłamstwo!

— Niech pan wybaczy, miałem na myśli Rosenheim, a dokładniej Lindenhof.

Tym razem dyrektor Schallenberg już tylko uniósł zwiotczałą rękę w obronnym geście.

— Wiedziałem, że się pan tam ukrywa. Miałem wówczas taką pozycję, że mogłem bez trudu doprowadzić do pańskiego aresztowania, ale pomyślałem sobie: Co mi z tego przyjdzie? Zamkną go, przekażą władzom polskim i co?

Thomas z apetytem konsumował kurze udko.

— Ale, powiedziałem sobie, jak go zostawisz w spokoju, to za parę lat znów wypłynie na powierzchnię. Ten typ ludzi nie ginie, zawsze w końcu podnosi się z kłęczek...

— To bezczelność! — zaskrzeczał głos z wiklinowego krzesła.

— ... a wtedy może ci się bardziej przydać. Tak wówczas rozumowałem, tak też zrobiłem i — popatrz, popatrz — miałem rację.

Schallenberg z trudem podniósł się z krzesła.

— Prosto stąd idę na policję i złożę na pana skargę.

— Tam stoi telefon.

Thomas dwa razy nacisnął ukryty pod blatem stołu dzwonek.

Znów zamigotał płomień świec. Służący Bastian, jak zwykle bezszelestnie, wkroczył do pokoju, wnosząc na srebrnej tacy stertę fotokopii.

— Proszę, niech pan się obsłuży — zaproponował Thomas. — Mamy tu pana dyrektora w mundurze, mamy kopie rozporządzeń pana dyrektora z lat 1941 — 1944 i potwierdzenie tzw. Narodowosocjalistycznego Skarbnika Rzeszy odbioru od pana stu tysięcy marek jako datku na SA i SS.

Dyrektor Schallenberg znów zajął miejsce.

— Może pan posprzątać, Bastianie. Pan dyrektor już się najadł.

— Uprzejmie służę, szanowny panie.

Gdy Bastian zniknął, Thomas odezwał się ponownie:

— Nawiasem mówiąc, zarobi pan na tym pięćdziesiąt. Starczy?

— Nie pozwolę się szantażować!

— Ale, ale, czy nie uczestniczył pan także w ostatniej kampanii wyborczej? Nie przeznaczył pan na nią czasem znacznej sumy? Jakież to niemieckie pismo interesuje się tego typu bezinteresownymi datkami?

— Pan zupełnie postradał zmysły! Chce pan wydrukować fałszywe akcje? Wpadnie pan! A ja z panem! Jeśli dam panu papier, zgniję w więzieniu.

— Ja nie. A pana wsadzą tylko wtedy, jeśli nie da mi pan tego papieru, panie dyrektorze.

Thomas wduśił przycisk dzwonka.

— Zobacz pan, jak będą panu smakować szpikowane jabłka.

— Nie przełknę tu już u pana ani kęsa, szantażysto!

— A zatem, kiedy mogę się liczyć z dostawą papieru, panie dyrektorze?

— Nigdy! — wrzasnął Schallenberg w bezgranicznym gniewie. — Nigdy nie dostanie pan ode mnie ani jednego arkusza!

3

Zbliżała się północ. Thomas Lieven siedział ze swym służącym Bastianem przy migotliwym ogniu kominka w przestrzennej bibliotece. Czerwienią i złotem, błękitem, bielą, żółcią i zielenią pobłyskiwały w półmroku grzbiety setek zgromadzonych tu książek. Płynęła muzyka z gramofonu. Cichutko rozbrzmiewał II Koncert Fortepianowy Rachmaninowa.

Thomas Lieven ciągle jeszcze miał na sobie smoking, natomiast Bastian rozpiął kołnierzyk koszuli i wsparł nogi na krześle. Uprzednio, spojrzawszy spode łba na swego pana, podłożył oczywiście gazetę.

— Dyrektor Schallenberg dostarczy papier w ciągu tygodnia — oznajmił Thomas Lieven. — Ile czasu potrzebują twoi przyjaciele na druk?

— Około dziesięciu dni — odparł Bastian.

Podniósł do ust brzuchatą koniakówkę.

— W takim razie 1 maja — piękna data, święto pracy — pojedę do Zurychu — powiedział Thomas, podając Bastianowi jakąś akcję i wykaz. — To wzór dla drukarzy, a tu masz bieżące numery, jakie mają być na akcjach.

— Chciałbym wiedzieć, co znów knujesz — zaburczał z podziwem jeżołeb.

Bastian używał poufatego „ty” tylko wówczas, gdy był pewien, że jest ze swym panem sam na sam. Znał Thomasa od siedemnastu lat i kiedyś był mu wszystkim innym, tylko nie służącym. Przyłgnął do niego od samego początku, od chwili, gdy poznał go w kwaterze pewnej damy — herszta marsylskich gangsterów. Poza tym przeżył z Thomasem kilka niebezpiecznych przygód. To wiąże.

— Tommy, nie powiesz mi, na co wpadłeś?

— Chodzi, drogi Bastianie, w gruncie rzeczy o coś bardzo legalnego i pięknego — o zyskanie zaufania. Moje szachrajstwo z akcjami będzie eleganckim szachrajstwem. Nikt — odpukać — absolutnie nikt nie zorientuje się, że coś tu nie gra. Wszyscy na tym zarobią i wszyscy będą zadowoleni.

Thomas Lieven uśmiechnął się rozmarzony i wyciągnął złoty repeties, zegarek wybijający godziny. Dostał go od ojca. Ten płaski czasomierz z odskakującym wieczkiem towarzyszył Thomasowi we wszystkich niebezpieczeństwach, jakie niosło z sobą życie, we wszystkich brawurowych ucieczkach i pogoniach. Thomasowi Lievenowi zawsze udawało się go ukryć, ochronić lub odzyskać. Teraz uruchomił dźwigienkę wieczka. Odskoczyło i rozległ się czysty, srebrzysty dźwięk mechanizmu wybijającego godziny.

— Nie mieści mi się to w mojej tępej głowie — zasmucił się Bastian. — Akcja jest udziałem w jakimś większym przedsięwzięciu. Na kupony akcji otrzymuje się w określonych odstępach czasu należne dywidendy, czyli odpowiednią część osiągniętego zysku.

— Zgadza się, mój mały.

— Ale nie możesz, na Boga, przedłożyć w banku kuponów twych sfalszowanych akcji! Przecież ich numery znajdują się też na prawdziwych akcjach, które do kogoś należą. Wpadka jak w banku.

Thomas wstał.

— Jak w banku, zgadza się, ale nie wpadka. Oczywiście nigdy nie przedłożę kuponów.

— No to na czym polega ten numer?

— Dowiesz się w swoim czasie — zbył go Thomas, podszedł do sejfu w ścianie i za pomocą kombinacji cyfr otworzył zamek. Za ciężkimi stalowymi drzwiami leżała gotówka, kilka sztab złota z ołowowym rdzeniem (jeszcze opowiemy tę niezwykłą historię) i trzy pudełka z oprawionymi i luźnymi drogimi kamieniami. Na samym przodzie piętrzyła się sterta paszportów.

— Na wszelki wypadek pojedę do Szwajcarii pod innym nazwiskiem — powiedział Thomas w zadumie. — Spójrzmy co tu też mamy do wyboru.

Z uśmiechem czytał kolejne nazwiska.

— Mój Boże, ile wspomnień, ile wspomnień — Jakob Hauser... Peter Scheuner... Ludwig Freiherr von Trendelenburg... Wilfried Ott...

— Jako baron Trendelenburg przerzucałeś cadillaki do Rio, dałbym baronowi nieco odsapnąć. Hauserowi też. Ciągle jeszcze szukają go we Francji — powiedział Bastian w zadumie.

— Niech pan siada, panie Ott. Czym mogę służyć? — spytał szef Wydziału Papierów Wartościowych i schował skromną wizytówkę, na której widniało „Wilfried Ott, przemysłowiec, Düsseldorf”.

Szef Wydziału Papierów Wartościowych nazywał się Jules Vermont. Jego biuro znajdowało się na pierwszym piętrze „Schweizer Zentralbank” w Zurychu.

— Jest pan Francuzem, monsieur? — spytał Thomas Lieven, który teraz nazywał się Wilfried Ott.

— Ze strony matki.

— W takim razie może przejdziemy na francuski — zaproponował Thomas, alias Wilfried, już po francusku, w języku, który miał opanowany do perfekcji.

Twarz Julesa Vermonta rozjaśniła się w uśmiechu.

— Czy mogę w pańskim banku otworzyć szyfrowy depozyt?

— Oczywiście, monsieur.

— Właśnie nabyłem nieco akcji „Deutsche Stahlunion”. Chciałbym je oddać do depozytu w Szwajcarii. Jak już wspomniałem, nie na moje nazwisko, lecz do depozytu szyfrowego.

— Rozumiem. Wstrętne niemieckie podatki, co?

Vermont mrugnął porozumiewawczo.

Fakt, że obcokrajowcy deponują w Szwajcarii swe majątki, nie stanowiło dlań żadnej nowości. W roku 1957 w Szwajcarii ulokowano łącznie 150 miliardów franków, należących do obcokrajowców.

— Żebym nie zapomniał — powiedział Thomas Lieven — niech pan każe odciąć kupony płatne w roku 1958 i 1959. Nie wiem, kiedy znów zawitam w Zurychu, więc zatrzymam je przy sobie i sam w odpowiednim czasie zrealizuję. Zaoszczędzi to panu pracy.

A mnie uchroni przed więzieniem, pomyślał.

Załatwianie formalności nie trwało długo. Wkrótce w wewnętrznej kieszeni Thomasa Lievena spoczywał dokument „Schweizer Zentralbank”, poświadczający, że niejaki pan Wilfried Ott, przemysłowiec z Düsseldorfu w Republice Federalnej Niemiec, złożył w depozycie akcje zakładów DESU o nominalnej wartości miliona marek.

Do hotelu „Baur au Lac” Thomas Lieven wrócił sportowym autem, które nawet w Zurychu zwracało na siebie ogólną uwagę. Cieszył się tu powszechną sympatią. Nawiasem mówiąc lubiano go we wszystkich odwiedzanych przez niego hotelach. Wynikało to z jego

pogodnego usposobienia, demokratycznych przekonań i sutych napiwków.

Wjechał windą do swego apartamentu. Tu najpierw udał się do łazienki, gdzie wrzucił do sedesu i natychmiast splukał odcięte kupony akcji płatne w latach 1958 i 1959. Nie chciał napytać sobie biedy! Następnie usiadł na balkonie, na który wychodziło się z przestronnego salonu, i spoglądał zadowolony ku stateczkom pływającym po połyskujących wodach Jeziora Zuryskiego. Zastanawiał się przez chwilę, po czym sięgnął po złote pióro i na papierze firmowym hotelu skreślił następujące ogłoszenie:

Niemiecki przemysłowiec poszukuje udziałowca z gotówką w Szwajcarii. Wysokie oprocentowanie kapitału, pierwszorzędna rękojmia. Rozpatrywane będą tylko poważne oferty opatrzone poręczeniem bankowym.

Inserat ten ukazał się dwa dni później na eksponowanym miejscu w dziale ogłoszeń „Neue Züricher Zeitung”. W ciągu trzech dni wpłynęło 46 ofert.

Był piękny, słoneczny dzień. Thomas znów siedział na balkonie skrupulatnie porządkując oferty, które podzielił z grubsza na cztery grupy:

Nadawcami 17 listów były biura handlu nieruchomościami, antykwariusze, jubilerzy i firmy sprzedaży samochodów. W tej grupie nikt nie dysponował gotówką, polecał natomiast własny towar.

10 propozycji pochodziło od panów, którzy wprawdzie nie dysponowali kapitałem, ale oferowali swe pośrednictwo w nawiązaniu kontaktu z inwestorami, którzy rzekomo takież posiadali.

Autorkami kolejnych 11 listów — po części ze zdjęciami, po części bez — były damy, które wprawdzie nie dysponowały gotówką, ale — niekiedy czarująco, niekiedy mniej — oferowały po prostu siebie.

Wreszcie 8 ofert pochodziło od ludzi dysponujących gotówką.

38 osiem listów pierwszych trzech grup Thomas Lieven podarł na strzępy. Z pozostałych ofert dwie wzbudziły jego szczególne zainteresowanie. Może dlatego, że stanowiły swoje absolutne przeciwieństwo.

Pierwszy list napisano na kiepskiej maszynie do pisania i na kiepskim papierze. Do tego kiepską niemczyzną. Nadawca oferował „za oprocentowanie, które mnie zadowoli, sumę do szwajcarskich franków miliona”. Pod tym językowym dziwołaniem widniał podpis — „Pierre Muerrli, makler”.

Drugi list napisany był odręcznie drobnym, subtelnym pismem. Żółtawy arkusz czerpanego papieru najwyższej jakości ozdobiony

był pośrodku górnej krawędzi małą złotą koroną o pięciu wierzchołkach.

Tekst brzmiał:

Chateau Montenac, 8 maja 1957

Wielce szanowny Panie,

W związku z pańskim anonsem w „Neue Züricher Zeitung” proszę Pana o kontakt telefoniczny celem ustalenia terminu Pańskiej wizyty.

H. de Couville

Thomas w zamyśleniu położył obok siebie tak krańcowo różne kartki papieru. Pogrążony w myślach przyglądał im się przez chwilę, po czym wyciągnął z kieszeni kamizelki złoty repetier i uruchomił mechanizm. Rozległy się jasnosrebrzyste dźwięki — raz, dwa, trzy... i jeszcze dwa nieco wyższe. Było w pół do czwartej.

Pierre Muerrli, zastanawiał się Thomas, jest z pewnością bardzo bogatym człowiekiem. I bardzo skąpym. Pisał na kiepskim papierze i używał starej maszyny do pisania. Natomiast ten H. de Couville pisał wprawdzie ręcznie, ale na najlepszym gatunkowo papierze. Może jest hrabią? Albo baronem?

Zobaczmy...

Chateau Montenac położony był w rozległym parku na południowym stoku Zürichberg. Szeroka żwirowa serpentyna wiodła w górę do niewielkiego, pomalowanego na cesarską żółć pałacyku z zielonymi parapetami. Thomas zaparkował samochód na okazałym zajeździe.

Nagle wyrósł przed nim jak spod ziemi niezwykle wyniosły służący.

— Monsieur Ott? Proszę za mną.

Wprowadził go do pałacu, minęli kilka z przepychem urządzonych pomieszczeń, w końcu weszli do nie mniej przepysznego gabinetu.

Zza niewielkiego biurka podniosła się szczupła, elegancka kobieta w wieku około dwudziestu ośmiu lat. Jej kasztanowe włosy opadały miękkimi puklami aż na ramiona. Błyszczały wydatne, jasnoróżowe usta. Miała nieco skośne, piwne oczy, lekko wystające kości policzkowe, długie, jedwabne rzęsy i aksamitną, wpadającą w złoto cerę.

Thomas poczuł ukłucie w okolicy serca. Damy o skośnych oczach i wystających kościach policzkowych uczyniły w jego życiu wielkie spustoszenie. Ten typ, przemknęło mu przez myśl, zachowuje się zawsze tak samo. Nieobecne. Zimne. Wyniosłe. Ale gdy się je pozna nieco bliżej... wówczas nie sposób je pohamować!

Młoda dama spojrzała na niego poważnie.

— Witam pana, panie Ott. Rozmawialiśmy ze sobą telefonicznie. Proszę, niech pan siada.

Sama też usiadła i założyła nogę na nogę, przez co sukienka podsunęła się jej nieco do góry. Na dodatek jeszcze piękne, długie nogi, pomyślał Thomas.

— Panie Ott, poszukuje pan udziałowca. Wspominał pan o pierwszorzędnym gwarancjach. Czy mogę wiedzieć, jakie to gwarancje?

Tego już trochę za wiele, pomyślał Thomas i rzucił chłodno:

— Nie wydaje mi się, bym musiał tym zaprzętać pani głowę. Niech pani będzie tak miła i powiadomi pana de Couville, że już jestem. Napisał do mnie.

— Ja napisałam. Nazywam się Helene de Couville. Prowadzę wszelkie sprawy finansowe mojego wuja — wyjaśniła młoda dama nader ozięble. A zatem, panie Ott, co pan rozumie przez „pierzszorzędne gwarancje”?

Thomas z uśmiechem skłonił głowę.

— Nowe akcje zakładów DESU złożone do depozytu w „Schweizer Zentralbank”. Wartość nominalna — milion franków. Kurs giełdowy starych akcji dwieście siedemnaście...

— Jakie warunki pan proponuje?

— Osiem procent.

— A jaka suma wchodzi w rachubę?

Mój Boże, te chłodne oczy, pomyślał i odparł:

— Siedemset pięćdziesiąt tysięcy franków szwajcarskich.

— Słucham?

Ku swemu zdumieniu Thomas Lieven zauważył, że Helene de Couville nagle zaczęła się denerwować. Koniuszek jej języka przesunął się po karminowych wargach, rzęsy trzepotały ledwo dostrzegalnie.

— Czy nie jest to...hm... czy nie jest to zbyt okazała suma, panie Ott?

— Dlaczego? Przy tej wartości giełdowej akcji?

— Z pewnością... tak...ale...

Wstała.

— Przykro mi, ale będę chyba jednak musiała poprosić tu wuja. Przepraszam pana na chwilę.

Thomas podniósł się z krzesła. Panna de Couville znikła. Thomas usiadł ponownie i czekał. Według informacji swego złotego repetiera osiem minut. Zdobyty w ciągu wielu lat przestępczego działania instynkt podpowiadał mu, że coś tu nie gra. Ale co?

Drzwi się otwały i do pokoju wróciła Helena. Towarzyszył jej wysoki, chudy mężczyzna o ogorzałej twarzy, szerokiej szczęce i krótkich siwych włosach. Pod jednorzędową marynarką miał białą nylonową koszulę.

— Baron Jacques de Couville, mój wuj — przedstawiła Helena. Panowie podali sobie ręce.

Ma łapę jak kowboj, pomyślał Thomas z rosnącą nieufnością, i szczękę, jakby jego ulubionym zajęciem było żucie gumy. Do tego ten akcent... Jeśli to jest arystokrata francuskiego pochodzenia, ja jestem Einsteinem!

Postanowił czym prędzej wycofać się ze sprawy.

— Panie baronie, obawiam się, że przestraszyłem nieco pańską czarującą krewną. Dajmy sobie spokój. Miło mi było pana poznać.

— Chwileczkę, panie Ott, niech pan nie będzie w gorącej wodzie kąpany. Usiądźmy.

Baron też był zdenerwowany. Zadzwoił.

— Porozmawiajmy spokojnie. Przy kieliszku.

Wyniosły służący podał napoje. Okazało się, że whisky nie była szkocka, zaserwowano podłego bourbona.

Coraz mniej mi się ten Couville podoba, myślał Thomas, podczas gdy baron podjął na nowo rozmowę. Przyznał, że właściwie myślał o znacznie skromniejszym udziale.

— ... może sto tysięcy?

— Panie baronie, to nie ma sensu — zniechęcił się Thomas.

— ... albo sto pięćdziesiąt...

— Naprawdę, panie baronie, niech mi pan wierzy...

— No powiedzmy, dwieście tysięcy...

Brzmiało to prawie jak błagalna prośba.

Nagle wszedł wyniosły służący z wiadomością, że do barona jest telefon. Zamiejscowy. Baron wstał jak na rozkaz i wyszedł. Wraz z nim zniknęła Helena.

Thomasa zaczęła powoli bawić ta dziwna arystokratyczna rodzina. Gdy po niespełna dziesięciu minutach baron wrócił, blady i spociny jak mysz, było mu prawie żal tego człowieka, ale pożegnał się pośpiesznie i wyszedł.

W hallu natknął się na Helenę.

— Już pan wychodzi, monsieur Ott?

— I tak zająłem państwu zbyt wiele czasu — odparł Thomas, całując ją w rękę.

Wyczuł woń jej perfum i zapach skóry.

— Uszczęśliwiłaby mnie pani — dodał — gdyby przyjęła pani zaproszenie na kolację dziś wieczorem. W „Baur au Lac” albo gdziekolwiek indziej. Proszę, niech pani nie odmawia.

— Panie Ott — rzekła Helena, a Thomasowi zdało się, jakby przemawiał doń marmurowy posąg — nie wiem, ile pan wypił, ale tylko tym mogę to tłumaczyć. Żegnam pana.

5

O ile rozmowa z baronem de Couville okazała się stratą czasu, o tyle makler Pierre Muerrli okazał się znacznie poważniejszym partnerem. Wróciwszy do hotelu, Thomas zadzwonił do niego i wyjaśnił krótko o co mu chodzi — chce mianowicie pod zastaw złożonych w bankowym depozycie akcji DESU uzyskać sumę 750 000 franków.

— Tylko tyle? — spytał Pierre Muerrli po niemiecku z gardłowym szwajcarskim akcentem.

— Tak, to mi wystarczy — odparł Thomas i pomyślał: nie przesadzajmy.

Po jakimś czasie makler zjawił się w hotelu. Miał czerwoną twarz i sprawiał wrażenie prostaka. Człowiek czynu!

Już następnego dnia podpisano u notariusza następującą umowę:

„Pan Wilfried Ott, przemysłowiec z Düsseldorfu, zobowiązuje się oprocentować udział 750 000 franków w wysokości ośmiu procent. Udział ma zostać zwrócony najpóźniej do północy 9 maja 1959.

Do tego czasu pan Pierre Muerrli, makler nieruchomości z Zurychu, zobowiązuje się nie naruszać depozytu akcji, które pan Ott przekazał mu jako gwarancję.

Jeśli udział nie zostanie zwrócony w ustalonym terminie, pan Muerrli staje się właścicielem papierów wartościowych i może nimi dysponować wedle woli”.

Z umową w kieszeni panowie pojechali do „Zentralbank”, gdzie potwierdzono autentyczność kwitu depozytowego, a następnie w biurze pana Muerrliego odbyło się przekazanie czeku gotówkowego w wysokości 717 850 franków szwajcarskich, czyli udziału z potrąceniem wszelkich kosztów oraz należnych za dwa lata ośmiu procent odsetek.

W ten sposób, niejako w okamgnieniu, Thomas stał się właścicielem kapitału w wysokości 717 850 franków! Teraz mógł i chciał

obrać tym kapitałem przez dwa lata, by po upływie tego czasu, w maju 1959 roku zwrócić go w terminie i z zachowaniem wszelkich regul. Wówczas zamierzał podjąć z bankowego depozytu fałszywe akcje, podrzeć je na kawałki i wyrzucić. W ten sposób wszyscy by zarobili i nikt nie czułby się pokrzywdzony. Co więcej, nikt nigdy by się nie zorientował, jaki numer Thomas wywinął. W tak prosty sposób to funkcjonuje. Jeśli zafunkcjonuje...

Gdy kilka godzin później Thomas Lieven, alias Wilfried Ott, wszedł do hallu swego hotelu, ujrzał siedzącą w jednym z foteli Helenę.

— Dzień dobry, jakże się cieszę!

Helena niezwykle powoli podniosła wzrok znad żurnala mody i niezwykle zdruzgotanym głosem powiedziała:

— Ach, to pan, dzień dobry.

Tego chłodnego dnia miała na sobie sukienkę w brązową pepitkę i kurtkę z dzikich kanadyjskich norek. Nie było mężczyzny w hallu, który by się za nią nie oglądął.

— Wprawdzie spóźniła się pani troszkę — powiedział Thomas — ale jestem bardzo szczęśliwy, że pani jednak przyszła.

— Niech pan przyjmie do wiadomości, panie Ott, że nie przyszedłam do pana, lecz do przyjaciółki, która tu mieszka.

— Jeśli dziś nie ma pani czasu — nie ustępował Thomas — to może da się pani zaprosić na jutro na aperitif?

— Jutro wyjeżdżam na Riwierę.

Thomas klasnął w dłonie.

— Co za przypadek! Wie pani, ja też jutro wybieram się na Riwierę. Przyjadę po panią. Powiedzmy o jedenastej?

— Niech pan to sobie wybije z głowy. O, już jest moja przyjaciółka — zauważyła wstając. — Niech się pan dobrze bawi... jeśli pan potrafi.

Następnego przedpołudnia, siedem po jedenastej, z bramy w parku otaczającym Chateau Montenac wyjechała małym sportowym samochodem Helena de Couville. Thomas ukłonił się, gdy przejeżdżała obok niego, ale ponieważ nie zaszczyciła go ani jednym spojrzeniem, więc wsiadł do auta i ruszył za nią.

Aż do Grenoble nie zdarzyło się nic szczególnego, natomiast tuż przed tym miastem samochód Heleny stanął. Dziewczyna wysiadła. Thomas zatrzymał się na jej wysokości.

— Coś z silnikiem — wyjaśniła.

Thomas nie znalazł w silniku przyczyny awarii, natomiast Helena, nie czekając na wynik oględzin, pośpieszyła do pobliskiego domu, by

wezwać pomoc drogową. Przybyły po jakimś czasie mechanik oświadczył, że wysiadła między innymi pompa benzynowa, więc auto trzeba odholować do warsztatu. Naprawa potrwa najmniej dwa dni.

Thomas podejrzewał, że mechanik kłamał, by skasować słony rachunek, ale nie posiadał się ze szczęścia, natrafiając na oszusta. Zaproponował Helenie kontynuowanie podróży swym samochodem.

— To bardzo miło z pańskiej strony — rzekła po długim wahaniu.

Thomas przeniósł bagaż i potajemnie wcisnął mechanikowi w rękę królewski napiwek.

Na przestrzeni następnych stu kilometrów Helena powiedziała dwa słowa. Gdy Thomas kichnął, rzekła „na zdrowie”.

Po kolejnych stu kilometrach oznajmiła, że ma się spotkać w Monte Carlo ze swym narzeczonym.

— Biedak — powiedział Thomas — niewiele się panił nacieszy.

W Monte Carlo zawiózł Helenę — zgodnie z jej życzeniem — do „Hotel de Paris”, gdzie czekała na nią wiadomość. Jej narzeczony nie może przyjechać, interesy zatrzymały go w Paryżu.

— Wezmę jego apartament — oznajmił Thomas.

— Bardzo proszę, monsieur — rzekł szef recepcji, chowając pięciotysięczny banknot.

— A jeśli mój narzeczony jednak przyjedzie...

— To będzie musiał sobie poszukać jakiejś kwatery — przerwał jej Thomas, odciągając ją nieco na bok.

— To nie jest mężczyzna dla pani — szepnął. — Głowę daję. Nie widzi pani w tym ręki opatrności?

Młoda dama wybuchnęła śmiechem.

Pozostali w Monte Carlo dwa dni, po czym pojechali do Cannes, gdzie zatrzymali się w hotelu „Carlton”. Spędzili kilka pięknych dni. Thomas pojechał z Heleną do Nicei, St. Rafael, St. Maxim i St. Tropez. Pływał z nią w morzu, wynajął motorówkę, jeździł na nartach wodnych, wylegiwał się u jej boku na plaży.

Helena śmiała się z tego samego co on, smakowały jej te same co jemu potrawy, lubiła te same książki, te same obrazy.

Gdy po siedmiu dniach została jego kochanką, stwierdziła, że rozumieją się doskonale we wszystkim. A potem stało się... w pierwszej godzinie ósmego dnia...

Helena de Couville leżała na łóżku w swej sypialni. Jej oczy błyszczały wilgocią. Thomas siedział obok niej, głaskając ją po włosach. Palili. W pokoju rozbrzmiewała łagodna muzyka, mrok rozjaśniała tylko jedna mała lampka.

Helena przeciągnęła się i westchnęła.

— Ach, Will, taka jestem szczęśliwa...

Nazywała go Will. Wilfried za bardzo przywodził jej na myśl Wagnera, wyznała.

— Ja też, kochanie, ja też.

— Naprawdę?

W jej skośnych oczach znów pojawił się ów osobliwy, dociekliwy wyraz, którego Thomas nie potrafił sobie wyjaśnić.

— Naprawdę, chérie.

Helena przewróciła się nagle na brzuch, odsłaniając swe prześliczne, złocistobrazowe plecy. Chowając twarz w poduszkę zaniósła się gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

— Oszukiwałam cię! Jestem podła, och jaka jestem podła!

Pozwolił jej się przez chwilę wyplakać, po czym powiedział przytłumionym głosem:

— Jeśli ci chodzi o narzeczonego...

Przewróciła się z powrotem na wznak.

— Bzdura! — zawołała. — Co za narzeczony!? Wcale nie mam narzeczonego! Ach, Thomas, Thomas!

Poczuł, jak jakaś ręka z lodu zaczęła przesuwać się wzdłuż jego grzbietu.

— Co powiedziałaś?

— Że nie mam żadnego narzeczonego.

— Nie o to mi chodzi.

Thomas gorączkowo zbierał myśli.

— Czy powiedziałaś do mnie Thomas?

— Tak — odparła z płaczem, a wielkie łzy pociekły jej po policzkach na szyję i dalej na piersi.

— Oczywiście, że powiedziałam Thomas. Przecież tak masz na imię. Mój ukochany, biedny Thomas Lieven... Ach, dlaczego musiałam trafić akurat na ciebie. Jeszcze nigdy nie byłam tak zakochana...

I znów rozpacz, i nowy potok łez.

— Dlaczego musiałam to zrobić właśnie tobie, właśnie tobie!

— Zrobić? Co zrobić?

— Pracuję dla amerykańskiego wywiadu — wydusiła z siebie Helena z rozpaczą w głosie.

Thomas nie zauważył, że żar papierosa coraz bardziej zbliżał mu się do palców. Długo milczał, w końcu westchnął głęboko.

— O Boże, czyżby wszystko miało się znów zacząć od nowa?

— Nie chciałam ci tego mówić... Nie wolno mi było ci o tym

powiedzieć... Przegonią mnie na cztery wiatry. Ale musiałam wyznać ci prawdę... po tym wieczorze... Nie darowałabym sobie tego...

— Powoli i od samego początku — rzekł Thomas, który z wolna powracał do równowagi. — A zatem jesteś amerykańską agentką?

— Tak.

— Wuj też?

— Tak, to mój zwierzchnik, pułkownik Herrick.

— A Chateau Montenac?

— Wynajęty. Nasi ludzie w Niemczech donieśli, że planujesz jakiś wielki skok. Potem przyjechałeś do Zurychu. Gdy ukazało się twoje ogłoszenie, otrzymaliśmy pełnomocnictwa, by zaoferować ci udział do wysokości stu tysięcy franków...

— Po co?

— Przecież coś się kryło za tym anonsem. Nie wiedzieliśmy co, ale w końcu byśmy na to wpadli. A wtedy mielibyśmy cię w garści. FBI chce cię zwerbować za wszelką cenę. Oszaleli na twoim punkcie!

Znów załała się łzami, które Thomas wycierał jej delikatnie.

— Ale ty zażądałeś 750 000. Musieliśmy zamówić błyskawiczną rozmowę do Waszyngtonu! Wiesz co nam powiedzieli? 750 000! Absurd! Nie chcieli podjąć aż takiego ryzyka, więc nasłali mnie na ciebie...

— Ciebie na mnie — powtórzył bez sensu.

— Dlatego ruszyłam w tę podróż. Wszystko było z góry ukarowane. Ten mechanik w Grenoble...

— Mój Boże, ten też. A ja, dureń, dałem mu jeszcze napiwek!

— ... narzeczony, wszystko, Tommy. Ale ja... po prostu zakochałam się w tobie. Poza tym wiem, że jeśli nie zdecydujesz się dla nas pracować, zlikwidują cię!

Thomas wstał.

— Zostań!

— Wróć, kochanie — powiedział, błędząc myślami gdzie indziej. — Muszę się nad czymś zastanowić... w całkowitym spokoju, jeśli pozwolisz. Bo wiesz, to wszystko już mi się raz kiedyś zdarzyło...

Zostawił pochlipującą Helenę i przeszedł przez salon do swej sypialni. Tu usiadł przy oknie i długo wpatrywał się w ciemność. W końcu podniósł słuchawkę, odczekał aż się zgłosi centrala i powiedział:

— Proszę mnie połączyć z szefem kuchni... co z tego, niech go pani obudzi...

Po pięciu minutach zadzwonił telefon.

— Gaston? Tu Ott. Właśnie los zadał mi druzgocący cios. Potrzebuję czegoś lekkiego, pobudzającego. Niech mi pan przygotuje koktajl pomidorowy i kilka krokietów z sardynek... Dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

A więc, nie ma ucieczki, pomyślał. W roku 1957 mają mnie tak samo w garści, jak mnie mieli w 1939!

Przez otwarte drzwi balkonu Thomas Lieven patrzył na wyludnioną Corniche d'Or i w górę ku nieprzystępnym, obojętnym gwiazdom, błyszczącym nad Morzem Śródziemnym. Odniosł wrażenie, że z aksamitnej ciemności zaczynają się nagle wyłaniać, zbliżać, opadać w dół mężczyźni i kobiety jego przeszłości — fascynujące piękności, zimne jak lód agentki, potężni szefowie koncernów, przebiegli kupcy, pozbawieni wszelkich skrupułów mordercy, przywódcy band, politycy.

Przesunęło mu się przed oczami całe jego dotychczasowe życie, życie pełne przygód i awantur, którego koło właśnie miało się zamknąć. A wszystko zaczęło się tamtego ciepłego dnia, w maju roku 1939...

Księga pierwsza

Rozdział pierwszy

1

24 maja 1939 roku, dwie minuty przed dziesiątą rano, przed domem przy Lombard Street 122 w sercu Londynu zatrzymał się czarny kabriolet marki Bentley.

Z auta wysiadł młody, elegancki pan. Jego opalone ciało, niedbałe ruchy i niesforne kosmyki czarnych włosów na czole pozostawały w osobliwej sprzeczności z pedantycznym ubiorem. Mężczyzna miał na sobie spodnie w szaro-czarne paski z kantami jak ostrze noża, dwurzędową, krótką, czarną marynarkę, czarną kamizelkę ze złotym łańcuszkiem od zegarka, białą koszulę z wysokim, sztywnym kołnierzykiem i perłowszary krawat.

Zanim zamknął drzwi, młody człowiek jeszcze raz schylił się do wnętrza samochodu, sięgając po czarny sztywny kapelusz, parasol i dwie gazety — „Times” oraz drukowany na różowym papierze „Financial Times”.

Tak trzydziestoletni Thomas Lieven przekroczył próg budynku, na którym widniała czarna marmurowa tablica z wykonanym złotymi literami napisem:

MARLOCK & LIEVEN
DOMINION AGENCY

Thomas Lieven był najmłodszym prywatnym bankierem w Londynie. Jego firma prosperowała znakomicie. Tę błyskawiczną karierę zawdzięczał swej inteligencji, zdolności wywierania dobrego, solidnego wrażenia oraz umiejętności prowadzenia podwójnego życia, przy czym jedno różniło się diametralnie od drugiego. Nieskazitelny wygląd zewnętrzny rezerwował Thomas Lieven dla giełdy, jednak poza tym świętym przybytkiem był jednym z najbardziej czarujących (i skutecznych) uwodzicieli. Nikt, a już na pewno nie osoby bezpośrednio zainteresowane, nie miał zielonego pojęcia, że w wolnych chwilach bez

trudności potrafił sprostać czterem kochankom równolegle, był bowiem tyle krzepki, co i dyskretny.

Thomas Lieven potrafił być bardziej sztywny niż najsztynniejszy gentleman londyńskiego city, ale raz w tygodniu balował potajemnie w najgłośniejszym klubie w Soho, a dwa razy w tygodniu brał lekcje jiu-jitsu.

Thomas Lieven kochał życie, a życie chyba kochało jego. Wszystko spadało mu jak z nieba, jeśli tylko udawało mu się zrećźnie zataić swój młody wiek...

Gdy Thomas przekroczył próg banku i z godnością uchylił melonika, Robert E. Marlock, jego partner i współwłaściciel firmy, stał właśnie w hali operacyjnej.

Marlock był od niego o piętnaście lat starszy, wysoki i chudy. Jego jasne, wodniste oczy w nieprzyjemny sposób unikały wzroku każdego, kto chciał w nie spojrzeć.

— Witam — powiedział i jak zwykle odwrócił wzrok od wchodzącego.

— Dzień dobry, Marlock — rzekł Thomas poważnie. — Dzień dobry panom!

Sześciu siedzących za biurkiem urzędników odpowiedziało z równą jak on powagą.

Marlock stał obok metalowego słupka ze szklaną osłoną, pod którą tykał mały mosiężny telegraf, notujący na ciągnącym się w nieskończoność pasku papieru najnowsze kursy giełdowe.

Thomas podszedł do współnika i rzucił okiem na notowania. Ręce Marlocka drżały nieco. Ktoś nieufny mógłby rzec, że są to typowe ręce szulera. Lecz nieufność nie zagościła na razie w pogodnej duszy Thomasa Lievena.

— Kiedy leci pan do Brukseli? — spytał Marlock nerwowo.

— Dziś wieczorem.

— Najwyższy czas. Niech pan spojrzy, jak spadają kursy. To efekt tego cholernego nazistowskiego „Paktu Stalowego”! Czytał pan już gazety, Lieven?

— Owszem — odparł Thomas.

Chętnie używał słowa „owszem”, brzmiało bardziej godnie niż zwykle „tak”.

Tego poranka, 24 maja 1939 roku, gazety zamieściły wiadomość o zawarciu przymierza między Niemcami a Włochami, które nazwano „Paktem Stalowym”.

Przez mroczną, staroświecką halę operacyjną Thomas przeszedł do swego mrocznego, staroświeckiego biura. Chudy Marlock po-

stępował za nim krok w krok, by opaść w końcu na jeden ze skórzanych foteli, stojących za wysokim biurkiem.

Najpierw panowie ustalili, jakie papiery wartościowe miał Thomas kupić, a jakich pozbyć się na kontynencie. Firma Marlock & Lieven miała filię w Brukseli, a Thomas Lieven posiadał poza tym udział w jednym z prywatnych banków w Paryżu. Omówiwszy interesy, Robert E. Marlock odstąpił od swych wieloletnich nawyków i spojrzął swemu partnerowi prosto w oczy.

— Hm, Lieven, mam do pana całkiem prywatną prośbę. Z pewnością przypomina pan sobie Lucie...

Thomas dobrze ją sobie przypominał. Piękna blondynka z Kolonii przez długie lata mieszkała z Marlockiem w Londynie. Potem musiało się zdarzyć coś ważnego — nikt dokładnie nie wiedział co — bo Lucie Brenner nagle, z dnia na dzień, wróciła do Niemiec.

— Przykro mi, że chcę pana tym obarczyć, Lieven — certował się Marlock, ciągle jeszcze, choć z widocznym wysiłkiem, patrząc swemu młodszemu wspólnikowi prosto w oczy — ale pomyślałem sobie, że jeśli pan już będzie w Brukseli, może mógłby pan wyskoczyć do Kolonii i porozmawiać z Lucie.

— Do Kolonii? Dlaczego pan sam nie pojedzie? Przecież pan też jest Niemcem...

— Chętnie wybrałbym się do Niemiec, ale sytuacja międzynarodowa... Poza tym bardzo wówczas dotknąłem Lucie, rozmawiam z panem całkiem szczerze... — Marlock chętnie i często powtarzał, że jest całkiem szczerzy — ... tak, absolutnie szczerze. Poszło o inną kobietę. Lucie miała oczywiste powody, by ode mnie odejść. Niech pan jej powie, że proszę o wybaczenie. Zrobię wszystko, co zechce, tylko niech wróci...

W jego głosie pobrzmiwało teraz owo wzruszenie, które pobrzmiwa w głosie polityków, gdy mówią o swym pragnieniu pokoju.

2

Rankiem 26 maja 1939 roku Thomas Lieven przybył do Kolonii. Przed „Dom-Hotel”, hotelu przy katedrze, powiewały flagi ze swastykami. Na cześć zawarcia „Paktu Stalowego”. Wszędzie roило się od mundurów. Na dywanach hotelowego hallu obcasy oficerów stuknęły o siebie jak strzały z broni palnej.

Na biurku w pokoju stał portret „führera”. Thomas oparł o niego swój powrotny bilet lotniczy, po czym wziął gorącą kąpiel. Następnie ubrał się i zadzwonił do Lucie Brenner.

Gdy ktoś po drugiej stronie odebrał telefon, w słuchawce rozległ się podejrzany trzask, na który jednak Thomas Lieven nie zwrócił uwagi. Superagent z roku 1940 w roku 1939 nie miał jeszcze zielonego pojęcia o istnieniu urządzeń podsłuchowych.

— Brenner, słucham!

Znów usłyszał głęboki, podniecająco ochryply głos, głos, który tak dobrze pamiętał.

— Panno Brenner, tu Lieven. Thomas Lieven. Właśnie przyjechałem do Kolonii i...

Przerwał. Nie zwrócił wprawdzie uwagi na ponowny trzask w słuchawce, skrzętnie zanotował jednak stłumiony okrzyk panny Brenner.

— Czy to okrzyk radości? — zapytał z czarującym uśmiechem.

— O Boże... — usłyszał.

I znów trzask w słuchawce.

— Panno Brenner, Marlock mnie prosił, bym panią odwiedził i...

— Ten łajdak!

— Ależ proszę pani...

— Wstrętny łajdak!

— Panno Brenner, niechże pani posłucha! Marlock chce panią za moim pośrednictwem prosić o przebaczenie. Mogę wpaść do pani?

— Nie!

— Ale obiecałem mu...

— Niech pan stąd ucieka, panie Lieven. Najbliższym pociągiem! Nie ma pan pojęcia, co tu się dzieje!

W słuchawce znów coś trzasnęło, ale Thomas Lieven nie zwrócił na to uwagi.

— Nie, nie, panno Brenner, to pani nie ma pojęcia, co się tu dzieje...

— Panie Lieven...

— Niech pani nie wychodzi z domu. Będę u pani za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę i podciągnął krawat. Dał się ponieść sportowej emocji.

Taksówka zawiozła Thomasa — oczywiście w sztywnym kapeluszu na głowie i ze starannie złożonym parasolem — poza miasto do Lindenthal. Lucie Brenner zajmowała drugie piętro willi przy Beethoven-Park.

Zadzwoił do drzwi, zza których dotarły do niego jakieś przytłumione szepty, kobiece i męskie. Thomas zdziwił się troszkę, ale tylko troszkę. W jego pogodnej duszy nie zadomowiła się jeszcze nieufność.

Drzwi się otwarły i na progu stanęła Lucie Brenner. Miała na sobie porannik i chyba niewiele pod spodem. Była bardzo zdenerwowana.

— Pan jest szalony — powiedziała, ujrzawszy Thomasa.

Potem wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie.

Zza pleców Lucie wyszło dwóch mężczyzn. Byli ubrani w skórzane płaszcze i wyglądali jak rzeźnicy. Jeden z rzeźników odepchnął Lucie brutalnie na bok, drugi złapał Thomasa za kłapy.

Tego już było za wiele. Thomas zapomniał o opanowaniu, spokoju i powściągliwości. Oboma rękami chwycił pięść rzeźnika i obrócił się jak tancerz wokół własnej osi. Wielce zaskoczony rzeźnik zawisł nagle na prawym udzie Thomasa. Wówczas nasz przyjaciel wykonał nieznamy, raptowny skłon. Trzasnął staw. Rzeźnik zawył przeraźliwie, przeleciał ze świstem w powietrzu i wylądował z hukiem na deskach przedsiionka, gdzie legł, skręcając się z bólu. Wreszcie wiem, za co płaciłem moim instruktorom jiu-jitsu, pomyślał Thomas.

— Może teraz pan pozwoli... — rzekł, zwracając się do drugiego z rzeźników.

Jasnowłosa Lucie zapiszczała. Drugi rzeźnik cofnął się o krok i wyjąkał:

— Nniech pan tego nie robi. Nniech pan...

Wyciągnął z ukrytej pod pachą kabury rewolwer.

— Ostrzegam pana. Nniech pan będzie rozsądny.

Thomas zatrzymał się. Tylko idiota walczy gołymi rękami z rzeźnikiem ze spluwą w garści.

— W imieniu prawa — rzekł strachliwy rzeźnik — jest pan arestowany!

— Arestowany? Przez kogo?

— Gestapo.

— Coś takiego! — zdziwił się Thomas Lieven. — A to będzie sensacja, jak o tym opowiem w klubie!

Thomas Lieven kochał swój londyński klub. Z wzajemnością. W każdym czwartek członkowie klubu, siedząc przed trzaskającym w kominku ogniem, ze szklaneczkami whisky w rękach i fajkami w ustach, przysłuchiwali się opowiadanym przez każdego po kolei fantastycznym historiom. Gdy wróce, pomyślał Thomas, też ich uraczę niezłą opowieścią.

Ta historia była naprawdę niezłą, a z czasem miała jeszcze bardziej nabierać rumieńców. No właśnie. Kiedy Thomas będzie mógł zabrać głos w swym klubie, kiedy jego noga znów w nim postanie?

Ciągle jeszcze nie tracił dobrego humoru, siedząc tamtego majowego dnia 1939 roku w biurze „Specjalnego decernatu D” Głównej Kwatery Gestapo w Kolonii. To zwykle nieporozumienie, myślał, za pół godziny stąd wyjdę...

Komisarz, przed którym stanął Thomas, nazywał się Haffner, gruby facet z chytrymi, świńskimi oczkami. Czyścioszek! Bez przerwy czyścił wykałaczkami paznokcie, co chwila sięgając po nową.

— Poinformowano mnie, że pobił pan jednego z naszych ludzi — powiedział Haffner rozsierdzony. — Jeszcze będzie pan tego cholernie żałował, Lieven!

— Dla pana ciągle jeszcze pan Lieven! Czego pan ode mnie chce? Dlaczego zostałem aresztowany?

— Przystępstwo dewizowe — wyjaśnił Haffner. — Długo na pana czekaliśmy.

— Na mnie?

— Albo na pańskiego wspólnika Marlocka. Kazałem śledzić tę Lucie od czasu, jak wróciła z Londynu. Pomyślałem sobie, że prędzej czy później któryś z was, bezczelnych szubrawców, tu się pojawi. A wtedy cap!

Haffner sięgnął po leżącą na biurku teczkę.

— Najlepiej pokażę panu, jakim materiałem obciążającym dysponujemy. Wtedy zamknie pan swą impertynencką gębę.

Ciekawe, bardzo ciekawe, pomyślał Thomas, przerzucając kartki pokazanego segregatora. Po chwili wybuchnął śmiechem.

— Co pana tak śmieszy? — spytał Haffner.

— Wie pan, to piękny numer!

Z dokumentów wynikało, że londyński prywatny bank „Marlock & Lieven” przed kilku laty wywinął Trzeciej Rzeszy ładnego psikus, wykorzystując fakt, że w związku z sytuacją polityczną na zuryckiej giełdzie niemieckie listy zastawne sprzedawano po jednej piątej ich ceny nominalnej.

Firma „Marlock & Lieven”, czy też ktoś, kto się za nią podawał, zakupiła w styczniu, lutym i marcu 1936 roku w Zurychu takie listy zastawne za nielegalnie przelane marki Rzeszy. Następnie jakiś obywatel Szwajcarii, figurant, otrzymał zadanie zakupu bezwartościowych w Niemczech, a tym bardziej wartościowych poza jej granicami obrazów tak zwanej „sztuki zwyrodniałej”. Władze nazistowskie bardzo chętnie godziły się na wywóz tych obrazów. Po pierwsze pozbywały się „niepożądanej” sztuki, po drugie otrzymywały tak potrzebne na finansowanie zbrojeń dewizy, gdyż szwajcarski figurant musiał trzynaście procent sumy zakupu uiścić we frankach szwajcarskich.

Tylko że pozostałą część sumy figurant uregulował — ale to naziści zauważyli dopiero znacznie później — niemieckimi listami zastawnymi, które w ten sposób znów mogły ujrzeć ojczyznę, gdzie miały swą normalną wartość, czyli pięciokrotność sumy, jaką firma „Marlock & Lieven” musiała za nie zapłacić w Zurychu.

To nie ja wywinąłem ten piękny numer, myślał Thomas Lieven, studiując dokumenty. W takim razie mógł to zrobić tylko Marlock. Musiał wiedzieć, że Niemcy go poszukują, a Lucie Brenner jest śledzona. Wiedział też, że zostanie aresztowany, i nikt nie uwierzy w moje tłumaczenia. I że w ten sposób się mnie pozbędzie. O Boże. O miły Boże w niebiesiech!

— Tak — powiedział komisarz Haffner z satysfakcją — to zamknie panu chyba pańską niewyparzoną gębę, co?

Sięgnął po kolejną wykałaczkę, ale tym razem zajął się swymi zębami.

Psiakrew, co robić, myślał Thomas. Po chwili wpadł na pomysł. Wprawdzie nie najlepszy, ale żaden inny nie przychodził mu do głowy.

— Czy mogę zadzwonić? — spytał.

— Do kogo? — spytał Haffner, mrużąc swe świńskie oczka.

Trzeba pójść na całość, pomyślał Thomas, pozostaje tylko ucieczka w przód.

— Do barona von Wiedela.

— Nic mi to nie mówi.

— Do jego ekscelencji Bodo barona von Wiedela — ryknął nagle Thomas — pełnomocnika do specjalnych poruczeń w Ministerstwie Spraw Zagranicznych! Nigdy pan o nim nie słyszał, co?

— Ja... no wie pan...

— Niech pan z łaski swojej wyjmie z ust wykałaczkę, jak pan ze mną rozmawia!

— Co... czego pan chce od pana barona? — wydukał Haffner.

Na ogół miał do czynienia z zastraszonymi obywatelami, nie był przygotowany na kontakt z wrzeszczącymi aresztantami, znajomymi wysokich urzędników państwowych.

— Baron jest moim najlepszym przyjacielem! — szalał Thomas.

Thomas zetknął się z dużo od siebie starszym Wiedelem w roku 1929 w jednej z umiarkowanych korporacji studenckich (nie tolerował pojedynków), ten zaś wprowadził go do kręgów arystokracji. Thomas wykupywał weksle, które baron wystawiał bez pokrycia i w ten sposób zbliżyli się do siebie na płaszczyźnie czysto ludzkiej. Zażyłość skończyła się w chwili, gdy Wiedel wstąpił do NSDAP. Wówczas Thomas zrobił mu piekielną awanturę i zerwał z nim wszelkie kontakty.

Ciekawe, czy Wiedel ma dobrą pamięć, zastanawiał się nasz przyjaciel, nie przerywając wrzaskliwego koncertu.

— Jeśli natychmiast mnie pan z nim nie połączy, może pan sobie od jutra poszukać nowej pracy!

Wszystko skrupiło się na telefonistce. Komisarz przycisnął słuchawkę do ucha i też wrzasnął:

— Dajcie mi MSZ Berlin! Ale migiem, niezdaro!

Jak to wspaniale działa, po prostu wspaniale, pomyślał Thomas, gdy po krótkiej chwili usłyszał głos swego byłego kolegi z korporacji.

— Von Wiedel, słucham...

— Bodo? Tu Lieven, Thomas Lieven, przypominasz mnie sobie jeszcze?

Do jego uszu dotarł gromki śmiech.

— Thomas! Stary, co za niespodzianka! Kiedyś udzieliłeś mi światopoglądowej lekcji, a teraz sam pracujesz w gestapo!

Thomas aż przymknął oczy pod wrażeniem tego nieporozumienia.

— Dziwne — grzmiał nadal wesoły głos barona — Ribbentrop albo Schacht mówił mi ostatnio, że jesteś właścicielem jakiegoś banku w Londynie.

— To fakt, Bodo. Posłuchaj no...

— Ach tak, placówka zagranicą! Dla zmylenia przeciwnika, co? Bo pęknę ze śmiechu! Czyli jednak doszedłeś do wniosku, że miałem rację?

— Bodo...

— Jak daleko zaszedłeś? Mam się do ciebie zwracać per komisarz?

— Bodo...

— Radca kryminalny?

— Pozwól mi wreszcie coś powiedzieć! Nie pracuję w gestapo! Zostałem przez nie aresztowany.

Po tym zdaniu w Berlinie zapanowała chwilowa cisza.

Haffner zamlaskał usatysfakcjonowany, przycisnął ramieniem drugą słuchawkę do ucha i kontynuował czyszczenie paznokcia swego lewego kciuka.

— Bodo! Nie zrozumiałeś mnie?

— Tak, tak, niestety zrozumiałem. Co... Jakie zarzuty ci stawiają?

Thomas przedstawił sprawę.

— Taaak, mój stary, nie wygląda to najlepiej. Nie mogę się w to angażować. Żyjemy w praworządnym państwie. Jeśli naprawdę jesteś niewinny, nic ci się nie stanie. Wszystkiego dobrego. Heil Hitler!

— Pański najlepszy przyjaciel, co? — zarechotał Haffner.

3

Zabrali mu szelki, krawat, sznurowadła, portfel, umiłowanego repetera i zamknęli w pojedynczej celi. Tu Thomas spędził resztę dnia i nocy. Rozmyślał gorączkowo. Przecież musi być jakieś wyjście, musi, musi! Tylko że nie widział żadnego...

Rankiem 27 maja Thomasa Lievena zaprowadzono na kolejne przesłuchanie. W gabinecie Haffnera obok komisarza stał jakiś major Wehrmachtu, blady, zatroskany człowiek. Haffner sprawiał wrażenie rozeźlonego. Wydawało się, że właśnie się z kimś ostro pokłócił.

— To ten człowiek, panie majorze. Zgodnie z rozkazem zostawiam pana z nim sam na sam — powiedział gestapowiec i opuścił pokój.

Oficer uścisnął Thomasowi dłoń.

— Major Loos z Dowództwa Okręgu Wehrmachtu Kolonia. Dzwonił do mnie baron von Wiedel. Mam się panem zająć.

— Zająć się?

— Tak. Przecież jest pan niewinny. Pański wspólnik wystawił pana do wiatru, to jasne.

— Cieszę się — powiedział Thomas, oddychając z ulgą — że doszedł pan do tego wniosku, panie majorze. Czy w takim razie jestem wolny?

— Co to znaczy wolny? Pójdzie pan do więzienia!

Thomas usiadł.

— Ale przecież jestem niewinny!

— Niech pan to wytłumaczy gestapo, panie Lieven. Nie, nie, pański partner dokładnie to sobie wykalkulował.

— Aha.

Thomas spojrział na majora. Coś ma jeszcze w zanadrzu, pomyślał... Nie czekał długo.

— Widzi pan, panie Lieven, ma pan oczywiście jedno wyjście. Jest pan obywatelem niemieckim, człowiekiem na poziomie i jest pan obeznany w świecie. Zna pan biegle angielski i francuski. Tacy ludzie są dziś potrzebni.

— Potrzebni? Komu?

— Nam. Mnie. Jestem oficerem wywiadu wojskowego, panie Lieven. Mogę pana z tego wyciągnąć tylko pod warunkiem, że zgodzi się pan na współpracę z naszym wywiadem. Nawiasem mówiąc, dobrze płacimy...

Major Fritz Loos był pierwszym agentem wywiadu, z jakim Thomas Lieven się spotkał. Pierwszym z nieskończonego szeregu — Anglików, Francuzów, Polaków, Hiszpanów, Amerykanów i Rosjan.

Osiemnaście lat po tym spotkaniu, 18 maja 1957 roku, Thomas Lieven siedział pogrążony w nocnej ciszy swego luksusowego apartamentu w Cannes i rozmyślał: W gruncie rzeczy wszyscy ci ludzie byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Wszyscy sprawiali wrażenie smutnych, zgorzkniałych, zawiedzionych. Wszyscy mieli chyba w jakiś sposób pogmatwane życiorysy, wszyscy wydawali się chorzy. Ponieważ z natury byli nieśmiali, nieustannie otaczali się śmiesznymi atrybutami swej władzy, pysznili się swą tajemniczością i siali postrach. Ciągłe grali komedię i wszyscy cierpieli na głęboki kompleks niższości...

Takie myśli przychodziły Thomasowi Lievenowi do głowy owej pięknej majowej nocy roku 1957. Tylko że 27 maja 1939 jeszcze o tym wszystkim nie wiedział. Dlatego też zaproponowana przez majora Loosa współpraca z Niemieckim Wywiadem Wojskowym wprawiła go w zachwyt. W ten sposób wydobęde się z tego bagna, pomyślał, nie zdając sobie sprawy z tego, jak głęboko już w nim tkwił...

4

Gdy samolot Lufthansy przebił się przez zalegającą nad Londynem niską warstwę chmur, pasażer zajmujący miejsce numer 17 wydał z siebie osobliwy dźwięk, co zwróciło na niego uwagę stewardesy.

— Czy pan się źle czuje, proszę pana? — spytała ze współczuciem, zanim zorientowała się, że pasażer numer 17 nie mógł opanować wesołości.

— Nie, nie, czuję się doskonale — uspokoił ją Thomas Lieven. — Niech pani wybaczy, po prostu przyszło mi do głowy coś śmiesznego.

Powodem jego wesołości była zawiedziona mina funkcjonariusza zawiadującego depozytami w Głównej Kwaterze Gestapo w chwili, gdy wydawał mu zarekwirowane przedmioty. Ciężko przychodziło mu zwłaszcza rozstanie ze złotym repetierem.

Thomas wydobył ukochany zegarek i delikatnie pogładził jego misternie rzeźbione wieczko. Spostrzegł przy tym drobinę farby drukarskiej pod paznokciem swojego palca wskazującego. Znow się

uśmiechnął na myśl, że oto odciski jego palców znajdują się w tajnej kartotece, a zdjęcie w kwestionariuszu osobowym niemieckiego wywiadu.

W jego domu miał się pojutrze pojawić niejaki John Smythe (przez „y” i „th”), żeby sprawdzić piecyk gazowy w łazience. Major Loos stanowczo polecił, by okazać panu Smythe’owi bezwzględne posłuszeństwo.

Pan Smythe — przez „y” i „th” — bardzo się zdziwił, pomyślał Thomas. Jeśli naprawdę się zjawi, wyrzucę go za drzwi!

Samolot tracił wysokość. Kierując się na północny zachód, przeleciał nad Tamizą i podchodził do lądowania na lotnisku Croydon.

Thomas schował zegarek, zatarł ręce i przeciągnął się zadowolony. Znow był w Anglii! Na wolności! Bezpieczny! Teraz tylko wskoczyć do Bentley’a, następnie wziąć gorącą kąpiel, wypić szklaneczkę whisky i zapalić fajkę. A potem nic, tylko do przyjaciół w klubie. Nie uwierzą, nie uwierzą...

No i oczywiście Marlock.

Thomas Lieven tak bardzo się cieszył z powrotu, że jego gniew na partnera znacznie zelżał. Czy naprawdę musiał zrywać z nim spółkę? Może Marlock chował w zanadru jakieś możliwe do przyjęcia wyjaśnienie? Może miał kłopoty? Tak czy siak, najpierw należało go wysłuchać...

Siedem minut później nasz uskrzydłony przyjaciel schodził po podstawionych właśnie schodkach na mokrą od deszczu płytę lotniska przed czworokątnym budynkiem portu lotniczego. Ukryty pod parasolem, podążał pogwizdując w stronę hali przylotów, w której wytyczono linami dwa przejścia. Nad prawym widniał napis „OBYWATELE BRYTYJSKY”, nad lewym „OBCOKRAJOWCY”.

Ciągle jeszcze pogwizdując, Thomas Lieven skierował się ku lewemu przejściu i podszedł do wysokiego pulpitu „Oficera imigracyjnego”.

Urzędnik, starszy człowiek z zabarwionym nikotyną krzaczastym wąsem, wziął do ręki niemiecki paszport, który Thomas podał mu z miłym uśmiechem, przeglądając go i podniósł na niego wzrok.

— Przykro mi, ale nie ma pan już prawa przekroczyć granicy brytyjskiej.

— Co pan wygaduje!?

— Dziś unieważniono pańską wizę pobytową, mister Lieven. Proszę, niech pan pozwoli ze mną, jakichś dwóch panów czeka na pana.

I poszedł przodem...

Oczekujący w kantorku panowie na widok wchodzącego Thomasa podnieśli się z miejsc. Wyglądali jak zatroskani urzędnicy, chorzy na żołądek i niewyspani.

— Morris — przedstawił się pierwszy.

— Lovejoy — zawtórował drugi.

Kogóż oni mi przypominają, zastanawiał się Thomas, ale nie mógł sobie tego uzmysłwić. Był teraz rozeźlony, bardzo rozeźlony, i z niejakim trudem udawało mu się zachować pozory uprzejmości.

— Co to ma znaczyć, panowie? Mieszkam w tym kraju od siedmiu lat i nie dopuściłem się nawet najdrobniejszego wykroczenia.

Człowiek nazwiskiem Lovejoy podał mu jakąś gazetę i wskazał na trzyszpaltowy tytuł:

LONDYŃSKI BANKIER ARESZTOWANY W KOLONII!

— Co z tego? To było przedwczoraj! Dziś jestem tutaj! Niemcy mnie zwolnili!

— No właśnie. Tylko dlaczego? — spytał Morris. — Dlaczegoż to gestapo puszcza wolno dopiero co aresztowanego człowieka?

— Bo okazało się, że jestem niewinny.

— Co pan nie powie? — skwitował szyderczo Lovejoy.

— Coś takiego! — przyłączył się Morris tym samym tonem.

Panowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Jesteśmy z wywiadu — powiedział po chwili Morris z klasyczną wyższością w głosie. — „Secret Service”. Mamy informacje z Kolonii. Pańskie kłamstwa na nic się nie zdadzą.

Już wiem, kogo mi przypominają, pomyślał Thomas nagle. Tamtego bladego majora Loosa! Te same zagrania, ten sam sposób bycia.

— Tym lepiej, że jesteście z „Secret Service”, moi panowie — powiedział z wściekłością. — W takim razie z pewnością was zainteresuje, dlaczego gestapo mnie wypuściło. Otóż wyraziłem gotowość współpracy z Niemieckim Wywiadem Wojskowym.

— Panie Lieven, czy pan naprawdę ma nas za aż tak naiwnych?

Thomas tracił powoli cierpliwość.

— To szczerą prawdą. Szantażowali mnie. Nie czuję się związany tym słowem. Chcę żyć tu sobie w spokoju!

— Chyba sam pan nie wierzy w to, że po takim wyznaniu wpuścimy pana jeszcze do kraju! Został pan oficjalnie pozbawiony prawa pobytu jak każdy obcokrajowiec, który wejdzie w konflikt z naszym prawem.

— Ale ja jestem niewinny! Mój współnik mnie oszukał. Pozwólcie mi chociaż się z nim skontaktować! Przekonacie się, że mówię prawdę!

Morris i Lovejoy znów spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Dlaczego wymieniacie panowie te porozumiewawcze spoj-
rzenia?

— Nie może się pan skontaktować z pańskim współnikiem, panie Lieven.

— Dlaczego?

— Bo opuścił Londyn na sześć tygodni — wyjaśnił Morris.

— Lo-Lo-Londyn?

Thomas zbladł.

— Opu-puścił Londyn?

— Tak jest. Podobno wyjechał do Szkocji, ale nikt nie wie nic konkretnego.

— No więc co mam, do diaska, teraz począć?

— Niech pan wraca do ojczyzny.

— Żeby mnie przymknęli? Przecież wypuścili mnie tylko pod warunkiem podjęcia w Anglii działalności szpiegowskiej!

Agenci znów spojrzeli po sobie. Thomas wiedział, że coś jeszcze chowają w zanadrzu. Nie czekał długo.

— Wydaje mi się — powiedział Morris chłodno i rzeczowo — że ma pan tylko jedno wyjście, panie Lieven. Musi pan pracować dla nas!

O mój ty Boże jedyny. Już widzę, co się będzie działo, jak to opowiem w klubie! Nikt mi nie uwierzy.

— Jeśli podejmie pan z nami grę przeciwko Niemcom, wpuścimy pana do kraju i wesprzemy w sprawie przeciw Marlockowi. Będziemy pana ochraniać.

— Kto będzie mnie ochraniał?

— „Secret Service”.

Thomas wybuchnął krótkim, spazmatycznym śmiechem, ale po chwili spoważniał. Zdał sobie sprawę, że to, co brał za przepyszny żart, niezupełnie na żart się zanosi. I na pewno nie przepyszny. Musiał podjąć walkę i chciał ją podjąć. Nie mógł przecież pozwolić zniszczyć sobie życia.

— Odmawiam, panowie, nie przyjmuję waszej propozycji. Pojadę do Paryża, wynajmę najlepszego francuskiego adwokata i wytoczę proces memu współnikowi... i rządowi brytyjskiemu.

— Na pańskim miejscu nie robiłbym tego, mister Lieven.

— Już podjąłem decyzję.

— Pożałuje pan tego kroku.

— Zobaczymy. Wzbraniam się przed myślą, że cały świat jest jednym wielkim domem wariatów! — powiedział Thomas Lieven.

Rok później już się nie wzbraniał.

Natomiast osiemnaście lat później, gdy pewnej nocy w jednym z luksusowych hoteli w Cannes zastanawiał się nad swym życiem, był już o tym przekonany.

Świat jako jeden wielki dom wariatów — ta myśl wydawała mu się jedyną niezbitą prawdą w tym stuleciu obłędu, jedyną prawdą, na której można się było oprzeć. I należało się oprzeć!

5

28 maja 1939 roku, krótko przed północą, pewien elegancki młody człowiek złożył zamówienie w słynnym wśród smakoszy lokalu „Chez Pierre”, przy Place Graillon w Paryżu.

— Emilu, proszę nam podać jakąś horse d’oeuvre, następnie zupę z szyjek rakowych, po niej filet z polędwicy z pieczarkami, a na deser może coupe Jacques?

Stary, siwowłosy kelner Emil spoglądał na gościa z uśmiechem i nieukrywaną sympatią. Znał Thomasa Lievena od wielu już lat.

Obok młodego mężczyzny siedziała piękna dziewczyna z lśniącymi, czarnymi włosami, wesołymi jak u lalki oczami i owalną twarzą. Młoda dama nazywała się Mimi Chambert.

— Jesteśmy głodni, Emilu! Byliśmy w teatrze, na Szekspirze, z Jean Louisem Barraultem...

— W takim razie zamiast zimnej zakąski polecałbym przed zupą ciepłe bułeczki z łososiem, monsieur. Szekspir jest męczący.

Roześmiali się, po czym stary maitre d’hotel zniknął w kuchni. Lokal mieścił się w długiej, mrocznej sali, urządzonej był staromodnie, lecz przytulnie. Znacznie mniej staromodne wrażenie sprawiała młoda dama.

Biała jedwabna sukienka Mimi była mocno wydekoltowana i bardzo obcisła, młoda aktorka zaś delikatna, drobna i zawsze tryskająca humorem, nawet rano, tuż po przebudzeniu.

Thomas znał Mimi od dwóch lat.

— Ech, Paryż — uśmiechnął się do niej i głęboko wciągnął powietrze — to jedyne miasto, gdzie można jeszcze pożyczyć mon petit chou. Spędzimy tu kilka upojnych tygodni...

— Tak się cieszę, że znów jesteś w dobrym nastroju, chéri! Dziś w nocy byłeś taki niespokojny... Mówiłeś na przemian w trzech różnych

językach, mogłam zrozumieć tylko po francusku... Masz jakieś kłopoty z paszportem?

— Dlaczego?

— Cały czas mającyles coś o wydaleniu z kraju, cofnięciu wiza pobytowej... W Paryżu jest teraz tylu Niemców, którzy mają problemy z paszportami...

Ze wzruszeniem ucałował koniuszki jej palców.

— Nie martw się. Przydarzyła mi się taka głupia historia. To naprawdę nic poważnego!

Mówił cichym, sugestywnym głosem, sam wierzył w swe słowa.

— Wyrządzono mi krzywdę, wiesz, mon chou? Zostałem oszukany. Bezprawie trwa czasem długo, ale nigdy wiecznie. Wziąłem znakomitego adwokata i tę odrobinę czasu, zanim mnie przeproszą, chcę spędzić z tobą...

Podszedł kelner.

— Monsieur Lieven, jakichś dwóch panów chce z panem mówić.

Thomas rozglądnął się wokół, nie podejrzewając niczego złego. Przy wejściu stało dwóch mężczyzn w nie całkiem czystych prochowcach. Skłonili się zakłopotani.

Thomas podniósł się.

— Zaraz wracam, ma petite — bąknął, udając się w stronę wyjścia.

— Czym mogę panom służyć?

Mężczyźni w wyniecionych deszczowcach znów się ukłonili.

— Monsieur — odezwał się w końcu jeden z nich — byliśmy już w mieszkaniu pani Chambert. Jesteśmy z policji kryminalnej. Przykro nam, ale musimy pana aresztować.

— Pod jakim zarzutem? — spytał Thomas cichym głosem.

Właściwie chciało mu się śmiać...

— Dowie się pan na miejscu.

A więc ten koszmar trwa nadal, pomyślał.

— Moi panowie — powiedział uprzejmie — jesteście przecież Francuzami i wiecie, jakim niewybaczalnym grzechem jest zakłócić wykwinne jedzenie. Czy mógłbym panów prosić, byście poczekali z aresztowaniem mnie, zanim nie skończę posiłku?

Policjanci zawahali się.

— Czy możemy skontaktować się z naszym szefem? — spytał któryś.

Thomas pozwolił.

Mężczyzna zniknął w budce telefonicznej, lecz bardzo szybko powrócił.

Menu, 28 maja 1939

Zupa rakowa

Grzanki z łososiem

Połędwica z pieczarkami

Frytki

Puchar à la Jacques

W trakcie tego posiłku Thomas Lieven zostaje szpiegiem.

Zupa rakowa: dwanaście dużych raków — jest to przepis na 4 osoby — gotujemy kwadrans na silnym ogniu. Po ugotowaniu i wystudzeniu wyciągamy mięso z kleszczy i szyjek. Utluczone w moździerzu skorupki smażymy z 1/4 funta masła na patelni, ciągle mieszając. Kiedy masło się zaczerwieni i zburzy, zaciągamy wywar 1 łyżką mąki, dodajemy 1 l rosolu wołowego i przecieramy całość przez gęste sito wyłożone dodatkowo muslinem lub cienkim płótnem. Tuż przed podaniem należy zupę raz jeszcze zagotować i wrzucić do niej mięso z kleszczy i szyjek.

Grzanki z łososiem: cienkie kawałki bułki paryskiej moczymy w mleku. Na tak przygotowanej bułce układamy pokrojone kawałki wędzonego łososia, również uprzednio wymoczonego w mleku. Tak przygotowaną bułkę przykrywamy drugą bułką, po czym układamy grzanki na natłuszczonej blasze, posypujemy je tartym serem i kawałkami masła, a następnie zapiekamy w piekarniku.

Połędwica z pieczarkami: bitki z polędwicy smażymy krótko z obydwu stron na gorącym maśle. Przygotowujemy uprzednio farsz z pieczarek: przesmażamy lekko na maśle 1 cebulę, dodajemy 1/4 l białego wina, 3 żółtka, 1 łyżkę masła, sok z 1/2 cytryny, sól i pieprz. Mieszamy i ubijamy na masę, wstawiając rondel w garnek z gotującą się wodą, tak aby zgęstniała. Osobno dusimy pieczarki i szalotki (młode, małe cebulki) w maśle i 1 szklance białego wina. Z 1 łyżki masła, 1/2 l rosolu, 1 łyżki mąki przygotowujemy zasmażkę, którą zaciągamy pieczarki. Wszystko razem zmieszane zagotowujemy ponownie.

Puchar à la Jacques: porcję lodów waniliowych wkładamy do pucharków na lody i przykrywamy bitą śmietaną. Następnie dodajemy sałatkę owocową (z puszki lub ze świeżych owoców), która winna ciągnąć w likierze wiśniowym przez pół godziny. Na wierzch kładziemy warstwę lodów truskawkowych i dekorujemy śmietaną i kandyzowanymi wiśniami.

— W porządku, monsieur. Szef ma jednak do pana prośbę.

— Słucham.

— Pyta, czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby tu przybył i spożył posiłek w pańskim towarzystwie. Twierdzi, że przy dobrym jedzeniu łatwiej się rozmawia.

— Zgoda. Ale kto jest panów szefem, jeśli wolno spytać?

Policjanci udzielili mu informacji, po czym Thomas wrócił do stolika i skinął na starego kelnera.

— Emilu, oczekuję jeszcze jednego gościa. Niech pan, proszę, nakryje dla trzeciej osoby.

— Kogo się jeszcze spodziewasz? — spytała Mimi z uśmiechem.

— Niejakiego pułkownika Simeona.

— Ach — rzekła Mimi.

Wbrew swemu nawykowi skwitowała informację Thomasa tym jednym jedynym słówkiem.

Pułkownik Jules Simeon okazał się sympatycznym mężczyzną. Swym wypielegnowanym wąsikiem, rzymskim nosem i bystrymi, ironicznymi oczami przypominał aktora Adolphe'a Menjou, choć był od niego wyższy. Thomasa przywitał z wyraźnym szacunkiem, Mimi jak starą znajomą, co naszego przyjaciela nieco zaniepokoiło.

Granatowy garnitur Simeona bez wątpienia wyszedł spod igły pierwszorzędnego krawca, ale już nieco błyszczał na łokciach i plecach. Pułkownik miał też złotą, wysadzaną perłą szpilkę do krawata i także niewielkie spinki do mankietów, ale jednocześnie zdarte obcasy eleganckich butów.

W trakcie spożywania zakąski i zupy rozmawiano o Paryżu. Gdy podano fileta z polędwicy, pułkownik Simeon przeszedł do rzeczy.

— Niech pan wybaczy, monsieur Lieven, że zakłócamy panu spokój w środku nocy i to w dodatku przy jedzeniu. Wspaniałe te chrupki, nie sądzi pan? Otrzymałem rozkaz z góry. Poszukiwałem pana przez cały dzień.

Jakby z oddali do Thomasa dobiegł nagle głos Jeana Louisa Barraulta, który dziś wieczorem wcielił się w postać Ryszarda III Szekspira. Niewyraźnie słyszał jeden z wersetów, ale nie mógł go sobie na razie przypomnieć.

— Tak — powiedział — rzeczywiście wspaniałe chrupki, pułkowniku. Znają tu tę sztuczkę z podwójną kąpielą we wrzącym oleju. No cóż, francuska kuchnia...

Thomas położył rękę na dłoni Mimi. Pułkownik uśmiechnął się. Coraz bardziej podoba mi się ten pułkownik, pomyślał Thomas.

— Ale nie przybył pan chyba do Paryża — podjął temat pułkownik — tylko ze względu na francuską kuchnię? My też mamy swoich ludzi w Kolonii. I w Londynie. Wiemy też, co pana spotkało u szacownego majora Loosa... Czy ciągle jeszcze ma kłopoty z woreczkiem żółciowym?

Thomasowi znów zdało się, że słyszy głos Jeana Louisa Barraulta, znów odniósł wrażenie, że dociera do niego jakiś werset nieśmiertelnego Szekspira, ale nadal nie mógł go zrozumieć.

Dlaczego Mimi się uśmiecha? Dlaczego uśmiecha się tak słodko?

— Zapewniam pana o mojej sympatii do pana, monsieur Lieven — ciągnął pułkownik. — Kocha pan Francję. Kocha pan jej kuchnię. Ale rozkaz to rozkaz. Muszę wydalić pana z Francji, monsieur Lieven. Jest pan zbyt niebezpieczny dla mojego biednego, zagrożonego kraju. Odstawimy pana do granicy, jeszcze dziś w nocy. I nigdy już nie otrzyma pan wizy wjazdowej...

Thomas roześmiał się.

Mimi popatrzyła na niego. Po raz pierwszy, od czasu gdy ją poznał, nie zawtórowała mu natychmiast śmiechem, więc też zamilkł przygaszony.

— ... chyba że... — major zawiesił głos, nakładając na talerz następną pokąsną porcję pieczarek — chyba że zmieni pan front, monsieur Lieven, i będzie pan pracował dla nas, dla „Deuxieme Bureau”.

Thomas wyprostował się. Tak pijany, pomyślał, jeszcze nie jestem!

— Proponuje mi pan — powiedział cicho — współpracę z francuskim wywiadem w obecności mademoiselle Chambert?

— A dlaczegoż by nie, mon chéri — rzekła Mimi czule i pocałowała go w policzek. — Ja też należę do tej firmy!

— Jesteś...

Thomasowi głos uwiązł w gardle.

— Tak. Jestem wprawdzie małym, malutkim pioneczkim, ale jestem. Dorabiam sobie trochę na boku. Gniewasz się?

— Pani Chambert jest najczarowniejszą patriotką, jaką znam — oznajmił pułkownik.

W tym momencie głos, który od dawna prześladował Thomasa Lievena, głos aktora Jeana Louisa Barraulta, zabrzmiał wyraźnie w jego uszach. Teraz Thomas zrozumiał wreszcie słowa, słowa wypowiedane przez króla Ryszarda III:

*„Gdy więc nie mogę jak tkliwy kochanek
W tych dniach uciechy godzin moich spędzać,
Postanowiłem na lotra się zmienić...”*

— A więc, monsieur Lieven — naciskał pułkownik, wznosząc kieliszek z czerwonym winem — czy będzie pan dla nas pracował?

Thomas spojrział na Mimi, na słodką, drobniutką Mimi, potem popatrzył na pułkownika Simeona, mężczyznę o nieskazitelnym manierach, w końcu jego wzrok spoczął na wykwintnym jedzeniu.

Chyba nie mam wyjścia, pomyślał Thomas Lieven. Inaczej sobie ten świat wyobrażałem. Muszę natychmiast zmienić swe dotychczasowe życie. Od zaraz! To jedyna szansa przeżycia w tej kipieli obłędu!

— Ach, chéri — zabrzmiał mu w uszach głos Mimi — bądź miły i przystań do nas. Przeżyjemy piękne chwile!

— Czy podjął już pan decyzję, monsieur? — dotarły do niego słowa Simeona, a głos aktora Jeana Louisa Barraulta grzmiał mu w uszach:

„... *Postanowilem na lotra się zmienić...*”

— Zgadzam się — powiedział Thomas Lieven łagodnie.

6

Najpierw Niemiecki Wywiad Wojskowy. Potem „Secret Service”. Teraz „Deuxieme Bureau”. Wszystko w ciągu 96 godzin. Przed czterema dniami, myślał Thomas, mieszkałem jeszcze w Londynie, byłem szanowanym obywatelem i wziętym prywatnym bankierem. Kto mi w to wszystko uwierzy? W moim klubie wyśmieją mnie, gdy im to opowiem.

Thomas Lieven przejechał swą wąską, delikatną dłonią po krótko przystrzyżonych czarnych włosach i rzekł:

— Moja sytuacja wydaje się beznadziejna, choć nie poważna. Przyjemnie syty, siedzę oto na gruzach mej mieszczańskiej egzystencji. Voila, oto historyczna chwila. Emilu!

Starszy oberkelner pośpieszył do stolika.

— Musimy coś oblać. Szampana, proszę!

Mimi czule ucałowała swego przyjaciela.

— Czy on nie jest słodki? — spytała pułkownika.

— Chylę czoła, monsieur, przed pańską postawą — rzekł Simeon.

— Jestem szczęśliwy, że zgodził się pan na współpracę z nami.

— Nie godzę się na nią, po prostu nie pozostaje mi nic innego.

— To nie ma znaczenia.

— Oczywiście może pan na mnie liczyć tylko na czas trwania mego procesu. Gdy go wygram, wrócę do Londynu. Czy to jasne?

— Absolutnie, monsieur — odparł Simeon i uśmiechnął się, jakby był jasnowidzem i już wiedział, że minie wojna światowa, a Thomas Lieven ciągle jeszcze nie wygra procesu, oraz że nigdy już nie zamieszka w Londynie.

— Nawiasem mówiąc — powiedział Thomas — nie mam pojęcia, czym mógłbym panu służyć.

— Jest pan bankierem.

— Co z tego?

Simeon mrugnął.

— Pani już mnie poinformowała o pańskich sukcesach na tym polu!

— Ależ Mimi — skarcił Thomas drobną aktorkę z błyszczącymi czarnymi włosami i wesołymi oczami — co za niedyskrecja z twojej strony!

— Madame uczyniła to dla dobra narodowej sprawy. Jest czarująca.

— Przypuszczam, że jest pan to w stanie doskonale ocenić, panie pułkowniku!

Simeon i Mimi odpowiedzieli jednocześnie:

— Daję panu oficierskie słowo honoru...

— Ależ chéri, przecież to było dawno... Jeszcze zanim ciebie...

Oboje przerwali też jednocześnie i wybuchnęli śmiechem. Mimi przytuliła się do Thomasa. Naprawdę kochała tego człowieka, który sprawiał tak poważne wrażenie, a potrafił być tak niepoważny, który wyglądał jak prototyp i uosobienie londyńskiego bankiera-gentlemana, a był przy tym bardziej kochany i pełen inwencji niż wszyscy znani Mimi panowie. A znała ich mnóstwo.

— Dawno, zanim pojawiłem się w jej życiu — powiedział Thomas. — Aha. No, no... Trudno... Sądząc po pańskich słowach, panie pułkowniku, mogę się zatem uważać za finansowego doradcę francuskich służb specjalnych?

— Doskonale pan to wyraził, monsieur. Otrzyma pan specjalne zadania.

— Niech pan pozwoli — ciągnął Thomas — że, zanim podadzą szampana, powiem jeszcze kilka słów otwarcie. Otóż, mimo mego stosunkowo młodego wieku, mam już pewne zasady. Jeśli nie dadzą się one pogodzić z moją przyszłą działalnością, to proszę pana, by mnie pan raczej wydalili z kraju.

— Voila, monsieur, jakie to zasady?

— Odmawiam noszenia munduru, panie pułkowniku. Może będzie to dla pana niezrozumiałe, ale nie strzelam też do ludzi. Poza tym nie szantażuję, nie aresztuję i nie torturuję nikogo.

— Ależ monsieur, nie dopuścimy do tego. Szkoda pana na takie drobiazgi!

— Nie szkodzę też nikomu, nie rabuję — chyba że w dozwolonych granicach mojego zawodu — ale też tylko w przypadku, jeśli mój przeciwnik na to zasługuje.

— Niech się pan nie kłopotce, monsieur, będzie pan mógł pozostać wierny swoim zasadom. Interesuje nas wyłącznie pański intelekt.

Emil podał szampana.

Wypili, po czym pułkownik powiedział:

— Jestem wszakże zmuszony obstawać przy tym, żeby wziął pan udział w kursie szkoleniowym dla tajnych agentów. Wymaga tego nasz regulamin. Istnieje wiele wyrafinowanych sztuczek, o których nie ma pan pojęcia. Postaram się, by jak najszybciej znalazł się pan w jednym z naszych specjalnych obozów.

— Tylko nie dziś w nocy, Jules — wtrąciła Mimi i pogłaskała delikatnie dłoń Thomasa Lievena. — Na dzisiejszą noc starczy mu wiedzy...

Wczesnym rankiem 30 maja 1939 roku po Thomasa Lievena przyszło dwóch mężczyzn, ubranych w tanie gotowe garnitury, z wypchanymi na kolanach spodniami. Byli to kiepsko opłacani, podrzędni agenci.

Thomas Lieven miał na sobie czarnoszarą jednorzędówkę w pepitkę, białą koszulę, czarny krawat, czarny kapelusz i czarne buty. Nie zapomniał oczywiście o swym ulubionym repetierze. Oprócz tego zabrał ze sobą tylko niewielką walizeczkę.

Poważni panowie umieścili Thomasa na ciężarówce. Gdy chciał wyjrzeć na zewnątrz, spostrzegł, że plandekę mocno zasznurowano, nie pozostawiając ani szpary.

Po pięciu godzinach jazdy bolały go już wszystkie kości. Gdy ciężarówka wreszcie się zatrzymała i konwojujący go mężczyźni pozwolili mu wysiąść, Thomas znalazł się w niezwykle posępnej okolicy. Usłany odłamkami głazów, pagórkowaty teren ogrodzony był wysokim drutem kolczastym. W tle, na skraju ponurego lasu, Thomas spostrzegł jakiś szary, zaniedbany budynek, a przed wejściem do niego uzbrojonego po zęby żołnierza.

Licho ubrani panowie podeszli do wrogo spoglądającego wartownika, okazując mu mnóstwo różnorodnych dokumentów, które ten studiował z poważną miną. Tymczasem na drodze pojawił się jakiś stary chłop, ciągnąc wyładowany drewnem wózek.

— Daleko to jeszcze, starcze? — zagadnął Thomas.

— Ach, niech to wszyscy diabli. Będzie jeszcze ze trzy kilometry do Saint Nicolas!

— Saint Nicolas?

— Tak, tam w dole, tuż pod Nancy.

— Aha — bąknął Thomas Lieven i zamilkł, bo wrócili właśnie jego opiekunowie.

— Musi pan wybaczyć, że zamknęliśmy pana w ciężarówce. Wyraźny rozkaz. W przeciwnym razie mógłby pan się zorientować, dokąd pana wieziemy, a nie wolno panu w żadnym wypadku dowiedzieć się, gdzie pan jest.

— Aha — mruknął Thomas.

Stary budynek wyposażony był jak trzeciorzędny hotel. Dość ubogo, pomyślał Thomas, nie są chyba zbyt rozrzutni. Albo z forsą u nich krucho. Mam nadzieję, że nie ma tu pcheł. Gdzie to człowieka losy nie rzuca!

Oprócz Thomasa w kursie brało udział jeszcze dwudziestu siedmiu innych agentów, przeważnie Francuzów, ale znalazło się tu także dwóch Austriaków, pięciu Niemców, Polak i Anglik.

Szefem kursu był chudy, bladej cerze, tak tajemniczy i zatroskany, arogancki i niepewny jak jego niemiecki kolega, major Loos, którego Thomas poznał w Kolonii.

— Panowie — powiedział ów człowiek do zebranej grupki agentów — nazywam się Jupiter. Na czas kursu każdy z was będzie się posługiwał fałszywym nazwiskiem. Macie pół godziny czasu na ułożenie sobie odpowiedniego fikcyjnego życiorysu. Tej fikcyjnej tożsamości musicie od tej chwili bronić za wszelką cenę. Ja i moi koledzy zrobimy wszystko, by wam udowodnić, że nie jesteście tymi, za których się podajecie. Wynajdźcie sobie zatem osobowość, którą zdołacie obronić przed naszymi atakami.

Thomas zdecydował się na pospolite nazwisko Adolf Meier. Nigdy nie angażował swej fantazji w przedsięwzięcia nie mające szansy powodzenia.

Po południu otrzymał szare drelichowe ubranie z wyszytym na piersi swym fałszywym nazwiskiem. Inni kursanci zostali wyposażeni w takie same ubrania.

Jedzenie było pod psem, pokój, który mu przydzielono, szkaradny, a pościel grubiańska. Przed snem nasz przyjaciel wielokrotnie z melancholią uruchamiał mechanizm swego ukochanego repetiera, zamykał oczy przy jego dźwiękach i wyobrażał sobie, że leży oto w swym wytwornym łóżku w Londynie. O trzeciej nad ranem jakiś wściekły ryk wyrwał go brutalnie ze snu.

— Lieven! Lieven! Niech się pan wreszcie obudzi, Lieven!

Thomas zerwał się zły potem i zaskrzeczał:

— Słucham!

W odpowiedzi otrzymał dwa soczyste policzki. Przed jego łóżkiem stał Jupiter, szczerząc zęby w demonicznym uśmiechu.

— Myślałem, że nazywa się pan Meier, panie Lieven! — powie-

dział. — Jeśli taka wpadka zdarzyłaby się panu w czasie akcji, już znalazłby się pan na tamtym świecie. Dobranoc. Życzę spokojnego snu.

Thomas nie spał spokojnie. Rozmyślał nad tym, jak uniknąć kolejnego trzaskania po twarzy. Przyszło mu to bez trudu. Następną noc Jupiter mógł wrzeszczeć na całe gardło. Thomas za każdym razem powoli się budził, otrząsał z sennego zamroczenia i niezmiennie obstawał przy swej fałszywej tożsamości.

— Co się pan czepia? Nazywam się Adolf Meier.

— Wykazuje pan fantastyczne opanowanie! — zachwycał się Jupiter, nie zdając sobie sprawy, że Thomas zatykał sobie teraz na noc uszy watą...

Kursanci uczyli się obchodzenia z truciznami, materiałami wybuchowymi, pistoletami maszynowymi i rewolwerami. Ku niepomier-nemu zdumieniu Thomasa, na dziesięć oddanych przez niego strzałów osiem utkwilo w samym centrum tarczy.

— To przypadek — stwierdził. — Nie mam pojęcia o strzelaniu.

— Pan nie umie strzelać, Meier? — śmiech Jupitera brzmiał jak czkawka. — Toż z pana talent czystej wody!

W następnej serii Thomas trafił nawet dziewięciokrotnie w samo centrum tarczy.

— Człowiek sam dla siebie jest zagadką! — skwitował ten fakt wyraźnie poruszony.

Uświadomienie sobie tego faktu nie dało mu spać następnej nocy. Co się ze mną dzieje, myślał. Ktoś, kto jak ja został brutalnie wyrzucony poza nawias swego dotychczasowego życia, powinien właściwie wpaść w rozpacz, zacząć pić, złorzeczyć Bogu, popełnić samobójstwo. Naprawdę! A czy ja jestem zrozpaczony, czy się rozpiłem, zszedłem na psy, złorzeczę albo miewam myśli samobójcze? Bynajmniej.

Przed samym sobą mogę wyznać tę straszną prawdę: Cała ta przygoda zaczyna mnie wciągać, sprawiać mi przyjemność, bawić. Jestem jeszcze młody. Nie związany rodziną. Komuż dane jest przeżyć coś tak zwariowanego!

Francuski wywiad. To znaczy, że podjąłem działalność skierowaną przeciw memu krajowi, przeciw Niemcom. Chwileczkę! Przeciw Niemcom, czy może przeciwko gestapo?

No właśnie.

Ale że umiem strzelać... Niepojęte! Już wiem, dlaczego mnie to wszystko raczej bawi niż przeraża — musi to mieć jakiś związek z wykonywanym przeze mnie dotąd przepowaźnym zawodem. Tam musiałem ciągle przywdziewać różne maski. Przypuszczalnie wszystko

to, co tu się dzieje bardziej odpowiada mojej prawdziwej naturze. Niech to diabli, ależ mam charakter!

Nauczył się operować alfabetem Morse'a i posługiwać tajnym szyfrem. Przyszli agenci ćwiczyli to pod wodzą Jupitera na rozlatujących się egzemplarzach powieści "Hrabia Monte Christo".

— To dziecinnie prosty system — wyjaśnił Jupiter — musicie tylko zawsze mieć przy sobie taką książkę. Założmy, że otrzymujecie zaszyfrowaną wiadomość. Na jej początku pojawiają się zawsze trzy liczby, które będą dla was stanowiły punkt wyjścia. Pierwsza oznaczać będzie numer strony powieści, druga linijkę, trzecia zaś konkretną literę w tej linijce. Od niej począwszy, trzeba wyliczać kolejne litery zaszyfrowanego meldunku...

Jupiter rozdał kartki z zaszyfrowaną treścią.

Połowa kursantów rozszyfrowała je właściwie, reszta nie dała sobie z nią rady. Thomas nie popisał się specjalnie. W wyniku jego zabiegów powstał tekst zaczynający się od "trgnar be rungo a dreff..."

— Jeszcze raz — polecił Jupiter.

Kolejna próba znów podzieliła grupę na prawie równe części.

— Będziemy ćwiczyć choćby przez całą noc — oznajmił Jupiter. I ćwiczyli przez całą noc.

W brzasku poranka zorientowali się, że wśród kursantów rozdzielono przez pomyłkę dwa różne wydania powieści — drugie i czwarte, przy czym w późniejszym poczyniono w stosunku do pierwszego kilka skrótów, te zaś pociągnęły za sobą niewielkie zmiany w układzie stron...

— Coś takiego — wyjąkał Jupiter błąd, choć nadal święcie przekonany o skuteczności swych nauk — jest oczywiście w praktyce wykluczone.

— Oczywiście — zgodził się Thomas.

7

Pewnego wieczoru Jupiter zorganizował wielkie przyjęcie z ogromną ilością alkoholu. Jeden z kursantów, Hänschen Nolle, chłopak z płonącymi oczami, długimi rzęsami i cerą jak krew z mlekiem, wypił ponad miarę i na drugi dzień wyleciał z kursu. Taki sam los spotkał Anglika i jednego z Austriaków. Też te nocy okazało się, że nie są godni bycia tajnymi agentami.

W czwartym tygodniu grupę wywieziono do jakiegoś nieprzystępnego, dzikiego lasu, gdzie spędziła ze swym instruktorem osiem dni.

Spali na gołej, twardej ziemi, skazani na kaprysy pogody, i odżywiali się — ponieważ prowiant, zgodnie z planem, starczył na trzy dni — jagodami, korą, liśćmi i różnymi obrzydliwymi żyłkami. Z wyjątkiem Thomasa, który coś takiego przewidział i przemycił do obozu kilka konserw. Jeszcze czwartego dnia raczył się belgijskim pasztetem z gęsich wątróbek. W czasie, gdy inni kursanci już walczyli ze sobą zaciekle o ćwiartkę polnej myszy, on zachowywał stoicki spokój, czym zasłużył sobie na pochwałę Jupitera.

— Bierzcie przykład z pana Meiera, panowie. Mogę tylko powiedzieć: Voila, un homme, oto jest człowiek!

W szóstym tygodniu Jupiter zaprowadził kursantów na skraj głębokiej przepaści. Przyszli agenci stanęli na stromej skale i spoglądali w przepastną głębię, której dno przesłaniało coś w rodzaju gęstej warstwy pajęczyny.

— Skaczcie! — wrzasnął Jupiter.

Uczniowie cofnęli się z przerażeniem. Wszyscy z wyjątkiem Thomasa. Odpychając kolegów, rozpędził się, krzyknął „hurra” i rzucił się w przepaść. Błyskawicznie doszedł do wniosku, że państwo francuskie nie ponosiłoby chyba tak znacznych nakładów na jego fizyczne i duchowe szkolenie tylko po to, by w końcu popchnąć go do samobójstwa. I nie mylił się — pod cieniutką warstwą gazy piętrzyła się gruba sterta elastycznych materacy, która całkiem złagodziła siłę upadku.

— Jest pan moim najlepszym człowiekiem — zapewniał Jupiter w ekstazie. — Jeszcze świat o panu usłyszy!

On też się nie mylił.

Jedyną przyganę instruktora usłyszał Thomas w trakcie nauki pisania niewidzialnym atramentem, zwanym symapatycznym. Do sporządzenia ukrytego przed niepowołanym okiem pisma nie było bowiem potrzebne nic więcej tylko pióro, sok z cebuli i surowe jajko. Wówczas żądny wiedzy Thomas spytał:

— Do kogo w więzieniu gestapo najlepiej zwrócić się z prośbą o dostarczenie pióra, cebuli i surowego jajka?

Uwieńczenie kursu stanowiło „Wielkie przesłuchanie”. Kursanci zostali o północy brutalnie wyrwani ze snu i zawleczeni przed Trybunał Niemieckiego Wywiadu, który składał się z pracowników ośrodka szkoleniowego pod przewodnictwem Jupitera. Od dawna dobrze im znani instruktorzy siedzieli w niemieckich mundurach za długim stołem. Jupiter przedzierzgnął się w pułkownika. Przebrani instruktorzy wrzeszczeli na kursantów, oślepiali ich jaskrawym światłem mocnych reflektorów i przez

całą noc odmawiali im jadła i napoju, co nie było aż tak uciążliwe, gdyż wszyscy spożyli wieczorem obfitą kolację.

Jupiter wziął Thomasa szczególnie ostro w obroty. Parę razy zdzielił go po gębie, kazał stać twarzą do ściany, przyciskając mu do karku chłodną lufę pistoletu.

— Niech się pan przyzna! — wrzeszczał. — I tak wiemy, że jest pan francuskim agentem!

— Nie mam nic do powiedzenia — odpowiedział Thomas bohatersko.

A więc wsadzono mu kciuki w specjalne zgniatające urządzenie i podkręcano stopniowo śrubę. Gdy tylko Thomas odczuwał najmniejszy ból, wydawał z siebie przeraźliwy dźwięk, więc natychmiast popuszczano śruby. Około szóstej nad ranem został skazany na śmierć za szpiegostwo.

Jupiter wezwał go po raz ostatni, by za cenę życia wyjawił tajemnice wojskowe, ale Thomas splunął przewodniczącemu pod nogi i zawołał.

— Wolę śmierć!!

Tak więc, zgodnie z życzeniem, o brzasku poranka wyprowadzono go na brudny dziedziniec, postawiono pod chłodnym murem i rozstrzelano bez honorów wojskowych, ale za to ślepymi nabojami, po czym wszyscy udali się na śniadanie.

Thomas Lieven ukończył kurs — chyba zbędne jest specjalne podkreślenie tego faktu — z wyróżnieniem. Jupiter ze łzami w oczach wręczał mu odpowiednie zaświadczenie i paszport na nazwisko Jean Leblanc.

— Życzę powodzenia, kolego! Jestem z pana dumny!

— Niech pan powie, Jupiterze — zwrócił się do niego Thomas — teraz, gdy wypuszcza mnie pan ze swych rąk... Czy nie obawia się pan, że mógłbym kiedyś wpaść w łapy Niemców i zdradzić im wszystko, czego się tu nauczyłem?

— Nie szkodzi, przyjacielu — odparł z uśmiechem Jupiter. — Metody szkoleniowe wszystkich wywiadów świata są do siebie podobne! Wszystkie reprezentują ten sam poziom, wszystkie wykorzystują najnowsze zdobycze medycyny, psychologii i techniki!

16 lipca Thomas Lieven wrócił do Paryża, gdzie wpadł w ramiona Mimi, która zachowywała się tak, jakby naprawdę była mu wierna przez te sześć tygodni.

1 sierpnia, dzięki pośrednictwu pułkownika Simeona, Thomas otrzymał komfortowe mieszkanie przy Square du Bois de Boulogne,

skąd w ciągu piętnastu minut można było dotrzeć do jego banku przy Polach Elizejskich.

20 sierpnia Thomas Lieven poprosił pułkownika o zrozumienie, że po trudach ostatnich tygodni, mimo napiętej sytuacji międzynarodowej, chciałby pojechać z Mimi wypocząć do Chantilly, centrum sportu jeździeckiego i ulubionego terenu wypadów paryżan.

30 sierpnia Polska ogłosiła powszechną mobilizację.

Następnego popołudnia Thomas poszedł z Mimi na spacer w okolicę stawów Comelle i zamku królowej Blanche.

Gdy wieczorową porą wracali do miasta, podziwiali krwawoczerwony zachód słońca na horyzoncie. Przechodzili obok romantycznych willi z przełomu wieków i podążali, trzymając się za ręce, po wytartym bruku z kocich łbów w stronę „Hotel du Parc” przy Avenue du Marechal Joffre.

Gdy przekroczyli próg hallu, skinął na nich portier.

— Zaraz będzie dla pana rozmowa z Belfort, monsieur Lieven — poinformował.

Kilka minut później Thomas usłyszał głos pułkownika Simeona. — Lieven, jest pan wreszcie?

Pułkownik mówił po niemiecku, wyjaśniając od razu dlaczego.

— Nie mogę ryzykować, że ktoś mnie w pańskim hotelu zrozumie. Niech pan posłucha, Lieven. Czas dojrzał.

— Wojna?

— Tak.

— Kiedy?

— W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Musi pan przyjechać jutro do Belfort. Najbliższym pociągiem. Niech pan się zgłosi w „Hotel du Tonneau d’Or”. Portier będzie miał dla pana wiadomość. Chodzi o to, że...

W tym momencie połączenie zostało przerwane.

Thomas uderzył kilkakrotnie w widełki aparatu.

— Halo! Halo!

— Monsieur Lieven — rozległ się po chwili szorstki kobiecy głos — został pan rozłączony. Rozmawiał pan w obcym języku.

— To zabronione?

— Tak. Od dziś. Od godziny osiemnastej. Rozmowy zamiejskowe wolno teraz prowadzić tylko po francusku.

Głos zamilkł. Połączenie ponownie przerwano.

Gdy Thomas Lieven wyszedł z kabiny, portier obrzucił go dziwnym spojrzeniem, ale nasz przyjaciel nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Przypomniawszy sobie dopiero, gdy o piątej nad ranem ktoś zapukał do jego pokoju...

Mimi spała zwinęta w kłębek jak kot. Nie zdobył się na to, by jeszcze poprzedniego wieczoru podzielić się z nią swymi najnowszymi wiadomościami. Na zewnątrz już dniało, w starych drzewach śpiewały ptaki.

Znów ktoś zapukał, tym razem mocniej. Przecież to niemożliwe, żeby tak szybko zjawili się tu Niemcy, pomyślał Thomas i postanowił nie reagować.

— Niech pan otworzy, monsieur Lieven — rozległ się jakiś głos — bo wyłamiemy drzwi.

— Kto tam?

— Policja.

Thomas westchnął i podniósł się z łóżka. Mimi obudziła się ze stłumionym krzykiem na ustach.

— Co się dzieje, chéri?

— Coś mi się zdaje, że znów ktoś mnie chce aresztować — odparł.

Nie mylił się. Na progu stał oficer żandarmerii w towarzystwie dwóch policjantów.

— Niech się pan ubierze i pozwoli z nami.

— Z jakiego powodu?

— Jest pan niemieckim szpiegiem.

— Co pana skłania do takiej opinii?

— Przeprowadził pan wczoraj podejrzaną rozmowę telefoniczną. Zostaliśmy powiadomieni przez nasze służby. Poza tym obserwował pana portier, więc niech pan nie zaprzecza.

— Niech pan odeśle na chwilę swych ludzi — rzekł Thomas do żandarma — muszę panu coś zakomunikować.

Policjanci wycofali się, a Thomas okazał oficerowi zaświadczenie i paszport wręczony mu przez Jupitera.

— Pracuję dla francuskiego wywiadu — powiedział.

— Nic lepszego nie przyszło panu do głowy? I to w dodatku z tak kiepsko podrobionymi papierami! Szkoda czasu, niech się pan ubiera!

8

Gdy późnym popołudniem 31 sierpnia 1939 roku Thomas Lieven przybył do byłej twierdzy Belfort nad rzeką Savoureuse, udał się natychmiast taksówką — mijając po drodze Stare Miasto, Place de la Republique i pomnik „Trzech obłąków” — do „Hotel du Tonneau d'Or”.

Był jak zwykle nienagannie ubrany. Na kamizelce połyskiwał złoty łańcuszek starego repetiera.

Pułkownik Simeon czekał już na niego w hallu. Miał teraz na sobie mundur, ale mimo to wyglądał równie sympatycznie jak w cywilu.

— Mój biedny Lieven! Tak mi przykro z powodu tej idiotycznej żandarmerii! Gdy tylko Mimi udało się ze mną w końcu skontaktować, zbeształem niemiłosiernie odpowiedzialnych za tę akcję. No, ale nie stójmy tu, generał Effel już czeka. Czas nagli. Czekaj pana chrzest bojowy, przyjacielu.

Po kwadransie Thomas Lieven zasiadał już w gabinecie generała w budynku Francuskiego Sztabu Generalnego.

Na wszystkich ścianach tego po spartańsku urządzonego pomieszczenia wisiały dokładne wojskowe mapy Francji i Niemiec. Siwowłosey, wysoki i szczupły Louis Effel chodził przed Thomasem Lievenem w tę i z powrotem z rękami założonymi na plecach. Nasz przyjaciel siedział z Simeonem przy małym karcianym stoliku.

— Panie Lieven — rozległ się dźwięczny głos generała — pułkownik Simeon opowiadał mi o panu. Wiem, że mam przed sobą jednego z naszych najlepszych ludzi.

Generał zatrzymał się przy oknie, spoglądając w dół na malowniczą dolinę między Wogezami a Francuską Jurą.

— Nie ma teraz czasu na mydlenie sobie oczu. Pan Hitler rozpoczyna wojnę. Za kilka godzin my także mu ją wypowiemy. Ale...

Generał odwrócił się.

— Francja, panie Lieven, nie jest do tej wojny przygotowana. My, służby specjalne, jeszcze mniej... Chodzi o problem związany z pańską profesją. Niech pan wyjaśni, pułkowniku.

Simeon przełknął ślinę.

— Nasza kasa świeci pustkami, stary przyjacielu!

— Pustkami?

Generał energicznie pokiwał głową.

— Tak jest, mój panie. Nie mamy ani centa, nie licząc śmiesznych przydziałów Ministerstwa Wojny. Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić żadnej szeroko zakrojonej akcji, a takie są teraz potrzebne. Mamy związane ręce i zakneblowane usta. Nie jesteśmy zdolni do jakiegokolwiek działania.

— To przykra sprawa — powiedział Thomas Lieven, broniąc się rozpaczliwie przed atakiem śmiechu. — Niech pan wybaczy, ale nie wydaje się panu, że może byłoby lepiej, gdyby państwo, które nie posiada odpowiednich środków, po prostu nie utrzymywało wywiadu!?

— Nasze państwo dysponowałoby odpowiednimi sumami, by przygotować się na niemiecki atak, ale niestety, monsieur, istnieją we Francji określone koła, które — samolubne i egoistyczne — odmawiają płacenia dodatkowych podatków zagarniając wszystko dla siebie, spekulując i nawet w tej sytuacji wzbogacając się na niedoli naszej ojczyzny.

Generał wyprężył się.

— Wiem — rzekł — że zwracam się do pana w niezwykle trudnej chwili. Zdaję sobie sprawę, że żądam czegoś prawie niemożliwego, mimo to pytam pana: Czy widzi pan jakąś możliwość by jak najszybciej — powtarzam, jak najszybciej — praktycznie od ręki, zdobyć dla nas pokaźne — powtarzam, pokaźne — sumy, które umożliwiłyby nam działanie?

— Muszę się zastanowić, panie generale. Ale nie tutaj.

Thomas spojrział na mapy taktyczne.

— Tu nie przyjdzie mi do głowy nic rozsądnego.

Jego twarz pojaśniała na pewną myśl.

— Jeśli panowie pozwolą, pożegnám ich teraz i udam się do hotelu, gdzie przygotuję niewielką kolacyjkę, przy której możemy omówić wszelkie dalsze kroki.

— Chce pan teraz zabrać się do gotowania? — zapytał osłupiały Louis Effel.

— Jeśli pan pozwoli, generale. W kuchni przychodzą mi do głowy najprzedniejsze pomysły.

Ta pamiętna kolacja miała miejsce wieczorem 31 sierpnia 1939 roku, w specjalnie udostępnionym pokoju najlepszego hotelu w mieście.

— Wyśmienite — ocenił generał po spożyciu dania głównego, wycierając sobie usta serwetką.

— Fantastyczne — orzekł pułkownik.

— Najbardziej smakowała mi zupa ślimakowa. Tak znakomitej jeszcze nie jadłem! — chwalił generał.

— Udzielę panu cennej rady — powiedział Thomas. — Proszę używać tylko dużych ślimaków w starych skorupkach, panie generale. I tylko zasklepionych!

Gdy kelnerzy wnieśli deser, Thomas wstał.

— Dziękuję, sam to zrobię.

Podpalił mały palnik spirytusowy i oznajmił:

— Proponuję krem cytrynowy i specjał z płomienia.

Wyjął z półmiska zaprawione wiśnie, przełożył je do niewielkiego miedzianego rondla i podgrzał na spirytusowym palniku. Następnie

spryskał owoce francuskim koniakiem i jakąś wodnistą ciecżą. Oficerowie przyglądali mu się jak urzeczeni. Pułkownik Simeon nawet uniósł się z krzesła.

— Co to takiego? — spytał generał, wskazując na tajemniczą ciecż.

— Spirytus, stu procentowy alkohol, chemicznie czysty, prosto z apteki. Bez niego wiśnie nie zajęłyby się płomieniem!

Zręcznym ruchem Thomas podpalił owoce. Z sykiem i trzaskiem wykwitł na wiśniach niebieskawy płomień, zadrżał, zamigotał, w końcu zgasł. Nasz przyjaciel sięgnął po czarki i elegancko rozłożył gorące wiśnie na kremie.

— Teraz możemy już przejść do rzeczy — powiedział w końcu. — Wydaje mi się, że znalazłem pewne rozwiązanie.

Łyżeczka generała obita się z brzękiem o czarę.

— Niechże pan mówi, na Boga!

— Panie generale, uskarżał się pan po południu — rzeczywiście niezłe te wiśnie, co? — na zachowanie określonych kręgów, które pragną się wzbogacić nawet na niedoli własnej ojczyzny. Mogę pana uspokoić — takie grupy istnieją w każdym kraju. Ci panowie chcą zarobić. Obojętnie w jaki sposób. Jeśli coś im nie wyjdzie, wycofują kapitał i umykają. A szarzy ludzie zostają.

Thomas zjadł łyżeczkę kremu.

— Chyba odrobinę za kwaśne. Nie? Sprawa gustu. A więc, panowie, wydaje mi się, że postawimy na nogi francuski wywiad właśnie kosztem tych samolubnych, pozbawionych poczucia patriotyzmu pseudoobywateli.

— Ale w jaki sposób? Czego pan potrzebuje?

— Muszę mieć amerykański paszport dyplomatyczny, paszport belgijski i szybką decyzję francuskiego ministra finansów — powiedział skromnie Thomas.

Działo się to wieczorem 31 sierpnia 1939 roku.

10 września 1939 roku prasa i rozgłośnie radiowe ogłosiły następujące zarządzenie:

PRESIDENCE DU CONSEIL

Decret prohibant ou reglementant en temps de guerre, l'exportation des capitaux, les operations de change et le commerce de l'or...

W przekładzie:

Dekret o zakazie lub też reglamentacji wywozu kapitału, wszelkich transakcji wymiennych (wymiany dewiz) oraz handlu złotem na czas wojny.

Menu, 31 sierpnia 1939

Zupa ze ślimaków

Kwaszona kapusta z bażantem i ostrygami

Krem cytrynowy z płonącymi wiśniami

To menu zachwiało polityką finansową Francji.

Zupa ze ślimaków: aby oczyścić ślimaki gotujemy je około godziny w osolonej wodzie, po czym wyciągamy widelcem z muszli, następnie ściągamy czarną skórkę, nacieramy mocno solą, aby usunąć szlam, myjemy kilkakrotnie i dokładnie obsuszamy. Następnie gotujemy około 40 oczyszczonych ślimaków do miękkości, dodając tyle rosolu ile chcemy mieć zupy. Podgotowujemy ją kilkakrotnie z gałką muszkatolową i po zastawieniu z ognia zaciągamy żółtkami, po czym wrzucamy grzanki z białej bułki i pozostałe niepokrojone ślimaki.

Kwaszona kapusta, bażant i ostrygi: przygotowujemy bażanta do pieczenia, po czym wkładamy do rondla 2 funty kwaszonej kapusty dobrze wyciśniętej. Dolcujemy tyle białego wina i wody, aby kapusta była przykryta. Na kapustę ścieramy jedną cebulę i kawałek słoninki. Kapustę gotujemy godzinę, po czym wkładamy do niej oczyszczonego bażanta i dusimy go, a kapustę zaciągamy sosem beszamelowym. Ostrygi czyścimy z wąsów, wysuszamy szmatką, nacieramy solą i pieprzem, obtaczamy w mące, panierujemy w jajku i tartej bulce i pieczemy na maśle krótko, na jasnobrązowy kolor. Bażanta porcjujemy i układamy na środku półmiska, robimy wokół wieniec z kwaśnej kapusty i dekorujemy ostrygami.

Krem cytrynowy: na krem dla 4 osób należy wziąć 4 cytryny, pociąć je na grube plastry i gotować z cukrem. Ten ekstrakt zaciągamy lekko mączką kukurydzianą, a gdy ostygnie przecieramy go przez sito i mieszamy z przygotowaną bitą pianą z 5 białek i uzyskanym kremem napełniamy kieliszki do szampana. W końcu podgrzewamy wiśnie własnej roboty, podlewając je wiśniówką lub koniakiem i po podpaleniu układamy je na wierzchu cytrynowego kremu.

Artykuł 1

Zabrania się wywozu kapitału, niezależnie od jego formy, z wyjątkiem jednorazowych zezwoleń ministra finansów.

Artykuł 2

Wszelkie operacje dewizowe, na które uzyskano zezwolenie muszą być dokonywane za pośrednictwem Banque de France lub innego banku uprawnionego przez ministra finansów...

Po tym następowały kolejne postanowienia dotyczące złota i dewiz, w końcu ostrzeżenie o drakońskich karach w przypadku nie stosowania się do zarządzenia.

Dekret podpisały następujące osobistości:

Albert Lebrun, prezydent

Edouard Daladier, premier rządu francuskiego

Paul Marchendeau, strażnik pieczęci

Georges Bonnet, minister spraw zagranicznych

Albert Sarraut, minister spraw wewnętrznych

Paul Reynaud, minister finansów

Fernand Gentin, minister handlu

Raymond Patenotre, minister gospodarki

Georges Mandel, minister d/ s terytoriów zamorskich

Jules Julien, minister poczty i telefonów

9

12 września 1939 roku, pociągiem pośpiesznym wyjeżdżającym z Paryża o godzinie ósmej trzydzieści pięć, udawał się do Brukseli pewien młody amerykański dyplomata. Ubrany był jak angielski prywatny bankier i miał ze sobą wielką, czarną walizę ze świńskiej skóry.

Kontrole na granicy francusko-belgijskiej były bardzo ostre i skrupulatne. Funkcjonariusze po obu stronach zidentyfikowali młodego człowieka na podstawie jego dyplomatycznego paszportu, który rozkładał się jak harmonijka. Podróżnym był niejaki William S. Murphy, oficjalny kurier ambasady amerykańskiej w Paryżu. Jego bagaż nie został poddany kontroli.

W Brukseli amerykański kurier, który w rzeczywistości był Niemcem i nazywał się Thomas Lieven, zatrzymał się w „Hotel Royal”. W recepcji okazał paszport belgijski wystawiony na nazwisko Armand Deecken.

W ciągu kilku następnych dni Deecken alias Murphy alias Lieven zakupił w Brukseli dolary za sumę trzech milionów francuskich franków. Owe trzy miliony wyjął z czarnej walizki ze świńskiej skóry, by schować w niej zakupione dolary.

Stanowiące kapitał podstawowy trzy miliony franków zostały wypłacone z własnego, niewielkiego banku Thomasa Lievena. Poczul się zobowiązany oddać je do dyspozycji „Deuxieme Bureau” jako zaliczkę...

W związku z sytuacją polityczną wartość franka na międzynarodowym rynku walutowym spadła o dwadzieścia procent. We Francji bogaci ludzie w panicznym strachu przed dalszym spadkiem kursu pozbywali się franków, usiłując zakupić za nie dolary. Dlatego dolar w ciągu kilku godzin osiągnął tam astronomiczne notowania.

Ale w Brukseli nie. Tu można było zakupić dolara po znacznie niższym kursie. Belgów nie ogarnęła bowiem francuska gorączka wojenna. Twardo wierzyli w swą neutralność, nie wierzyli natomiast absolutnie w to, że Niemcy mogłyby pod jakimkolwiek pozorem znów na nich napaść.

W rezultacie szybkiej decyzji rządu francuskiego zabraniającej wywozu kapitału, nastąpiło zahamowanie napływu franka za granicę, przez co — zgodnie z prognozą Thomasa — utrzymał on względnie stały kurs. Ten stały kurs był poniekąd osią całej operacji...

Z walizką pełną dolarów Thomas Lieven alias William S. Murphy wrócił do Paryża. W ciągu kilku godzin wyrwano mu z ręki owe cenne dewizy. Dokonali tego bogaci obywatele Francji, których niewiele obchodziły losy kraju, ale chcieli jak najszybciej i za wszelką cenę uchronić swe majątki. Za tę podłą postawę musieli zapłacić w dwójnasób, nawet trójnasób. Thomas działał chłodno i z wyrachowaniem.

Na pierwszej wyprawie nasz przyjaciel zarobił 600 000 franków. Teraz William S. Murphy wrócił do Brukseli z pięcioma milionami franków w dyplomatycznym bagażu i powtórzył operację. Zysk wzrastał. Po tygodniu już czterech panów z paszportami dyplomatycznymi podróżowało między Paryżem a Brukselą oraz między Paryżem a Zurychem. Wywozili franki, wwozili zaś dolary. Po dwóch tygodniach było ich już ośmiu.

Thomas Lieven nadal czuwał nad całością akcji. Dzięki swym kontaktom dbał o to, by w Brukseli i Zurychu nigdy nie brakowało „towaru”. Przedsięwzięcie przynosiło miliony franków zysku.

Smutne oczy oficerów francuskiego wywiadu rozjaśniał już wilgotny promyk nadziei. Coraz większe sumy przelewane przez Thomasa na odpowiednie konta nadawały ich twarzom dziwny wyraz, który można by określić jako mieszaninę niedowierzania i wdzięczności.

Między 12 września 1939 roku a 19 maja 1940, czyli do dnia niemieckiej napaści na Belgię obrót Thomasa Lievena wyniósł 80 milionów franków. Ponieważ od zysku odliczał koszty własne oraz 10

procent swego własnego zarobku, a uzyskane w ten sposób sumy natychmiast lokował w walucie amerykańskiej, pozostało mu 2 730 dolarów. Żadnej poważnej wpadki nie zanotowano, wspomnieć by można jedynie o pewnym drobnym incydencie...

2 stycznia 1940 roku Thomas Lieven wracał wieczornym pociągiem z Brukseli do Londynu. Sam już stracił rachubę i nie wiedział, po raz który pokonywał tę trasę. Na stacji granicznej Feignies pociąg zatrzymał się dłużej niż zwykle. Lekko zaniepokojony Thomas chciał właśnie zapytać o przyczynę nieoczekiwanego postoju, gdy drzwi przedziału otwały się i do środka wetknął głowę szef francuskiej służby granicznej, wysoki mężczyzna, którego Thomas nie raz już widział na granicy.

— Monsieur — odezwał się suchym tonem — niech pan lepiej wysiądzie, wypije ze mną butelkę wina i pojedzie następnym pociągiem.

— A to niby dlaczego?

— Ten pociąg czeka na amerykańskiego ambasadora w Paryżu. Jego ekscelencja miał tu w okolicy niegroźny wypadek i uszkodził samochód. Zarezerwowaliśmy dla niego przedział obok. Będzie w towarzystwie trzech pracowników ambasady... Widzi pan, monsieur, naprawdę lepiej będzie, jeśli poczeka pan na następny pociąg. Niech pan pozwoli, że panu pomogę przenieść tę ciężką walizę...

— Skąd pan wiedział? — spytał Thomas po pięciu minutach.

Zwalisty policjant machnął ręką.

— Przecież za każdym razem jest nam pan awizowany przez pułkownika Simeona. Mamy mieć na pana szczególne baczenie!

Thomas wyjął portfel.

— Czy przyjmie pan niewielką...

— Ach nie, monsieur! Uczyniłem to z sympatii! Nic za to nie chcę! Choć może... Jest nas tu szesnastu, a ostatnio bardzo rzadko bywa kawa i papierosy...

— Gdy będę znów jechał do Brukseli...

— Chwileczkę, monsieur, to nie takie proste! Musimy uważać, żeby nie dorwały nas te cepy z cła. Następnym razem, ale tylko, jeśli będzie pan jechał nocnym pociągiem, proszę stanąć w przedsiönku pierwszej klasy, na przodzie wagonu. I niech pan trzyma paczkę w ręce. Któryś z moich ludzi wskoczy...

Powtarzali tę operację dwa do trzech razy w tygodniu. W całej Francji nie było tak dobrze zaopatrzonego posterunku policji granicznej jak w Feignies. „Zwykli ludzie, dobrzy ludzie”, zwykły mawiać Thomas Lieven...

10

Generał Effel zaproponował mu order, ale Thomas odmówił.

— Jestem zatwardziałym cywilem, panie generale. Nie lubię tych rzeczy.

— Więc może ma pan jakieś inne życzenie, monsieur Lieven?

— Gdyby mógł mi pan załatwić pewną ilość czystych blankietów francuskich paszportów, panie generale... I odpowiednie pieczętki. W Paryżu mieszka tylu Niemców, którzy będą musieli natychmiast zniknąć, gdy wkroczą tu faszyci. Nie mają środków na sfinansowanie ucieczki. Chętnie bym pomógł tym nieszczęśnikom.

Generał milczał przez chwilę.

— Choć to ciężka sprawa — rzekł po chwili — cenię pańskie intencje i spełnię to życzenie.

Od tego czasu piękne mieszkanie Thomasa Lievena przy Square de Bois de Boulogne odwiedzało wielu gości. Thomas nie przyjmował żadnych pieniędzy, dostawali fałszywe paszporty za darmo. Jedynym warunkiem był fakt, że rzeczywiście groziło im więzienie lub śmierć ze strony nazistów.

Thomas nazywał to „zabawą w konsulacie” i chętnie się w nią bawił. Najpierw odebrał bogaczom majątki, teraz rozdawał je biednym.

Ale Niemcom się nie śpieszyło. Francuzi mówili o tej osobiwej wojnie „drole guerre”, dziwna wojna.

Thomas Lieven ciągle jeszcze krążył między Paryżem, Brukselą i Zurychem. W marcu 1940 roku wrócił kiedyś do domu jeden dzień wcześniej niż przewidywał. Już od dawna mieszkał z Mimi, więc dziewczyna знаła zawsze dokładnie czas jego powrotu. Tym razem zapomniał ją uprzedzić, że wróci wcześniej.

Zaskoczę to moje małżeństwo, pomyślał sobie. I rzeczywiście ją zaskoczył — w ramionach czarującego pułkownika Julesa Simeona.

— Monsieur, biorę całą winę na siebie — oznajmił pułkownik, zajęty zapinaniem ogromnej ilości guzików swego munduru. Uwiodłem Mimi. Nadużyłem pańskiego zaufania. Nie ma na to usprawiedliwienia. Pan wybiera rodzaj broni.

— Niech się pan stąd wynosi i nigdy się tu nie pojawia!

Twarz Simeona nabrała intensywnej truskawkowej barwy. Zagryzł wargi i wyszedł.

— Byłeś bardzo grubiański! — odezwała się Mimi nieśmiało.

— Kochasz go, co?

— Kocham was obu. On jest taki odważny i romantyczny, ty zaś... ty jesteś sprytny i wesoły!

— Ach, Mimi, i co ja mam teraz z tobą zrobić? — spytał Thomas przygnębiony, siadając na krawędzi łóżka.

Nagle uświadomił sobie, że bardzo ją polubił...

10 maja ruszyła niemiecka ofensywa. Złudzenia Belgów przysły jak bańka mydlana. Zostali napadnięci po raz drugi.

Niemcy rzucił do walki 190 dywizji. Po stronie przeciwnej stanęło 12 dywizji holenderskich, 23 belgijskie, 10 brytyjskich, 78 francuskich i 1 polska. Siły sprzymierzone dysponowały ogółem 850 samolotami, Niemcy mieli ich 4500.

Armia niemiecka posuwała się naprzód w zawrotnym tempie. Wybuchła panika. Dziesięć milionów Francuzów ruszyło na żalną wędrownkę.

W Paryżu Thomas Lieven z całym spokojem likwidował swój dobytek. Gdy wystawiał rodakom ostatnie paszporty, do jego uszu dochodził już głuchy odgłos dział.

Starannie liczył i układał sterty franków, dolarów i funtów, po czym oklejał je banderolami i pakował do walizki z podwójnym dnem. Pomagała mu Mimi. Nie wyglądała wówczas najlepiej. Thomas był uprzejmy, lecz chłodny. Nie mógł przeboleć sprawy pułkownika Simeona.

Na zewnątrz kipiał optymizmem.

— Według ostatnich doniesień Niemcy podążają z północy na wschód — powiedział — więc my przekąsimy coś tylko i opuścimy Paryż, udając się na południowy zachód. Benzyny mamy pod dostatkiem. Pojedziemy przez Le Mans, potem w dół do Bordeaux i...

Przerwał.

— Płaczesz? — spytał po chwili.

— To jednak zabierzesz mnie ze sobą? — szlochała Mimi.

— No... tak, oczywiście. Przecież nie mogę cię tu zostawić.

— Ale przecież cię zdradziłam...

— Moje dziecko — rzekł z godnością — żeby mnie zdradzić, musiałabyś się zadać przynajmniej z Winstonem Churchillem!

— Ach, Thomas... jesteś wspaniały. A... czy jemu też przebaczysz?

— To prostsze niż w twoim przypadku. Nie dziwię mu się, że cię kocha.

— Thomas...

— Tak?

— On jest w ogrodzie.

— Co mu strzeliło do głowy? — oburzył się nasz przyjaciel.

— Jest taki zrozpaczony. Nie wie, co ma z sobą począć. Właśnie

wrócił z podróży służbowej, ale nie zastał już nikogo ze swych ludzi. Jest sam jak palec, bez samochodu, bez benzyny...

— Skąd wiesz?

— Bo... powiedział mi. Przyszedł tu przed godziną. Obiecałam mu, że z tobą pomówię...

— To się w głowie nie mieści — powiedział Thomas, by po chwili wybuchnąć śmiechem.

Uśmieł się do też.

11

Po południu 13 czerwca 1940 roku ciężki czarny chrysler przejeżdżał przez paryskie przedmieście Saint-Cloud, zmierzając ku południowemu zachodowi. Jechał wolno, gdyż wraz z nim, w tym samym kierunku, podążał niezliczony ciąg turkoczących i postukujących pojazdów — kolumny uciekinierów z Paryża.

Na prawym błotniku czarnego chryslera powiewał proporczyk Stanów Zjednoczonych Ameryki. Cały dach samochodu pokrywał średniej wielkości gwiazdzisty sztandar, a na zderzakach błyszcząły tablice rejestracyjne z jaśniejącą w słońcu, bo wyczyszczoną na wysoki połysk, tabliczką z literami CD.

Za kierownicą auta siedział Thomas Lieven, obok niego Mimi Chambert, a na tylnym siedzeniu, między kartonami na kapelusze i walizki, pułkownik Jules Simeon. Ubrany był znów w swój niegdyś elegancki, lekko znoszony granatowy garnitur, znów miał złote spinki do mankietów i złotą szpilkę do krawata. Patrzył na Thomasa z mieszaniną wdzięczności, wstydu i zakłopotania.

Ten zaś próbował rozładować napiętą atmosferę napawającymi otuchą uwagami.

— Nasza dobra gwiazda nas ustrzeże — powiedział, spoglądając na gwiazdzisty proporzec — choć może lepiej byłoby powiedzieć nasze czterdzieści dwie gwiazdy!

— Uciekam jak tchórz — odezwał się tępym głosem pułkownik. — Powinienem zostać w Paryżu i walczyć!

— Jules — uspokajała go Mimi — przecież wojnę dawno już przegraliśmy. Gdyby cię złapali, postawiliby cię pod mur.

— Byłoby to bardziej honorowe wyjście — upierał się pułkownik.

— I głupsze — wtrącił Thomas. — Jestem ciekaw, jak się ten obłąd rozwinie. Jestem naprawdę bardzo ciekaw!

— Jeśli wpadnie pan Niemcom w ręce, też pan skończy pod ścianą — rzekł pułkownik.

— Niemcy — wyjaśnił Thomas, skręcając w jakąś mniej zatłoczoną, boczną drogę i wjeżdżając w zagajnik — zacisnęli w trzech czwartych pierścieni wokół Paryża. Jedyne nie kontrolowane jeszcze odcinek to rejon między Wersalem a Corbeil. Tu właśnie jesteśmy.

— A jeśli zdążyli zająć także te tereny?

— Niech mi pan zaufa. Na tej nie posiadającej strategicznego znaczenia bocznej drodze i w tym rejonie nie ma Niemców. Ani jednego.

Las się skończył, otwierając widok na płaską równinę. Po nie mającej strategicznego znaczenia drodze ciągnęła prosto na nich długa kolumna niemieckich bojowych wozów zwiadowczych z wymalowanymi na nich swastykami.

Mimi krzyknęła.

Pułkownik Simeon jęknął głucho.

— Cóż oni tu robią? — zdziwił się Thomas. — Musieli pomylić drogę...

— Wszystko stracone — rzekł błąd jak ściana pułkownik.

— Znow pan zaczyna?! Po co mnie pan denerwuje?!

— Mam w teczce tajne akta i listy nazwisk wszystkich francuskich agentów.

Thomas zachłysnął się powietrzem.

— Czy pan zwariował? Po co pan wlecze ze sobą tę makulaturę?

— Otrzymałem rozkaz od generała Effela! — zawołał pułkownik podniesionym głosem. — Mam za wszelką cenę dostarczyć te listy do Tuluzy i przekazać je tam pewnej osobistości. Za wszelką cenę!

— Nie mógł pan tego powiedzieć wcześniej? — wrzasnął na niego Thomas.

— Gdybym to uczynił, nie zabrałby mnie pan ze sobą.

Thomas roześmiał się.

— No cóż, ma pan rację!

W minutę później spotkali się z niemiecką kolumną.

— Mam pistolet — wyszeptał pułkownik — póki żyję, nikt nie dotknie mojej teczki.

— Ci panowie chętnie poczekają tę chwilę — powiedział Thomas i wyłączył silnik.

Zakurzeni niemieccy żołnierze podeszli zaciekawieni bliżej. Z łazika wysiadł szczupły blondyn z dystynkcjami porucznika. Podeszedł do chryslera, przytknął dłoń do daszka czapki i powiedział.

— Dzień dobry. Czy mogę prosić dokumenty państwa?

Mimi siedziała jak sparalizowana. Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Teraz żołnierze otoczyli już chryslera ze wszystkich stron.

— It's okay! — rzekł Thomas wyniośle. — We are Americans, see?

— I can see the flags — odparł jasnowłosy porucznik nieskazitelną angielszczyzną. — And now I want to see your papers!

— Here you are — powiedział Thomas i podał papiery.

Porucznik Fritz Egmont Zumbusch rozciągnął amerykański paszport dyplomatyczny jak harmonijkę. Zmarszczywszy czoło studiował przez chwilę dokument, po czym spojrzął na młodego, eleganckiego mężczyznę, który — niepomiernie wyniosły i znudzony — siedział za kierownicą ciężkiego czarnego auta.

— Your name is William S. Murphy? — spytał rudawy Zumbusch.

— Yes — odparł młody człowiek i ziewnął, zasłaniając sobie jednak usta w geście dobrego wychowania.

Jeśli nie jest się Williamem S. Murphy, lecz Thomasem Lievenem, który jako agent figuruje na czarnej liście niemieckiego wywiadu, a do tego wpadło się w dziwny sposób w sam środek kolumny wozów zwiadowczych niemieckiego Wehrmachtu, jeśli podróżuje się w towarzystwie francuskiej przyjaciółki i wysokiego oficera francuskiego „Deuxieme Bureau”, jeśli poza tym ma się świadomość faktu, że ów francuski oficer chowa w czarnej skórzanej teczce tajne akta i wykaz nazwisk wszystkich francuskich agentów — no cóż, wówczas nie ma lepszego wyjścia, jak tylko udawać kompletnie zblazowanego i znudzonego!

Porucznik Zumbusch z wymuszoną uprzejmością zwrócił po chwili dyplomatyczny paszport Thomasa. Bądź co bądź, owego upalnego 13 czerwca 1940 roku Stany Zjednoczone były jeszcze neutralne, a Zumbusch nie miał ochoty wdawać się w jakieś nieprzyjemne afery, gdy od Paryża dzieliło go już tylko dwadzieścia jeden kilometrów. No, ale ożenił się nieszczęśliwie, więc skwapliwie został żołnierzem. Dlatego też, świadomy swych obowiązków, zwrócił się do Mimi:

— Pani paszport proszę!

Czarnowłosa, śliczna Mimi nie zrozumiała wprawdzie ani słowa, ale pojęła o co mu chodzi, więc otworzyła torebkę i podała mu paszport. Otaczającym samochód żołnierzom posłała zaś uśmiech, który natychmiast wywołał pełen podziwu pomruk.

— My secretary — wyjaśnił Thomas porucznikowi.

Tylko tak dalej, pomyślał. Jeszcze tylko Simeon i mamy to z głowy. W następnej chwili wydarzyła się katastrofa.

Porucznik Zimbusch wetknął głowę przez okno samochodu, by zwrócić Mimi paszport, po czym zwrócił się do Simeona, który — z czarną teczką na kolanach — siedział na tylnym siedzeniu między pudłami na kapelusze i walizkami.

Być może Zimbusch wykonał zbyt gwałtowny ruch wyciągając rękę, w każdym razie pułkownik Simeon cofnął się przed nastającą na niego teutońską ręką i z fanatycznym wyrazem twarzy chrześcijańskiego męczennika przycisnął teczkę do piersi.

— Patrzcie, patrzcie — zdziwił się Zimbusch — cóż pan tam chowa? Niechże no pan pokaże.

— Non, non, non — zawołał pułkownik.

Thomas chciał się wtrącić, lecz nagle poczuł w ustach łokieć Zimbuscha. W końcu chrysler nie jest wesołym miasteczkiem.

Mimi zaczęła pisać, zaś Zimbusch uderzył głową o dach samochodu i zaklął siarczyście. Gdy Thomas odwrócił się w końcu, dzwignia biegów trafiła go w bardzo wrażliwe miejsce. W kolano.

Ten idiotyczny bohater, pomyślał Thomas Lieven rozeźlony, po czym ku swemu bezmiernemu przerażeniu spostrzegł w ręce pułkownika wojskowy francuski pistolet.

— Ręka precz, bo strzelać! — wykrztusił Simeon.

— Ty ośle — krzyknął Thomas.

Nieomal zwichnął sobie rękę, podbijając do góry dłoń Simeona. Rozległ się grzmot strzału, lecz kula przebiła tylko dach samochodu.

Thomas wyrwał Simeonowi broń i powiedział do niego po francusku ze złością:

— Z panem same kłopoty!

W tym czasie porucznik Zimbusch otworzył gwałtownie drzwi auta i ryknął na Thomasa:

— Wysiadać!

Thomas wysiadł z ujmującym uśmiechem. Teraz także porucznik ścisnął w garści pistolet. Otaczał ich nieruchomy krąg żołnierzy z bronią gotową do strzału. Zrobiło się nagle cicho, bardzo cicho.

Thomas wyrzucił broń Simeona w zboże, potem, z uniesionymi brwiami, spojrzał w wyloty luf piętnastu skierowanych nań pistoletów.

Nie ma rady, pomyślał, muszę uderzyć w nasz narodowy kompleks, w naszą ślepą uległość wobec autorytetów. Wciągnął głęboko powietrze i wrzasnął na Zimbuscha łamaną niemczyzną:

— Ten pan i ta pani być pod moja opieka. Mój auto nosi flagę Stanów Zjednoczonych.

— Wyłączyć, bo strzelam! — zawołał Zimbusch do cywilnego pułkownika Simeona, który siedział błąd na tylnym siedzeniu.

— Niech się pan nie rusza! — polecił Thomas, po czym zwrócił się do Niemca: — Ten auto jest eksterytorialne! — krzyknął, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy. — Kto siedzi w to auto, ten siedzi w terytorium Stanów Zjednoczonych!

— Mam to gdzieś...

— Okay, okay. Z tego wynika, że chce pan sprowokować incydent o charakter międzynarodowy! Z powodu taki incydent przystąpiliśmy do Pierwszej Wojny Światowej!

— Nie chcę nic sprowokować. Wypełniam tylko swoje obowiązki! Ten człowiek może być francuskim agentem!

— Myśli pan, że on wtedy by się tak idiotycznie zachował?

— Teczkę, no już. Chcę wiedzieć, co w niej jest!

— To bagaż dyplomatyczny, znajduje się pod międzynarodową ochroną! Złożę skargę u pańskich przełożeni!

— Umożliwię to panu niezwłocznie!

— Nie rozumiem?

— Pojedzie pan ze mną.

— Dokąd?

— Do punktu dowodzenia korpusu. Nawet ślepiec widzi, że coś tu śmierdzi! Niech pan siada za kierownicą i zawróci. Będę strzelał przy pierwszej próbie ucieczki. I to nie w opony — dodał porucznik Zumbusch.

Powiedział to bardzo cichym głosem.

Rozdział drugi

1

Thomas Lieven z melancholijnym westchnieniem rozglądał się po pokoju utrzymanym w barwach czerwieni, bieli i złota. Znajdował się w sypialni apartamentu numer 107, jednym z czterech najbardziej luksusowych, w hotelu „George”, który był z kolei najbardziej luksusowym hotelem Paryża. Na jego dachu powiewała od kilku godzin flaga ze swastyką, wojenna flaga Rzeszy, zaś przed portalem przetaczały się z hukiem kolumny ciężkich czołgów. Na hotelowym dziedzińcu parkował czarny chrysler.

W sypialni apartamentu 107 siedzieli Thomas Lieven, Mimi Chambert oraz pułkownik Jules Simeon. Mieli za sobą dwadzieścia cztery szaleńcze, wprost nieprawdopodobne, godziny.

W asyście zwiadowczych samochodów pancernych, z których jeden jechał przed ich czarnym chryslerem, drugi zaś posuwał się tuż za nimi, próbowali dopędzić stanowisko dowodzenia korpusu. Rudawy porucznik Zumbusch usiłował połączyć się przez radio ze swym generałem, ale niemiecka ofensywa w takim tempie postępowała naprzód, że chyba nie było już żadnego stacjonarnego punktu dowodzenia. Dopiero gdy Paryż został wzięty bez walki, generał pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. W hotelu „George V”.

Na korytarzu postukiwały ciężkie żołnierskie buty, a w hotelowym hallu wały się jakieś skrzynie, roilo się od pistoletów maszynowych i kabli telefonicznych. Zabezpieczano łączność. Panowało niesamowite zamieszanie.

Przed kwadransem porucznik Zumbusch zaprowadził swych troje jeńców do sypialni apartamentu 107. I zniknął. Bez wątpienia składał raport generałowi. Czarna teczka spoczywała teraz na kolanach Thomasa Lievena. Zabrał ją, zamykając samochód. Wychodził z założenia, że mimo wszystko przy nim będzie bardziej bezpieczna.

Zza wysokich, misternie zdobionych drzwi dotarł do nich nagle jakiś wściekły wrzask. Po chwili rozwarły się z impetem i na ich progu stanął wysoki jak topola oficer.

— Pan generał von Felseneck prosi pana, panie Murphy.

Czyli jeszcze mnie mają za amerykańskiego dyplomatę, przemknęło Thomasowi przez myśl. No to naprzód...

Podniósł się powoli, nie wypuszczając z ręki teczki i z pełną godności miną przeszedł obok adiutanta do salonu.

Generał Erich von Felseneck był przysadzystym mężczyzną z krótko przyciętymi, siwymi włosami i w okularach w złotej oprawce.

Thomas ujrzał mały stolik, na którym obok zastawy i sztućców hotelowych stały dwie blaszane menażki. Widocznie generał został zaskoczony przy pośpiesznym posiłku. Ten stan rzeczy wykorzystał Thomas do wykazania się swą międzynarodową uprzejmością.

— Generale, głęboko żałuję przeszkodzić pański posiłek.

— To ja jestem panu winien przeprosiny, mister Murphy — powiedział generał von Felseneck, ściskając Thomasowi rękę.

Nasz przyjaciel poczuł nagły zawrót głowy, gdy generał wręczył mu jego sfalszowany paszport dyplomatyczny i fałszywe dokumenty Mimi i Simeona.

— Papiery państwa są w porządku. Niech pan wybaczy kroki podjęte przez porucznika. Nie dziwię się, że powziął pewne podejrzenia. Pański towarzysz zachował się tak dziwnie... Ale Zumbusch z pewnością przekroczył swoje kompetencje.

— Generale, to się zdarza... — wymamrotał Thomas.

— Nie, to niedopuszczalne, mister Murphy. Niemiecki Wehrmacht zachowuje się nienagannie. Respektujemy dyplomatyczne przywileje. Nie jesteśmy przecież rycerzami — rabusiami!

— Certainly not...

— Mister Murphy, powiem panu otwarcie. W zeszłym tygodniu miałem duże nieprzyjemności. O mały włos sprawa dotarłaby do samego Führera. Kilku nadgorliwców zatrzymało i przeszukało pod Amiens dwóch członków Szwedzkiej Misji Wojskowej! Wybuchła straszliwa awantura. Musiałem osobiście przeproszać. Dostałem nauczkę. Po raz drugi już mi się to nie zdarzy. Czy spożył pan już posiłek, mister Murphy?

— Nie.

— Może w takim razie przyjmie pan przed odjazdem moje zaproszenie? Skromny wojenny posiłek. Hotelowa kuchnia jeszcze nie działa. A u „Pruniera” mają dziś jeszcze chyba zamknięte, cha cha cha!

— Cha cha cha! — zawtórował Thomas.

— A zatem? Chochelka z niemieckiej kuchni polowej?
— Jeśli nie sprawię kłopotu?
— Bardzo się cieszę. Kogge, jeszcze jedno nakrycie. I niech pan
każe podać też coś tym państwu obok..

— Tak jest, panie generale!

Po pięciu minutach...

— Nieco jednostajne to zarcie, co mister Murphy?

— O no, przy te warunki smakuje wyśmienicie... — odparł
Thomas Lieven, który powoli wracał do równowagi.

— Nie wiem czym to tłumaczyć, ale nasi kucharze nie potrafią
ugotować dobrej zupy! — złościł się generał.

— Generale — rzekł Thomas Lieven łagodnie — chciałbym się
zrewanżować za pańska uprzejmość i chętnie udzielię panu dobrej
rady...

— Do diabła, panie Murphy, mówi pan doskonale po niemiecku!

To bardzo niebezpieczny komplement, pomyślał Thomas i nagle
ponownie zatracił zdolność poprawnego formułowania myśli w tym
języku.

— Thank you, general. Moja mamka dawno być meklemburska
niania. Jej specjality były meklemburskie zupy...

— Ciekawe, co Kogge? — zwrócił się generał do adiutanta.

— Tak jest, panie generale!

— Bardzo niesłusznie — nauczał Thomas, zwracając baczną
uwagę na amerykański akcent — popadły w niełaskę zupy. Chętnie
mówię panu, jak przyrządzało oryginalną meklemburską zupa. Nawet
gulasz z ziemniakami można zrobić jak smakołyk!

Thomas ściszył głos.

— Przedtem pytanie, co mnie dręczy od długi czas. Czy to
prawda, panie generale, że żołnierze niemieccy dodaje się do posiłków,
hm, brom?

— Tak mówią, ciągle o tym słyszę, ale nie mogę panu odpowie-
dzieć na to pytanie, bo nie wiem. Bądź co bądź, ludzie są całymi
miesiącami poza domem, z dala od żon, z dala od... Nie muszę panu
chyba tłumaczyć?

— Absolutnie, panie generale! Jakby nie było, na pewno pomoc
jest cebula.

— Cebula?

— Cebula decyduje o jakości gulaszu, panie generale. Właśnie
cebula! We Francji, Bóg mi świadkiem, jest jej w bród. To bardzo
prosta sztuczka: należy wziąć tyle cebuli co wołowiny, majeranek,
drobno posiekane kwaśnosłodkie ogórki i...

Menu, 15 czerwca 1940

Eintopf (Danie jednogarnkowe) — kilka przepisów

Podając „Eintopf” Thomas Lieven „zdobył” pewnego niemieckiego generała.

Gulasz na kartoflach: tłuszcz i cebulkę przesmażamy lekko w rondlu, mocno przedtem soląc i dodając dużo papryki. Mięso wołowe pokrojone w małe kawałki wrzucamy do rondla i krótko przedtem zanim mięso będzie zupełnie miękkie, dodajemy pokrojone w kostkę ziemniaki. Należy wziąć tyle cebuli ile mięsa. Na koniec dodajemy majeranek i drobno posiekane ogórki konserwowe.

Risi Pisi: ugotowany ryż mieszamy z zielonym groszkiem z puszki lub świeżym, uprzednio ugotowanym. Ciągłe mieszając na małym ogniu, dodajemy masło lub inny tłuszcz, następnie kawałki mięsa, resztki pieczeni lub frankfurterki — oczywiście drobno pokrojone. Doprawiamy do smaku, najlepiej curry, a przed podaniem na stół posypujemy tartym parmezanem.

Eintopf Irish-Stew z duszoną baraniną, z kartoflami i kapustą: istnieje kilka przepisów na przygotowanie tej potrawy, której głównymi składnikami są baranina i biała kapusta. Baranina po meklembursku wydaje się być najsmaczniejsza. Przyrządzamy ją następująco: kroimy baraninę w małe kawałeczki, solimy i gotujemy od 1—1 1/2 godziny. Kapustę oczyszczamy, wyjmujemy głąb i dzielimy na cztery części. Wkładamy ją do wrzącej wody i gotujemy około 1/4 godziny. Osuszamy ją dokładnie szmatką. Bierzymy następnie duży garnek i wykładamy go cienkimi plasterkami słoniny, układamy warstwę kapusty, wypukłą stroną w górę, na kapustę mięso, drobno poszatkowaną cebulę, sól i pieprz oraz parę goździków. Układamy warstwy kilkakrotnie, tak aby wreszcie na wierzchu znalazła się kapusta. Na koniec podlewamy całość rosółem, który otrzymaliśmy przy gotowaniu baraniny i gotujemy całość około godziny. Przed podaniem wykładamy na półmisek.

— Nie tak szybko, mister Murphy! Kogge, niech pan notuje, przekażę to generalnemu kwatermistrzowi!

— Tak jest, panie generale!

— A zatem — podjął Thomas — najpierw trzeba zeszklić na tłuszczu cebulę, dobrze ją posolić i posypać papryką...

Dyktował do chwili, gdy otworzyły się drzwi i wszedł ordynans. Przez chwilę szepotali coś między sobą, po czym obaj opuścili salon.

Tymczasem Thomas kończył dyktować przepis.

Po dwóch minutach generał wrócił.

— Zrugalem poprzednio porucznika Zumbuscha — powiedział cichym, lodowatym głosem — i to nie dawało mu spokoju. Zadzwoił do ambasady amerykańskiej. Nazwisko Murphy nic nikomu nie mówi. Czy może pan to wyjaśnić, mister Murphy?

2

Przed hotelem ciągle jeszcze przetaczały się ciężkie czołgi i pojazdy wojskowe. Chrząst gąsienic i huk motorów bił jak młotem w uszy Thomasa Lievena, który odruchowo sięgnął po zegarek i uruchomił mechanizm. Rozległo się dwanaście uderzeń, po chwili kolejne dwa. Generał trwał w bezruchu. Thomas rozmyślał gorączkowo, wsłuchując się w srebrzyste tony repetiera. Nie ma rady, postanowił, muszę postawić wszystko na jedną kartę...

— Cóż, nie pozostaje mi nic innego, choć działam tu wbrew wyraźnemu rozkazowi... Proszę pana generała o rozmowę w cztery oczy. Teraz posługiwał się już bezbłędną niemczyzną.

— Niech pan posłucha, panie Murphy, czy jak tam się pan nazywa, ostrzegam pana! Sąd doraźny działa bardzo szybko.

— Pięć minut w cztery oczy, panie generale!

Thomas Lieven starał się przybrać pozę kogoś znacznego.

Generał zastanawiał się długo, w końcu ruchem głowy odesłał adiutanta.

Gdy tylko zostali sami, Thomas zarzucił generała potokiem słów.

— Panie generale, niniejszym czynię pana powiernikiem tajemnicy wagi państwowej — zaczął jak karabin maszynowy. — Gdy opuścę ten salon, natychmiast zapomni pan, że mnie pan kiedykolwiek widział...

— Dobrze się pan czuje?

— Za chwilę zapoznam pana z „Tajną Sprawą Naczelnego Dowództwa”. Da mi pan słowo oficera, że dochowa pan absolutnej tajemnicy...

— Jeszcze nigdy nie spotkałem się z taką bezczelnością...

— Otrzymałem wyraźny rozkaz admirała Canarisa...

— Ca-Canarisa?

— ... osobisty rozkaz, bym za wszelką cenę obstawał przy mojej tożsamości jako amerykańskiego dyplomaty. Okoliczności zmuszają mnie, bym wyznał panu całą prawdę. Oto ona.

Thomas Lieven zdecydowanym ruchem rozpiął guziki kamizelki i z jej wewnętrznej kieszeni wydobyl jakiś dokument.

— Proszę, niech pan przeczyta.

Generał Felseneck przeczytał.

Dokument, który trzymał w ręku, był autentyczną legitymacją niemieckiego kontrwywiadu, wystawioną przez niejakiego majora von Loosa, oficera Abwehry z Dowództwa Okręgu Wojskowego w Kolonii. Thomas zachował ów dokument, będąc przekonany, że może mu się jeszcze przydać...

— Pan... pan jest agentem kontrwywiadu? — wydukał osłupiały generał.

— Jak pan widzi!

Thomas wpadł w trans.

— Jeśli pan wątpi w moje słowa, proszę natychmiast zamówić błyskawiczną rozmowę z Dowództwem w Kolonii!

Jeśli zadzwoni, jestem stracony, jeśli nie zadzwoni, dobra nasza, przemknęło mu przez myśl.

— Ależ musi pan zrozumieć...

Zdaje się, że jestem uratowany, pomyślał Thomas i wrzasnął:

— Czy zdaje pan sobie sprawę, generale, kim jest ta para, która czeka obok? Ci ludzie mają dostęp do najtajniejszych francuskich dokumentów! I są gotowi pracować dla nas!

Uderzył ręką w czarną teczkę.

— Mam tu akta i wykazy nazwisk wszystkich agentów "Deuxieme Bureau". Może teraz pan zrozumie, o jaką stawkę toczy się ta gra?

Generał von Felseneck był wstrząśnięty. Nerwowo bębnił palcami o blat stołu. Akta, listy nazwisk, myślał Thomas Lieven. Jeśli moim rodakom, Niemcom, wszystko to wpadnie w ręce, wówczas francuscy agenci nie mają szans przeżycia. Krew, poleje się krew. A co będzie, jeśli Niemcy nie dostaną tych dokumentów? Wtedy francuscy agenci uczynią wszystko, by ich przeciwnicy nie przeżyli. Nie podoba mi się ani jedno, ani drugie. Nienawidzę przemocy i wojny, muszę więc dokładnie rozważyć, jaki los ma spotkać tę czarną teczkę. Ale na to przyjdzie jeszcze czas. Najpierw muszę się stąd wydostać...

— Mimo wszystko... — wyjąkał generał — mimo wszystko czegoś tu nie rozumiem. Jeśli ci ludzie chcą dla nas pracować, to po co ta cała tajemnicza maskarada?

— Panie generale, czy pan naprawdę nie rozumie? Francuski kontrwywiad depcze nam po piętach. Może uderzyć w każdej chwili! Dlatego admirał wpadł na pomysł, by wydostać tych ludzi z Paryża pod

ochroną neutralnego państwa, a potem — do zawieszenia broni — ukryć w pewnym zamku w pobliżu Bordeaux.

Thomas roześmiał się z goryczą.

— Niestety, nie wzięliśmy pod uwagę, że pewien świadom swych obowiązków niemiecki porucznik pokrzyżuje nasze plany!

Pokiwał głową z powagą.

— Straciliśmy czas, czas na wagę złota! Panie generale, jeśli ci ludzie wpadną w ręce Francuzów, wówczas konsekwencji — konsekwencji o zasięgu międzynarodowym — nikt nie jest w stanie przewidzieć... Niech więc pan wreszcie zamówi tę Kolonię!

— Ależ ja panu wierzę!

— Pan mi `wierzy? Jaki pan łaskaw! W takim razie niech pan chociaż pozwoli, że to ja zadzwonię i złożę meldunek o tym incydencie!

— Niech pan posłucha, już dość miałem kłopotów. Proszę nie dzwonić.

— Co to znaczy nie dzwonić? Jak pan to sobie wyobraża? Jeśli teraz wreszcie puści nas pan wolno, to kto mi zagwarantuje, że na następnym rogu ulicy znów nie zostaną aresztowany przez któregoś z pańskich nadgorliwców!

— Dam panu przepustkę... list żelazny... — wystękał generał — Już nikt pana nie zatrzyma. Nikt...

— Dobrze — zgodził się Thomas — ale jeszcze jedno, generale. Proszę nie wyciągać konsekwencji wobec porucznika Zumbuscha. W końcu spełniał tylko swój obowiązek. Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdybym w istocie był francuskim agentem, a on przepuściłby mnie ot tak, po prostu...

3

Gdy czarny chrysler z gwiazdzistym sztandarem na dachu wyjeżdżał z dziedzińca hotelu „George V”, niemieckie posterunki oddały honory. Thomas Lieven, alias William S. Murphy, przytknął dłoń do ronda homburga, odpowiadając uprzejmie na pozdrowienie.

Jednak już po chwili skończyły się wszelkie uprzejmości. Thomas zbeształ Julesa Simeona od stóp do głów, ten zaś przyjął zarzuty bez słowa sprzeciwu.

Po prawie 46 godzinach znów wydostali się na planowaną trasę ucieczki.

— Komu właściwie ma pan przekazać tę czarną teczkę? — spytał nagle Thomas.

— Majorowi Debrasowi.

— Któż to taki?

— Drugi po Bogu w „Deuxieme Bureau”. On zajmuje się przetrzaniem papierów do Anglii lub do Afryki.

A potem, co nastąpi potem, pomyślał Thomas. Ach, jaki świat byłby piękny bez tajnych służb wywiadowczych!

— Czy major czeka w Tuluzie?

— Nie mam pojęcia, gdzie się w tej chwili znajduje — odparł pułkownik. — Nie wiadomo też, kiedy się pojawi... i w jaki sposób... Mam rozkaz odnaleźć w Tuluzie naszą skrzynkę kontaktową.

— Jaką znów skrzynkę? — spytała Mimi.

— Skrzynką kontaktową nazywa się człowieka, który przyjmuje meldunki albo je przekazuje.

— Aha.

— To absolutnie pewny człowiek. Nazywa się Gerard Perrier i jest właścicielem warsztatu samochodowego...

Przez wiele dni podążali drogami zapchanymi uciekinierami i oddziałami przemieszczających się wojsk. List żelazny, który Thomas otrzymał od generała von Felsenecka, czynił cuda. Niemieckie kontrole wykazywały się przykładową wprost uprzejmością. W końcu Thomas jechał nawet na benzynie Wehrmachtu. Pewien kapitan podarował mu w Tour pięć kanistrów.

Przed Tuluzą Thomas zatrzymał się i dokonał pewnych zmian w wyglądzie swego auta. Odkręcił tabliczki ze znakiem korpusu dyplomatycznego, po czym zdjął amerykański proporzec i flagę narodową z dachu. Sprzęty te schował do bagażnika, na wypadek, gdyby miały mu się jeszcze kiedyś przydać, wydobył zaś dwie tablice z francuskimi numerami rejestracyjnymi.

— Uprzejmie was proszę, byście nie zapomnieli, że od tej chwili nie nazywam się już Murphy, lecz Jean Leblanc — zwrócił się do Mimi i Simeona.

Na to nazwisko właśnie był wystawiony fałszywy paszport, który wręczył mu jego instruktor Jupiter w ośrodku szkolenia agentów wywiadu pod Nancy...

Tuluza liczyła wówczas — przed wybuchem wojny — 250 000 mieszkańców. Teraz znalazło tu schronienie ponad milion ludzi. Miasto przypominało jeden wielki, rozgorączkowany i tragiczny plac

jarmarczny. Wielkie grupy uciekinierów koczowały na wolnym powietrzu, pod drzewami na placach przy Rue des Changes i w Saint-Sernin. Na ulicach roilo się od samochodów z rejestracjami całej Francji... i połowy Europy. Thomas spostrzegł nawet miejski autobus Paryskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, którego tablica wciąż jeszcze głosiła nazwę końcowego przystanku — „Arc de Triomphe” oraz samochód dostawczy z napisem: „Fabryka wody sodowej i lemoniady Alois Schildhammer & Söhne, Wien XIX, Krottenbachstrasse 32”.

Podczas gdy pułkownik odwiedzał swą „skrzynkę kontaktową”, Mimi i Thomas usiłowali znaleźć jakąś kwatery.

Pytali w hotelach, pensjonatach i domach noclegowych. Wszędzie. W Tuluzie nie było ani jednego wolnego pokoju. W hotelach nawet halle, jadalnie, bary i umywalnie wypełniał tłum koczujących ludzi, w pokojach gnieździła się podwójna, potrójna liczba gości.

Po kilku godzinach daremnych poszukiwań, Mimi i Thomas z obolałymi nogami znów znaleźli się w pobliżu swego auta. Pułkownik siedział na stopniach chryslera. Był zmieszany. Pod pachą nadal ścisnął czarną teczkę.

— I co? — zapytał Thomas. — Nie znalazł pan?

— Warsztat znalazłem — odparł Simeon zmęczonym głosem — ale Perriera nie. Umarł. W Tuluzie przebywa tylko jego przyrodnia siostra, Jeanne Perrier. Mieszka przy Rue des Bergeres 16.

— Jedźmy tam — zaproponował Thomas — może major Debras u niej zostawił wiadomość.

Rue des Bergeres leżała na Starym Mieście, które — poprzecinane wąskimi, wybrukowanymi kocimi łbami ulicami i uliczkami, zatłoczone malowniczymi domami — trwa prawie niezmiennie od XVIII wieku. Dzieci tu krzyczały, grały radia, a nad ulicami zwieszały się sznury z powiewającym na nich kolorowym praniem.

Na Rue des Bergeres, między bistrami, małymi restauracyjkami i barami kręciło się wiele pięknych dziewczyn. Były nieco za jaskrawo wymalowane, nieco za wyzywająco ubrane i dreptały przed frontami budynków, jakby na coś czekały.

Dom numer 16 okazał się niewielkim, staroświeckim hotelikiem, w którego suterenie mieściła się zaniedbana restauracja. Nad wejściem wisiała mosiężna tablica w formie kobiecej sylwetki, na niej zaś widniał napis:

CHEZ JEANNE

W wąskim, ciemnym pomieszczeniu siedział za kontuarem portier z włosami błyszczącymi brylantyną. Strone schody wiodły na pierwsze

piętro hotelu. Portier poinformował, że madame zaraz zejdzie i poprosił towarzystwo o zajęcie miejsca w salonie: ...

W salonie znajdowały się żyrandole, pluszowe meble i strusie pióra, zakurzone kwiaty doniczkowe, gramofon i wielkie na całą ścianę lustro. Pachniało perfumami, pudrem i zimnym dymem papierosowym.

— O Boże, nie sądzisz, że to chyba... — zaczęła nieco zmieszana Mimi.

— Mhm.

Thomas potwierdził jej przypuszczenia.

— Przecież wpadliśmy tu tylko na chwilę — włączył się pułkownik purytańsko-męczeńskim tonem.

Po chwili zjawiła się piękna niewiasta w wieku około trzydziestu lat. Miała krótko przystrzyżone żółtawoblond włosy i wyrafinowany makijaż. Wyglądała na energiczną osobkę, kobietę, która zna życie i uważa je za — w gruncie rzeczy — coś bardzo śmiesznego. Dama miała kształty, które natychmiast wzbudziły zainteresowanie Thomasa.

— Witam państwa — odezwała się nieco zachrypniętym głosem. — O, we troje! Czarujące. Jestem Jeanne Perrier. Czy mogę państwu przedstawić kilka moich milutkich przyjaciółek?

Klasnęła w dłonie.

Rozwarły się drzwi pokryte różową jedwabną tapetą i do salonu weszły trzy młode dziewczyny, wśród nich Mulatka. Wszystkie trzy były piękne, wszystkie trzy nagie. Z uśmiechem ruszyły w stronę ogromnego lustra, odwracając się w koło.

— Niech się państwo poznają — mówiła tymczasem atrakcyjna dama o płowych włosach. — Od lewej do prawej — Sonja, Bebe, Jeanette...

— Madame — przerwał jej pułkownik słabym głosem.

— Jeanette pochodzi z Zanzibaru, ma...

— Madame — powtórzył pułkownik nieco głośniej.

— Słucham pana?

— To nieporozumienie. Chcemy porozmawiać z panią sam na sam.

Pułkownik wstał, podszedł do Jeanne Perrier i zapytał szeptem:

— Co rzekła mrówka do świerszcza?

Oczy Jeanne Perrier zwięzły się w szparki.

— Tańcz sobie, tańcz, zimą dotkliwym głodem przymierać będziesz — odparła równie cicho, po czym znów klasnęła w dłonie i zwróciła się do dziewczyn.

— Jesteście wolne.

Cała trójka zniknęła chichocząc.

— Musicie państwo wybaczyć, nie miałam pojęcia...

Jeanne roześmiała się i spojrzała na Thomasa. Wydawało się, że przypadł jej do gustu. Czoło Mimi przecięła nagle gniewna bruzda.

— Brat wtajemniczył mnie na dwa dni przed śmiercią — wyjaśniła Jeanne — podał mi też hasło i odzew.

Zwróciła się do Simeona.

— A zatem pan jest tym kurierem z jakąś ważną teczką. Szkopuł w tym, że pan, który miał ją odebrać, nie dał dotąd znaku życia.

— W takim razie muszę tu na niego zaczekać. To może potrwać. Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

Zagrozi jeszcze większe, gdy się tu zjawi, pomyślał Thomas. Przecież nie mogę dopuścić do przekazania czarnej teczki. Teraz ma ją Simeon. Nie na długo. Moja w tym głowa. Stanę na drodze nowemu złu, jeszcze większemu przelewowi krwi... Mogliście mnie zostawić w spokoju. Wszyscy! Teraz już za późno, wszedłem w tę grę i w nią zagram — tyle że na mój własny sposób!

— Madame — zwrócił się do Jeanne — wie pani, że Tuluza jest przeludniona. Może by nam pani wynajęła dwa pokoje?

— Tutaj? — Mimi zerwała się z krzesła.

— Nie widzę innej możliwości, moje dziecko...

Thomas obdarzył Jeanne czarującym uśmiechem.

— Proszę, niech pani nie odmawia, madame!

— Właściwie wynajmuję pokoje tylko na godziny...

— Madame, pozwoli pani, że poruszę jej serce niezwykle delikatnym patriotycznym kuksańcem?

Jeanne westchnęła rozmarzona.

— Szarmancki lokator... a więc zgoda.

4

Major Debras przepadł bez śladu. Minął tydzień, po nim drugi, a on ciągle nie dawał znaku życia. Jak pięknie by było, myślał Thomas, alias Jean, gdyby nie zjawił się w ogóle! W „Chez Jeanne” zaczynał czuć się powoli jak w domu. Gdy tylko czas mu na to pozwalał, wykwitał u boku apetycznej właścicielki hotelu o włosach barwy lwiej grzywy.

— Mój kucharz zwiął, Jean — skarżyła się Jeanne swemu niemieckiemu lokatorowi, którego uważała za paryżanina w każdym calu i już w drugim dniu jego obecności zwracała się do niego wprawdzie per

pan, ale po imieniu, pięknym imieniu — kończą się też zapasy żywności. Ma pan pojęcie, ile by można zarobić, gdyby tak uruchomić restaurację...?

— Jeanne — odparł Thomas, który już po dwóch dniach zwracał się do swej gospodyni wprawdzie per pani, ale po imieniu, pięknym imieniu — proponuję pani następujący interes: Ja będę gotował i dbał o prowiant, a zysk będziemy dzielić po połowie. Zgoda?

— Czy w każdych warunkach działa pan tak zdecydowanie?

— Pani to przeszkadza?

— Przeciwnie, Jean, przeciwnie! Nie mogę się doczekać, by poznać pańskie inne ukryte talenty...

Nawiasem mówiąc, przy próbie ponownego uruchomienia restauracji Jeanne Perrier pułkownik Simeon udowodnił jednak swą przydatność do pracy w tajnych służbach. Zniknął na dwa dni, a po powrocie z dumą zdał Thomasowi i Mimi relację ze swych dokonań.

— Mechanicy nie chcieli mi nic powiedzieć, ale poszperałem w warsztacie i znalazłem cały szereg jednoznacznych wskazówek. Jakiś klucz. Mapę. Zapiski. Voila! Poza tym stary Perrier ukrył znaczne zapasy benzyny!

— O, do cholery! Gdzie?

— W lesie, niedaleko Villefranche-de-Laragais. Pięćdziesiąt kilometrów stąd. W podziemnym bunkrze. Przynajmniej ze sto kanistrów. Właśnie stamtąd wracam.

Mimi zerwała się na równe nogi i obdarzyła Simeona długim, ostentacyjnym całusem...

Benzyna to zaopatrzenie, pomyślał Thomas.

— Gratuluję, panie pułkowniku! — powiedział z uznaniem.

— Ach, wie pan, przyjacielu — odparł skromnie Simeon, gdy znów mógł mówić — tak się cieszę, że wreszcie zrobiłem coś pożytecznego!

Aż miło słuchać, pomyślał Thomas, dałby Bóg, żeby wszyscy tajni agenci doszli do takich rozsądnych wniosków.

Tak więc przywieźli z lasu benzynę, a Thomas odstawił do garażu czarnego chryslera i za drobną część swych 27 730 dolarów kupił małego peugeota. Mniej palił.

Wkrótce nasz przyjaciel stał się znaną postacią na wyboistych polnych drogach wokół Tuluzy. Wszyscy okoliczni chłopcy pozdrawiali go, szczerzyli do niego zęby i nie puszczali pary z ust. Po pierwsze zawsze płacił dobrze, po drugie przywoził z miasta towar, którego na wsi brakowało...

Thomas piekł, smażył i gotował, aż serce rosło. Jeanne mu pomagała, a że w kuchni było gorąco, broniła się przed skwarem, jak

tylko mogła. Czuli się w tym partnerstwie szczęśliwi. Podziwiali się nawzajem. Mimi odbywała w tym czasie długie spacery z pułkownikiem Simeonem.

Niebawem restaurację, dzień w dzień do ostatniego miejsca, wypełniał tłum gości. Bywali tu głównie mężczyźni, przybysze z tych wszystkich krajów, którymi dotąd zajął się Hitler. Dlatego kuchnia Thomasa Lievena była bardzo urozmaicona. Uciekinierzy wpadali w zachwyty. Także z powodu naprawdę ludzkich cen.

Jeszcze bardziej zachwycone były hotelowe dziewczyny. Młody, czarujący kucharz porywał je swą elegancją i bezczelnością, układnością i mądrością. Czuli się przy nim jak damy, gdyż nigdy nie próbował zbliżyć się do którejs za bardzo.

Już wkrótce Thomas musiał przyjąć funkcję spowiednika, kasy pożyczkowej, doradcy w sprawach natury prawnej i medycznej oraz niestrudzonego słuchacza, przed którym otwierały się najskrytsze zakamarki kobiecych serc.

Jeanette miała na wsi dziecko. Chłopska rodzina, u której przebywało, stawiała coraz bardziej wygórowane żądania. Thomas położył kres temu niecnemu procederowi.

Sonji należał się spadek, którego nie chciał jej wydać jakiś adwokat oszust. Thomas przeprowadził z nim krótką, acz skuteczną rozmowę.

Bebe przyjaźniła się z pewnym brutalem, który ją ciągle zdradzał i bił na okrągło. Delikatną wskazówką dotyczącą pewnych policyjnych przepisów i mniej delikatnym chwytem jiu-jitsu Thomas sprowadził go z powrotem na drogę cnoty.

Ten przyjaciel Bebe nazywał się Alfonse i miał w przyszłości sprawić Thomasowi jeszcze wiele kłopotu...

Do stałych gości lokalu należał także pewien bankier nazwiskiem Lindner. Walter Lindner najpierw uciekł przed Hitlerem z Wiednia, potem z Paryża. W czasie ucieczki stracił z oczu swą żonę i teraz tu na nią czekał. Ustalili, że gdyby coś ich rozdzieliło, spotkają się w Tuluzie.

Walter Lindner zapałał do Thomasa wielką sympatią. Gdy dowiedział się, że ten także był kiedyś bankierem, złożył mu następującą propozycję:

— Niech pan pojedzie ze mną do Ameryki Południowej. Udaję się tam, gdy tylko odnajdę mą żonę. Ulokowałem tam spory majątek. Niech pan zostanie moim współnikiem...

By poprzec swe słowa, Lindner okazał świeżej daty wyciąg z konta w „Rio de la Plata Bank”, potwierdzający wysokość jego lokaty.

Dysponował sumą ponad miliona dolarów. Była to chwila, w której Thomas Lieven — na przekór wszystkim dotychczasowym przeżyciom — jeszcze raz poczuł przyptyw odwagi oraz uwierzył w ludzki rozum i swą świetlaną przyszłość.

Chciał jeszcze tylko podjąć wszelkie starania, by z godnością załatwić sprawę czarnej teczki. Dokumenty nie mogły wpaść ani w ręce niemieckiego kontrwywiadu, ani pozostać u francuskich służb specjalnych.

A potem nic, tylko wiać z opętanej żądzą wojny, zepsutej, starej Europy! Ruszyć na podbój nowego świata! Znow być bankierem, solidnym obywatelem, cywilem! Ach, jak bardzo za tym tęsknił!

Ale ta tęsknota miała pozostać niespełniona. Już wkrótce Thomas wyzbył się wyrzutów sumienia, że pracuje dla Francuzów przeciwko Niemcom. A potem znow dla Francuzów. Przeciw Anglikom. I dla Anglików. Dla wszystkich trzech. I przeciw wszystkim. Ten obłęd dopiero się zaczynał. Tyle, że dobry człowiek tkwiący w Thomasie Lievenie, człowiek kochający pokój i nienawidzący przemocy, nie wiedział jeszcze wówczas, co go czeka...

Minął czerwiec, potem lipiec. Już prawie dwa miesiące tkwili w Tuluzie. Pewnego skwarne go poranka Simeon, Jeanne i Thomas odbyli małą naradę wojenną.

Simeon sprawiał wrażenie nieco podenerwowanego, ale Thomas zdał sobie z tego sprawę — jakby to powiedzieć — po fakcie.

— Musimy zwiększyć promień działania, przyjacielu — wyjaśnił pułkownik. — Madame zdobyła dla pana nowy adres.

Pochylił się nad mapą.

— Proszę spojrzeć, to tutaj, około sto pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Tuluzy, w dolinie Dordogne, w pobliżu Sarlat.

— Jest tam niewielki zamek — uzupełniła Jeanne, nerwowo paląc papierosa, ale to także Thomas uświadomił sobie dopiero później — na skraju miejscowości Castelnau-Fayrac. Nazywa się „Les Milandes”. Jego właściciele prowadzą także farmę, mają mnóstwo świń i krów, wszystko...

Trzy godziny później mały peugeot podskakiwał na wybojach pokrytych kurzem polnych dróg, kierując się jeszcze dalej na zachód. Wzdłuż brzegów Dordogne okolica stała się romantyczna, romantyczny widok przedstawiał też sam zamek „Les Milandes”. Była to biała, strzelista budowla z XV wieku, z dwoma dużymi i dwoma mniejszymi wieżami strażniczymi, które panowały nad całym pasmem wzgórz, otoczona starym parkiem i przylegającymi do niego łąkami i polami.

Thomas zostawił samochód przy otwartej bramie wjazdowej, prowadzącej do parku i zawołał głośno kilka razy. Nikt nie odpowiadał.

Przeszedł przez wielki, wyźwirowany dziedziniec i stanął przed przykniętymi, ogromnymi, starymi dębowymi drzwiami, do których prowadziły szerokie schody.

— Halo! — zawołał ponownie.

Po chwili do Thomasa dotarł ostry, przeraźliwy śmiech. Wzdrygnął się, bo nie był to śmiech ludzki.

Sekundę później przez szparę w drzwiach śmignęła na zewnątrz mała, brunatna małpka, zbiegła po schodach, pokrzykując przeraźliwie, i dopadła Thomasa Lievena. Zanim zdążył zareagować, już wdrapała mu się na lewe ramię i — ciągle popiskując — obcałowywała go gwałtownie.

— Glou-Glou! — rozległ się kobiecy głos. — Glou-Glou, gdzie się podziałas? Co znów wyprawiasz?

Dębowe drzwi rozwarły się i stanęła w nich piękna, ciemnoskóra dama. Ubrana była w białe spodnie i wypuszczoną na wierzch białą, luźną bluzkę. Na wąskich przegubach dłoni pobrzękiwały złote bransolety. Miała gładko przyczesane, czarne włosy, przedzielone na środku przedziałkiem.

Thomas zaczerpnął powietrza, gdyż znał i od lat podziwiał tę kobietę. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Spodziewałby się wszystkiego, tylko nie tego, że w tym zwariowanym czasie, w sercu wstrząsanej wojną i załamanej klęską Francji, nagle stanie oko w oko z bożyszczem całego świata, z perfekcyjnym uosobieniem egzotycznej urody w ogóle, że nagle stanie naprzeciw murzyńskiej tancerki i śpiewaczki, Josephine Baker.

— Dzień dobry, monsieur — odezwała się z cudownie cichym śmiechem — przepraszam pana za to gwałtowne powitanie. Chyba przypadł pan Glou-Glou do gustu.

— Madame... pani jest... pani ma... pani tu mieszka?

— Tak, wynajmuję ten zamek. Czym mogę panu służyć?

— Nazywam się Jean Leblanc. Wydaje mi się, że właściwie przyjechałem tu, by dokonać zakupu żywności... Od chwili, gdy panią ujrzałem, nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć — powiedział Thomas, po czym wszedł po schodach i — ciągle jeszcze z małpką na ramieniu — z głębokim ukłonem ucałował rękę Josephine Baker. — Zresztą, powód mojego przyjazdu nie ma już żadnego znaczenia. Jestem szczęśliwy, że stoję tu przed panią, przed jedną z największych artystek naszej epoki.

— Jaki pan miły, panie Leblanc.

— Mam wszystkie pani płyty! „J'ai deux amours” nawet w trzech egzemplarzach! Podziwiałem panią w tylu rewiach...

Thomas spoglądał z czią na „czarną Wenus”. Wiedział, że urodziła się w amerykańskim mieście St. Louis jako córka hiszpańskiego kupca i Murzynki. Wiedział, że zaczęła swą bajeczną karierę biedna jak mysz kościelna. Światowej sławy przysporzyły Josephine Baker jej występy w Paryżu, gdzie — odziana tylko w przepaskę z bananów — wprawiała publiczność w szal swymi ekstatycznymi tańcami.

— Czy pan może przybywa z Paryża, monsieur?

— Tak, uciekłem...

— Musi mi pan wszystko opowiedzieć. Tak kocham Paryż. Czy to pański samochód tam na froncie przy bramie?

— Tak.

— Przyjechał pan sam?

— Owszem, dlaczego?

— Tak tylko pytam. Proszę, panie Leblanc, niech pan pozwoli ze mną...

Zamek był pełen antycznych mebli. Thomas stwierdził też, że stanowił schronienie całej menażerii. Oprócz małpki Glou-Glou, samiczki, poznał też niezwykle poważną małpkę lwiątkę, na którą wołano Mica i niewielką, szybką jak błyskawica Gugusse z rozczapierzonymi wąsami. Poza tym ogromnego duńskiego doga Bonzo, leniwego, wylegującego się przed zimnym kominkiem węża pytona Agathe, papugę Hannibala, i dwie małe myszki, które Josephine Baker przedstawiła mu jako „Pannę Loczek” i „Pannę Znak Zapytania”.

Wszystkie te zwierzęta żyły ze sobą w przykładowej zgodzie. Bonzo leżał na dywanie i pozwalał jednej z myszek dosłownie tańczyć sobie na swym wielkim nosie, zaś Mica grała z Hannibalem w piłkę małą kulą ze srebrnego papieru.

— Szczęśliwy świat — odezwał się Thomas.

— Zwierzęta potrafią żyć w pokoju — stwierdziła Josephine Baker.

— Ludzie, niestety, nie.

— Ludzie też się tego kiedyś nauczą — powiedziała tancerka. — Ale teraz niech pan opowiada o Paryżu!

Thomas Lieven zaczął snuć opowieść. Był tak zafascynowany tym spotkaniem, że zupełnie zapomniał o upływie czasu. W końcu, w poczuciu winy, spojrzął na złoty repetier.

— Na miłość boską, już szósta!

— To było czarujące popołudnie. Może by pan jeszcze został i zjadł ze mną kolację? Nie mam wprawdzie w domu niczego specjal-

nego, nie spodziewałam się żadnej wizyty... Mojej dziewczynie też dałam dziś wychodne...

Thomas rozpromienił się jak chłopiec.

— Jeśli pozwoli mi pani zostać? Ale w takim razie musi mi pani także pozwolić przygotować posiłek! Także ze skromnego prowiantu można przyrządzić smakowite potrawy!

— To fakt! — zgodziła się Josephine Baker. — W końcu, nie zawsze musi być kawior.

Kuchnia była wielka i staromodnie urządzona. Thomas Lieven z podwiniętymi rękawami uwijał się po niej w płomiennym zapale. Słońce schowało się już za pasmem nadrzecznych wzgórz, cienie się wydłużyły. Nadchodził wieczór.

Josephine Baker przyglądała mu się z uśmiechem. Jej największe zainteresowanie wzbudziły przyrządzane przez niego pikantne jajka.

— To mój własny pomysł, madame! Na pani cześć nadaję im nazwę „Josephine”!

— Dziękuję. Zostawię pana teraz samego, muszę się przebrać. A zatem, do zobaczenia...

Josephine Baker zniknęła, a Thomas w wyśmienitym humorze gotował dalej. Co za kobieta, myślał...

Gdy skończył pracę, umył w łazience ręce, po czym udał się do jadalni. W dwóch świecznikach płonęło tu dwanaście świec. Josephine Baker miała na sobie bardzo obcisłą, zieloną sukienkę. Obok niej stał jakiś wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w ciemnym garniturze, z opaloną twarzą i krótkimi, posiwiałymi na skroniach włosami. Mężczyzna miał budzące zaufanie oczy i łagodnie zarysowane usta. Josephine Baker trzymała go mocno za rękę.

— Proszę mi wybaczyć tę niespodziankę, monsieur Leblanc, ale muszę zachować wszelkie środki ostrożności.

Obdarzyła mężczyznę z posiwiałymi skroniami pełnym miłości spojrzeniem.

— Maurice, chciałabym cię zapoznać z moim przyjacielem.

Nieznajomy w ciemnym garniturze wyciągnął do Thomasa rękę.

— Niezmiernie się cieszę, że dane mi jest wreszcie pana poznać. Pan Thomas Lieven, nieprawdaż? Dużo o panu słyszałem!

Thomas zdrętwiał, słysząc tak niespodziewanie swe prawdziwe nazwisko. Co za obłęd, pomyślał, chyba znów wpadłem w pułapkę!

— Och — zawołała Josephine Baker — jaka ze mnie gąska, przecież pan nie zna jeszcze Maurice'a! Oto Maurice Debras, panie Lieven, major Debras z „Deuxieme Bureau”!

Do ciężkiej cholery, pomyślał Thomas Lieven, czy już nigdy nie wydam się z tego diabelskiego kręgu? Adieu słodki wieczorze we dwoje!

— Major Debras jest moim przyjacielem — oznajmiła Josephine.

— Szczęściarz z pana — powiedział Thomas rozmarzonym głosem. — Pułkownik Simeon czeka na pana w Tuluzie od kilku tygodni!

— Przyjechałem dopiero wczoraj. Mam za sobą bardzo trudną drogę, monsieur Lieven.

— Maurice nie może się pokazać w Tuluzie — wyjaśniła Josephine. — Jest za bardzo znany. W mieście roi się od niemieckich agentów i francuskich szpicli kolaborantów.

— Madame — rzekł Thomas — zasypuje mnie pani pomyslnymi wieściami.

— Wiem, co pan chce przez to powiedzieć, panie Lieven — wtrącił się major. — Niewielu naraziło się na większe niebezpieczeństwo za sprawę Francji niż pan. Gdy dotrę do Londynu, opowiem generałowi de Gaulle'owi z jaką brawurą bronił pan czarnej teczki przed niemieckim generałem!

Czarna teczka...

Już od dawna nie dawała mu spokojnie spać!

— Teczka znajduje się w Tuluzie, strzeże jej pułkownik Simeon.

— Nie — rzekł Debras przyjaźnie — leży pod narzędziami w bagażniku pańskiego samochodu.

— Mojego...

— Pańskiego małego peugeot, który stoi przy wjeździe do parku. Niech pan pozwoli, panie Lieven, skoczmy tam jeszcze szybko przed jedzeniem i przyniesiemy ją tutaj...

Wystawili mnie do wiatru, pomyślał Thomas Lieven z wściekłością. Simeon, Mimi i Jeanne wystawili mnie do wiatru. Co począć? Fakt, że nie chciałem, by teczka wpadła w ręce niemieckiego wywiadu, ale nie chcę również, by mieli ją Francuzi, bo to też oznacza dalszy przelew krwi. Francuskiej albo niemieckiej... Nie mogę dopuścić, by połała się czyjakolwiek krew... Byłem człowiekiem miłującym spokój i porządek. To wy zrobiliście ze mnie agenta. Należało zostawić mnie w spokoju... Teraz patrzcie, jakiego piwa sobie nawarzyliście!

Takie myśli przebiegały Thomasowi przez głowę, gdy siedział przy stole po lewej stronie Josephine Baker i naprzeciw majora Debrasa,

grzebiąc od niechcienia w przyrządzonych przez siebie wyszukanych gniazdkach z kiełbasy.

Czarna teczka spoczywała już na antycznej komodzie pod oknem. Rzeczywiście znaleźli ją w bagażniku jego auta.

Spożywając z apetytem kolację, major Debras wyjaśniał, jak się tam znalazła.

— Zadzwońm wczoraj do Simeona, monsieur Lieven, i spytałem, co proponuje w sprawie teczki. Odparł, że nie mogę przyjechać do Tuluzy, bo zostanę rozpoznany, ale ten fantastyczny, ten niezwykle Lieven od tygodni krąży po okolicy, skupując żywność. Nikt się nie zdziwi na jego widok...

Debras poruszył nozdrzami.

— Wyśmienity ten farsz, co to takiego?

— Uduşzona cebula, pomidory i zioła. Po cóż ta cała maskarada, majorze? Przecież Simeon mógł mnie poinformować, o co chodzi.

— Ja tak zarządziłem. Przecież pana nie znałem...

— Czy mogłabym prosić o jeszcze kilka gniazdek, monsieur Lieven? Josephine obdarzyła Thomasa promiennym uśmiechem.

— Tak było lepiej. Sam pan widzi, że w ten sposób teczka dotarła tu bez przeszkód.

— Widzę — burknął Thomas.

Patrzył na nią, na tę idiotyczną teczkę z idiotycznymi listami nazwisk, teczkę, która mogła jeszcze kosztować życie setki ludzi. Oto leży. Z trudem wyrwana Niemcom, wpadła w ręce Francuzów.

Szkoda, pomyślał Thomas. Bez polityki, wywiadów, przemocy i śmierci mógłby to być taki miły wieczór!

Przysła mu do głowy pewna zwrotka z „Opery za trzy grosze”:

„Niestety, jest to smutny fakt,
że człowiek zły, a biedny świat.
Człowiek hołduje chętniej dobru niżli złu,
ale warunki nie sprzyjają mu”...

Nie, pomyślał Thomas, warunki nie sprzyjały mu. I dlatego od tej chwili jego myśli nie miały żadnego związku z wypowiedzianymi przez niego zdaniem...

— A teraz podam państwu specjał, który na cześć pani ochrzciłem mianem „Jajka à la Josephine” — powiedział Thomas Lieven i pomyślał: Teczka nie może pozostać w rękach Debrasa. Lubię go. Lubię też Josephine. Nie chcę im wyrządzić krzywdy, ale nie mogę też, nie wolno mi, nie chcę im służyć!

Zaimprovizowane menu, 19 sierpnia 1940

Gniazdka z kielbasy
Jajka à la Josephine
Owoce po szwedzku

Potrawa z jajek przyrządzona przez Thomasa Lievena wprawia w zachwyt „Czarną Wenus”.

Gniazdka z kielbasy: bierzemy kielbasę tak grubą, aby dała się pokroić w szerokie centymetrowe plastry. Nie zdejmujemy skóry. W brytfannie przygotowujemy gorący tłuszcz, na którym podgrzewamy kawałki kielbasy, tak aby zwinęły się lekko, tworząc małe „gniazdka”. Tak przygotowana kielbasa winna obciec z tłuszczu na sicie. Po obcieknięciu napelniamy część gniazdek masą przygotowaną ze startego chrzanu, jabłek, odrobiny octu winnego i soli. Pozostałe gniazdka napelniamy farszem z przesmażonej cebuli, pomidorów i ziół oraz pietruszki, szczypiorku i oliwy. Serwujemy z jędrnym wiejskim chlebem.

Jajka à la Josephine: przyrządzamy biały sos ze 100 g masła, 50 g mąki, 1/4 l mleka, dodając na końcu 2 żółtka. Sos winien być dość gęsty, a jajka dodajemy oczywiście po zdjęciu sosu z ognia. Dla podniesienia smaku dodajemy odrobinę gałki muszkatolowej. Ten biały sos (nadaje się również do innych potraw) łączymy tym razem z cienko posiekaną szynką i startym parmezanem. Do sosu wkładamy uprzednio przygotowane jajka w koszulkach (muszą być nim przykryte), posypujemy raz jeszcze parmezanem i kawałeczkami masła i zapiekamy w formie około 5 minut.

Jeszcze mały chwyt do zastosowania w tej potrawie: dobrze przyrządzone jajka w koszulkach winny być bardzo miękkie i delikatne, nie mogą pękać, mimo że nie posiadają skorupki. Jest na to sposób: wbijamy je delikatnie do wrzącej wody z octem, gotujemy około trzech minut, po czym wyjmujemy ostrożnie sitem i splukujemy delikatnie zimną wodą. Jajka można delikatnie obsuszyć szmatką po absolutnym wystygnięciu.

Kupując gałkę muszkatolową, którą tak często wspominamy i używamy w tych przepisach, należy uważać, by była okrągła, ciężka, nasączona dobrze oliwą, aby przy tarcu się nie kruszyła. Gałka stosunkowo lekka pozbawiona jest aromatu i może być robaczywa. Lekki, mączysty osad na galce bierze się z kąpeli wapiennej, jakiej poddaje się muszkat, aby ochronić owoc przed robakami.

Owoce po szwedzku: dobrze wystudzone w lodówce mieszane owoce z puszek, po wyłożeniu do miski, polewamy rumem i śmietaną. W ostateczności można wykorzystać również śmietankę z puszki.

Major był zachwycony jajkami przyrządzonymi przez Thomasa Lievena.

— Wyborne, monsieur, rzeczywiście wielki z pana człowiek!

— Czy dodał pan gałki muszkatołowej?

— Odrobinę, madame. Najważniejsze, żeby najpierw roztopić masło, a potem rozmieszać w nim mąkę, uważając jednak by oba składniki nie ściemniały.

Rozumiem Josephine, myślał Thomas Lieven, rozumiem też Debrasa. Jego kraj jest zagrożony, napadliśmy na niego, chcą się więc bronić, chcą się obronić przed Hitlerem. Ale ja? Ja nie chcę sobie splamić rąk żadną krwią!

— Dopiero po rozprawieniu mąki — ciągnął Thomas — dodaje się, ciągle mieszając, mleko, aż sos zgęstnieje.

W tej kretyńskiej szkole agentów pod Nancy, myślał Thomas, wciśnięto mi kiedyś w rękę pewną książkę. Jako pomoc w nauce szyfrowania. Bohater tej powieści miał podobne przygody. Jakżeż on się nazywał? Aha, hrabia Monte Christo...

— Chce się pan dostać do Anglii, majorze Debras — mówił Thomas sugestywnie. — To trudne przedsięwzięcie. Jaką drogę pan wybrał?

— Przez Madryt i Lizbonę.

— To bardzo niebezpieczne.

— Mam jeszcze jeden fałszywy paśport.

— Mimo wszystko. Jak pani wspomniała, roi się tu od szpicli.

Jeśli znajdą przy panu teczkę...

— Muszę podjąć to ryzyko. Simeon jest potrzebny w Paryżu. Musi tam wrócić. Nie mam nikogo innego.

— Ma pan!

— Kogo?

— Mnie!

— Pana!?

Niech diabeł porwie wszystkie tajne służby tego świata, pomyślał Thomas i odparł płomiennie:

— Tak jest, mnie. Nie mogę znieść myśli, żeteczka wpadłaby w ręce Niemcom!

Równie dręcząca jest myśl, że zostanie w waszym posiadaniu, pomyślał.

— Zna mnie pan już i wie pan, że można na mnie polegać.

Och, gdybyście wiedzieli, jak bardzo możecie na mnie polegać!

— Poza tym sprawi mi to przyjemność. Owładnęła mną chęć sportowej rywalizacji! — powiedział i pomyślał: Ach, gdybym znów mógł być przeciętnym, spokojnym obywatelem!

— Pan Lieven ma rację, Maurice — poparła go Josephine. — Ty działasz na Niemców i ich szpicli jak czerwona płachta na byka.

— Oczywiście, chérie! Ale jakże mamy uchronić teczkę przed niemieckim kontrwywiadem?

Przed niemieckim kontrwywiadem i wszelkimi innymi tajnymi służbami, pomyślał Thomas i rzekł:

— Spotkałem w Tuluzie pewnego bankiera nazwiskiem Lindner. Czekaj tylko na przybycie swej żony, po czym rusza do Ameryki Południowej. Zaproponował mi udział w swej firmie. Pojedziemy przez Lizbonę.

— Moglibyście się tam spotkać — powiedziała Josephine do Debrasa.

— Z jakich pobudek pan działa? — spytał major.

— Z przekonania.

— Byłbym panu ogromnie zobowiązany... — zaczął Debras w zamyśleniu.

Odczekać, tylko odczekać i nie odzywać się, pomyślał Thomas.

— Poza tym ta koncepcja stwarza nam szczególne możliwości...

Mnie na pewno, pomyślał Thomas.

— Ja ściągnę na siebie uwagę prześladowców, tym samym odwrócę ją od pana i czarnej teczki.

Bardzo słusznie, pomyślał Thomas.

— Czyli sprawa jest jasna. Ja pojedę pociągiem do Madrytu, podczas gdy pan, monsieur Lieven, będzie mógł, dzięki swej wizie tranzytowej, polecieć z Marsylii samolotem...

Jesteście tacy mili, tacy odważni, tak śmiało snujecie plany, pomyślał Thomas, mam nadzieję, że nie weźmiecie mi tego później za złe. Ale czyż porządny człowiek mógłby na moim miejscu postąpić inaczej? Nie chcę, by umierali francuscy agenci, nie chcę też, by ginęli prości niemieccy żołnierze! W moim kraju nie żyją sami naziści!

— Tak kaže zdrowy rozum, panie Debras — powiedział Thomas. — Pan jest poszukiwany przez wszystkich agentów tajnych służb, ja zaś ciągle jeszcze jestem dla niemieckiego kontrwywiadu kimś zupełnie nieznanym...

6

Dziwna gra niezgłębionego przypadku sprawiła, że tego samego wieczoru, mniej więcej o tej samej porze, generał Otto von Stülpnagel, głównodowodzący sił niemieckich we Francji, wznosił w hotelu „Maje-

stic”, siedzibie niemieckiego sztabu w Paryżu, kielich szampana, by spełnić go w towarzystwie dwóch panów. Jednym z nich był szef niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu, admirał Wilhelm Canaris, drugim zaś mały, siwowłosy generał korpusu pancernego Erich von Felseneck.

Kryształowe kieliszki dźwięczały jasnosrebrzyście. Panowie przepijali do siebie na tle ogromnego obrazu Napoleona I. Kolorowo lśniły mundury wszystkich rodzajów broni, połyskiwały ordery.

— Za dokonania nieznanych, niewidzialnych bohaterów pańskiej organizacji, panie Canaris — powiedział generał von Stülpnagel.

— Za znacznie większe dowodzonych przez panów żołnierzy!

Generał von Felseneck wypił już dość dużo. Teraz roześmiał się chytrze i powiedział:

— Niech pan nie będzie taki skromny, admirale! Trzeba przyznać, że pańscy ludzie są cholernie przebiegli!

Bawił się doskonale.

— Niestety, panu nie mogę tego opowiedzieć, Stülpnagel. Obowiązuje mnie tajemnica wojskowa. Ale muszę przyznać, że ten nasz Canaris ma głowę nie od parady!

Wypili.

Do pokoju weszli generałowie Kleist i Reichenau, wprowadzając kolegę Stülpnagla, zaś Canaris spojrział na generała Felsenecka z nagłym zainteresowaniem. Częstuując go cygarem, zapytał jakby mimochodem:

— O co panu chodziło przed chwilą, panie von Felseneck?

Felseneck zachichotał.

— Obowiązuje mnie tajemnica wojskowa, panie Canaris. Nic pan ze mnie nie wyciśnie!

— A któż to zobowiązał pana do tego absolutnego milczenia? — drążył admirał.

— Jeden z pańskich ludzi, wspaniały chłopak, naprawdę, szacunek!

Canaris uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne.

— No niechże się pan nie droczy! Chciałbym wiedzieć, która z naszych sztuczek wywarła na panu takie wrażenie!

— Zgoda. W końcu, to wszystko nie miałoby sensu, gdyby panu nie wolno było tego powiedzieć! A zatem powiem krótko — chodzi o czarną teczkę!

— Aha! — Canaris przyjaźnie skinął głową. — Tak, tak, czarna teczka!

— Co to za facet, panie Canaris! Jak cudownie odgrywał przede mną rolę amerykańskiego dyplomaty! Ta pewność siebie! I spokój po aresztowaniu przez jednego z moich ludzi!

Von Felseneck roześmiał się serdecznie.

— Odstawia w bezpieczne miejsce dwóch francuskich szpiegów wraz z kompletem akt „Deuxieme Bureau”, a znajduje jeszcze czas, by mi wyjaśnić, jak się przyrządza gulasz z ziemniakami! Ciągle wracam myślą do tego młodzieńca. Dużo bym dał, żeby mieć takiego w swoim sztabie!

— Tak, mamy w firmie kilku zręcznych chłopców. Przypominam sobie tę historię... — powiedział Canaris, choć nie miał o niej oczywiście zielonego pojęcia.

Ale instynkt podpowiadał mu, że musiało się tu wydarzyć coś strasznego!

— Zaraz, zaraz — zaczął z udawaną obojętnością — jakżeż nazywał się ten człowiek...

— Lieven, Thomas Lieven. Z Komendy Odcinka w Kolonii. Pokazał mi w końcu swoje papiery. Thomas Lieven! Nie zapomnę tego nazwiska do końca życia!

— Tak, oczywiście, Lieven. To rzeczywiście nazwisko, które należy sobie zapamiętać.

Przywołał adiutanta i wstał, podnosząc jednocześnie z ciężkiej srebrnej tacy dwa napełnione szampanem kieliszki.

— Bardzo proszę, drogi generale, niech pan tu przyjdzie, wypijmy jeszcze po jednym. Usiądźmy tu w kącie i niech mi pan opowie o pańskim spotkaniu z moim przyjacielem Lievenem. Jestem bardzo dumny ze swych ludzi...

7

Telefon zadzwonił przeraźliwie i bezlitośnie. Major Loos zerwał się z łóżka zlany potem. Nie dadzą człowiekowi ani chwili spokoju, pomyślał zaspany. Zastrany zawód!

Wreszcie odnalazł włącznik nocnej lampki, wreszcie przytknął do ucha słuchawkę i zaskrzeczał:

— Loos!

Usłyszał trzeszczenie i trzaski.

— Błyskawiczna rozmowa Naczelnego Dowództwa z Paryża. Łączę z admirałem Canarisem...

Na dźwięk tego ostatniego słowa ciałem majora wstrząsnął bolesny dreszcz. Woreczek żółciowy, pomyślał. Ładnie. Tylko tego jeszcze brakowało.

Po chwili dobiegł go znajomy głos.

— Major Loos?

— Tak, panie admirale!

— Niech pan posłucha, stała się rzecz niesłychana...

— Niesłychana, panie admirale?

— Zna pan niejakiego Thomasa Lievena?

Śluchawka wypadła majorowi z ręki, lądując na kołdrze. Zapiszczała membrana. Zdenerwowany Loos znów podniósł ją do ucha i wyjąkał:

— Tak jest, panie admirale, znam... znam to nazwisko...

— A więc zna pan tego faceta? Czy wydał mu pan dokumenty agenta wywiadu?

— Tak jest, panie admirale!

— Jakim cudem?

— On jest... Zwerbowałem Lievena, panie admirale. Ale... no... nie całkiem to wyszło... Zniknął. Już zacząłem się martwić...

— I słusznie, majorze Loos, i słusznie! Niech pan przyjedzie najbliższym pociągiem, albo przyleci najbliższym samolotem. Oczekuję pana w „Hotel Lutetia”! Niezwłocznie, rozumiano?

W hotelu „Lutetia” przy Boulevard Raspail miała siedzibę główna kwatera wywiadu i kontrwywiadu wojskowego w Paryżu.

— Tak jest, panie admirale — powiedział major Loos uniesieniem głowy. — Przyjadę jak tylko będę mógł najprędzej. A co przeszkrobał, jeśli wolno spytać pana admirała?

Canaris zdał mu relację z poczynąń Lievena. Major Loos bladł coraz bardziej. W końcu zamknął oczy. Nie, nie, nie, to niemożliwe! I ja ponoszę za to wszystko odpowiedzialność...

Głos z Paryża grzmiał jak jedna z trąb jerychońskich.

— W posiadaniu tego człowieka znajdują się listy nazwisk, adresy i znaki rozpoznawcze wszystkich francuskich agentów! Czy zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy? Ten człowiek to dla nas sprawa życia i śmierci, a jednocześnie śmiertelne niebezpieczeństwo! Musimy go dopaść, za wszelką cenę!

— Tak jest, panie admirale, zaangażuję w to moich najlepszych ludzi...

Major Loos przyjął w łóżku wojowniczą pozę.

— Dostaniemy te listy. Unieszkodlimy tego człowieka. Nawet jeśli musiałbyśmy zastrzelić go osobiście.

— Pan chyba zwariował, majorze! — powiedział głos z Paryża bardzo cicho. — Chcę go mieć żywego. Zlikwidować Lievena? Jest za dobry, o wiele za dobry, żeby go zastrzelić!

20 sierpnia 1940, godzina 2.15:

— uwaga SSG — uwaga SSG — pilność rzymska jedynka — od szefa wywiadu — do wszystkich komórek tajnej policji polowej we francji — poszukuje się obywatela niemieckiego thomasa lievena — lat trzydzieści — szczupły — pociągła twarz — ciemne oczy — krótko przyszyżone, czarne włosy — cywil — elegancki — posługuje się biegle niemieckim, angielskim, francuskim — posiada autentyczną legitymację niemieckiego wywiadu, wystawioną przez majora loosa komendanta odcinka kolonia — autentyczny paszport deutsches reich nr 543 2311 seria C — fałszywy amerykański paszport dyplomatyczny na nazwisko william s. murphy — poszukiwany opuścił paryż 15 czerwca 1940 w czarnym chryslerze z numerami dyplomatycznymi i amerykańską flagą na dachu — posiadał przepustkę wydaną przez generała von felsenecka — podróżował w towarzystwie młodej francuzki i francuza — poszukiwany jest w posiadaniu najwyższej wagi dokumentów wroga — natychmiast rozpocząć poszukiwania — informacje także negatywne meldować do majora loosa szefa grupy specjalnej z — kwatera główna gfp paryż — w przypadku aresztowania lievena broni użyć tylko w razie absolutnej konieczności — koniec —

Podczas gdy tenże list gończy postawił na nogi Tajną Policję Polową i przestraszył wielu żołnierzy Wehrmachtu — na przykład owego kapitana, który 16 czerwca w Tour podarował niejakiemu Murphy'emu pięć kanistrów benzyny z zasobów armii niemieckiej — tak usilnie poszukiwany Thomas Lieven wysiadał w doskonałym nastroju ze swego peugeota przy Rue des Bergeres w Tuluzie. Zadowolony wetknął pod pachę czarną teczkę i zatrzasnął drzwiczki auta.

Wesołe dziewczyny z „Chez Jeanne” zmorzył już sen, restauracyjka skończyła działalność. Tylko w staroświeckim salonie z ogromnym lustrem i czerwonymi pluszowymi meblami płonęło jeszcze światło. Tu czekali na Thomasa Mimi, Simeon i powabna, lwiiwłosa właścicielka lokalu.

Gdy wszedł, dały się słyszeć westchnienia ulgi.

— Tak się martwiliśmy! — oznajmiła Jeanne.

— Czyżby? — zdziwił się Thomas. — Od kiedy? Może już od chwili, gdy wysyłałście mnie w drogę?

— Taki był rozkaz! — zawołał Simeon. — Nawiasem mówiąc, nic już nie rozumiem! Jakim cudem pan ma tę teczkę?

Thomas sięgnął po stojącą na stole butelkę remy martina i nalał sobie sporą porcję do koniakówki.

— Piję za przyszłość nas wszystkich — powiedział. — Nadszedł, kochani, czas rozstania. Przekonałem majora Debrasa, że będzie lepiej, jeśli ja dostarczę dokumenty do Lizbony. Pan, panie pułkowniku, ma wrócić do Paryża i zgłosić się do Kwiatu Lotosu Cztery. Już pan podobno będzie wiedział.

— To oznacza zejście do podziemia — oznajmił pułkownik, podkreślając wagę swych słów.

— Miłej zabawy — rzekł Thomas, po czym spojrział na piękną hotelarkę. — Pani też życzę miłej zabawy, niech się pani wie dzie, niech interes kwitnie.

— Będzie mi pana bardzo brakowało — powiedziała Jeanne ze smutkiem.

Thomas pocałował ją w rękę.

— Wszystkie rozstania są bolesne — stwierdził.

Mimi, ta zawsze radosna, zawsze pogodna Mimi, zanosła się nagle gwałtownym płaczem. Krztusiła się, łkała i jęczała.

— Wiem, że to głupie — zawodziła wysokim, zagubionym głosem — wybaczenie... nie wiem, co mi się stało...

Kilka godzin później — na dworze już pojaśniało, zaczął padać deszcz — leżała u boku Thomasa Lievena. Docierał do niego odgłos spadających kropeł i głos Mimi.

— ... Rozważałam to na wszystkie strony, ciągle na nowo. Nie dawało mi to spokoju...

— Rozumiem — rzekł stłumionym głosem — masz na myśli Simeona, prawda?

Nagle opadła mu na pierś. Jej łzy spadały na jego wargi, były ciepłe i słone.

— Ach, chéri, kocham cię, naprawdę kocham cię do szaleństwa... Ale właśnie ostatnie tygodnie w tym... w tym domu pokazały, że nie nadajesz się do małżeństwa...

— Jeśli masz na myśli Jeanne — zaczął, ale mu przerwała.

— Nie tylko ją! W ogóle! Jesteś mężczyzną stworzonym dla kobiet... ale dla wszystkich, nie dla jednej. Nie potrafisz być wierny...

— Mógłbym spróbować, Mimi.

— Nigdy nie będziesz tak wierny jak Jules! Jesteś od niego o całe niebo mądrzejszy, ale on jest znacznie bardziej romantyczny, ma swoje ideały.

— Mon petit chou, przecież nie musisz się wcale usprawiedliwiać! Już od dawna się tego spodziewałem. Oboje jesteście Francuzami. Kochacie swój kraj, swoją ojczyznę. Ja... ja na razie nie mam żadnej. Dlatego chcę wyjechać. A wy pragniecie tu zostać...

— Czy to znaczy, że mi wybaczysz?

— Nie mam ci czego wybaczać.

Przytuliła się do niego.

— Ach, proszę cię, proszę, nie bądź taki miły, bo znów nie będę mogła powstrzymać płaczu... Jakie to straszne, że nie można poślubić dwóch mężczyzn.

Thomas uśmiechnął się i poruszył głową. Uciskała go leżąca pod poduszką czarna teczka. Podjął już decyzję, że aż do swego odlotu nie wypuści jej z ręki. Nie mógł swych planów zrealizować w Tuluzie, po prostu nie miał na to czasu. Natomiast w Lizbonie chciał zadbać o to, by teczka nikomu już nie uczyniła krzywdy.

— Dzięki, chéri — usłyszał cichy szept Mimi. — Dzięki ci.

— Za co?

— Ach, za wszystko...

Pragnęła mu podziękować, musiała mu jeszcze raz podziękować, ogarnęło ją przemożne uczucie wdzięczności! Musiała mu podziękować za pogodę ducha i wspaniałomyślność, za krótkie godziny szczęścia, migotliwych świateł, wykwintnych hoteli, przedziałów w pociągach sypialnych, nocnych barów z przytłumioną muzyką i drogich restauracji z wyśmienitym jedzeniem.

Tak więc Mimi podziękowała Thomasowi jeszcze raz tego ponurego poranka, podczas gdy deszcz na zewnątrz bębnił o czarne kocie łby Rue des Bergeres, a oni zakończyli swą przygodę tak, jak ją zaczęli i jak zawsze kochający powinni kończyć swe przygody — miłością.

9

Thomas Lieven nie wiedział, że Wehrmacht, wywiad i kontrwywiad Wielkoniemieckiej Rzeszy celem pojmania go wszczął szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Dlatego też dwa dni później — radosny i pogodny — ucieszył się niezmiernie, gdy do kuchni restauracji Jeanne wpadł czerwony jak burak, potwornie zadyszany emigrant Walter Lindner. Thomas gotował właśnie zupę cebulową.

Lindner opadł na taboret, przewrócił słoik z ogórkami i zawołał:

— Moja żona... moja żona... Odnalazłem ją!

— Gdzie? Jak?

— Tu w Tuluzie!

Lindner śmiał się przez łzy. Było to chyba dobrane małżeństwo.

— Wchodzę ja sobie do kawiarenki przy Place du Capitole i chcę się właśnie przysiąść do szachistów z Brna, gdy nagle słyszę z tyłu jakiś kobiecy głos: „Przepraszam, czy nie zna pan czasem niejakiego pana Lindnera?”, a zaraz potem okrzyk: „Walter!” I już trzymam ją w ramionach.

Lindner odtńczył przed Thomasem taniec radości, który skończył się tragicznie dla jednej z salatek.

— A więc powstań i do boju! Dalejże! Idziemy do konsulatu! — wołał Lindner. — Teraz możemy już ruszać w drogę, panie Lieven. O Boże, jaka radość mnie rozpiera na myśl o nowym życiu!

A co dopiero mnie, pomyślał Thomas.

Tak więc, przyszli współnicy nie istniejącego jeszcze południowoamerykańskiego banku rzucili się w wir przygotowań do podróży. Żaden z krajów graniczących z Francją nie wydawał wówczas wiz wjazdowych. Szczytem marzeń była w tej sytuacji wiza tranzytowa, lecz i tę otrzymywali tylko ci, którzy dysponowali wizą wjazdową któregoś z krajów Ameryki.

Lindnerowie otrzymali wizę argentyńską natychmiast po przedstawieniu konsulowi Argentyny w Marsylii dowodów na to, że posiadają w banku „Rio de la Plata” konto opiewające na milion dolarów. Lindner oświadczył, iż zamierza zabrać ze sobą do Buenos Aires swego współnika, pana Jeana Leblanca, po czym owemu Jeanowi Leblancowi wbito autentyczną wizę wjazdową do nieautentycznego paszportu, który otrzymał niegdyś od człowieka zwanego Jupiterem w szkole agentów wywiadu pod Nancy. 26 sierpnia cała trójka otrzymała też portugalskie wize tranzytowe. W ten sposób pokonano ostatnią przeszkodę przed wyruszeniem w drogę do Ameryki. Thomas miał jeszcze coś do załatwienia, rozpiął więc dokładnie w czasie wszystkie swoje następne czynności. Od tego, czy uda mu się dotrzymać zaplanowanych terminów zależało bardzo wiele — między innymi jego życie. Po ostatniej telefonicznej konsultacji z majorem Debrasem w „Les Milan-des”, jego terminarz wyglądał następująco:

28 sierpnia: Wyjazd Thomasa Lievena wraz z małżeństwem Lindnerów do Marsylii.

29 sierpnia: Wyjazd majora Debrasa pociągiem przez Perpignan, Barcelonę i Madryt do Lizbony.

30 sierpnia: Odlot Thomasa Lievena i Lindnerów z Marsylii do Lizbony.

10 września: Wypłynięcie Thomasa Lievena i Lindnerów z Lizbony do Buenos Aires na pokładzie portugalskiego parowca pasażerskiego „General Carrona”.

Od 3 września major Debras i Thomas Lieven byli umówieni codziennie od dwudziestej drugiej w kasynie gry w Estoril w celu przekazania złowieszczej teczki. Thomas miał nadzieję, że między 30 sierpnia a 3 września zdąży w zawartości teczki dokonać pewnych niezbędnych korekt...

Przed południem 29 sierpnia pewien młody, elegancko ubrany mężczyzna przekroczył z ujmującym uśmiechem próg biura prywatnego amerykańskiego towarzystwa czarterowego „Rainbow Airways” przy Rue de Rome w Marsylii. Uchylając homburga, podszedł do okienka rezerwacji i odezwał się płynną francuszczyzną:

— Dzień dobry, monsieur. Nazywam się Leblanc. Chciałbym odebrać bilety lotnicze do Lizbony dla mnie i państwa Lindnerów.

— Proszę chwileczkę zaczekać.

Urzędnik kartkował listy pasażerów.

— Tak jest. Na jutro, piętnasta czterdzieści pięć...

Zaczął wypisywać bilety.

Tymczasem przed biurem zatrzymał się jakiś mikrobus. Po chwili do środka weszło dwóch pilotów i stewardesa. Z ich rozmowy wynikało, że dopiero co wylądowali i mieli jutro o piętnastej czterdzieści pięć lecieć do Lizbony.

W tej chwili Thomas doznał olśnienia.

Stewardesa nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Właśnie się malowała. Miała kształty regatowego jachtu, lekko skośne oczy, wysokie kości policzkowe, złocistobrązową cerę i wspaniałe kasztanowe włosy, opadające miękkimi puklami na piękne czoło. Sprawiała wrażenie chłodnej i trwożliwej. Sarenka... Thomas znał ten typ kobiet. Dokładnie wiedział, czym oto los go obdarzył. Gdy taki chodzący sopel zaczyna topnieć, nie zna opamiętania.

Trzydzieści serdecznych sekund poświęcił jeszcze Thomas Lieven wspomnieniu pożegnania z Mimi, Simeonem, Jeanne i jej damami przy Rue de Bergeres. Wszystkie wyczuły go na pożegnanie, nawet pułkownik uściskał go ze słowami: „Niech żyje wolność, towarzyszu broni!”, a Jeanne zalała się gorzkimi łzami, gdy nadszedła taksówka. Ach, co za piękna, wzruszająca scena rodzinna!

5Trzydzieści sekund minęło. Niestety, pomyślał Thomas, ale warunki nie sprzyjają mu... Sarenka nadal nakładała makijaż. Upuściła szminkę.

Działam ze szlachetnych pobudek, powiedział sobie Thomas, by etycznie podbudować swe zamiary. Potem podniósł szminkę i podał ją trwożliwej sarnie z piwnymi oczami, w których pobłyskiwały złociste iskierki.

— Bardzo dziękuję — powiedziała sarenka.

— Chodźmy już — rzucił Thomas.

— Nie rozumiem.

— A może ma pani jeszcze coś do załatwienia? Chętnie poczekam. Chyba najpierw pójdziemy do „Grand Hotelu”, gdzie mieszkam, i wypijemy aperitif. Obiad zjemy najlepiej u „Guido” przy Rue de la Paix. A po jedzeniu pójdziemy na basen się wykąpać.

— Chyba się panu coś...

— Nie chce się pani wykąpać. Proszę bardzo. W takim razie zostaniemy w hotelu i odpoczniemy.

— Jeszcze nigdy w życiu nie spotkało mnie coś takiego!

— Moja panno, dołożę wszelkich starań, by także jutro rano usłyszeć z pani ust te słowa!

Thomas wyjął z kieszeni kamizeli swój ulubiony repetier i uruchomił mechanizm. Rozległo się jedenaście czystych jak dzwon, delikatnych uderzeń, potem jeszcze dwa.

— Wpół do dwunastej. Widzę, że panią zdenerwowałem. Zdaję sobie sprawę z tego, że wywieram na kobietach wielkie wrażenie. A zatem, czekam na panią w barze hotelu „Grand”. Powiedzmy o dwunastej.

Sarenka odrzuciła głowę do tyłu i odeszła szczudłowatym krokiem. Wysokie obcasy stuknęły po kamiennej posadzce.

Thomas udał się do „Grand Hotelu”, zajął miejsce w barze i zamówił whisky. Sarenka zjawiała się trzy minuty po dwunastej. Miała ze sobą strój kąpielowy.

10

Thomas Lieven — szary flanelowy garnitur, biała koszula, błękitny krawat, czarne buty, homburg, parasolka — kroczył obok zażywnych państwa Lindnerów wśród pasażerów udających się po płycie lotniska w kierunku czekającego samolotu. Wyglądał na zadowolonego, acz niewyspanego.

Na szczycie podstawionych schodków, przy wejściu do kabiny, stała Mabel Hastings, stewardesa. Wyglądała na zadowoloną, acz niewyspaną.

— Cześć — powiedział Thomas, pokonując stopnie schodów.

— Cześć — powiedziała Mabel.

W jej pięknych oczach połyskiwały złociste ogniki.

Coś takiego, jak Thomas Lieven, rzeczywiście nie spotkało jej jeszcze nigdy w życiu. Po obiedzie u „Guido” nie poszli jednak popływać, lecz udali się do hotelu — przypadek sprawił, że mieszkali w tym samym — na wypoczynku.

Gdy rankiem 30 sierpnia Thomas pomagał Mabel Hastings w pakowaniu walizki, wyświadczyła mu — choć nie miała o tym pojęcia — kolejną przysługę, ściśle związaną z losami czarnej teczki...

Samolot przeleciał obok budynku portu lotniczego w kierunku pasa startowego. Thomas spoglądał z okienka w kabinie na krótko przyszytą murawę, gdzie spokojnie skubało trawę stadko owiec. Owce przynoszą szczęście, pomyślał. W tym momencie spostrzegł auto zatrzymujące się przed budynkiem dworca lotniczego. Z auta wyskoczył jakiś mężczyzna. Miał na sobie niebieski, zmięty garnitur i żółtawy, wymięty deszczowiec. Jego twarz lśniła od potu. Wymachiwał obiema rękami.

Co za pech, pomyślał Thomas. Samolot za chwilę wystartuje, i facet może szukać wiatru w polu.

I w istocie pilot zwiększył do maksimum obroty obu silników — ostatnia kontrola przed startem.

Wtem Thomas poczuł, jakby ktoś położył mu na plecach lodowatą dłoń. Ten wymachujący rękami człowiek przy budynku portu... Ta twarz... przecież ją znał... gdzieś już ją widział...

I nagle Thomas Lieven przypomniał sobie, gdzie widział tę twarz — w Głównej Kwaterze Gestapo w Kolonii! Facet nazywał się Loos i był majorem, oficerem niemieckiego kontrwywiadu! Z tego wynika, pomyślał Thomas Lieven, że mnie ścigają. Ale wszystko wskazuje na to, że dobry Bóg istnieje! Major Loos już po raz drugi zostanie przeze mnie wystrychnięty na dudka. Za pięć sekund samolot wystartuje, a potem...

Samolot nie wystartował. Huk pracujących na najwyższych obrotach silników zamilkł. Po chwili raptownie otworzyły się drzwi od kabiny pilotów. Stała w nich Mabel Hastings i powiedziała aksamitnym głosem:

— Proszę państwa, nie ma żadnych powodów do niepokoju. Zostaliśmy właśnie zawiadomieni przez radio, że przybył spóźniony

pasażer, który musi polecieć tym rejssem. Przyjmiemy go na pokład i natychmiast udamy się ponownie na pas startowy.

Po jakimś czasie na pokładzie zjawił się major Fritz Loos, przeprosił po angielsku pasażerów za zawinioną przez siebie zwłokę i zgiął się w stosownym ukłonie przed Thomasem Lievenem, ten zaś patrzył przed siebie, jakby nikogo przed sobą nie widział, jakby major był ze szkła.

11

Lizbona! Mały skrawek wolności i pokoju w Europie coraz bardziej pustoszonej przez wojnę i barbarzyństwo.

Lizbona!

Fantastyczny raj bogactwa, obfitości, piękna i elegancji pośród świata nędzy i niedoli.

Lizbona!

Eldorado tajnych służb, widownia potwornych i potwornie śmiesznych intryg.

Od chwili wylądowania Thomas Lieven wpadł natychmiast w sieć tych intryg. Zmęczony major Loos - w powietrzu zasnął nawet z otwartymi ustami, pochrapując z lekka — nie spuszczał go w Lizbonie z oka i nie odstępował ani na krok. Na lotnisku Thomas został poddany dokładnej kontroli celnej. Rozebrano go do naga, dokładnie przetrząśnięto jego bagaż i przeszukano wszystkie kieszenie. Zdawało się, że portugalska służba bezpieczeństwa otrzymała odpowiedni cynk.

Nie wiedzieć dlaczego, przy Thomasie Lievenie nie znaleziono ani pokaźnego majątku w dolarach, ani pewnej czarnej teczki, więc celnicy pożegnali go z przepisową uprzejmością. Tymczasem państwo Lindnerowie dawno już pojechali do hotelu.

Thomas podszedł do okienka odprawy paszportowej. Major Loos deptał mu po piętach. Thomas ruszył w stronę rzędu taksówek czekających przed portem lotniczym. Major Loos uczynił to samo. Ciągle jeszcze nie zamienili ze sobą ani słowa.

No to teraz cię troszkę rozruszam, mój stary, pomyślał Thomas, wskakując do taksówki. Loos za nim. Dwie taksówki ruszyły z piskiem opon w kierunku centrum miasta, położonego na siedmiu wzgórzach. Thomas spędził tu sześć tygodni wspaniałego urlopu, znał więc doskonale urzekającą stolicę Portugalii.

Kazał zatrzymać się taksówce na Praca Dom Pedro. Wsiadł. Za nim stanęła taksówka majora. Kafejki z ulicznymi ogródkami wokół wielkiego placu przepelnione były tłumem Portugalczyków i emigrantów, którzy namiętnie z sobą dyskutowali. Do uszu Thomasa Lievena docierały wszystkie języki Europy.

Dał się nieść ludzkiej ciżbie. W tłum wmieszał się także major, który rozpaczliwie usiłował nie stracić go z oczu.

Teraz, rzekł Thomas w myślach do majora, pobiegamy sobie nieco, mój stary. Ruch to zdrowie. I ruszył szybkim krokiem w dół, w gęstwinę wąskich, krętych uliczek nad morzem, by natychmiast zacząć się znów wspinać w stronę szerokich arterii śródmieścia. Przemierzał przesmyki i arkady, skręcał niespodziewanie na narożnikach ulic, ciągle jednak dbał o to, by nie stawiać majorowi zbyt wielkich wymagań. Loos miał go przeklinać, ale nie zgubić.

Ponad godzinę bawił się Thomas Lieven ze swą ofiarą w policjanta i złodziei, po czym znów wsiadł do taksówki i pojechał — w asyście majora — do rybackiej wioski Cascais w pobliżu luksusowego kąpieliska Estoril. Znał tu pewną elegancką restaurację położoną na nadmorskich tarasach.

Czerwonokrwiste słońce zanurzało się w morzu, nadchodził wieczór. Ta niewielka wioska rybacka w zatoce u ujścia Tagu była najbardziej malowniczą miejscowością w okolicy Lizbony. Thomas Lieven cieszył się już na myśl o cowieczornym spektaklu, którym znów będzie się mógł delektować — o powrocie floty rybackiej.

Wsiadł z taksówki przed restauracją. Za nim zatrzymało się stare, rozklekotane auto majora. Oficer niemieckiej Abwehry wygramolił się na zewnątrz, z trudem łapiąc powietrze. Wyglądał nietęgo.

Thomas postanowił zakończyć tę okrutną grę. Podszedł do Loosa, uchylił homburga i zwrócił się do niego tonem, jakim przemawia się do zagubionego dziecka:

— No to nareszcie sobie trochę odpoczniemy. Ostatnie dni były dla pana z pewnością męczące.

— Tak też to można nazwać.

Major próbował zachować nimb swego zawodu.

— Choćby pan uciekał na koniec świata — zaskrzeczał — i tak mi się pan już nie wymknie, Lieven!

— Co też pan wygaduje, staruszku, co też pan wygaduje! Nie jesteśmy już w Kolonii. Tu niemiecki major nie znaczy zbyt wiele, mój drogi Loos!

Major w cywilu z trudem przełknął ślinę.

— Może byłby pan tak miły i zwracał się do mnie per Lehmann, monsieur Leblanc.

— No, widzi pan. Ten ton znacznie bardziej mi odpowiada. Proszę usiąść, panie Lehmann. I niech pan spojrzy w dół. Czyż to nie cudowny widok?

W głębi pod nimi, na podobieństwo ogromnej chmary motyli, powracała do ujścia Tagu flota rybacka, mrowie łodzi z łańciskim ozaglowaniem. Jak przed tysiącem lat rybacy wciągali swe łodzie na ląd na drewnianych rolnkach, pokrzykując przy tym i śpiewając. Pomagały im kobiety i dzieci. Na ciemnej plaży rozpalono wkrótce ogień w niezliczonych, małych glinianych paleniskach.

— Jak mnie pan właściwie odnalazł? — spytał Thomas, spoglądając w kierunku plaży.

— rekonstruowaliśmy pańską drogę aż do Tuluzy. Tu ślad się urwał. Nawiasem mówiąc, chyłę czoła! Dziewczyny od madame Jeanne zachowały się wspaniale. Nie udało nam się nic z nich wydobyć. Ani prośbą, ani groźbą.

— Kto mnie zdradził?

— Pewien nikczemny osobnik... Nazywa się Alfonse... Musiał mu pan kiedyś dobrze zejść za skórę...

— Tak, tak... to z powodu tej biednej Bebe.

Thomas pogrążył się na chwilę w marzycielskich wspomnieniach, po czym spojrział majorowi prosto w oczy:

— Portugalia jest krajem neutralnym, panie Lehmann. Ostrzegam pana. Będę się bronił.

— Ależ, drogi panie Lieven... pardon, monsieur Leblanc, jest pan w błędzie. Otrzymałem zadanie od admirała Canarisa, by zapewnić panu całkowitą bezkarność, jeśli wróci pan do Niemiec. Poza tym zlecono mi, bym wydobył od pana wiadomą teczkę...

— Ach tak.

— Czego pan żąda? — major pochylił się nad stołem. — Wiem, że jest pan jeszcze w posiadaniu tych list.

Thomas spuścił wzrok, po czym wstał i przeprosił na chwilę.

— Muszę zadzwonić — powiedział.

Nie skorzystał wszakże z telefonu w restauracji. W tych okolicznościach nie wydawało mu się to całkiem bezpieczne. Przeszedł kawałek ulicą do budki telefonicznej, zadzwonił do hotelu „Palacio do Estoril-Parque” i poprosił miss Hastings. Amerykańska stewardesa zgłosiła się natychmiast.

— Ach, Jean, gdzie się podziewasz? Tak tęsknię!

— Wróć chyba bardzo późno, hm, hm. Interesy. Mabel, dziś rano, gdy w Marsylii pomagałem ci się pakować, wsadziłem przez

pomyłkę do twojej walizki czarną teczkę. Bądź tak miła i zanieś ją na dół do recepcji. Niech ją schowają do sejfów.

— Dobrze, darling... I proszę, proszę, postaraj się nie wrócić z byt późno. Przecież muszę jutro lecieć do Dakaru!

W tej chwili ogarnęło go nieprzeparte uczucie, że ktoś stoi pod drzwiami budki i podsłuchuje. Gwałtownie otworzył drzwi. Jakiś chudy facet poleciał z okrzykiem do tyłu, chwytając się za bolące czoło.

— O, pardon — rzekł Thomas Lieven, po czym uniósł brwi i uśmiechnął się z pokorą.

Znał tego człowieka, który wyglądał jak bliski krewny majora Loosa. Thomas spotkał go na lotnisku w Londynie w maju 1939 roku, gdy został wydalony z Anglii. Wydalony właśnie przez niego.

Rozdział trzeci

1

A więc jednak do tego doszło, pomyślał Thomas. Postradałem zmysły! Wydaje mi się, że w facecie, którego właśnie wyrzniętem w łeb drzwiami portugalskiej budki telefonicznej, rozpoznaję pana Lovejoy z „Secret Service”. Coś takiego może nasunąć myśl o obłądnie, bo przecież ten człowiek nie może być Lovejoy'em. Jakim cudem trafiłby z Londynu tu, na przedmieścia Lizbony? I czego niby miałby tu szukać?

Thomas zdecydował się na śmiały eksperyment. Zagadam tę zjawę, ten wytwór mojej chorej wyobraźni nazwiskiem „Lovejoy”, pomyślał. I natychmiast się dowiem, czy naprawdę zwariowałem.

— Jak się panu powodzi, panie Lovejoy? — spytał, marszcząc brwi.

— Gorzej niż panu, mister Lieven — odpowiedział chudzielec bez wahania. — Myśli pan, że sprawiało mi przyjemność uganiać się za panem po całej Lizbonie? A teraz jeszcze te drzwi!

Lovejoy wytarł sobie chusteczką pot z karku. Na jego czole wyrastał powoli acz nieustannie okazały guz.

Czyli nie ja oszalałem, lecz świat, w którym żyję! I ten obłąd postępuje! Na domiar złego wszystko wskazuje na to, że w tym szaleństwie jest metoda, pomyślał Thomas. Zaczerpnął głęboko powietrza, oparł się o budkę telefoniczną i zapytał:

— Co pan robi w Lizbonie, mister Lovejoy?

Rzecznik wielkobrytyjskich interesów skrzywił się.

— Byłbym panu wdzięczny — powiedział — gdyby nazywał mnie pan Ellington. Tak mianowicie nazywam się w Portugalii.

— Ręka rękę myje. W takim razie niech pan mówi do mnie Leblanc. Tak mianowicie ja nazywam się w Portugalii. Poza tym nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Jak widzę, ciągle jeszcze ma pan nas, ludzi z wywiadu, za idiotów, co? — odpowiedział pytaniem wzburzony człowiek, który zwał się akurat Ellington.

— Serdecznie proszę — rzekł grzecznie człowiek, który zwał się akurat Leblanc — by oszczędził mi pan odpowiedzi na to sugestywne pytanie.

Brytyjski agent podszedł do niego bardzo blisko.

— Sądzi pan — zaczął — że my nie mamy pojęcia o osobistym zainteresowaniu panem admirała Canarisa? Sądzi pan, że nie przechwytyjemy w Londynie niemieckich radiogramów?

— Myślałem, że nadają szyfrem.

— Posiadamy kod deszyfrujący.

— A Niemcy wasz — powiedział Thomas, rozbawiony nagle co niemiara. — Dlaczego właściwie nie zasiądziecie do jednego stołu i nie pogracie w Czarnego Piotrusia?

— Wiem, że jest pan cynikiem bez serca — rzekł rozsierdzony Anglik. — Wiem, że nie uznaje pan żadnej świętości. Przejrzałem pana natychmiast, już wówczas na lotnisku w Londynie. Jest pan osobnikiem bez poczucia humoru, bez moralności, głupcem bez charakteru...

— Pochlebca!

— I dlatego powiedziałem natychmiast: Pozwólcie mi z nim porozmawiać! Ten człowiek zna tylko jeden język — ten!

Lovejoy potarł o siebie kciuk i palec wskazujący.

— Chwileczkę, chwileczkę, wszystko po kolei! Niech mi pan w końcu powie, skąd pan się tu wziął!

Lovejoy wyjaśnił. Jeśli wierzyć w jego słowa — a zabrzmiało to wszystko dość wiarygodnie — brytyjski wywiad rzeczywiście przechwyił wszystkie radiogramy, które dotyczyły pościgu majora Loosa za Thomasem Lievenem. Ostatni meldunek radiowy przyniósł radosną wieść, że Loos udaje się za poszukiwanym do Lizbony.

— ... do Lizbony — zakończył Lovejoy swą relację. — W tej sytuacji — ciągnął dalej — natychmiast udałem się specjalnym samolotem do Portugalii. Wylądowałem dwie godziny przed panem. Śledziłem pana od lotniska aż tutaj. Pana i tego drugiego pana, który siedzi teraz tam, na tarasie restauracji. To chyba major Loos.

— Co za inteligencja! To pan nie zna osobiście majora Loosa?

— Nie.

— Mój Boże, w takim razie niech pan pójdzie ze mną do restauracji. Zapoznam panów. Zjemy razem kolację, oczywiście małże, w Cascais trzeba zjeść małże...

— Niech pan przestanie opowiadać te bzdury! Wiem, że gra pan na dwa fronty.

— Aha!

— W pańskim posiadaniu znajduje się teczka z wykazem najważniejszych francuskich agentów we Francji i w Niemczech. Nie dopuszczę do tego, by przehandlował ją pan ze sławetnym majorem Loosem! Z pewnością zaoferuje panu pieniądze, sporą sumkę...

— Dałby Bóg, żeby miał pan rację!

— ... ale ja oferuję panu tyle samo, a nawet więcej!

Lovejoy roześmiał się z pogardą.

— Wiem, że interesują pana tylko pieniądze! Dla nich gotów pan poświęcić honor i wiarę, przy nich nic nie znaczy dla pana sumienie i skrucza, idealizm i przyzwoitość...

— Dość! — powiedział Thomas ostrym tonem. — Starczy już tego. Niech się pan natychmiast zamknie. Któż to uniemożliwił mi powrót do Anglii, kto przeszkodził wieść nadal żywot spokojnego obywatela? Kto maczał palce w tym, by zniszczyć moją egzystencję? Pan i pańskie po trzykroć tajne służby. Sądzi pan, że budzi pan moją sympatię, sir?

I pomyślał: No to teraz dopiero dam wam popalić, paskudne łotry. Wszystkim!

— Niech pan wybaczy moją nieobecność — powiedział Thomas Lieven, gdy w trzy minuty później wrócił do majora Loosa, którego można by wziąć za bliskiego krewnego jego anglosaskiego kolegi po fachu.

— Spotkał pan znajomego, co? Stąd widać tę budkę telefoniczną.

— Tak, tak, starego znajomego! I pańskiego konkurenta, panie Lehmann.

Na tarasie restauracji rozbłysły tymczasem dziesiątki zniczy, zaś z głębi jeszcze dobiegał gardłowy, uroczysty śpiew rybaków. Od strony ujścia Tagu wiał łagodny północno-zachodni wiatr. Rzeka przybrała o zmierzchu barwę przyćmionej masy perłowej.

— Konkurenta? — powtórzył Loos nerwowo.

— Ten pan pracuje dla „Secret Service”.

Loos walnął pięścią w stół.

— Przeklęty łajdak — krzyknął porywczo.

— Ejże, ejże, panie Lehmann — rzekł Thomas karcąco. — Jeśli nie potrafi pan zachować odpowiednich manier, zrezygnuję z pańskiego towarzystwa!

Major opanował się.

— Jest pan Niemcem. Apeluję do pańskich uczuć patriotycznych...

— Lehmann, ostrzegam pana po raz ostatni — ma się pan zachowywać przyzwoicie!

— Niech pan wróci ze mną do ojczyzny. Daję panu słowo honoru oficera Abwehry, że nic się panu nie stanie! Słowo honoru oficera wywiadu to rzecz święta. Nie ma pan chyba wątpliwości...

— Nie mam. Po prostu w nie nie wierzę — oznajmił Thomas łagodnie.

Major z trudem przełknął ślinę.

— W takim razie niech mi pan sprzeda tę czarną teczkę. Dam panu trzy tysiące dolarów.

— Ten pan z Londynu już teraz oferuje dwa razy tyle.

— Ile pan żąda?

— Głupie pytanie. Jak najwięcej.

— Jest pan kanalią bez charakteru.

— Zgadza się, pański kolega też to stwierdził przed chwilą.

Wyraz twarzy majora zmienił się nagle.

— Mój Boże, że też nie możemy przeciągnąć pana na naszą stronę... — wymamrotał z podziwem.

— Ile, Lehmann, ile?

— Nie mogę... Muszę skontaktować się z Berlinem, poprosić o nowe wytyczne...

— Niech pan poprosi, Lehmann. Niech pan poprosi i niech się pan pośpieszy. Mój statek odbija za kilka dni.

— Proszę mi tylko jedno powiedzieć — jak pan przemycił tu tę teczkę. Przecież portugalscy celnicy sprawdzili pana cal po calu.

— Zapewniłem sobie pomoc z zewnątrz.

Thomas pomyślał z wdzięcznością o trwożliwej sarence.

— Wie pan, Lehmann, by móc stosować takie triki, trzeba dysponować pewnym drobiazgiem, który zarówno dla pana, jak i panu podobnych jest nieosiągalny.

— Mianowicie?

— Urokiem.

— Pan mnie nienawidzi, co?

— Panie Lehmann, wiodłem szczęśliwe życie, należałem do nie wadzących nikomu obywateli. Pan i pańscy koledzy z Anglii i Francji ponoszą winę za to, że teraz tu tkwię. Czy mam za to pałać do pana miłością? Nie chciałem mieć z wami nic do czynienia. Teraz się martwię, jak sobie ze mną poradzić. Gdzie pan mieszka?

— W Casa Senhora de Fatima.

— Ja w hotelu „Palacio do Estoril-Parque”. Tam, gdzie ów pan z Londynu. Niech pan zapyta swego szefa, ile jest dla niego warta moja czarna teczka. Pański kolega uczynił to już dziś w nocy... No to zabierzmy się wreszcie do jedzenia!

Noc była ciepła.

Thomas Lieven wrócił do Lizbony odkrytą taksówką. Obserwował jak biły o brzeg, pobłyskując w księżycowej poświacie, spienione fale morskie, patrzył na luksusowe wille wzdłuż szerokiej arterii, na pogrążone w mroku gaje piniowe, palmy i położone na łagodnych wzgórzach romantyczne lokale, skąd docierał do niego kobiecy śmiech i przytłumiona muzyka taneczna.

Przejeżdżał obok modnego kąpieliska Estoril, obok rześcicie oświetlonego kasyna gry i dwóch wielkich hoteli.

Europa coraz bardziej zamieniała się w gruzy i zgliszcza, ale tu żyło się jeszcze jak w raj.

W zatrutym raj, pomyślał Thomas Lieven, w śmiertelnym Ogrodzie Edenu, pełnym gadów różnej maści, którzy szpiegowali się nawzajem i dybali na swe życie. Tu, w stolicy Portugalii, wyznaczyli swe spotkanie, tu się panoszyli i masowo uprawiali swój niecny proceder, panowie tak zwanej „piątej kolumny”, arlekin diabła...

Thomas Lieven wysiadł w sercu Lizbony na reprezentacyjnym, wyłożonym czarno-białą mozaiką Praca Dom Pedro. Uliczne ogródki wielkich kawiarni, które rozsiadły się na obrzeżach ogromnego placu, ciągle jeszcze tętniły życiem, pełne były miejscowych i obcych.

Zegary wieży kościelnej potężnymi uderzeniami oznajmiły wszem i wobec godzinę jedenastą w nocy. Jeszcze nie przebrzmiały dzwony, gdy Thomas spostrzegł, ku swemu zdumieniu, jak setki Portugalczyków i uciekinierów z Austrii, Niemiec, Polski, Francji, Belgii, Czechosłowacji, Holandii i Danii zerwały się z krzesel i popędziły ku południowej części Praca Dom Pedro. Thomas dał się ponieść fali ludzkich ciał.

W tej części placu mieścił się okazały budynek redakcji jednej z gazet. Na dachu tegoż budynku zamontowano gazetę świetlną, która właśnie podawała najnowsze wiadomości. Tysiące oczu śledziło w napięciu przesuwające się napisy, które dla wielu oznaczały życie lub śmierć.

Thomas czytał:

...(DNB): *Po konsultacji w wiedeńskim pałacu Belvedere niemiecki minister spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop i włoski minister spraw zagranicznych Ciano wyjaśniają ostatecznie problem nowego przebiegu granic między Węgrami i Rumunią...*

(United Press): *Niemiecka Luftwaffe kontynuuje zmasowane ataki na Wyspy Brytyjskie — Ciężkie straty i ofiary w ludziach w Liverpoolu, Londynie, Weybridge i Felixtown...*

(International News Service): *Zmasowane ataki włoskich ciężkich bombowców na brytyjskie magazyny wojskowe w Północnej Afryce...*

Thomas Lieven odwrócił się i spojrzął w twarz tłumu. Niewiele spostrzegł twarzy obojętnych, bez wyrazu, na niezliczonych zaś mało-wała się udręka, strach, prześladowanie i beznadzieja.

W drodze do hotelu Thomas Lieven został czterokrotnie zaczepiony przez piękne, młode kobiety — wiedenkę, prażankę i paryżankę. Czwartej najmłodszej, na poły jeszcze dziecka o wyglądzie madonny, wręczył pieniądze i życzył wszystkiego dobrego. Powiedziała mu, że zbiegła z Hiszpanii, przed generałem Franco.

W ogrodzie sześciopiętrowego „Parque-Hotel” roznosił się odurzający zapach kwiatów. Także hall tonął w powodzi egzotycznego kwiecica. Gdy Thomas Lieven przekroczył jego próg, spoczęły na nim dziesiątki uważnych, napiętych, nieufnych i zaniepokojonych spojrzeń.

Także tu słyszało się prawie wszystkie języki Europy.

Tylko że tu nie zasiadali udręczeni, zatrwożeni i pozbawieni nadziei ludzie. Hall wypełniał tłum agentów i agentek, którzy pośród luksusu i dobrobytu uprawiali swój tyle podły, co i idiotyczny proceder. Wszyscy w imieniu swych krajów ojczystych.

Gdy tylko Thomas przekroczył próg swego apartamentu, jego szyję objęły delikatne ramiona, wyczuł perfumy Mabel Hastings. Młoda stewardesa miała na sobie sznur białych pereł i buty na wysokim obcasie, nic więcej.

— Ach Jean, wreszcie... wreszcie... Tak czekałam!

Pocałowała go czule, on zaś...

— Gdzie czarna teczka? — zadał rzeczowe pytanie.

— Zdeponowałam ją w hotelowym sejfie, tak jak kazałeś.

— To dobrze — powiedział Thomas Lieven. — W takim razie możemy teraz rozmawiać już tylko o miłości.

Następnego ranka, o wpół do dziewiątej, zmęczona, acz zadowolona i pogodna Mabel Hastings poleciała do Dakaru. Następnego poranka, o godzinie dziesiątej, Thomas Lieven — zadowolony, pogodny i wcale nie zmęczony — zabrał się, po obfitym śniadaniu, do roboty. Przed opuszczeniem Europy zamierzał jeszcze wziąć srogi odwet na swych prześladowcach z niemieckiego, angielskiego i francuskiego wywiadu...

Rankiem 31 sierpnia 1940 roku pewien elegancko ubrany pan wszedł do największej księgarni w mieście przy Avenida da India.

Poszukiwał planów niemieckich i francuskich miast. I znalazł je. Między innymi w bedekerze z roku 1935. Dokonawszy zakupów, Thomas Lieven udał się na Poczta Główną. Jedna ze starszych urzędniczek nie oparła się jego urokowi i sztuce przekonywania — Thomas mógł przez godzinę korzystać z książek telefonicznych pięciu niemieckich i czternastu francuskich miast. Poczta Główna światowego miasta, Lizbony, dysponowała kompletnym zestawem wszystkich europejskich spisów telefonicznych.

Z tychże spisów Thomas Lieven wynotował 120 nazwisk i adresów. Następnie przy Rua Augusta kupił maszynę do pisania i papier, po czym wrócił do hotelu, kazał sobie wydać z sejfu czarną teczkę i udał się do swego przyjemnie chłodnego apartamentu, z którego okien roztaczał się widok na park z baśniowymi roślinami i drzewami, fontannami i kolorowymi papugami. W celu uzyskania odpowiedniej równowagi ducha zadzwonił po dyżurującego na piętrze kelnera i kazał sobie jeszcze szybko podać krem pomidorowy. Wreszcie zabrał się do pracy.

Otworzył czarną teczkę, gdzie ukrył całą posiadaną przez siebie gotówkę. Oprócz niej znajdowało się tu sześć zapisanych drobnym maczkiem list oraz plany konstrukcyjne nowych ciężkich czołgów, miotaczy ognia oraz myśliwca bombardującego.

Najchętniej zaraz wyrzuciłbym to przekłete paskudztwo prosto do kloaki, pomyślał Thomas, ale major Debras z pewnością wie o tych planach i natychmiast odkryłby ich brak. Natomiast panowie Lovejoy i Loos nie mają o nich pojęcia, oni chcą tylko listy. I dostaną je...

Spojrzał na sześć arkuszy papieru maszynowego. Znajdowały się na nich nazwiska oficerów i cywilnych pracowników „Deuxieme Bureau”, francuskich agentów w Niemczech oraz konfidentów w Niemczech i we Francji — ogółem 117 nazwisk.

Obok nazwisk widniały adresy, a za nimi dwa zdania — hasło i odzew. Dopiero po zgodnej z ustaleniami odpowiedzi miało się pewność co do tożsamości agenta.

Thomas Lieven rzucił okiem na zawarte w dokumencie dane.

Willibald Lohr, przeczytał, Düsseldorf, Sedanstrasse 34; 1. „Czy widział pan może małego, szarego pudła karłowatego z czerwoną obrozą?” 2. „Nie, ale poza miastem, w Lichtenbroich, sprzedają jeszcze miód.

Albo: Adolf Kunze-Wilke, Berlin-Grünwald, Bismarckallee 145; 1. „Czy to pańskie gołębie tam na pokrytym miedzianą blachą dachu altany?” 2. „Niech pan nie zbacza z tematu. Pański ubiór pozostawia dużo do życzenia.”

I tak dalej.

Thomas pokiwał głową i westchnął. Potem wkręcił arkusz papieru w maszynę do pisania i rozłożył plan Frankfurtu nad Menem. Z monachijskiej książki telefonicznej wynotował między innymi nazwisko Friedrich Kesselhuth.

Teraz wystukał je na maszynie, po czym pochylił się nad planem Frankfurtu.

Weźmy na przykład Erlenstrasse, pomyślał. Erlenstrasse dochodzi do Maizner Landstrasse. Spojrzał na podziałkę mapy 1: 16 000.

Ile domów może stać przy Erlenstrasse? — zastanawiał się. Trzydzieści? Może czterdzieści? W każdym razie na pewno nie sześćdziesiąt. Chociaż... Lepiej mieć absolutną pewność.

Zaczął pisać: Friedrich Kesselhuth, Frankfurt am Main, Erlenstrasse 77. I dalej: 1. „Czy ta mała ekspedientka pod Fechenheim jest właściwie blondynką czy brunetką?” 2. „Musi pan natychmiast zjeść ten harceński serek, bo zanieczyszcza powietrze.”

Tak, następny proszę.

Niejakiego Paula Giggenheimera z Hamburga-Altony przeniósł Thomas do Düsseldorfu, do domu numer 51 położonego przy króciutkiej Rubensstrasse. 1. „John Galsworthy skończył 66 lat.” 2. „Musimy odzyskać nasze kolonie.”

To był numer dwa, pomyślał Thomas. Pozostało mi jeszcze stu piętnastu. W dodatku muszę jeszcze trzykrotnie przepisać te bzdury. Dla Lovejoya. Dla Loosa. Dla Debrasa. Niezła robótka. Ale bardzo opłacalna!

Znów zabrał się do pracy.

Po pół godzinie opadły go nagle paraliżujące wątpliwości. Podszedł do okna i spojrzął w dół na park.

Psiakrew, pomyślał, przecież to wszystko bez sensu!

Chciałem zniszczyć prawdziwe listy, bo mogłyby stać się przyczyną kolejnych nieszczęść, obojętnie w czyje by wpadły ręce — Niemców, Anglików czy Francuzów. Chcę tym samym uchronić życie wielu ludzi.

Z drugiej strony pragnę zemsty na tych idiotach, którzy zniszczyli moje życie. I czy w ten sposób rzeczywiście się na nich zemszczę? Czy w ten sposób naprawdę zapobiegnę kolejnym nieszczęściom?

Gdy Francuzi i Anglicy zaczną korzystać z moich sfalszowanych list stwierdzą, że nic się tu nie zgadza. I o to chodzi! Ale Niemcy!?

Przyjmijmy, że we Frankfurcie mieszka ktoś, kto nosi to samo nazwisko, co monachijszyk Fredrich Kesselhuth, tylko po prostu nie ma telefonu. Albo na przykład, że tymczasem przedłużono Erlenstrasse

we Frankfurcie i istnieje już dom oznaczony numerem 77. Wówczas gestapo arestuje wszystkich mężczyzn o nazwisku Kesselhuth. Zostaną poddani torturom, uwięzieni, zabici...

A przecież to dopiero pierwsze nazwisko i pierwszy adres na mojej liście. Pozostaje jeszcze 116 przypadków!

Chyba, że panowie ze wszystkich trzech wywiadów zorientują się, że wcisnąłem im kit i wyrzucą te listy do kosza. Może są przynajmniej na tyle inteligentni. Choć po moich dotychczasowych doświadczeniach nawet na to nie mogę liczyć!

A 3 września przybędzie Debras i zażąda wydania teczek. Co robić?

Jak łatwo przychodzi ludzi zdradzać i zabijać, ile trudu i mozołu kosztuje ratowanie ich życia, chronienie przed bólem, prześladowaniem i śmiercią...

3

Zadzwoił telefon.

Thomas Lieven otrząsnął się z myśli i podniósł słuchawkę. Przymknął oczy, gdy usłyszał dobrze znany mu głos.

— Tu Lehmann. Rozmawiałem z wiadomym panem. A zatem — 6000 dolarów.

— Nie — rzekł Thomas Lieven.

— Co nie? — w głosie majora z Kolonii pobrzmiwała panika — już pan sprzedał?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

Thomas spoglądał zaszępiiony na wkręconą w maszynę kartkę papieru.

— Jeszcze prowadzę pertraktacje. Przyjmuję do wiadomości pańską ofertę. Niech pan zadzwoni jutro.

I odłożył słuchawkę.

Jeden z tych facetów na moich listach powinien się nazywać Fritz Loos, pomyślał wściekły. Potem zapakował wszystkie papiery do teczek i zniósł ją do głównego recepcjonisty, który ponownie zamknął ją w sejfie. Thomas zamierzał przejść się nieco i rozważyć całą sytuację. Musiało istnieć jakieś wyjście, musiało, musiało...

W hallu siedział agent Lovejoy. Na jego czole ciągle jeszcze widniał potężny guz.

Na widok Thomasa Lovejoy zerwał się na równe nogi i podszedł do niego z wyrazem żądy w oczach.

— To ta teczka, co? Widziałem ją wyraźnie. A zatem?

— Prowadzę jeszcze pertraktacje. Proszę spytać jutro.

— Niech pan posłucha, dam panu więcej niż naziści, na pewno ich przebiję.

— Dobrze już, dobrze — powiedział Thomas Lieven i zostawił go na środku hallu.

Pogrążony w myślach, wyszedł na skąpaną w słońcu ulicę. Pogrążony w myślach, przemierzał miasto. Na Avenida da Liberdade musiał się zatrzymać. Pod palmami przeciągał kondukt żałobny. Policjanci zatrzymali ruch. Musiał umrzeć jakiś znany Portugalczyk, bo w jego ostatniej drodze towarzyszyły mu setki przejętych, przyodzianych w czerni kobiety i mężczyźni. Wielu z nich płakało. Przechodnie zdejmowali czapki z głów. Słychać było głośne modlitwy, pachniało kadzidłem.

To niesłychane! Poprzez pomruk żałobników przedarł się nagle chrapliwy śmiech. Jakiś elegancki, młody człowiek w tak potwornie nietaktowny sposób zakłócił żałobny nastrój.

— Wstrętny cudzoziemiec — oceniła jakaś staruszka i splunęła mu pod nogi.

— Tak, materko, tak — rzekł Thomas Lieven i z parasolem na ramieniu, tak szybko, jak tylko mógł, pomaszerował w stronę pobliskiego Dworca Głównego.

W hallu znajdował się wielki kiosk z gazetami i pismami ilustrowanymi z całego świata. Wisieli tu obok siebie przyjaźnie Churchill i Hitler, Göring i Roosevelt, w otoczeniu roznegliżowanych dziewczyn, nagich chłopców i wojowniczych nagłówek w wielu językach.

— Poproszę gazety — rzucił zadyszany Thomas Lieven do pomarszczonego, starego sprzedawcy. — Wszystkie francuskie i wszystkie niemieckie.

— Mam tylko przedwczorajsze.

— Nie szkodzi! Niech pan daje wszystko, co pan ma. Z zeszłego tygodnia też. I sprzed dwóch.

— Pił pan coś?

— Jestem trzeźwy jak niemowlę. No rusz się, papo!

Starzec wrzucił ramionami, po czym sprzedał dziwnemu klientowi wszystkie zalegające na półkach, zdezaktualizowane numery gazet i czasopism. Thomas kupił całą stertę, między innymi „Das Reich”,

„Das völkische Beobachter”, „Berliner Zeitung”, „Deutsche Allgemeine Zeitung”, „Münchener Neueste Nachrichten” oraz „La Matin”, „L’Oeuvre”, „Le Petit Parisien”, „Paris Soir” i dziewięć francuskich pism regionalnych.

Z paczką starej prasy Thomas Lieven wrócił do hotelu, zamknął się w swym apartamencie i zaczął studiować nieaktualne, zakurzone gazety, przy czym interesowały go wyłącznie ostatnie strony i tylko te szpalty, na których ogłaszano nekrologi. Codziennie umierało wielu ludzi w Paryżu i w Kolonii, Tuluzie i Berlinie, w La Havre i w Monachium. Umarli nie bali się już gestapo.

Thomas Lieven zaczął stukać na maszynie. Praca posuwała się tym razem błyskawicznie. Teraz mógł nawet z czystym sumieniem podawać prawdziwe adresy...

2 września nasz przyjaciel nabył w sklepie z artykułami skórzanymi przy Avenida Duarte Pacheco dwie czarne teczki. Wczesnym popołudniem zjawił się z jedną z nich w eleganckich salonach pana Gomesa dos Santos.

Pan dos Santos, jeden z najlepszych krawców Lizbony, osobiście uścisnął mu rękę na powitanie. Jego twarz jaśniała dobrodusznym uśmiechem i nadawała mu majętny wygląd. Pan Santos miał w ustach masę złota.

W garderobie wykładanej delikatną, różową jedwabną tapetą Thomas Lieven spotkał się z majorem Loosem. Agent ubrany był w szykowny, nowy garnitur z ciemnej flaneli.

— Dzięki Bogu — rzekł Loos z ulgą na widok Lievena.

Ten człowiek od trzech dni bezustannie szarpał mu nerwy. Spotykał się z nim wielokrotnie w barach, hotelowych hallach, na plaży. I ciągle go zwodził.

— Jeszcze się nie zdecydowałem — mówił. — Muszę jeszcze raz porozmawiać z Anglikiem.

Tę samą grę Thomas Lieven prowadził z Lovejoy’em. Jego też zwodził, zapewniając, że konkurent oferuje więcej, ciągle jeszcze więcej. W ten sposób obaj panowie doszli do sumy 10 000 dolarów, co zdawało się satysfakcjonować Thomasa.

— Do chwili pańskiego odjazdu — oznajmił o bu panom poważnie — musi pan zachować w absolutnej tajemnicy, że właśnie panu sprzedałem teczkę, w przeciwnym razie grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego też przekazanie materiału musi nastąpić w miejscu nie wzbudzającym niczyich podejrzeń.

Loos zdecydował się na przebieralnię w królestwie pana dos Santosa.

— Wspaniały facet ten krawiec! — wyjaśnił Thomasowi. — Jest w stanie w ciągu trzech dni uszyć panu na miarę znakomity garnitur z najlepszej angielskiej tkaniny.

Poklepał się po rękawie.

— Niech pan dotknie — powiedział.

— Rzeczywiście, wspaniały.

— Wszyscy tu szyjemy.

— Kto, wszyscy?

— Wszyscy rezydujący w Lizbonie agenci.

— I to pan nazywa miejscem nie budzącym podejrzeń?

Loos był zachwycony swą własną przebiegłością.

— Właśnie dlatego! — wyjaśnił. — Nie rozumie pan? Nikomu z miłych panów kolegów nigdy nie przyszłoby na myśl, że jestem tu służbowo!

— Aha.

— Poza tym dałem Jose'mu sto escudos.

— Jakiemu Jose'mu?

— To krojczy. Nikt nam tu nie przeszkodzi.

— Ma pan pieniądze?

— Oczywiście. W tej kopercie. A listy?

— W tej teczce.

Major Loos przejrzał sześć list ze stu siedemnastoma adresami, a Thomas Lieven kopertę z dwustoma pięćdziesięciodolarowymi banknotami. Zdawało się, że obaj byli zadowoleni z tego, co zobaczyli.

Major uścisnął Thomasowi rękę.

— Odlatuję za godzinę. Dużo szczęścia, stary draniu. Autentycznie pana polubiłem. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

— Mam nadzieję, że nie.

— No to — Heil Schicki!

Loos podniósł do góry prawe ramię.

— Co, proszę?

— Tak mówią członkowie naszej tutejszej misji. Ten facet nazywał się kiedyś podobno Schicklgruber. Mamy tu na południu samych kapitalnych facetów, naprawdę. Powinien pan poznać ich bliżej.

— Nie, nie, bardzo dziękuję.

— To wcale nie naziści!

— Oczywiście, że nie — powiedział Thomas Lieven. — Szczęśliwej podróży, panie Lehmann. I niech pan pozdrowi ode mnie admirała Canarisa, choć nie znam go osobiście.

4

W związku ze szczególną sytuacją polityczną Portugalii, nie pokazujemy kroniki filmowej — głosiła tablica w foyer lizbońskiego kina „Odeon”.

Ale niemiecki film „Chrzest bojowy” wyświetlano w kinie „Odeon”!

W trakcie projekcji o godzinie szesnastej, Thomas Lieven spotkał się w jednej z łóż z angielskim agentem Lovejoy’em. Podczas gdy na ekranie niemieckie sztukasy szalały nad Warszawą, czarna teczka i 10 000 dolarów znów zmieniły właścicieli. W czasie gdy na ekranie eksplodowały bomby, wylatywały w powietrze domy i rozbrzmiewała dziarska marszowa muzyka, Lovejoy wrzeszczał Thomasowi Lievenowi do ucha, by przekrzyczeć bitewną wrzawę:

— Specjalnie zdecydowałem się na to właśnie kino. Tu możemy sobie spokojnie porozmawiać, bo tu nikt nas nie zdoła podsłuchać. Sprytnie, co?

— Bardzo sprytnie!

— Nazista pęknie ze złości!

— Kiedy odlatuje pan do Londynu?

— Jeszcze dziś wieczorem.

— No to, szczęśliwej podróży.

— Coooo?!

— Życzę panu szczęśliwej podróży — wrzasnął mu Thomas prosto w ucho.

Thomas oczywiście dawno już podarł na strzępy i splukał w łazience swego apartamentu autentyczne dokumenty. W oryginalnej czarnej teczce, która spoczywała w sejfie „Parque-Hotel”, na majora Debrasa czekał trzeci egzemplarz sfabrykowanych list z nazwiskami 117 drogich zmarłych.

Debras zatrzymał się w Madrycie. Zgodnie z umową chciał przybyć do Lizbony 3 września.

— Od 3 września — powiedział ongiś — czekamy na siebie co wieczór od dwudziestej drugiej w salonie gry w Estorilu.

Teraz jeszcze załatwić majora, myślał Thomas Lieven, jadąc 3 września wieczorem szybką kolejką miejską do Estorilu, a potem zaszyć się do 10 września w jakimś pensjonacie!

10 września wypływał jego statek, „General Carnona”. Lepiej będzie, jeśli do tego czasu zniknę z pola widzenia, myślał Thomas, bo nie można wykluczyć, że tymczasem przynajmniej panowie w Berlinie zorientują się, jakiego im wywinąłem psikus.

Nieprawdopodobne było natomiast, by major Debras coś przewąchał. Miał się przecież niezwłocznie udać w dalszą drogę do Dakaru. Kiedyś, w bliskiej przyszłości, myślał Thomas, także on bardzo się mną rozczaruje. Biedny chłopak! Tak go lubię. Ale z ręką na sercu, cóż miałem począć? Na moim miejscu z pewnością wpadłby na ten sam pomysł. Josephine jest kobietą. Ona mnie zrozumie...

5

— Mesdames, messieurs, faites vos jeux!

Krupier eleganckim ruchem puścił białą kulę na wirującą powoli tarczę. Pomknęła klucząc w kierunku przeciwnym do ruchu tarczy.

Jakaś dama w czerwonej wieczorowej sukni jak zahipnotyzowana śledziła jej bieg. Siedziała tuż obok krupiera. Jej ręce drżały nad kilkoma stosami żetonów. Była bardzo blada i bardzo piękna. Mogła mieć około trzydziestki. Jej ciemne włosy przecinał przedziałek, przylegały do jej głowy jak rodzaj czepka. Dama posiadała pełne, wydatne usta i błyszczące, czarne oczy. Wyglądała na opanowaną. Opanowaną arystokratkę. I była całkowicie pochłonięta ruletką.

Thomas Lieven obserwował ją od godziny. Spożywał posiłek przy połyskliwym kontuarze baru w ogromnym salonie gier i popijał whisky. Światło żyrandoli padało na drogocenne obrazy na ścianach, ogromne biało-złote lustra, grube dywany, służbę w leciutkich czółenkach, panów w smokingach, nagie plecy kobiet, wirującą tarczę ruletki i pędzącą kulę...

Stuk!

— Zero! — zawołał krupier obok damy w purpurze.

Przegrała. Przegrywała od godziny. Thomas obserwował jej poczynania. Dama traciła nie tylko majątek, lecz powoli także panowanie nad sobą. Niepewnymi palcami zapaliła papierosa. Drżały jej powieki. Otworzyła przetykaną złotem wieczorową torebkę. Wyjęła banknoty. Rzuciła je krupierowi, który zamienił je na żetony. Dama w czerwieni ponownie zajęła miejsce.

Grano przy wielu stołach, także w chemin-de-fer, odmianę bakarata. W sali znajdowało się wiele pięknych kobiet, ale Thomas Lieven widział tylko jedną — damę w purpurze. Fascynowała go owa mieszanina opanowania i podniecenia, dobrych manier i pasji gry. Zawsze go to fascynowało.

— 27, rouge, impair et passe! — zawołał krupier.

Dama w czerwieni znów przegrała. Thomas spostrzegł, że barman pokiwał głową. On także przyglądał się damie.

— Co za pech — rzekł ze współczuciem.

— Kto to?

— Opętana hazardzistka. Żeby pan wiedział, ile już przegrała!

— Jak się nazywa?

— Estrella Rodrigues.

— Mężatka?

— Wdowa. Jej mąż był adwokatem. Nazywamy ją konsulową.

— Dlaczego?

— Bo nią jest. Jest konsulem jakiejś bananowej republiki.

— Aha.

— 15, rouge, impair et manque!

Konsulowa znów przegrała. Przed nią leżało już tylko siedem samotnych żetonów.

— Monsieur Leblanc? — usłyszał nagle Thomas cichy głos zza swych pleców.

Odwrócił się powoli. Stał przed nim jakiś mały, gruby mężczyzna. Karzeł miał purpurową twarz, był spocony i bardzo zdenerwowany. Mówił po francusku.

— Pan Leblanc, prawda?

— Tak.

— Niech pan pozwoli za mną do toalety.

— Po co?

— Mam panu coś do powiedzenia.

Do diaska, moje listy... Chyba któryś z tych asów wywiadu coś przewąchał. Tylko który? Lovejoy czy Loos? Thomas potrząsnął głową.

— Niech pan mówi tutaj.

— Major Debras ma kłopoty w Madrycie — szepnął mu karzeł do ucha. — Zabrano mu paszport. Nie wolno mu opuszczać kraju. Prosi pana o jak najszybsze załatwienie mu fałszywego paszportu.

— Jakiego paszportu?

— Przecież w Paryżu miał pan ich cały stos!

— Rozdałem je!

Nieznamy nie przyjął tych słów do wiadomości.

— Właśnie wetknąłem panu do kieszeni kopertę — szepnął pośpiesznie. — Znajdują się tam zdjęcia Debrasa i mój adres w Lizbonie. Niech pan tam dostarczy paszport.

— Najpierw muszę go mieć!

Karzeł rozglądnął się wokół nerwowo.

— Muszę się zmywać... Niech pan zrobi wszystko, co w pańskiej mocy. Czekam na pański telefon.

I zniknął.

— Niechże pan posłucha — zawołał za nim Thomas, ale niezajomego już nie było.

Mój Boże, same kłopoty, pomyślał.

I co teraz? Ten Debras to taki miły facet! Mój światopogląd zmusza mnie, by nabijać go w butelkę, ale zostawić na pastwę losu? Nie ma mowy! Jak pomóc mu wydostać się z Hiszpanii? Jak w takim pośpiechu zdobyć dla niego fałszywy paszport?

Spojrzenie Thomasa Lievena powędrowało ku damie w purpurze. Właśnie podnosiła się z miejsca, wzburzona i błada. Chyba wszystko przegrała. W tym momencie Thomas wpadł na pomysł...

Dziesięć minut później konsulowa Estrella Rodrigues zasiadała przy najlepszym stoliku eleganckiej restauracji w kasynie. Kilkuosobowa żeńska orkiestra brnęła przez Verdiego, a trójka kelnerów odprawiała estetyczny balet wokół stolika Thomasa Lievena. Właśnie serwowano główne danie — wątróbkę po portugalsku.

— Wspaniały ten sos paprykowy — pochwalił Thomas. — Naprawdę wyśmienity. Nie sądzi pani, madame?

— Bardzo dobry.

— To dzięki sokowi, madame, sokowi ze świeżych pomidorów... Coś nie tak?

— Dlaczego?

— Spojrzała pani na mnie właśnie tak jakoś dziwnie... tak... tak surowo!

— Monsieur — odparła konsulowa z godnością — chciałabym uniknąć jakichkolwiek nieporozumień. Nie leży w mej naturze, by jadać kolacje w towarzystwie nie znanych mi panów.

— Madame, pani wyjaśnienia są zbędne. Gentleman zawsze wie, kiedy ma przed sobą damę. Nie zapominajmy, że usilnie prosiłem panią, by zechciała pani towarzyszyć mi w tej wieczornej przekąsce, że właściwie ją pani narzuciłem!

Konsulowa westchnęła i nagle surowość zniknęła z jej wzroku. Teraz patrzyła na niego z niezwykłym rozmarzeniem. Ciekawe od jak dawna nie żyje już pan małżonek, zastanawiał się Thomas, mówiąc:

— W chwilach wielkiego napięcia nerwowego i rozterek duszy zawsze należy spożyć coś wysokokalorycznego. Czy dużo — hm — czy dużo pani przegrała?

— Bardzo, bardzo dużo!

— Nie powinna pani grać, madame. Jeszcze kilka oliwek? Kobieta o pani wyglądzie musi przegrywać. To jedyne sprawiedliwe wyjście. Pani wygląd jest pani wygraną.

— Ach...

Piękny dekolt konsulowej zdradzał jej wewnętrzny niepokój.

— Pan wcale nie gra, monsieur Leblanc?

— Nie, w ruletkę nie.

— Szczęśliwczel!

— Jestem bankierem. Nudzi mnie gra, na której przebieg nie mogę mieć wpływu moim intelektem.

— Nienawidzę ruletki — oznajmiła kruczowłosa Estrella, nagle znów z przerażającą surowością i gwałtownością. — Nienawidzę jej i nienawidzę siebie, gdy gram!

Podniecenie Thomasa Lievena rosnęło. Ta osóbką, raz łagodna jak jagnię, to znów znieczarna szalejąca jak tygrysica... Dobry Boże, co to będzie za spektakl... Ale jaki piękny...

— Nienawidzę dwóch rzeczy na świecie, monsieur!

— To znaczy?

— Ruletki i Niemców — zasyczała Estrella.

— Aha.

— Pan jest Francuzem, monsieur. Wiem, że zrozumie mnie pan przynajmniej w drugim punkcie...

— Absolutnie, madame, absolutnie. Hm! A dlaczego właściwie nienawidzi pani Niemców?

— Mój pierwszy mąż był Niemcem.

— Rozumiem.

— I dyrektorem kasyna gry. Chyba nie muszę dalej mówić?!

Rozmowa zbacza na niepożądane tory, pomyślał Thomas Lieven i dlatego powiedział:

— Oczywiście, że nie. Nawiasem mówiąc, coś sprawiłoby mi ogromną radość...

— Co takiego?

— Finansowanie przez jeden wieczór pani gry.

— Mój panie!

Menu, 3 września 1940

Grzanka z sardynką
Wątróbka po portugalsku
Melon w szampanie

Po tych przysmakach piękna konsulowa stała się bardziej przystępna.

Grzanka z sardynką: sardynki z oliwy — bez skóry i ości, pieczemy krótko na oliwie, z której je wyciągnęliśmy. Następnie układamy je na świeżo przygotowanych, gorących grzankach, ozdabiamy kawałkami cytryny i podajemy. Już przy stole skrapiamy je sokiem cytrynowym i pieprzymy. Serwując tę potrawę jako przystawkę, podajemy po 2 grzanki na osobę, ponieważ winna apetyt wyłącznie zaostrzyć, a nie zaspokoić.

Wątróbka po portugalsku: w zależności od ilości osób obtaczamy w mące odpowiednią ilość pokrojonej cielęcej lub wołowej wątroby. Ważne: solimy dopiero po usmażeniu! Kroimy drobno 2 duże cebule. Oczyszczamy 1 funt papryki i kroimy w krótkie, wąskie pasemka. Wyciskamy sok z 1 funta obranych ze skóry pomidorów. Przesmażamy w 1 szklance oliwy cebulę na złoty kolor, dodajemy pokrojoną paprykę i masę pomidorową. Kiedy papryka jest już miękka, dodajemy uzyskany uprzednio sok pomidorowy i całość gotujemy około 5 minut. Następnie przecieramy masę przez sito, dodajemy śmietany i raz jeszcze podgrzewamy dodając soli i pieprzu. Tuż przed podaniem polewamy sosem świeżo usmażoną wątrobę i dekorujemy półmisek cienko pokrojonymi oliwkami bez pestek. Serwujemy z ryżem.

Melon w szampanie: odcinamy wierzch dorodnego, dojrzałego z Cantaloup melona, traktując odcięty kawałek jak pokrywkę. Z melona wycinamy wnętrze, zostawiając najwyżej 1 cm soczystego miąższu pod skórą. Oczyszczamy wyjętą masę melona z pestek i kroimy w kosteczkę — wkładając ją z powrotem do melona. Następnie nalewamy tyle aromatycznego szampana, aby dokładnie przykrył kostki melona. Przykrywamy "wiekiem" i mocno wystudzamy. Deser podajemy bardzo zimny.

Ten deser można przyrządzać na różne sposoby, dodając np. wiśnie nasączone likierem lub inne owoce. Prawdziwy smakosz przyrządza jednak według pierwszej receptury, ponieważ tym sposobem uzyskuje się pełnię naturalnego aromatu.

— Jeśli pani wygra, podzielimy się zyskiem.

— To niemożliwe, wykluczone. Przecież wcale pana nie znam... — zaczęła konsulowa.

Mały przeskok w czasie. Po dziesięciu minutach:

— Jak pan chce. Ale tylko pod warunkiem, że rzeczywiście podzielimy się ewentualną wygraną.

— Oczywiście.

Oczy Estrelli rozbitły, oddychała teraz niespokojnie, na jej policzki wystąpiły rumieńce.

— Gdzie ten deser!? Ach, jestem taka podniecona. Czuję wyraźnie, że tym razem wygram... wygram to, czego chcę...

W godzinę później dama z temperamentem, która nienawidziła Niemców i ruletki, przegrała dwadzieścia tysięcy escudos, czyli prawie trzy tysiące marek. Na podobieństwo Marii Magdaleny podeszła wstrząśnięta do siedzącego przy barze Thomasa.

— O Boże, tak mi wstyd.

— Nie rozumiem.

— Jak oddam panu pieniądze? Jestem... na razie moja sytuacja finansowa nie wygląda zbyt różowo...

— Niech to pani potraktuje jako prezent.

— W żadnym wypadku!

Wyglądała teraz jak wykuty w marmurze anioł zemsty.

— Za kogo pan mnie ma?! Zdaje się, że bardzo się pan pomylił co do mej osoby, mój panie!

6

Buduar pogrążony był w półmroku. Płonęły małe lampki otulone czerwonymi abażurami. Na stoliku stała fotografia jakiegoś poważnego pana w binoklach i z wielkim nosem. Zmarły przed rokiem adwokat Pedro Rodrigues spoglądał — w małym formacie i ze srebrnej ramki — na swą żonę Estrellę.

— Ach, Jean... Jean, jestem taka szczęśliwa...

— Ja też, Estrello, ja też. Może papierosa?

— Będę palić z tobą...

Zaciągnęła się jego papierosem, on zaś przyglądał się pięknej kobiecie pogrążonej w myślach. Dawno już minęła północ. W wielkiej willi konsulowej panowała absolutna cisza. Personel spał.

Przytuliła się do niego i głaskała go delikatnie.

— Estrella, kochanie...

— Tak, serce moje?

— Dużo masz długów?

— Strasznie dużo... Dom jest obciążony hipoteką... zastawiłam już biżuterię. Ciągłe jeszcze mam nadzieję, że w końcu wygram i to wszystko odzyskam...

Thomas spojrział na fotografię.

— Dużo ci zostawił?

— Niewielki majątek... Ta nędzna, szatańska ruletka. Jakże jej nienawidzę!

— I Niemców.

— Tak, Niemców też!

— Jesteś konsulem, chérie, powiedzże jakiego właściwie kraju?

— Kostaryki. Dlaczego?

— Czy wystawiłaś już kiedyś kostarykański paszport?

— Nie, nigdy...

— Ale twój mąż czynił to z pewnością?

— Tak. On tak. Wiesz, od momentu wybuchu wojny, nikt tu już się nie zjawił. Wydaje mi się, że w Portugalii nie przebywa w tej chwili ani jeden obywatel Kostaryki.

— Ale, kochanie — hm — z pewnością ostały się tu gdzieś jakieś blankiety paszportowe?

— Nie wiem... Gdy Pedro umarł, zapakowałam wszystkie formularze i pieczętki w walizkę i wyniosłam na strych... Dlaczego cię to interesuje?

— Estrella, skarbie, bo chciałbym wystawić paszport.

— Paszport?

— Albo kilka — powiedział łagodnie, pokładając całą nadzieję w jej ciężkim położeniu finansowym.

— Jean! — zawołała oburzona. — Chyba żartujesz?

— Nie, mówię poważnie.

— Co z ciebie za człowiek?

— Z gruntu dobry.

— Ale... po co nam te paszporty?

— Moglibyśmy je sprzedać, piękna istotko. Kupców by nie zabrakło. I dobrze by zapłacili. A za uzyskane w ten sposób sumy, mogłabyś... Mam mówić dalej?

— Ach!

Estrella głęboko wciągnęła powietrze. Estrella wyglądała porywająco, gdy to robiła. Estrella milczała. Estrella zastanawiała się. Długo się zastanawiała. Potem zerwała się na równe nogi i pobiegła do łazienki. Wróciła z płaszczem kąpielowym w ręku.

— Załóż to!

— Dokąd się wybieramy, skarbie?

— Oczywiście na strych! — zawołała i już biegła w stronę drzwi, postukując wysokimi obcasami swych jedwabnych pantofelków.

Strych był wielki i zagracony. Pachniało wełną drzewną i nafaliną. Estrella przyświecała latarką, podczas gdy Thomas sapiąc wydobywał spod zrolowanego ogromnego dywanu stary, drewniany kufer. Uderzył się głową o strop i zaklął szpetnie. Estrella przyklękła obok niego. Wspólnymi siłami podnieśli skrzypiące wieko. Kufer wypełniały formularze, książki, stemple i paszporty. Dziesiątki paszportów! Estrella sięgnęła po nie niecierpliwym ruchem. Nerwowo przewracała kartki. Sprawdziła jeden, drugi, piąty, ósmy, czternasty. Wszystkie bez wyjątku były stare i poplamione, we wszystkich widniały zdjęcia obcych ludzi, strony wszystkich usiane były niezliczonymi stemplami. Same nieważne już paszporty.

Przeterminowany... Przeterminowany... Anulowany...

Estrella podniosła się głęboko rozczarowana.

— Ani jednego nowego, same stare... Na nic nam się nie zdadzą.

— Wręcz przeciwnie — powiedział Thomas cicho i pocałował ją. — Stare, nieważne paszporty są najlepsze!

— Nie rozumiem...

— Zaraz zrozumiesz — obiecał Thomas, alias Leblanc, i uśmiechnął się zadowolony.

Nie czuł lodowatego powiewu losu, który go otoczył i wzniosł się wokół niego jak uwolniony z butelki duch ze wschodniej baśni, gotów znów uderzyć i pchnąć go w wir nowych przygód i nowych niebezpieczeństw.

7

4 września 1940 roku południową porą, przez labirynt Alfamy, starej dzielnicy Lizbony, kroczył statecznym krokiem — na głowie homburg, w rękę pokaźna skórzana torba — pewien młody, elegancki pan o niezwykle ujmującej powierzchowności.

Na wąziutkich, krętych uliczkach, pełnych nadgryzionych zębem czasu rokokowych pałaców i wysadzanych kolorowymi płytkami mieszczańskich domów, bawiły się bosonogie dzieci, ciemnoskórzy mężczyźni prowadzili dysputy, przemykały kobiety w drodze na targ, dźwigając na głowach kosze pełne owoców lub ryb. Na niezliczonych

linkach suszyła się śnieżnobiała bielizna. Czarne żelazne kraty błyszcząły na wysokich mauretańskich oknach. Dziwacznie skarłowaciałe drzewa wyrastały z popękanych kamiennych schodów. Ale tu i ówdzie rozwierały się mury, odkrywając widok na pobliską rzekę.

Elegancki młody pan wszedł do sklepu rzeźnickiego, gdzie zakupił spory kawałek cielęciny bez kości. W sklepiku obok nabył butelkę madery, kilka butelek czerwonego wina, oliwę z oliwek, mąkę, jajka, cukier i przeróżne przyprawy. W końcu, na mieniącym się tysiącami barw targowisku zakupił pół kilo cebuli i dwie piękne główki sałaty.

Przed przekupką uchylił kapelusza i na pożegnanie skłonił się z ujmującym uśmiechem, po czym ruszył w stronę wąskiej, ciemnej Rua do Poco des Negros, gdzie wkroczył na dziedziniec jakiegoś chylącego się ku ruinie domu.

Natychmiast jego oczom ukazał się widok urządzeń sanitarnych owej ruiny, w formie wielu zmurszałych drewnianych przepierzeń, umieszczonych na wąskich balkonach. Płatanina przynależnych do nich rur pokrywała mury budynku. Jak rozgałęzienia drzewa genealogicznego poświadczającego artyleryjskie pochodzenie, pomyślał Thomas Lieven.

W skąpanym w słońcu kącie podwórza siedział ślepy starzec i — pobrząkując na gitarze — śpiewał cienkim, piskliwym głosem:

„Co mi los zgotował,
Temu już nie umknę
Znam tylko smutek,
Bo on dla mnie zrodzony,
I dla niego ja...”

Thomas Lieven wrzucił kilka monet do kapelusza śpiewaka i zagadnął go po portugalsku:

— Diga-me, por favor, gdzie mieszka Reynaldo, malarz?

— Musi pan wejść drugim wejściem. Reynaldo mieszka na samej górze, na poddaszu.

— Muito obrigado — podziękował Thomas Lieven, i znów uprzejmie uchylił kapelusza, mimo iż ślepiec nie mógł docenić tego gestu.

Na schodach drugiego wejścia zalegały ciemności. Im wyżej Thomas się wspinał, tym bardziej się rozjaśniało. Dochodziły do niego przeróżne odgłosy. Pachniało oliwą z oliwek i biedą. Na najwyższym piętrze znajdowały się tylko dwie pary drzwi. Jedne prowadziły na strych, na drugich widniał napaćkany wielkimi czerwonymi literami napis:

REYNALDO PEREIRA

Thomas zapukał. Cisza. Zapukał głośniejsze. Żadnej reakcji. Naciśniętą klamkę. Drzwi rozwarły się skrzypiąc. Thomas Lieven wszedł przez mroczny przedpokój do wielkiego atelier. Tu było bardzo jasno. Przez ogromne okno wpadało do środka jaskrawe słoneczne światło, osiadając na dziesiątkach dość nieobyczajnych obrazów, na stole zarzuconym farbami, tubami, pędzlami i butelkami, na pełnych popielniczkach, wreszcie na mężczyźnie około pięćdziesiątki, który całkowicie ubrany spał na kanapie.

Mężczyzna miał gęste, czarne włosy. Ciemna szczecina pokrywała jego blade, zapadłe policzki. Chrapał donośnie i równomiernie. Obok kanapy leżała pusta butelka po koniak.

— Pereira! — zawołał Thomas Lieven.

Brodacz nie zareagował.

— Pereira, co jest!?

Brodacz chrapnął głośno i przewrócił się na bok.

— W takim razie — mruknął Thomas Lieven — zatroszczymy się na razie o obiad...

Po godzinie malarz Reynaldo Pereira ocknął się ze snu. Były trzy powody jego przebudzenia. Słońce świeciło mu teraz prosto w twarz. Z kuchni dochodził hałas i pobrzękiwanie. Po atelier snuł się intensywny zapach zupy cebulowej.

— Juanita? — zawołał ochrypłym głosem.

Jeszcze oszołomiony, zwał się z kanapy, podciągnął spodnie, wpełchnął w nie koszulę i poczłapał do kuchni.

— Juanito, serce moje, życie moje, wróciłaś?

Otworzył drzwi do kuchni. Jakiś człowiek, którego nigdy jeszcze nie widział na oczy, stał przy piecu i — przypasawszy stary kuchenny fartuch — gotował.

— Bom dia — powiedział obcy z ujmującym uśmiechem. — Wypałał się pan wreszcie?

Malarz zatrząsł się nagle na całym ciele, po omacku znalazł krzesło i opadł na nie ciężko. Jęknął.

— Cholerna wódka... A więc to już... zaawansowane stadium...

Thomas Lieven napełnił kieliszek czerwonym winem, podał go roztrzęsionemu malarzowi i po ojcowsku położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech się pan uspokoi, Reynaldo, to jeszcze nie delirium tremens... jestem istotą z krwi i kości. Nazywam się Jean Leblanc. Proszę, niech pan wypije łyżeczek. To postawi pana na nogi. A potem zjemy coś porządnego.

Malarz wypił, wytarł usta i zaskrzeczał:

— Co pan robi w mojej kuchni?

Menu, 4 września 1940

Zapiekana zupa cebulowa
Medalion cielęcy w sosie maderowym
Płonące omlety

Dzięki temu posiłkowi fałszerz paszportów wspina się na szczyt swoich możliwości?

Zupa cebulowa: sporo cebuli przesmażamy w plasterkach na oliwie lub maśle. Dolewamy do rondla wody, więcej niż chcielibyśmy mieć zupy. Gotujemy około 15 minut, solimy do smaku. Można zrobić tę zupę również na rosole. Jednocześnie kroimy białą bułkę paryską na cienkie kawałki. Kładziemy je na zdjęty z ognia wywar i posypujemy dużą ilością tartego sera. Garnek wstawiamy do piekarnika i trzymamy tak długo, dopóki ser nie nabierze złotawego koloru. Gdybyśmy chcieli podać zupę w bardzo wytworny sposób, winno się dla każdego biesiadnika przygotować ją w małym rondelku.

Medalion cielęcy w sosie maderowym: dość grubo pokrojoną połędwicę cielęcą rozbijamy lekko i krótko opiekamy z obydwu stron na ostrym ogniu, aby wewnątrz pozostała lekko różowa. Solimy dopiero po upieczeniu. Tymczasem lekko podpiekamy na oliwie lub maśle 1/2 cebuli, 5 migdałów i garść pokrojonych grzybów. Dodajemy dużą szklankę madery i gotujemy 5 minut na małym ogniu, po czym solimy i pieprzymy. Sosem tym polewamy medaliony cielęce i serwujemy z frytkami i zieloną sałatą.

Płonące omlety: smażymy normalne omlety, niezbyt cienkie, tak duże jak talerz, na którym będą podawane. Mocno cukrzemy, a już na stole polewamy rumem i podpalamy. W ostatniej chwili zwijamy w ruloniki i kropimy sokiem cytrynowym.

— Zupę cebulową opiekana, medalion cielęcy w sosie maderowym...

— Zwariował pan?

— ... a na deser myślałem o omlecie. Przecież wiem, że jest pan głodny. A będzie panu potrzebna pewna ręka.

— Po co?

— Żeby po spożyciu posiłku wystawić mi fałszywy paszport — rzekł Thomas łagodnym tonem.

Reynaldo podniósł się i chwycił ciężką patelnię.

— Wyoś się, szpiclu, bo ci łeb rozwałę!

— Za pozwoleniem, mam tu list do pana.

Thomas wytarł ręce w fartuch, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wydobył jakąś kopertę, po czym podał ją malarzowi.

Ten rozerwał ją, wyciągnął kartkę papieru i wpatrzył się w nią. Po chwili podniósł wzrok.

— Skąd pan zna Luisa Tamiro?

— Los nas zetknął wczoraj w kasynie w Estorilu. Gruby Luis przyniósł mi wiadomość, że pewien mój stary przyjaciel popadł w Madrycie w tarapaty. Zabrano mu paszport. Dlatego musi mieć nowy. I to szybko. Luis Tamiro twierdzi, że pan jest odpowiednim człowiekiem. Prawdziwy artysta. Pierwsza klasa. I ma pan podobno wieloletnie doświadczenie.

Reynaldo potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale nic z tego. Za późno. Mówiłem to też Juanicie. Bo wie pan, Juanita to moja żona...

— ... która od pana odeszła, bo jest pan w dołku. Luis wszystko mi opowiedział. Niech pan nie wylewa za nią łez. Kobieta, która opuszcza swego męża w ciężkich chwilach, jest, nic niewarta. Zobaczysz pan, że wróci, gdy znów pan będzie przy forsie.

— Forsa? A od kogo?

— Choćby ode mnie.

Reynaldo przyglądał brodę i potrząsnął głową. Mówił jak nauczyciel do niedorozwiniętego dziecka.

— Niech pan posłucha. Jest wojna. Paszport można podrobić tylko wtedy, gdy się dysponuje papierem ze znakiem wodnym. A taki papier trzeba za każdym razem zwędzić w kraju, o jakiego paszport chodzi...

— Wiem.

— W takim razie wie pan także, że w czasie wojny nie sposób zdobyć taki papier, a co za tym idzie nie ma możliwości wystawienia nowego paszportu, można go tylko sfalszować. A jak to zrobić?

— Najczęściej trzeba kogoś spić lub pobić i zabrać mu paszport, by dokonać odpowiednich zabiegów — odparł Thomas, kosztując sos maderowy.

— Właśnie! Tylko widzi pan, ja się w takie rzeczy nie bawię. To nie moja działka. Jeśli nie mogę uczciwie sfalszować, nie zabieram się do tego. Jestem człowiekiem nastawionym pokojowo.

— Całkiem jak ja. Niech pan spojrzy na parapet, coś dla pana przyniosłem.

Reynaldo podniósł się i niepewnym, ciężkim krokiem podszedł do okna.

— Co to?

— Cztery zdezaktualizowane, pełne pieczętek, kostarykańskie paszporty. Jeśli sfalszuje pan dla mnie jeden, trzy pozostałe należą do pana.

Falszerm sięgnął po paszport, wciągnął powietrze i spojrzął na Thomasa z trwożliwym podziwem.

— Jak pan je zdobył?

— Znalazłem. Dziś w nocy.

— Znalazł pan dziś w nocy cztery kostarykańskie paszporty?

— Nie.

— Aha.

— Znalazłem dziś w nocy nie cztery, lecz czterdzieści siedem paszportów tego kraju — rzekł Thomas Lieven, wyciągając z piekarnika zapiekana zupę cebulową. — Jedzenie gotowe, Reynaldo.

Co za szczęście, pomyślał, że moja piękna, młoda konsulowa przechowywała tyle pięknych, starych paszportów! A zatem, myślał dalej, wylądowałem u pana Pereiry na Rua do Poco des Negros. Czyli nauczę się, jak się profesjonalnie podrabia paszporty. Ja — jeszcze do niedawna najmłodszy prywatny bankier Londynu. Że też nie mogę, że nie mogę opowiedzieć tego wszystkiego w moim klubie!

8

Na wielkim biurku pod oknem leżały cztery otwarte paszporty. Zawierały zdjęcia czterech różnych obywateli Kostaryki — jakiegoś otyłego starca, młodszego chudzielca, kogoś w okularach i faceta z wąsem.

Obok tych czterech paszportów spoczywały cztery zdjęcia majora Debrasa z francuskiego wywiadu, Debrasa, który niecierpliwie czekał w Madrycie na pomoc. Luis Tamiro przekazał te zdjęcia Thomasowi Lievenowi w kasynie w Estorilu.

Panowie byli po obiedzie, Reynaldo Pereira wyglądał w swym białym roboczym kitlu jak słynny chirurg, Sauerbruch fałszowania paszportów, który — maksymalnie skoncentrowany i rzeczowy — przygotowuje się do poważnej, decydującej operacji.

— Zna pan tego człowieka z Madrytu osobiście — odezwał się cicho. — Wie pan, jak wygląda. Niech pan się dobrze przyjrzy zdjęciom w tych czterech paszportach i niech pan przeczyta rysopisy. Potem mi pan powie, która z tych osób najbardziej pasuje do pańskiego przyjaciela. Chcę oczywiście zabrać się za paszport, w którym trzeba dokonać najmniejszej ilości zmian.

— W takim razie chyba ten byłby najlepszy.

Thomas wskazał na drugi z lewej. Dokument był wystawiony 8 lutego 1934 roku na nazwisko Rafaela Puntarerasa i stracił ważność 7 lutego 1939 roku. Zawierał wiele wiz i pieczętek służb granicznych. Wolnych pozostało zaledwie kilka stron. Z tego też chyba powodu kupiec Puntareras nie przedłużał już paszportu, lecz zapewne zwrócił się do zmarłego tymczasem konsula Pedro Rodriguesa o wystawienie nowego.

— Rysopis pasuje do mojego przyjaciela — stwierdził Thomas — tyle że jest brunetem i ma błękitne oczy.

— Czyli będziemy musieli zmienić kolor włosów i oczu, wymienić zdjęcie, na fotografii pańskiego przyjaciela uzupełnić stempel, skorygować datę ważności i miejsce wystawienia paszportu oraz przerobić wszystkie daty w pieczętkach i wizach, bo obecne są przecież za stare.

— A nazwisko Puntareras?

— Czy pański przyjaciel chce się na dłużej zatrzymać w Lizbonie?

— Nie, natychmiast wylatuje w dalszą drogę do Dakaru.

— W takim razie nazwisko możemy zostawić.

— Ale mój przyjaciel potrzebuje w Lizbonie portugalską wizę tranzytową i wjazdową do Dakaru.

— Nie szkodzi. Mam pełną szafę pieczętek. Chyba największa kolekcja w Europie. Nie ma o czym mówić, to bagatela!

— Co w takim razie byłoby bardziej skomplikowane?

— Paszport, w którym trzeba by zmienić wszystko, a na dodatek jedyna „nowa” fotografia miałyby wyciskaną, suchą pieczęć. Tak, na to potrzebowałbym z pewnością dwóch dni.

— A dla pana Puntarerasa?

— Musi pan wziąć pod uwagę mój nie najlepszy stan ducha, roztrzęsienie i kłopoty małżeńskie... ale niech mnie piekło pochłonie, jeśli mimo to nie uporam się z tym w ciągu, góra, siedmiu godzin!

Nucąc z cicha pod nosem, odprężony Reynaldo Pereira zabrał się do dzieła. Chwyił osadzony w drewnie, stożkowaty metalowy szpikuliec, rodzaj szewskiego szydła, i wprowadził go od strony zdjęcia przez pierwszy otwór nitu tak głęboko aż w nim utkwił, po czym zaczął precyzyjnym nożem sprężynowym odginać od spodu zaciśniętą blaszkę.

— Najpierw należy zawsze usunąć zdjęcie, żeby przez niezręczny ruch nie uszkodzić pieczęci — tłumaczył mistrz.

Ulżył sobie, bekając z cicha.

— Naprawdę znakomita ta pańska zupa cebulowa!

Thomas siedział bez ruchu przy oknie. Nie odzywał się, by nie dekoncentrować mistrza.

Zdjęcie Rafaela Puntarerasa przytwierdzone było dwoma rurkowymi nitami. Po niecałej godzinie mistrz odgiął oba, by następnie szpikulcem ostrożnie wykręcić metalowe rurki. Teraz włączył Kuchenkę elektryczną, położył na płycie okładkę jakiejś starej książki, na niej zaś paszport.

— Muszę go rozgrzewać przez dziesięć minut — ciągnął malarz. — Nazywamy to pobudzeniem paszportu do życia. Papier staje się przez to bardziej miękki i elastyczniejszy, lepiej przyjmuje płyny i w ogóle jest dużo bardziej podatny na wszelką obróbkę.

Po przerwie na papierosa Pereira znów zabrał się do roboty. Pincetą uchwycił jeden z narożników fotografii pana Puntarerasa, na którym nie było odcisku pieczęci, po czym podważył go niezwykle ostrożnie i podniósł na milimetr do góry. Teraz umoczył cieniutki pędzelek w jakiejś wydzielającej bardzo intensywny zapach cieczy, ukrytej w małej buteleczce.

— Używam tylko najwyższej jakości pędzli z borsuczego lub kuniego włosa. Rozmiar zero.

Delikatnie nanosił płyn między kartkę paszportu a zdjęcie, podtrzymując je jednocześnie pincetą. Klej rozpuścił się. Po pięciu minutach mistrz oddzielił zdjęcie i zaniósł je na regał, stojący na drugim końcu pokoju.

— Żeby nie uszkodzić go przez nieuwagę — wyjaśnił.

Wrócił do stołu, zamknął oczy i rozluźnił palce. Najwyraźniej się koncentrował.

— Aby uzyskać pierwszy bliski kontakt z moim paszportem, najpierw dokonuję jakiegoś bardzo prostego zabiegu, na przykład usuwam kropkę.

Umieścił dokument pod wielką, zamocowaną na stałe lupą, po czym umoczył nowy, delikatny pędzelek w jakiejś przezroczystej jak woda cieczy.

W tej samej chwili, gdy zwilżył atramentową kropkę w tekście rysopisu, włączył stoper. Odczekał aż punkcik prawie całkiem zblednie, po czym błyskawicznie osuszył resztę płynu ostro obciętą krawędzią bibuły.

— Trzy sekundy. W ten sposób uzyskaliśmy punkt orientacyjny. Przyrównując czas potrzebny do usunięcia kropki, możemy się poświadczyć cienkim kreskom w poszczególnych literach.

Usunął wszystkie cienkie kreski liter na jednej ze stron, postępując podobnie jak z kropkami, a następnie zabrał się do grubszych,

podstawowych linii. Pozbył się ich, nawilżając je z obu stron w kierunku do środka tajemniczą substancją.

— W branży nazywamy to docieraniem do jądra.

Po dwóch godzinach „docierania do jądra” według metody zastosowanej przy usuwaniu kropki, z dokumentu zniknęły wszystkie zbędne dane, także za wczesne daty w wizach i pieczętkach służb granicznych oraz daty wystawienia i upływu ważności paszportu.

Teraz mistrz odpoczywał przez pół godziny. Nawet potańczył nieco, by się rozluźnić.

Thomas zaparzył kawę. Zanim Pereira ją wypił, rozbił jajko i białko wylał na płaski talerzyk.

— Żeby powietrze docierało do białka na możliwie dużej powierzchni. Nazywamy to „musi się ustać”!

Po dziesięciu minutach Pereira wypełnił starannie wszystkie wyłobienia i zagłębienia, które wybielacz mimo wszelkich środków ostrożności wytrawił w papierze, gęstym, szybko schnącym białkiem, by uzyskać ponownie całkowicie gładkie powierzchnie, które następnie posypał matowym utrwalczem malarskim.

Teraz przyniósł usunięte poprzednio zdjęcie kupca Puntarerasa, zawinął je w cieniutką bibułkę, którą skleił na odwrocie fotografii, by nie mogła się przesunąć i agatowym ołówkiem pociągnął na bibułce kontury widniejącej na zdjęciu części stempla. Następnie obciął jedno z czterech zdjęć majora Debrasa tak, by było o odrobinę większe od wizerunku Puntarerasa i przyłożył do niego kawałek kalki o kolorze dokładnie odpowiadającym barwie pieczęci. Ze starego zdjęcia zdjął bibułkę, przyłożył ją na kalkę spoczywającą na zdjęciu Debrasa i znów ją przykleił. Jeszcze raz agatowym ołówkiem pociągnął uzyskane uprzednio kontury, po czym usunął bibułkę i kalkę. Na zdjęciu Debrasa widniała już pieczęć.

Mistrz szybko utrwalił swe ulotne dzieło.

Teraz ostrymi cęgami przedziurkował zdjęcie Debrasa w uprzednio dokładnie wyznaczonych miejscach i umocował je w paszporcie za pomocą gumy arabskiej i dwóch nitów szewskich, które po chwili — innymi cążkami — zacisnął.

Kolejną czynnością było wypełnienie odpowiednimi danymi wszystkich uprzednio wywabionych miejsc.

— Wszędzie tam, gdzie jest to możliwe — wyjaśnił mistrz — przerabia się oczywiście stare cyfry na nowe, podobne, a więc 3 na 8, 1 na 4 i tak dalej...

Po sześciu i pół godzinach wytężonej pracy Pereira wbił do paszportu pieczęć portugalskiej wizej tranzytowej oraz wizej wjazdowej do Dakaru, po czym naniósł na nie odpowiednie dane.

— Gotowe!

Thomas z zachwytem bił brawo, zaś mistrz skłonił się z godnością.

— Zawsze gotów do tego typu usług.

Thomas uściskał mu dłoń.

— Muszę wyjechać, nie będę więc mógł korzystać z pańskich niepowtarzalnych talentów, ale niech pan będzie dobrej myśli, Reynaldo. Przyślę panu piękną klientkę. Jestem pewien, że będzie się pan z nią doskonale rozumiał...

9

Na wierzchołku wielkiego budynku redakcyjnego na Praca Dom Pedro IV świetna gazeta podawała najnowsze wiadomości. Spojrzenia tysięcy par oczu utkwione w migotliwych literach były pełne napięcia i pełne strachu. Portugalczycy i emigranci tłoczyli się na pięknym placu wysadzonym czarno-białym mozaikowym brukiem, siedzieli w ogródkach kawiarni otaczających plac, wlepiali wzrok w przesuwające się napisy, czytali...

(United Press): *Madryt — Uparcie powtarzają się pogłoski o tajnych rokowaniach między Niemcami a Hiszpanią — Niemiecki Wehrmacht żąda podobno wolnego przemarszu przez terytorium hiszpańskie, by zaatakować Gibraltar i uzyskać tym samym całkowitą kontrolę nad Morzem Śródziemnym — Franco jest zdecydowany zachować neutralność — Brytyjski ambasador bardzo stanowczo ostrzega Hiszpanię — Antybrytyjskie demonstracje w Barcelonie i Sewilli...*

Przy jednym z kawiarnianych stolików, tuż przy krawężniku ulicy, siedzieli — popijając pernod — dwóch mężczyzn. Mały, gruby Luis Tamiro kartkował sfalszowany tego popołudnia paszport.

— Wspaniała robota — zamruczał z podziwem.

— Kiedy odlatuje pański samolot?

— Za dwie godziny.

— Niech pan pozdrowi ode mnie Debrasa. Czekam tu na niego.

Mój statek wypływa za pięć dni.

— Mam nadzieję, że zdąży!

— Co pan ma na myśli? — spytał Thomas Lieven.

Luis Tamiro z zatroskaniem zaciągnął się brazylijskim cygarem.

— Hiszpanie są niby neutralni. Tylko że nie utrudniają specjalnie pracy niemieckim agentom. Trzech niemieckich „turystów” nie odstępował majora w Madrycie na krok, w dzień i w nocy. Zmieniają się co osiem godzin. Debras wie o tym, ale nie jest w stanie ich zgubić. Nazywają się Löffler, Weise i Hart. Mieszkają w „Palace Hotel”, tam gdzie on.

— Co tu jest właściwie grane?

— Od czasu, gdy majorowi zabrano paszport, nie wolno mu opuszczać Madrytu. Ci trzej Niemcy wiedzą kim jest, tylko nie mogą mu tego udowodnić. Chcą dowiedzieć się, co robi w Madrycie. Poza tym, w chwili gdy opuści Madryt dostarczy hiszpańskiej policji pretekstu do natychmiastowego aresztowania. A gdy już wyładuje w więzieniu, będzie go można bez wielkiego rozgłosu uprowadzić do Niemiec.

— A zatem musi się ich pozbyć.

— Tak, tylko w jaki sposób? Przecież jak psy gończe tylko czekają na jego próbę ucieczki, by go capnąć!

Thomas Lieven popatrzył na Luisa z zaciekawieniem.

— Niech pan powie, Tamiro, kim pan jest właściwie z zawodu?

Mały grubas westchnął, potem wykrzywił usta.

— Dziewczyzna do wszystkiego, co zabronione. Przerzucanie ludzi. Przemysł broni. Pokątny handel. Wszystko, za co płacą. Byłem kiedyś jubilerem w Madrycie.

— I co?

— Załatwiła mnie wojna domowa. Mój sklep został zbombardowany. Towar rozgrabiony. Potem doszły jeszcze kłopoty natury politycznej. Nie, nie, mam tego powyżej uszu. U mnie wszystko ma teraz swoją ustaloną cenę! Wypinam się na wszelki idealizm.

— Czy zna pan w Madrycie jeszcze kilku panów, którzy kierują się podobnymi jak pan zasadami? — spytał Thomas Lieven cichym głosem.

— Ilu pan tylko chce!

— I twierdzi pan, że wszystko ma swoją cenę?

— Oczywiście!

Thomas spojrzął z uśmiechem na migotliwą gazetę świetlną.

— Proszę posłuchać, Luis — mruknął łagodnie — ile musiałoby kosztować — między nami przyjaciółmi — małe, spontaniczne powstanie narodowe?

— Nie rozumiem.

Thomas Lieven wyjaśnił mu, co miał na myśli.

— Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Czarnowłosa, szczupła konsulowa Estrella Rodrigues z krzykiem zerwała się ze snu, gdy Thomas Lieven późną porą przekroczył próg jej pokoju. Drżącymi rękami zapaliła mały kinkieciak z czerwonym abażurem, wiszący na ścianie nad łóżkiem. Rękę przycisnęła do piersi.

— O Boże, Jean, jak mnie przestraszyłeś!

— Wybacz, kochanie, zrobiło się trochę późno. Wyprawilem jeszcze w drogę tego człowieka z paszportem.

Opadł na brzeg łóżka, zaś konsulowa natychmiast rzuciła mu się w ramiona.

— Pocałuj... — Przyłgnęła do niego. — Jak dobrze! Jak to dobrze, że już jesteś! Czekałam na ciebie całymi godzinami. Myślałam, że umrę... myślałam, że obrócę się w nicość...

— Z tęsknoty za mną? — spytał mile podłechtany.

— Też.

— Słucham?

— Przez cały wieczór miałam nadzieję, że przyjedziesz i dasz mi jeszcze trochę pieniędzy, żebym mogła pojechać do Estorilu!

— Aha.

— Zadzwoiłam tam! Na wszystkich stołach padała jedenastka i liczby z nią sąsiadujące! Wyobrażasz sobie? Przecież to moje liczby! Wygrałabym majątek!

— Estrello, skontaktuję cię jutro ze znakomitym fałszerzem. Możesz mu oddać w komis swoje paszporty. Jest gotów dzielić się z tobą po połowie.

— O Jean, jak cudownie!

Thomas przeszedł do łazienki, ona zaś zawołała za nim czułym głosem:

— Wiesz o czym przed chwilą śniłam?

— O czym? — spytał.

— Śniłam o tym, że jesteś Niemcem... i moim kochankiem! Niemcem! A przecież tak Niemców nienawidzę. Już myślałam, że obrócę się w nicość, już myślałam, że umrę... Jean, słyszysz mnie?

— Tak, wyraźnie. Każde słowo.

— Więc dlaczego nic nie mówisz?

Z łazienki dobiegł odgłos kaszlu.

— Z przerażenia wypilem pół kubka wody do płukania ust!

— Ach, jesteś zachwycający! — rzekła rozbawiona. — Chodź! Chodź szybciotko do twojej słodkiej Estrelli...

Jakiś czas później cudownie zbudowaną, ziejącą niepohamowaną nienawiścią do Niemców konsulową obudził śmiech Thomasa Lievena. Śmiał się przez sen. Estrella potrząsnęła nim nerwowo.

— Jean, Jean, co się dzieje?

— Co? Nic, miałem taki dziwny sen.

— O czym?

— Śniło mi się małe, spontaniczne powstanie ludowe — powiedział i znów się roześmiał.

11

Madryt, 5 września 1940 roku.

Tajny raport komisarza Filipo Aliadosa z gestapo do swego przełożonego.

BARDZO PILNE!

Dziś o godzinie czternastej zero trzy otrzymałem telefoniczną wiadomość od oficera dyżurnego 14 rejonu policyjnego. Doniesiono mi, że przed budynkiem Ambasady Brytyjskiej przy Calle Fernando el Santo zebrano się około 16 osób, demonstrując przeciw Anglii.

Natychmiast udałem się z pięcioma ludźmi do ambasady i stwierdziłem, że demonstranci należą do biedniejszej grupy społeczeństwa. Osoby te głośno skandowały obraźliwe hasła przeciw Wielkiej Brytanii. Rozbito 4 (cztery) szyby oraz zniszczono 3 (trzy) umieszczone na ziemi skrzynki na kwiaty. Z polecenia Jego Ekscelencji Pana Ambasadora Brytyjskiego Pan Attaché Handlowy pośpieszył na ulicę, by zażądać wyjaśnień.

Po moim przybyciu Pan Brytyjski Attaché Handlowy poinformował mnie niezwykle zdenerwowany: „Ci ludzie przyznają, że za wywołanie tych zamieszek zostali opłaceni przez niemieckich agentów.”

Podczas gdy większość demonstrantów na skutek błyskawicznej interwencji oddziałów policyjnych rzuciła się do ucieczki, udało się nam zatrzymać trzech osobników o nazwiskach Luis Tamiro, Juan Mereira i Manuel Passos.

Zatrzymani powtórzyli wobec mnie twierdzenie, jakoby zostali opłaceni przez niemieckich agentów. Podali też nazwiska tych agentów:

10

— Aaaaaaaaaaaaaaaaa!

Czarnowłosa, szczupła konsulowa Estrella Rodrigues z krzykiem zerwała się ze snu, gdy Thomas Lieven późną porą przekroczył próg jej pokoju. Drżącymi rękami zapaliła mały kinkieciak z czerwonym abażurem, wiszący na ścianie nad łóżkiem. Rękę przycisnęła do piersi.

— O Boże, Jean, jak mnie przestraszyłeś!

— Wybacz, kochanie, zrobiło się trochę późno. Wyprawilem jeszcze w drogę tego człowieka z paszportem.

Opadł na brzeg łóżka, zaś konsulowa natychmiast rzuciła mu się w ramiona.

— Pocałuj... — Przyłgnęła do niego. — Jak dobrze! Jak to dobrze, że już jesteś! Czekałam na ciebie całymi godzinami. Myślałam, że umrę... myślałam, że obrócę się w nicość...

— Z tęsknoty za mną? — spytał mile podłechtany.

— Też.

— Słucham?

— Przez cały wieczór miałam nadzieję, że przyjedziesz i dasz mi jeszcze trochę pieniędzy, żebym mogła pojechać do Estorilu!

— Aha.

— Zadzwoiłam tam! Na wszystkich stołach padała jedenastka i liczby z nią sąsiadujące! Wyobrażasz sobie? Przecież to moje liczby! Wygrałabym majątek!

— Estrello, skontaktuję cię jutro ze znakomitym fałszerzem. Możesz mu oddać w komis swoje paszporty. Jest gotów dzielić się z tobą po połowie.

— O Jean, jak cudownie!

Thomas przeszedł do łazienki, ona zaś zawołała za nim czułym głosem:

— Wiesz o czym przed chwilą śniłam?

— O czym? — spytał.

— Śniłam o tym, że jesteś Niemcem... i moim kochankiem! Niemcem! A przecież tak Niemców nienawidzę. Już myślałam, że obrócę się w nicość, już myślałam, że umrę... Jean, słyszysz mnie?

— Tak, wyraźnie. Każde słowo.

— Więc dlaczego nic nie mówisz?

Z łazienki dobiegł odgłos kaszlu.

— Z przerażenia wypilem pół kubka wody do płukania ust!

— Ach, jesteś zachwycający! — rzekła rozbawiona. — Chodź! Chodź szybciotko do twojej słodkiej Estrelli...

Jakiś czas później cudownie zbudowaną, ziejącą niepoohamowaną nienawiścią do Niemców konsulową obudził śmiech Thomasa Lievena. Śmiał się przez sen. Estrella potrząsnęła nim nerwowo.

— Jean, Jean, co się dzieje?

— Co? Nic, miałem taki dziwny sen.

— O czym?

— Śniło mi się małe, spontaniczne powstanie ludowe — powiedział i znów się roześmiał.

11

Madryt, 5 września 1940 roku.

Tajny raport komisarza Filipo Aliadosa z gestapo do swego przełożonego.

BARDZO PILNE!

Dziś o godzinie czternastej zero trzy otrzymałem telefoniczną wiadomość od oficera dyżurnego 14 rejonu policyjnego. Doniesiono mi, że przed budynkiem Ambasady Brytyjskiej przy Calle Fernando el Santo zebrano się około 16 osób, demonstrując przeciw Anglii.

Natychmiast udałem się z pięcioma ludźmi do ambasady i stwierdziłem, że demonstranci należą do biedniejszej grupy społeczeństwa. Osoby te głośno skandowały obraźliwe hasła przeciw Wielkiej Brytanii. Rozbito 4 (cztery) szyby oraz zniszczono 3 (trzy) umieszczone na ziemi skrzynki na kwiaty. Z polecenia Jego Ekscelencji Pana Ambasadora Brytyjskiego Pan Attaché Handlowy pośpieszył na ulicę, by zażądać wyjaśnień.

Po moim przybyciu Pan Brytyjski Attaché Handlowy poinformował mnie niezwykle zdenerwowany: „Ci ludzie przyznają, że za wywołanie tych zamieszek zostali opłaceni przez niemieckich agentów.”

Podczas gdy większość demonstrantów na skutek błyskawicznej interwencji oddziałów policyjnych rzuciła się do ucieczki, udało się nam zatrzymać trzech osobników o nazwiskach Luis Tamiro, Juan Mereira i Manuel Passos.

Zatrzymani powtórzyli wobec mnie twierdzenie, jakoby zostali opłaceni przez niemieckich agentów. Podali też nazwiska tych agentów:

1. *Helmut Löffler* 2. *Thomas Wiese* 3. *Jakob Hart*. Wszyscy trzej zamieszkują w „*Palace Hotel*”.

Pan Ambasador Brytyjski obstawał przy wszczęciu natychmiastowego śledztwa w tej sprawie i zapowiedział dyplomatyczny protest swego rządu.

Dlatego też, kierując się wielokrotnie sformułowanymi wytycznymi centrali, by jak najściślej przestrzegać neutralności naszego kraju, udałem się natychmiast do hotelu „*Palace*” i zatrzymałem trzech wyżej wymienionych niemieckich turystów, którzy w trakcie zatrzymania stawiali opór, musieli zatem zostać skrepowani i odprowadzeni do aresztu.

Rzeczni trzej Niemcy oburzeni zaprzeczali w czasie przesłuchania, że finansowali demonstrantów. Ponieważ konfrontacja nie dała rezultatów, zwolniłem demonstrantów. Oskarżono ich o zakłócanie porządku publicznego.

Nasze tajne służby znają rzezonych trzech Niemców. Są oni w istocie agentami niemieckiego wywiadu i oczywiście można ich podejrzewać o zorganizowanie takiej akcji. Przetrzynuję ich nadal w areszcie, więc proszę o natychmiastową decyzję, co do dalszego postępowania, gdyż *Pan Brytyjski Attaché Handlowy* dzwoni do mnie co godzinę, dopytując się o podjęte przeze mnie kroki.

Filippo Aliados, komisarz.

12

Niemiecka pięść z hukiem opadła na niemieckie dębowe biurko, które stało w pokoju pewnego domu przy Tirpitz-Ufer w Berlinie. Pięść należała do admirała Canarisa. On to właśnie stał za owym biurkiem, przed nim natomiast przeżył się cierpiący na woreczek żółciowy major Loos z Kolonii.

Twarz majora była blada jak ściana. Twarz admirała była bardzo czerwona. Major był bardzo cichy. Admirał był bardzo głośny:

— Mam już tego dość, panie majorze! Trzech naszych ludzi wydolonych z Hiszpanii! Nota protestacyjna rządu brytyjskiego! Wroga prasa znów ma żer. A pański wytworny Lieven śmieje się w Lizbonie do rozpuku!

— Panie admirale, naprawdę nie rozumiem, jak ten facet to robi!

— Podczas gdy naszych ludzi przetrzymywano godzinami w madryckim areszcie, major Debras opuścił kraj — stwierdził z goryczą

Canaris. — Bez wątpienia z fałszywym paszportem. Zdrów i cały przybył do Lizbony. A wie pan, kogo w restauracji w Estorilu publicznie uściskał i wycałował? Pańskiego przyjaciela Lievena! Może wie pan także, w czym towarzystwie zasiadł następnie do sutego posiłku? Pańskiego przyjaciela Lievena!

— Nie... O Boże, nie... To niemożliwe!

— Ale takie są fakty. Nasi ludzie obserwowali tę wzruszającą scenę powitania po rozłące. I co mogli zrobić? Nic!

Major Loos odczuł okropne rwanie i pieczenie w żołądku. Oczywiście znów odezwał się woreczek żółciowy, pomyślał z rozpaczą. Ten pies, ten podły pies Thomas Lieven! Po co, na Boga, wyciągnąłem go wówczas w Kolonii z więzienia gestapo.

— Panie majorze, wie pan, jak pana ostatnio ochrzczono? Loos-Wpadkowicz!

— Panie admirale, pardon, wydaje mi się to wielce niesprawiedliwe.

— Niesprawiedliwe? A co pan powie na fakt, że płaci pan facetowi 10 000 dolarów za listę najważniejszych francuskich tajnych agentów, a my stwierdzamy następnie, że zawiera ona nazwiska samych nieboszczyków? Otrzymał pan zadanie sprowadzenia tego człowieka do Niemiec!

— Portugalia jest krajem neutralnym, panie generale...

— To co!? Mam tego dość! Chcę tu widzieć tego pana Lievena! W tym pokoju! Żywego! Zrozumiano?

— Tak jest, panie admirale!

13

6 września 1940 roku, godzina osiemnasta czterdzieści siedem.

Służba kontroli radiotelegraficznej „Secret Service” przesyła meldunek swemu szefowi M 15 do Londynu:

„Od godziny 15 minut 15 ożywiona łączność radiowa między centralą wywiadu w Berlinie a niemiecką ambasadą w Lizbonie. Informacje nie szyfrowane, lecz zapewne formułowane w mylącym tekście umownym. Berlińskie radiotelegamy kierowane do niemieckiego attaché handlowego w Lizbonie, któremu poleca się podjęcie wszelkich starań, by «kupiec Jonas» natychmiast wracał do kraju.

Bez wątpienia przygotowuje się tu jakąś szeroko zakrojoną akcję uprowadzenia kogoś. «Kupiec Jonas» musi być dla berlińskiej Abwehry niezwykle ważną osobistością...”

14

6 września 1940, godzina dwudziesta druga trzydzieści.

W Casa Senhora de Fatima, komfortowym domu szefa wywiadu niemieckiego przedstawicielstwa w Lizbonie, odbywa się narada. Szef wywiadu odesłał swą czarującą przyjaciółkę, długonogą, śniadą tancerkę Dolores. Przy szampanie zasiadł pan domu, attaché marynarki wojennej oraz attaché lotnictwa niemieckiego ambasady. Dwaj ostatni także zrezygnowali dziś z towarzystwa swych przyjaciółek.

— Panowie, czas nagli — zagaił szef służb wywiadowczych. — Berlin chce Lievena — i to szybko. Macie może jakiś pomysł?

— Proponuję — odezwał się attaché lotnictwa — by go odurzyć i przerzucić samolotem do Madrytu, a stamtąd kurierską maszyną do Berlina.

— Jestem przeciwny — rzekł attaché marynarki. — Dopiero co mieliśmy wpadkę w Madrycie. Wiemy, że na tamtejszym lotnisku aż roi się od angielskich i amerykańskich agentów. Mamy też informacje, że każdy pasażer jest fotografowany. Nie możemy sobie pozwolić na następne kłopoty dyplomatyczne w Madrycie.

— Też tak sędzę — zgodził się szef wywiadu.

— Dlatego też, panowie, proponuję uprowadzenie w łodzi podwodnej! Jestem za tym, by natychmiast nawiązać łączność radiową z odpowiedzialnym za sprawę przełamywania blokady Wernerem w Madrycie. Werner współpracuje z dowódcą łodzi podwodnych i jest w stanie od ręki określić położenie wszystkich naszych jednostek. Może też w każdej chwili skierować którąś z łodzi do określonego rejonu poza obszarem portugalskich wód terytorialnych.

— A jak przetransportujemy kupca Jonasa do łodzi podwodnej?

— Wynajmiemy kuter rybacki.

— A do kutra?

— Mam pewien pomysł.

Attaché marynarki wojennej przedstawił rozmówcom swą propozycję.

Jakiś stary człowiek przemierzał restaurację portu lotniczego, usiłując sprzedać lalki w strojach ludowych — duże lalki, małe lalki. Nie miał szczęścia. Dochodziła już prawie północ owego 8 września 1940 roku i jeszcze tylko kilkunastu zmęczonych pasażerów oczekiwało na odlot swych maszyn.

Starzec podszedł do stolika przy oknie, gdzie siedziało dwóch mężczyzn, popijając whisky.

— Lalki w strojach ludowych — Cyganie, Hiszpanie, Portugalczyki...

— Mimo to, dziękuję — powiedział Thomas Lieven.

— To jeszcze wyrób czasów pokoju!

— Mimo wszystko, dziękuję — przyłączył się major Debras, który nosił właśnie nazwisko Rafaelo Puntareras.

Stary człowiek ruszył w dalszą wędrówkę. Na zewnątrz, na rozświetlonej reflektorami płycie lotniska tankowano właśnie samolot, mający przenieść Debrasa z Lizbony do Dakaru.

Major obrzucił Thomasa Lievena sentymentalnym spojrzeniem.

— Nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie zrobił — odezwał się.

— Nie ma o czym mówić! — rzekł Thomas i pomyślał: A co dopiero jak się zorientujesz, że sfalszowałem listy agentów twojego wywiadu... Wtedy już na pewno nie zapomnisz!

— Uratował pan dla mnie listy i umożliwił mi ucieczkę z Madrytu.

Zgadza się, pomyślał Thomas. I może właśnie dlatego wybaczysz mi jednak moje szachrajstwo.

— Gdzie pan ma te listy?

Major mrugnął porozumiewawczo.

— Poszedłem za pańskim przykładem i zaprzyjaźniłem się z naszą stewardesą. Przewiezie je w swoim bagażu.

PROSIMY O UWAGĘ — rozległ się głos z głośnika — **PAN AMERICAN WORLD AIRWAYS PROSZĄ PASAŻERÓW REJSU NUMER 324 DO DAKARU, BY UDALI SIĘ DO ODPRAWY CELNO-PASZPORTOWEJ. ŻYCZYMY PAŃSTWU PRZYJEMNEGO LOTU.**

Debras wypił do końca swój kieliszek i podniósł się z krzesła.

— Koniec żartów, przyjacielu. Jeszcze raz dziękuję! I do zobaczenia.

— Niech pan przekaże, proszę, madame Josephine Baker moje najserdeczniejsze pozdrowienia i najlepsze życzenia — rzekł Thomas Lieven. — Powodzenia, panie majorze, bo nigdy się już nie zobaczymy.

— Kto wie?

Thomas potrząsnął głową.

— Pojutrze wypływa mój statek do Ameryki Południowej. Już nigdy nie wrócę do Europy — stwierdził i jeszcze raz poddał się uściskom i pocałunkom majora.

Nieco później zobaczył go kroczącego po płycie lotniska w stronę samolotu. Thomas pokiwał, także Debras machał mu ręką tak długo, aż znikł we wnętrzu kabiny.

Thomas zamówił jeszcze jedną whisky. Gdy samolot kołował na start, poczuł się nagle bardzo samotny. Po jakimś czasie zapłacił, wstał i wyszedł.

Plac przed budynkiem portu lotniczego pogrążony był w mroku. Ciemność rozjaśniały nieliczne tylko lampy. W pewnej chwili jakieś duże auto powoli podjechało na wysokość idącego Thomasa i zatrzymało się. Kierowca wyjrzał przez okno.

— Taxi, senhor?

Jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy.

— Tak — odparł Thomas, błędząc myślami gdzie indziej.

Kierowca wysiadł, otworzył drzwi i zgiął się w ukłonie.

W tym momencie Thomas Lieven zorientował się, że coś tu śmierdzi, że coś jest nie tak z tą niby taksówką. Odwrócił się gwałtownie, ale było już za późno.

Szofer kopnął go potężnie w podkolanek. Thomas opadł na tylne siedzenie samochodu. Tu pochwyciło go natychmiast czworo krzepkich rąk i rzuciło na podłogę pojazdu. Drzwi zatrasnęły się. Kierowca wskoczył za kierownicę i ostro ruszył z miejsca.

Ktoś przytknął Thomasowi Lievenowi do twarzy wielką, moką szmatę, cuchnącą jakimś odrażającym słodkawym płynem. Chloroform, pomyślał. Dławiąc się, z trudem łapał oddech.

— Prima, prima! — dotarł do niego niezwykle wyraźnie jakiś głos z hamburskim akcentem. — Teraz tylko szybko w dół do portu.

Potem krew zaczęła pulsować w skroniach Thomasa Lievena, w jego uszach zadźwięczały dzwony i już po chwili popadł w omdlenie, głębokie, coraz głębsze omdlenie. Odniósł wrażenie, jakby zapadał się w ciemną, aksamitną studnię.

Nasz przyjaciel powoli dochodził do siebie. Głowa mu pękała, miał mdłości i było mu zimno. Umarłym nie zbiera się na wymioty, pomyślał, umarłych nie boli głowa, umarli nie marzną. Czyli żyję. Thomas ostrożnie otworzył prawe oko. Leżał na dziobie smrodliwego kutra rybackiego, którego silnik terkotał nerwowo.

Za sterem stał mały, pomarszczony Portugalczyk w skórzanej kurtce i czapce z daszkiem, w zębach ścisnął wypaloną, krótką fajkę. Za plecami szypra to wznosiły się, to opadały światła wybrzeża. Morze było wzburzone. Kuter, tańcząc na falach, kierował się na otwarte morze. Thomas Lieven z westchnieniem otworzył lewe oko.

Na ławce obok niego siedziało jakichś dwóch potężnie zbudowanych facetów. Obaj mieli czarne skórzane płaszcze i ponure miny. Obaj w wielkich, szpetnych dłoniach trzymali ciężkie rewolwery.

Thomas Lieven uniósł się nieco i odezwał się. Mówił wprawdzie z trudem lecz całkiem wyraźnie.

— Dobry wieczór panom. Poprzednio na lotnisku nie miałem okazji panów przywitać. Troszkę w tym i waszej winy! Nie powinniście tak szybko zwać mnie z nóg i pozbawiać przytomności.

— Ostrzegam pana, Thomasie Lieven — zagrzmiał pierwszy z facetów z hamburskim akcentem. — Strzelamy przy najmniejszej próbie ucieczki!

Drugi z osiłków mówił dla odmiany z akcentem saksońskim.

— Gra skończona, panie Lieven. Wracamy do ojczyzny.

— Czy pan pochodzi z Drezna? — zainteresował się Thomas.

— Z Lipska. Dlaczego?

— Czysta ciekawość. Nie mam nic przeciwko temu kutrowi, panowie, ale drogą morską do ojczyzny mamy jeszcze spory kawałek. Damy radę?

— Ciągle jeszcze ta niewyparzona gęba — rzekł hamburczyk. — Spokojna głowa, panie Lieven. Kutrem wywieziemy pana tylko poza trzymilowy pas wód terytorialnych.

— Do rejonu numer 135 Z — wyjaśnił mieszkaniec Lipska.

Thomas zauważył, że kuter płynął bez świateł pozycyjnych. Morze staowało się coraz bardziej niespokojne. Thomas też, choć próbował nie dać tego po sobie poznać.

— A co, panowie, nastąpi w rejonie 135 Z?

— Za piętnaście minut wynurzy się tam łódź podwodna. Wszystko pójdzie gładko, zobaczy pan. Raz, dwa.

— Niemiecka organizacja — zauważył Thomas uprzejmie.

— Opuściliśmy właśnie wody terytorialne — wtrącił się sternik po portugalsku. — Gdzie forsa?

Jeden z facetów wstał z ławki, kołyszącym się krokiem podszedł do szypra i wręczył mu kopertę. Rybak zablokował ster i zabrał się do liczenia banknotów. Potem wypadki potoczyły się bardzo szybko.

Thomas pierwszy dostrzegł zbliżający się wielki cień, gdyż tylko on spoglądał w kierunku rufy. Nagle z ciemności nocy wynurzyła się groźna, czarna zjawa, pędząca prosto na miotany falami kuter. Thomas chciał krzyknąć ostrzegawczo, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie, pomyślał. Tylko nie krzyknąć. Zachować spokój, całkowity spokój...

Rozbłysły reflektory. Zawyla syrena. Jeden raz, drugi, trzeci. Potem cień zmienił się nagle w jacht regatowy, był blisko, bardzo blisko, niebezpiecznie blisko. Portugalski szyper wydał przeraźliwy okrzyk i szarpnął koło sterowe. Za późno. Z potwornym chrzęstem jacht wbił się pod ostrym kątem w lewą burtę niewielkiego kutra. Panu z Hamburga wypadł z ręki rewolwer, pan z Lipska wyłożył się jak długi.

W chwilę później góra stała się dołem, a dół górą. Kuter wyrzucił się pod naporem wbijającego się ze zgrzytem w jego burtę dziobu jachtu. Jakaś niewidzialna, ogromna pięść wyrzuciła Thomasa w powietrze i cisnęła go w toń czarnego, lodowatego morza.

Dochodził do niego zgiełk głosów, jakieś krzyki, przekleństwa, odgłosy wydawanych komend i ciągły ryk jachtowej syreny.

Thomas napił się słonej wody, zniknął pod wodą, znów wypłynął na powierzchnię, z trudem łapał powietrze. Wtem spostrzegł wyrzucone z pokładu jachtu w jego kierunku koło ratunkowe na linie. Biały krąg z pluskiem opadł na wodę. Thomas złapał się go i już po chwili lina napięła się. Ktoś pociągnął go w stronę jachtu.

Mrużąc oczy, Thomas wpatrywał się w litery na kole ratunkowym, składające się na nazwę statku. Przeczytał: **BABY RUTH**.

Mój Boże, pomyślał, już widzę ich miny, gdy opowiem to w klubie. Powiedzą, że lżę...

17

- Whisky czy rum?
- Whisky, proszę.
- Z wodą i z lodem?
- Z samym lodem. I niech pan spokojnie należy do połowy

szklanki, jestem tak nieodporny na katar — powiedział Thomas Lieven.

Minął kwadrans od kolizji, kwadrans niezwykle bogaty w wydarzenia.

Jeszcze przed piętnastoma minutami więzień niemieckiego wywiadu, następnie rozbitek na Atlantyku, teraz Thomas siedział otulony w ciepłe koce na miękkim jak puch łożu, w pięknej jak sen kabynie luksusowego jachtu. Jakiś całkiem mu obcy mężczyzna stał przed umieszczonym w ścianie barkiem i przygotowywał mu drinka. Co też się w życiu może przydarzyć, pomyślał lekko oszołomiony Thomas.

Nieznajomy podał mu whisky. Sobie też nalał okazałą porcję trunku. Teraz podniósł z uśmiechem szklankę.

— Cheerio!

— Cheerio! — odparł Thomas i wypił spory łyk alkoholu.

Wreszcie pozbędę się tego obrzydliwego smaku chloroformu w gardle, pomyślał. Z zewnątrz dobiegały do kabiny dzikie wrzaski.

— Kto to?

— Nasz sternik i pański. Konwersacja ekspertów na temat problemu winy — wyjaśnił obcy, który miał na sobie nieskazitelną błękitną jednorzędówkę i okulary w rogowej oprawie, nadające mu wygląd intelektualisty.

— Oczywiście zawinił pański sternik. Nie pływa się bez świateł pozycyjnych. Jeszcze trochę lodu?

— Nie, dziękuję. Co się stało z tymi dwoma... z moimi towarzyszami?

— Są pod pokładem. Sądzę, że jest pan z tego zadowolony.

Nie ma rady, pomyślał Thomas, nie mam nic do stracenia, najlepiej będzie od razu złapać byka za rogi. Dlatego też powiedział:

— Dziękuję panu, uratował mi pan życie, choć nie myślę tu o śmierci przez utonięcie.

— Na zdrowie, kupcze Jonasie!

— Co, proszę?

— Dla nas jest pan kupcem Jonasem. Jeszcze nie wiemy, jak nazywa się pan naprawdę.

I dzięki Bogu, pomyślał Thomas.

— Pan też z pewnością mi tego nie powie...

— Na pewno nie!

Co za szczęście, że wszystkie moje papiery zdeponowałem w sejfie pięknej konsulowej Estrelli. Przez cały czas nie mogłem się pozbyć przeczucia, że kiedyś coś takiego mnie spotka.

— Rozumiem to doskonale. Zdaję sobie sprawę z tego, że może pan rozmawiać tylko z najwyższymi czynnikami. Człowiek o pańskiej pozycji. Prowadziwy V. I. P.

— Co takiego?

— Very Important Person!

— Ja mam niby być Bardzo Ważną Osobistością?

— Ejże, ejże, kupcu Jonasiu, jeśli niemiecki wywiad usiłuje wywieźć pana z Portugalii na pokładzie łodzi podwodnej! Nawet pan nie przypuszcza, co się z pańskiego powodu wydarzyło w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin! Te przygotowania! Potworność! Wywiad niemiecki! Wywiad portugalski! Łódź podwodna w rejonie 135 Z! Tak zwariowanej wymiany radiotelegramów Niemcy nie prowadzili już od miesięcy. Ciągłe tylko kupiec Jonas i kupiec Jonas... Kupiec Jonas musi za wszelką cenę zostać dostarczony do Berlina... I pan mnie jeszcze pyta, czy jest pan V. I. P.? Dobrze sobie! Co jest, kupcze Jonasiu?

— Czy mógłbym... czy mógłbym prosić o jeszcze jedną whisky?

Thomas Lieven otrzymał jeszcze jedną szklaneczkę whisky. Dużą szklanekę. Człowiek w rogowych okularach sobie też przyrządzał kolejną, myśląc głośno.

— Za 5000 dolarów Baby Ruth może spokojnie postawić butelczynę whisky!

— Co za baby? Jakie 5000 dolarów?

— Kupcze Jonasiu — okularnik roześmiał się — przecież jest dla pana jasne, że ma pan przed sobą człowieka „Secret Service”?

— Tak, oczywiście.

— Niech pan mnie nazywa Roger, choć nie jest to oczywiście moje prawdziwe nazwisko. Tyle, że jedno fałszywe nazwisko równie dobre jak jakiegokolwiek inne. Nie mam racji?

Dobry Boże na wysokościach, znów się zaczyna, pomyślał Thomas Lieven! Teraz uwaga, muszę piekielnie uważać. Niemcom się wymknąłem. Zostali tylko Anglicy. Zyskać na czasie. Zastanowić się. Nie działać pochopnie.

— Zupełnie się z panem zgadzam, mister Roger — powiedział — ale powtarzam moje pytanie: O jakich 5000 dolarów pan mówi? Co za Baby Ruth?

— Kupcze Jonasiu, gdy my — przez „my” rozumiem nas, chłopców z brytyjskiego wywiadu w Portugalii — tak więc, gdy tylko stwierdziliśmy historyczną wymianę radiotelegramów między Berlinem a Lizboną, natychmiast powiadomiliśmy o tym M15 w Londynie.

— M15?

— Szefa naszego kontrwywiadu.

— Aha — wyjąkał Thomas.

Wypił łyczek i pomyślał: europejskie przedszkole, mordercze europejskie przedszkole. Ach, dobry Boże, jakże rad będę, gdy opuścę na zawsze ten śmiesznie niebezpieczny kontynent.

— A M15 nadał: Ognia!

— Rozumiem.

— Zareagowaliśmy błyskawicznie...

— Oczywiście.

— ... kupiec Jonas nie mógł wpaść nazistom w łapy! Cha, cha, cha! Niech pan wypije jeszcze jedną whisky na zdrowie Baby Ruth!

— Może by mi pan wreszcie powiedział, co to za Baby Ruth?

— Mistress Ruth Woodhous. 65 lat. Prawie głucha. Przeżyła dwa zawały serca i pięciu małżonków.

— Gratulacje.

— Czy panu nic nie mówi stal Woodhousa? Czołgi Woodhousa? Broń maszynowa Woodhousa? To jedna z najstarszych amerykańskich dynastii zbrojeniowych. Nigdy pan o niej nie słyszał?

— Obawiam się, że nie.

— Wielka luka edukacyjna, niestety.

— Właśnie pan ją wypełnił, dziękuję.

— Nie ma za co. Wracając do sprawy, do tej damy należy jacht. Przebywa właśnie w Lizbonie. Gdy odkryliśmy sprawę z łodzią podwodną, przeprowadziliśmy z nią rozmowę. Natychmiast oddała nam swoją łódź do dyspozycji. Za pięć tysięcy dolarów.

Człowiek, który kazał nazywać się Rogerem, znów podszedł do barku.

— Wszystko poszło gładko, kupcu Jonasiu! Raz, dwa!

Już to dziś słyszałem, pomyślał Thomas Lieven.

— Brytyjska organizacja — stwierdził krótko.

Roger siał spustoszenie w zasobach alkoholowych amerykańskiej zbrojeniowej milionerki jak drapieżny wilk w stadzie owiec. Bawił się przy tym setnie.

— Śledziliśmy każdy pański krok, kupcze Jonasiu. Cały czas miał pan opiekę. Ja czatowałem tu, w rejonie 135 Z. Tu też zastała mnie wiadomość, że Niemcy napadli pana na lotnisku i uprowadzili, tu otrzymałem radiogram, że kuter rybacki wyszedł w morze. Cha, cha, cha!

— I co dalej?

— Wszystko pójdzie gładko. Raz, dwa. Oczywiście wystąpimy na drogę prawną przeciw portugalskiemu sternikowi. Za poważne uchybienie zawodowe. Nie mamy wątpliwości co do jego winy! Już

nadaliśmy odpowiedni meldunek radiowy. Niebawem zjawi się tu łódź patrolowa, która przyjmie sternika i obu pańskich niemieckich przyjaciół.

— Co z nimi zrobią?

— Nic. Już oświadczyli, że chcieli tylko odbyć krótką przejażdżkę.

— A co ze mną?

— Otrzymałem zadanie, by odstawić pana bezpiecznie — nawet z narażeniem własnego życia — do willi brytyjskiego wywiadu w Portugalii. Chyba że woli pan towarzystwo swych niemieckich przyjaciół?

— Bynajmniej, mister Roger, bynajmniej — powiedział Thomas Lieven i wykrzywił się w uśmiechu.

Czy to jeszcze woda morska, zastanawiał się, czy znów zimny pot wystąpił mi na czoło?

18

Niemcy uprowadzili Thomasa Lievena z Lizbony starodawną limuzyną, Brytyjczycy przywieźli go z powrotem nowiutkim rolls-roycem. Noblesse oblige.

Siedział na tylnym siedzeniu, otulony w porannik z błękitnego jedwabiu z wyszytym złotym smokiem, na nogach miał stosowne do stroju pantofle. Na pokładzie BABY RUTH nie można było znaleźć żadnej innej garderoby. Mokry garnitur Thomasa Lievena wraz z jego bielizną leżały na przednim siedzeniu, obok kierowcy.

Obok Thomasa siedział Roger z pistoletem maszynowym na kolanach.

— Niech się pan nie boi, kupcze Jonasiu — wycedził przez zęby — nic się panu nie stanie. Samochód jest opancerzony, szyby też ma pancerne. Żadna kula dla niego niegroźna.

— W takim razie jak pan będzie strzelał, gdy zajdzie taka potrzeba? — spytał Thomas, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Przemknęli przez pogrążone we śnie luksusowe uzdrowisko Estoril, udając się w kierunku wschodnim, prosto na cudownie wschodzące słońce. Niebo i morze połyskiwały jak macica perłowa. W porcie cumowało wiele statków. Dziś 9 września, pomyślał Thomas Lieven. Jutro „General Carmona” wypływa do Ameryki Południowej. Dobry Boże, czy zdążę na pokład?

Komfortowa willa brytyjskiego wywiadu położona była w ogrodzie palmowym i zbudowana w stylu mauretańskim. Należała do lichwiarza nazwiskiem Alvarez, właściciela jeszcze dwóch podobnych willi, z których jedną wynajął szefowi wywiadu niemieckiego przedstawicielstwa, drugą szefowi wywiadu amerykańskiego...

Nad wejściem do willi Brytyjczyków widniał wykonany złotymi literami napis CASA DO SUL. Butler w spodniach w prążki i zielonej aksamitnej kamizelce przytrzymywał ciężkie, kute w żelazie drzwi, marszcząc swe białe, krzaczaste brwi. Skłonił się w milczeniu przed Thomasem, po czym zamknął drzwi i poszedł przodem. Obaj panowie przeszli za nim przez ogromny hall, obok kominka, krętych schodów prowadzących na piętro, portretów przodków Alvareza, w stronę biblioteki.

Tam, przed kolorowym, pełnym książek regałem oczekiwał na nich jakiś starszy gentleman, który wyglądał tak cudownie po angielsku, jak prezentują się tylko owi panowie z kart brytyjskich żurnali. Wyszukana elegancja, nieskazitelnie leżący ciemnoszary flanelowy garnitur, zadbane wąsik oficera armii kolonialnych i wojskowo prężna postawa tego gentlemana wzbudziła szczery zachwyty Thomasa.

— Misja spełniona, sir — zwrócił się do niego Roger.

— Dobra robota, Jack — pochwalił pan w ciemnej szarości, ściskając dłoń Thomasowi. — Dzień dobry, kupcze Jonasie. Witam na terytorium Wielkiej Brytanii. Oczekiwałem pana z niecierpliwością. Najadł się pan chyba strachu? Może whisky? Pomaga.

— Nie pijam nigdy przed śniadaniem, sir.

— Rozumiem. Człowiek z zasadami. Podoba mi się. Bardzo mi się podoba.

Pan w ciemnej szarości zwrócił się do Rogera.

— Niech pan wejdzie na górę do Charleya. Niech nawiąże kontakt radiowy z M15. Kod Cicero. Treść meldunku: Słońce wschodzi na zachodzie.

— Tak jest, sir.

Roger zniknął.

— Niech mnie pan nazywa Szekspir, kupcze Jonasie — polecił.

— Proszę bardzo, mister Szekspir.

Dlaczego nie, pomyślał Thomas, we Francji musiałem się kiedyś zwracać do jednego z kolegów per Jupiter. Jeśli was to bawi...

— Jest pan Francuzem, kupcze Jonasie, prawda?

— Hm... tak.

— Od razu wiedziałem! Ma się to wycucie. Bezbłędna znajomość ludzi! Vive la France, monsieur!

— Dziękuję, mister Szekspir.

— Jak się pan naprawdę nazywa, monsieur Jonas?

Jeśli ci to powiem, nigdy nie wejdę na pokład mego statku, pomyślał Thomas i dlatego odparł:

— Przykro mi, ale moja sytuacja jest za poważna. Jestem zmuszony przemilczeć moją prawdziwą tożsamość.

— Monsieur, rękę honorem, że w każdej chwili przewieziemy pana bezpiecznie do Londynu, jeśli zdecyduje się pan pracować dla mojego kraju. Niech pan nie zapomina, że wyrwaliśmy pana ze szponów nazistów!

Całe życie, pomyślał Thomas.

— Jestem wyczerpany, mister Szekspir — powiedział — już nie mogę... już naprawdę nie mogę. Zanim zdecyduje się na cokolwiek, muszę się przespać.

— Doskonale rozumiem, monsieur. Pokój gościnny czeka na pana. Niech pan się uważa za mego gościa.

Pół godziny później Thomas Lieven leżał w wygodnym, miękkim łóżku, w cichym, przytulnym pokoju. Słońce weszło, w parku śpiewały ptaki. Złote promienie słońca wpadały przez zakratowane okno. Drzwi były zamknięte od zewnątrz. Angielska gościnność, pomyślał Thomas Lieven, sławiona na cały świat gościnność. Zaprawdę ona to jest najważniejsza...

19

„Uwaga, podajemy dokładny czas: Gong oznacza dokładnie godzinę ósmą! Dzień dobry państwu! Słuchają państwo drugich porannych wiadomości Radia Lizbona. Londyn: Także ubiegłej nocy silne ugrupowania bombowe niemieckiej Luftwaffe kontynuowały skoncentrowane ataki na brytyjską stolicę...”

Szczupła, kruczowłosa konsulowa Estrella Rodrigues chodziła po swej sypialni. Oddychała głęboko i nerwowo zaciskała dłonie. Wyglądała na wyczerpaną. Jej podniecająco wydatna górna warga drżała.

Estrella była bliska załamania nerwowego. Ostatniej nocy nie zmrzyła oka ani na chwilę, przeżyła okropne chwile. Jean, jej ukochany Jean, nie wrócił do domu. Wiedziała, że odprowadzał na lotnisko swego tajemniczego przyjaciela, owego francuskiego majora.

Dzwoniła na lotnisko, ale tam nic nie wiedzano o niejakim monsieur Jeanie Leblancu.

Oczami duszy Estrella widziała swego kochanka porwanego, więzionego, torturowanego, w rękach Niemców, nieżywego! Jej pierś unosiła się i opadała wraz z natłokiem uczuć. Wydawało jej się, że umiera, obraca się w nicość...

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wciąż jeszcze nadawano audycje radiowe. Zatrzymała się. Dotarła do niej treść komunikatu odczytywanego właśnie przez spikera:

„... dziś w godzinach porannych poza trzymilowym pasem wód terytorialnych amerykański jacht BABY RUTH staranował portugalski kuter rybacki, który w wyniku kolizji przewrócił się. Załoga jachtu wzięła na pokład kilku rozbitków. W tym samym czasie jednostki naszej ochrony wybrzeża zlokalizowały w pobliżu miejsca wypadku łódź podwodną, która natychmiast się zanurzyła i w pośpiechu odplynęła w niewiadomym kierunku.

Kapitan Edward Marks, komendant BABY RUTH wniósł skargę przeciw szyprowi kutra rybackiego z powodu stworzenia poważnego zagrożenia na morzu. Trzech pasażerów kutra, dwóch Niemców i Francuz...”

Estrella wydała okrzyk!

„... odmówiło udzielenia jakichkolwiek informacji. Zachodzi podejrzenie, że w incydencie tym chodzi o przypadek uprowadzenia, w który zamieszane są przynajmniej dwie zagraniczne służby wywiadowcze. W związku z wytyczonym śledztwem BABY RUTH otrzymała tymczasowy zakaz opuszczania portu. Jacht należy do amerykańskiej milionerki Ruth Woodhouse, która od pewnego czasu rezyduje w hotelu Aviz. Podaliśmy wiadomości. A oto prognoza pogody na dziś i jutro...”

Konsulowa ocknęła się z odrętwienia i wyłączyła radio. Ubrała się w największym pośpiechu. Jean... Przeczucie jej nie myliło, coś się stało, coś złego, coś okropnego... Jak się nazywała ta milionerka?

Woodhouse. Ruth Woodhouse. Hotel „Aviz”.

20

Marszcząc białe, krzaczaste brwi, butler przekroczył próg biblioteki luksusowej CASA DO SUL. Jego głos brzmiał dźwięcznie, gdy składał meldunek szefowi brytyjskiego wywiadu w Portugalii: Właśnie przybyła senhora Rodrigues, sir.

Człowiek nazywający się Szekspirem podniósł się sprężysto i sprężystym krokiem ruszył naprzeciw pięknej konsulowej, która miała dziś na sobie obcisłą, białą lnianą suknię, ręcznie malowaną fosforyzującymi farbami w kwiaty i ptaki. Nałożyła nieco za intensywny make-up i sprawiała wrażenie raczej, zaszczutej sarny.

Szekspir pocałował ją w rękę. Butler wycofał się dyskretnie.

Szef brytyjskiego wywiadu wskazał Estrelli hotel.

Zadyszana, oddychając głęboko, opadła na kosztowne siedzisko. Podniecenie odebrało jej mowę — rzadki przypadek.

— Przed pół godziną rozmawiałem telefonicznie z panią Woodhouse — odezwał się ze współczuciem człowiek, któremu sprawiało przyjemność posługiwanie się nazwiskiem największego angielskiego poety — wiem, że złożyła jej pani wizytę, senhora...

Ciągle jeszcze oniemiała Estrella skinęła głową.

— ... Mistress Woodhouse jest... hm... naszą bardzo dobrą przyjaciółką. Powiedziała mi, że kłopotczy się pani o los... hm... pani bardzo dobrego przyjaciela...

Estrella nie przypuszczała, jak poważne konsekwencje spowodują jej następne słowa.

— Martwię się o Jeana, mój Boże, biedny, nieszczęsny Jean...

— Jean?

— Jean Leblanc. Francuz. Znikł wczoraj bez wieści... Już prawie tracę zmysły ze strachu. Czy może mi pan pomóc? Może wie pan coś na jego temat? Niech mi pan powie prawdę, błagam pana!

Szekspir z tajemniczą miną zakołysał głową.

— Pan coś przede mną ukrywa! — wyrzuciła z siebie konsulowa. — Czuję to. Wiem o tym! Niech się pan zlituje, senhor, niech pan wreszcie coś powie! Czy mój biedny Jean wpadł w łapy tych podłych Hunów? Nie żyje?

Szekspir uniósł dłoń, która była wąska, szlachetna i biała jak mleko.

— Niechże pani przestanie, senhora, niech pani przestanie. Mam dobre wieści.

— Naprawdę, święta madonno z Bilbao, naprawdę?

— Tak to bywa... hm... hm... Przed kilku godzinami przybył do nas pewien młody człowiek, który może być tym, kogo pani szuka...

— O Boże, mój Boże!

— Butler właśnie go budzi. Może się tu w każdej chwili...

Rozległo się pukanie.

— ... ale oto i on. Proszę!

Drzwi rozwarły się i na progu zjawił się wyniosły służący. Zza jego pleców wkroczył do biblioteki Thomas Lieven. Miał na sobie pantofle

na bosych nogach, jego ciało otulał orientalny porannik z zasobów **BABY RUTH**.

— Jean!

Krzyk Estrelli przeszył powietrze. Potykając się o dywan, rzuciła się w kierunku zmarłego w bezruchu ukochanego, przyłgnęła do jego piersi, przytuliła do serca, by po chwili, z trudem łapiąc powietrze, obsypać go pocałunkami i zalać potokiem słów.

— O, Jean, Jean, jedyny, słodki mój... Jak się cieszę, że żyjesz, że jesteś tu... Jestem najszczęśliwszą kobietą na ziemi!

Szekspir skłonił się z wyrozumiałym uśmiechem.

— Zostawiam pana z senhorą samego — oznajmił przytłumionym głosem. — Na razie, monsieur Leblanc.

Thomas Lieven przymknął oczy. Poddając się gradowi pocałunków Estrelli, myślał zrozpaczony: Wszystko na nic! To już koniec! Mają mnie. Żegnaj wolności! Żegnaj „General Carmona”. Żegnaj powabna Ameryko Południowa...

21

Radiotelegrafista Charley siedział w izbie na poddaszu Casa do Sul, przed której oknem kołysały się kiście palm. Radiotelegrafista Charley robił właśnie manicure, gdy do środka wpadł jak bomba Szekspir.

— Nadawaj! Do M15. Bardzo pilne: Prawdziwe nazwisko kupca Jonasa brzmi Jean Leblanc stop proszę o instrukcje.

Charley zaszyfrował komunikat, włączył radiostację i rozpoczął nadawać alfabetem Morse'a.

Tymczasem Szekspir zajął miejsce przed okazałej wielkości głośnikiem i wduśił jeden z siedmiu przycisków, nad którym widniał napis: **MIKROFON — BIBLIOTEKA**.

Coś zastukało i zatrzeszczało, po chwili zaś Szekspir zaczął się przysłuchiwać następującemu dialogowi między Thomasem a piękną Estrellą:

— ... ale dlaczegoż to naraziłam cię na niebezpieczeństwo, kochanie? Nie rozumiem...

— W żadnym wypadku nie wolno ci tu było przychodzić!

— Przecież prawie odchodziłam od zmysłów z obawy i troski... wydawało mi się, że umieram...

— W żadnym wypadku nie wolno ci było ujawniać mojego nazwiska!

(Szekspir uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami.)

— Dlaczego? No powiedz, dlaczego?

— Bo nikt nie może znać mojego nazwiska!

— Ale jesteś przecież Francuzem. Przyjacielem Anglików... sprzymierzeńcem...

— Mimo wszystko. Poczekaj chwilę...

Rozległy się kroki.

— ... gdzieś tu na pewno to coś zainstalowali... Aha, już mam, pod blatem stołu.

Z głośnika rozległ się gwizd, potem jakiś okropny trzask i połączenie zostało przerwane.

— Sprytna bestia — stwierdził Szekspir z podziwem. Znalazł mikrofon i unieszkodliwił go!

Po kilku minutach spostrzegł, że radiotelegrafista odbiera jakąś wiadomość.

— Odpowiedź od M15?

Charley skinął głową. Właśnie rozszyfrował informację z Londynu. Jego zdrowa, młodzieńcza cera nagle zmieniła barwę.

— Boże wszechmogący! — wydusił poblady.

— Co jest?

Szekspir wyrwał mu kartkę z ręki i przeczytał:

„od M15 do szekspira lizbona — rzekomy jean leblanc nazywa się naprawdę thomas lieven i jest agentem niemieckiego wywiadu — właśnie wyprowadził nas w pole przy pomocy sfałszowanych list agentów francuskiego wywiadu — niech pan go za wszelką cenę zatrzyma — specjalny agent wylatuje do pana natychmiast kurierskim samolotem — niech pan wykonuje wszystkie jego polecenia — koniec — koniec — ”

Szekspir zaklął szpetnie, cisnął kartkę na ziemię i wypadł z mandsardy. Zbiegł po schodach w dół do biblioteki, pokonując po dwa stopnie na raz.

W hallu jego oczom ukazał się straszny widok. Zarówno drzwi do biblioteki, jak i ciężkie drzwi wejściowe były otwarte. Pośrodku, na wspaniałym, orientalnym dywanie leżała bez ruchu, twarzą do ziemi, jakaś postać — dystyngowany butler.

Szekspir popędził do biblioteki. Była pusta. W powietrzu unosił się jeszcze zapach perfum. Wybiegł do parku. Na ulicy z rykiem silnika ruszała właśnie czerwona taksówka. Szekspir biegiem wrócił do hallu. Dystyngowany butler właśnie dochodził do siebie. Siedział na dywanie, jęczał i masował sobie szyję.

— Jak to się stało?
— Ten człowiek to mistrz jiu-jitsu. Zauważyłem go, jak wychodził w towarzystwie tej damy z biblioteki, zastąpiłem mu drogę, a wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Upadłem na podłogę... straciłem przytomność, sir...

22

Telefon dzwonił przeraźliwie. Dzwonił i dzwonił.

Ciągle jeszcze w pantoflach i poranniku, Thomas Lieven pospieszył do sypialni Estrelli. Zarówno kierowca czerwonej taksówki i liczni przechodnie, jak również pokojówka Estrelli dziwili się jego osobliwemu strojowi, ale to było, jak pamięcią sięgnąć z wyszukaną elegancją ubranemu Thomasowi, obojętne! Teraz było mu już zupełnie wszystko jedno! Wiedział, że tym razem chodzi o jego głowę!

Szybkim ruchem podniósł słuchawkę.

— Halo?

Po chwili uśmiechnął się z ulgą, gdyż poznał głos swego rozmówcy. Był to głos przyjaciela, jedyne go przyjaciela, jaki mu jeszcze pozostał.

— Leblanc, mówi Lindner...

— Dzięki Bogu, panie Lindner, właśnie miałem do pana zadzwonić. Gdzie pan jest?

— W hotelu. Niech pan posłucha, Leblanc, od kilku godzin usiłuję się z panem skontaktować.

— Dobrze już, dobrze. Spotkała mnie pewna nieprzyjemność... kilka nieprzyjemności... Panie Lindner, musi mi pan pomóc... Muszę zniknąć i wyjść z ukrycia tuż przed wypłynięciem naszego statku.

— Leblanc!

— Muszę zapaść się pod ziemię... muszę...

— Leblanc! Niech mi pan wreszcie da dojść do słowa!

— Proszę.

— Nasz statek nie wypłynie.

Thomas opadł na łóżko konsulowej, która weszła za nim do sypialni i strachliwie przyciskała swą małą piąstkę do ponętnych ust.

— Co pan wygaduje? — jęknął Thomas.

— Nasz statek nie wypłynie.

Pot wystąpił Thomasowi na czoło.

— Dlaczego?

Menu, 9 września 1940

Pieczarki na grzance
Węgierskie lecsó
Świeże gruszki z serem

Thomas Lieven gotuje po węgiersku. W trakcie gotowania wpada na genialny pomysł, który ratuje mu życie.

Pieczarki na grzance: myjemy małe, jędrne pieczarki, oczyszczamy i kroimy w plasterki. Przesmażamy je na maśle, solimy, pieprzymy i układamy na uprzednio przygotowanych grzankach z białej bułki (kawałki bułki smarujemy z dwóch stron masłem i zapiekamy w piekarniku na lekko złoty kolor). Skrapiamy pieczarki sokiem cytrynowym, posypujemy siekaną pietruszką i podajemy na dobrze wygrzanim półmisku na stół. Można do pieczarek dodać również trochę przesmażonych szalotek, kwaśne śmietany, posypać gotowe grzanki startym serem i zapiec ponownie w piekarniku. Uwaga! Thomas Lieven przygotował grzanki tak, jak pokazaliśmy w pierwszym przepisie, nie chcąc odbierać apetytu przed bardzo obfitym daniem głównym.

Węgierskie lecsó: siekamy w plasterki 1/2 funta cebuli, po 100 g słoninki i kiełbasy czosnkowej kroimy w kosteczkę, a 1 funt baraniny w nieco większą kostkę. Oczyszczamy 4 funty zielonej papryki, kroimy ją w paski długie i szerokie na palec, dodajemy 1 funt obranych ze skórki pomidorów. Tłuszcz, cebulę i kiełbasę dusimy razem, po czym dodajemy mięso, które winno zostać opieczone ze wszystkich stron. Dodajemy pokrojoną paprykę, a na końcu pomidory. Całość powinna ciągnąć na małym ogniu pod przykryciem tak długo, aż będzie miękka. Na pół godziny przed podaniem na stół wysypujemy do potrawy 1/2 szklanki ryżu, którego zadaniem jest związanie całości i wchłonięcie soku, który powstał w trakcie gotowania. Doprawiamy solą i czerwoną papryką. Do lecsó podajemy białą, pokrojoną bułkę paryską.

Świeże gruszki z serem: twarde, dojrzałe, ale nie soczyste gruszki podajemy z niezbyt ostrym i tłustym serem. Najlepiej nadaje się ser Garvois lub Bel Paese. Deser ten jemy w następujący sposób: każdy z biesiadników bierze gruszkę, odkrawa kawałek i spożywa go z serem. Konsumowanie takiego zestawu, świeżego owocu z serem, jest czystą rozkoszą po ciężkim i pikantnym daniu głównym.

Głos bankiera pobrzmiwał histerią.

— Już od kilku dni miałem złe przecucie. Nasze towarzystwo żeglugowe zachowywało się tak dziwnie... nie wspominałem panu o tym, bo nie chciałem pana niepokoić. Dziś rano się dowiedziałem...

— Czego!?

— Nasz statek został przechwycony przez Niemców!

Thomas zamknął oczy.

— Co... co się stało? — zawołała konsulowa drżąc na całym ciele.

— A... a jakiś inny statek? — wystękał Thomas do słuchawki.

— Niemożliwe! Wszystkie miejsca wykupione na kilka miesięcy naprzód. Nie miejmy złudzeń, Leblanc, nie wydostaniemy się z Lizbony... halo, Leblanc, zrozumiał pan?

— Tak, dokładnie — odparł Thomas. — Skontaktuję się z panem, Lindner. Powodzenia... jeśli w tych okolicznościach nie zabrmi to szyderczo.

Odłożył słuchawkę i wsparł głowę na dłoniach. Nagle znów poczuł zapach chloroformu. Nagle znów zebrało mu się na mdłości. Miał zawroty głowy, był skrajnie wyczerpany.

Co teraz?

Tkwiał w pułapce. W tej sytuacji nie mógł mieć nadziei, że uda mu się im wymknąć, Niemcom, Anglikom, Francuzom — wszystkim, których wystawił do wiatru.

— Jean! Jean!

Głos pięknej konsulowej wyrwał go z odrętwienia. Podniósł wzrok. Drżąca i łkająca osunęła się obok niego na kolana.

— Powiedź coś! Odezwij się choć słowem. Odpowiedz swej nieszczęsnej Estrelli, co się stało!

Patrzył na nią w milczeniu. Potem twarz mu pojaśniała, a jego głos zabrzmiał miękko.

— Odeślij dziewczynę, kochanie.

— Dziewczynę...

— Chcę być z tobą sam.

— Ale obiad...

— Sam ugotuję — oznajmił Thomas Lieven i wstał jak bokser gotowy do następnej rundy, oszołomiony wprawdzie po ciężkim ciosie, lecz z pewnością nie powalony jeszcze ostatecznie na deski.

— Muszę sobie teraz to wszystko dokładnie przemyśleć. A przy gotowaniu przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły.

Przyrządził węgierskie lecsó. Pogrążony w myślach pociął w plasterki ćwierć kilo cebuli, po czym w ciszy i skupieniu usunął pestki z pół kilograma świeżej papryki.

Konsulowa przyglądała się jego pracy. Była tak podenerwowana, że nieustannie obracała na przegubie dłoni bransoletkę, niezwykle kosztowny klejnot z ciężkiego złota wysadzanego najwyższej jakości brylantami.

— Twój spokój... twoja zimna krew! — zakwiliła Estrella, potrząsając głową. — Że też możesz pichcić w takiej sytuacji...

Uśmiechnął się powściągliwie. Jego wzrok padł przy tym na bransoletę, której kamienie połyskiwały i mieniły się w świetle, iskrząc się białymi, błękitnymi, zielonymi, żółtymi i czerwonymi ognikami. Pociął paprykę na kilkucentymetrowe paski.

— Dlaczego nic nie mówisz, Jean?

— Bo myślę, moje serce.

— Jean, nie chcesz mi się zwierzyć? Nie chcesz mi wyznać prawdy? Dlaczego czujesz się zagrożony ze wszystkich stron? Dlaczego boisz się także Anglików?

Thomas zaczął obierać ze skórki pomidory.

— Prawda jest tak przerażająca, moja droga, że nie mogę jej wyznać nawet tobie.

— Och!

Konsulowa obracała teraz bransoletkę ciągłym, nerwowym ruchem. Klejnot błyszczał i żarzył się jak płomień.

— Ale przecież ja chcę ci pomóc, chcę cię ochronić... zaufaj mi, Jean. Zrobię dla ciebie wszystko.

— Wszystko? Naprawdę wszystko?

— Czego tylko zażadasz, życie moje!

Thomas opuścił pomidora, który trzymał w ręce. Jego twarz przybrała wyraz serdecznej czułości i spokojnej ufności.

— A więc, dobrze — rzekł Thomas Lieven przyjaźnie — po obiedzie odsapniemy godzinkę, a potem złożysz na mnie donos.

Czy może zdziwić kogoś, że słowa te wywarły na konsulowej piorunujące wrażenie? Estrella, piękna Estrella, zamilkła. Szeroko rozwartymi oczami i z otwartymi ustami wpatrywała się w Thomasa.

— Co takiego? — zasyzczała, gdy odzyskała mowę. — Co mam zrobić? Złożyć na ciebie donos? Gdzie? U kogo?

— Na policji, skarbie.

— Ale z jakiego powodu, na miłość boską?

— Bo cię okradłem, kochanie — odparł Thomas Lieven. — Gdzież się podziała ta kielbasa czosnkowa?

Księga druga

Rozdział pierwszy

1

9 września 1940 roku.

Z dziennego raportu 17 Lizbońskiego Rewiru Policji przy Avenida E. Duarte Pacheco:

Godzina 15.22: Telefon z domu numer 45 przy Rua Marques da Fronteira. Kobiety glos prosi o natychmiastową pomoc. Kradzież. Sierżanci Alcantara i Branco wysłani radiowozem na interwencję.

Godzina szesnasta zero siedem: Sierżanci Alcantara i Branco wracają, przywożąc ze sobą:

a. Estrelę Rodrigues, wyzn. rzymsko-kat., wdowę, urodzoną 27. 03. 1905, obywatelkę portugalską, konsulową Kostaryki, zamieszkałą przy Rua Marques da Fronteira 45.

b. Jeana Leblanca, wyzn. protest., stanu wolnego, ur. 02. 01. 1907, obywatela francuskiego, bankiera, obecnie bez stałego miejsca zamieszkania (uciekinier, portugalska wiza tranzytowa).

Estrella Rodrigues oświadcza, co następuje: Żądam aresztowania Jeana Leblanca z powodu kradzieży, jakiej się u mnie dopuścił. Znam Leblanca od dwóch tygodni. Odwiedzał mnie często w mej willi. Przed pięciu dniami zniknęła moja złota bransoleta (osiemnastokaratowe złoto, 150 gramów, wysadzana różnej wielkości brylantami), wykonana przez jubilera Miguela da Foza przy Rua Alexandre Herculano. Wartość około 180 000 escudo. Zarzuciłam Leblancowi wprost tę kradzież, a on się do niej przyznał. Wyznaczyłam mu ostateczny termin zwrotu mej własności dziś do godziny dwunastej, lecz go nie dotrzymał.

Obcokrajowiec Jean Leblanc przesłuchany na powyższą okoliczność: Nie ukradłem tej bransolety, lecz przyjąłem ją na prośbę pani Rodrigues, by ją spieniężyć. Ponieważ nie znalazłem kupca, dawno ją jej zwróciłem.

PYTANIE: Senhora Rodrigues twierdzi, że bransoleta nie znajduje się w jej posiadaniu. Czy mógłby pan ją tu przynieść? Czy zna pan miejsce jej przechowywania?

ODPOWIEDŹ: Nie, gdyż senhora Rodrigues ukryła ją, by mi zaszkodzić. Pragnie mojego aresztowania.

PYTANIE: Dlaczego?

ODPOWIEDŹ: Powoduje nią zazdrość.

UWAGA: Obcokrajowiec Leblanc zachowuje się w trakcie przesłuchania zagadkowo, bezczelnie i arogancko. Niekiedy pozwala sobie na impertynenckie aluzje. Obraża oskarżycielkę w jej kobiecej godności i obrzuca niewybrednymi wyzwiskami prowadzącego przesłuchanie komisarza. W końcu udaje niepoczytalnego, śmieje się, gada bzdury i śpiewa francuskie kuplety.

Sierzanci Alcantara i Branco oświadczają: Przy zatrzymaniu obcokrajowiec stawiał opór. Zaistniała konieczność zakucia go w kajdanki. W czasie interwencji stwierdziliśmy, że w okolicy willi kręciło się kilkunastu podejrzanych osobników, którzy dokładnie obserwowali każdy nasz ruch.

UWAGA: Należy przyjąć, że obcokrajowiec Leblanc ma powiązania ze światkiem przestępczym Lizbony. Został aresztowany i osadzony na noc w rewirowym areszcie. Jutro rano zostanie przewieziony więźniarką do Prezydium Policji i przekazany Wydziałowi Kradzieży.

2

Dochodziła już szósta wieczorem, gdy piękna, choć nie grzesząca zbyt dużą inteligencją i opanowana germanofobią konsulowa Estrella Rodrigues — wyczerpana acz podniecona — wracała taksówką na Rua Marques da Fronteira.

Siedziała na tylnym siedzeniu, oddychając łapczywie, z gorączkowo błyszczącymi oczami i suchotniczo zaczerwienionymi policzkami. Wszystko przebiegło dokładnie tak, jak Jean sobie życzył i przewidział. Ale, mój ty Boże, w jakie niesamowite sytuacje wplątuje mnie ten szalony, cudowny, zagadkowy człowiek...

Zamknęli go. W więzieniu jest bezpieczny od swych prześladowców. Tylko dlaczego jest prześladowany? Nie wyjawiał mi tego, pocałował i poprosił o zaufanie.

Ach, cóż innego mi pozostaje? Przecież tak go kocham! Jest dzielny Francuzem. Kto wie, w jakiej tajnej misji przybył do Lizbony! Tak, zaufam mu i uczynię wszystko, o co mnie prosił — złotą

bransoletę pozostawię ukrytą w piwnicy, codziennie będę chodziła do portu, by zdobyć dla niego bilet na statek i nikomu nie powiem o nim ani słowa. Gdy tylko mi się uda dostać bilet na statek do Ameryki Południowej, pośpieszę do sędziego śledczego, pokażę mu bransoletę i oświadczę, że się tylko gdzieś zapodziała, więc tym samym wycofuję oskarżenie... Ach, jakie okropne będą te dni i noce bez niego, bez Jeana, mego czulego kochanka...

Taksówka zatrzymała się. Konsulowa wysiadła i zapłaciła za kurs. Gdy ruszyła w stronę wejścia do swej posiadłości, zza palmy wyszedł jakiś blady, załęczniony człowiek w podniszczonym samodzielnym ubraniu. Człowiek ten zdjął przed Estrellą swój stary kapelusz, po czym zagadnął ją łamaną portugalszczyzną:

— Senhora Rodrigues, muszę z panią natychmiast porozmawiać.

— Nie, nie — zawołała ponętna konsulowa, próbując go wyminąć.

— Muszę, senhora, muszę — nie ustępował natręt, ruszając za nią. — Chodzi o Jeana Leblanca — dodał ściszym głosem.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Walter Lewis — odparł. — Przyleciałem z Londynu.

To się zgadzało. Przyleciał z Londynu. Wylądował przed godziną. Nie zgadzało się natomiast to, że nazywał się Walter Lewis. Jego nazwisko brzmiało Peter Lovejoy i był tymże Lovejoy'em, który został wysłany przez swego szefa M15, by położyć wreszcie kres niecnym postępkom tego nędznika Thomasa Lievena.

— Czego pan ode mnie chce, mister Lewis?

— Niech mi pani powie, gdzie jest Leblanc.

— A co panu do tego?

Człowiek, który teraz nazywał się Lewis, starał się urzec Estrellę spojrzeciami swych matowych, melancholijnie mętnych oczu, naznaczonych kiepskimi dochodami i kiepskim wyżywieniem.

— Oszukał mnie, oszukał mój kraj. To łajdak...

— Jak pan śmie!

— ... osobnik bez czci i wiary. Moralność i charakter to dla niego obce słowa...

— Niech się pan stąd wynosi, albo zacznę wzywać pomocy!

— Jak pani może pomagać Niemcowi? Czy chce pani, żeby Hitler wygrał wojnę?

— Hit...

Słowo utkwilo w gardle zaangażowanej, nie rozpieszczanej przez szczęście wielbicielki ruletki. Na jej łabędziobiałej szyi wystąpiły żyły.

— Co pan powiedział?
— Jak pani może pomagać Niemcowi?
— Niemcowi? Nie! Nie!
Obiema dłońmi, łabędziobiałymi, konsulowa złapała się za głowę.
— Pan łże!
— Nie kłamie! Ten nędzny faszysta nazywa się Thomas Lieven!
Estrella poczuła silny zawrót głowy. Myślała: Jean Niemcem? Niemożliwe. Wykluczone. Po wszystkim, co z nim przeżyłam. Ten czar. Ta tkliwość. Ten... Nie, on musi być Francuzem!
— Niemożliwe! — jęknęła Estrella.
— Oszukał panią, senhora, tak jak mnie, jak nas wszystkich. Pan Jean Leblanc jest niemieckim agentem!
— To okropne!
— Tego gada trzeba koniecznie unieszkodliwić, senhora!
Konsulowa odrzuciła do tyłu swą piękną głowę, naprężyła swe powabne ciało.
— Niech pan pozwoli ze mną do domu, mister Lewis. Niech mi pan pokaże dowody! Chcę poznać prawdę, nagą, gorzką prawdę! Jeśli mi pan udowodni, że pańskie słowa...
— To co, senhora?
— Zemszczę się! Żaden Niemiec nie będzie śmiał się z Estrelli Rodrigues! Żaden. Nigdy.

3

„Manha” — to słowo Thomas Lieven najczęściej słyszał przebywając w areszcie. „Manha” znaczy „jutro”... „Jutro”, obiecywali strażnicy, „jutro”, przyrzekał sędzia śledczy, „jutro”, pocieszali się aresztanci, którzy od miesięcy czekali na jakąś, obojętnie jaką, decyzję w swej sprawie.

Ale nic się nie działo. Może jutro coś się wydarzy! Strażnicy, sędziowie śledczy i więźniowie z rezygnacją wzruszali ramionami, uśmiechali się znacząco i przywoływali przysłowie, które można by uznać za dewizę całego południowoeuropejskiego aparatu sprawiedliwości: „Eh-eh, ate a manha!” Sens tego powiedzenia to mniej więcej: „Jutro będzie jutro, a jutro — o dobry Boże, ile to się jeszcze może zdarzyć, więc poczekajmy, zobaczymy!”

Po aresztowaniu Thomas Lieven wylądował najpierw w więzieniu śledczym policji kryminalnej na „Torel”, jednym z siedmiu wzgórz, na których jest położona Lizbona. „Torel” pękał w szwach. Dlatego też kilka dni później przeniesiono go do „Aljube”, pięciopiętrowego średniowiecznego pałacu w najstarszej części miasta. Nad portalem widniał herb arcybiskupa Dom Miguela de Castro, który, jak światłym ludziom wiadomo, bawił na naszym padole łez w latach 1568-1625 i urządził w tym szkaradnym, starym gmaszysku więzienie dla duchownych, którzy dopuścili się karygodnych czynów. Chyba pokaźna część szesnastowiecznego portugalskiego kleru musiała mieć coś na sumieniu, pomyślał Thomas Lieven przekraczając progi więzienia, bo „Aljube” był ogromnym budynkiem.

Tu właśnie umieszczala teraz policja aresztantów, wśród nich zaś wielu niepożądanych cudzoziemców, choć przebywało tu przynajmniej tyłu samo panów, którzy podpadali pod zupełnie niepolityczne paragrafy portugalskiego kodeksu karnego. Siedzieli po części w areszcie śledczym, po części, już po wyroku, w zbiorowych, pojedynczych lub tzw. „celach dla majątnych więźniów”.

Te ostatnie mieściły się na najwyższych piętrach i były urządzone z największym komfortem. Wszystkie okna wychodziły na podwórze. W sąsiedztwie więzienia niejaki pan Teodoro dos Repos prowadził fabrykę walizek i toreb, co związane było z określonymi niemiłymi zapachami, które najbardziej dokuczały niezamożnym więźniom z niższych pięter, zwłaszcza w upalne dni.

Za to na wyższych kondygnacjach, wśród dobrze sytuowanych, żyło się o niebo lepiej. Tu więźniowie wnosili cotygodniowo opłatę za pokój, jak w normalnym hotelu. Wysokość opłat ustalono w zależności od wysokości kaucji wyznaczonej przez sędziego śledczego. I jak w porządnym hotelu troskliwie opiekowano się zamożnymi. Personel dokładał wszelkich starań, by odgadywać z oczu wszystkie życzenia klientów. Były oczywiście gazety i papierosy, a aresztanci mogli kazać sobie dostarczać posiłki z pobliskich, przez strażników gorąco polecanych, lokali.

Thomas, korzystając z tak miłych zwyczajów, zdeponował w administracji więziennej większą gotówkę i tak uregulował sprawę swych posiłków: Każdego ranka wzywał do siebie Francesco, grubego kucharza, i omawiał z nim dokładnie całodzienne menu, ten z kolei wysyłał następnie swego pomocnika po zakupy. Kucharz był zachwycony „senhorem Jeanem”. Pan z celi 519 zapoznawał go codziennie z nowymi przepisami i sztuczkami kulinarnymi.

Thomas Lieven czuł się znakomicie. Swój pobyt w więzieniu

traktował jako krótki, acz wielce zasłużony, urlop wypoczynkowy przed wejściem na statek udający się do Południowej Ameryki.

Fakt, że nie miał żadnych wiadomości od Estrelli nie niepokoił go w najmniejszym stopniu. Ta czarowna osóbką z pewnością uwijała się jak w ukropie, by załatwić mu bilet na statek...

Tydzień po przybyciu do więzienia Thomasowi Lievenowi przydzielono do celi towarzysza. Rankiem 21 września 1940 roku uprzejmy i szczodrze przez Thomasa obdarowywany strażnik Juliao przyprowadził nowego do celi.

Thomas zerwał się ze swej pryczy. Jeszcze nigdy w życiu nie widział szkaradniejszego faceta!

Nowy wyglądał jak niezapomniany dzwonnik z Notre-Dame. Był mały, garbaty, kulawy i był łysy jak kolano. Miał trupioblada twarz, ale wypchane, chomikowate policzki. Usta drgały mu w nerwowym tiku.

— Bom dia — powiedział garbus, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Bom dia — mruknął Thomas stłumionym głosem.

— Nazywam się Alcoba. Lazarus Alcoba.

Nowy wyciągnął do Thomasa szponiastą, pokrytą czarnym włosem rękę.

Thomas uściskał ją z przestraczem i odrazą. Nie przypuszczał, że w osobie Lazarusa Alcoby w jego życie wkracza oto prawdziwy przyjaciel, wierny druh o złotym sercu.

Sadowiąc się wygodnie na drugim legowisku, Lazarus Alcoba mówił szorstkim, zachrypłym głosem:

— Mnie te świny dorwały za przemyt, ale tym razem nic mi nie udowodnią. Prędej czy później będą mnie musieli wypuścić. Mnie się nie śpieszy... Eh-eh, ate a manha.

Znów rozdziawił gębę w uśmiechu.

— Ja też jestem czysty jak łza — zaczął Thomas, ale Lazarus przerwał mu znaczącym ruchem ręki.

— Tak, tak, podobno zakosiłeś jakąś wysadzaną brylantami bransoletę. Bezpodstawne pomówienie, co? Ojej, wstrętni, paskudni ci ludzie!

— Skąd pan wie...

— Wiem o tobie wszystko, chłopcze! Możesz mi spokojnie mówić na „ty”.

Garbus drapał się skrupulatnie.

— Jesteś Francuzem. Bankierem. Ta ślicznotka, co cię wkopała to konsulowa Estrella Rodrigues. Lubisz gotować...

- Skąd wiesz?
- Chłopcze, przecież to ja cię wyszukałem!
- Wyszukałeś?

Lazarus rozpromienił się w uśmiechu. Jego szpetna twarz poszerzyła się przy tym po dwakroć.

— No pewnie! Jesteś najciekawszym facetem w tym pudle. W końcu nawet w pace można przecież zatęsknić za jakąś duchową podniętą, co nie?

Pochylił się poufale do przodu i postukał Thomasa Lievena w kolano.

— Mała rada na przyszłość, Jean. Jeśli cię jeszcze kiedyś zapudują, zgłoś się natychmiast do naczelnika. Robię to za każdym razem.

— Dlaczego?

— Melduję się natychmiast u tego gnuśnego wieprza naczelnika i zgłaszam swą gotowość do prowadzenia ksiąg raportowych. W ten sposób uzyskuję wgląd do wszystkich akt więziennych i już po kilku dniach posiadam poufne wiadomości o wszystkich moich współwięźniach. W ten sposób mogę sobie zawsze wyszukać najmilszego kumpla do kolejnej odsiadki.

Thomas wyraźnie się ubawił wywodami garbusa. Poczęstował go papierosem.

— A dlaczego wybrałeś właśnie mnie?

— Boś elegant pierwszej wody, niestety jeszcze nowicjusz, ale za to o wyszukanych manierach. Na naukę nigdy nie jest za późno. No i bankier. Może udzielisz mi jakichś porad giełdowych. Lubisz gotować. Tego też warto by liźnąć. Wiesz, człowiek niczego w życiu nie uczy się za darmo...

— Tak — odparł Thomas w zadumie — to prawda.

Czegóż to już się nie nauczyłem, pomyślał, odkąd los wyrwał mnie z mojego ułożonego, spokojnego życia. Kto wie, co mnie jeszcze czeka. Moje bezpieczeństwo i mieszczańska egzystencja, mój klub w Londynie i mieszkanie w Mayfair, wszystko to umknęło, utonęło w nieprzejrzanym morzu mgły...

— Mam propozycję — odezwał się Lazarus. — Założmy spółkę. Ty nauczysz mnie wszystkiego, co ty umiesz, ja zaś będę twoim nauczycielem w moich specjalnościach. Co ty na to?

— Wspaniale — rzekł Thomas w zachwycie. — Co byś zjadł na obiad, Lazarusie?

— Miałbym na coś wielką ochotę, ale nie wiem, czy to znasz... Ten przygląd z więziennej kuchni nie ma o tym z pewnością zielonego pojęcia.

— No mówże wreszcie!

— Kapujesz, pracowałem w większości krajów Europy. Jestem żarłokiem i wcale tego nie ukrywam. Najbardziej lubię kuchnię francuską, choć nie mam też nic przeciwko niemieckiej. Kiedyś w Monasterze opróżniłem kilku panom kieszenie, spożywszy uprzednio nadziewany schab, ten schab, mówię ci, śni mi się do dziś po nocach.

Przewrócił oczami i mlasnął.

— Jeśli tylko o to chodzi... — powiedział Thomas łagodnym głosem.

— Znasz przepis?

— Ja też kiedyś pracowałem w Niemczech — odparł Thomas i zastukał w drzwi celi. — A zatem nadziewany schab, no dobrze. Zrobmy sobie dziś niemiecki dzień. Przed daniem głównym, powiedzmy, szwabski rosół z kluseczkami wątrobianymi, a na deser — hm — kasztany z bitą śmietaną...

Miły strażnik o imieniu Juliao wetknął głowę do celi.

— Przyślij mi tu szefa kuchni — polecił Thomas, wciskając mu do ręki stuescudowy banknot. — Chciałbym z nim omówić dzisiejsze menu.

4

— No, jak smakuje? Jak wówczas w Monasterze? — spytał Thomas cztery godziny później.

Siedział w swej celi naprzeciw garbusa, przy starannie nakrytym stole. Lazarus wytarł sobie usta i stęknął z zachwyty:

— Lepiej, mój chłopcze, lepiej! Po takim schabie mógłbym chyba wyciągnąć portfel samemu czcigodnemu premierowi Salazarowi!

— Kucharz dodał odrobinę za mało rumu.

— Oni zawsze żłopią sami — stwierdził Lazarus. — Chciałbym ci się zaraz zrewanżować za jedzenie, mój mały, więc udzielę ci pierwszej wskazówki.

— To miłe z twojej strony, Lazarusie. Może jeszcze troszkę purée?

— Tak, proszę. Spójrz, jesteśmy zamożni, mamy szmal. W takim układzie to żadna sztuka dobrze zjeść. Ale co zrobisz, jak cię zapudlują, a ty jesteś bez grosza? W więzieniu najważniejsze jest dobre odżywianie się, a dobre żarcie dostaniesz, jak jesteś chory na cukrzycę.

— Tylko jak tu nagle zachorować?

— Zaraz się dowiesz — wyjaśnił Lazarus z policzkami wypchany niczym chomik. — Najpierw zgłaszasz się ciągle do zakładowego lekarza. Po prostu ciągle ci niedobrze. Wykorzystując odpowiedni moment, doprowadzasz lekarzowi strzykawkę. Potem zaprzyjaźniasz się z kucharzem. Akurat tobie nigdy nie sprawi to kłopotu. Prosisz kucharza o trochę octu. Powiesz, że chcesz sobie przyprawić jedzenie. Potem wyciągasz od niego jeszcze trochę cukru. Do kawy.

— Rozumiem.

Thomas zapukał do drzwi celi. Zjawił się strażnik.

— Już można zebrać ze stołu — oznajmił. — I poproszę o deser.

Lazarus poczekał aż Juliao zniknie z naczyniami, po czym ciągnął dalej:

— Mieszasz ocet z wodą w stosunku jeden do dwóch i nasycasz roztwór cukrem. Potem wstrzykujesz sobie dwa centymetry sześciennego w udo.

— Domięśniowo?

— Tak. Ale powoli, na miłość boską, bardzo powoli, bo powstanie śliczna ropowica!

— Rozumiem.

— Zastryk robisz sobie na półtorej godziny przed wizytą u lekarza. Przez ten czas musisz sobie dać na wstrzymanie, żadnego sikania. Czy to jasne?

— Tak.

Strażnik Juliao wniósł deser, otrzymał swoją dolę i zniknął zadowolony.

— Lekarzowi poskarżysz się na straszne pragnienie w nocy — kontynuował Lazarus, pochłaniając kasztany z bitą śmietaną. Natychmiast powstanie podejrzenie, że możesz mieć cukier we krwi. Poprosi cię o próbkę moczu. Zgodzisz się na to chętnie, a badanie rzeczywiście wykaze znaczną obecność cukru. Odpowiednio dobre wyżywienie — pieczone, masło, mleko i biały chleb — będą zapłatą za ten niewielki wysiłek...

Tej nauki garbaty Lazarus udzielił Thomasowi Lievenowi w pierwszym dniu swej z nim znajomości. W następnych dniach i tygodniach Thomas dowiedział się jeszcze wielu innych rzeczy. Uczestniczył w regularnym kursie przestępczości i więziennego życia. Jego mózg z matematyczną dokładnością notował każdą wskazówkę, każdą nową regułę działania.

Na przykład — jak szybko uzyskać wysoką gorączkę, by zostać przeniesionym do więziennego szpitala, skąd łatwiej można dać nogę.

Menu, 21 września 1940

Zupa szwabska z wątrobianymi kluseczkami
Schab nadziewany
Kasztany z bitą śmietaną po badeńsku

Kuchnia domowa — najlepszą zaprawą przed zuchwałymi po-
ciągnięciami.

Zupa szwabska z wątrobianymi kluseczkami: wyrabiamy 60 g masła z 200 g posiekanej wątroby wołowej, 3 jajkami, 1 namoczoną uprzednio i dobrze wyciśniętą bułką, 5 g majeranku, solą i pieprzem. Masę tę przepuszczamy przez cedzak z dużymi otworami na gotującą się wodę. Kluseczki gotujemy 10-15 minut, tak długo aż wypłyną na powierzchnię. Kluski wyjmujemy, czekamy aż obeschną i podajemy na stół w gorącym rosole.

Schab nadziewany: na schabie wieprzowym, najlepiej już kupionym bez kości i żeberek, kładziemy farsz przyrządzony z cienko pokrojonych świeżych jabłek, suszonych śliwek, odrobiny skórki cytrynowej, rumu oraz tartej bułki — wszystko to dobrze wymieszane i wyrobione. Schab, uprzednio posolony i popieprzony zszywamy wkóło. Najpierw opiekamy go krótko na ostrym ogniu ze wszystkich stron, potem wsuwamy brytfannę do piekarnika i powoli dusimy. Podajemy z ziemniakami purée.

Kasztany z bitą śmietaną po badeńsku: nacinamy na krzyż duże, dorodne kasztany na wypukłej części i prażymy krótko w piekarniku, tak abyśmy mogli z łatwością zdjąć z nich skorupkę. Następnie wkładamy je do gotującej wody, po czym ściągamy z nich wewnętrzną skórkę. Następnie gotujemy kasztany w osłodzonym mleku z dodatkiem laski wanilii, tak aby były dość miękkie, ale nie rozsypywały się. Przekręcamy kasztany przez maszynkę do mielenia, najlepiej od razu na tę miskę, na której będziemy deser podawali na stół — by zachować ich luźną, sypką konsystencję w formie kręconych rureczek. Następnie szprycujemy masę po wierzchu bitą śmietaną, ubieramy wiśniami ze słoika, które lekko podprawiamy koniakiem do smaku.

Odpowiedź: Należy wziąć zwykłe mydło do prania, zetrzeć je na małe wiórki i na godzinę przed wizytą u lekarza połknąć ich trzy łyżeczki. Nastąpią intensywne bóle głowy, a termometr wskaże do 41 stopni gorączki, która jednakże utrzyma się tylko przez godzinę. Aby gorączka nie opadała przez dłuższy czas należy połknąć nieco kulek mydlnych.

Albo: Jak zasymulować żółtaczkę?

Należy wziąć łyżeczkę sadzy i dwie łyżeczki cukru, wymieszać je, zalać octem i odstawić na noc. Następnego ranka wystarczy wypić na

czczo zawiesinę. Po jednym lub dwóch dniach pojawią się symptomy żółtaczki.

— Wiesz Jean, żyjemy w niespokojnych czasach, nic tylko wojny i wojny. Może kiedyś będziesz chciał uniknąć bohaterskiej śmierci. Mam mówić dalej?

— Nie musisz — odparł Thomas Lieven.

Były to szczęśliwe tygodnie. Lazarus opanował do perfekcji sztukę gotowania. Thomas zaś perfekcyjnie nauczył się symulowania chorób, międzynarodowego żargonu przestępczego i niezliczonych trików, jak choćby „Białej kamizelki”, „Depozytu”, „Zakupu auta”, „Numeru z parasolką”, „Kupna brylantów”, „Odszkodowania”, „Garnituru na miarę”, „Inteligentnej ucieczki”, „Odholowywania” i wielu innych. Miał uczucie — o Boże, jak nisko już upadł! — że kiedyś wszystkie te sztuczki bardzo mu się przydadzą. Jego przeczucie miało się spełnić w stu procentach!

Thomas i Lazarus, uczący się i nauczający jednocześnie, żyli w zgodzie i spokoju do poranka owego straszego, potwornego 5 listopada 1940 roku...

Rankiem 5 listopada 1940 roku Thomas Lieven został — po długiej przerwie — znów zaprowadzony przed oblicze sędziego śledczego. Pan ten nazywał się Eduardo Baixa, ubierał się niezmiennie na czarno i nosił binokle na czarnej jedwabnej wstążce. Sędzia śledczy Baixa był wykształconym człowiekiem. Z Thomasem rozmawiał zawsze po francusku. Dziś także.

— A zatem, co z panem, monsieur, czy przyzna się pan wreszcie?

— Nie mam się do czego przyznać. Jestem niewinny.

Baixa czyścił binokle.

— Taaak, w takim razie będzie pan musiał jeszcze długo, bardzo długo pozostać w Aljube, monsieur. Tymczasem przesłaliśmy pański rysopis do wszystkich placówek policji w Portugalii. Musimy poczekać.

— Na co?

— Na odpowiedzi z tych placówek. Przecież nie wiemy jakich jeszcze przestępstw dopuścił się pan w naszym kraju.

— Nie popełniłem żadnego przestępstwa! Jestem niewinny!

— Tak, oczywiście... naturalnie... Ale mimo to, monsieur Leblanc, musimy odczekać. Poza tym jest pan cudzoziemcem...

Baixa przeglądał jakieś dokumenty w teczce Thomasa.

— Dziwna kobieta, hm, muszę przyznać...

— Kto, z przeproszeniem?

— Powódka, senhora Rodrigues.

Thomas poczuł nagle niesamowite mrowie wzdłuż kręgosłupa, zaschło mu w ustach.

— Dlaczego dziwna, panie sędzio śledczy?

— Nie zjawi się tu.

— Nie rozumiem.

— Wezwałem ją do siebie, ale nie przybędzie.

— O Boże — wyjąkał Thomas — chyba nie przydarzyło się jej nic złego.

Tego tylko mi brakowało, pomyślał.

Po powrocie do celi, natychmiast polecił zawołać grubego kucharza Francesco.

Zjawił się po kilku chwilach rozpromieniony.

— Czego pan sobie dzisiaj życzy, senhor Jean?

Thomas potrząsnął głową.

— Nie chodzi o jedzenie. Musisz mi wyświadczyć pewną przysługę. Czy możesz na godzinę wymknąć się z kuchni?

— Oczywiście.

— Każ sobie w administracji więzienia wypłacić pieniądze z mojego konta. Kup dwadzieścia róż, weź taksówkę i pojedź pod adres, który ci zaraz zapiszę. Mieszka tam senhora Estrella Rodrigues. Bardzo się o nią martwię. Może jest chora. Dowiedz się. Zapytaj, czy możesz w czymś pomóc.

— W porządku, senhor Jean.

Gruby kucharz opuścił celę.

Po godzinie Francesco wrócił. Sprawiał wrażenie zakłopotanego. Gdy wkroczył do celi ze wspaniałym bukietem dwudziestu krwistoczerwonych róż, Thomas natychmiast się zorientował, że stało się coś strasznego.

— Senhora Rodrigues zniknęła — oznajmił kucharz.

Thomas opadł na swe legowisko.

— Co to znaczy zniknęła? — spytał Lazarus.

— Znaczy co znaczy, jolopie — odparł kucharz. — Zniknęła. Wyjechała. Przepadła. Nie ma jej.

— Od kiedy? — spytał Thomas.

— Od pięciu dni, senhor Jean.

Kucharz patrzył na Thomasa ze współczuciem.

— Wydaje się, że dama nie zamierza tu powrócić, w każdym razie, hm, nie w najbliższym czasie.

— Skąd wiesz?

— Zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy, biżuterię, gotówkę.

— Przecież nie miała pieniędzy!

— Sejf był otwarty...

— Sejf?

Thomas zachwiał się na nogach.

— Jak dostałeś się do sejfu?

— Pokojówka oprowadziła mnie po całej chałupie. Śliczny mieszaniec, mówię panom, naprawdę! Pierwsza klasa! Taaakie oczy.

Tu kucharz wykonał odpowiedni ruch przed piersią.

— To Carmen — mruknął Thomas.

— Tak, Carmen. Dziś wieczorem idę z nią do kina. Zaprowadziła mnie do garderoby — wszystkie szafy opróżnione — do sypialni... Sejf był pusty.

— Całkiem pusty? — zaskrzeczał Thomas.

— Tak, zupełnie pusty. Apetyczne czarne majtki wisały na otwartych stalowych drzwiczkach — to wszystko. O Boże, źle się pan czuje, senhor Jean? Wody... Niech pan wypije tyk wody.

— Połóż się, połóż się spokojnie na wznak — poradził Lazarus.

Thomas rzeczywiście osunął się na legowisko.

— W tym sejfie były moje pieniądze — wybełkotał — wszystko, co posiadam, cały mój majątek...

— Baby. Wszystko przez te baby — zaburczał Lazarus rozeźlony. — I do tego nici z obiadu!

— Ale dlaczego? — wyszeptał Thomas. — No, dlaczego?! Przecież nic jej nie zrobiłem... Co mówi Carmen? Czy wie, gdzie jest senhora?

— Twierdzi, że poleciała do Kostaryki.

— Boże Wszechmogący — jęknął Thomas.

— Carmen mówi, że willa ma zostać sprzedana.

Nagle Thomas ryknął jak oszalały.

— Nie wymachuj mi bez przerwy tymi przeklętymi różami przed nosem!

Opanował się.

— Wybacz, Lazarusie. To nerwy. I nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości? Żadnego listu? Nic?

— Ależ tak, senhore.

Kucharz wydobył z kieszeni dwie koperty. Nadawcą pierwszego listu był przyjaciel Thomasa, wiedeński bankier Walter Lindner:

Lizbona, 29 października 1940

*Drogi Panie Leblanc,
kreślę te kilka słów w największym pośpiechu i z największym niepokojem. Właśnie minęła godzina jedenasta. Za dwie godziny odbija mój statek, muszę udać się na pokład, a Pan ciągle nie daje znaku życia! Mój Boże, gdzie się Pan zapodział? Czy Pan jeszcze żyje?*

Wiem tylko to, co mi powiedziała Pańska nieszczęsna przyjaciółka, konsulowa, mianowicie, że po rozmowie telefonicznej ze mną 6 września wyszedł Pan z domu i więcej się nie pokazał.

Biedna Estrella Rodrigues! Ta kobieta kocha Pana całym sercem. Jak się o Pana martwiła, jaki niepokój nią targal! Spotykałem się z nią codziennie, od chwili, gdy udało mi się zarezerwować bilet na statek do Ameryki Południowej. Z dnia na dzień mieliśmy nadzieję natrafić na jakiś Pański ślad — nadaremnie.

List ten piszę w willi Pańskiej pięknej, zrozpaczonej przyjaciółki. Stoi koło mnie zalana łzami. Także dziś — w ostatni dzień przed wyjściem w morze — nie dał Pan znaku życia. Kreślę te słowa w nadziei, że jest Pan przy życiu i że kiedyś wróci Pan do tego domu, do tej tak gorąco Pana kochającej kobiety. Jeśli Bóg Panu na to pozwoli, znajdzie Pan tu mój list.

Będę się modlił za Pana. Ciągle jeszcze mający nadzieję, że Pana znów zobaczy

*głęboko Panu oddany
Walter Lindner*

To był pierwszy list.

Thomas upuścił go na ziemię. Z trudem łapał oddech. Przeszył go nagły, rozsadzający czaszkę ból głowy.

Dlaczego Estrella nie powiedziała memu przyjacielowi, gdzie jestem? Dlaczego nie przyszła tu, nie wyciągnęła mnie stąd, tak jak to ustaliliśmy? Dlaczego to zrobiła? Dlaczego, dlaczego?

Drugi list wyjaśnił wszystko.

Lizbona, 1 listopada 1940

Podły draniu!

Twój przyjaciel Lindner opuścił kraj. Teraz nikt Ci już nie pomoże. Moja zemsta się dokonała.

Nie zobaczysz mnie już nigdy. Za kilka godzin wylatuję do Kostaryki.

Twój przyjaciel napisał do Ciebie list. Ja mój dołączam do niego. Pewnego dnia sędzia śledczy zacznie mnie szukać, wtedy otrzymasz oba.

Na wypadek, gdyby sędzia śledczy przeczytał najpierw te listy, co uważam za bardzo prawdopodobne, oświadczam ponownie — okradłeś mnie, lajdaku!

Oświadczam też (Pana to też z pewnością zainteresuje, Panie sędzio śledczy!), dlaczego opuszczam Cię po wsze czasy. Otóż dowiedziałam się, że jesteś Niemcem, niemieckim tajnym agentem, podłym, pozbawionym wszelkich skrupułów, chciwym, cynicznym szwabskim szubrawcem! Ach, jakże ja Cię nienawidzę, psie! E.

— Ach, jak ciągle jeszcze cię kocham, psie — jęczała namiętnie drobniutka Estrella Rodrigues.

Podczas gdy w Lizbonie Thomas Lieven z uczuciem arktycznego chłodu w dołku odczytywał w swej celi w „Aljube” jej pożegnalny list, kruczowłosa, cudownie zbudowana konsulowa siedziała na drugim końcu kuli ziemskiej w salonie najdroższego apartamentu najdroższego hotelu w San Jose, stolicy Kostaryki.

Miała zaczerwienione oczy, jej serce waliło niespokojnie, męczył nierówny oddech. Nawet wachlarz nie przynosił ulgi. Jean, Jean, nie mogę się uwolnić od myśli o tobie, ty podły psie o nazwisku Thomas Lieven, nikczemny kłamco, zdrajco... Mój Boże, a ja tak cię kocham!

Konsulowa, skonfrontowana z tym tragicznym stanem rzeczy, z szaleńczą odwagą wlała w swe piękne gardło podwójny kostarykański koniak. Otrząsnęła się, przymknęła oczy, przeszył ją dreszcz na wspomnienie najświeższej przeszłości.

Jeszcze raz ujrzała przed sobą angielskiego agenta, który wyjawiał jej prawdę, całą prawdę o Thomasie Lievenie. Ujrzała też samą siebie w chwili, gdy Anglik ją opuścił. Zobaczyła roztrzęsioną, rozbitą, załamaną kobietę...

Zrozpaczona Estrella Rodrigues powlokła się wieczorem 9 września do ogromnego sejfu w swej sypialni. Z płaczem nastawiła odpowiednią kombinację cyfr, drżącymi rękami otworzyła ciężkie drzwi. Oto leżał przed nią w gotówce majątek tego łotra. Marki Rzeszy Niemieckiej, escudo, dolary. Prawie oślepią potokiem łez, zradzona, głęboko nieszczęśliwa, przeprowadziła inwenturę.

Tego wieczoru goście kasyna gry w Estorilu byli świadkami prawdziwej sensacji!

Estrella Rodrigues, jeszcze piękniejsza, jeszcze bledsza, jeszcze bardziej wydekoltowana niż zwykle, pojawiła się z kapitałem w wysokości 20 000 dolarów. I tego wieczoru ona, znana personelowi i krupierom jako notorycznie przegrywająca, ona, której z czasem współczuli już i krupierzy, i reszta obsługi, ona tego właśnie wieczoru wygrywała raz za razem!

Grała jak w transie, obstawiając pieniędzmi Thomasa Lievena. Interesowały ją tylko najwyższe stawki. Obstawiała 11 i kulka trzy razy pod rząd zatrzymywała się na 11, zagrała 29 en plein et chevaux i wygrywała liczba 29. Decydowała się na środkowy tuzin czerwony,

impair et passe i na 23 en plein et chevaux, wszystko maksymalne stawki, i wygrywało 23! Estrella grała i wygrywała, obojętnie co obstawiała.

Jej piękne oczy napełniły się łzami. Panowie w smokingach i panie w najcenniejszych etolach z norek z ciekawością przyglądali się tej niezwykle hazardzistce, która przy każdej wygranej zanosila się szlochem.

Grający w innych częściach sali z połyskującymi zyrandolami, ogromnymi platynowymi lustrami i cennymi obrazami, wstawali od swych stolików, podchodzili zewsząd, tłoczyli się w pobliżu Estrelli i wpatrywali się w tę piękną kobietę w czerwonej wieczorowej sukni, która wygrywała i wygrywała, popadając przy tym w coraz większą rozpacz.

„Jest pani zbyt piękna. Ma pani zbyt dużo szczęścia w miłości! Byłoby niesprawiedliwe, gdyby szczęściło się pani także w grze!” Te słowa Thomasa Lievena wypowiedziane w wieczór, kiedy się poznali, paliły jak ogień w pamięci Estrelli. Za dużo szczęścia w miłości, dlatego zawsze przegrywała, a teraz... a teraz...

— 27, rouge, impair et passe!

Okrzyk tłumu.

Szloch Estrelli.

Znów wygrała. Tyle, ile w kasynie w Estorilu można maksymalnie wygrać za jednym zamachem, obstawiając 27, rouge, impair et passe.

— Już... już nie mogę — zajęczała.

Aż dwóch eleganckich służących musiało odprowadzić ją do baru, aż dwóch potrzeba było, by w drewnianych skrzyneczkach zadźwigać do kasy góry żetonów, gdzie przeliczono je na gotówkę. Estrella wygrała 82 724 dolary i 26 centów.

I niech jeszcze ktoś powie, że kradzione nie tuczy!

Konsulowa kazała sobie wypisać czek. W swej przetykanej złotem wieczorowej torebce znalazła jeszcze jeden żeton wartości 10 000 escudo. Z baru, ponad głowami grających rzuciła go na zielone sukno stołu. Żeton upadł na czerwone pole. Estrella zawołała, łkając:

— Za zdradzone miłości!

Czerwone wygrało...

Czerwone wygrało, wspominała Estrella Rodrigues z wilgotnymi od łez oczami, 5 listopada 1940 roku, w salonie najdroższego apartamentu najdroższego hotelu w San Jose. W San Jose była o wpół do dziesiątej rano czasu kostarykańskiego. W Lizbonie zegary wskazywały wówczas godzinę dwunastą trzydzieści czasu portugalskiego. W Lizbonie Thomas Lieven zapijał właśnie swój obezwładniający strach

pierwszym podwójnym koniakiem. W San Jose piękna konsulowa piła już drugi podwójny tego dnia. Pierwszy wypła tuż po śniadaniu.

W ciągu ostatnich dni piła coraz więcej, coraz częściej, coraz wcześniej. Cierpiała na okropne trzepotanie serca. Po prostu musiała pić!

Gdy nie piła, nie mogła znieść wspomnienia Jeana, swego słodkiego, niepowtarzalnego, cudownego Jeana, tego psa, barbarzyńcy! Koniak łagodził nieco te gwałtowne uczucia. Była teraz bogata, wiodła beztroskie życie. Nigdy już nie zobaczy swego kochanka. Hańba, że mu się oddała, została już zmyta.

Drżącymi palcami Estrella wyjęła z torby z krokodylowej skóry złoty flakon i odkręciła go. Drżącymi palcami napełniła ponownie kieliszek i podczas gdy jej oczy znów zalały się łzami wykrzyknęła w przepyszny, pusty salon: „Nigdy, przenigdy go nie zapomnę!

6

— Nigdy — rzekł Thomas Lieven — nigdy nie zapomnę tej kobiety!

Wieczorny zmierzch o barwie macicy perłowej opadał powoli na Lizbonę. Thomas Lieven jak rozdrażniony tygrys miotał się po celi.

Wyjawiał Lazarusowi całą prawdę. Garbus znał teraz prawdziwe nazwisko Thomasa i jego przewiny, wiedział co go czeka, gdy wpadnie w łapy niemieckiego, brytyjskiego lub francuskiego wywiadu.

Pałac papierosa, garbus wpatrywał się z troską w swego przyjaciela i mówił:

— Okropne, taka histeryczka! A przy tym nigdy nie wiadomo, co takiej osobce jeszcze strzeli do głowy!

Thomas przerwał na chwilę swą nerwową wędrówkę po celi.

— O to właśnie chodzi. Może już jutro napisze list do prefekta policji i obciąży mnie winą za jakieś niewyjaśnione morderstwo.

— Albo kilka.

— Co kilka?

— Kilka niewyjaśnionych morderstw.

— Możliwe. Nie, nie, znajduję się w rozpaczliwej sytuacji! Tę przeklętą bransoletkę też oczywiście zabrała. Już nigdy się nie odnajdzie! Mogę tu siedzieć, aż zaśniedzieję.

— Tak — zgodził się Lazarus — i dlatego musisz się stąd jak najszybciej wydostać.

— Wydostać się? Stąd?

— Zanim wyrządzi ci jeszcze większą krzywdę.

— Lazarusie, to coś, gdzie siedzimy, to więzienie!

— Co z tego?!

— Domek z kratami, murami i ciężkimi stalowymi drzwiami!

Pełen sędziów, strażników i psów gończych.

— Zgadza się. Dlatego też nie wyjdiesz stąd tak łatwo, jak się tu dostałeś.

Thomas przysiadł na skraju łózka.

— Widzisz jakieś wyjście?

— Oczywiście. Musimy tylko zadać sobie nieco trudu. Mówisz, że posiadasz sztukę fałszowania dokumentów?

— Owszem. I to nieźle!

— Hm, drukarnię mamy tu na miejscu, w piwnicy. Drukuje formularze sądowe. Odpowiednią pieczętkę też skombinujemy. Taaak, no to wszystko zależy tylko od ciebie, chłopcze.

— Ode mnie? Jak to?

— Trzeba cię będzie trochę przemodelować.

— Nie rozumiem?

Lazarus roześmiał się melancholijnie.

— Upodobnimy cię trochę do mnie. Będziesz musiał zmaleć, kuleć, trzeba cię wyposażyć w garb i chomikowate policzki. Poza tym będą ci drgały usta, no i musisz mieć całkiem łysą pałę. Przestraszyłem cię, chłoptysiu?

— Nnnie, wcale nie — łąał mężnie Thomas. — Czegóż nie robi się... żeby odzyskać wolność.

— Tak, to najważniejsza rzecz w życiu — oświadczył Lazarus. — A teraz posłuchaj uważnie, co ci powiem.

I zaczął mówić.

Thomas słuchał uważnie.

— Oczywiście zawsze łatwiej znaleźć się w pudle niż się z niego wydostać — powiedział garbaty Lazarus Alcoba — ale nie jest to znów aż tak niemożliwe.

— Jakże się cieszę.

— Szczęście, że siedzimy w Portugalii, a nie w twojej ojczyźnie. U ciebie ten numer by nie przeszedł, macie za duży porządek.

— Tak, tak, niemieckie więzienia są najlepsze na świecie, co?

— Sam siedziałem dwa razy w Moabicie!

Lazarus trzepnął się w kolano.

— Mówię ci, pod tym względem Portugalczycy nie mają żadnych szans! Są za dobroduszni, brak im pruskiego poczucia obowiązku, niemieckiej dyscypliny!

— Tak, zgadza się.

Garbus zastukał w drzwi celi i natychmiast pojawił się uczynny, nad miarę przez Thomasa obdarowywany strażnik Juliao — jak etażowy kelner w dobrym hotelu.

— Zawołaj tu kucharza, mój stary — polecił Lazarus.

Juliao znikł w pokłonach.

— Właśnie od kuchni zacznie się twoja ucieczka — wyjaśnił po chwili Thomasowi.

Po jakimś czasie garbus powiedział do pękatego kucharza Francesco:

— Posłuchaj no, mamy tu w piwnicy drukarnię, zgadza się?

— Tak. Drukuje wszelkie formularze potrzebne w obrocie prawnym.

— A prokuratorskie nakazy zwolnienia?

— Też.

— Czy znasz kogoś z zatrudnionych tam więźniów?

— Nie, dlaczego?

— Potrzebny nam taki nakaz zwolnienia.

— Mogę się rozglądnąć — powiedział kucharz.

— Więc się rozglądnij — włączył się Thomas Lieven. — Temu, kto wyświadczy nam tę drobną przysługę, gwarantuję tydzień dobrego jedzenia.

Kucharz zgłosił się po dwóch dniach.

— Jest taki jeden, ale żąda dobrego żarcia przez cały miesiąc.

— Nie ma mowy — rzekł Lazarus stanowczym tonem. — Dwa tygodnie, ani dnia więcej.

— Muszę zapytać — powiedział kucharz.

Gdy wyszedł, Thomas zwrócił się do garbusa:

— Nie bądź taki skąpy! W końcu to moje pieniądze!

— To sprawa zasad — odparł Lazarus. — Nie wolno ci psuć rynku. Poza tym, mam nadzieję, że rzeczywiście potrafisz sfalszować pieczęć?

— Nie istnieje taka pieczęć, której nie umiałbym podrobić. Pobierałem nauki u najlepszego specjalisty w tym kraju — odparł Thomas i pomyślał: To potworne, jak nisko może upaść człowiek, a ja jestem jeszcze z tego dumny!

Następnego dnia zjawił się kucharz. Drukarz przystał na propozycję Lazarusa.

— Masz formularz?

— Drukarz mówi, że najpierw chce zjeść przez dwa tygodnie.

— Zaufanie za zaufanie — zaburczał Lazarus. — Albo natychmiast dostarczy formularz, albo niech zapomni o tym całym interesie.

Po godzinie mieli potrzebny formularz.

Od pierwszego dnia swego pobytu w więzieniu Lazarus codziennie zgłaszał się u naczelnika, by wykonywać prace związane z prowadzeniem ksiąg raportowych i załatwianiem korespondencji dotyczącej funkcjonowania zakładu. Dzień w dzień wystukiwał na maszynie dziesiątki listów, podczas gdy naczelnik wsadzał nos w gazetę i nie zwracał na niego uwagi. Tak więc garbus mógł z całym spokojem wystawić sobie nakaz zwolnienia. Wystukał swoje nazwisko, dane personalne, numer akt i datę 15 listopada, choć był dopiero 8 tegoż miesiąca. Do zrealizowania planu Thomasowi i Lazarusowi potrzebny był jeszcze przynajmniej tydzień. Poza tym jeden dzień pismo będzie wędrowało po więziennych instancjach. Zatem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, Thomas mógł zostać zwolniony 16 listopada. Tenże 16 listopada przypadał w sobotę, a w soboty uczynny strażnik Juliao miał zawsze wolny dzień, tak więc... Ale opowiedzmy wszystko po kolei.

Nakaz zwolnienia Lazarus ozdobił w końcu podpisem Prokuratora Generalnego, który skopiował bez kłopotu z pisma, jakie widniało na ścianie w biurze.

— Mam nadzieję, że ty też nie marnowałeś czasu — odezwał się do Thomasa po powrocie do celi.

— Ćwiczyłem całe popołudnie.

Ustalili, że Thomas zgłosi się zamiast Lazarusa, gdy tylko sfalszowany nakaz zwolnienia dotrze do kancelarii zakładu i zostanie wezwany „więzień Alcoba”. Aby uniknąć wpadki, Thomas musiał się zewnętrznie upodobnić do swego przyjaciela, co nie przyszło mu łatwo, jeśli pamiętać, że Lazarus Alcoba był prawie całkiem łysym, małym garbusem, miał chomikowate policzki, a jego usta wykrzywiały się w nieustannym tiku. Dlatego też garbus obstawał przy tym, żeby Thomas codziennie ćwiczył...

Tak więc, nasz przyjaciel wypchał sobie chlebem policzki, co sprawiło, że rzeczywiście zaczął teraz przypominać chomika. Usiłował też nerwowo poruszać ustami i — choć chleb znacznie utrudniał mu działanie — naśladować głos garbusa.

— To ma być bełkot, chłopcze. I co wyprawiasz z ustami? Nie w tym miejscu mają ci drgać.

Lazarus chwycił się za usta.

— Zobacz, gdzie drgają. Niżej, chłopcze, niżej!

— Niżej nie mogę!

Thomas maltretował swe usta, jak tylko mógł.

— Te cholerne kulki chleba mi przeszkadzają!

— Przestań marudzić, bez nich nie wyglądałbyś jak chomik! Postaraj się, już ci drgają trochę niżej!

Thomas otarł sobie pot z czoła.

— Ależ mam pecha z tą twoją facjatą.

— Nie każdy może być tak urodziwy jak ty. A to dopiero początek! Poczekaj, aż ci opalę włosy.

— Opalę?

— No pewnie! Myślisz, że dadzą nam tu brzytwę i nożyczki?

— Tego na pewno nie wytrzymam — zajęczał Thomas.

— Nie gładź, tylko ćwicz. Zniź się. Załóż mój płaszcz, żebyś wiedział jak bardzo musisz ugiąć nogi w kolanach i zrób sobie porządny garb z poduszki. Poza tym nie zwracaj mi teraz głowy, bo muszę się rozpytać w gmachu.

— O co?

— Kto ma jakieś pismo Prokuratora Generalnego. Z pieczęcią. Żebyś mógł ją podrobić.

Podczas gdy Thomas Lieven w starym płaszczu garbusa kuśtykał po celi na ugiętych kolanach, ten zaczął stukać butem w ścianę. Trzy stuknięcia oznaczały „a”, dwa „b”, jedno „c”, następne sześć stuknięć znaczyło „d”, pięć „e”, cztery „f” i dalej: dziewięć „g”, osiem „h”, siedem „i”, i tak aż do końca alfabetu.

Lazarus wystukał swoje pytanie i czekając na odpowiedź spoglądał ku Thomasowi, który zmuszał usta do drgania, mamrotał pod nosem i ćwiczył poruszanie się na ugiętych kolanach.

Po godzinie zaczął pukać więzień z sąsiedniej celi. Lazarus nadłuchiwał i kiwał głową.

— Na trzecim piętrze siedzi więzień o nazwisku Maravilha — odezwał się po chwili. — Przechował odmowę Prokuratora Generalnego na swój wniosek o zwolnienie. Na pamiątkę. Jest pieczęć.

— No widzisz — wybełkotał Thomas zza rozedrganych ust — zaproponuj mu za to tydzień dobrego jedzenia.

7

Listopad roku 1940 był bardzo ciepły. Można się jeszcze było kąpać w Atlantyku, albo wylegiwać w słońcu na plażach Estorilu. Oczywiście — zgodnie z portugalskimi przepisami — tylko w niezwykle obyczajnym stroju. Od mężczyzn policja wymagała komplet-

nego stroju kąpielowego, a dla pań władze były jeszcze bardziej bezwzględne.

9 listopada około południa jakiś krzywonogi facet o kwaśnym spojrzeniu wynajął na przystani tak zwaną „gaivolę”, staroświecki pojazd wodny, na który składały się dwie drewniane płozy ze swego rodzaju leżakiem z pedałami pośrodku i kołem łopatkowym. Załatwiwszy formalności, osobnik ten wypłynął o własnych siłach w morze.

Miał około pięćdziesiątki, a na sobie brązowy strój kąpielowy i słomkowy kapelusz. Po kwadransie jazdy dojrzał w oddali drugą „gaivolę”, która samotnie kotłowała się na łagodnych falach Atlantyku. Wziął na nią kurs. Po następnych piętnastu minutach zbliżył się już tak bardzo, że mógł rozpoznać mężczyznę na siedzeniu drugiego katamaranu, który wyglądał jak jego bliski krewny — zgorzkniały i przepracowany.

— Dzięki Bogu — zawołał drugi facet, ubrany w czarny strój kąpielowy — już się bałem, że się pan nie zjawi.

— Zasugerował pan telefonicznie, że chodzi o moją egzystencję, więc oczywiście przyjechałem — odparł ten w brązowym stroju.

— Niech się pan nie obawia, majorze Loos — rzekł Czarny — tu, na pełnym morzu, nikt nas nie usłyszy. Tu nie ma mikrofonów. Genialny pomysł, co?

— Tak, genialny — zgodził się Brązowy. — Czego pan ode mnie chce, mister Lovejoy?

Agent brytyjskiego wywiadu westchnął.

— Chciałem panu złożyć ugodową propozycję, majorze. Chodzi o tego Thomasa Lievena...

— Tak też myślałem!

Oficer niemieckiego wywiadu wojskowego z wściekłością pokłamał głową.

— Pan go ściga, bo pana wystawił do wiatru. Mnie też... Dobrze, jesteśmy wrogami, powinniśmy się nienawidzić, ale mimo wszystko, majorze, w tym przypadku powinniśmy działać wspólnie.

— Wspólnie?

— Majorze, pracujemy w tej samej branży, apeluję do pańskiej solidarności zawodowej. To chyba lekka przesada, nieprawdą, że na naszym poletku nagle zaczyna się panoszyć — zmieniając fronty — całkowity laik, bezczelny outsider, który psuje rynek, ośmiesza nas i robi z nas idiotów!

— Przez tego typa grozi mi wyrzucenie na bruk! — powiedział tępo major z Kolonii.

— Ze mną nie lepiej — grzmiał Lovejoy. — Albo dostarczę go do Londynu, albo przeniosą mnie do ochrony wybrzeża! Czy pan wie, co to znaczy? Mam żonę i dwójkę dzieci, majorze. Pan zapewne też...

— Żona się ze mną rozwiodła.

— Zarabiamy wprawdzie niewiele, ale czy mamy przez to dopuścić, by taki facet zniszczył naszą egzystencję?

— Och, gdybym go wówczas w Kolonii przekazał gestapo! A teraz zapadł się pod ziemię.

— Nie, nie rozpląnął się w powietrzu.

— Pan coś wie?

— Siedzi w więzieniu.

— Ale...

— Wszystko panu wyjaśnię. Nie pozostanie tam wiecznie. Przekupiłem kogoś w administracji, doniesie mi natychmiast, gdy tylko go zwolnią.

Lovejoy wyrzucił do góry ramiona.

— Tylko co wtedy? Wtedy spektakl zacznie się na nowo — z jachtami i łodziami podwodnymi, chloroformem i rewolwerami. Jestem całkiem szczery, majorze, ja tego po prostu dłużej nie zniosę!

— A myśli pan, że mnie żółć nie zalewa?

— Dlatego proponuję współpracę. Po wyjściu na wolność coś mu się przytrafi. Mam takiego faceta na podorzędziu, no, wie pan przecież... do brudnej roboty. Wtedy będę mógł centrali zameldować, że wy, Niemcy, go załatwiliście, a pan może powiadomić admirała, że zrobiliśmy to my, Anglicy. W ten sposób pana ominie front, a mnie służba w ochronie wybrzeża. I co?

— Brzmi to za pięknie, by mogło być prawdziwe...

Major westchnął głęboko.

— Rekiny! — powiedział nagle bezdzwięcznym głosem.

— Gdzie!?

— Tam, przed nami.

Loos zamarł z przerażenia. Lazurową toń przecinały, pędząc wprost na nich, dwie pionowe płetwy ogonowe. Potem trzy. Pięć.

— Jesteśmy zgubieni — zajęczał Lovejoy.

— Musimy zachować zimną krew. Udajemy nieżywych — rozkazał major.

Pierwsza bestia już zbliżyła się do nich. Rekin wpłynął pod katamarany i uniósł je z łatwością do góry. „Gaivole” podskakiwały w powietrzu, z pluskiem opadały na wodę, kołysały się gwałtownie na wszystkie strony. Potem zaatakował następny i znów wzbil pojazdy w powietrze.

Major wpadł do wody. Zanurzył się, wypłynął na powierzchnię i natychmiast położył się sztywno na plecach. Ogromne cielsko przemknęło z rozwartym pyskiem obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Oblatany w zoologii major stwierdził, że nie ma powodów do niepokoju, po czym usłyszał straszliwy krzyk i ujrzał, jak jego brytyjski kolega szybuje w powietrzu i woduje obok niego.

— Lovejoy, niechże pan posłucha, to nie rekiny... to delfiny.

— De...de...de...

— Tak. Natknęliśmy się na stado delfinów... One nie czynią człowiekowi krzywdy, bawią się z nim po prostu.

Tak też było. Delfiny okręzały obu panów ciągle na nowo, prześlizgiwały się obok nich, niekiedy wyskakiwały w powietrze, wzbijając fontanny wody, także nad ich głowami.

Wrodzy agenci chwycili się kurczowo jednej z płóz przewróconego katamaranu Lovejoya, próbując skierować go w stronę brzegu.

Lovejoy stękał z wysiłku.

— Nie mogę złapać powietrza... Co pan mówił, Loos?

Ogromny delfin wynurzył się właśnie pionowo za plecami majora, wyskoczył elegancko w górę ponad nim i zalał go potokami wody. Major wypłuł pół morza, po czym wrzasnął Lovejoyowi do ucha:

— Najchętniej zastrzeliłbym tego łotra własnoręcznie, gdy tylko wyjdzie z więzienia!

8

W Portugalii spożywa się niewiele ziemniaków. Mimo to Francesco skombinował szczególnie dorodne, gdy majętni więźniowie, Leblanc i Alcoba, 15 listopada zamówili sobie na obiad ziemniaki w mundurkach.

Tak jak mu nakazano, Francesco nie dogotował ziemniaków do końca, po czym zaniósł je, jeszcze gorące, na piąte piętro, gdzie zaserwował je panom Leblancowi i Alcobie z sardynkami marynowanymi w occie i oliwie. Strażnik Juliao na życzenie zasobnych więźniów przeciął ostrym nożem twarde kartofle na dwie części.

Zostawszy sami, obaj panowie nie przystąpili do posiłku. Thomas miał co innego do roboty. Na stoliku pod oknem położył obok siebie wypełniony przez Lazarusa na maszynie nakaz zwolnienia i pismo,

w którym Prokurator Generalny odrzuca podanie więźnia Maravilhiego o zwolnienie z aresztu. To pismo opatrzone było pieczęcią tegoż Prokuratora Generalnego.

Thomas zabrał się do pracy, działając ściśle według cennych nauk malarza i fałszerza paszportów, Reynaldo Pereiry. Garbaty Lazarus przyglądał mu się ciekawie.

Thomas wziął jeszcze gorącą połówkę ziemniaka i płaszczyznę przecięcia przycisnął ją do pieczęci Prokuratora Generalnego. Po piętnastu minutach podniósł ziemniak, na którym widniało teraz lustrzane odbicie stempla.

— Teraz nastąpi najważniejsza część tej sztuczki — rzekł Thomas.

Mocą przyzwyczajenia zabelkotał to pod nosem, a kąciki jego ust zadrgały nieznacznie. Reakcje te od dwóch dni wymykały mu się niekiedy spod kontroli. Bezkarne nie sposób maltretować swej twarzy i głosu od samego rana do późnego wieczora.

— Podaj świeczkę, Lazarusie.

Garbus wydobyl ze swego materaca świecę i zapalki, które ukradł uprzednio w biurze naczelnika. Obu rekwizytów zamierzał użyć także w celu odwołania Thomasa.

Lazarus zapalił świecę, zaś Thomas odgryzł ostrożnie kawałek dolnej części połówki ziemniaka i trzymając resztę nad płomieniem świecy podgrzewał go ponownie.

— W języku fachowym nazywa się to „robieniem dzwonu” — wyjaśnił zastygłemu w niemym podziwieniu Lazarusowi.

Mój Boże, pomyślał, czy dane mi będzie opowiedzieć to kiedykolwiek w moim klubie.

— Ziemniak się nagrzewa. Widzisz, jak odbicie znów staje się wilgotne. Mówi się, że nabiera życia. Jeszcze kilka sekund i...

Eleganckim ruchem Thomas przyłożył „dzwon” z wilgotnym, gorącym odbiciem stempla na nakaz zwolnienia, w miejscu, gdzie miała znajdować się prokuratorska pieczęć. Lekko przyciskając, poczekał piętnaście minut, aż kartofel wystygnie, po czym podniósł go. Na nakazie zwolnienia widniało teraz dokładne odbicie oryginalnej pieczęci.

— Fantastyczne! — zachwycił się Lazarus.

— Teraz szybko do stołu — oznajmił Thomas. — Resztę możemy załatwić później.

Reszta wyglądała następująco.

Przed południem Lazarus otworzył w biurze naczelnika kilka dostarczonych właśnie pism Prokuratury Generalnej. Czynność tę wykonywał zresztą codziennie. Owego przedpołudnia starał się szcze-

gólnie pieczołowicie otworzyć jakąś niedokładnie zaklejoną kopertę. Jego starania uwieńczone zostały sukcesem. Zabrał ze sobą ową kopertę i tubkę kleju.

Po posiłku Thomas złożył troskliwie kompletnie wypełniony i opatrzony pieczęcią nakaz zwolnienia Lazarusa Alcoby, wsadził go do zielonej koperty, na której widniał stempel pocztowy poprzedniego dnia, po czym ponownie ją zakleił. Pozostało tylko podłożyć dokument naczelnikowi do popołudniowej poczty. Lazarus uczynił to niezwłocznie...

— Zbliżamy się do decydującego momentu — oświadczył garbus tego wieczoru, zwracając się do Thomasa. — Naczelnik już przekazał mój nakaz zwolnienia z administracji do biura zwolnień. Tam zgodnie z przepisami wystawią jutro rano wypiskę, a potem — jak mi podpowiada doświadczenie — około jedenastej zabiorą mnie z celi. To oznacza, że dzisiejszej nocy musisz wyłysieć.

Opalenie włosów trwało niecałe pół godziny, ale było to najstraszliwsze pół godziny w życiu Thomasa Lievena. Siedział przed Lazarusem z pochyloną głową, a ten dokonywał na nim operacji, jaką przeprowadza się na oskubanym uprzednio drobiu. W prawej ręce Lazarus trzymał świecę, której płomień pożerał kosmyki włosów Thomasa Lievena tuż przy cebulkach, w lewej namoczoną szmatę, którą nieustannie błyskawicznym ruchem zwilżał skórę głowy Thomasa, by nie zrobić mu krzywdy. Niekiedy trochę się spóźniał...

Thomas jęczał z bólu.

— Uważajże, przeklęty idioto!

Lazarus reagował na takie okrzyki przytaczaniem starego portugalskiego przysłowia: „Przez męki przejść musi, kogo wolność kusi”.

W końcu tortury dobiegły końca.

— Jak wyglądam? — spytał Thomas wyczerpany.

— Jak sobie wypchasz policzki chlebem i wprawisz w ruch usta, będziesz do mnie podobny jak dwie krople wody — odparł Lazarus z dumą.

Obaj spali tej nocy bardzo niespokojnie.

Następnego ranka obcy strażnik przyniósł śniadanie, gdyż była to sobota, 16 listopada, a w soboty — już o tym napomknęliśmy — uczynny Juliao miał wolne. Lazarus brał to pod uwagę, umieszczając datę na nakazie zwolnienia. Garbus w drzwiach odebrał śniadanie od strażnika, podczas gdy Thomas Lieven chrapał jeszcze na swej pryczy z kocem naciągniętym na głowę.

Po śniadaniu Lazarus połknął trzy białe tabletki i położył się na pryczy Thomasa Lievena, ten zaś założył krótki płaszcz Garbusa

i między ósmą a dziesiątą przeprowadził ostatnią prywatną próbę generalną. Po jej zakończeniu nie wyjmował już kulek chleba z ust ani nie pozbywał się grubej poduszki, którą przytwierdził do grzbietu, żeby garb nie osunął mu się w najbardziej nieodpowiednim momencie. Oddając się łasce Bożej, wprawiał swe usta w dzikie harce...

O jedenastej zjawił się ponownie nieznajomy strażnik. Lazarus spał całkowicie przykryty kocem.

— Lazarus Alcoba — zawołał strażnik, ściskając w ręce wypiskę.

Thomas podniósł się na ugiętych kolanach i, nie mogąc opanować nerwowego tiknięcia ust, puścił do niego oko.

— Rozkaz! — wybełkotał.

Strażnik omiótł go badawczym spojrzeniem, pod którego ciężarem Thomas oblał się potem.

— Lazarus Alcoba to pan?

— Tak jest!

— A co z tym drugim? Jeszcze kima!?

— Źle spał tej nocy — oznajmił Thomas bełkotliwie. — Ma pan coś do mnie?

— Zostaje pan zwolniony.

Thomas złapał się za serce, zajęczał i opadł na łóżko. Grał porażonego tą wiadomością.

— Zawsze wiedziałem, że sprawiedliwość w końcu zwycięży! — wymamrotał.

— Niech pan nie gędzi, tylko się zbiera. No już!

Strażnik podniósł go z pryczy. Trochę przesadził, o mały włos pociągnąłby go za wysoko. Thomas natychmiast opuścił się na ugięte kolano. Psiakrew, jak boli, pomyślał, ale przecież to nie potrwa długo. Szedł za obcym strażnikiem długimi korytarzami, prowadzącymi do administracyjnego bloku więzienia. Ciężkie stalowe drzwi otworzyły się przed nim, by zaraz ponownie się zamknąć. Te drgawki nie są takie trudne, przychodzą same z siebie, ale te ugięte kolana... Żeby tylko nie złapał mnie kurcz, żebym się tylko nie wyrzucił...

Po schodach w górę, po schodach w dół... Przecież ja tego nie wytrzymam. Nigdy!

Znów jakieś korytarze. Nieznany strażnik spojrzał na niego uważnie.

— Gorąco panu, Alcoba? Tak się pan poci. Może pan zdejmie płaszcz?

— Nie. Nie, dziękuję. To... to tylko zdenerwowanie... wręcz przeciwnie jest mi... bardzo zimno...

Wreszcie dotarli do biura zwolnień. Pomieszczenie przedzielone było drewnianą barierą, za którą pracowało trzech urzędników. Przed barierą stało jeszcze dwóch więźniów, którzy też mieli zostać zwolnieni. Dwie rzeczy natychmiast rzuciły się Thomasowi w oczy: po pierwsze, że urzędnicy nie lubili się przepracowywać, po drugie, że przed barierką nie było nic, na czym można by było przycupnąć. No to będzie cyrk, przemknęło mu przez myśl. Zegar na ścianie wskazywał dziesięć minut po jedenastej.

Do za pięć dwunasta urzędnicy ciągle jeszcze nie zdążyli załatwić dwóch pozostałych więźniów. Przed oczami Thomasa Lievena już zaczęły wirować płomienne kręgi, wydawało mu się, że lada chwila straci przytomność. Kolana bolały go potwornie, zresztą nie tylko kolana, także łydki, uda, kostki i biodra. Dyskretnie oparł się łokciem na barierce, nieco później oboma. O Boże, jaka ulga, jaka słodka rozkosz.

— Ej, tam! — szczerknął najniższy z urzędników. — Niech pan z łaski swojej zdejmie ręce z barierki! Czy przez te parę minut nie może pan stać jak się należy? Gnuśna hołota!

— Przepraszam — pokajał się Thomas unieżenie z tikiem ust i zdjął łokcie z bariery.

Po chwili upadł. Nie wytrzymał. Zrozpaczony myślał: Nie stracić przytomności, tylko nie stracić przytomności, bo zdejmą mi płaszcz i odkryją prawdę... moje nogi... garb...

Nie zemdłał, a teraz, gdy stało się jasne, że w wyniku zdenerwowania więzień zasłabł nagle, dano mu nawet krzesło. Jaki ze mnie idiota, pomyślał, gdy tylko usiadł, przecież mogłem je dostać już wcześniej.

O wpół do pierwszej dwóch urzędników zrobiło sobie przerwę obiadową, a trzeci zajął się wreszcie Thomasem. Wkręcił formularz w maszynę i odezwał się łagodnym głosem:

— To czysta formalność. Muszę jeszcze raz sporządzić pański rysopis. Żeby wykluczyć możliwość pomyłki.

Tak, musicie cholernie uważać, pomyślał Thomas. Od czasu, gdy pozwolono mu usiąść, znów czuł się wspaniale. Wyklepał dane swojego przyjaciela, których nauczył się uprzednio na pamięć:

— Alcoba Lazarus, stan wolny, wyznanie rzymsko-katolickie, urodzony w Lizbonie 12 kwietnia 1905...

— Ostatnie miejsce zamieszkania?

— Rua Pampulha 51.

Urzędnik porównał te dane z informacjami zawartymi w jakimś innym formularzu i zaczął wystukiwać dalej: Włosy siwe, rzadkie... — Wcześniej pan wyłysiał!

— Taki mój los nieprześlągany.

— Hm. Oczy czarne. Wzrost? Niech pan wstanie!

Thomas stanął na ugiętych nogach. Urzędnik patrzył na niego badawczo.

— Znaki szczególne?

— Garb i potem to... na twarzy...

— Tak, tak, już dobrze. Hm! Niech pan siada.

Urzędnik wystukał coś na maszynie, dopisał coś ręcznie, a potem zaprowadził Thomasa do pokoju obok i przekazał urzędnikowi odpowiedzialnemu za depozyt. Jako więzień przebywający w areszcie śledczym Thomas miał prawo zatrzymać swój garnitur, bieliznę i ulubiony złoty repetier. Teraz otrzymał paszport i osobiste dokumenty swego przyjaciela, dostał też jego pieniądze, nóż kieszonkowy i walizeczkę z bielizną.

— Pokwitować odbiór — polecił zarządzający depozytem.

Thomas podpisał koślawym pismem „Alcoba Lazarus”.

A więc, moje ostatnie pieniądze i piękny fałszywy paszport francuskiego agenta na nazwisko Jeana Leblanca diabli wzięli, pomyślał ze smutkiem. Mój przyjaciel malarz musi mi zaraz spreparować jakiś nowy.

Jeśli Thomas miał nadzieję, że o czternastej piętnaście wreszcie będzie miał za sobą ów nadludzki wysiłek, to się mylił. Poprowadzono go przez nie kończące się korytarze do kapelana więziennego, a ten — starszy pan — przemówił do niego serdecznie, wzruszony do głębi faktem, że były więzień poprosił go nagle, by mógł wysłuchać jego przestrożę na kolanach...

Wreszcie za dziesięć trzecia portugalskiego czasu owego 16 listopada 1940 roku, chwiejąc się na nogach, bardziej zataczając się niż idąc, Thomas Lieven włókł się przez więzienny dziedziniec, gdzie cuchnęło barwnikami z pobliskiego zakładu wyrobów skórzanych, w kierunku bramy wyjściowej. Tu po raz ostatni musiał okazać wypiskę. Potwornie drgały mu usta, a garb piętrzył się pałakowato pod cienkim płaszczkiem.

— Powodzenia, stary — rzucił strażnik, który otworzył ciężkie stalowe wrota.

Przez te wrota Thomas Lieven przetoczył się chwiejnym krokiem ku bardziej niż niepewnej wolności. Wytrzymał do najbliższego narożnika, a potem padł jak długi. Na czworakach wpęłzył do sieni pierwszego z brzegu domu, usiadł na schodach i zaczął wyć z wściekłości i wyczerpania. Nie miał paszportu. Był bez grosza. Jego statek odplynął.

Ucieczka więźnia Jeana Leblanca została odkryta jeszcze tego samego dnia. W jego celi strażnik odnalazł jedynie Lazarusa Alcobę, i to w stanie bardzo poważnego zamroczenia.

Wezwany niezwłocznie lekarz stwierdził, że Alcoba nie symuluje. Został bowiem odurzony niezwykle silnymi środkami nasennymi, a konkretnie trzema tabletkami, które skradziono więziennemu lekarzowi w czasie wizyty któregoś z więźniów...

Zastrzykami i czarną kawą udało się doprowadzić więźnia do stanu względnej przytomności i przesłuchać go. Tożsamość Alcoby stwierdzono niezbitcie, gdy go rozebrano — jego garb mocno siedział na swoim miejscu.

— Ten przekłety Leblanc — zeznawał Alcoba — musiał mi czegoś dodać do śniadania. Kawa wydała mi się dziwnie gorzka. Zaczęła mnie boleć głowa, potem miałem zawroty, w końcu straciłem przytomność. Powiedziałem mu, że miałem dziś zostać zwolniony. Dowiedziałem się o tym od naczelnika, u którego pracuję.

Dzienny strażnik skonfrontowany z Alcobą wykrzyknął:

— Ale ja wszak jeszcze dziś rano z panem rozmawiałem, gdy przyniosłem śniadanie! A potem wyprowadziłem pana z celi!

— Gdyby wyprowadził mnie pan dziś rano z celi — odpowiedział Alcoba, powołując się na logikę, której nie oparli się przesłuchujący go urzędnicy — nie siedziałbym przecież teraz tutaj.

Dla prowadzących śledztwo stało się jasne, że Jean Leblanc zbiegł z więzienia jako Lazarus Alcoba.

— Nakaz zwolnienia wystawiony był na moje nazwisko — skonstatował Alcoba z żelazną konsekwencją, choć ziewając i nie bardzo jeszcze wiedząc, co się z nim dzieje — musicie więc panowie mnie niezwłocznie wypuścić.

— Hm, tak... oczywiście, jednakowoż dopóki trwa śledztwo...

— Proszę posłuchać, albo jutro rano będę wolnym człowiekiem, albo poinformuję pana Prokuratora Generalnego, jakie piękne porządki tu panują! — zawołał Alcoba.

— Pereira! Hej, Pereira! — wołał Thomas Lieven w tym samym czasie.

Właśnie pukał do drzwi swego przyjaciela fałszerza, ale odpowiedzią była głucha cisza.

Albo znów się spił, albo nie ma go w domu, pomyślał Thomas, który doszedł już jako tako do siebie po ataku słabości. Potem przypomniał sobie, że wykolejony malarz nigdy nie zamykał na klucz swego mieszkania, więc nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Przez ciemny przedpokój przeszedł do przestronnego atelier, którego ogromne okno wpuszczało do środka resztki dziennego światła. Ciągle jeszcze wisiały tu i stały te same szkaradne obrazy, w mieszkaniu panował taki sam bałagan, jak zawsze. Pełne popielniczki, tuby farb, pędzle, piórka i palety drażniły oczy wielością barw.

Thomas zaglądnął do kuchni. Także tam nie znalazł swego brodatego przyjaciela. Czyli spił się nie w domu, lecz gdzie indziej, pomyślał.

Co za pech! Jak długo Pereira miał zwyczaj pić poza domem? Jedną noc? Dwa dni? Trzy? Po doświadczeniach, jakie nasz przyjaciel zebrał w obcowaniu z nim, należało się liczyć z najgorszym. „Dobre picie nie znosi pośpiechu”, mawiał.

Thomas doszedł do wniosku, że musi poczekać na Pereirę. Na ulicy czaiło się na niego niebezpieczeństwo. Na pewno już odkryto jego ucieczkę. Położył rękę na żołądku. No, no! Odczuwał głód. Chwile najgłębszej depresji chyba już minęły. Podśmiewał się z samego siebie. Zauważył, że ciągle jeszcze drgały mu usta. Kolana też jeszcze bolały. Tylko o tym nie myśleć, tylko nie myśleć.

Zobaczmy najpierw, co też Pereira ma w kuchni. Biały chleb, pomidory, jajka, ser, szynkę, ozorki, pistacje, kapary, paprykę, pieprz i saradełę.

Różnorodność kolorów zainspirowała Thomasa. Przyrządzą chleb mozaikowy i nadziewane pomidory. Dla Pereiry też. Gdy wróci, będzie potrzebował coś pożywnego.

Zabrał się do pichcenia. Właśnie siekał pistacje i kapary, gdy nagle zaczął walić nożem w deskę jak szalony. Przypomniała mu się Estrella. Ta bestia. Ta czarownica. Diablica. Znęcając się nad pistacjami, Thomas w myślach znęcał się nad Estrellą.

Czerwona papryka spotęgowała jeszcze jego wściekłość. Cały świat sprzysiągł się przeciw mnie! Sami wrogowie! Cóż ja takiego uczyniłem? Byłem przyzwoitym człowiekiem, porządnym obywatelem, a teraz...

I teraz pieprzu! Sporo pieprzu. Ma palić, jak mnie pali złość!

Wy psy, wy przekłete psy z tajnych służb. Dokąd mnie zawiedliście? Siedziałem w więzieniu. Zbiegłem z więzienia. Umiem fałszować dokumenty, obchodzić się z trucizną i z rewolwerem, z materiałami wybuchowymi i niewidzialnym atramentem. Znam jiu-jitsu i alfabet

Menu, 16 listopada 1940

Bulka z farszem
Nadziewane pomidory

Zimne danie najlepsze na ukojenie piekielnej wściekłości.

Bulka z farszem: odcinamy końce z białej kawiorki lub bagietki i wyciągamy ostrożnie białą miękką część bulki, tak aby nie uszkodzić skórki. Farsz robimy używając: 125 g masła, 100 g szynki, 100 g ugotowanych ozorów wołowych, 1 żółtka na twardo, 75 g sera, 1/2 łyżeczki kaparów, 25 g pistacji, nieco sardeli, musztardy, soli i pieprzu. Rozpuszczamy masło, rozkruszamy żółtko, siekamy pistacje i kapary, pozostałe składniki kroimy w kosteczkę i mieszamy delikatnie z przyprawami. Farsz wsuwamy do pustej wewnątrz bulki, po czym chłodzimy parę godzin. Podajemy na półmisku, krojąc uprzednio na dość cienkie plastry. Aby półmisek wyglądał bardzo kolorowo, dekorujemy go nadziewanymi pomidorami.

Nadziewane pomidory: wyjmujemy środek z ładnych, twardych pomidorów i nadziewamy startym serem i połową jajka, osadzonego przeciętą stroną do góry. Nadzienie posypujemy solą, papryką, drobno posiekaną pietruszką i szczypiorkiem.

Morse'a, umiem strzelać, bić się, walczyć wręcz, skakać ze spadochronem, instalować mikrofony, symulować żółtaczkę, gorączkę, cukrzycę. Czy są to umiejętności, z których prywatny bankier powinien być dumny?

Ale dość już współczucia dla czegośkolwiek lub kogokolwiek! Dość! Mam tego po dziurki w nosie! Teraz wy przygotujcie się na najgorsze! Wszyscy! Cały świat!

To ja będę was teraz dopadał jak wygłodniały wilk. Wykorzystam swą kryminalną wiedzę. Teraz ja będę fałszował, symulował, nadawał alfabetem Morse'a, instalował mikrofony. Teraz ja będę wam groził i was oszukiwał, tak jak wy mnie oszukiwaliście i mi groziliście. Zaczyna się moja wojna. To wojna jednego człowieka — przeciw wam wszystkim. Nie będzie żadnego zawieszenia broni, żadnych paktów i żadnych przymierzy — z nikim.

I jeszcze trochę pieprzu. I jeszcze papryki. I soli. A teraz zbić to wszystko w bezkształtną bryłę — tak jak ja was zbiję, was, psy...

Z korytarza dobiegł odgłos otwieranych drzwi.

To na pewno Pereira, pomyślał Thomas wyrwany ze swych bezkresnych wizji.

— Niech pan wejdzie, jestem tutaj — zawołał.

Po chwili ktoś stanął w otwartych drzwiach kuchni. Ale nie był to brodaty, zapijaczony malarz Reynaldo Pereira. Nie był to też żaden mężczyzna. To była kobieta.

10

Miała na sobie czerwony skórzany płaszcz, czerwone buty i czerwony czepek, spod którego wymykały się pukle granatowoczarnych włosów. Była bardzo blada. Ręce trzymała w kieszeniach płaszcza i mierzyła Thomasa Lievena ostrym wzrokiem. Jej głos brzmiał metalicznie i nieco ordynarnie.

— N'dobry, Pereira. Nie zna mnie pan.

— Ja... — zaczął Thomas, ale przerwała mu władczym ruchem głowy, który zmierzwił jej piękne, długie włosy.

— Niech się pan nie boi, nie jestem gliną. Wręcz przeciwnie.

Bierze mnie za Reynaldo Pereirę, pomyślał Thomas. To jasne!

— Kto... skąd miała pani mój adres? — wyjąkał.

Kobieta w czerwieni obserwowwała go z przymrużonym jednym okiem.

— Co z panem? Nerwy? Koks? Wóda?

— Co proszę? Nie rozumiem.

— Co pan wyprawia ze swoją twarzą? Nie może pan przestać tak trzepotać ustami? Skąd te ciągle drgawki?

— Przejdzie. Miewam to niekiedy... wieczorami. Niech mi pani wreszcie powie, kto pani dał mój adres?

Kobieta w czerwieni stanęła tuż przy nim. Pachniała pięknie. I była bardzo piękna.

— Niejaki pan Debras — powiedziała cichym głosem.

Major Maurice Debras z francuskiego wywiadu, pomyślał Thomas oszołomiony. Tego jeszcze brakowało. Trzeci, którego wykiwałem. Oczywiście, kiedyś musiało mnie to spotkać. Teraz wszyscy trzej zaczną mi deptać po piętach. Francuzi, Anglicy i Niemcy. Już tylko godziny dzielą mnie od zejścia z tego świata...

Następne pytanie kobiety w czerwieni dotarło do niego jakby z ogromnej dali. Thomas zobaczył nagle tylko jej niewyraźne kontury. Kolejne pytanie nieznajomej potwierdziło jego najgorsze przypuszczenia.

— Zna pan może Jeana Leblanca?

Najpierw Thomas zaczął głośno trzaskać garnkami i sztućcami, w końcu zamruczał niewyraźnie:

— Jean Leblanc? Nigdy o nim nie słyszałem!

— Niech pan mnie nie bierze na lewe sanki, Pereira, przecież zna pan tego człowieka!

Piękna bestia usiadła na kuchennym taborecie i założyła nogę na nogę. Miała piękne, szczupłe nogi.

— Niech nie robi od razu w portki!

Jak ta baba mnie traktuje, przemknęło Thomasowi przez myśl. Niegodnie, absolutnie niegodnie. Czym sobie na to wszystko zażyłem? Ja, najmłodszy prywatny bankier Londynu. Ja, członek ekskluzywnego londyńskiego klubu. Ja, człowiek najlepszych manier, uosobienie przyzwoitości i honoru, symbol ogłady towarzyskiej... I oto stoję tu, w tej brudnej portugalskiej kuchni i pozwalam na to, by mi jakaś piękna jak marzenie baba mówiła, że nie mam robić w portki. Dobrze, dzierlatko, sama tego chciałaś!

I dobrze wychowany Thomas Lieven skontrował:

— Gębę w kubeł! Zamknij się ty babski pomociu i spadaj stąd, bo jak cię zdziele...

Wtem sytuacja się zmieniła. Dał się słyszeć odgłos kroków i w drzwiach kuchni stanął brodaty mężczyzna w poplamionych sztruksowych spodniach i wyciągniętym czarnym swetrze. Człowiek ten był kompletnie pijany. Mimo to na widok Thomasa jego szeroka, pijacka twarz rozjaśniła się w radosnym uśmiechu.

— Witaj w moim nędznym domostwie! Ale, meu amigo, co ci zrobili z włosami?

Reynaldo, malarz, wrócił do domu...

Nagle cała trójka w kuchence zaczęła mówić jednocześnie.

Kobieta w czerwieni zerwała się na równe nogi, wbiła wzrok w Thomasa i zawołała:

— Co?! To pan wcale nie jest Pereira?

— Oczywiście, że nie jest Pereira — wtrącił się pijany malarz. — Spiała się pani, czy co? Ja jestem Pereira! A to jest...

— Stul pysk!

— ... mój stary druh Leblanc!

— Och!

— A kim — tu czknął — pani jest, cudowne zjawisko?

— Nazywam się Chantal Tessier — odparła młoda dama, nie spuszczać wzroku z Thomasa.

Sprawiła teraz wrażenie wygłodzonej kocicy.

— Monsieur Jean Leblanc osobiście? — zapytała powoli. — Co za szczęśliwy przypadek!

— O co pani chodzi?

— Kiedyś załatwił pan swemu przyjacielowi Debrasowi fałszywy paszport, on zaś powiedział mi: Jeśli będziesz kiedyś potrzebowała fałszywego paszportu, idź do Reynaldo Pereiry na Rua do Poco i powołaj się na Jeana Leblanca...

— Tak powiedział pani przyjaciel Debras?

— Tak powiedział mój przyjaciel Debras.

— I nic więcej?

— Jeszcze tylko to, że jest pan wspaniałym facetem, który mu uratował życie.

A więc nie jest jeszcze tak źle, pomyślał Thomas.

— Może przekąsi pani coś z nami? Pozwoli pani, że pomogę jej zdjąć płaszcz, mademoiselle Tessier?

— Dla pana Chantal!

Kocia twarz zajaśniała uśmiechem, odstaniając mocne zęby drapieźnego zwierza. Chantal Tessier była pewna siebie, przebiegła i z pewnością zimna jak lód. Ale wyglądało na to, że nie przywykła do tego, by mężczyźni pomagali jej zdejmować płaszcz.

Drapieżnik miał na sobie wąską, czarną spódniczkę i białą jedwabną bluzkę. Do diaska, co za figura, pomyślał Thomas. Taka z pewnością daje sobie radę w życiu...

Niebezpieczeństwo minęło. Thomas znów mógł być sobą, dobrze wychowanym i rycerskim wobec kobiet. Wobec wszelkich typów kobiet!

Usiedli obok pijanego malarza, który już zabrał się do jedzenia. Jadł rękami, mówiąc przy tym z pełnymi ustami:

— Gdybym umiał tak malować, jak pan gotować, to stary Goya byłby niczym w porównaniu ze mną!

Odbiło mu się delikatnie, na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

— Czy tu w środku są też pi... pistacje?

— Tak. I kapary. Niechże pan chociaż zasłoni sobie usta ręką! A zatem potrzebny jest pani paszport, Chantal?

— Nie.

Jej oczy zaszły ledwie widoczną mgłą, a lewe skrzydełko nosa drżało delikatnie. Tak właśnie reagowała.

— Niepotrzebny mi paszport, lecz paszporty. Siedem.

— Czy mogę coś zauważyć? — wtrącił się zarośnięty malarz z pełnymi ustami.

— Niech pan najpierw przełknie, zanim zacznie pan mówić — zastopował go Thomas poirytowanym głosem. — I niech pan nam ciągle nie przerywa. Zrób pan lepiej coś, żeby choć nieco wytrzeźwieć. Dla kogo pani potrzebne te paszporty, Chantal? — zwrócił się znów do pięknej kocicy.

— Dla dwóch Niemców, dwóch Francuzów i trzech Węgrów.

— Obraca się pani, jak widać, w międzynarodowym towarzystwie.

— Nic dziwnego w moim zawodzie — roześmiała się Chantal — jestem przewodniczką.

— Dokąd to udają się pod pani przewodem?

— Z Francji przez Hiszpanię do Portugalii. Całkiem intratny interes.

— Jak często rusza pani w podróż?

— Raz w miesiącu. Grupy są coraz większe. Wszyscy ze sfałszowanymi paszportami, albo w ogóle bez, to zależy...

— Jak już mówimy o paszportach... — zaczął znowu malarz, ale Thomas zbył go ruchem ręki.

— Szadają się tylko z bogatymi — ciągnęła Chantal. — Jestem droga. Ale też jeszcze nikt z moich nie wpadł. Znam każdą piędź ziemi na granicy, każdego pogranicznika. No i, jako się rzekło, za ostatnim razem przrzuciłam tu siedmiu panów, którym potrzebne są nowe paszporty.

Trąciła w bok malarza.

— Możesz się odkuć jak rzadko, mój stary.

— Ja też potrzebuję paszportu — rzekł Thomas.

— O Święta Dziewico! — zabiadał brodacz — właśnie teraz, kiedy nie mam już ani jednego paszportu!

— Nic panu nie zostało z tych czterdziestu siedmiu, które panu dostarczyłem?!

— Dostarczyłem, dostarczyłem, ale kiedy to było? Przed sześcioma tygodniami! A wie pan, co tu się u mnie działo? W ciągu dwóch tygodni nie miałem już ani jednego! Naprawdę mi przykro, ale nic na to nie poradzę! Nie mam ani jednego! Cały czas usiłuję wam to powiedzieć!

11

Wokół Largo de Chiado, idyllicznego placu wysadzanego prastarymi drzewami, położone były „Pasteleria Marques”, małe damskie kafejki, słynące ze swych słodkich przysmaków. W niszy cukierni, „Ca'avela” siedziało owego wieczora 16 listopada 1940 roku dwóch

panów. Jeden z nich popijał whisky, drugi raczył się lodami z bitą śmietaną. Pijącym whisky był brytyjski agent nazwiskiem Peter Lovejoy, pożerającym lody gruby, dobroduszny olbrzym z wesołymi świńskimi oczkami i różową twarzą dziecka — Luis Guzman.

Peter Lovejoy i Luis Guzman znali się od dwóch lat, kilkakrotnie już z powodzeniem ze sobą współpracowali...

— A zatem czas dojrzał — rzekł Lovejoy. — Otrzymałem wiadomość, że dziś zbiegł z więzienia.

— W takim razie musimy się spieszyć, żeby dorwać go jeszcze w Lizbonie — powiedział Guzman.

Pałaszował i mlaskał. Uwielbiał lody z bitą śmietaną, nigdy nie miał ich dosyć.

— Właśnie — zgodził się Lovejoy stłumionym głosem. — Jak chce pan to zrobić?

— Pistolet z tłumikiem, sądzę. A co z forszą? Przyniósł pan?

— Tak. Teraz dostanie pan pięć tysięcy escudo, drugie tyle, jak pan... po fakcie.

Lovejoy pociągnął spory łyk whisky i pomyślał rozeźlony: Pięć tysięcy escudo mi dał, finansowo chce się zaangażować, subtelny major Loos, ale od omówienia sprawy z tym Guzmanem się wykręcił, na to jest za subtelny!

Lovejoy splukał swą złość na delikatnego Niemca kolejnym łykiem whisky, po czym rzekł:

— Teraz niech pan uważnie posłucha, Guzman. Leblanc zwiął, przybierając postać i twarz niejakiego Lazarusa Alcoby. Ten Alcoba jest garbaty, mały i prawie łysy.

Lovejoy opisał Alcobę tak dokładnie, jak to uczynił jego zaufany z więzienia.

— Leblanc wie — uzupełnił po chwili, że ścigają go i Anglicy, i Niemcy, więc na pewno się ukryje...

— Gdzie?

— Ma tu przyjaciela, zapijaczzonego malarza ze Starego Miasta, Rua do Poco des Negros 16. Idę o zakład, że tam właśnie się zasyje. Albo nadal będzie grał rolę garbusa — ze strachu przed nami — albo ze strachu przed policją — przedzierzgnie się na powrót w Jeana Leblanca.

— Jak ten Jean Leblanc wygląda?

Lovejoy podał dokładny rysopis Thomasa Lievena.

— A prawdziwy garbus?

— Jeszcze siedzi! Niech się pan nie martwi. Jeśli na Rua do Poco des Negros 16 trafi pan na jakiegoś prawie łysiego garbusa, który reaguje na nazwisko „Leblanc”, nie musi pan stawiać żadnych dodatkowych pytań...

Kilka minut po ósmej rano 17 listopada 1940 roku jedenastokrotnie karany Lazarus Alcoba, stanu wolnego, urodzony 12 kwietnia 1905, stanął przed naczelnikiem więzienia „Aljube”. Naczelnik, wysoki, szczupły mężczyzna, powiedział do niego:

— Doniesiono mi, Alcoba, że wczoraj wieczorem miotał pan na prawo i lewo różne nieobliczalne groźby.

Usta karła drgały także, gdy mówił.

— Panie naczelniku, broniłem się tylko, gdy mi powiedziano, że nie będę mógł zostać zwolniony, bo miałbym jakoby być zamieszany w ucieczkę tego Jeana Leblanca.

— Jestem przekonany, że maczał pan w tym palce, Alcoba. Miał pan ponoć wyrazić zamiar zwrócenia się do pana Prokuratora Generalnego.

— Panie naczelniku, do pana Prokuratora Generalnego zwrócę się oczywiście tylko wtedy, jeśli nie zostaną natychmiast zwolniony. W końcu nie mogę odpowiadać za to, że ten Leblanc podszył się pod moje nazwisko i przybrał moją postać!

— Niech pan posłucha, Alcoba, wypuścimy pana dzisiaj...

Alcoba wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— No właśnie.

— ... ale bynajmniej nie ze strachu przed pańskimi groźbami, lecz dlatego, iż rzeczywiście otrzymaliśmy taki nakaz. Będzie pan musiał zgłaszać się codziennie w komisariacie policji i nie wolno panu opuszczać Lizbony.

— Tak jest, panie naczelniku.

— Niech się pan tak głupio nie szczerzy, Alcoba! I tak już panu nic nie pomoże. Jestem pewien, że wkrótce znów się tu spotkamy. Najlepiej niech pan zostanie od razu. Człowiek pańskiego pokroju jest bardziej bezpieczny za kratkami.

12

W wąskich, krętych uliczkach Starego Miasta, z jego kruszejącymi rokokowymi pałacami i wyłożonymi barwnymi kafelkami mieszczańskimi domami, zalegała cisza popołudniowej sjestry.

Śnieżobiała pościel zwiślała z niezliczonych sznurków, karłowate drzewa wyrastały z popękanych kamiennych schodów, a mury otwierały się raz po raz, odsłaniając widok na pobliską rzekę. W dół na rzekę

spoglądał także Thomas Lieven. Stał obok Chantal Tessier, przy wielkim oknie pracowni swego trunkowego przyjaciela. Jeszcze raz przyszła na Rua do Poco des Negros, by się pożegnać. Musiała wracać do Marsylii i nalegała, by Thomas pojechał z nią. Chantal zdradzała dziwne oznaki zaniepokojenia, znów drżało lewe skrzydełko jej nosa. Położyła dłoń na ręce Thomasa.

— Niech pan jedzie ze mną, niech pan zostanie moim współnikiem. Miałabym dla pana kilka propozycji, nie związanych z uprawianą przeze mnie „turystyką”. Tu jest pan bezużyteczny, ale w Marsylii... O mój Boże, jaki moglibyśmy zrobić interes!

Thomas potrząsnął głową, spoglądając na wody Tagu, które powoli i leniwie spływały do Atlantyku. Tam właśnie, w dole, przy ujściu do oceanu, cumowały statki, gotowe do wyjścia w morze, do dalekich portów, gotowe przenieść prześladowanych, upokorzonych i zastraszonych do dalekich, wolnych krajów. Tam w dole stały na kotwicy statki dla ludzi z paszportami, z wizami wjazdowymi, z pieniędzmi.

Thomas stracił paszport, nie posiadał żadnej wizy wjazdowej i był goły. Jedyłą rzeczą, jaka mu pozostała, był garnitur, który miał na sobie, nic więcej.

Nagle poczuł się śmiertelnie zmęczony. Jego życie wirowało w diabelskim kręgu. Nie było ucieczki.

— Pani propozycja jest dla mnie zaszczytem, Chantal. Jest pani piękną kobietą. Z pewnością byłaby pani także cudownym kumplem.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, a kobieta o wyglądzie drapieżnego kota, zapłonila się jak zadurzona pensjonarka. Zirytowana tupnęła nogą i zamruczała:

— Niech pan przestanie opowiadać bzdury...

— Na pewno ma pani dobre serce — nie ustępował Thomas — ale niech pani zrozumie... Byłem kiedyś bankierem i chciałbym wrócić kiedyś do tego zajęcia!

Przy stole, kompletnie zastawionym farbami, tubami, pędzlami, pełnymi popielniczkami i butelkami, siedział Reynaldo Pereira. Był już trzeźwy i pracował nad jakimś rozchwianym obrazem.

— Jean — odezwał się — niech się pan nad tym zastanowi, przecież to ponętna propozycja. Z Chantal dotrze pan bez przeszkód do Marsylii, a w Marsylii łatwiej będzie panu skombinować jakiś paszport niż tu, gdzie szuka pana policja. I nie tylko policja.

— Ale ja właśnie, na Boga, stamtąd przyjechałem! Mam to wszystko odpisać na straty?

— Jest pan sentymentalnym głupcem — powiedziała Chantal brutalnie i agresywnie — jeśli pan nie dostrzega, co tu się dzieje. Miał

pan pecha. I co z tego? Każdego z nas pech kiedyś dopadnie! Teraz potrzeba panu przede wszystkim szmalu i porządnym flegmów.

Gdybym nie miał za sobą więziennego, prywatnego kursu Alcoby nie wiedziałbym, o co tej damie chodzi, pomyślał Thomas.

— Z pomocą Pereiry nawet w Lizbonie dorwę wreszcie jakiś paszport — powiedział — a jeśli chodzi o pieniądze, to mam przyjaciela w Południowej Ameryce... Napiszę do niego. Nie, nie, dajcie mi spokój, dam sobie radę, spróbuję...

Nie dokończył zdania, bo w tej chwili południową ciszę przeszył głuchy huk strzałów. Chantal krzyknęła cicho. Zrywając się na równe nogi, Pereira przewrócił stoik z farbą. Patrzyli na siebie przerażeni. Minęły trzy sekundy...

Potem z głębi dotarły do nich podniecone męskie głosy, piski kobiet, płacz dzieci.

Thomas popędził do kuchni i gwałtownym ruchem otworzył okno. Spojrzał w dół na stare podwórko. Tłoczyli się tam mężczyźni, kobiety i dzieci, otaczając zwartym kręgiem jakąś postać. Na bruku, na kocich łbach, leżał ktoś pokraczny, garbaty i mały.

13

— Lazarus, Lazarus, słyszysz mnie?

Thomas klęczał na bruku przy małym człowieczku, za nim tłoczyli się i przepychali obcy ludzie. Krew płynęła nieprzerwanym strumieniem z ran Alcoby. Trafili go kilkakrotnie, w pierś, w brzuch. Leżał bez ruchu, oczy miał zamknięte. Jego usta nie podrygiwały już w nerwowym tiku.

— Lazarus — jęknął Thomas Lieven.

Garbus otworzył oczy. Ich źrenice były już zamglone, ale mimo to Lazarus rozpoznał człowieka, który się nad nim pochylał.

— Spadaj stąd, Jean — wydobył z siebie — zwiewaj szybko, to miałeś być ty...

Z jego ust wylał się strumień krwi.

— Nie mów nic, Lazarusie — błagał Thomas przyjaciela, ale garbus szeptał dalej:

— Ten facet zawołał „Leblanc”, zanim... Wziął mnie za ciebie...

Thomasowi łzy napłynęły do oczu, łzy wściekłości i żalu.

— Nic nie mów, Lazarus... Zaraz będzie tu lekarz... Zrobią ci operację...

— Już... już za późno...

Garbus spojrzął na Thomasa, uśmiechnął się nagle. Jego twarz wyrażała teraz spryt i przebiegłość.

— Szkoda, chłopcze... — wykrztusił z trudem — moglibyśmy wykręcić jeszcze parę pięknych numerów...

Potem uśmiech zamarł na twarzy, oczy zgasły.

Gdy Thomas Lieven podniósł się znad zwłok przyjaciela, ludzie rozstąpili się przed nim i w milczeniu wypuścili go ze swego kręgu. Zauważyli, że płakał.

Przez zasłone łez Thomas ujrzał Chantal i Pereirę. Stali z boku, poza rozgorączkowanym tłumem. Chwiejnym krokiem ruszył w ich stronę. Potknął się i — gdyby malarz go nie podtrzymał — runąłby na ziemię.

Od strony ulicy zbliżało się biegiem dwóch policjantów i lekarz. Podczas gdy lekarz badał zmarłego, zgromadzeni ludzie zasypywali policjantów potokiem słów. Wciąż nadciągali nowi gapie, stare podwórze wypełniał żywiołowy gwar.

Thomas otarł oczy i spojrzął na Chantal. Wiedział, że jeśli natychmiast nie podejmie działania, będzie za późno. W ułamku sekundy, w mgnieniu oka podjął decyzję, która miała przesądzić o jego przyszłym losie...

W dwie minuty później policjanci, z relacji podnieconych naocznych świadków, dowiedzieli się, że jakiś obcy mężczyzna zatroszczył się o umierającego i jako ostatni z nim rozmawiał.

— Gdzie jest ten człowiek?

— Poszedł w tamtą stronę! — zawołała jakaś staruszka i kościstym palcem wskazała na wejście do oficyny.

Stał tam Pereira, malarz. Sam.

— Hej, panie! — zawołał policjant. — Gdzie się podział ten gość, co rozmawiał z konającym?

— Skąd mam wiedzieć? — odparł Pereira.

W tej samej chwili lekarz zamknął oczy zastrzelonemu. W majestacie śmierci szkaradna twarz Lazarusa Alcoby jaśniała niezgłębioną godnością.

14

W Pirenejach panowało przenikliwe zimno. Przejmujący wschodni wiatr szalał nad lichym, rdzawogłębym łańcuchem górskim, oddzielającym hiszpańską Aragonię od południowej Francji.

Brzaskiem tego 23 listopada 1940 roku dwoje samotnych wędrowców, młoda kobieta i młody mężczyzna, zdążyło na północ, w stronę przełęczy Roncesvalles. Oboje mieli na sobie ciężkie turystyczne obuwie do górskich wędrowek, filcowe kaptury i ciepłe watowane kurtki, oboje dźwigali ciężkie plecaki. Kobieta szła przodem, zaś mężczyzna podążał za nią pod górę przez gęsty las i zarośla.

Thomas Lieven jeszcze nigdy w życiu nie miał na sobie ciężkich turystycznych butów, nigdy dotąd nie był ubrany w ciepłą watowaną kurtkę. Nigdy też nie wspinał się po trudnych, niebezpiecznych górskich szlakach. Bajeczny i nierealny — jak wszystko, co przeżył w ciągu ostatnich pięciu dni — jawił mu się też ten brzask z jego mgłami i szarymi cieniami, bajeczna i nierealna wydawała mu się mozolna wędrowka za Chantal Tessier. Bardzo realne natomiast były obtarte pięty i bąble na podeszwach stóp.

Chantal Tessier była wspaniałą kobietą, okazała się też znakomitą kompanem. Przekonał się o tym w ciągu owych pięciu dni. Portugalię i Hiszpanię znała rzeczywiście jak własną kieszeń. Znała celników, kolejowe patrole policyjne i chłopów, którzy użyczyli obcemu noclegu i karmili go, nie zadając żadnych pytań.

Spodnie, które miał na sobie, buty, kurtka, kapuca — wszystko dostał od Chantal, wszystko to kupiła dla niego. Także pieniądze, jakie miał w kieszeni, jej zawdzięczał. Dała mu je, lub — jak to nazywała w swym języku — „zaliczkowała”.

Z Lizbony pojechali pociągiem do Walencji. Po drodze dwukrotnie przeprowadzano kontrole. Obu umknął dzięki Chantal. W nocy na piechotę przekroczyli granicę hiszpańską i pojechali dalej przez Vigo, Leon i Burgos. W Hiszpanii kontrole były częstsze, więcej też było policji. Mimo to, wszystko przebiegło zgodnie z planem. Dzięki Chantal...

Teraz czekała ich ostatnia granica. Po jej przekroczeniu znajdą się we Francji. Rzemienie plecaka wrzynały się Thomasowi w ramiona, bolały go wszystkie kości. Był śmiertelnie zmęczony. Człapał za Chantal, a przez jego głowę przemykały ulotne, beładne myśli.

Biedny Lazarus Alcoba... Kto go zastrzelił? Kto kazał go zastrzelić!? Anglicy? Może Niemcy? Czy ktoś kiedykolwiek dopadnie mordercę? Czy kolejny morderca dopadnie mnie? Ile mi jeszcze życia pozostało? Mnie, który przemyka się chyłkiem przez ten posępny las jak przemytnik, jak przestępca... Obłąd, to wszystko obłąd, zmora senna, nierzeczywista i groteskowa, gorączkowy majak, a przecież bezlitosna prawda...

Droga nie była już teraz tak stróża, las nie dochodził do samej ścieżki. Dotarli do jakiejś polany ze zmurszałym paśnikiem. Thomas

mijał właśnie ciężkim krokiem, podążając za niezmordowaną Chantal, ten wielki zadaszony paśnik pełen siana, gdy nagle, tuż obok, padły, szybko po sobie, trzy strzały.

Chantal odwróciła się błyskawicznie, błyskawicznie znalazła się obok Thomasa. Jej oddech uderzył go w twarz.

— Tu, do środka!

Pociągnęła go za sobą pod zadaszenie. Upadli na siano. Dysząc wpatrywali się w siebie.

Znów huknął strzał, potem jeszcze jeden. Po chwili dotarł do nich, przywiany wiatrem, męski głos, ale nie zdołali zrozumieć poszczególnych słów.

— Cicho! — wyszeptała Chantal. — Leż całkiem cicho. Może to straż graniczna.

Albo ktoś całkiem inny, pomyślał Thomas z goryczą. I to chyba jest ktoś całkiem inny! Panowie w Lizbonie prędko zorientowali się, że zaszła ubolewania godna pomyłka. Błąd, który trzeba natychmiast naprawić...

Thomas czuł Chantal obok siebie. Leżała bez ruchu, ale Thomas wyczuwał napięcie, wysiłek, z jakim zmuszała się do zachowania spokoju.

W tym momencie podjął decyzję. Nie wolno mu było narażać jeszcze jednego ludzkiego życia! Śmierć nieszczęsnego Lazarusza — był tego pewien — będzie go dręczyła do końca jego dni.

Dość tego, pomyślał Thomas Lieven. Kończę tę zabawę. Wolę koniec strachu niż strach bez końca. Już mnie nie szukajcie morderczy idioci, nie ścigajcie mnie zidiociali mordercy. Poddam się. Tylko wyłączcie niewinnych z tej plugawej gry...

Szybkim ruchem zsunął pasek plecaka i wstał. Chantal zerwała się za nim. Jej oczy płonęły na tle bladej twarzy.

— Padnij, szaleńcze... — zasyczała.

Z całej siły próbowała go pociągnąć w dół.

— Przykro mi, Chantal — mruknął Thomas i zastosował wobec niej chwyt jiu-jitsu, po którym dziewczyna musiała na kilkanaście sekund stracić przytomność. Z jękiem padła na ziemię.

Thomas wyszedł na wolną przestrzeń.

Już nadchodzili. Było ich dwóch. W rękach dzierżyli broń. Szli przez polanę w jego kierunku, szli przez martwą trawę, przez opary mgły, zbliżali się.

Ruszył im naprzeciw. Przynajmniej nie będziecie mi mogli strzelić w plecy „w czasie próby ucieczki”, pomyślał w nedorzecznym poczuciu triumfu.

Już go zauważyli i podnieśli broń. Thomas postąpił jeszcze krok do przodu. Jeszcze jeden.

Mężczyźni opuścili broń. Zbliźali się szybkim krokiem. Nigdy przedtem ich nie widział. Obaj mieli na sobie sztruksowe spodnie, kapelusze, kurtki i masywne buty, jak on. Obaj byli przysadziści i raczej niewysocy. Jeden miał wąsa, drugi nosił okulary.

Podeszli do Thomasa. Zatrzymali się. Okularnik uchylił kapelusza i pozdrowił grzecznie po hiszpańsku:

— Dzień dobry.

— Widział go pan może? — spytał ten z wąsem.

Wokół Thomasa wszystko zaczęło wirować, obaj mężczyźni, polana, łąka, drzewa, wszystko.

— Kogo? — spytał bezdźwięcznie.

— Jelenia — odparł okularnik.

— Dostał — powiedział wąsacz. — Jestem pewien, że go trafiłem. Widziałem jak padał. Potem jednak dźwignął się na nogi i zniknął.

— Musi być tu gdzieś w pobliżu — dodał jego przyjaciel.

— Nic nie widziałem — rzekł Thomas swą kiepską hiszpańszczyzną.

— O, cudzoziemiec... Pewnie uciekinier stamtąd — stwierdził ten w okularach.

Thomas skinął głową. Tylko na to mógł się zdobyć.

Hiszpanie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Zapomnimy, że pana tu widzieliśmy — powiedział wąsacz. — Dobrego dnia i... szczęśliwej podróży.

Obaj uchylili kapeluszy. Także Thomas zdjął czapkę. Myśliwi poszli swoją drogą i po chwili zniknęli w lesie.

Thomas przez chwilę oddychał głęboko, potem wrócił do paśnika. Chantal siedziała w sianie i masowała sobie nabiegłą krwią szyję.

Thomas usiadł przy niej.

— Niech pani wybaczy... — powiedział — ...nie chciałem... Proszę nie myśleć...

Zaczął się jękać, wreszcie dokończył bezradnie:

— To tylko myśliwi.

Nagle Chantal zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego namiętnie. Osunęli się na ziemię.

— Chciałeś mnie uchronić — szeptała Chantal pochylona nad Thomasem — nie chciałeś mnie narazić na niebezpieczeństwo, myślałeś o mnie...

Jej ręce czule gładziły jego twarz.

— Jeszcze żaden mężczyzna... jeszcze nigdy mnie to nie spotkało ze strony żadnego mężczyzny...

— Co?

— Żeby o mnie pomyślał — wyszeptła Chantal.

Wraz ze słodyczą jej gwałtownych pocałunków rozwiewała się jak dym cała niedola i cały strach, ponura przeszłość i także przyszłość...

15

W roku 1942 niemieckie wojska w sile sześciu tysięcy żołnierzy otoczyły starą dzielnicę portową Marsylii i zmusiły mieszkańców — około dwadzieścia tysięcy ludzi — do opuszczenia domostw. Ludzie mieli dwie godziny czasu i wolno im było zabrać co najwyżej 30 kilogramów bagażu. Aresztowano ponad trzy tysiące kryminalistów. Cała stara dzielnica portowa wysadzona została w powietrze. W ten sposób zmieciono z powierzchni ziemi najbarwniejsze siedlisko grzechu w Europie, najniebezpieczniejszy zaczn przestępczego działania.

Jednakże wcześniej, w latach 1940-1941, stara dzielnica portowa przeżywała właśnie okres swego największego rozkwitu. W posępnych domach za ratuszem mieszkali przedstawiciele najróżniejszych nacji. Byli wśród nich uciekinierzy, pokątni handlarze, poszukiwani mordercy, fałszerze, polityczni spiskowcy, zastępy lekkich dziewczyn.

Policja była bezradna i tak długo, jak to tylko możliwe, unikała wizyt w Starej Dzielnicy. Władcami w tym królestwie ciemności byli hersztowie kilku band, które zwalczały się nawzajem bezwzględnie i bezlitośnie. Członkami tych band byli Francuzi, północni Afrykanie, Armeńczycy, wielu Korsykańczyków i Hiszpanów.

Szefów band znało całe miasto. Poruszali się po wąskich, kolorowych uliczkach wyłącznie w asyście obstawy. Dwóch, trzech panów kroczyło gęsiego po prawicy, dwóch, trzech po lewicy bossa. Ręce trzymali w kieszeniach, z palcem wskazującym na spuście rewolweru.

W imieniu państwa działali urzędnicy „Controle economique”, „Kontroli gospodarczej”, których zadaniem było zwalczanie kwitującego pokątnego handlu. Lecz komisarze ci okazywali się po większej części przekupni, pozostali zaś tchórzliwi. Po zapadnięciu zmroku nie odważali się pokazać na ulicy. Wówczas to rozpoczynały się pląsy ogromnych kręgów sera, które przetaczano z domu do domu i połąci mięsa z utajonych rzeźni, dostarczanych do restauracji.

Menu, 25 listopada 1940

Marynowane małże

Pieczona gicz jagnięca z fasolką szparagową i ziemniakami à la Dauphin

Owoce w karmelu

Potrawą z jagnięcej giczy Thomas Lieven rozwiązał język pewnej damie.

Marynowane małże: myjemy bardzo dokładnie szczotką świeże małże (w muszlach) i wkładamy je do wrzątku, składającego się po połowie z wody i białego wina. Gotujemy pod przykryciem często poruszając garnkiem, tak długo, aż muszle się otworzą. Następnie wysypujemy je na sito i wyjmujemy małże z muszli. Jednocześnie przygotowujemy z masła i mąki biały sos, który rozcieńczamy wywarem uzyskanym z uprzednio gotowanych małży (przez sitko). Zagotowujemy mocno i dodajemy jeszcze trochę białego wina, doprawiamy solą, pieprzem i odrobiną soku cytrynowego. Sos zaciągamy żółtkiem. Do sosu wkładamy małże i dużo drobno posiekanej pietruszki i odstawiamy aż potrawa naciągnie smakiem pietruszki i małży. Podajemy nie zagotowując ponownie.

Pieczona gicz jagnięcia z dodatkami: dorodną, młodą gicz z jagnięcia nacinamy przy kości i wsuwamy tam ząbek czosnku. Układamy gicz w brytfannie i polewamy obficie zbrązowionym masłem. Opiekamy na ogniu ze wszystkich stron, soląc i pieprząc na końcu. Następnie wstawiamy brytfannę do gorącego piekarnika i pieczemy, często podlewając. Zieloną fasolkę dobrze umytą gotujemy w niewielkiej ilości wody do miękkości. Jeżeli jarzynkę przygotowujemy z fasolki konserwowej, pozwalamy jej najpierw dobrze obciec na sicie, a dopiero potem zalewamy gotującą wodą. W ten sposób wytrącamy ewentualny smak charakterystyczny dla jarzyn w puszkach. Dobrze obsuszoną fasolkę wysypujemy na rozpuszczone masło i mocno podgrzewamy. Podając posypujemy solą. Przygotowujemy purée z ziemniaków z dodatkiem jajka i odrobiny gałki muszkatolowej. Z tego purée toczymy kulki i rzucamy je na gotujący się tłuszcz, aby się ładnie obrumieniły.

Owoce w karmelu: ciągle mieszając rozpuszczamy i podsmażamy w rondlu cukier na złoty kolor. Podlewamy wodą i zagotowujemy. W karmelu przesmażamy połówki brzoskwiń, gruszek i świeże winogrona. Schłodzony deser wkładamy do szklanych kompotierek i ozdabiamy bitą śmietaną i siekanymi migdałami.

Z niepewnych źródeł pochodziła też piękna, młoda gicz jagnięca, masło, zielona fasolka i wszystkie inne specjały, z których Thomas Lieven 25 listopada 1940 roku przyrządził w kuchni Chantal Tessier smakowitą kolację.

Chantal mieszkała przy Rue Chevalier a la Rose. Gdyby wychylić się z okna, można by dostrzec brudną wodę prostokątnego Starego Portu i kolorowe światła niezliczonych kafejek wokół niego.

Wielkość mieszkania Chantal zaskoczyła Thomasa. A co dopiero jego wyposażenie! Ile tu było barbarzyństwa! Na przykład zestawienie kosztownych, supernowoczesnych lamp z oryginalnymi antycznymi meblami. Bez wątpienia Chantal wzrastała w zupełnej dzikości, prostocie i poza wpływami jakiegokolwiek kultury.

Tego wieczoru miała na sobie wyrafinowaną, ściśle przylegającą do ciała, zapinaną pod szyją suknię z chińskiego jedwabiu, ale do niej założyła, zgodnie ze swym osobliwym smakiem, ciężki, szeroki na dłoń skórzany pasek. W ogóle miała upodobanie do surowej skóry i jej zapachu.

Thomas grzecznie zataił swe zdanie na temat wątpliwego smaku Chantal. Miał na sobie — po raz pierwszy w życiu — cudzy garnitur, który, nawiasem mówiąc, leżał na nim jak ulał.

Tuż po przybyciu, Chantal otwarła wielką szafę pełną męskich koszul, bielizny, krawatów i garniturów.

— Bierz, co chcesz — powiedziała. — Pierre był takiego samego wzrostu.

Thomas z oporami wziął, czego potrzebował, żeby się czysto ubrać, a potrzebował właściwie wszystkiego, gdyż sam nie posiadał już nic.

— Nie zadawaj tylu pytań — ucięła Chantal z niechęcią, gdy chciał dowiedzieć się czegoś więcej o owym tajemniczym właścicielu garderoby — kochaliśmy się. I rozstaliśmy się. Zniknął na zawsze z mojego życia...

W ogóle Chantal zachowywała teraz chłodny dystans, jak gdyby nie istniała dla niej ta pełna namiętności godzina na granicy. Także teraz, w czasie kolacji, siedziała w milczeniu, pogrążona w myślach i nieobecna duchem. Spożywając muszle, co chwila spoglądała na Thomasa, zaś przy pięknej, młodej giczy jagnięcej zaczęło znów drżeć lewe skrzydełko jej nosa. Gdy Thomas zaserwował owoce w karmelu, gdzieś na pobliskiej wieży zegar wybił dziesiątą.

Nagle Chantal schowała twarz w dłoniach i zaczęła coś mruzczyć pod nosem.

— Co się stało, chérie? — dopytywał się Thomas, mieszając owoce w swojej czarce.

Podniosła głowę. Skrzydełko jej nosa ciągle jeszcze drgało, ale jej piękna twarz zamieniła się nagle w nieruchomą maskę.

— Dziesiąta — powiedziała już bardzo spokojnie i bardzo wyraźnie.

— Tak, co z tego?

— Stoją na dole w sieni. Jak włączę gramofon i puszcze „J'ai deux amours”, wejdą na górę.

Thomas odłożył srebrną łyżeczkę i spytał:

— Kto?

— Pułkownik Simeon i jego ludzie.

— Pułkownik Simeon? — powtórzył ledwie słyszalnie.

Skrzydółko jej nosa drgało nieustannie.

— Tak, z „Deuxieme Bureau”. Zdradziłam cię, Jean. Jestem najpodlejszym śmieciem, jakie ziemia nosi.

Po tych słowach przez chwilę zapanowała w pokoju kompletna cisza.

— Masz może ochotę na jeszcze jedną brzoskwinie? — zagadał w końcu Thomas.

— Jean! Nie bądź taki! Ja tego nie zniosę! Dlaczego na mnie nie wrzaśniesz? Dlaczego nie strzelisz mi w pysk?,

— Chantal — powiedział, czując jak ogarnia go potworne zmęczenie. — Chantal, dlaczego to zrobiłaś?

— Władze mają mnie w garści. Śmierdząca sprawa, która ma jeszcze związek z Pierrem. Poważne oszustwo i takie rzeczy... A tu nagle zjawia się ten pułkownik, ten Simeon i mówi: Jeśli wyda nam pani Leblanca, da się tę sprawę załatwić. Co byś zrobił na moim miejscu, Jean? Przecież cię nie znałam!

Całe życie, pomyślał Thomas. Toczy się i toczy, ciągle dalej i dalej. Jeden ściga drugiego, jeden zdradza drugiego. Jeden zabija drugiego, by samemu nie zostać zabitym.

— Czego Simeon chce ode mnie? — spytał cicho.

— Wykonuje rozkazy... Wykiwałeś ich z jakimiś listami... Czy to prawda?

— Tak, prawda — powiedział.

Chantal wstała, podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Chciałabym zapłakać, ale łzy nie chcą mi lecieć. Uderz mnie. Zabij mnie. Zrób coś, Jean! Tylko nie patrz tak na mnie.

Thomas siedział w zupełnej ciszy i myślał, potem spytał cicho:

— Jaką piosenkę miałaś puścić?

— „J'ai deux amours” — odparła.

Nagle jego bladą twarz rozjaśnił osobliwy uśmiech. Wstał. Chantal cofnęła się przed nim, ale jej nie dotknął. Poszedł do pokoju obok, gdzie stał gramofon. Uśmiech znów wykwił na jego twarzy, gdy ujrzał napis na płycie. Włączył aparat i nastawił igłę na początek płyty. Zabrzmiała muzyka. Głos Josephine Baker śpiewał: „J'ai deux amours”, pieśń o dwóch miłościach...

Z zewnątrz dały się słyszeć kroki. Były już blisko, coraz bliżej. Chantal stała tuż przed Thomasem. Z jej rozchylnych warg wydobył się parskliwy oddech, drapieżne zęby połyskiwały wilgocią, a pierś unosiła się i opadała gwałtownie pod cienkim, zielonym jedwabiem obcisłej chińskiej sukni.

— Zwiewaj, jeszcze zdążysz — zasyczała. — Pod oknem sypialni jest płaski daszek...

Thomas z uśmiechem potrząsnął głową, co wprawiło Chantal we wściekłość.

— Idiota! Podziurawią cię jak sito. Za dziesięć minut będziesz pływał martwy w Starym Porcie!

— Miło by było, gdybyś zastanowiła się nad tym nieco wcześniej, moje serce — rzekł Thomas przyjaźnie.

Zamierzyła się gwałtownie, jakby chciała go uderzyć i parsknęła:

— Daj sobie spokój z tymi idiotycznymi przemowami, właśnie teraz...

I wybuchnęła płaczem.

Ktoś puknął do drzwi.

— Otwórz — powiedział twardo.

Chantal przycisnęła pięść do ust i nie ruszyła się z miejsca. Znów rozległo się pukanie, tym razem energiczne. Josephine Baker ciągle jeszcze śpiewała.

— Niech pan otworzy, albo odstrzelimy zamek! — krzyknął znany Thomasowi głos.

— Dobry, stary Simeon — mruknął Thomas — ciągle jeszcze ten sam raptus!

Zostawił drżącą Chantal i wyszedł do przedpokoju.

Drzwi mieszkania jęczały już pod razami pięści. Były zamknięte na łańcuch. Thomas nacisnął klamkę. Drzwi rozwarły się gwałtownie tak szeroko, jak na to pozwalał łańcuch. Jakiś but wsunął się w szparę, za nim pistolet. Thomas nadepnął z całej siły na but i wypchnął broń na zewnątrz mówiąc:

— Czy mógłbym pana prosić, majorze, by wycofał pan na razie oba te przedmioty?

— Jeszcze czego! — wrzasnął Simeon z tamtej strony drzwi. — Jeśli pan natychmiast nie otworzy, użyjemy broni!

— No to chyba się bez tego nie obejdzie — zauważył Thomas łagodnie — bo nie mogę tego zrobić, dopóki ma pan w drzwiach i rękę, i nogę.

Po chwili zwłoki pułkownik spełnił życzenie Thomasa Lievena. But i broń zniknęły. Thomas otworzył. W następnej chwili miał

w brzuchu lufę pistoletu, a bohaterski Jules Simeon stał tuż przed nim ze zwichrzonym wąsem i odrzuconą do tyłu głową z rzymskim nosem.

W ciągu ostatnich miesięcy też się biedak nie dorobił, pomyślał nasz przyjaciel, wciąż jeszcze nosi ten stary, znoszony prochowiec.

— Co za radość, panie pułkowniku — ucieszył się Thomas. — Jak leci? Co porabia nasza piękna Mimi?

— Pańska gra skończona, haniebny zdrajco! — wykrztusił pułkownik, prawie nie poruszając wargami z pogardy.

— Czy sprawiłoby panu różnicę, gdyby wcisnął mi pan tę lufę gdzie indziej. Na przykład w piersi? Musi pan wiedzieć, że dopiero co wstałem od stołu.

— Za pół godziny nie będzie pan już miał żadnych kłopotów z trawieniem, świnio — odparł Simeon ognście.

Jakiś drugi facet przekroczył próg. Wysoki, elegancki, ze skroniami przyprószonymi siwizną i mądrymi oczami. Miał podniesiony kołnierz płaszcza, ręce w kieszeniach i papierosa w kąciku ust — Maurice Debras.

— Dobry wieczór — powiedział Thomas. — Przypuszczałem, że jest pan w pobliżu, gdy Chantal podała mi nazwę płyty. Co nowego, majorze Debras?

— Pułkowniku Debras! — syknął Simeon.

Sam Debras nie odpowiedział, tylko krótkim, władcym ruchem odwrócił głowę do drzwi.

Wtem ciszę przeszył przejmujący krzyk. Odwrócili się. Skulona jak tygrys szykujący się do skoku, w drzwiach salonu stała Chantal, dzierżąc w prawicy zakrzywiony malański sztylet.

— Wynoście się! — parsknęła w dzikiej złości — won, albo sprzątnę was obu. Ręce precz od Jeana!

Przerażony Simeon cofnął się o dwa kroki.

Takim skretyniałym bohaterem, jak wówczas przy zdobywaniu Paryża, już, dzięki Bogu, nie jesteś, pomyślał Thomas, po czym rzucił ostrym głosem:

— Nie wygłupiaj się, Chantal. W końcu obiecałaś panu pułkownikowi, że mnie zdradzisz.

Chantal skuliła się jeszcze bardziej, jej szept zabrzmiał jeszcze ostrzej:

— Co z tego? Zachowałam się comme une salope, ale wszystko jeszcze mogę naprawić...

— Gówno możesz! — ocenił Thomas. — Tylko sobie biedy napytasz, zamkną cię, idiotko!

— No to niech mnie zamkną! Jakie to ma znaczenie... jeszcze nigdy nikogo nie zdradziłam. Chodź za mną, Jean, szybko, do sypialni...

Stała tuż przed nim. Thomas westchnął i potrząsnął głową. Potem błyskawicznym ruchem uderzył prawą nogą. But trafił Chantal w prawy nadgarstek. Krzyknęła z bólu. Sztylet wyleciał w powietrze i wbił się we framugę drzwi, drżąc niespokojnie.

Thomas chwycił kapelusz i płaszcz, wyszarpnął nóż z drzwi i podał go Debrasowi.

— Nie wyobraża pan sobie, z jaką odrazą atakuję kobietę — powiedział — ale w przypadku mademoiselle Tessier gwałt jest chyba nieunikniony... Idziemy?

Debras skinął głową w milczeniu, a Simeon popchnął Thomasa przed sobą w stronę korytarza.

16

Drzwi zatrzęsły się. Chantal została sama. Dostała spazmów. Wyczerpana opadła na dywan i tarzała się po nim we wszystkie strony, łkając i krzycząc. W końcu wstała i powlokła się do salonu. Płyta się skończyła, igła przeskakiwała rytmicznie na ostatnim rowku. Chantal poderwała gramofon do góry i huknęła nim o ścianę, gdzie z trzaskiem zakończył swój żywot.

Tej nocy, najokropniejszej nocy jej życia, Chantal nie zmrużyła oka. Przewracała się w łóżku z boku na bok, nie zaznając spokoju, w poczuciu winy, w rozpacz. Zdradziła kochanka, była winna jego śmierci. Nie miała wątpliwości, że Simeon i Debras pozbawią Thomasa życia.

O brzasku zapadła w niespokojną drzemkę. Obudził ją jakiś męski głos. Ktoś śpiewał, fałszując, gromkim głosem. Poderwała się z obolałą głową i ciężkimi jak z ołowiu członkami.

Męski głos śpiewał wyraźnie: „J'ai deux amours...”

Zwariowałam, po prostu zwariowałam, pomyślała przerażona. Słyszę jego głos... głos z zaświatów... o Boże, postradałam zmysły...

— Jean! — krzyknęła.

Cisza.

Z trudem wstała i w nocnej koszuli wybiegła z sypialni. Uciec stąd, uciec...

Zatrzymała się nagle. Drzwi do łazienki stały otworem. W wannie siedział Thomas Lieven.

Chantal zamknęła oczy. Chantal otworzyła oczy. Thomas ciągle jeszcze siedział w wannie.

— Jean... — jęknęła Chantal.

— Dzień dobry, bestio — przywitał ją Thomas.

Ostatkiem sił powlokła się do łazienki i opadła na brzeg wanny.

— Jak... co... co tu robisz? — wybełkotała.

— Próbuję namydlić sobie plecy. Gdybyś była taka miła i wyręczyła mnie.

— Ale... przecież...

— Co proszę?

— Przecież cię zastrzelili... Nie żyjesz...

— Gdybym nie żył, nie próbowałbym namydlić sobie pleców. Co ty wygadujesz? — rzekł karcąco. — Naprawdę, Chantal, opanuj się trochę. Nie jesteś przecież w domu wariatów ani w dżungli. Już nie.

Podał jej mydło. Chwyciła je i cisnęła do wody, krzycząc przeraźliwie:

— Powiedz mi natychmiast, co się stało!

— Wyjmij to mydło — powiedział Thomas niebezpiecznie cicho. — Natychmiast. I tak cię spiorę. W odpowiednim czasie. Bóg mi świadkiem, Chantal, jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety, ale w twoim przypadku odstąpię od moich najświętszych zasad. Umyj mi plecy, no już, długo mam czekać?

Chantal wyjęła mydło z wody i spełniła jego życzenie, mierząc go przy tym z bojaźliwym podziwem.

— Powoli mi świta, jak cię trzeba traktować — powiedział rozeźlony.

— Co się stało, Jean? — spytała ochryplym głosem. — Powiedz...

— Powiedz, proszę.

— Proszę, Jean, proszę...

— Już lepiej — mruknął, wijąc się z rozkoszy. — Wyżej. Trochę na lewo, mocniej. A więc, po wyjściu stąd, zawieźli mnie do portu...

17

Simeon i Debras pojechali z Thomasem Lievenem do portu. Lodowaty wiatr buszował po wąskich uliczkach Starej Dzielnicy. Psy wyły do księżyca w pełni. Nie było widać żywego ducha.

Debras prowadził rozklekotanego forda, z tyłu, obok Thomasa, siedział Simeon, cały czas ściskając w dłoni spluwę. Milczeli.

Dotarli do Starego Portu. W kafejce przy Quai du Port, siedlisku czarnego rynku, paliło się jeszcze światło. Przy „Intendance Sanitaire” Debras skręcił w prawo do Quai de la Tourette i przemknął na północ, obok czcigodnej katedry, do Place de la Joliette. Ciemny, ogromny Gare Maritime objechał wyludniony o tej porze Boulevard de Dunkerque i już byli nad wodą, tym razem przy Bassin de la Gare Maritime. Ford przetoczył się przez tory i podkłady kolejowe, by wreszcie zatrzymać się przy pogrążonym w ciemności molu A.

— Wyłaź! — rzucił Simeon.

Thomas Lieven wysiadł posłusznie. Jesienny wicher zdzielił go po twarzy. Śmierdziało rybami. Nieliczne lampy miały się na wietrze, wyła syrena jakiegoś statku. Teraz także w ręce Debrasa zabłysnął ciężki pistolet. Wyciągniętą ręką wskazał Thomasowi kierunek.

Thomas ruszył pokornie w kierunku opustoszałego mola. Ciągle jeszcze uśmiechał się, ale uśmiech powoli zastygał mu na wargach.

Woda połyskiwała w świetle bladego księżyca, a na łagodnych falach tańczyła postrzępiona piana. Zapach ryb stawał się nieznośny. Thomas szedł dalej ciężkim krokiem. Za jego plecami potknął się Simeon. Zaklął. Straszne, straszne, myślał Thomas, przecież trzymam palec na spuście, mam nadzieję, że już się nie potknie. Jak łatwo o wielkie nieszczęście...

Ciągle jeszcze pułkownik Debras nie odezwał się ani słowem. Byli teraz daleko od wszelkiego życia, zupełna pustka, znikąd pomocy.

Kto tu wpadnie do wody, tego długo, długo nie znajdą, pomyślał Thomas, zwłaszcza jeśli będzie miał w brzuchu parę kulek. W końcu molo też się gdzieś kończy. Właśnie się skończyło. Nagle stało się: pasek betonu, a za nim woda, czarna woda.

— Stój! — powiedział Simeon.

Thomas zatrzymał się.

— Niech się pan odwróci — odezwał się po raz pierwszy Debras.

Thomas odwrócił się. Patrzył na Debrasa i Simeona, słyszał bicie zegarów z wież kościelnych Marsylii, które obwieszczały za piętnaście jedenastą, z oddali, mdłe i rozmyte. Po chwili usłyszał głos Simeona, zatroskany i żarliwy:

— Już za piętnaście jedenasta, szefie. Załatwmy to szybko. Przecież o jedenastej musimy być u madame!

— Jest pan kompletnym idiotą!

Thomas wciągnął powietrze, jego zastygły na ustach uśmiech ożył na nowo. Zakaszłał dyskretnie, gdy jeden pułkownik wyzywał drugiego pułkownika od idioty.

— Niech mu pan odpuści — Thomas uśmiechnął się do Debrasa — wprawdzie pokrzyżował pańskie plany, ale cóż to... W końcu mnie też sprawił kiedyś w okropne zakłopotanie w obecności pewnego niemieckiego porucznika... Mimo wszystko jest to niezwykle facet!

I z tymi słowy poklepał strasznie zmieszanego Simeona po plecach.

Debras schował broń i odwrócił się, by ukryć przed Thomasem i Simeonem swój uśmiech, którego nie mógł powstrzymać.

— Poza tym, panowie, od razu pomyślałem, że chcecie mi tylko napędzić porządnego stracha, a potem prawdopodobnie skłonić do ponownej współpracy.

— Na jakiej podstawie doszedł pan do takiego wniosku? — wyjąkał Simeon.

— Gdy usłyszałem płytę Josephine Baker, przeczuwałem, że monsieur Debras jest w pobliżu. Powiedziałem sobie: Jeśli major, pardon, pułkownik — nawiasem mówiąc gratuluję awansu — a zatem, jeśli przybył pan tu specjalnie z Casablanki, to przecież nie tylko po to, żeby uczestniczyć w mym niechlubnym końcu. Zgadza się?

Debras odwrócił się i skinął głową.

— Niech pan będzie po trzykroć przeklęty, szwabskie nasienie!

— Może więc opuścimy to niegościnne miejsce — zaproponował Thomas. — Męczy mnie ten zapach. No i nie możemy przecież kazać madame tak długo czekać. Poza tym chciałbym jeszcze wpaść na dworzec.

— Na dworzec? — spytał Simeon z wyrazem osłupienia na twarzy.

— Jest tam nocna kwiaciarnia — pouczył Thomas uprzejmie. — Muszę jeszcze kupić kilka orchidei.

Josephine Baker wydawała się Thomasowi Lievenowi tak piękna jak jeszcze nigdy. Przyjęła ich w salonie swego apartamentu w „Hotel de Noailles” przy głównej arterii Marsylii.

Kruczoczarne włosy miała ułożone w połyskliwą koronę, a z jej uszu zwieszały się wielkie, białe kolczyki. Jej ciemna skóra lśniła aksamitnie. Gdy Thomas całował w rękę tę ubóstwianą przez siebie kobietę, ukłął go w oczy tęczyowy ogień wielkiego pierścienia z brylantową różą. Najpierw przyjęła od niego opakowane w celofan trzy różowe orchidee, po czym powiedziała:

— Dziękuję panu, panie Lieven. Niech pan siada. Maurice, czy mógłbyś, proszę, otworzyć szampana?

Byli we troje, gdyż Debras, w odruchu zniecierpliwienia, wysłał pułkownika Simeona na kwaterę.

Thomas Lieven rozejrzał się po salonie. Było tu wielkie lustro i fortepian, na którym piętrzyły się nuty. Zobaczył też plakat:

OPERA W MARSYLII
JOSEPHINE BAKER
W
KREOLCE
Operze w trzech aktach
JAQUESA OFFENBACHA
Premiera 24 grudnia 1940

Pułkownik Debras napełnił kryształowe kieliszki.

— Wypijmy za zdrowie kobiety, której zawdzięcza pan życie, panie Lieven! — zaproponował.

Thomas skłonił się głęboko przed Josephine.

— Zawsze miałem nadzieję, że zrozumie pani motywy, jakie mną kierowały, madame — powiedział. — Jest pani kobietą. Z pewnością nienawidzi pani bardziej niż ja przemocy i wojny, przelewu krwi i mordów.

— Z pewnością — rzekła piękna pieśniarka — ale kocham także mój kraj. Niszcząc prawdziwe listy, wyrządził pan nam wielką szkodę.

— Madame — bronił się Thomas — czy nie wyrządziłbym pani krajowi jeszcze większej szkody, gdybym nie zniszczył list i przekazał je Niemcom?

— Fakt — włączył się Debras — ale zostawmy to już. W końcu pomógł mi pan wydostać się z Madrytu. Tym razem ujdzie to panu jeszcze płazem, Lieven, ale przysięgam: Jeśli jeszcze raz wystawi nas pan do wiatru, nie wypijemy już szampana, choćby Josephine nie wiem jak dobrze rozumiała pańskie motywy. Po raz drugi nie zjedzie pan z mola!

— Proszę posłuchać, Debras, lubię pana! Naprawdę, mówię szczerze. Lubię też Francję. Mimo to przysięgam panu już teraz: Jeśli mnie pan zmusi, żebym dla pana pracował, wykiwam pana, bo nie chcę szkodzić żadnemu krajowi... nawet mojemu własnemu.

— A gestapo? — spytała cicho Josephine.

— Słucham?

— Czy miałby pan skrupuły, by działać na szkodę gestapo?

— Uczynić to byłoby dla mnie specjalną, ogromną rozkoszą, madame.

Pułkownik Debras uniósł rękę.

— Wie pan, że obecnie, wspólnie z Brytyjczykami, organizujemy w okupowanej i nieokupowanej części Francji nową sieć wywiadowczą i ruch oporu?

— Wiem.

— Pułkownik Simeon otrzymał od swych nowych przełożonych w Paryżu rozkaz, by zwabić pana do Marsylii i zlikwidować, ale najpierw porozmawiał na ten temat z Josephine, która z kolei powiadomiła mnie, z prośbą o interwencję...

— Madame — rzekł Thomas w głębokim ukłonie — czy mógłbym pani dolać szampana?

— Lieven — ciągnął dalej Debras — ja muszę wracać do Casablanki. Josephine dojedzie tam za kilka tygodni. Otrzymaliśmy pewne rozkazy z Londynu. Tak więc Simeon zostanie tu sam. Co pan o nim sądzi?

— Musiałbym skłamać — odrzekł grzecznie Thomas.

— Simeon to dobry człowiek — westchnął Debras — i płomienny patriota.

— Bohaterski żołnierz! — zawtórował Thomas.

— Odważny śmiałek! — przyłączyła się Josephine.

— Tak, tak — powiedział Debras — ale czegoś mu jednak, niestety, brak. Wiemy czego, nie muszę o tym mówić.

Thomas pokiwał głową z ubolewaniem.

— Odwagę wykazuje się nie tylko pięścią — oceniła Josephine — potrzebna jest jeszcze głowa. Pan, panie Lieven, i pułkownik Simeon czyli głowa i pięść — to by była ekipa!

— Sam nigdy nie poradzi sobie z tym zadaniem — podsumował Debras.

— Z jakim zadaniem?

Debras zagryzł wargi.

— Sytuacja jest poważna, Lieven. Nie chcę o mych rodakach mówić lepiej niż na to zasługują. U nas też są świny.

— Tych nigdzie nie brakuje — zgodził się Thomas.

— Nasze francuskie świny — na okupowanym i nieokupowanym terenie — współpracują z hitlerowcami. Zdradzają naszych. Zaprzędają swą ojczyznę. Francuskie świny na żołdzie gestapo. Powiedziałem gestapo, panie Lieven...

— Słyszałem.

— Jest pan Niemcem. Umie się pan wśród Niemców poruszać. Może pan też w każdej chwili zagrać rolę rodowitego Francuza.

— O Boże, czyli znów się zaczyna!

— Ci ludzie nie tylko zdradzają kraj, lecz także go grabią — rzekł Debras. — Niech pan posłucha, przed kilku dniami przyjechało tu, na południe, dwóch facetów z Paryża. Skupują złoto i dewizy.

— Francuzi?

— Francuzi na usługach gestapo!

— Zna pan ich nazwiska?

— Jeden ze zdrajców nazywa się Jaques Bergier, drugi Paul de Lesseps.

Thomas Lieven wpatrywał się w zamyśleniu przed siebie.

— Dobrze, Debras — odezwał się po dłuższej chwili, pomogę panu odnaleźć pańskich zdrajców, jeśli mi pan obieca, że potem da mi pan już spokój.

— Chce pan wyjechać?

— Tak. Wie pan przecież. Do Ameryki Południowej. Czeka tam na mnie mój przyjaciel, bankier Lindner. Ja wprawdzie jestem goły jak święty turecki, ale on ma pieniędzy w bród.

— Panie Lieven...

— ...ma milion dolarów. Jeśli dostanę od pana nowy paszport, za jego poręką otrzymam też wizę...

— Panie Lieven, niechże pan posłucha...

— ...a jak będę miał wizę, zdobędę też bilet na statek...

Thomas przerwał.

— O co chodzi? — spytał.

— Przykro mi, panie Lieven, naprawdę mi przykro, ale obawiam się, że nie zobaczy pan już nigdy swego przyjaciela.

— Co to ma znaczyć? Niech mi pan powie prawdę, niech pan niczego przede mną nie ukrywa. Powoli zaczyna mi się zdawać, że jestem błogosławionym Hiobem. Co z moim przyjacielem Lindnerem?

— Nie żyje — rzucił Debras.

— Nie żyje? — powtórzył Thomas.

Jego twarz zmieniła barwę, stała się szara jak ziemia. Walter Lindner nie żyje. Moja ostatnia nadzieja. Mój ostatni przyjaciel. Ostatnia szansa opuszczenia tego zwariowanego kontynentu...

— Siedział pan w więzieniu, nie mógł pan o tym wiedzieć — powiedział Debras. — 3 listopada 1940 roku statek Lindnera wpadł w okolicy Bermudów na minę. Zatonął w ciągu dwudziestu minut. Przeżyło tylko kilkoro pasażerów, ale nie było wśród nich ani Lindnera, ani jego żony...

Thomas Lieven siedział z opuszczoną głową. W rękę obracał kieliszek z szampanem.

— Gdyby dostał się pan na ten statek, też zapewne nie nosiłaby już pana ta ziemia — rzekł Debras.

— Tak — zgodził się Thomas — to niewątpliwie bardzo pocieszająca myśl.

18

Wczesnym rankiem 26 listopada 1940 roku, cichy, zamknięty w sobie Thomas Lieven wrócił z „Hotel de Noailles” do Starej Dzielnicy, a tam do mieszkania na drugim piętrze domu przy Rue Chevalier a la Rose. Dużo jeszcze wypił i długo rozmawiał z Josephine Baker i pułkownikiem Debrasem o tym, co miało się zdarzyć w najbliższej przyszłości.

Przez chwilę walczył z pokusą, by sprać swą śpiącą w bezładnym kłębowisku pościeli piękną przyjaciółkę, ale potem postanowił najpierw wziąć gorącą kąpiel. W łazience znalazła go też w końcu, obudzona jego śpiewem, Chantal.

Podczas gdy Chantal tarła go i szorowała, wyjawił jej to i owo o swym cudownym wybawieniu. Nie powiedział jej zbyt wiele, zaledwie parę ogólników, bowiem nie miał już do niej bezgranicznego zaufania.

— Puścili mnie — rzekł w końcu — bo mnie potrzebują. Mam coś dla nich. Będę potrzebował twojej pomocy. W ten sposób, sądzę, mogłoby dojść między nami do pojednania.

Upokorzone jeszcze przed chwilą oczy Chantal zajaśniały na nowo.

— Wybaczysz mi?

— Chyba będę musiał, skoro cię potrzebuję...

— Obojętnie, czy zrobisz to z musu, czy nie. Najważniejsze, żebyś mi przebaczył — wyszeptła i pocałowała go. — Zrobię dla ciebie wszystko. Czego chcesz?

— Paru sztab złota.

— Sz... sz... złota? Ile?

— Powiedzmy, wartości pięciu albo dziesięciu milionów franków.

— Prawdziwe sztaby?

— Oczywiście z ołowianym farszem.

— Jeśli tylko o to chodzi...

— Ty diabelski pomocie — zmienił temat. — Ty nędzna kreaturo! To przez ciebie znów w to wdepnąłem. Nie szoruj tak mocno!

Szorowała jeszcze mocniej.

— Ach, jakże się cieszę — zawołała — że cię nie zabili, mój drogi!

— Przestań!

Zaśmiała się gardłowo i zaczęła go łaskotać.

— Przestań, bo ci zaraz ściągnę majtki i wlepię na goły tyłek.

— Nic z tego, nie masz co zdejmować!

— Zobaczymy!

Złapał ją, piszczącą, i wciągnął do wanny. Woda chlusnęła do góry, a ona leżała na nim w ciepłej, mydlanej wodzie. Krzyczała, piszczała, śmiała się i pluła, potem ucichła w jego ramionach.

Nagle pomyślał o nieszczęsnym Lazarusie Alcobie, nieszczęsnym Walterze Lindnerze i jego żonie, o wszystkich pasażerach zatopionego statku, marynarzach, o nieszczęsnych żołnierzach w okopach i w ogóle o wszystkich nieszczęsnych ludziach. Jak krótko żyli. Jak mieli ciężko. Jaki marny był ich koniec. I jak niewiele szczęścia było na tej ziemi.

19

W środę 4 grudnia 1940 roku, w specjalnym pokoju hotelu „Bristol” przy Cannebiere, spotkało się trzech panów, by spożyć wegetariański obiad, który z wytrawnością bywałego smakosza zestawił jeden z nich, skrupulatnie nadzorując także jego powstanie w hotelowej kuchni.

Panowie nazywali się Jaques Bergier, Paul de Lesseps i Pierre Hunebelle.

Paul de Lesseps był zamkniętym w sobie, chudym typem o ostrych rysach twarzy. Miał około 37 lat.

Jaques Bergier był starszy, bardziej rumiany na twarzy, tęższy. Nosił się z nieco przesadną elegancją, poruszał pretensjonalnie, chodził drobnym, drepczącym krokiem i mówił cienkim, piskliwym głosem. Miał na sobie granatowy garnitur z ciemnoczerwoną aksamitną kamielką i pachniał odrobinę za intensywnie.

Pierre Hunebelle wreszcie, pan, który troszczył się o posiłek, był jak dwie krople wody podobny do naszego bohatera, Thomasa Lievena, co nie dziwi w obliczu faktu, że to był właśnie Thomas Lieven, choć nie nazywał się już Leblanc, lecz Hunebelle. Łaskawy czytelnik domyśla się, dlaczego Thomas miał w kieszeni nowy fałszywy paszport francuskiego wywiadu...

Menu, 4 grudnia 1940

Selery po genewsku
Kotlety grzybowe
Gruszki à la Piękna Helena

Osobliwy sznycel przysparza wiele milionów franków.

Selery po genewsku: dokładnie myjemy i szorujemy selery średniej wielkości, po czym gotujemy je w osolonej wodzie. Następnie kroimy je w cienkie plastry. Do głębokiej porcelanowej miski wkładamy nieco świeżego masła, na wierzch warstwę pokrojonych selerów, następnie posypujemy tartym emantalerem i wiórkami masła, ponownie układamy warstwę selerów itd. Na wierzch dajemy ser i masło, przykrywamy miskę pokrywą i wstawiamy do garnka z lekko gotującą się wodą na co najmniej godzinę. Podajemy na stół w teże misce, nie mieszając.

Kotlety grzybowe: umyte dokładnie i pokrojone na ćwiartki świeże kurki (1 funt) rzucamy na przesmażone w brytfannie na maśle 2 cebule i posiekaną pietruszkę. W chwili gdy się zagotują, dodajemy dwie uprzednio namoczone i dobrze wyciśnięte bułki bez skórki. Chwilę dusimy, po czym całość przekręcamy przez maszynkę, dodając na końcu ugotowany, obsuszony ziemniak. Wyrabiamy dokładnie masę, a po wystygnięciu dodajemy jajko i, gdyby ciasto było zbyt luźne, dodajemy tartej bułki. Dopiero na końcu doprawiamy mocno pieprzem i solą, pastą sardelową, odrobiną soli lub wyciągiem z drożdży (nie z mięsa). Z masy formujemy niezbyt płaskie sznycele, obtaczamy je w mące, rozbełtanym jajku i tartej bułce i pieczemy na brązowo na maśle. Ozdabiamy kawałkami cytryny i kaparami.

Gruszki à la Piękna Helena: do średniej wielkości pucharków lub kompotierek wkładamy kulkę lodów waniliowych, na które kładziemy całą lub połówkę zaprawianej gruszki. Polewamy gęstym, gorącym sosem czekoladowym i podajemy na gorąco. Sos czekoladowy przyrządzamy rozpuszczając na ogniu, w odrobinie wody, około 100 g gorzkiej czekolady. Następnie dodajemy tyle mleka lub śmietanki, aby powstał gęsty sos.

Było to pierwsze spotkanie panów Bergiera i de Lessepsa z monsieur Hunebellem i szczególnie Bergier patrzył na uroczego, młodego mężczyznę ze wzrastającym upodobaniem. Jego sentymentalne, dziewczęce oczy spoczywały na nim bez przerwy. Po nawiązaniu kontaktu z adwokatem Bergierem i zaproponowaniu mu interesu, Thomas zaprosił obu panów na obiad.

— Może porozmawiamy o tym przy dobrym jedzeniu? — zaproponował.

— Z przyjemnością, monsieur Hunebelle, ale bardzo pana proszę o jarski posiłek, żadnego mięsa — zgodził się estetyczny Bergier piskliwym głosem.

— Jest pan wegeterianinem?

— Stuprocentowym. Nie palę też i nie piję.

I z damami też się chyba zbyt chętnie nie zadajesz, mój mały, pomyślał Thomas. Tylko dla gestapo musisz pracować, czysta duszyczko...

Spożywając przekąskę — seler po genewsku — panowie nawiązali rozmowę.

— Wyśmienite, monsieur Hunebelle, po prostu wyśmienite — ocenił Bergier, ten wypielęgnowany — seler wręcz rozplywa się na języku.

— O to właśnie chodzi — stwierdził Thomas z powagą. — Trzeba wybierać piękne, ale nie za duże bulwy selera.

— Nie za duże, aha! — rzekł Bergier, pożerając Thomasa oczami.

— Należy je dobrze umyć i wyczyścić szczotką, po czym ugotować w osolonej wodzie. Bardzo ważne, żeby nie były za miękkie.

— Za miękkie — powtórzył jak echo adwokat, którego perfumy bezlitośnie drażniły zmysł węchu Thomasa. — Musi mi pan zapisać przepis, monsieur.

Na poddanych starannemu manikiurowi palcach nosił cztery pierścienie wysadzone kolorowymi kamieniami, a jego coraz bardziej melancholijny wzrok spoczywał uparcie na Thomasie.

To jasny przypadek, myślał Thomas w tym czasie, z nim nie będzie kłopotu. Bardziej muszę uważać na Lessepsa.

— A zatem, czym możemy panu służyć, monsieur? — zapytał tenże znienacka.

— Panowie, Marsylia jest małym miastem. Rozeszły się tu pogłoski, że przybyliście panowie z Paryża, aby dokonać tu pewnych transakcji.

W tej chwili siwy kelner wniósł danie główne, więc Thomas zamilkł.

— Ach, przecież wyraźnie prosiłem, żeby nie było mięsa! — zawołał żałośnie adwokat, spoglądając na półmiski.

— Jakie transakcje, monsieur Hunebelle? — wszedł mu Lesseps w słowo.

— A więc... hm, dewizy i złoto. Chodzą słuchy, że jesteście panowie tym zainteresowani.

Lesseps i Bergier wymienili spojrzenia. Przez chwilę nad stołem zawiła całkowita cisza, przzerwana w końcu przez Lessepsa, który

w roku 1947 został przez francuski rząd oskarżony o kolaborację i skazany.

— Chodzą słuchy, co? — spytał zimnym tonem.

— Tak, chodzą słuchy. Czy lubi pan sos sojowy, monsieur Bergier?

— Mój przyjacielu — rzekł adwokat, spoglądając Thomasowi głęboko w oczy — jestem wzruszony. To, co wygląda na mięso, wcale nie jest mięsem, a smakuje formidable. Co to takiego?

— Monsieur Hunebelle — nie ustępował rozeźlony Lesseps — mówi pan o złocie i dewizach. Załóżmy, że w istocie się tym interesujemy...

— Sznycel z grzybów — poinformował Thomas, obracając się do Bergiera. — Delikatny, prawda? Mógłbym sprzedać trochę złota — zmienił temat, zwracając się do Lessepsa.

— Ma pan złoto? — spytał Lesseps, cedząc słowa.

— Tak jest.

— Skąd?

— Nieważne — odparł Thomas wyniośle. — Mnie też nie interesuje, w czym imieniu panowie prowadzą interesy.

Lesseps spojrział na niego oczami rekina.

— Ile ma pan tego złota?

— A ile panowie chcecie?

— Nie sądzę, żeby miał pan aż tyle — zauważył Lesseps.

— Dysponujemy bowiem dwustu milionami! — obwieścił jedwabisto-delikatny adwokat.

Psiakrew, pomyślał Thomas, szykuje się tu numer nad numery!

20

Psiakrew, pomyślał także stary kelner, który podsłuchiwał pod drzwiami, szykuje się tu numer nad numery! Mlaskając językiem, wszedł do małego hotelowego baru, który o tej porze świecił pustkami. Przy kontuarze siedział jakiś facet o prostackim wyglądzie i szczecinowatych włosach. Popijał pernod.

— Hej, Bastianie — zagadnął go kelner.

Mężczyzna podniósł głowę. Miał małe oczka jak słoń i łapy jak tragarz.

— O czym gadają? — spytał.

Kelner zdał mu relację z rozmów prowadzonych w specjalnym pokoju. Człowiek, który zwał się Bastian Fabre, zagwizdał przez zęby.

— Dwieście milionów! Ojciec Wszchemogący!

Wetknął kelnerowi banknot do ręki.

— Czuwaj dalej. Zapamiętaj każde słowo. Jeszcze tu wrócę.

— W porządku, Bastianie — powiedział siwy kelner.

Bastian — miał na sobie skórzaną kurtkę, beret i popielate spodnie — wyszedł z baru, wsiadł na rower i ruszył wzdłuż Starego Portu pod górę, w kierunku Quai des Belges. Tu mieściły się dwie najslynniejsze kawiarnie miasta, „Cintra” i „Le Bruleur de Loup”. W obu dokonywano nielegalnych transakcji wszelkiego autoramentu. „Cintra” była nowocześniejsza i miała lepszą klientelę — bogatych greckich handlarzy, Turków, Holendrów i Egipcjan.

Bastian udał się do bardziej staroświeckiej, mniejszej „Le Bruleur de Loup”. Tutaj, w wyłożonej ciemną boazerią sali, której wielkie lustra, matowe i zaparowane, odbijały uliczne światło, siedzieli prawie sami miejscowi. Tą południową porą większość z nich piła „pastis”, ciepły aperitif, który jeszcze w 1939 roku kosztował dwa franki, dziś zaś dziesięć, co było źródłem permanentnego rozgoryczenia wszystkich patriotów.

W „Bruleur de Loup” siedzieli handlarze winem, fałszerze, przemytnicy, emigranci i spekulanci. Bastian znał wielu z nich, pozdrowiał i był pozdrawiany. Na końcu lokalu znajdowały się drzwi, na których klamce wisiała tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTA IMPREZA. Olbrzym zapukał czterokrotnie z długimi odstępami, potem dwukrotnie szybko, po czym drzwi się rozwarły i Bastian wszedł do środka. Paliło się tu elektryczne światło, bo pomieszczenie nie miało okna. W powietrzu wisiały gęste jak maź opary tytoniowego dymu. Przy długim stole siedziało piętnastu mężczyzn i tylko jedna kobieta. Mężczyźni wyglądali groźnie, część z nich miała brody, część złamane nosy i twarze pokryte bliznami. Byli wśród nich Afrykanie, Armeńczycy i Korsykańczycy.

Kobieta siedziała u szczytu stołu. Na głowie miała czerwony czepek, spod którego wysypywały się kruczoczarne włosy. Ubrana była w długie spodnie i kurtkę z surowej skóry. Neutralny obserwator tych osobliwych biesiadników zorientowałby się natychmiast, że Chantal Tessier jest władczynią, absolutną władczynią tej bandy złoczyńców, samotną wilczycą, okrutną królową.

— Dlaczego tak późno? — warknęła natychmiast na Bastiana. Czekamy na ciebie od pół godziny!

— Nie śpieszyło im się... Adwokat się spóźnił.

Chantal przerwała mu ostrym tonem.

— Kiedy wreszcie sprawisz sobie nową czapkę? Rzygać się chce w waszym towarzystwie. Czy każdy musi od razu widzieć, żeście z chlewa rodem?

— Wybacz, Chantal — powiedział Bastian łagodnie, chowając zakłopotany swą zatłuszczoną czapkę.

Następnie zdał relację z tego, co usłyszał od kelnera hotelu „Bristol”. Gdy wymienił sumę dwustu milionów, przez izbę przeszedł pomruk podniecenia. Kilku panów zagwizdało, ktoś huknął pięścią w stół, gwar przetoczył się nad stołem.

— Czy panowie byliby może łaskawi zamknąć gęby! — lodowaty głos Chantal górował nad wszystkimi innymi.

Zapadła cisza.

— Mówi tylko ten, kogo pytają, zrozumiano?

Chantal rozparła się na krześle.

— Papierosa — rzuciła władcym tonem.

Dwóch łotrzyków pośpieszyło, by ją obsłużyć.

Chantal wypuściła kłęb dymu.

— Teraz posłuchajcie wszyscy bardzo uważnie. Powiem wam, co macie zrobić.

Chantal Tessier, herszt bandy i miłośniczka surowej skóry, wyjaśniła dokładnie, o co chodzi. Wszyscy słuchali bardzo uważnie...

21

Był czwartek, 5 grudnia 1940 roku. W Marsylii panował już dotkliwy chłód. W sklepie z artykułami gospodarstwa domowego przy Rue de Rome znajdowało się dwóch mężczyzn.

— Poproszę cztery formy do ciasta — powiedział pierwszy.

— A dla pana? — spytała ekspedientka drugiego.

— Chciałbym trzy foremki do ciastek, jeśli można, ślicznotko.

Jeden z mężczyzn, muskularny olbrzym z rudawymi, szczeciniastymi włosami, przedstawiał się jako Bastian Fabre i tak też się nazywał. Drugi był elegancko ubrany i dobrze wychowany. Obecnie zwał się Pierre Hunabelle, ale naprawdę nosił całkiem inne nazwisko. Do niedawna znano go jako Jeana Leblanca, a w rzeczywistości nazywał się Thomas Lieven.

Obaj panowie nabyli razem, za zawyżoną wypadkami wojennymi cenę, siedem blaszanych form do ciasta, choć byli dalecy od tego, by wykorzystać je do wypieku ciast, gdyż następnie nie zakupili na przykład masła, cukru, szafranu i mąki, lecz u handlarza starzyzną, na króciutkiej Rue Mazagran, dziewięć kilogramów ołowiu, wielką płytę szamotową oraz poręczną stalową butlę gazu propanu.

Następnie skierowali swe kroki do Starej Dzielnicy. Prawie ze sobą nie rozmawiali, gdyż dopiero co się poznali.

A więc, teraz pójdę z tym orangutanem wyrabiać fałszywe sztaby złota, przemknęło Thomasowi przez myśl. Potworna świadomość, ale nie to jest najgorsze. Ogarnia mnie przerażenie, gdy pomyślę sobie, że jestem cholernie ciekaw, jak to się fachowo robi!

Thomas nie mógł w żaden sposób zrozumieć zachowania Chantal. Gdy jej wspomniał o dwóch gestapowskich wysłannikach, powiedziała zrazu:

— Doskonale, kochany, doskonale. Moja organizacja jest do twojej dyspozycji. Piętnastka pierwszorzędnych specjalistów. Wykiwamy te gestapowskie świny oraz twojego pułkownika Simeona, a listy opylimy temu, kto najlepiej zapłaci!

— Nie, pułkownika nie. Obiecałem, że mu pomogę.

— Zbikowałeś! Niemiecki idealizm, co? Wyc się chce. Proszę bardzo, ale w takim razie na mnie nie licz! Sam sobie wyprodukuj złoto, frajerze. Z moich ludzi nikt ci nie pomoże!

Taaak, taka była sytuacja przed trzema dniami. Tymczasem Chantal rozmyśliła się i całkowicie zmieniła front. Była czuła i namiętna jak jeszcze nigdy. Podczas jednej z nielicznych spokojnych chwil minionej nocy przyznała w ramionach Thomasa Lievena:

— Masz zupełną rację, musisz dotrzymać obietnicy...

Pocałunek.

— Ach, jeszcze bardziej cię kocham za to, że jesteś taki prostoliniorny.

Dwa pocałunki.

— Dam ci też Bastiana... Możesz wykorzystać wszystkich moich ludzi...

Thomas kroczył tedy krętymi, brudnymi uliczkami Starej Dzielnicy u boku ogromnego Bastiana i myślał: Czy mogę zaufać Chantal, tej bestii? Przecież już raz mnie oszukała i zdradziła. Do czegoś zmierza. Tylko do czego?

Bastian Fabre mógłby na to pytanie udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Pchając u boku szczupłego, eleganckiego Thomasa Lievena taczkę przez kręte, brudne uliczki Starej Dzielnicy, myślał: Wcale mi się

nie podoba ten młodziak. Już różni panowie mieszkali u Chantal, ale ten Pierre Hunebelle to coś poważniejszego. Teraz szefowa wścieka się znacznie częściej niż kiedyś. By to szlag!

Bastian wspomniał słowa, które Chantal wypowiedziała o nim na zebraniu roboczym swej bandy w „Le Bruleur de Loup”: Genialna głowa. Wy wszyscy, głupcy, możecie mu buty czyścić.

— Ejże, ejże — odważył się zauważyć Bastian.

Chantal śmignęła w jego stronę jak rakietą.

— Ta quele! Od dziś będziesz wykonywał wszystkie jego polecenia!

— Chwileczkę, Chantal, momencik...

— Zamknij się! To rozkaz, rozumiesz? Pójdiesz z nim do Boule-go i wytopisz lewe sztaby złota! A wy, cała reszta, będziecie od zaraz strzec go na okrągło. Muszę znać każdy jego krok, i w dzień, i w nocy!

— Co robi w nocy, ty powinnaś wiedzieć najlepiej.

— Jeszcze słowo i ci strzelę. To moja miłość, kapujesz? Szkopuł w tym, że ten chłopak jest za porządny. Teraz, gdy pertraktuje z tymi gestapowskimi świniami, my musimy za niego myśleć. On nie wie, co dla niego dobre...

Tak rzekła Chantal.

Stąpając ciężko obok Thomasa przez Starą Dzielnicę, Bastian myślał zagniewany: Mam uczucie, że ten chłopak doskonale wie, co dla niego dobre.

Tak myślał Bastian, ale nie zdradził swoich myśli.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział i zatrzymał się przed domem numer 14 przy Rue d'Aubagne.

Na prawo od wejścia widniała stara, podpryskiwana emaliowana tabliczka z napisem:

DR RENE BOULE
STOMATOLOG
9—12 i 15—18

Przekroczyli próg domu i zadzwonili do drzwi, które po chwili się otwały.

— Jesteście wreszcie — powiedział doktor Rene Boule.

Był najniższym człowieczkiem, jakiego Thomas w życiu widział. I najdelikatniejszym. Miał na sobie kitel, nosił oprawione w złotą ramkę binokle i połyskującą, piękną sztuczną szczękę.

— Wejdźcie, chłopcy.

Doktor powiesił na gałce drzwi tabliczkę z napisem: DZIŚ GODZINY PRZYJĘĆ ODWOŁANE! Potem zamknął drzwi i ruszył przodem. Minęli gabinet z obrotowymi fotelami i błyszczącym sprzę-

tem, by wejść w końcu do laboratorium, które położone było obok niewielkiej kuchenki. Tam właśnie Bastian szybko przedstawił sobie obu panów.

— Doktor pracuje dla nas od dawna — wyjaśnił Thomasowi. — Zawarł z szefową kontrakt na wyłączność.

— Tak, ale tylko, gdy wam potrzebne fałszywe złoto. Gdy macie coś z zębami, gnacie do konkurencji — burknął karzeł, przyglądając się Thomasowi. — Dziwne, że nigdy się jeszcze nie spotkaliśmy. Pan nowy w bandzie?

Thomas skinął głową.

— Właśnie wyszedł z pierdła — wyjaśnił Bastian z uczuciem. — Szefowa oszalała na jego punkcie. Niech pan tę robotę zapisze na jej prywatny rachunek.

— W porządku. Przynieśliście formy? Ślicznie, ślicznie. Mogę wyrabiać siedem sztab na raz, nie czekając aż to gówno ostygnie.

Doktor Boule rozpakował foremki do pieczenia i ustawił je w szeregu.

— Długość dobra — stwierdził. — Chcecie sztaby kilogramowe, co? Tak też myślałem. Jeśli to pana interesuje — zwrócił się do Thomasa — może się pan przyglądać, młody człowieku. Nigdy nie wiadomo, co się kiedy może przydać.

— Ma pan rację — rzekł Thomas i w geście samooskarżenia wznosił oczy ku niebu.

— Ja już to widziałem ze sto razy — mruknął Bastian — wyskoczę po coś do żarcia.

— Ale proszę coś krzepiącego — powiedział dentysta — to wytapianie bardzo wyczerpuje.

— Wszystko płaci szefowa! Co ma być?

Człowieczek mlasnął.

— Henri ma na dole parę wiejskich kaczek. Opyła je na czarno, zanim wpadną w łapy facetów z „Controle economique”. Urocze, małe kacuszki. Prawie bez tłuszczu, delikatne kosteczki. Ważą najwyżej po półtora kilo.

— W takim razie wejdę do niego i capnę ze dwie — powiedział Bastian i zniknął.

— Trudność przy wytwarzaniu fałszywych sztab złota polega na tym — wyjaśnił doktor Boule — że złoto i ołów mają bardzo różne temperatury topnienia i bardzo różne ciężary właściwe. Ołów topi się już w temperaturze 327 stopni Celsjusza, złoto dopiero przy 1036 stopniach. Tak wysokiej temperatury formy kuchenne by nie wytrzymały, dlatego musimy je wyłożyć szamotą.

Karzeł dokładnie wymierzył formy i naniósł wymiary ich den i ścianek bocznych na szamotową płytę, po czym pilnikiem wyźłobił

nieco zaznaczone linie. Teraz mógł już bez trudu połamać płytę w odpowiednich miejscach. Podczas pracy nie przerywał wykładu.

— Teraz zrobimy z gipsu podobne do cegieł odlewy, które muszą być dokładnie tak duże, żeby pasowały do wyłożonych szamotą form na ciasto, przy czym z każdej strony muszą zostać trzy milimetry wolnej przestrzeni. Na dolnej powierzchni odlewów umieścimy — zanim gips zastygnie — cztery nóżki, wduszając w masę cztery zapałki, na których postawimy odlew na dolnej warstwie szamoty. W ten sposób także pod spodem uzyskamy trzy milimetry wolnej przestrzeni... Może pan to sobie zanotuje?

— Mam dobrą pamięć.

— Tak? No dobrze... Gdy gipsowe cegły już znajdą się w szamotowej wykładzinie, możemy się zabrać do topienia złota w tyglu.

— W jaki sposób osiągnie pan tak wysoką temperaturę?

— Za pomocą palnika do cięcia stali i butli z propanem, którą pan przyniósł, młody człowieku.

— A jakiego złota pan używa?

— Dwudziestodwukaratowego oczywiście.

— Chyba o nie niełatwo?

— Można je dostać w każdym zakładzie przetapiającym metale szlachetne. Zbieram złoty złom, potem go zamieniam na kruszec dwudziestodwukaratowy. Gdy złoto się stopi, wlewamy je w wolną przestrzeń między gips a płyty szamoty i czekamy aż w naturalny sposób ostygnie. W żadnym razie nie wolno studzić wodą. Powinien pan to sobie jednak zanotować. W końcu wyjmuję gipsowy rdzeń i uzyskuję w ten sposób waniekę z cienkiej złotej blachy o wymiarach kilogramowej sztabki złota, którą wypełniam roztopionym ołowiem.

— Chwileczkę — przerwał mu Thomas — przecież ołów jest lżejszy od złota.

— Młody człowieku, kilogram pozostaje kilogramem. Zmienia się tylko objętość. Pozwalam sobie na drobne odchylenia w szerokości sztabki. Moje sztabki nie różnią się prawie od oryginalnych, wytwarzanych w mennicach...

22

Wrócił Bastian, przynosząc dwie młode, jędrne kaczki i kilogram kasztanów. Zaniósł zdobycz do kuchni.

Thomas przyglądał się jeszcze przez chwilę utalentowanemu dentyście, który formował gipsowe cegły, po czym udał się do kuchni, by

zatrościć się o jedzenie. Już na progu zamarł z odrazy. Na fałszowaniu sztabek złota nie znał się zupełnie, za to na kaczkach doskonale, a to, co tu działo się z jedną z nich dotknęło go do żywego i uraziło jego dumę smakosza. Potrząsając głową z dezaprobatą, podszedł do Bastiana, który z podwiniętymi rękawami pracował pod oknem. Wypatroszył już jednego ptaka, a teraz nacierał go solą z zewnątrz i od środka.

— Co pan wyprawia? — spytał Thomas ostro.

— Jak to, co wyprawiam? — warknął Bastian rozdrażniony. — Przyrządzam kaczkę. Coś panu nie pasuje?

— Barbarzyńca.

— Co pan powiedział?

Olbrym przełknął ślinę.

— Powiedziałem barbarzyńca. Zakładam, że chce pan zrobić kaczkę z rusztu.

— Zgadza się.

— To właśnie nazywam barbarzyństwem.

— Co pan nie powie!

Bastian oparł zaciśnięte pięści na biodrach, zapomniał napomnienie Chantal, twarz nabiegła mu z wściekłości czerwienią.

— Co pan wie o gotowaniu, przemądrzały gnojku!? — ryknął.

— Coś niecoś — odparł Thomas elegancko. — W każdym razie tyle, by móc stwierdzić, że popełnia pan tu zbrodnię.

— Byłem kuchaczem na statku. I przez całe życie piekłem kaczki wyłącznie na ruszcie.

— To znaczy, że był pan zbrodniarzem przez całe życie. Chyba nie tylko w tej branży.

W ostatniej chwili Bastian przypomniał sobie zalecenia Chantal. Opanował się z największym trudem. Obie łapy założył na plecy w obawie, że się usamodzielnia i zrobią coś nieprzemyślanego.

— A jakby pan, hm, przyrządził kaczkę, monsieur Hunebelle? — zapytał stłumionym głosem.

— Oczywiście po chińsku...

— Aha.

— ... ponieważ tylko przyrządzenie kaczki z ananasami i korzeniami zachowuje jej naturalny, delikatny smak, co więcej, jeszcze go potęguje i eksponuje!

— Niech mnie pan nie rozśmiesza — rzekł olbrym. — Tylko z rusztu, reszta bzdeta!

— Bo dla pana kultura kulinarna to całkiem obce pojęcie — oznajmił Thomas. — Gentlemani wolą po chińsku.

Menu, 5 grudnia 1940

Kaczka po chińsku z ryżem

Kaczka z rusztu z duszonymi kasztanami

Ambrozja

Kaczka przygotowana przez Thomasa Lievena pogłębia pewną wspaniałą przyjaźń.

Kaczka po chińsku z ananasami: oczyszczamy niezbyt tłustą, mięsistą kaczkę, po czym wyjmujemy z niej kości. Z potrzaskanych na małe kawałki kości i podróbek kaczych gotujemy mocny rosół. Mięso kaczki porcjujemy, opiekamy w brytfannie na złoty kolor, posypujemy mąką i pieczemy dalej, aż mąka uzyska również złoty odcień. Wlewamy uzyskany uprzednio rosół na kościach i dodajemy obranego świeżego pomidora, parę pokrojonych grzybów i 4 g kwasu glutaminowego. Całość dusimy na małym ogniu około 1/2 godziny. Przygotowujemy parę plasterów ananasa, krojąc każdy na osiem części, wsuwamy pod mięso i dusimy jeszcze przez kwadrans. Serwujemy z ryżem ugotowanym na sypko.

Kaczka z różna: oczyszczamy i myjemy dokładnie młodą, niezbyt tłustą kaczkę i nacieramy wewnątrz i na zewnątrz solą. Można również — według smaku — natrzeć kaczkę czosnkiem i dodać różnych ziół. Kaczkę smażymy na ruszcie w piekarniku piersią w dół. Do brytfanny ustawionej pod rusztem wlewamy trochę wody. Pieczemy w średniej temperaturze, podlewając często ściekającym do brytfanny tłuszczem. Czas pieczenia zależy od wielkości kaczki — przeciętnie od 1 do 1 1/2 godziny. Na ostatnie 20 minut pieczenia obracamy kaczkę piersią do góry. Upieczoną kaczkę smarujemy szerokim pędzlem zanurzonym w zimnej wodzie i podpiekamy ją w bardzo gorącym piecu jeszcze 5 minut. Skórka kaczki staje się wtedy chrupiąca i krucha. Na przystawkę podajemy duszone kasztany. Bierzemy tyle kasztanów, ile zużylibyśmy ziemniaków na przystawkę, obieramy je ze skorupki i wewnętrznej skórki i dusimy w osolonej wodzie aż do miękkości, uważając aby nie popękały, po czym obtaczamy je w maśle.

Ambrozja: gruboziarnistym ciemnym chlebem, najlepiej pumperniklem, wykładamy dno głębokiej szklanej miski i zwilżamy koniakiem lub wiśniówką. Pokrywamy go warstwą wiśni, dodajemy bitą śmietaną i tak dalej: warstwa chleba z koniakiem lub wiśniówką, wiśnie, bita śmietana. Na końcu posypujemy bitą śmietaną wiórkami czekoladowymi i ubieramy wiśniami. Potrawę studzimy i czekamy by odpowiednio nasiąkła.

— Niech pan posłucha, eleganciku, jeśli chce pan przez to powiedzieć... — zaczął Bastian, ale przerwał mu, szarpiąc za rękaw, mały dentysta.

— Co się dzieje, Bastianie? Panowie, po co ta kłótnia? Przecież mamy dwie kaczki! Spróbujcie na dwa sposoby, z rusztu i po chińsku! Mam jeszcze roboty na kilka godzin.

— Mówisz, że mamy stanąć do konkursu?

— Zgadłeś — powiedział karzeł i znów mlasnął — mogę być arbitrem. — Bastian nagle się rozchmurzył.

— Zgadza się pan? — spytał z uśmiechem.

— Oczywiście. Tylko potrzebuję jeszcze paru produktów. Muszę mieć grzyby, pomidory, ananasy i ryż.

— Niech pan zejdzie do Henri'ego — zachichotał dentysta. — Henri ma wszystko.

Klasnął w dłonie.

— To mi się podoba. Ja was czegoś nauczę, wy mnie czegoś nauczycie. Obywatele, do bronii!

W następnych godzinach zarówno w laboratorium, jak i w kuchni doktora Boulega trwała gorączkowa krzątanina.

Podczas gdy Bastian swoją kaczkę natarł czosnkiem, dodał przyprawy i położył pierś w dół na ruszcie pieca, Thomas Lieven usunął ze swojej kości, potłukł je i przyrządził z nich oraz z szyki i skrzydełek pożywny rosół. Czekając aż się ugotuje, poszedł do pracującego w laboratorium niewielkiego wzrostem artysty i przypatrywał się jego pracy.

Doktor Boule, w siedmiu foremkach do pieczenia, wytworzył tymczasem siedem cienkich złotych wanienek. Właśnie napełniał pierwszą z nich płynnym ołowiem.

— Musimy poczekać, aż ołów ostygnie — mówił. — Teraz jest otwarta jeszcze tylko jedna powierzchnia złotej powłoki. Trzeba na nią położyć szamotową płytkę, żeby ołów nie roztopił się ponownie w kontakcie z płynnym złotem. Ta ostatnia płytka jest bardzo ważna, gdyż zapobiega odbarwieniu się powierzchni złota, które wzbudziłoby podejrzenia każdego fachowca.

Thomas wrócił do kuchni, by doglądnąć swej zupki, podzielił kaczkę i wrócił do laboratorium, by doglądnąć produkcji swych sztabek.

Tymczasem doktor Boule ponownie roztopił w tyglu złoto i polewał nim właśnie szamotową płytkę w foremce na ciasto.

— Trzeba poczekać — mówił — aż zniknie piana. Złoto osadzi się samo. Górna powierzchnia musi mieć podniesioną krawędź jak szare mydło. Teraz, zanim metal ostygnie, szybko, najważniejsze — punca.

— Co takiego?

— Punca. Wyduszany stempel, który potwierdza autentyczność i próbę złota. Jaki tu ma być stempel, Bastianie? — krzyknął doktor Boule w stronę kuchni.

— Mennica Lyon! — odrzyknął olbrzym, który właśnie polewał swoją kaczkę wytopionym tłuszczem.

— No dobrze — powiedział doktor Boule. — Musi pan wiedzieć, że posiadam punce najróżniejszych mennic i banków.

Pokazał je Thomasowi.

— Wyciąłem ich negatywy w linoleum i przykleiłem na drewniane klocki. Niech pan teraz uważa!

Wziął odpowiednią puncę i posmarował linoleum oliwką z oliwek, po czym wcisnął stempel w narożnik jeszcze miękkiej złotej powierzchni pierwszej sztabki. Warstwa oliwki spaliła się z sykiem. Doktor Boule błyskawicznym ruchem poderwał stempel, zanim gorący metal zdołał zniszczyć linoleum. Chwila nacisku wystarczyła. Na sztabce widniał teraz stempel, nie ustępujący w niczym oryginałowi.

— Nierówności, popiół i inne zabrudzenia zostawia się na sztabkach. Oryginalne też nie są czyszczone.

— Czy istnieje możliwość odkrycia fałszerstwa?

— Praktycznie nie.

Doktor Boule potrząsnął głową.

— Rdzeń ołowiany jest teraz pokryty grubą na trzy milimetry warstwą złota. Kupiec sprawdza autentyczność złota rylcem łupkowym i kwasem solnym. Rylcem przejeżdża po krawędzi sztabki, zbierając nim odrobinę metalu, na który działa po kolei różnymi stężeniami kwasu solnego, odpowiadającymi różnej liczbie karatów. Gdy zdrapana drobina nie znika, mamy do czynienia z dwudziestodwukaratowym złotem. No i przecież rzeczywiście takie złoto tu jest!

Nagle dentysta zaczął węszyć.

— Dobry Boże, co za zapach! To pańska kaczka czy jego?

Godzinę później panowie w milczeniu spożywali posiłek. Najpierw zjedli kaczkę z rusztu, później po chińsku. Obok stygły trzy pierwsze sztabki złota. W skromnej jadalni doktora panowała cisza, nabożna cisza. W końcu Bastian wytarł sobie usta i spojrzał na dentystę przymrużonymi oczami.

— No, Rene, czyja była lepsza?

Doktor Boule, nieszczęśliwy, przeniósł wzrok z jednego kucharza

na drugiego, z Thomasa na Bastiana, z Bastiana na Thomasa. Ogromne łapy Bastiana otwierały się i ścisnęły kurczowo.

— Nie sposób wyrazić to w trzech słowach, drogi Bastianie... — wyjąkał doktor. — Z jednej strony twoja kaczką jest... choć z drugiej oczywiście...

— Tak, tak, tak — rzekł Bastian. — Masz pełne portki strachu, że ci dam wycisk, co? W takim razie ja przejmę rolę sędziego. Po chińsku była smaczniejsza!

Wyszczерzył się i wyrzwał Thomasa w plecy, że ten aż się zakrztusił.

— Chyba jestem starszy od ciebie, więc proponuję ci brudzia. Za twoją kaczkę. Jestem Bastian.

— Mów do mnie Pierre.

— Co za bęcwał ze mnie. Kaczka z rusztu. Przez całe życie. Bez sensu. Pierre, chłopcze, że też ja wcześniej na ciebie nie wpadłem! Masz jeszcze coś takiego w zanadrzu?

— Znalazłoby się — odparł skromnie Thomas.

Bastian promieniał. Nagle zaczął traktować Thomasa z wyraźną sympatią i szacunkiem. Jego żarłoczność odniosła zwycięstwo nad jego zazdrością.

— Wiesz, co mi świta, Pierre? — powiedział. — Wydaje mi się, że to początek pierwszorzędnej przyjaźni!

Bastianowi dobrze się wydawało. W roku 1957, w pewnej willi przy Cecilien-Allee w Düsseldorfie, przyjaźń ta była nadal tak świeża i głęboka jak owego pierwszego dnia. W ciągu siedemnastu lat, które od tego pierwszego dnia minęły, wielu możliwych tego świata drżało ze strachu przed tą przyjaźnią...

— Twoja kaczką też nie była zła, Bastianie — rzekł Thomas — naprawdę nie. Nawiasem mówiąc przygotowałem jeszcze ambrozię. Częstujcie się. Ja już nie mogę. Jeszcze jeden kęs, a padnę trupem!

A propos trupa...

Köln, 4 grudnia 1940

Nadawca — Wywiad Köln

Odbiorca — Szef Wywiadu Berlin

Tajne 135892/VCLU

Powróciwszy z Lizbony, pozwałam sobie zameldować najuniższej panu admirałowi o śmierci podwójnego agenta i zdrajcy Thomasa Lievena, alias Jeana Leblanca.

Tenże został zastrzelony 17 listopada 1940 roku o godzinie dziewiętej trzydzieści pięć (czasu miejscowego) na podwórzu domu przy Rua do Poco des Negros.

Lieven był w dniu likwidacji ucharakteryzowany na niejakiego Lazarusa Alcobę, z którym siedział w jednej celi, oraz miał na sobie jego ubranie.

Mimo iż władze portugalskie uczyniły wszystko, by incydent zatuzować i spuścić zasłonę ciemności na jego bliższe okoliczności, udało mi się jednoznacznie stwierdzić, że Lieven został zastrzelony przez płatnego, profesjonalnego mordercę na zlecenie wywiadu brytyjskiego. Jak panu admirałowi wiadomo, Lieven także Anglikom sprzedał sfalszowane listy z nazwiskami i adresami francuskich agentów.

Żałuję, że nie było mi dane zgodnie z rozkazem ująć Lievena żywego. Z drugiej strony jego zasłużony koniec oznacza jeden kłopot mniej w naszych powinnościach służbowych.

Heil Hitler!

Fritz Loos

Major i Dowódca Wydziału.

Rozdział drugi

1

Popołudniem 6 grudnia 1940 roku, panowie Hunebelle i Fabre odwiedzili hotel „Bristol”, a w nim rumianego, pękatego adwokata Jaquesa Bergiera, który przyjął ich w saloniku swego apartamentu. Francuski spekulant w służbie gestapo miał na sobie porannik z błękitnego jedwabiu, jedwabną chusteczkę w kieszonce na piersi i pachniał perfumami.

Zrazu próbował protestować przeciw obecności Bastiana.

— Co to znaczy, monsieur Hunebelle? Nie znam tego pana! Chcę rozmawiać tylko z panem!

— To mój przyjaciel. Mam przy sobie dość cenny towar, monsieur Bergier. W jego towarzystwie czuję się pewniej!

Adwokat ustąpił. Jego dziewczęce oczy spoczywały urażone na eleganckim Thomasie. Po chwili vegetarianin, wróg tytoniu i kobiet, Bergier, oświadczył:

— Mój przyjaciel de Lesseps jest tu niestety nieobecny, przykro mi. Jeszcze jak, pomyślał Thomas i spytał:

— A gdzie się podziewa?

— Pojechał do Bandol.

Bergier wysunął do przodu swe malinowe usteczka, jak gdyby chciał zagwizdać.

— Kupuje w tamtej okolicy bardzo znaczną partię złota, rozumie pan. I dewizy.

— Rozumiem.

Thomas skinął na Bastiana, a ten zamaszystym ruchem postawił na stole walizeczkę, po czym zwolnił zamki i odsłonił jej zawartość — siedem sztab złota.

Bergier oglądał je dokładnie. Przeczytał stempel.

— Hm, hm, mennica Lyon. Bardzo dobrze.

Thomas po raz drugi skinął dyskretnie na Bastiana.

— Czy mógłbym sobie umyć ręce? — spytał olbrzym.

— Łazienka jest po tamtej stronie.

Bastian wszedł do łazienki, gdzie kłuły w oczy niezliczone ilości buteleczek i tygielków. Monsieur Bergier bardzo dbał o siebie. Bastian odkręcił kurek od wody, po czym bezszelestnie wyszedł na korytarz, wyjął z zamka klucz od pokoju, zaś z kieszeni blaszane pudełeczko pełne pszczelego wosku, zrobił w nim odcisk obu stron klucza, wsadził go z powrotem do zamka, a pudełeczko do kieszeni.

Tymczasem w salonie Bergier skrupulatnie sprawdzał sztaby złota, postępując przy tym dokładnie tak, jak to przewidział uzdolniony dentysta: używał kamionkowego ryłca i różnych stężeń kwasu solnego.

— W porządku — stwierdził po skontrolowaniu wszystkich siedmiu sztabek, potem spojrzał na Thomasa rozmarzonym wzrokiem. — Cóż ja mam z panem począć?

— Nie rozumiem

Thomas odetchnął z ulgą, gdyż Bastian właśnie wrócił do salonu.

— Widzi pan, muszę oczywiście zdawać moim zleceniodawcom dokładny raport o każdym zakupie. Prowadzimy ... prowadzimy listy naszych klientów...

Listy! Serce Thomasa zabiło szybciej. Oto listy, których poszukiwał. Listy z nazwiskami i adresami kolaborantów z terenu nieokupowanej Francji, ludzi, którzy sprzedawali gestapo swój kraj, a nierzadko i rodaków.

— Oczywiście nikogo nie zmuszamy, by nam podał swoje dane... — mówił Bergier nad wyraz łagodnie — jakże byśmy mogli!

Roześmiał się.

— Ale jeśli chce pan w przyszłości robić z nami interesy, może byłoby jednak celowe, gdybym zrobił sobie jakieś notatki... oczywiście całkowicie poufne ...

Całkowicie poufne dla gestapo, pomyślał Thomas i powiedział:

— Jak pan sobie życzy. Mam nadzieję, że jeszcze nie raz dostarczę panu towar. Dewizy też.

— Przepraszam panów na chwilę — zaszczębiotał Bergier i niewieście posuwistymi ruchami odpłynął do sypialni.

— Masz odcisk? — spytał Thomas.

— Pewnie — skinął głową Bastian. — Powiedz no, czy ten mały nie jest czasem ...

— Jakiś ty spostrzegawczy — stwierdził Thomas.

Bergier wrócił. Przyniósł aktówkę zamykaną na cztery zamki, które otworzył ceremonialnie, i dobył z niej plik list, zawierających liczne nazwiska i adresy. Wyjął złote wieczne pióro. Thomas Lieven podał mu swe fałszywe nazwisko i fałszywy adres. Bergier zanotował wszystko starannie.

— Teraz pieniądze — rzekł Thomas.

— Niech się pan nie obawia, będą i pieniądze — roześmiał się Bergier. — Czy mógłbym pana poprosić ze sobą do sypialni...

W sypialni obok stały trzy potężne kufry—szafy. Z jednego z nich adwokat wysunął wąską szufladę, zapełnioną — jak się okazało — po brzegi równymi plikami banknotów o nominale 1000 i 5000 franków. Thomas zdawał sobie sprawę, że panowie Bergier i de Lesseps musieli mieć pod ręką większe sumy gotówki. Bez wątplenia także pozostałe szuflady kufków zawierały pieniądze. Thomas w ogromnym napięciu obserwował, gdzie Bergier chowa teczkę z wykazami...

Bergier płacił za sztabkę 360 000 franków, co odpowiadało sumie 18 000 marek Rzeszy Niemieckiej, tak więc za siedem sztabek zapłacił ponad dwa i pół miliona franków.

Kładąc przed Thomasem pliki banknotów, Bergier uśmiechał się do niego nęcąco i obiecująco, szukał jego spojrzenia, ale Thomas liczył franki...

— Kiedy znów się spotkamy, przyjacielu? — spytał w końcu.

— Jak to? — zdziwił się Thomas. — Nie wraca pan do Paryża?

— Nie, Lesseps jedzie sam. Będzie tu przejeżdżał jutro po południu, ekspresem o piętnastej trzydzieści.

— Przejeżdżał?

— Tak. Wiezie towar z Bandol do Paryża. Pańskie złoto dostarczę mu do pociągu. Ale potem moglibyśmy wspólnie coś zjeść, co pan na to, przyjacielu?

2

— Piętnasta trzydzieści, dworzec St. Charles — mówił Thomas godzinę później w bibliotece przestronnego, starego mieszkania przy Boulevard de la Corderie. Mieszkanie należało do człowieka nazwiskiem Jaques Cousteau, który wiele lat później miał zdobyć sławę jako badacz głębin morskich oraz autor książki i filmu „Milczący świat”. W roku 1940 ten były major artylerii morskiej — młody, energiczny mężczyzna o czarnych włosach i czarnych oczach, sprężysty i wysportowany — był ważną osobistością odradzających się francuskich służb wywiadowczych.

Cousteau siedział w starym fotelu z poręczami, na tle mieniącego się soczystymi barwami regału z książkami i palił fajkę, którą — faute de mieux — napełnił niewielką ilością tytoniu.

Obok niego siedział pułkownik Simeon. Żałośnie świeciły łokcie i kolana jego garnitur. Gdy założył nogę na nogę, odsłonił dziurę w podeszwie lewego buta.

Śmieszny, biedny, godny politowania francuski wywiad, pomyślał Thomas. Ja, człowiek stojący z boku, zmuszony do działalności wywiadowczej, jestem w tej chwili bogatszy niż całe „Deuxieme Bureau”!

Elegancki i zadbany stał tu oto nasz Thomas Lieven, obok niego zaś stała walizeczka, w której sztabki złota przywędrowały do pana Bergiera. Teraz zawierała 2 520 000 franków...

— Będziecie musieli bardzo uważać od chwili wjazdu pociągu — ciągnął Thomas. — Sprawdziłem, zatrzymuje się tu tylko na osiem minut.

— Poradzimy sobie — uspokoił go Cousteau — niech się pan nie martwi, monsieur Hunebelle.

Simeon skubał swoją bródkę à la Menjou.

— A więc sądzi pan, że de Lesseps będzie miał przy sobie sporo towaru? — dopytywał się z wygłodniałymi oczami.

— Według słów Bergiera ogromne ilości złota, dewiz i innych walorów. Przez kilka dni prowadził skup na południu. Musi tego być dużo, w przeciwnym razie nie jechałby do Paryża. Bergier przekaże mu też swoje siedem sztabek. Wydaje mi się, że najlepiej zaarrestować ich w tym właśnie momencie...

— Wszystko już przygotowane. Daliśmy cynk naszym przyjacielom z tutejszej policji — poinformował Cousteau.

— Ale jak pan zdobędzie wykazy? — spytał Thomasa Simeon.

— Niech pan sobie nie łamie głowy, Simeon — odpowiedział Thomas z uśmiechem. — Nawiasem mówiąc, może mi pan pomóc. Potrzebuję trzech lokajów w liberiach hotelu „Bristol”.

Simeon otworzył szeroko oczy i usta. Widać było, że intensywnie myśli, lecz zanim coś wymyślił, odezwał się Cousteau:

— Da się zrobić. „Bristol” korzysta z usług pralni „Salomon”, tam też oddaje do czyszczenia liberie. Zastępcą dyrektora tej pralni jest nasz człowiek.

— Wspaniale — ucieszył się Thomas.

Spojrzał na wychodzącego Simeona z dziurą w bucie i w sfatygowanym garniturze. Spojrzał na Cousteau, który świadom resztki tytoniu w woreczku, oszczędnie pociągał z pogryzionej fajki. Spojrzał wreszcie na swą walizeczkę... Po chwili podjął wruszające działanie, które dowodziło, że ciągle jeszcze nie nauczył się żyć według bezdusznych reguł gry bezdusznego świata, w który cisnął go okrutny los...

Gdy pół godziny później Thomas Lieven opuszczał dom przy Boulevard de la Cordiere, zauważył, że z zagłębienia muru wyłonił się jakiś cień i podążył za nim przez mglisty mrok. Thomas skręcił za rogiem i zatrzymał się. Drepczący mu po piętach człowiek wpadł na niego z impetem.

— O, pardon — przeprosił grzecznie, zdejmując starą, zatłuszczoną czapkę.

Thomas rozpoznał w nim jednego z ludzi Chantal, który burknął jeszcze coś niezrozumiałego i poczłapał swoją drogą.

W mieszkaniu przy Rue Chevalier de la Rose czarnowłosa kocica Chantal przywitała swego przyjaciela gwałtownym potokiem uścisków i pocałunków. Zrobiła się dla niego na bóstwo. Płonęły świece, szampan czekał w lodzie.

— Nareszcie, chéri! Tak już tęskniłam...

— Gdzie się podział Bastian?

— Jego matka nagle zachorowała, musiał do niej pojechać. Jutro wraca.

— Aha, jutro — bąknął Thomas niewinnie i otworzył walizeczkę, która ciągle jeszcze była dość pełna, choć nie tak pełna jak na początku, gdy Bergier wypchał ją pieniędzmi.

Chantal radośnie gwizdnęła przez zęby.

— Nie gwizdź za szybko — ostudził ją Thomas — brakuje pół miliona.

— Co?

— Tak. Podarowałem go Cousteau i Simeonowi. Są nadzy i bosy. Do diabła, żal mi się ich zrobiło, wiesz... Powiedzmy, że te pół miliona to był mój udział. Proszę, pokażna reszta w wysokości dwóch milionów dwudziestu tysięcy franków zostaje dla ciebie i twoich ludzi...

Chantal pocałowała go w koniuszek nosa. Z podejrzaną łatwością przeszła do porządku dziennego nad jego napadem miłości bliźniego.

— Mój ty gentlemanie! Ach, jakis ty słodki... I zostałeś bez łupu!

— Mam ciebie — powiedział czule i nagle zmienił temat. — Chantal, dlaczego każesz mnie śledzić?

— Śledzić? Ja? Ciebie?

Rozwarła szeroko swe kocie oczy.

— Chéri, dlaczego opowiadasz takie bzdury?

— Jeden z twoich ludzi wpadł mi prawie w ramiona.

— Och, to na pewno zwykły przypadek... Mój Boże, coś ty taki strasznie podejrzliwy? Co mam jeszcze zrobić, byś mi wreszcie uwierzył, że cię Kocham?

— Choć raz powiedz mi prawdę, nędzna kreaturo — odpałił. — Ale wiem, że to absolutnie utopijne pragnienie.

Gdy ekspres do Paryża wjeżdżał 7 grudnia 1940 roku o godzinie piętnastej trzydzięci na tor trzeci Gare St. Charles, z okna jednego z przedziałów pierwszej klasy wyglądał trzydziestosiedmioletni mężczyzna. Paul de Lesseps miał szczupłą twarz z ostrymi rysami, zimne rekinie oczy i płowe, rzadkie włosy.

Jego spojrzenie wędrowało, w poszukiwaniu czegoś, po peronie. Wreszcie spostrzegł pulchnego, ekscentrycznie ubranego adwokata z małą, niepozorną walizeczką u nogi.

Paul de Lesseps podniósł rękę.

Jaques Bergier podniósł rękę.

Pociąg zatrzymał się. Bergier pośpieszył do wagonu swego przyjaciela. Teraz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Zanim zdążył wysiąść jakikolwiek z pasażerów, z tłumu wyłoniło się trzydziestu funkcjonariuszy policji kryminalnej w cywilu, którzy z obu stron podbiegli do wagonu i na całej jego długości podnieśli do góry dwie długie liny, spoczywające do tej pory po obu stronach szyn. W ten sposób, bez przyzwolenia policjantów, nie można było otworzyć żadnych drzwi wagonu.

Komisarz policji kryminalnej podszedł go Bergiera i zaaresztował bladego jak kreda adwokata pod zarzutem przemytu złota i dewiz. Bergier ciągle jeszcze trzymał w ręce walizkę ze złotem.

Tymczasem dwóch innych policjantów z obu stron przypuściło szturm na wagon i aresztowało w przedziale Paula de Lessepsa.

W tym samym czasie trzech służących w zielonych liberjach firmowych kroczyło korytarzem czwartego piętra hotelu „Bristol”. Dwóch z nich przypominało wyglądem ludzi z bandy Chantal Tessier, trzeci był podobny do Thomasa Lievena. Liberie nie leżały na nich najlepiej.

Służący podobny do Thomasa Lievena bez trudu otworzył jeden z apartamentów. Z dość rzadko spotykaną w ich zawodzie żwawością, panowie wynieśli z sypialni apartamentu trzy ogromne kufry, zataszczyli je do windy osobowej, zjechali ze swym bagażem na hotelowe podwórze, upchali kufry w bagażniku dostawczego samochodu pralni „Salomon” i — nie zatrzymywani przez nikogo — odjechali. Dodać

należy, że nie w kierunku wspaniałej pralni, lecz do domu przy Rue Chevalier a la Rose...

Godzinę później radośnie roześmiany Thomas Lieven, znów normalnie ubrany, przekroczył próg mieszkania Jaquesa Cousteau przy Boulevard de la Cordiere. Gospodarz i Simeon już na niego czekali. Z aktówki miłego pana Bergiera wyciągnął Thomas owe wykazy, które zawierały dokładne dane dotyczące szpicli, kolaborantów i sprzedawczyków. Triumfalnie wymachiwał nimi w powietrzu. Nie wiedzieć czemu, Cousteau i Simeon nie przejawili specjalnego entuzjazmu.

— Co się stało? — spytał zaniepokojony Thomas. — Macie ich?

— Tak, w komendzie policji.

— A sztabki?

— Też.

— No to co?

— Poza tym nie mamy nic, monsieur Hunebelle — rzekł Cousteau, cedząc słowa.

Nie spuszczał wzroku z Thomasa. Także Simeon patrzył na niego dziwnie i badawczo.

— Co to znaczy, nie macie nic więcej? Lesseps musiał mieć przy sobie majątek. Złoto, dewizy, inne walory!

— Tak by należało sądzić, nieprawdaż?

Cousteau skubał dolną wargę.

— Nie miał nic ze sobą?

— Ani grama złota, monsieur Hunebelle. Ani dolara, żadnych precjozów. Czy to nie zabawne?

— Ale... ale... na pewno gdzieś to wszystko pochował! W wagonie, albo gdzie indziej w pociągu. Na pewno zgadał się z kolejarzami. Musicie przeszukać pociąg! Wszystkich pasażerów!

— Już to zrobiliśmy. Nawet węgiel kazaliśmy zrzucić z węglarki. I nic.

— Gdzie jest teraz ten pociąg?

— Pojechał dalej, nie mogliśmy trzymać go tu dłużej.

Simeon i Cousteau zauważyli, że Thomas nagle zaczął się dziwnie uśmiechać, wyraz nienawistnej zaciekłości pojawił się na jego twarzy, zaczął kołysać głową i bezgłośnie poruszać wargami. Gdyby Simeon i Cousteau posiadli sztukę czytania z ust, zrozumieliby, co Thomas szeptał, mianowicie: To przekłete ścierwo!

Simeon nie posiadał tej sztuki. Wyprostował się, wypiął pierś i spytał ponuro, ironicznie i z cieniem groźby w głosie:

— No, Lieven... Domyśla się pan może, gdzie mogło się podziąć to złoto?

— Tak — odparł Thomas powoli — wydaje mi się, że wiem.

Miotany dziką, zapierającą mu dech wściekłością, Thomas Lieven walczył — z zaciśniętymi zębami i pochylony do przodu — z przejmującym, lodowatym wichrem z północnego wschodu, gdy skręcił o zmierzchu 7 grudnia 1940 roku w Rue de Paradis w Marsylii.

To ścierwo Chantal!

Ta kanalia Bastian!

Wicher wzmagał się jeszcze. Huczał i gwizdał, jęczał i dudnił, szalał po ulicach — najwłaściwsza pogoda dla ponurego nastroju Thomasa Lievena.

Przy Rue de Paradis, obok starej giełdy, wznosił się stary, wielopiętrowy dom. W domu tym, na pierwszym piętrze, mieścił się gościnny lokal rozrywkowy o nazwie „Chez Papa”. Lokal należał do faceta, którego nazwiska nikt nie znał. Całe miasto nazywało go Olive. Olive był rumiany i tłusty jak świnie, które nielegalnie ubijał.

Ciężkie kłęby dymu kotłowały się w pomieszczeniach „Chez Papa”, połyskliwie migotało światło lamp. O tej wczesnej wieczorowej porze, goście gospodarza przy aperitifach omawiali interesy i przygotowywali się duchowo do czarnorynkowej kolacji.

Gdy Thomas Lieven wszedł do lokalu, Olive — z papierosem w kąciku ust — opierał się o ladę barku. Jego małe oczka błyszczały dobrotliwie.

— Bonsoir, monsieur — przywitał Thomasa. — Co podać? Mały pastis?

Do uszu Thomasa dotarła wieść, że Olive sam pędzi swą wódkę, i to z nieco niesamowitego produktu wyjściowego, korzysta mianowicie ze spirytusu pochodzącego z Instytutu Anatomicznego. Nie byłoby w tym nic zdrożnego — spirytus to piękna rzecz — ale podobno Olive użytkował ten, który uprzednio służył w Instytucie Anatomicznym do konserwowania ludzkich narządów. Zanim go nie skradziono. Przebąkiwano, że tutejszy „pastis” wywołał u niektórych konsumentów napady szału.

W tej sytuacji Thomas poprosił o podwójny koniak.

— Tylko prawdziwy — zastrzegł.

Podano mu go.

— Niech pan posłucha, Olive, muszę porozmawiać z Bastianem.

— Bastian? Nie znam.

— Po co ten bajer? Mieszka tu, na zapleczu pańskiego lokalu. Wiem, że można do niego dotrzeć tylko przez knajpę. Wiadomo mi też, że musi mu pan zaanonsować każdego gościa.

Olive wydał policzki, upodabniając się do chomika, jego oczy nabrały nagle podstępного wyrazu.

— Zasraniec z gliniarni, co? Spływaj, chłopcze, mam tu pod ręką tuzin koleżków, którzy, gdy tylko kiwnę palcem, wypolerują ci jadaczkę aż miło.

— Nie jestem z policji — zapewnił Thomas i pociągnął łyżeczek z kieliszka.

Po chwili wyciągnął swój złoty repetier, którego ratował z wszelkich opresji, ba, ustrzegł nawet przed kostarykańską konsulową, i z Portugalii, przez Hiszpanię, przywiózł do Marsylii. Uruchomił mechanizm.

Właściciel knajpy przyglądał mu się zdumiony.

— Skąd wiesz, że tu mieszka? — spytał w końcu.

— Od niego samego. No dalej, powiedz mu, że jego drogi przyjaciel Pierre chce z nim pogadać. A jeśli nie zechce natychmiast przyjąć swego drogiego przyjaciela, to się tu za pięć minut tak zakotłuje, że hej...

5

Bastian Fabre wyszedł naprzeciw Thomasa Lievena z rozpostartymi ramionami i promiennym uśmiechem na ustach. Stali teraz na wprost siebie w wąskim korytarzu, który łączył knajpianą kuchnię z mieszkaniem Bastiana. Swym ogromnym łapskiem huknął Thomasa po plecach, mówiąc:

— Co za radość, mój mały! Właśnie chciałem iść cię szukać!

— Zabieraj te graby, szelmo, ale już! — obruszył się Thomas rozgniewany.

W przedpokoju panował potworny bałagan. Wokół wałały się opony samochodowe, kanistry na benzynę i kartony papierosów. W następnym pomieszczeniu znajdował się wielki stół, a na nim kompletny model elektrycznej kolejki z krętymi szynami, przejściami, górami i dolinami, tunelami i wiaduktami.

— Bawisz się tu w przedszkole? — spytał Thomas szyderczo.

— To moje hobby — odparł Bastian obrażony. — Nie opieraj się, proszę, o tę kasetkę. Zepsujesz transformator... Co się tak wściekasz?

— Jeszcze pytasz? Wczoraj zniknąłeś. Przed dwoma godzinami policja aresztowała obu gestapowskich sługusów, panów Bergiera

i de Lessepsa. Pan de Lesseps opuścił Bandol ze złotem, biżuterią, cennymi monetami i dewizami, ale do Marsylii przybył bez dewiz, bez cennych monet, bez biżuterii i bez złota. Policja postawiła na głowie cały pociąg i nic nie znalazła.

— Popatrz, popatrz, coś takiego!

Bastian uśmiechnął się drwiąco i nacisnął guzik urządzenia. Jeden z pociągów ruszył i popędził w kierunku tunelu.

Thomas wyrwał wtyczkę z kontaktu. Pociąg zatrzymał się. Dwa wagony nie zdążyły schować się w tunelu.

Bastian wyprężył się jak rozwścieczony orangutan.

— Zaraz dostaniesz w dziąsła, mały! Czego właściwie chcesz?

— Chcę wiedzieć, gdzie jest Chantal. Chcę wiedzieć, gdzie jest złoto!

— Tu obok, oczywiście. W mojej sypialni.

— Gdzie?

Thomas zakrztusił się.

— A cóżes myślał, człowieku? Że zwieje tym pociągiem? Chciała tylko urządzić to trochę ładniej, ze świecami i tak dalej, żeby ci sprawić szczególną radość. Czy jesteś już gotowa, Chantal? — zawołał w końcu donośnym głosem.

Drzwi otworzyły się, a w nich stanęła Chantal, piękniejsza niż zwykle. Miała na sobie obcisłe spodnie z zielonej, surowej skóry, białą bluzkę i czarny pasek. Jej drapieżne zęby połyskiwały w promiennym uśmiechu.

— Dobry, mój miły! — powiedziała i chwyciła Thomasa za rękę. — Chodź. Teraz chłopczyk dostanie prezent!

Thomas podążył za nią bezwolnie do pokoju obok. Płonęło tu pięć ogarków świec, które Chantal umocowała na podstawkach. Ich subtelne światło rozjaśniało staroświecką sypialnię z potężnym, dwuosobowym łóżem.

Gdy Thomas przyjrzał się dokładniej temu legowisku, z trudem przełknął ślinę przez ściśnięte gardło, gdyż łóżko nie było puste. Leżały na nim dwa tuziny sztab złota, niezliczone monety i pierścienie, łańcuszki, bransolety, nowoczesne i antyczne, prastary, wysadzany kamieniami krucyfiks obok małej ikony w złotej koszulce i plików banknotów dolarowych i funtowych.

Thomas Lieven odniósł wrażenie, że ma nogi jak z galarety. W ataku słabości opadł na stary bujany fotel, który natychmiast rozhuśtał się potężnie pod jego ciężarem.

Bastian podszedł do Chantal, zacierając ręce, szturchnął swą szefową w bok i zarechotał z radości:

— Udało się! Spójrz na niego! Chłopczyk zbladł jak ściana!

— Piękny dzień... dla nas wszystkich — rzekła Chantal.

W swym oszołomieniu Thomas postrzegał obie twarze jak białe piłki tańczące na wzburzonej wodzie. Wparł się nogami w podłogę. Fotel zatrzymał się. Teraz widział wyraźnie twarze Chantal i Bastiana — dwie błogie, dziecięce twarzyczki, szczere, oddane, naturalne.

— A więc, miałem rację — wystękał. — To wasza sprawka.

Bastian zarżał i walnął się w brzuch.

— Zrobiliśmy to dla ciebie i dla siebie! W ten sposób mamy zimę z głowy! Chłopcze, chłopcze, tak się obłowić, to jakby dostać bank w prezencie!

Chantal pośpieszyła do Thomasa i obsypała go potokiem krótkich, acz gorących pocałunków.

— Ach — zawołała — gdybyś wiedział, jak słodko teraz wyglądasz! Mogłabym cię... Chyba oszalałam na twoim punkcie!

Usiadła mu na kolanach, fotel znów zaczął się kołysać, a Thomasa ogarnęła nowa fala słabości.

Jak przez morze waty dochodził do jego uszu głos Chantal:

— Powiedziałam chłopcom: Ten numer musimy wykręcić sami, mój miły jest na to zbyt moralny, ma za dużo skrupułów! Nie obciążajmy go tym. Jak trzepniemy przed nim łupy, będzie się cieszył razem z nami.

— Jak zdołaliście te łupy... hm... jak to coś zdobyliście? — badał teren, kręcąc głową, ciągle jeszcze słaby Thomas.

Bastian zdał relację z wydarzeń:

— Jak byłem z tobą wczoraj u tego peda... u tego Bergiera, wysypał przecież, że jego kumpel Lesseps tkwi tam, na południu, w Bandol, z ogromnym ciężarem na spracowanych barkach. Tak więc my nic, tylko z trzema kumplami wyskoczyliśmy do tego Bandol! Mam tam przyjaciół, kapujesz? Dostają cynk, że Lesseps coś nawija z kolejarzami. Boi się kontroli. Chce zagrzebać towar pod węglem lokomotywy, która go zaciągnie do Paryża. W węglarce, kapujesz?

Bastian usiłował opanować napad chrypliwego śmiechu.

— Pozwoliliśmy mu działać w spokoju — kontynuował po chwili — a potem załatwiliśmy mu cacy panienkę na wieczór. Tego koguta, dzięki Bogu, łatwiej obsłużyć niż jego przyjaciela Bergiera. No i dzierlatka — zgodnie z zaleceniem — zabalowała z nim porządnie. Tak porządnie, że jeszcze następnego poranka przytargał się do pociągu spity i na miękkich kolanach!

— O, żesz ty — wydobyla z siebie Chantal i przejechała swymi namiętymi, czerwonymi pazurami po czuprynie Thomasa Lievena.

— Pozazdrościć, pozazdrościć — skomentował Bastian tę scenę ze smutkiem w głosie, ale natychmiast się opanował. — No więc, podczas gdy pan Lesseps udzielał się gdzie indziej, pobawiliśmy się troszkę kolejką. Już mówiłem, że to mój konik. Na dworcach aż roi się od węglarek, a jedna podobna do drugiej jak dwie krople wody.

— To Lesseps nie kazał pilnować swojej węglarki?

— Kazał. Dwóch kolejarzy przy niej warowało.

Bastian podniósł do góry rozpostarte ręce, by opuścić je po chwili.

— Dał każdemu z nich po sztabce złota, więc my dodaliśmy im po dwie, przecież mieliśmy ich w bród. Tym sposobem złupiliśmy mu łup...

— Potęga złota... — oznajmiła Chantal i ugryzła Thomasa w koniuszek ucha.

— Chantal!

— Słucham, najmiłszy!

— Wstań na chwilę — poprosił Thomas.

Dziewczyna podniosła się zmieszana i podeszła do Bastiana, który objął ją ramieniem. I tak oto stali przed nim bez ruchu, dopiero co dwoje wesołych, teraz przestraszonych dzieciaków. A sztabki błyszczały, monety lśniły, połyskiwały pierścienie, łańcuszki, kamienie.

Thomas wstał.

— Mój Boże, jakże żałuję — rzekł w bezmiernym smutku — że znącąc waszą radość i zniweczę niespodziankę, ale oczywiście nie mogę na to przystać.

— Na co oczywiście przystać? — spytał Bastian.

Jego głos był bezbarwny i suchy.

— Nie wolno nam zatrzymać tej zdobyczy. Musimy wydać ją Cousteau i Simeonowi.

— O... o... oszalał.

Bastianowi opadła szczeka. Spojrzał na Chantal jak bezradny bernardyn.

— On po prostu zwariował!

6

Chantal zamarła w bezruchu, jakby zamieniła się w słup soli. Tylko jej lewe nozdrze drgało niespokojnie...

— Właśnie wracam od Simeona i Cousteau — powiedział Thomas spokojnie. — Zawarłem z nimi jednoznaczny układ. Oni dostaną

wykazy szpicli i kolaborantów, poza tym wszystko, co Bergier i Lesseps zrabowali, złupili i wymusili szantażem. My przejmujemy zawartość kufrów, które wynieśliśmy z sypialni Bergiera. W końcu jest tego prawie 68 milionów.

— 68 milionów franków — wrzasnął Bastian i załamał ręce. — Franków, franków! A przecież wartość franków spada z dnia na dzień!

— I za tę śmieszłą sumę chcesz oddać to wszystko?

Chantal wskazała ręką na łóżko. Mówiła cichutko, prawie szeptem. — Przecież tu leży przynajmniej 150 milionów, idioto!

Thomas wpadł we wściekłość.

— To francuski majątek. Walory, które należą do Francji, bo Francji zostały zagrabione. Forsa w kufrach jest forszą gestapo, tę możemy spokojnie zatrzymać, ale to tutaj, biżuteria, krucyfiks, pieniądze z Banku Państwowego... Boże na wysokościach, czy to ja, Szwab, muszę wam przypominać o waszych patriotycznych obowiązkach?

— To nasz łup — zachrypiął Bastian. — Myśmy go zdobyli. Gestapo nie doczeka się go do usranej śmierci. Wydaje mi się, że to wystarczająca zasługa dla ojczyzny!

Bastian i Thomas spierali się dalej, coraz bardziej się przy tym podniecając, natomiast Chantal stawała się coraz bardziej spokojna, niebezpiecznie spokojna.

Stała z rękami na biodrach, wciskając kciuki pod skórzany pasek, lewym butem stukając o podłogę, a lewe nozdrze jej drgało.

— Nie denerwuj się — wpadła Bastianowi w słowo, ledwie dosłyszalnym głosem. — To twoje mieszkanie. Ten mały idiota najpierw musi stąd wyjść... a Cousteau i Simeon wejść.

Thomas wzruszył ramionami i podszedł do drzwi. Bastian jednym susem był przy nim. W ręku trzymał ciężki rewolwer.

— Dokąd?

— Na zewnątrz, do knajpy. Muszę zadzwonić.

— Jeszcze krok, a cię ustrzelę.

Bastian oddychał chrapliwie. Dał się słyszeć szcęk odbezpieczanej broni.

Thomas postąpił dwa kroki do przodu. Lufa rewolweru dotknęła jego piersi. Zrobił jeszcze dwa kroki.

— Mały, bądź rozsądny — jęknął Bastian i cofnął się dwa kroki. — Ja... ja naprawdę cię zabiję...

— Pozwól mi wyjść, Bastianie.

Thomas postąpił jeszcze krok do przodu, przypierając Bastiana do drzwi. Sięgnął do klamki.

— Poczekajże! — zaskrzeczał Bastian. — Co te świnię zrobią

z takim dobrem? Roztrwonią, zmarnują, przeputają. Policja — państwo — służby specjalne — ojczyzna... Co się krzywisz? Przecież to łajdak przy łajdaku!

Thomas nacisnął klamkę, za Bastianem drzwi otworzyły się z impetem. Olbrzym zrobił się blady jak śmierć. Wlepił wzrok w Chantal, jęcząc:

— Chantal, zróbże coś... pomóż mi... Ja... przecież nie mogę go zabić...

Thomas usłyszał jakiś szmer. Odwrócił się. Chantal opadła na brzeg łóżka. Swymi małymi piąstkami zaczęła okładać sztabki, krucyfiks, monety.

— Puść go, idiotę — jej głos był piskliwy, załamujący się — puść go.

Łzy spływały po jej pięknej, kociej twarzy, płakała w rozpacz. Łkając, spojrzała na Thomasa.

— Idź już... Zawołaj Simeona... Niech sobie wszystko zabierze... Och, ty łajdaku, obym cię nigdy nie spotkała... a tak się cieszyłam...

— Chantal!

— Chciałam skończyć z tym wszystkim, wyjechać gdzieś z tobą... gdzieś daleko, do Szwajcarii. Myślałam tylko o tobie... A teraz...

— Chantal, kochanie...

— Nie nazywaj mnie kochaniem, szubrawcu! — krzyknęła, po czym opadła bezsilnie na łóżko.

Jej czoło z chrzęstem uderzyło o stos monet. Zamarła bez ruchu. Płakała i płakała, jakby nigdy już nie miała przestać.

7

— Niech się panowie rozbiorą — nakazał dokładnie w tym samym czasie urodziwy, młody strażnik więzienny Louis Dupont.

Działo się to w izbie przyjęć aresztu policyjnego prefektury w Marsylii. Właśnie dostarczono tu dwóch zatrzymanych — rumianego, zadbanego i wyperfumowanego Jaquesa Bergiera i młodszego od niego, chudego Paula de Lessepsa.

— Co mamy zrobić? — spytał rozsierdzony Lesseps.

Jej zimne rekinie oczy zamieniły się w szparki, zamiast warg miał teraz dwie bezkrwiste kreski.

— Proszę się rozebrać — rzekł Dupont. — Muszę sprawdzić, co macie przy sobie. I ewentualnie w sobie.

— Jak pan sądzi, co też możemy mieć, młody przyjacielu? — zachichotał Bergier.

Postąpił do przodu i rozpiął kamizelkę.

— Niech pan się nie krępuje, niech pan sprawdzi, czy nie mam przy sobie broni!

Zdjął krawat i rozpiął koszulę. Dupont pomógł mu ją zdjąć.

— Dajże spokój, młody przyjacielu, jestem taki łaskotliwy!

— Tego już za wiele! — obruszył się Lesseps.

— Jaki pan niedobry!

Dupont odwrócił się.

— Starczy tego cyrku. Niech pan wezwie naczelnika więzienia.

Natychmiast!

— Mój panie, tym tonem...

Głos Paula de Lessepsa zamienił się w szept:

— Niech się pan zamknie! Umie pan czytać? To czytaj pan!

Podał młodemu funkcjonariuszowi jakąś legitymację. Był to dokument wystawiony w języku niemieckim i francuskim, który stwierdzał, że pan Paul de Lesseps działa na zlecenie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

— Ach, przy okazji — włączył się Bergier i afektowanym ruchem dobył z tylnej kieszeni w spodniach malowany, pachnący juchtem portfel, z którego także wyciągnął jakiś papier. Oba dokumenty były wystawione przez niejakiego Waltera Eichera, sturmbannführera ze Służby Bezpieczeństwa w Paryżu.

— Proszę niezwłocznie powiadomić pana sturmbannführera o naszym aresztowaniu — rzekł Lesseps wyniośle. — Jeśli nie uczyni pan tego natychmiast, będzie pan mógł mieć pretensje tylko do samego siebie.

— Ja... porozumiem się z mym przełożonym — wyjąkał Louis Dupont.

Od czasu, gdy ujrzał papier, ci dwaj faceci jeszcze bardziej przejmowali go wstrętem. Marsylia leżała w nieokupowanej części Francji. Ale mimo to... Służba Bezpieczeństwa... gestapo... Dupont nie chciał sobie napytać biedy. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

8

— 7 grud. 1940 — godz. 17.39 — dalekop. prefektura marsylia do policji kryminalnej paryż — dziś godz. 15.30 zatrzymani na dworcu saint charles 1) paul de lesseps 2) jaques bergier — przemyt złota

i dewiz — 1) legitymuje się niemieckim dowodem służby bezpieczeństwa nr 456832 seria czerwona i 2) dowodem niemieckiej służby bezpieczeństwa nr 11165 seria niebieska — oba wystawione przez sturmbannführera sd waltera eichera — proszę o natychmiastowe sprawdzenie czy zatrzymani rzeczywiście pracują na zlecenie służby bezpieczeństwa — koniec — koniec.

9

— De Lesseps? Bergier?

Sturmbannführer Walter Eicher rozparł się w swym fotelu przy biurku. Jego twarz nabiegła szkarłatem.

— Tak jest, znam ich obu! — wrzasnął z wściekłością do słuchawki, którą trzymał przy uchu. — Tak jest, pracują dla nas! Niech pan nada do Marsylii, żeby ich przetrzymali. Przyjdziemy i sami ich odbierzemy.

Francuski policjant z drugiej strony kabla podziękował uprzejmie za informację.

— Nie ma za co. Heil Hitler!

Eicher cisnął słuchawkę na widelki i wrzasnął:

— Winter!

Z pokoju obok wbiegł adiutant. Panowie oddawali się swemu makabrycznemu zajęciu na czwartym piętrze okazałej willi przy Avenue Foch w Paryżu.

— Sturmbannführer? — zacharczał człowiek nazwiskiem Winter.

— De Lesseps i ta stara ciota, Bergier, mieli wpadkę w Marsylii — parsknął człowiek nazwiskiem Eicher.

— Na miłość boską, jakim cudem?

— Jeszcze nie wiem. Szału można dostać! Czy my tu pracujemy wyłącznie z idiotami? Niech pan sobie pomyśli, co będzie, jak Canaris się o tym dowie! Ale miałyby ucztę! To woda na jego młyn. Służba Bezpieczeństwa wykupuje nieokupowaną część Francji.

Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy i organizacja wywiadowcza admirała Canarisa nienawidziły się nawzajem jak zły pies złego kota. Obawy sturmbannführera Eichera nie były bezpodstawne.

— Niech sprawdzą czarnego mercedesa, Winter — warknął. — Jedziemy do Marsylii.

— Jeszcze dziś?

— Za godzinę, człowieku. Jutro rano musimy być na miejscu, żeby wyciągnąć tych dwóch idiotów, zanim zaczną sypać.

— Tak jest, sturmbannführer! — wrzasnął Winter.

Zatrzasnął drzwi za sobą. Zawsze ten sam syf. Zastrany zawód. Znow muszę odpuścić milutką Zouzou. Dwanaście godzin ze starym w aucie. Noc z głowy. Wyc można.

Dwadzieścia cztery godziny później na zapleczu kawiarni „Bruleur de Loup” Chantal prowadziła robocze zebranie swej bandy, które przebiegało — oględnie mówiąc — w bardzo burzliwej atmosferze.

Francuscy pokątni handlarze i hiszpańscy fałszerze paszportów, łatwe dziewczyny z Korsyki, spiskowcy i mordercy z Maroka, którzy załatwiali swe ciemne interesy w ogólnodostępnej części lokalu, spoglądali nieustannie na drzwi w tle, na których bujała się tabliczka z napisem: IMPREZA ZAMKNIĘTA.

Głośna była ta zamknięta impreza! W końcu drzwi się rozwarły i goście kawiarni (per saldo 500 lat więzienia, lekko licząc) ujrzeli dobrze im wszystkim znanego Bastiana, który udał się w stronę kabiny telefonicznej przy kontuarze. Sprawiał wrażenie wzburzonego.

Bastian wytarł sobie pot z czoła, zaciągnął się nerwowo czarnym cygarem i wykręcił numer restauracji „Chez Papa”. Telefon odebrał właściciel, Olive.

— Tu Bastian — powiedział pośpiesznie. — Czy jest u ciebie ten człowiek, który odwiedził mnie wczoraj po południu?

Uprzednio poprosił Thomasa, by w „Chez Papa” poczekał na wynik narady.

— Tak, jest tu — zabrzmiał stłumiony głos Olive. — Gra z moimi stałymi gośćmi w pokera przy ich stoliku. Ogrywa ich jak chce.

— Przywołaj go do aparatu.

Bastian zaciągnął się głęboko cygarem i uchylił drzwi kabiny, by wypuścić kłęb dymu. Ten cholerny Pierre... on po prostu nie zasługuje, by się o niego kłopotać.

Przed dwudziestoma czterema godzinami facet wezwał tych palantów z wywiadu i cały piękny łup diabli wzięli. Dzięki Bogu, nie cały, pomyślał Bastian. Podczas gdy Thomas dzwonił po agentów, ukryli szybko z Chantal nieco precjozów i pokazną ilość złotych monet... Ale co to było w porównaniu z wartą miliony resztą? Lepiej o tym nie myśleć.

— Cześć, Bastianie! No, mój stary, jak sprawy stoją?

Bastian słuchał z goryczą, jaką obojętnością emanował głos tego nie wartego funta kłaków faceta.

— Pierre — powiedział — jestem twoim przyjacielem... mimo wszystko. Dlatego radzę ci, znikaj stąd. I to natychmiast. Nie trać ani chwili.

— Spokojnie. A to niby dlaczego?

— Tu na zebraniu wszystko się popieprzyło. Chantal zgłosiła swoją dymisję.

— Na litość boską!

— Płakała...

— Ach, Bastianie, gdybyś wiedział, jak boleśnie mnie to wszystko dotyka...

— Nie przerywaj mi, wale. Powiedziała, że cię kocha... że cię rozumie... Pod jej presją większa część członków bandy zmiękła...

— O, l'amour! Vive la France!

— ... ale nie wszyscy. Część z nich opowiedziała się po stronie kulawego Francois'a. Znasz go przecież, nazywamy go Kopyto...

Thomas go nie znał, ale słyszał o nim. Kopyto był najstarszym członkiem bandy. Swoją ksywę zawdzięczał po równej części swej chromawej nodze, gwałtowności i metodom zdobywania serc niewieścich.

— Kopyto jest za tym, żeby cię sprzątnąć...

— Uroczy facet...

— ... nie ma nic przeciwko tobie, tak mówi, ale wywierasz zgubny wpływ na Chantal. Rozmiękczasz ją...

— Coś podobnego!

— ... oznaczasz zagrożenie dla naszej bandy. By chronić Chantal, twierdzi, trzeba cię załatwić... Pierre, spadaj stąd! Zwiewaj póki czas!

— Wręcz przeciwnie.

— Co wręcz przeciwnie?

— Posłuchaj uważnie — rzekł Thomas Lieven.

Bastian spełnił jego prośbę. Zrazu potrząsał zdecydowanie głową, potem słuchał z powątpiewaniem, by w końcu dać się przekonać.

— No dobrze — burknął — jeśli czujesz się na siłach. A zatem za dwie godziny. Ale wszystko na twoją odpowiedzialność!

Odwiślał słuchawkę i wrócił na gęste od dymu zaplecze, gdzie kulawy Francois, zwany Kopytem, właśnie żarliwie opowiadał się za tym, by tego Jeana Leblanca, Pierre'a Hunebelle'a, czy jak on się tam zwie, wyekspediować na tamten świat.

— ... w naszym wspólnym interesie — zakończył właśnie, wbijając w blat stołu ostrze niezwykle cienkiego i niezwykle ostrego sprężynowca.

— Gdzieś był? — ofuknął Bastiana.

— Dzwoniłem do Pierre'a — odparł tenże, jakby nigdy nic. — Zaprasza nas wszystkich na kolację. Za dwie godziny. W moim mieszkaniu. Sądzi, że moglibyśmy tam wszystko w spokoju omówić.

Chantal krzyknęła pierwsza, po chwili wszyscy zaczęli się przekrzykiwać.

— Spokój! — wrzasnął kulawy Francois.

Zaległa cisza.

— Odważny facet — stwierdził Francois z uznaniem, po czym uśmiechnął się złowieszczo. — Dobra, kamraci, no to idziemy...

10

— Witam was, panowie — rzekł Thomas Lieven.

Ucałował dłoń bladej, znajdującej się u kresu wytrzymałości, nerwowej przywódczyni bandy.

Piętnastu łotrzyków tłoczyło się w mieszkaniu Bastiana. Część z nich szczyrzyła się w uśmiechu, inni sprawiali wrażenie zawziętych i groźnych. Czekał tu na nich świątecznie zastawiony stół. Thomas wyczarował go przy pomocy Olive — na wielkim kolejowym stole Bastiana. Usunął góry i doliny, wiadukty, rzeki i dworce, pozostawiając wszakże jedną nitkę szyn, która biegła po białym obrusie od jednego końca stołu do drugiego pośród kieliszków, talerzy i sztuców.

— Jakże się cieszę — mówił Thomas, zacierając ręce. — Czy mógłbym prosić państwa o zajęcie miejsc? Chantal naprzeciw szczytu stołu, ja muszę z pewnych względów siedzieć na drugim jego końcu. Proszę, panowie, czujcie się jak u siebie w domu. Niech panowie jeszcze na chwileczkę przesuną swoje mordercze zapędy.

Ciągle jeszcze nieufni mężczyźni usiedli, szepcząc między sobą i burcząc coś pod nosem. Przed miejscem Chantal stał wazon z czerwonymi, cieplarnianymi różami. Thomas pomyślał o wszystkim...

Olive i jego dwóch kelnerów podali pierwsze danie — zupę serową. Thomas przyrządził ją w kuchni „Chez Papa”. Także zastawa stołowa i sztucce pochodziły z knajpy.

— Życzę smacznego — powiedział Thomas.

Siedział u szczytu stołu. Wokół niego piętrzyły się jakieś tajemnicze przedmioty, ukryte pod serwetkami przed ciekawymi spojrzeniami gości. Pod tymi pagórkami z serwetek zniknęła nitka szyn.

Menu, 8 grudnia 1940

Zupa z sera

Ragout z królików z szerokim makaronem

Paszтет-niespodzianka z sosem pieczarkowym

To groteskowe menu ratuje życie Thomasa Lievena.

Zupa z sera: sporo tartego parmezanu moczymy w mleku i rozbełtujemy. Następnie ostrożnie (bo się łatwo ścina) wlewamy namoczony ser do gotującego się rosółu. Zestawiamy zupę z ognia i zaciągamy żółtkiem.

Ragout z królika: dużego, młodego, starannie oczyszczonego królika dzielimy na średniej wielkości porcje. W brytfannie rozpuszczamy 125 g pokrojonej w kostkę słoninki, po czym wkładamy i opiekamy ze wszystkich stron mięso. Dodajemy wątróbkę, szalotki i drobno pokrojoną cebulę oraz rozdużony ząbek czosnku. Gdy mięso zbrązowieje, posypujemy je delikatnie mąką i dokładnie mieszając dodajemy stopniowo 1/2 l wody lub rosółu. Przyprawiamy solą, pieprzem, ziołami, jałowcem, odrobiną startej skórki cytrynowej, a na końcu podlewamy ćwiartką czerwonego wina. Całość powinna ciągnąć na małym ogniu, dopóki mięso nie będzie miękkie. Dodajemy resztę wina i dusimy potrawę jeszcze parę minut. Do ragout podajemy szeroki makaron, który gotujemy w osolonej wodzie, a po odcedzeniu podgrzewamy na maśle.

Paszтет-niespodzianka: w zależności od ilości osób, bierzemy odpowiednio duże kawałki polędwicy cielęcej, wieprzowej i wołowej. Winny być mniej więcej długości połowy średnicy dużej tortownicy. Oczyszczamy mięso dokładnie z błony i opiekamy lekko ze wszystkich stron, po czym solimy i pieprzymy. W tortownicy z przygotowanym ciastem francuskim układamy wystygłe mięsa w ten sposób, by ich węższe końce skierowane były do środka. Ułożenie mięs winno być takie, by jego każdy rodzaj zajmował mniej więcej 1/3 powierzchni tortownicy. Na brzegu tortownicy zaznaczamy, w którym miejscu znajdują się poszczególne rodzaje mięsa. To samo oznaczamy na przygotowanym z francuskiego ciasta wierzchu, którym pokrywamy mięso. W zaznaczonych miejscach kładziemy ozdobny ślad na cieście. W ten sposób paszтет podzielony jest w widoczny sposób na trzy części, a my dekorujemy dalej układając na każdej części wycięte formą: cielę, świnkę, krowę, tak aby ozdoby odpowiadały gatunkowi mięsa nad jakimi się znajdują. Paszтет smarujemy żółtkiem i pieczemy w średniej temperaturze aż do uzyskania pięknego złocistego koloru. Do pasztetu podajemy sos z pieczarek, który przygotowujemy w następujący sposób: parę drobno pokrojonych szalotek podduszamy na maśle, następnie dodajemy pokrojone w plasterki pieczarki. Posypujemy mąką, dobrze mieszamy i zalewamy rosółem. Ciągniemy tę masę na małym ogniu aż do miękkości grzybów, dodajemy śmietany, soli i pieprzu oraz odrobinę soku cytrynowego. Zaciągamy żółtkiem. Można również dodać nieco białego wina.

Panowie w milczeniu spożywali zupę. Bądź co bądź, byli Francuzami i umieli docenić smakowite jedzenie.

Chantal ani na sekundę nie spuszczała Thomasa z oczu. W jej oczach odbijała się cała skala uczuć. Kopyto jadł ze spuszczoną głową, zły i milczący.

Następnym daniem było ragout z królika, po którym Olive i jego kelnerzy z trudem przydźwigali potrawę, przypominającą wyglądem olbrzymi, niebywałych rozmiarów tort i postawili go na osobnym stoliku obok Thomasa Lievena.

Teraz Thomas sięgnął po ogromny nóż. Ostrząc go, mówił:

— Moi panowie! Pozwolę sobie teraz podać panom pewną nowość, własny wynalazek, że tak powiem. Zdaję sobie sprawę z tego, że macie panowie różne temperamenty. Jedni z was są łagodni i chcą mi przebaczyć, inni to cholerycy gotowi mnie zarżnąć.

Uniósł rękę w obronnym geście.

— Proszę bardzo, wasza sprawa. Sprawa gustu. Na temat smaku nie można się kłócić. Ale właśnie dlatego pozwoliłem sobie przyrządzić potrawę, która zadowoli każdy smak.

Wskazał na tort.

— Voila! Pasztet-niespodzianka!

— Kochanie — zwrócił się do Chantal — wolisz polędwicę wołową, wieprzową czy cielęcą?

— Cie... cielęcą — zachrypiała Chantal, po czym odchrząknęła i powtórzyła mocnym, wyraźnym głosem: — Polędwicę cielęcą!

— Proszę bardzo, już służę!

Thomas obrzucił tort badawczym spojrzeniem, obrócił go nieco i ze znanego sobie miejsca wykroił piękny plaster polędwicy cielęcej, zapiekanej w pasztetowym cieście, który położył następnie na talerzu przed sobą.

Zaraz potem usunął serwetki, wydając na pastwę zaintrygowanych spojrzeń przedmioty obok siebie. Były to zabawki Bastiana — lokomotywa z węglarką i przyczepiony do niej wielki wagon towarowy oraz pulpit sterowniczy do obsługi elektrycznej kolejki. Thomas postawił talerz z polędwicą na wagon towarowy i włączył prąd. Lokomotywa ruszyła z terkotem, ciągnąc za sobą węglarkę i talerz przez cały stół przed rozdziawionymi gębami członków bandy. Transport zatrzymał się przed Chantal, która przyjęła ładunek. Kilku mężczyzn zaśmiało się w osłupieniu, ktoś zaczął klaskać.

Thomas sprowadził lokomotywę z pustym wagonem z powrotem do siebie i spytał obojętnym tonem:

— Czy go życzy sobie pan po lewej stronie Chantal?

— Wieprzowiny! — wrzasnął rzezimieszek z czarną opaską na oku, wykrzywiając usta w szerokim uśmiechu.

— Wieprzowina, bardzo proszę — powiedział Thomas.

Znów spojrzął z uwagą na ogromny pasztet, obrócił go i z innej jego części wykroił porcję polędwicy wieprzowej, wysyłając go — jak uprzednio — w podróż po stole.

Mężczyźni ożywili się. Pomysł ich rozbawił. Zaczęli mówić wszyscy naraz.

— Dla mnie wołowina — krzyknął któryś.

— Uprzejmie proszę — rzekł Thomas i obsłużył go.

Tym razem klaskało już kilku gości.

Thomas spojrzął na Chantal, mrugając do niej porozumiewawczo. Uśmiechnęła się mimo woli. Biesiadnicy stawali się coraz głośniejsi, atmosfera wyraźnie się rozluźniła. Mężczyźni zamawiali jeden przez drugiego, a mała lokomotywa niestrudzenie wędrowała po stole.

W końcu już tylko Francois, Kopyto, siedział przed pustym talerzem.

— A pan, monsieur? — zwrócił się do niego Thomas, ostrząc ponownie nóż do mięs.

Francois patrzył na niego długo w zadumie, po czym podniósł się powoli i sięgnął do kieszeni. Chantal krzyknęła, a Bastian dyskretnie wyciągnął pistolet, gdy spostrzegł, że w rękę Kopyta pojawił się nagle jego budzący powszechną grozę sprężynowiec. Ostrze wyskoczyło z błyskiem. Kopyto zrobił chwiejny krok w stronę Thomasa. Jeszcze jeden. I jeszcze jeden. Stał tuż przed nim. Zapadła śmiertelna cisza. Francois patrzył w oczy stojącego nieruchomo Thomasa Lievena przez dziesięć sekund. Tyle czasu potrzeba, by policzyć od jednego do dziesięciu. Potem nagle się roześmiał i rzekł:

— Niech pan weźmie mój nóż, jest ostrzejszy. I niech mi pan da wieprzowiny, nędzny psie!

11

8 grudnia 1940 roku w Marsylii zjawili się — oczywiście w cywilu — sturmbannführer Eicher i jego adiutant Winter, żądając wydania panów de Lessepsa i Bergiera, których niezwłocznie przewieźli do Paryża. Dopiero tu „kupcy” zostali poddani gruntownemu przesłuchaniu.

10 grudnia 1940 roku Służba Bezpieczeństwa w Paryżu nadała do wszystkich swych placówek meldunek o poszukiwaniu niebezpiecznego przestępcy.

13 grudnia, w jednym z pokoi byłego hotelu „Lutetia”, zamienionego obecnie na placówkę niemieckiego wywiadu, kapitan Brenner z Wydziału III czytał list gończy konkurencyjnej niemieckiej firmy — SD. Zrazu przeczytał go pobieżnie, zdumiał się niepomiernie i przeczytał powtórnie, tym razem uważniej.

Poszukiwano niejakiego Pierre’a Hunebelle’a. Powód określono nieprecyzyjnie jako „wydanie w ręce władz francuskich funkcjonariuszy SD”.

Kapitan Brenner jeszcze raz przeczytał meldunek: Pierre Hunebelle. Pociągła twarz. Ciemne oczy. Czarne, krótkie włosy. Mniej więcej 1,75 wzrostu. Szczupły. Właściciel złotego repetiera, którym często się zabawia. Znaki szczególne — zamiłowanie do gotowania...

Hm.

Zamiłowanie do kuchni.

Hm!!!

Kapitan Brenner potarł czoło. Coś mi to... Gdzieś już... Kiedyś jakiś generał został wykiwany przez faceta, który lubił gotować. Było to chyba w czasie zajmowania Paryża. Nawet założono teczkę w tej sprawie... Teczka... Teczka...

Godzinę później kapitan Brenner odnalazł w archiwum to, czego szukał. Była to cieniutka teczka, ale pamięć kapitana nie zawiodła. Czytał: Thomas Lieven, alias Jean Leblanc. Wzrost około 1,75. Pociągła twarz. Ciemne oczy. Ciemne włosy. Posiada staroświecki złoty repetier. Znaki szczególne: zapalony kucharz.

Kapitana Brennera ogarnęła myśliwska gorączka. Miał swoje prywatne układy z SD. Węszył przez trzy dni, w końcu dowiedział się, dlaczego sturmbannführer Eicher tak zażarcie ściga pana Hunebelle’a, alias Leblanca, alias Lievena. Z szyderym uśmiechem sporządził meldunek dla swego najwyższego zwierzchnika.

Admirał Canaris czytał raport kapitana Brennera w swym berlińskim biurze przy Tirpitz-Ufer z coraz wyraźniejszym uśmiechem na twarzy. Wesołość, w którą wpadł jego człowiek w Paryżu, udzieliła się także jemu. Popatrz, popatrz, Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy! Grabi nieokupwaną Francję! Ciekawe, co powie na to pan Himmler! A więc wystawił ich do wiatru jakiś Hunebelle, alias Leblanc, alias... Uśmiech znikł z twarzy admirała. Przeczytał powtórnie ostatni akapit. I jeszcze raz. Potem zawołał do gabinetu swoją sekretarkę.

— Droga panno Sistig — powiedział — niech mi pani przyniesie teczkę Thomasa Lievena.

Po kwadransie teczka leżała przed nim. Na jej okładce widniał duży, czarny krzyż.

Canaris otworzył teczkę i przeczytał pierwszą stronę dokumentacji...

Kolonia, 4 grudnia 1940

Nadawca: Wywiad Kolonia

Odbiorca: Szef Wywiadu Berlin

Tajne 135892/ VC/ 40/ LV

Powróciwszy z Lizbony, pozwalam sobie zameldować Panu Admirałowi najuniżeniej o śmierci podwójnego agenta i zdrajcy Thomasa Lievena, alias Jeana Leblanca...

Przez dłuższą chwilę Canaris siedział bez ruchu, potem podniósł słuchawkę. Głos admirała brzmiał bardzo cicho, bardzo łagodnie i bardzo niebezpiecznie.

— Panno Sistig, niech mnie pani połączy z naszą placówką w Kolonii. Z majorem Fritzem Loosem...

12

W tym miejscu naszej relacji uważamy za stosowne przeskoczyć kilka zupełnie nieważnych dni i opowiedzieć o pewnym wieczorze, który rozpoczął się harmonijnie i zwyczajnie, a jednak miał się okazać brzemienny w skutki. I to jakie!

Burzliwego wieczoru 28 grudnia 1940 roku, Thomas Lieven słuchał o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści wiadomości nadawanych w języku francuskim przez Radio Londyn. Thomas nastawiał co wieczór Radio Londyn. Człowiek w jego sytuacji musiał być dobrze poinformowany.

Znajdował się w sypialni Chantal. Jego urodziwa przyjaciółka leżała już w łóżku. Miała zaczesane do góry włosy i nie była wymalowana. Thomas taką właśnie lubił ją najbardziej. Siedział obok niej, a ona głaskała jego dłoń, podczas gdy oboje wsłuchiwali się w głos spikera.

„...we Francji wzmaga się coraz bardziej ruch oporu przeciw nazistom. Wczoraj po południu, na trasie Nantes — Angers w pobliżu Varades, wyleciał w powietrze niemiecki transport wojskowy. Lokomotywa i trzy wagony zostały całkowicie zniszczone. Zginęło co najmniej

dwudziestu pięciu niemieckich żołnierzy, grubo ponad setka odniosła, po części poważne, obrażenia.”

Palce Chantal ciągle jeszcze gładziły dłoń Thomasa Lievena.

„... w odwecie Niemcy kazali rozstrzelać na miejscu trzydziestu francuskich zakładników...”

Palce Chantal zamaryły w bezruchu.

„...ale walka trwa nadal, dopiero rozgorzała na dobre. Bezlitosny ruch oporu ściga i gnębi Niemców w dzień i w nocy. Jak dowiadujemy się ze sprawdzonych źródeł, resistance w Marsylii przechwyciły pokaźne ilości złota, dewiz i kosztowności, pochodzące z grabieżczych, rabunkowych akcji hitlerowców. Środki te pokryją koszty dalszej, na coraz szerszą skalę prowadzonej, walki. Zamach pod Varades nie będzie jedyną tego typu akcją...”

Thomas zbladł. Głos spikera stał się dla niego nagle nie do zniesienia. Wyłączył odbiornik. Chantal leżała cicho na wznak i wpatrywała się w niego. Nagle nie mógł znieść także jej spojrzenia.

Westchnął i wsparł głowę na dłoniach. W jego czaszce huczało: dwudziestu pięciu Niemców. Trzydziestu Francuzów. Ponad stu rannych. Dopiero początek. Walka trwa. Dzięki znacznym ilościom hitlerowskiego złota i dewiz. Zdobyłym w Marsylii... Niestety, krew, łyż. Finansowane przez kogo? Przy czyjej pomocy?

Thomas Lieven podniósł głowę. Chantal ciągle jeszcze patrzyła na niego bez ruchu.

— Mielicie rację — odezwał się cicho — Bastian i ty. Powinniśmy zatrzymać łup dla siebie. Instynkt was nie zawiódł. Oszukanie Simeona i francuskiego wywiadu byłoby znacznie mniejszym złem.

— Jak długo nasza banda działa — powiedziała Chantal równie cicho — jeszcze nigdy nikt niewinny nie postradał przez nią życia.

Thomas skinął głową.

— Wreszcie pojąłem, że muszę zmienić swą filozofię życiową. Kieruję się staroświeckimi zasadami. Mam błędne, niebezpieczne pojęcie o honorze i wierności. Chantal, czy pamiętasz jeszcze, co mi zaproponowałaś wówczas w Lizbonie?

Dziewczyna zerwała się z łóżka.

— Żebyś został mym współnikiem.

— Od tej chwili, Chantal, jestem nim. Będę okrutny i bezwzględny. Mam tego po dziurki w nosie. Siup po łup!

— Już nawet mówisz moim językiem, kochany!

Objęła go za szyję i zaczęła całować dziko i namiętnie.

Pocałunki te przypieczętowały osobliwe przymierze, niezwykłą spółkę, o której po dziś dzień mówi się w Marsylii. I to nie bez powodu,

gdyż między styczniem 1941, a sierpniem 1942 roku południe Francji nawiedziło istne trzęsienie ziemi, powódź działań kryminalnych, które prawie jak w bajce miały jedną cechę wspólną — nikt nie odczuwał współczucia z poszkodowanymi.

Pierwszą ofiarą został marsylski jubiler Marius Pissoladiere. Gdyby 14 stycznia 1941 roku w Marsylii nie padało, być może los oszczędziłby mu tragicznej straty ponad ośmiu milionów franków. Ale owego dnia — o zgrozo! — lało jak z cebra, od rana do wieczora. I tak oto fatum dokonało swego dzieła. Elegancki sklep Mariusa Pissoladiere'a położony był przy Cannabiere, głównej ulicy Marsylii. Jego właściciel, bajecznie bogaty pięćdziesięciolatek, miał skłonności do tycia i ubierał się według najnowszej mody.

W przeszłości Pissoladiere prowadził interesy z międzynarodowym towarzystwem na Riwierze, ostatnio nawiązał kontakty z inną klientką, także międzynarodową — handlował z uciekinierami ze wszystkich krajów napadniętych przez Hitlera. Kupował od nich biżuterię. Potrzebowali pieniędzy na dalszą ucieczkę. Na łapówki dla urzędników, wizy wjazdowe, fałszywe paszporty.

Jubiler stosował najprostszą z prostych metod, by zapłacić uciekinierom jak najędzniej. Targował się z nimi dniami i tygodniami, tak długo, aż, przyparci do muru, musieli przyjąć jego warunki. Jeśli chodzi o Pissoladiere'a, wojna mogła jeszcze spokojnie trwać dziesięć lat!

Pan Marius naprawdę nie miał powodów do narzekań. Interes kwitł. I wszystko zapewne dalej toczyłoby się swoim torem, gdyby 14 stycznia 1941 roku w Marsylii nie padał deszcz...

14 stycznia 1941 roku, około godziny jedenastej przed południem, próg sklepu jubilerskiego Mariusa Pissoladiere'a przekroczył mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat. Na głowie miał elegancki homburg, na sobie kosztowne futro, kamasze i spodnie w delikatne szaro-czarne prążki. W ręku — co bardzo istotne — trzymał oczywiście parasol!

Ujmująco wytworna ta pociągła, blada twarz arystokraty, przemknęło Pissoladiere'owi przez myśl. Niedbałe bogactwo. Prastary ród. Dokładnie to, co jubiler u swych klientów ukochał...

Pissoladiere był w sklepie sam. Zacierając ręce, z unizonym spojrzeniem, skłonił się przed swym klientem i życzył dobrego poranka.

Elegancki pan skwitował pozdrowienie Pissoladiere'a niedbałym ruchem głowy i powiesił parasol (z bursztynową rączką) na kancie sklepowej lady.

Gdy zaczął mówić, okazało się, że jego język ma lekkie prowincjonalne zabarwienie. Arystokraci, myślał Pissoladiere, mówią tak, by podkreślić swe społeczne przekonania. My, panowie, jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, co ty, szary człowieku. Wspaniale!

— Chciałbym kupić u pana, hm, nieco biżuterii — oznajmił klient. — Powiedziano mi w „Bristolu”, że ma pan dość duży wybór różnych tego typu wyrobów.

— Najpiękniejsza biżuteria Marsylii, monsieur. Czy ma pan jakieś konkretne życzenia?

— Myślałem o... no, może o jakiejś bransolecie z brylantami, czy czymś takim...

— Mamy, mamy... w różnych cenach. Z jakim wydatkiem się pan liczy?

— Tak między, hm, no, powiedzmy, dwa... hm... trzy miliony.

Do diaska, pomyślał Pissoladiere, dobrze się dziś zaczyna. Podszedł do wielkiej kasy pancерnej, nastawił kombinację cyfr i powiedział:

— Za taką cenę można już oczywiście nabyć bardzo piękne okazy.

Grube stalowe drzwi rozwarły się. Pissoladiere wy dobył na światło dzienne dziewięć wysadzanych brylantami bransolet i położył je na aksamitnej tacy, z którą podszedł do klienta.

Bransolety połyskiwały i płonęły wszystkimi barwami tęczy. Arystokrata długo oglądał je w milczeniu, po czym ujął jedną w swą szczupłą, starannie wypielęgnowaną dłoń. Był to szczególnie piękny egzemplarz z drogocennymi płaskimi bagietkami i dwoma dwukaratowymi kamieniami.

— Ile to... hm... kosztuje?

— Trzy miliony, monsieur.

Trzy miliony franków były warte w 1941 roku około 150 000 marek. Bransoleta stanowiła uprzednio własność żony żydowskiego bankiera z Paryża. Pissoladiere wytargował, czy raczej wymusił ją za 400 000 franków.

— Trzy miliony to za dużo — stwierdził obcy.

Pissoladiere natychmiast rozpoznał w nim wytrawnego nabywcę biżuterii. Tylko laicy akceptują bez sprzeciwu pierwszą cenę podawaną przez jubilera. Rozpoczęły się uparte targi, uporczywa wymiana argumentów za i przeciw.

Po pewnym czasie drzwi sklepu otworzyły się i do środka wkroczył kolejny gentleman. Pissoladiere podniósł wzrok. Nowy klient nie był ubrany tak zamożnie jak pierwszy, ale zawsze, zawsze... Powściągliwy. Subtelny w stroju i sposobie bycia. Płaszcz w jodełkę. Kamasze. Kapelusz. Parasol.

Pissoladiere chciał właśnie poprosić przybysza, by poczekał chwilę, gdy ten oznajmił:

— Potrzebuję nową bransoletkę do zegarka.

Wypowiedziawszy to życzenie, powiesił swój parasol, tak blisko, jak to tylko możliwe, obok parasola pana w futrze, którego to osobnika rzekomo nigdy przedtem nie widział.

W tym momencie Marius Pissoladiere był już, jak to mówią, zgubiony, zdradzony, nie do uratowania...

13

Obaj panowie, którzy przed południem 14 stycznia 1941 roku spotkali się — tak sobie obcy — w sklepie jubilerskim Pissoladiere'a, byli w rzeczywistości bardzo starymi przyjaciółmi. Tyle, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni zmienili się diametralnie — zewnątrz i wewnątrz.

Jeszcze przed dwoma tygodniami obaj mieli zwyczaj kląć jak szewce, spluć na ziemię i nosić jaskrawożółte buty i kurtki z przesadnie podbitymi ramionami. Jeszcze dwa tygodnie temu ich paznokcie były czarne ja święta ziemia, a włosy za długie. Przed połową miesiąca obaj szli przez życie jako typowi przedstawiciele tajemniczej społecznej kasty, nazywanej zazwyczaj przez porządną obywateli z dreszczem odrazy „podziemiem”.

Komu można zawdzięczać, że w tak krótkim czasie i w ramach — przynajmniej — wyczerującego przyspieszonego kursu, dwaj starzy dranie przeobrażili się w panów? No, komu?

Przychylny czytelnik już to odgadł — dzięki niejakiemu Pierre'owi Hunebelle'owi, alias Jeanowi Leblancowi, alias Thomasowi Lievenowi.

Aby obu łotrów na początek przygotować duchowo do planowanej akcji u jubilera Pissoladiere'a, Thomas Lieven dwa tygodnie wcześniej wydał przyjęcie.

Posiłek serwowano na zapleczu „Chez Papa”, słynnego, cieszącego się zasłużenie złą opinią lokalu nielegalnych ubijaczy jadalnej zwierzyny przy Rue de Paradis, tuż przy giełdzie. Obok Thomasa Lievena i jego kochanki, pięknej hersztowej bandy Chantal Tessier, zaproszono jeszcze tylko dwóch wspomnianych złoczyńców, którzy pojawili się w swej pierwotnej postaci i pod prawdziwymi nazwiskami: Fred Meyer i Paul de la Rue.

Obaj należeli do bandy od niepamiętnych czasów, ale działali poza kwaterą główną — w Tuluzie. Organizacja Chantal posiadała filie. Była to zdrowo zorganizowana firma.

Paul de la Rue, wysoki i szczupły potomek Hugonotów — z zawodu wykwalifikowany fałszerz obrazów — mówił południowofrancuskim akcentem. Mimo całego zaniedbania jego wąska czaszka miała w sobie coś arystokratycznego.

Wycudzonym zawodem Freda Meyera było kasiarstwo, natomiast z zamiłowania udzielał się też w innych specjalnościach — dokonywał włamań, kradzieży hotelowych i oszustw celnych. On również zdradzał akcent swych krajan z południa Francji.

Zacierając ręce i szczerząc się w uśmiechu, Paul i Fred zjawili się u Thomasa i Chantal. Potomek Hugonotów beknął:

— Strzelimy sobie mały pastis przed żarciem, co?

— Przed jedzeniem — odparł Thomas lodowato — nie wypiją panowie małego pastisa, lecz udadzą się na dół do fryzjera. Ogolić się. Ostrzyć włosy. Umyć szyję i ręce. W waszym obecnym stanie nie zasiada się do stołu.

— Ta gueule — warknął Fred, który — jak i Paul — nie znał jeszcze bliżej tego Pierre'a Hunebelle'a. — Pocałuj nas gdzieś, nie ty tu rządzisz.

— Zrobicie, co mówi — wysączyła Chantal przez zęby. — Pójdziecie do fryzjera. Wyglądacie jak wieprze.

Burcząc z dezaprobatą, obaj panowie opuścili pokój.

Zostawszy sam na sam z Thomasem, Chantal udowodniła, że ze względu na niego zrezygnowała z pewnych osobliwości swej garderoby, ale w swym wnętrzu pozostała sobie wierna.

— Nie chciałam wystawić cię na pośmiewisko — fuknęła na niego jak dzika kotka. — Gdybym jeszcze na ich oczach zaczęła się z tobą kłócić, diabli by wzięli cały mój autorytet. Ale to ciągle jeszcze moja banda, kapujesz?

— Przykro mi, w takim razie dajmy sobie może spokój z tym wszystkim...

— Coś ty?

— Nie jestem twoim pracownikiem. Albo jesteśmy równoprawnymi partnerami, albo zostawmy to lepiej.

Patrzyła na niego zza przymrużonych oczu. Mruknęła coś pod nosem. Po chwili huknęła go pięścią w plecy i warknęła, na poły rozgniewana, na poły rozbawiona:

— W takim razie zgoda, psie przekłęty!

I dodała szybko:

Menu, 3 stycznia 1941

Spaghetti po bolońsku
Kotlety à la Robert z frytkami
Tort Sachera

Za pomocą kultury kulinarnej Thomas Lieven „organizuje” szlachetne kamienie i platynę.

Spaghetti po bolońsku: na 1 funt spaghetti bierzemy 1/2 funta mięsa, najlepiej po trochu wołowego, wieprzowego i cielęcego. Mięso kroimy w małeńkie kosteczki. Całość podduszamy lekko z cebulą pokrojoną w cienkie plasterki na oliwie lub maśle, po czym dodajemy przygotowane mięso z roztartym ząbkiem czosnku i posiekaną włoszczyzną. Kiedy całość jest dobrze podsmażona, dodajemy pomidory bez skórek i pestek lub przecier pomidorowy i ciągniemy na małym ogniu tak długo, aż otrzymamy zawieszisty sos. W solonej wodzie gotujemy (nie do miękkości) spaghetti, po czym płuczemy je zimną wodą na sicie. Po odcedzeniu podgrzewamy spaghetti w sosie, doprawiając solą i pieprzem do smaku. Podajemy z tartym parmezanem.

Kotlety à la Robert: kotlety schabowe średniej grubości z ponacinanymi brzegami robimy i układamy nie dodając tłuszczu w bardzo gorącej brytfannie. Smażymy je po 3 minuty z każdej strony, solimy, pieprzymy i dodajemy duży kawałek masła, smażąc ponownie po 1 minucie z każdej strony. Kotlety wyjmujemy i układamy na wygrzonym półmisku. Upřednio rozbełtujemy czerwone wino, kwaśną śmietaną i 1 łyżeczkę ostrej musztardy. Wlewamy sos do gorącej brytfanny i krótko zagotowujemy. Sosem polewamy kotlety i podajemy z frytkami.

Frytki: surowe, ostrugane, pokrojone w paski ziemniaki myjemy dokładnie i obsuszamy. Wrzucamy je stopniowo do garnka z wrzącym smalcem lub oliwą. Wyjmujemy sitem lub łyżką cedzakową w chwili, gdy zaczynają się rumienić. Frytki winny obciec i wystygnąć. Tuż przed podaniem, raz jeszcze podgrzewamy mocno tłuszcz i wrzucamy doń frytki, piekąc do końca na złocisty kolor. Obsuszamy po wyjęciu na bibule, solimy i podajemy do kotletów.

Tort Sachera: ucieramy 125 g masła ze 150 g cukru, 150 g przesianej mąki, 5 żółtkami, odrobiną wanilii i 150 g roztopionej czekolady. Po dokładnym utarciu dodajemy ubitą pianę z 5 białek i wlewamy masę do tortownicy. Pieczemy 1/2 godziny w bardzo gorącym piekarniku. Polewę przygotowujemy na małym ogniu, mocno mieszając, z 90 g stopionej czekolady, 125 g cukru pudru i dwóch łyżek gorącej wody. Gotowy tort smarujemy marmoladą morelową, na nią wlewamy polewę i pozwalamy jej stwardnieć przez 1 minutę w gorącym piekarniku. Tort winien być przed podaniem dobrze schłodzony.

— Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy głupia myśl, że mam do ciebie słabość... dobre sobie... że się w tobie zabujałam, czy coś takiego! A to byś mnie rozśmieszył! Po prostu potrzebuję jeszcze jednego dobrego człowieka, to wszystko. Jasne?

— Jasne — odrzekł Thomas i mrugnął do niej.

Potem wypili bardzo stary koniak na zgodę.

Po trzech kwadransach Paul i Fred wrócili na górę. Wyglądali już bardziej cywilizowanie.

— Słuchajcie no — oświadczyła Chantal w czasie przekąski. — Kto powie coś przeciwko Pierre'owi, będzie miał ze mną do czynienia, zrozumiano?

— Co się dzieje, Chantal? Przecież ty jeszcze nigdy...

— Stul pysk! Pierre jest moim współnikiem.

— Ja cie krence, lalusz, ale cię zmogło — zauważył kasiarz.

W sekundę później dostał w pysk aż zahuczało.

— Nie wtrącaj się, palancie!

— To co, już się odezwać nie można? — pyskował Fred.

— Gównu można móc!

Chantal, mimo swej przekory, nauczyła się już od Thomasa tego i owego.

— Żryj jak człowiek, wieprzu! Musisz tak mlaskać? Ten facet kroci nożem spaghetti!

— Kiedy mi to ciągle spada z tego cholernego widelca!

— Pozwoli pan, udzielę mu pewnej rady — przemówił Thomas przyjaźnie. — Jeśli nie udaje się panu okręcić spaghetti wokół widelca, niech pan najpierw wbije na niego spory kęs, chwyci lewą ręką łyżkę i przycisnie zęby widelca do jej wewnętrznej strony.

Thomas zademonstrował.

— Teraz niech pan okręci widelec. Widzi pan, jakie to proste?

Fred powtórzył operację. Zadziałało.

— Panowie — ciągnął Thomas — w istocie będziemy musieli obszernie porozmawiać o dobrych manierach. Dobre maniery to alfa i omega każdego porządnego oszustwa. Widzieliście już panowie kiedyś bankiera o złych manierach?

Bankiera! Dobry Boże, nawet nie powinien o tym myśleć. Mój bank w Londynie. Mój klub. Mój piękny dom. Było, nie ma. Przemięło z wiatrem...

— Tak jest, dobre maniery — rzekła Chantal władczo. — Tu w ogóle wieją teraz inne wiatry, kapujecie? Mój współnik i ja omówili-

my to wszystko dokładnie. Capniemy łup... to znaczy, nasze akcje będą teraz skierowane przeciw całkiem określonym osobom...

— Całkiem określonym...?

— Tak. Będziemy łupić tylko świnie, które na to zasługują. Nazistów, kolaborantów, tajnych agentów wszelkich wywiadów... Jako pierwszego weźmiemy na tapetę tego Pissoladiere'a... — zaczęła Chantal, ale przerwała nagle, bo Olive, gruby właściciel lokalu, osobiście wniósł danie główne.

Olive polubił Thomasa za jego umiejętności kulinarne.

— Frytki oczywiście dwukrotnie rzucone na olej, monsieur Pierre — oznajmił z promiennym uśmiechem.

— Niczego innego się po panu nie spodziewałem — rzekł Thomas serdecznie.

Wielki Boże, coraz bardziej podoba mi się to podziemie. Przerazające! Co pocznę, jeśli to się już nie zmieni...

Thomas wyłożył kotlety na talerze i natychmiast zmarszczył brwi.

— Monsieur de la Rue, używa pan przecież widelca do tortu!

— Kto by się połapał w tym całym diabelskim kramie!

— Jeśli chodzi o sztucce, panowie — ciągnął Thomas — to używa się ich zawsze od zewnątrz do wewnątrz, gdy leżą na stole w określonym porządku. Sztucce potrzebne do ostatniego dania leżą tuż przy talerzu.

— Chciałabym zobaczyć tę zaszczurzoną norę, w której wyrosliście — odezwała się Chantal z poczuciem godności. — Mów proszę, dalej, chéri — zwróciła się z kolei elegancko do Thomasa.

— Panowie, zgodnie ze zmianą charakteru naszej działalności, na pierwszy rzut, jako się rzekło, przewalimy, to znaczy zajmiemy się jubilerem. Odrażający typ... Monsieur Meyer, to absolutnie niedopuszczalne... Nie uchodzi brać kotleta do ręki i obgryzać kości! Na czym to stanąłem?

— Pissoladiere — odpowiedziała Chantal.

Patrzyła teraz na Thomasa rozkochanym wzrokiem. To go kochała, to nienawidziła. Jej uczucia zmieniały się gwałtownie, sama już nie wiedziała, co właściwie czuje. Bardzo dobrze wiedziała natomiast, że bez tego psa, tego nędznego psa, nie chciała już żyć.

— Ach tak, Pissoladiere.

Thomas zaznajomił obecnych z obrzydliwym procederem uprawianym przez jubilera.

— Nienawidzę gwałtu — rzekł w końcu — i przelew krwi. Włamanie przez sufit, napad z bronią w rękę i tak dalej, nie wchodzi zatem w rachubę. Wierzcie mi, panowie, nowy czas wymaga nowych

metod. Przeżyją tylko ci, którzy działają z fantazją. Konkurencja jest po prostu za duża. Monsieur de la Rue, frytek nie je się rękami, do tego służy widelec.

— W takim razie jak wyciśniemy z Pissoladiere’a towar?

— Przy pomocy dwóch parasoli.

Olive wniósł deser.

— Chciałbym żebyście się, panowie, od razu do tego przyzwyczaili — powiedział Thomas — tort je się małym widelczykiem, nie łyżeczką.

— Będziecie musieli to wszystko porządnie wykuć w ciągu najbliższych dni — stwierdziła Chantal. — Żadnych ochleństw, żadnych hazardów i żadnych kobitek, zrozumiano?

— Panie Boże, Chantal, właśnie teraz, gdy wreszcie raz wyrwaliśmy się do Marsylii...

— Najpierw skok, potem przyjemności, przyjaciele — uciął dyskusję Thomas. — Musicie się panowie nauczyć, jak się ubierają przykładni obywatele, jak się poruszają, jak stoją, jak mówią. Najlepiej bez akcentu! Musicie się też nauczyć, jak świsnąć to czy owo, nie zwracając na siebie uwagi.

— Czeka was ciężki znój, możecie mi wierzyć! — zawołała Chantal.

— Macie być od rana do wieczora do dyspozycji mojego współnika...

— Tylko nie w nocy — zastrzegł Thomas, całując jej dłoń.

Chantal oblała się ciemną purpurą i dzieliła go rozgniewana.

— Ach, dajże spokój... przy ludziach, człowieku! Nieznośne to wyczałowywanie po rękach!

I bestia Chantal spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

Taak, to by było właściwie wszystko. Teraz możemy już spokojnie wrócić w naszej relacji do 14 stycznia 1941 roku i owej chwili, kiedy to zmieniony nie do poznania Fred Meyer powiesił w sklepie jubilerskim Mariusa Pissoladiere’a swój parasol obok parasola zmienionego nie do poznania Paula de la Rue...

14

Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Jubiler położył przed Fredem Meyerem na jednym końcu lady szereg bransoletek do zegarków, przy drugim końcu stał Paul de la Rue, pochylony nad iskrzącymi się brylantowymi cackami. Parasole wisiły obok siebie.

Tak, jak to godzinami ćwiczył pod czujnym okiem Thomasa Lievena, Paul schwycił bezszelestnie bransoletkę, która miała przynieść jubilerowi trzy miliony franków, pochylił się do przodu i — równie bezszelestnie — spuścił ją w lekko rozchylony parasol swego przyjaciela Meyera. Szprychy parasola zostały oczywiście uprzednio owinięte w watę. Potem wziął do ręki jeszcze dwie brylantowe bransolety i powtórzył operację.

Wykonawszy swe zadanie, oddalił się od parasoli i przeszedł do drugiego końca lady, gdzie można było podziwiać złote bransoletki. Paul de la Rue podziwiał je przez chwilę, musnąwszy przy okazji swą od niedawna zadbaną fryzurę.

Na ten uzgodniony znak Fred Meyer zdecydował się niezwykle szybko na bransoletkę do zegarka wartości 240 franków. Zapłacił banknotem pięciotysięcznym.

Jubiler Pissoladiere pośpieszył do kasy. Wybił cenę i wyjmował z niej resztę, wołając do Paula de la Rue.

— Zaraz będę do pańskich usług, monsieur!

Pissoladiere wydał klientowi resztę, ten zaś zabrał swój parasol i opuścił sklep. Gdyby jubiler spojrzął za nim, zauważyłby, że nabywca bransoletki do zegarka, mimo ulewnego deszczu, nie otworzył parasola. Przynajmniej na razie...

Pissoladiere pośpieszył z powrotem do swego arystokratycznego klienta.

— A zatem, monsieur... — zaczął, ale nie dokończył.

Zauważył, że zniknęły trzy spośród najcenniejszych bransolet.

Zrazu jubiler wziął wszystko za żart. Zdegenerowani arystokraci miewają niekiedy tego typu napady makabrycznego humoru. Uśmiechnął się do Paula de la Rue, wydał z siebie sztuczne „cha, cha, cha” i powiedział:

— Ale mnie pan przestraszył, monsieur!

Doskonale wyszkolony przez Thomasa Lievena, Paul w niepowtarzalny sposób zmarszczył brwi i rzekł:

— Nie rozumiem. Źle się pan czuje?

— Litości, monsieur. Pański żart przestaje być śmieszny. Proszę, niech pan położy te trzy bransolety z powrotem na tacy.

— Czy pan coś pił, proszę pana? Twierdzi pan, że trzy bransolety... że ja... Ach, rzeczywiście, gdzie się podziały te trzy piękne okazy?

Twarz Pissoladiere'a nabiegła siną czerwienią.

— Mój panie — jego głos brzmiał ostro — jeśli natychmiast nie odda pan biżuterii, będę zmuszony wezwać policję!

W tym momencie Paul de la Rue wypadł nieco z roli. Zaczął się śmiać.

Jego śmiech spowodował, że jubiler całkowicie stracił panowanie nad sobą. Jednym ruchem dopadł przycisku pod kontuarem i włączył alarm. Z chrzęstem opadły przed oknem wystawowym, drzwiami i tylnym wyjściem ciężkie stalowe kraty.

W rękę Mariusa Pissoladiere'a pojawił się nagle ogromny rewolwer.

— Ręce do góry! — zaskrzeczał. — Ani kroku dalej... Niech się pan nie rusza!

— Biedny szaleńcze — rzekł Paul de la Rue niedbale — jeszcze pan tego pożałuje.

W jakiś czas później przybyło pogotowie policyjne.

Paul de la Rue w najwyższym spokoju ducha okazał francuski paszport, wystawiony na nazwisko wicehrabiego Rene de Toussanta, zamieszkałego w Paryżu, przy Square du Bois de Bologne. Był to znakomicie podrobiony dokument, trudziły się nad nim najlepsze siły Starej Dzielnicy. Mimo to policjanci rozebrali Paula de la Rue do naga, przeszukali jego garderobę i rozpruli szwy płaszcza. Na próżno. Nic nie znaleźli. Ani jednego brylantu, ani jednej drobiny z trzech zaginionych bransolet.

Policjanci zażądali od fałszywego wicehrabiego przedstawienia dowodu, że byłby w stanie zapłacić rachunek w wysokości trzech milionów franków, na co podejrzany odrzekł z uśmiechem, że wystarczy zadzwonić do dyrektora hotelu „Bristol”. Dyrektor hotelu „Bristol” potwierdził, że wicehrabia zdeponował w hotelowym sejfie sumę sześciu milionów franków! Majstersztyk! Paul de la Rue oczywiście naprawdę zatrzymał się w hotelu „Bristol” i oddał do depozytu sześć milionów franków! Z kapitału bandy.

Funkcjonariusze policji kryminalnej natychmiast zmienili ton i stali się bardziej uprzejmi.

Gdy wreszcie w odpowiedzi na wysłany teleks paryska policja potwierdziła, że przy Square du Bois de Bologne rzeczywiście rezyduje wicehrabia Rene de Toussant — bardzo zamożny, powiązany z nazistami i z rządem Vichy, w tej chwili nieobecny w Paryżu, najprawdopodobniej przebywa w południowej Francji — marsylska policja zwolniła Paula de la Rue, przeprasząc go stokrotnie.

Całkowicie załamany, błąd jak śmierć jubiler Marius Pissoladiere również wybąkał swe ubolewanie.

Nie rzucający się w oczy, nijaki nabywca bransoletki do zegarka zniknął, jakby się zapadł pod ziemię, i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął... Pissoladiere nie był w stanie podać jego choćby przybliżonego rysopisu.

Wszystko to Thomas Lieven przewidział, gdy wybierał do tej roli człowieka o powierzchowności Paula de la Rue i gdy kazał wystawić paszport na nazwisko wicehrabiego. Pomocnych informacji dostarczył, nawiasem mówiąc, „Perpignan-Bote” z 2 stycznia 1941 roku, gdzie w rubryce lokalnej nasz przyjaciel znalazł zdjęcie przyjaznego hitlerowcom arystokraty oraz poniższą relację:

„Wicehrabia Rene de Toussant, przemysłowiec z Paryża, przybył na kurację do malowniczego miasteczka Font Romeau u podnóża Pirenejów...”

Numeru z parasolem nie można już było oczywiście w Marsylii powtórzyć. W końcu, wieść o czymś takim rozchodzi się szybko. Natomiast ożywiły się interesy w Bordeaux, Tuluzie, Montpellier, Avignon i Beziers. W miastach tych w następnych dniach jubilerzy i antykwariusze doznali bolesnych i finansowo bardzo niekorzystnych doświadczeń z panami zaopatrzonymi w parasole. W osobliwy sposób panowie ci działali zawsze tylko na szkodę takich, których działalność była równie ponura i równie niegodziwa jak Mariusa Pissoladiere’a.

Cechą wspólną wszystkich tych skoków było to, że — jako się rzekło — nikt nie żałował poszkodowanych. Przeciwnie! Na południu kraju zaczęto poszeptywać, że to akcje niezależnego ruchu oporu pod wodzą jakiegoś współczesnego Robin Hooda.

Przez splot różnych okoliczności, przy których splataniu Thomas nie był całkiem bez winy, policja podążyła fałszywym śladem, przyjmując, że sprawców bezczelnych jubilerskich rabunków należy szukać w szeregach „Bandy Glacy”.

Na czele jednej z zasiedziałych przestępczych organizacji Marsylii stał niejaki Dantes Villeforte, Korsykańczyk, który z łatwych do odgadnięcia powodów otrzymał przezwisko Glaca.

W owym czasie trwały akcje przerzutu uciekinierów do Portugalii. Villeforte i jego ludzie także weszli w ten interes, ale wówczas Chantal nagle znacznie uaktywniła swe „przedsiębiorstwo transportowe”. Jej taktyka przeczyła wszelkim obowiązującym w branży prawidłom gry. Działała wedle niesłusznie zapoznanej zasady: Niskie ceny — duży obrót — przyzwoity zysk, albo nawet: Uciekasz dziś — płacisz jutro.

Można zrozumieć, że Glaca nie był specjalnie zachwycony działalnością Chantal, która zupełnie psuła mu interes. Teraz bowiem do niej klienci płynęli szeroką falą, podczas gdy z jego usług prawie nie korzystano.

W końcu do Glacy dotarło, że wszystkie te innowacje należy przypisać bystrości umysłu i inteligencji kochanka Chantal. Do tego człowieka Chantal miała podobno całkowite zaufanie. Ten człowiek był rzekomo mózgiem bandy. Znakomitym mózgiem, jak się wydawało.

Glaca postanowił nieco się o niego zatroszczyć.

15

Thomas Lieven rezydował nadal w Starej Dzielnicy Marsylii, aż do owego nieszczęsnego burzowego wieczoru we wrześniu roku 1942. Mieszkał u Chantal Tessier. Dziwne uczucie łączące tych dwoje, rozpięte między miłością i nienawiścią, stawało się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej płomienne.

I tak na przykład, piękna bestia rzuciła się swemu kulinarnie uzdolnionemu przyjacielowi namiętnie na szyję po udanej akcji w lutym 1941 roku, kiedy to Lieven sprzedał niemieckiemu wywiadowi dwa razy ten sam hotel. Nie przeszkodziło jej o w następnej chwili zapewnić:

— Brzdę się twym wyniosłym uśmiechem! Zarozumiałstwem! Myślisz, że to wszystko tylko twoja zasługa, co? My jesteśmy tylko bezwolnymi, pustogłowymi kukłami! To ci coś powiem! Mam dość tego twojego szczerzenia się. Nie chcę cię tu już oglądać, nigdy, zmywaj się!

Tak więc, Thomas przeniósł się pokornie do swego przyjaciela Bastiana. Jeszcze nie minęły dwie godziny od przeprowadzki, gdy Chantal zadzwoniła.

— Mam tu kwas pruski, veronal i rewolwer. Jeśli natychmiast nie przyjdiesz, znajdziesz tu jutro rano moje zwłoki.

— Ale powiedziałaś przecież, że nie chcesz mnie znać!

— Ty psie... ty podły psie, nie mam czym oddychać, gdy cię przy mnie nie ma...

Thomas natychmiast wrócił na Rue a la Rose. Nastąpiło pojednanie, po którym przez dwa dni musiał dochodzić do siebie. Teraz nasz przyjaciel z całą energią poświęcił się wypełnianiu swego, przez siebie samego postawionego, zadania — szkodzeniu złu w kraju. I zarabianiu przy okazji ogromnych, ale to naprawdę ogromnych, pieniędzy.

Ponieważ życie Thomasa Lievena było tak pełne niebezpieczeństw, zuchwałych wybryków i pięknych kobiet, czujemy się zmuszeni podejść

do sprawy ekonomicznie i z bezmiaru jego przedsięwzięć lat 1941 i 1942 wybrać i zrelacjonować tylko trzy, mianowicie:

- sprawę platyny z carskiej Rosji
- sprawę sprzedaży diamentów przemysłowych oraz
- sprawę sfałszowanych dekretów Falangi.

Do dzieła!

W sierpniu 1941 roku zjawił się w Tuluzie niejaki Wassili Maria Orłow Książę Lesskow — człowiek znikąd. Tak się przynajmniej wydawało. Po prostu nie sposób było prześledzić jego ślady w przeszłości. Chudy, niezwykle wyniosły arystokrata z miejsca wykazał się magnetyczną siłą przyciągania. Natychmiast zainteresowali się nim niemieccy, angielscy i francuscy agenci, a nawet wywiad radziecki. Oraz członkowie bandy Dantesa Villeforte'a.

Podczas gdy towarzystwo to oddawało się swym rzucającym się w oczy i niedorzecznym praktykom, strojąc tajemnicze miny, organizując tajne spotkania i uczestnicząc w knajpianych bijatykach, szósta grupa zainteresowanych czaiła się dyskretnie w tle. Było to kilku panów z bandy Chantal Tessier, których Thomas tymczasem wychował tak nienagannie, jak panów de la Rue i Meyera...

Książę Lesskow nie bez powodu budził takie zainteresowanie. Arystokrata miał platynę. Na razie kilka sztabek, jak mówił, na próbę, ale zawiadywał podobno całym platynowym skarbem ogromnej wartości.

Wiadomo powszechnie, że platyna, ten wielce szlachetny metal, znajduje zastosowanie w przemyśle zbrojeniowym, szczególnie przy produkcji samolotów, gdzie jest niezbędna do wytwarzania przerywników i zapłonów magnetycznych.

Rozgorzała zażarta walka. Niemieccy, francuscy i brytyjscy agenci chcieli wejść w posiadanie platyny dla swych ojczyzn, Sowieci od samego początku traktowali ją jako swą własność.

Ludzie z kręgu Dantesa Villeforte'a mieli jeszcze znacznie bardziej proste wyobrażenie na temat własności!

Natomiast Thomas Lieven kierował się swą własną filozofią handlową, która brzmiała: Poczekajmy i miejmy nadzieję...

Zdanie to przyprawiało Chantal o białą gorączkę.

— Znów doprowadzasz mnie do szału, wściekły psie!

Zgodnie z przewidywaniami Thomasa, wyniosły książę rozwinął przesadnie ożywioną działalność. Szczuły agentów na siebie i niewątpliwie miał na sumieniu śmierć radzieckiego i niemieckiego szpiega, którzy stracili życie w strzelaninie 24 sierpnia o godzinie zero trzydzieści.

Dwadzieścia cztery godziny później, w apartamencie hotelowym księcia znaleziono jego zwłoki. Sztabki platyny, które zamordowany

trzymał zawsze pod łóżkiem, zniknęły. Natychmiast powiadomiono francuską policję. Podejrzenie policji padło na dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach, którzy jako ostatni złożyli księciu wizytę, po czym czarnym peugeotem opuścili Tuluzę, udając się w kierunku północnym.

Obaj ci mężczyźni odnaleźli się po kilku godzinach w wiosce Grisolles, w pobliżu Montauban. Stracili samochód i cały dobytek. Byli bosi i prawie nadzy. Pozostawiono im tylko gatki. Zeznali, że zostali oślepieni i zmuszeni do zatrzymania przez nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę. Obrabowała ich banda złożona z sześciu zamaskowanych mężczyzn.

Sztabki platyny już nigdy nie pojawiły się we Francji. Znalazły się natomiast nieco później w przestronnym stalowym sejfie, wynajętym 27 sierpnia 1941 w „Nationalbank” w Zurychu przez obywatela szwajcarskiego, niejakiego Eugena Wälterlego. Pan Wälterli dostał się do Szwajcarii z terenu nieokupowanej Francji nieuczęszczanymi, ukrytymi drogami, które wskazała mu jego przyjaciółka Chantal Tessier, doskonała specjalistka w nielegalnym przekraczaniu granic. Eugen Wälterli, alias Thomas Lieven, legitymował się fałszywym szwajcarskim paszportem, wystawionym przez najlepszych profesjonalistów Starej Dzielnicy...

16

Chwileczkę!

W opowieści wydaje się to dość proste, rzeczywistość była dużo bardziej skomplikowana. Przed zdeponowaniem w Szwajcarii platynowych sztabek Thomas Lieven przeżył ciężkie chwile. Nie z policją, nie z ludźmi Villeforte’a, nie, z Chantal...

Rzuciła się na niego niczym furia, gdy wyjawił jej swój plan.

— Do Szwajcarii! Bo padnę... Chcesz się zmyć! Chcesz mnie tu zostawić! Masz chrapkę na nowe ciało! Myślisz, że nie wiem na kogo?

Zamilkła tylko na chwilę, by zaczerpnąć oddechu i się nie udusić, po czym wrzeszczała dalej:

— Ta szmata Yvonne! Od tygodni obserwuję, jak się do ciebie dobiera, ha!

— Chantal, jesteś meszuga, to znaczy... zwariowałaś. Przysięgam ci...

— Zamknij się! Ja, od czasu jak cię poznałam, nie spojrzałam na żadnego innego mężczyznę! A ty... ty... ach, wszyscy mężczyźni to świnię! I to jeszcze z taką! Z ufarbowaną!

— To jej naturalne włosy, moje dziecko — zaprotestował Thomas łagodnie.

— Aaaaa!

Teraz ruszyła na niego z paznokciami i zębami.

— Ty psie, skąd wiesz?

Okładali się nawzajem przez chwilę, po czym nastąpiło pojednanie. Thomas musiał poświęcić całą noc, by udowodnić Chantal, że nigdy nie kochał i nigdy nie będzie kochał jasnowłosej Yvonne.

O brzasku dała się wreszcie przekonać. Była teraz łagodna jak baranek i czuła jak dziewczyna z salonu masażu w Hongkongu. Po śniadaniu poszła załatwić mu szwajcarski paszport...

17

Podobno Marszałek Rzeszy Herman Göring doznał srogiego zawodu, gdy w czasie swej pierwszej wizyty w okupowanym Paryżu złożył wizytę dwóm światowej sławy jubilerom, Cartierowi i Van Cleffowi. Ich sprzedawcy poinformowali go mianowicie, że nie mogą niestety służyć dostojnemu gościowi, gdyż przed wkroczeniem Niemców właściele sklepów najcenniejsze okazy przerzucili do Londynu.

To, co udało się w Paryżu, nie powiodło się natomiast w Antwerpii i Brukseli. Oba te miasta stanowią od dziesięcioleci centrum międzynarodowego szlifierstwa drogich kamieni. Po zajęciu ich przez wojska okupacyjne, znalezione tu diamenty i brylanty albo zostały kupione przez władze niemieckie, albo po prostu — jeśli stanowiły własność żydowską — zarekwirowane. Większość szlachetnych kamieni w Antwerpii i Brukseli należała do Żydów.

Rzesza Niemiecka potrzebowała tak zwanych „diamentów przemysłowych” dla przemysłu zbrojeniowego, gdzie używano ich do szlifowania wałów korbowych silników i obróbki twardych metali. Zadanie zdobycia tego cennego materiału powierzono pułkownikowi Feltjenowi z Urzędu do spraw Planu Czteroletniego.

Pułkownik usiłował zakupić kamienie i ich odpadki także w krajach neutralnych, jak choćby w Szwajcarii. Większość występujących

w jego imieniu nabywców nie odznaczyła się szczególną uczciwością. Panowie ci operowali według prostego schematu: Rekwirowali w Belgii żydowskie diamenty, ale tylko ich część przekazywali pułkownikowi Feltjenowi. Albo wcale. Resztę specjaliści kurierzy przetrzymali przez okupowaną i nieokupowaną Francję do Szwajcarii. Tu towar oferowany był do sprzedaży innemu niemieckiemu pełnomocnikowi rządu Rzeszy do spraw zakupu szlachetnych kamieni. Człowiek ten płacił najwyższe ceny, a pierwotni kupcy śmiali się w przysłowiowy kułak.

Między wrześniem roku 1941 a styczniem 1942 przechwycono czterech takich „kurierów”, pozbawiając ich brzoźnia skradzionych, bądź zarekwirowanych, kamieni. Rzeczony diamenty przemysłowe i brylanty odnajdowały się nieco później w przestronnym stalowym sejfie „Nationalbank” w Zurychu, wynajętym tam przez niejakiego Eugena Wälterlego...

22 stycznia 1942 roku, z konta tegoż obywatela Szwajcarii, Eugena Wälterlego, została przelana suma trzystu tysięcy franków szwajcarskich na londyńskie konto organizacji „Wannemeester”. Celem tej organizacji było finansowanie — najczęściej drogą przekupstwa — ewakuacji z zajętych przez Hitlera części Europy i przetrzymywanie w bezpieczne rejony ludzi prześladowanych z powodów rasowych lub politycznych.

18

W lipcu 1942 roku Dantes Villeforte, zwany Glacą, zwołał w Marsylii zebranie plenarne swej bandy, które odbyło się w jego mieszkaniu przy Rue Mazenod 4.

— Panowie — powiedział Dantes Villeforte do swych współpracowników — dość tego. Organizacja Chantal przegięła pałę. W numerze z platyną pomieszała nam szyki, choć już prawie ją mieliśmy w garści, interes z Portugalią od roku kurczy się z dnia na dzień, a do tego teraz jeszcze ta afera z dekretami Falangi!

Sprawa dekretów Falangi była tyle prosta, co imponująca. Pamiętny lekcji pobieranych u genialnego portugalskiego malarza i fałszerza Reynalda Pereiry, Thomas Lieven wraz z „talentami” Starej Dzielnicy uruchomił wielką fałszernię dokumentów, która pracowała na dwie zmiany, we dnie i w nocy. Podobny zakład Glacy nie miał z nią po prostu żadnych szans.

Dokumenty organizacji Chantal Tessier były tańsze i lepsze, szybciej też docierały do odbiorców. Ostatnio organizacja wprowadziła do sprzedaży także nowość dla wszystkich zainteresowanych Czerwonych Hiszpanów, którzy swego czasu musieli uciekać przed Franco i tęsknili za swoją starą ojczyzną. Ludziom tym, oprócz sfalszowanych hiszpańskich paszportów, oferowano także idealnie podrobione podziękowania, dyplomy uznania i zaświadczenia o uzyskaniu odznaczeń, na których państwo generała Franco potwierdzało ich zasługi dla Falangi. Był to absolutny przebój handlowy lata roku 1942.

— Panowie — ciągnął Dantes Villeforte na roboczym zebraniu swej bandy — już sama Chantal Tessier była dopustem bożym. Nabijała nas w butelkę, szkodziła na każdym kroku. Teraz jeszcze ten skurwiel Pierre, czy jak tam on się nazywa... tego już za wiele!

Przychylny pomruk.

— Jest tak: Z Chantal jeszcze jakoś dawaliśmy sobie radę, choć też nie jest najgorsza! Chodzą słuchy, że kocha tego faceta. Cóż więc byłoby dla niej najbardziej dotkliwym ciosem?

— Gdybyśmy sprzątnęli jej lubego — powiedział ktoś.

— Zupełny idiota! — rozzłościł się Villeforte. — Sprzątnąć, sprzątnąć. To wszystko, co wam przychodzi do głowy. A może jednak coś innego? Po co nasze powiązania z gestapo? Dowiedziałem się, że ten facet nazywa się między innymi Hunebelle. A jakiegoś Hunebelle'a poszukuje gestapo. Moglibyśmy zrobić kokosowy interes, gdybyśmy... Mam mówić dalej?

Nie musiał.

Wieczorem 17 września 1942 rozszalała się gwałtowna burza. Chantal i Thomas mieli właśnie zamiar pójść do kina, ale w końcu zdecydowali się zostać w domu.

Popijali calvados i puszczały płyty. Chantal była niewiarygodnie wprost przymilna, sentymentalna i łagodna.

— Co ty ze mnie zrobiłeś... — szeptała — czasami nie poznaję samej siebie...

— Chantal — rzekł Thomas — musimy stąd wiać. Otrzymałem złe wiadomości. Marsylia nie jest już bezpieczna, lada moment rozpanoszą się tu Niemcy.

— Przenieśmy się do Szwajcarii — powiedziała. — Pieniądzy mamy w bród. Pożyjemy pięknym życiem.

— Tak, miła — zgodził się i pocałował ją.

— Ach, chéri — szeptała z kolei ona ze łzami w oczach — jestem tak szczęśliwa, jak jeszcze nigdy. Nie musi to trwać wiecznie — nic nie trwa wiecznie — ale jeszcze przez chwilę, malutką chwilkę...

Po jakimś czasie Chantal poczuła głód. Miała ochotę na winogrona.
— Sklepy już zamknięte — zastanawiał się Thomas. — Może na dworcu...

Wstał i ubrał się.

— Przy tej pogodzie? — zaprotestowała. — Oszalałeś...

— Nie, nie, dostaniesz swoje winogrona. Bo je kochasz, a ja kocham ciebie.

Jej oczy znów nabiegły łzami. Małą piąstką wyrznęła go w kolano i zaklęła:

— Szlag by to trafił! Jakie to głupie... Ryczę, bo cię tak kocham...

— Zaraz wracam — pożegnał się Thomas i szybkim krokiem wyszedł z mieszkania.

Mylił się.

Dwadzieścia minut po tym, jak opuścił dom przy Rue Chevalier Rose, by kupić winogrona, Thomas Lieven, alias Jean Leblanc, alias Pierre Hunebelle, alias Eugen Wälterli, znajdował się w rękach gestapo.

19

Dziwne, jak bardzo przywiązałem się do Chantal, myślał Thomas. Już nawet nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej. Jej szaleństwa, odruchy drapieżnego zwierza, mężczyźnożerstwo — wszystko to zachwyca mnie ogromnie. Tak jak jej odwaga, jej instynkt. I nie kłamie wcale. No, może prawie wcale...

Thomas przeciął wyludniony Place Jules Guesde — jego wyasfaltowana nawierzchnia błyszczała w deszczu — i wszedł w wąską Rue Bernard du Bois. Tu mieściło się małe, staroświeckie kino, które tak często odwiedzali z Chantal.

Przed kinem parkował czarny peugeot, ale Thomas nie zwrócił na niego uwagi. Szedł dalej. Za nim podążały dwa cienie. Gdy przechodzili obok czarnego peugeota, jeden z cieni stuknął w okno samochodu. Po chwili zabłysły reflektory peugeota, by zaraz ponownie zgasnąć. Z drugiego końca wąskiej, kiepsko oświetlonej uliczki ruszyły dwa kolejne cienie.

Thomas ich nie zauważył. Nie spostrzegł ani mężczyzn, podążających jego śladem, ani tych, którzy szli mu naprzeciw. Był pogrążony w myślach... Muszę jeszcze raz z całym spokojem porozmawiać

z Chantal, myślał. Wiem z dobrych źródeł, że jeszcze w tym roku wojska amerykańskie wylądują w Afryce Północnej. Francuski ruch oporu coraz bardziej dobiera się do skóry nazistom, operując z południa kraju. Niemcy z pewnością zajmą także nieokupowaną część Francji. A więc wyjedziemy z Chantal do Szwajcarii, tak szybko, jak to tylko możliwe. W Szwajcarii nie ma hitlerowców, nie ma wojny. Będziemy żyli w pokoju...

Cienie z naprzeciwka zbliżały się do niego. Cienie za jego plecami zbliżały się do niego. Zaskoczył silnik czarnego peugeota. Samochód ruszył wolniutko do przodu. Bez świateł. Thomas Lieven nadal nic nie zauważył.

Biedny Thomas! Był inteligentny, sprawiedliwy i sympatyczny, szarmancki i usłużny. Nie był natomiast Old Shatterhandem, ani Napoleonem, nie był też męską Matą Hari, ani supermanem. Nie był żadnym z książkowych bohaterów, którzy nigdy nie zaznali strachu i zawsze zwyciężali, nie był bohaterskim bohaterem nad bohaterów. Był wiecznie gnany, wiecznie ściganym człowiekiem, który nigdy nie mógł zaznać spokoju, człowiekiem, który ciągle był zmuszany do czynienia najlepszego ze złej sprawy — jak my wszyscy.

Dlatego też nie dostrzegł grożącego mu niebezpieczeństwa. Nie zaniepokoił się też, gdy nagle stanęło przed nim dwóch mężczyzn. Mieli na sobie nieprzemakalne płaszcze. Byli Francuzami.

— Dobry wieczór, monsieur — zagadnął jeden z nich. — Czy mógłby pan nam powiedzieć, która jest godzina?

— Chętnie — odparł Thomas.

W jednej ręce trzymał parasol, drugą wyciągnął z kieszeni kamizelki swój ulubiony repetier. Przycisnął dźwigienkę. W tym momencie doszły do niego także oba cienie, które posuwały się za nim.

— Jest dokładnie ósma dwa... — zaczął Thomas, ale nie skończył.

Otrzymał straszliwy cios w kark.

Parasol wyleciał w powietrze. Repetier — szczęściem wisiał na łańcuszku — wypadł mu z ręki. Z jękiem opadł na kolana. Otworzył usta, by krzyknąć, ale czyjaś ręka była szybsza. Thomas poczuł wateę na twarzy. Gdy dotarł do niego odrażający, słodkawy zapach, zebrało mu się na wymioty. Znał już to wszystko, przeżył już kiedyś coś podobnego w Lizbonie. Wówczas jeszcze się udało. Tym razem — przemknęło mu błyskawicznie przez myśl tuż przed utratą świadomości — już się nie uda...

Potem zapadł się w pustkę.

Jeszcze tylko przysporzył swym porywaczom technicznych problemów. Mieli trudności z umieszczeniem go na tylnym siedzeniu peugeota. Typowy problem robotników transportowych.

— Bastianie... hej, Bastianie, obudź się wreszcie, gnuśny worze! — wrzeszczał Olive, gruby właściciel ulubionego lokalu panów czarnego rynku „Chez Papa”, na którego zapleczu mieszkał olbrzym Fabre.

Najwierniejszy kompan Chantal ocknął się z jękiem. Potem przewrócił się na wznak i zaskrzeczał, łapiąc się za głowę:

— Oszalałeś!? Co ci odbiło, że mnie budzisz?

Przed kilku godzinami Bastian skończył zawody w picciu. Walczył z kulawym Francoisem. Obudzony dużo za wcześnie, jęczał nieszczęśliwy:

— Jestem jeszcze spity. Czuję się fatalnie...

Olive potrząsnął nim ponownie.

— Chantal chce z tobą rozmawiać. Czeka przy telefonie. To pilne! Twój przyjaciel Pierre zniknął!

W ułamku sekundy Bastian całkowicie wytrzeźwiał. Wyskoczył z łóżka. W czerwonej kurtce od pizamy — Bastian używał zawsze tylko górnej części — wybiegł do pokoju obok, gdzie wskoczył w szlafrok i pantofle. Potem, potykając się, pośpieszył do lokalu, który o tej późnej porze był już zamknięty i pogrążony w ciemności. Krzesła stały na stołach. W kabinie telefonicznej dyndała słuchawka. Bastian gwałtownym ruchem podniósł ją do ucha.

— Chantal!

Zabolało go serce, gdy usłyszał jej głos, głos pełen rozpacz, pełen strachu. Jeszcze nigdy nie wyczuł w nim takiej paniki.

— Bastianie... dzięki Bogu... ja... ja już nie mogę... Od kilku godzin biegam po mieście... Jestem wykończona... zdruzgotana. O Boże, Bastianie, Pierre zniknął!

Bastian otarł sobie pot z czoła.

— Daj mi koniak i zaparz szatana... — powiedział do Olive, który przyszedł tu za nim, a potem do słuchawki: — Opowiedz mi wszystko powoli, Chantal. Po kolei. Musisz się uspokoić...

Chantal zrelacjonowała przebieg zdarzeń. Była druga w nocy. Około ósmej Pierre wyszedł z domu, by kupić winogrona.

Chantal załkała. Jej głos trząsał się i drżał.

— Byłam na dworcu. We wszystkich knajpach. Na dole w porcie. Byłam... w tych domach... Myślałam, że może spotkał któregoś z was... i zabalował, jak to się przecież czasem mężczyznom zdarza...

— Skąd dzwonisz?

— Z „Bruleur de Loup”.

— Zostań tam. Obudź Kopyto i innych. Wszystkich. Za pół godziny tam będziemy.

Jej głos brzmiał tak cienko i słabo, jak gdyby dochodził do niego z księżycyca.

— Bastianie... jeśli... jeśli coś mu się stało, nie chcę żyć...

Tej nocy piętnastu zaprawionych w bojach szubrawców przeczesalo miasto Marsylię. Nie było baru, którego by nie odwiedzili, nie było hotelu, knajpy, burdelu, gdzie by się nie pokazali. Szukali i szukali, ale nie znaleźli żadnego śladu Pierre'a Hunebelle'a, swego przyjaciela i kompana.

Noc zszarzała, nastawał dzień. O ósmej banda przerwała na razie poszukiwania zaginionego. Bastian odprowadził Chantal do domu. Dała się prowadzić bezwolnie. W mieszkaniu doznała nagle ataku potwornej hysterii. Nawet tak krzepki mężczyzna jak Bastian nie widział innej możliwości ujarznienia jej, jak tylko strzelić ją potężnie pięścią w twarz, by straciła przytomność. Co też uczynił. Następnie pobiegł do telefonu i zadzwonił do doktora Boule'a. Mały dentysta i ekspert od produkcji fałszywych sztab złota przybył natychmiast. Gdy przekroczył próg mieszkania, Chantal odzyskała już przytomność. Leżała na łóżku, szczekała zębami, a jej nogi podrygiwały nerwowo. Doktor Boule natychmiast się zorientował o co tu chodzi. Wstrzyknął jej środek odurzający. Gdy wyjął igłę z jej ramienia, wyszeptala przez lzy:

— On był... był jedynym człowiekiem w moim życiu, który był dla mnie dobry, doktorze...

Thomas Lieven przepadł bez śladu. Prowadzone przez bandę na coraz szerszą skalę poszukiwania nie dały rezultatu. Ostre załamanie stanu zdrowia przykuło Chantal na kilka tygodni do łóżka.

28 października sytuacja się zmieniła. W kawiarni „Cintra”, jednym ze słynnych lokalików w Starym Porcie upił się już około południa, najprawdopodobniej ze zgryzoty, jakiś młody mężczyzna. Gdy był już za bardzo pijany, by uważać na to, co mówi, zaczął się chwalić, że „mógłby powiedzieć wiele ciekawych rzeczy o tym Hunebelle'u”.

Jeden z przypadkowo tam obecnych członków bandy Chantal zaalarmował Bastiana. Ten poszedł po Francoisa i razem pośpieszyli do „Cintry”. Tam przysiedli się do pijanego, stawiali kolejkę za kolejką i odgrywali teatr, jaką to do niego pałają sympatią.

Obcy spoufalal się coraz bardziej. Twierdził, że nazywa się Emile Mallot i pochodzi z Grenoble.

— Wyruchał nas — wybelkotał — ten pies, zaszary — czknał — obiecał nam dwadzieścia tysięcy...

— Za co? — spytał Bastian i podsunął Mallotowi jeszcze jedną wódkę.

— Za to, że wepchniemy tego Hunebelle'a do peugeot'a... Dostaliśmy tylko dziesięć...

— Któż to was tak wyruchał, kolego? — spytał Bastian i dobrodusznie objął pijanego ramieniem.

— Co ci do tego?

Mężczyzna nagle przymrużył oczy.

Bastian i Francois wymienili spojrzenia.

— Tak tylko zapytałem, Emile — wyjaśnił Bastian. — Nie czepiaj się. Chodź, wypijemy jeszcze po jednym...

Spili przybysza z Grenoble do utraty przytomności, a gdy już spadł pod stół, podnieśli go, chwycili pod ramiona i wynieśli z lokalu — do Chantal.

Leżała jeszcze w łóżku, miała gorączkę i wyglądała mizernie. Bastian i Francois usadowili pijanego na kanapie w pokoju stołowym i weszli do sypialni Chantal, gdzie zdali jej relację z wydarzeń ostatnich godzin.

— Jak dojdzie do siebie, zostaw go mnie — powiedział Bastian. — W ciągu dziesięciu minut chłoptys wszystko wyśpiewa.

Chantal potrząsnęła głową. Powtórzyła słowa usłyszane kiedyś od Thomasa:

— Sprac kogoś nie zawsze jest najgłębszą mądrością. Najgłębszą mądrością jest zawsze gotówka.

— Co?

— Przecież facet jest taki wściekły, bo za mało dostał. A zatem zapłacimy mu hojnie. Sprowadź doktora Boule'a. Niech mu da jakiś zastrzyk, żeby szybciej wytrzeźwiał.

21

Lekarz zjawił się natychmiast. Po godzinie Emile Mallot z Grenoble odzyskał przytomność. Siedział na fotelu w sypialni Chantal. Francois i Bastian stali obok niego, a Chantal leżała w łóżku, wachlując się ogromnym plikiem banknotów.

— Wywieźli... wywieźli go na północ — mówił Mallot ochryplym głosem. — Jeszcze tamtej nocy. Do Chalon-sur-Saone w pobliżu linii demarkacyjnej. Tam miało go przejąć gestapo... Nie! — rozdarł się przeraźliwie, bo Bastian poderwał go do góry i dzielił po pysku.

— Bastianie! — krzyknęła Chantal.

Jej twarz była biała jak ściana, żyły w niej tylko rozgorączkowane oczy.

— Daj mu spokój... Muszę wiedzieć, kto tkwi za tym draństwem... Kto? — wrzasnęła na Mallota — No kto!?

— Gła... Glaca! — zaskomlał Mallot.

— Dantes Villeforte?

— Tak, działaliśmy na jego zlecenie... Ten Hunebelle stanowił dla niego zbyt wielkie zagrożenie... Chciał się go pozbyć...

Mallot wciągnął powietrze.

— Ostatnimi czasy kiwaliście Glacę do oporu, co? No widzicie. To jego zemsta...

Łzy spływały Chantal po twarzy. Dwa razy przelknęła, zanim zdołała przemówić, ale później jej głos stał się zimny i niebezpieczny.

— Bierz forsę, Mallot — powiedziała władczo. — I spływaj. Ale powiedz Glacy, że się skończył. Nie będzie litości. Za to, co uczynił, zabiję go. Własnoręcznie. Jak tylko wstanę z łóżka. Może się zaszyć, gdzie tylko chce. I tak go dopadnę. Przysięgam. Zabiję.

Chantal traktowała tę przysięgę z całą powagą. Tymczasem jednak nastąpił szereg zdarzeń, który ją i jej organizację postawił przed innymi poważnymi problemami.

8 listopada Departament Wojny Stanów Zjednoczonych ogłosił komunikat:

„Amerykańskie i brytyjskie wojska lądowe, morskie i powietrzne przeprowadziły dziś w nocy operacje desantowe w licznych punktach francuskiej Afryki Północnej. Naczelne dowództwo armii sprzymierzonych objął general Eisenhower.”

Natomiast 11 listopada Naczelna Kwatera Wehrmachtu podała: *„W ochronie terytorium francuskiego przed mającym lada dzień nastąpić lądowaniem Amerykanów i Brytyjczyków w południowej Francji, wojska niemieckie przekroczyły linię demarkacyjną między okupowanym, a nie okupowanym terytorium Francji. Ruchy wojsk niemieckich przebiegają zgodnie z planem...”*

Rozdział trzeci

1

Centralne więzienie Fresnes leżało osiemnaście kilometrów od Paryża. Brudną średniowieczną budowlę, podzieloną na trzy trakty z licznymi skrzydłami bocznymi, otaczały wysokie mury. Samotne i masywne więzienie stało na ponurej równinie, urozmaiconej tylko gdzieniegdzie karłowatymi drzewami, gnijącymi łąkami i leżącymi odłogiem polami.

W pierwszym traktcie siedzieli więźniowie niemieccy, polityczni i dezerterzy, w drugim francuscy i niemieccy członkowie ruchu oporu, w trzecim zaś sami Francuzi.

Funkcję naczelnika więzienia Fresnes pełnił niemiecki kapitan rezerwy, załoga składała się zarówno z Niemców, jak i Francuzów. Niemieckimi strażnikami byli po większej części starsi wiekiem podoficerowie z Bawarii, Saksonii i Turynii.

W skrzydle C Traktu I pełnili służbę tylko strażnicy niemieccy. Skrzydło to było zarezerwowane dla Służby Bezpieczeństwa z Paryża. W pojedynczych celach tej części zakładu w dzień i w nocy paliło się światło, a więźniów nie wolno było wyprowadzać na spacer poza budynek. Gestapo wynalazło prostą metodę, by odgrodzić ich od wszelkich, nawet najbardziej wpływowych, władz — więźniowie Skrzydła C nie byli nigdzie rejestrowani. Stanowili martwe dusze, praktycznie już ich nie było...

Rankiem 12 listopada, w celi numer 67 Skrzydła C siedział bez ruchu na swej pryczy młody człowiek z pociągłą twarzą i mądrymi, czarnymi oczami. Thomas Lieven wyglądał okropnie. Miał szarą cerę i zapadłe policzki. Ubrany był w stary, o wiele na niego za duży, więzienny drelich. Marzył. Cele nie były ogrzewane.

Już siedem tygodni siedział w tej potwornej, cuchnącej celi. W nocy z 17 na 18 września porywacze przekazali go w okolicach Chalon-sur-Saone dwóm agentom gestapo, którzy przewieźli go do

Fresnes. Od tego czasu czekał, by ktoś go przesłuchał. Nadaremnie. Czekanie powoli wyprowadzało go z równowagi.

Thomas starał się nawiązać kontakt z niemieckimi strażnikami — na próżno. Dobrym słowem i przekupstwem próbował wyjednać sobie lepsze jedzenie — bez skutku. Dzień w dzień jadł wodną zupę z kapustą. Usiłował przemycić gryps do Chantal. Nadaremnie.

Dlaczego nie zjawią się w końcu i nie postawią go pod mur? Przychodzili co ranka o czwartej i wyciągali więźniów z cel. Potem do jego uszu docierał stukot ciężkich butów, pojedyncze rozkazy, bezsilne krzyki, skomlenie wleczonych więźniów. I salwy, jeśli ich rozstrzelano. I nic, jeśli ich wieszano. Najczęściej zapadała głucha cisza.

Thomas nagle zerwał się z pryczy. Usłyszał odgłos obcasów. Drzwi otworzyły się z impetem. W progu stanął niemiecki feldfobel, obok niego dwaj olbrzymi w mundurach SD, służby bezpieczeństwa.

— Hunebelle?

— Tak jest.

— Z nami. Na przesłuchanie.

Wreszcie, pomyślał Thomas, wreszcie coś się zacznie dziać...

Skrępowano go i wyprowadzono na dziedziniec, gdzie czekał już na niego wielki, pozbawiony okien omnibus. Jeden z agentów wpełznął Thomasa w ciemny, wąski korytarz, biegnący wzdłuż pojazdu. Przez całą długość tegoż korytarza ciągnął się szereg drzwi, za którymi kryły się małe cele. Były tak ciasne, że człowiek z ledwością się w nich mieścił.

Do jednej z takich cel wcisnięto Thomasa. Drzwi zatrzasnęły się, zaskoczył zamek. Sądząc po odgłosach, wszystkie pozostałe cele też miały lokatorów. Śmierdziało potem i strachem.

Pojazd ruszył, podskakując na wybojach. Po pół godzinie jazdy zatrzymał się. Thomas usłyszał jakieś głosy, kroki, przekleństwa. Potem drzwi celi otworzyły się.

— Wyłaź!

Thomas chwiejnym krokiem podążył za agentem. Miał zawroty głowy, ale gdy tylko wyszedł na zewnątrz, zorientował się, gdzie jest. Przywieziono go na wytworną Avenue Foch w Paryżu. Wiedział, że SD zarekwirowało tu wiele domów.

Agent wprowadził Thomasa przez hall budynku numer 84 do przekształconego z biblioteki biura.

Wewnątrz siedziało dwóch umundurowanych mężczyzn. Jeden z nich był przysadzisty, jowialny i rumiany na twarzy, drugi wyglądał blado i niezdrowo. Pierwszym był sturmbannführer Walter Eicher, drugim jego adiutant Fritz Winter.

Thomas stanął przed nimi w milczeniu.

Agent złożył meldunek i wyszedł.

— No, Hunebelle, może koniaczku? — odezwał się sturmbannführer bardzo kiepską francuszczyzną.

Jego głos przypominał szczekanie psa. Thomasowi zbierało się na wymioty, ale odparł:

— Nie, dziękuję. Nie mam, niestety, w żołądku odpowiedniego podkładu.

Sturmbannführer Eicher niezupełnie rozumiał, co Thomas mówił do niego po francusku. Jego adiutant przetłumaczył. Eicher roześmiał się.

— Wydaje mi się — wtrącił Winter — że możemy z tym panem porozmawiać także po niemiecku, prawda?

Wchodząc do biura, Thomas spostrzegł leżącą na stoliku teczkę z napisem HUNEBELLE. Nie było sensu zaprzeczać.

— Tak, mówię też po niemiecku.

— To wspaniale, wspaniale. Może jest pan nawet naszym rodakiem, co?

Sturmbannführer przekornie pogroził palcem.

— No, szelmo? Niechże pan powie!

Wypuścił w stronę Thomasa kłęb cygarowego dymu. Thomas milczał.

Sturmbannführer spoważniał.

— Niech pan pomyśli, panie Hunebelle — czy jak się pan tam nazywa — może sądzi pan, że nas bawi to zamykanie pana i przesłuchiwanie? Opowiadano panu o nas straszne historie, prawda? Mogę pana zapewnić, że nasza ciężka służba nie sprawia nam przyjemności. Niemcy, panie Hunebelle, nie nadają się do takiej roboty.

Eicher pokiwał głową ze smutkiem.

— Ale celem najwyższym jest służba narodowi. Przysięgliśmy führerowi. Po ostatecznym zwycięstwie nasz naród obejmie przywództwo nad innymi narodami świata. Akt ten trzeba należycie przygotować. Tu każdy człowiek się liczy.

— Pan też — wtrącił adiutant Winter.

— Słucham?

— Wystrychnął nas pan na dudka, Hunebelle. W Marsylii. Przez pana straciliśmy złoto, kosztowności i dewizy.

Sturmbannführer zaśmiał się gardłowo.

— Niech pan nie zaprzecza, przecież wiemy. Muszę przyznać, że sprytnie pan to zaaranżował. Mądry chłopczyk.

Winter ściszył głos.

— I dlatego, że jest pan takim mądrym chłopcem, powie pan nam teraz, jak się pan naprawdę nazywa i gdzie się podział towar Lessepsa i Bergiera.

— Poda pan nam też oczywiście nazwiska swoich współpracowników — dodał Eicher. — Zajęliśmy już Marsylię. Możemy zaraz skasować wszystkich pańskich kolegów.

Thomas milczał.

— No?

Thomas potrząsnął głową. Właśnie tak sobie to wszystko wyobrażał.

— Odmawia pan zeznań?

— Tak.

— U nas każdy w końcu zaczyna mówić!

Z twarzy Eichera nagle zniknęła życzliwa dobroduszość, nagle zamarł na niej uśmiech.

— Ty skurwielu! — ryknął chrypliwym głosem. — Ty gnido! Już za dużo czasu na ciebie straciłem!

Wstał, kolana mu zdrząły, wyrzucił cygaro do kominka.

— Załatwcie go — rzucił do Wintera.

Winter sprowadził Thomasa do przegrzanej piwnicy. Tu wezwał dwóch ludzi w cywilu, którzy przywiązali go do kotła centralnego ogrzewania, a potem skatowali dokładnie.

Trwało to trzy dni pod rząd. Jazda autobusem z Fresnes do Paryża. Przesłuchanie. Katowanie w piwnicy. Jazda z powrotem. Nieogrzewana cela.

Za pierwszym razem popełnili błąd. Bili za mocno i za brutalnie. Thomas stracił przytomność.

Za drugim razem już nie popełnili tego błędu. Za trzecim też nie. Po trzecim razie Thomasowi brakowało dwóch zębów, a jego ciało w wielu miejscach pokryte było ranami. Po trzecim razie został na dwa tygodnie przeniesiony do szpitala w Fresnes.

Potem wszystko zaczęło się od początku.

Gdy 12 grudnia autobus bez okien kolejny raz wiozł go do Paryża, Thomas Lieven był u kresu sił. Męki stawały się nie do zniesienia. Wyskoczę z okna, myślał. Eicher przesłuchuje mnie teraz na górze, na trzecim piętrze. Tak, wyskoczę z okna. Da Bóg, że zginę na miejscu. Ach, Chantal, ach, Bastianie, tak chciałbym was jeszcze kiedyś zobaczyć...

12 grudnia 1942 roku Thomas Lieven został zaprowadzony do biura pana Eichera. Obok sturmbannführera stał mężczyzna, którego nigdy jeszcze nie widział. Był wysoki, szczupły, siwowłosy i nosił

mundur pułkownika Wehrmachtu z wieloma baretkami odznaczeń. Pod pachą trzymał obszerną teczkę z napisem GEKADOS. Był to skrót od Geheime Kommandosache, Tajna Sprawa Naczelnego Dowództwa.

Eicher sprawiał wrażenie zirytowanego.

— To ten człowiek, panie pułkowniku — powiedział mrukliwie i zakasłał.

— Zabiorę go zaraz ze sobą — oznajmił pułkownik z piersią pełną odznaczeń.

— Ponieważ jest to „Gekados”, nie mogę panu w tym przeszkodzić, panie pułkowniku. Proszę pokwitować przejęcie.

Wokół Thomasa zaczęło wszystko wirować, pokój, obecni tu mężczyźni, wszystko. Stał na chwiejnych nogach w nędznym więziennym drelichu. Zachwiał się, zakrztusił, z trudem chwycił powietrze i myślał o słowach, które znalazł kiedyś w jakiejś książce filozofa Bertranda Russela: „W naszym wieku zdarza się jeszcze tylko to, czego nie sposób przewidzieć...”

2

Thomas Lieven siedział ze skutymi rękami obok siwego pułkownika w limuzynie Wehrmachtu. Jechali przez śródmieście Paryża, które od czasów pokoju prawie wcale się nie zmieniło. Francja zdawała się ignorować okupację. Ulice wrzały gorączkowym życiem. Thomas widział eleganckie panie, śpieszących gdzieś panów, a między nimi — dziwnie nieporadnych i zagubionych — prostych niemieckich żołnierzy.

Pułkownik milczał aż do willowego przedmieścia Saint-Cloud.

— Słyszałem — odezwał się w końcu — że lubi pan gotować, panie Lieven.

Thomas zamarł usłyszawszy własne nazwisko. Jego przewrażliwiony i ponad wszelką miarę nieufny, wymęczony torturami mózg pracował z wysiłkiem. Co to ma znaczyć? Cóż to znowu za nowa pułapka? Spojrzał z boku na siedzącego obok niego oficera. Dobra twarz. Mądra i sceptyczna. Krzaczaste brwi. Orli nos. Wrażliwe usta. Co z tego? W mojej ojczyźnie wielu morderców gra Bacha!

— Nie wiem, o czym pan mówi — bąknął Thomas.

Menu, Paryż, 12 grudnia 1942

Nadziewane bakłażany
Cordon bleu z zielonym groszkiem
Crêpes Suzette

Przy tym posiłku Thomas Lieven zawarł pakt z admirałem diabła.

Nadziewane bakłażany: duże, twarde bakłażany, zwane również oberżynami, obieramy cienko i dzielimy wzdłuż na pół, Wyjmujemy delikatnie środek i mielimy wraz z cielęcym i wieprzowym mięsem, cebulą i namoczonym uprzednio mięszem białej bułki. Do mielonego dodajemy jajko, pieprz, sól, paprykę i nieco pasty sardelowej, tak aby farsz był pikantny. Masą tą napełniamy bakłażany. Do długiej, dobrze wysmarowanej masłem foremki wlewamy odrobinę rosółu i układamy nadziane bakłażany. Następnie posypujemy je startym serem dodając kawałki masła i zapiekamy w średnio gorącym piekarniku około 1/2 godziny.

Cordon bleu: rozbijamy dokładnie delikatne kotlety cielęce i na jedną z połówek każdego z nich kładziemy plaster szynki, na nią kawałek ementalera, tak aby brzeg kotleta nie był niczym przykryty. Ten brzeg smarujemy białkiem i wolną częścią kotleta przykrywamy obłożoną połówką, zaciskając brzegi.

Następnie obtaczamy mięso w mące, lekko solimy i pieprzymy, maczamy w żółtku, a potem w tartej bułce. Smażymy na patelni z dużą ilością masła, obrumieniacząc z obydwu stron na brązowoczerwony kolor. Serwujemy z zielonym groszkiem, który posypujemy delikatnie solą i dekorujemy zieloną pietruszką.

Crêpes Suzette: pieczemy dużą ilość małych, cieniutkich naleśników używając do ciasta wody zamiast mleka. Przy stole na palniku spirytusowym podgrzewamy sporo masła, nie dopuszczając jednak w żadnym razie, by zbrązowiało, dodajemy sok i drobno pokrojoną skórkę z mandarynki lub pomarańczy. Dodajemy również trochę wiśniówki, maraskino, curaçao lub cointreau z odrobiną cukru i podgrzewamy w tłuszczu po jednym omleczku. Następnie rolujemy go i podajemy na podgrzanym talerzu.

— Ależ wie pan, oczywiście, że pan wie — nie ustępował oficer. — Nazywam się Werthe, jestem pułkownikiem kontrwywiadu wojskowego w Paryżu. Mogę uratować panu życie... albo i nie. Wszystko w pańskich rękach.

Samochód zatrzymał się przed wysokim murem, otaczającym rozległą parcelę. Kierowca zderzył trzykrotnie. Ciężka brama rozwarła się, choć nie pojawił się żaden człowiek. Auto ruszyło, by zatrzymać się po chwili ponownie na wysypanym żwirem podjeździe do willi z żółtymi ścianami, francuskimi oknami i zielonymi okiennicami.

— Niech pan podniesie ręce — polecił pułkownik nazwiskiem Werthe.

— Po co?

— Żebym mógł panu zdjąć kajdanki. Ze skutymi rękami dość trudno gotować. Miałbym ochotę na sznycel cielęcy cordon bleu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. I crêpes suzette na deser. Zaprowadzę pana do kuchni. Nanette pomoże panu. To miła dziewczyna.

— Cordon bleu... — powiedział Thomas słabym głosem.

Świat wokół niego znów zawirował. Pułkownik Werthe zdejmował mu właśnie kajdanki.

— No, gotowe.

Żyję, pomyślał Thomas, i oddycham. Czy też da się to jeszcze jakoś wykorzystać? Jego siły żywotne poczęły nieśmiało na nowo kielkować.

— Dobrze — zgodził się. — W takim razie może na zakąskę podamy faszerowane oberżyny?

Pół godziny później Thomas wyjaśniał Nanette jak się przyrządza oberżyny. Nanette była czarnowłosą, niezwykle apetyczną dziewczyną, która na niezwykle obcisłej, czarnej wełnianej sukni nosiła biały fartuszek. Thomas siedział obok niej przy kuchennym stole. Pułkownik Werthe zostawił ich samych. Nawiasem mówiąc, kuchenne okna były zakratowane...

Nanette raz po raz niebezpiecznie zbliżała się do Thomasa. To jej nagie ramię musnęło jego policzek, to znów jędrne udo otarło się o jego biodro. Nanette była prawdziwą Francuzką. Wyczuwała, kogo ma przed sobą. A Thomas, mimo tortur i niedostatku, których doświadczył, wciąż jeszcze był tym, na kogo wyglądał — prawdziwym mężczyzną.

— Ach, Nanette — westchnął wreszcie.

— Tak, monsieur?

— Muszę się przed panią usprawiedliwić. Jest pani tak piękna. I taka młoda. W innych warunkach nie siedziałbym tu jak kołek. Ale jestem skonany. Nie mam siły...

— Pouvre monsieur — szepnęła Nanette.

Potem pocałowała go szybko, przelotnie... i oblała się przy tym rumieńcem.

Jedli w przestronnym, wyłożonym ciemną boazerią pomieszczeniu, którego okna wychodziły na park. Pułkownik występował tym razem w cywilu, miał na sobie nienagannie skrojony flanelowy garnitur.

Nanette podawała do stołu. Jej pełne współczucia spojrzenie nieustannie muskało mężczyznę w zmiętym, powalonym więziennym ubraniu, który jednak zachowywał się jak angielski arystokrata. Musiał jeść lewą ręką, gdyż dwa palce prawej miał zabandażowane...

— Pułkownik Werthe odczekał, aż Nanette podała oberżyny, po czym rzekł:

— Smakowite, w istocie smakowite, panie Lieven. W czym są opieczzone, jeśli wolno spytać?

— W tartym serze, panie pułkowniku. Czego pan chce ode mnie?

Thomas jadł niewiele. Czuł, że po głodowych tygodniach, jakie miał za sobą, nie mógł przeciążyć żołądka.

Pułkownik Werthe natomiast jadł z apetytem.

— Jest pan człowiekiem z zasadami, jak słyszałem. Podobno wolałby się pan dać zabić niż coś zdradzić gestapo, nie mówiąc już o tym, by dla tych ś... dla tej organizacji pracować.

— Tak.

— A dla organizacji Canarisa?

Pułkownik nałożył sobie jeszcze jedną oberżynę.

— Jak udało się panu wydostać mnie od Eichera? — spytał Thomas stłumionym głosem.

— Ach, to bardzo proste. Mamy tu w kontrwywiadzie dobrego fachowca, kapitana Brennera, który już od dawna śledzi pańskie losy. Ma pan na swym koncie spore osiągnięcia, panie Lieven.

Thomas spuścił głowę.

— Tylko bez fałszywej skromności, proszę. Gdy Brenner zwąchał, że gestapo pana arestowało i osadziło w Fresnes, uknuliśmy pewną drobną intrygę...

— Drobną intrygę?

Werthe wskazał na leżącą na stoliku pod oknem teczkę z napisem GEKADOS.

— To nasza metoda przechwytywania więźniów gestapo. Z jakichś starych spraw szpiegowskich konstruujemy nową, nie istniejącą, dopisujemy parę dodatkowych zeznań świadków, opatrujemy różnymi podpisami i możliwie jak największą liczbę pieczętek. To zawsze wywiera wrażenie. W dodatkowych zeznaniach świadków jacyś ludzie twierdzą na przykład, że niejaki Pierre Hunebelle maczał palce w serii zamachów bombowych w rejonie Nantes.

Nanette wniosła cordon bleu.

Rzuciła Thomasowi czułe spojrzenie i, zanim ponownie wyszła, odkroiła mu w milczeniu kawałek mięsa.

— Widzę, że udał się panu podbój — zaśmiał się pułkownik. — Na czym to stanęliśmy? Aha, drobna intryga. A zatem, gdy mieliśmy już gotową naszą sfingowaną dokumentację, poszedłem do Eichera z zapytaniem, czy nie aresztowali przypadkiem niejakiego Pierre'a Hunebelle'a. Udałem kompletnie głupiego. Tak, odparł bez zmrużenia oka, siedzi w Fresnes. Wówczas wetknąłem mu pod nos naszą teczkę. GEKADOS, TAJNA SPRAWA NACZELNEGO DOWÓDZTWA. Potem wystarczyło już tylko wzbudzić nieco popłochu, przyprowadzając całość paroma kluczowymi nazwiskami — Canaris, Himmler i tak dalej — uczynić Eichera powiernikiem tajemnicy państwowej i w końcu dać mu przeczytać dokumentację. Cała reszta, czyli przejęcie niebezpiecznego dla Rzeszy szpiega Hunebelle'a, była już tylko dzieciną igraszką...

— Ale dlaczego, panie pułkowniku? Czego pan chce ode mnie?

— To najlepszy cordon bleu, jaki dane mi było jeść w życiu. No dobrze, teraz poważnie, panie Lieven. Jest pan nam potrzebny. Mamy problem, który może rozwiązać tylko ktoś taki, jak pan.

— Nienawidzę tajnych służb — powiedział Thomas Lieven i z bólem serca pomyślał o Chantal, o Bastianie i wszystkich swych przyjaciółach. — Nienawidzę ich wszystkich. I pogardzam nimi.

— Jest teraz wpół do drugiej — nie dał się zbić z tropu pułkownik. — O czwartej jestem umówiony w hotelu „Lutetia” z admirałem Canarisem. Chce z panem porozmawiać. Może pan pójść ze mną. Jeśli zgodzi się pan na współpracę z nami, mamy dzięki sfingowanej GEKADOS podstawę, by uwolnić pana ze szponów gestapo. Jeśli nie zgodzi się pan na współpracę, wytrąci mi pan broń z ręki. Będę zmuszony przekazać pana z powrotem Eicherowi...

Thomas wbił w niego wzrok. Minęło pięć sekund.

— A zatem? — spytał pułkownik Werthe.

3

— Przewrót w przód! — wrzasnął feldfelbel Adolf Bieselang na całą ogromną salę gimnastyczną. Thomas Lieven stęknął i zrobił koziołka do przodu.

— Przewrót w tył! — wrzasnął feldfelbel Adolf Bieselang. Thomas Lieven stęknął i zrobił koziołka do tyłu. Jedenastu innych mężczyzn

stękało razem z nim — sześciu Niemców, Norweg, Włoch, Ukrainiec i dwóch Hindusów.

Hindusi nawet przy wykonywaniu przewrotów nie zdejmowali turbanów. Tak surowe były ich obyczaje.

Feldfelbel Bieselang nosił mundur niemieckiej Luftwaffe, miał 45 lat, był chudy, blade i cały czas sprawiał wrażenie, jakby miał pęknąć z wściekłości. Gdy tylko się na niego spojrzano, zdejmowało człowieka przerażenie. Grozę budziły jego wielkie, szeroko rozwarte usta z licznymi plombami w uzębieniu. Feldfelbel Bieselang prawie zawsze miał szeroko rozwarte usta, za dnia przy wrzasku, nocą przy chrapaniu.

Arena działania feldfelbla Bieselanga — od dwóch lat wdowiec, dorosła, niezwykle piękna córka — leżała 95 kilometrów na północny zachód od stolicy Rzeszy Berlina, w pobliżu miejscowości Wittstock nad rzeką Dosse.

Feldfelbel Bieselang szkolił spadochroniarzy i to — ku swemu rozgoryczeniu — nie w mundurach, lecz w cywilu, wielce podejrzanych facetów, wykonujących wielce podejrzane zadania. Krajowców i cudzoziemców. Odrażającą hołotę. Co tu dużo gadać — cywili.

— I przeewrót w przód!

Thomas Lieven, alias Jean Leblanc, alias Pierre Hunebelle, alias Eugen Wälterli zrobił przewrót w przód.

Był 3 lutego 1943 roku.

Panował przejmujący chłód, a niebo nad Marchią Brandenburską przypominało szarą chustkę. Powietrze nieustannie przeszywał huk lecących lotem koszącym samolotów szkoleniowych.

Gdzie tu zanosło, zapyta słusznie przychylny czytelnik, Thomasa Lievena, niegdyś najmłodszego, najbardziej eleganckiego i najbardziej wziętego prywatnego bankiera Londynu? Jaki kaprys losu rzucił go do sali gimnastycznej ośrodka szkoleniowego Wittstock nad rzeką Dosse?

Thomas Lieven, pacyfista i smakosz, człowiek, który kochał kobiety i gardził wojskiem, nieprzejednany wróg tajnych służb, znów zdecydował się pracować dla wywiadu. Pojechał z pułkownikiem Werthem do paryskiego hotelu „Lutetia”, gdzie spotkał się z admirałem Canarisem, tajemniczym szefem niemieckiego kontrwywiadu.

Thomas Lieven wiedział, że wydany gestapo w ciągu miesiąca pożegna się z życiem. Już stwierdzono w jego moczu ślady krwi. Pomyślał też sobie, że najbardziej koszmarnie życie i tak jest lepsze niż najbardziej zaszczytna śmierć.

Mimo to nie ukrywał przed siwowłosym admirałem swych przekonaniań.

— Panie Canaris, będę dla pana pracował, bo nie mam innego wyjścia, ale niech pan przyjmie do wiadomości, że nigdy nikogo nie zabiję ani nie uprowadzę, że nie będę nikomu groził, nikogo straszył ani gnębił. Jeśli ma pan zamiar powierzyć mi tego typu zadanie, to wolę wrócić na Avenue Foch.

Admirał ze smutkiem w oczach pokręcił głową.

— Panie Lieven, misja, jaką zamierzam panu zlecić, ma zapobiec przelewowi krwi i ratować ludzkie życie... Jeśli jest to jeszcze w ogóle w naszej mocy.

Canaris podniósł głos.

— Życie Niemców i Francuzów. Czy to panu odpowiada?

— Ratowanie ludzkiego życia jest zawsze czymś pięknym. Narodowość i religia nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

— Chodzi o zwalczanie niebezpiecznych francuskich oddziałów partyzanckich. Jeden z naszych ludzi donosi, że pewne nowo utworzone silne ugrupowanie partyzanckie podejmuje próby nawiązania kontaktu z Londynem. Jak wiadomo brytyjskie „War Office” wspiera francuską resistance i kieruje wieloma jej oddziałami. Rzeczony ugrupowanie potrzebuje jeszcze radiostacji i klucza kodowego. Pan, panie Lieven, im to dostarczy.

— Aha — powiedział Thomas Lieven.

— Mówi pan płynnie po angielsku i po francusku. Mieszkał pan przecież przez całe lata w Anglii. Wskoczy pan ze spadochronem jako brytyjski oficer nad terenem ich działania i dostarczy im pan radiostację. Szczególnego rodzaju radiostację.

— Aha — powiedział Thomas Lieven po raz drugi.

— Poleci pan brytyjskim samolotem. Mamy parę zdobywczych maszyn RAF-u, których używamy do takich operacji. Oczywiście wcześniej musimy pana przeszkolić w skokach ze spadochronem.

— Aha — powiedział po raz trzeci Thomas Lieven.

4

— I przeewrót w przód! — wydierał się Bieselang.

Dwunastoma mężczyznami, którzy w brudnych drelichowych ubraniach kulali się przed nim po brudnym parkiecie hali sportowej, szalejący feldfelbel pomiałał od czterech dni. Byli całkowicie odizolowa-

ni od równo tysiąca regularnych żołnierzy, przechodzących szkolenie spadochronowe w Wittstock nad rzeką Dosse.

— I przeewrót w przód!

Thomas Lieven — już cały spocony i z obolałymi kośćmi — znów potoczył się do tyłu. Obu Hindusom, ćwiczącym obok niego, turbany zsunęły się na oczy.

Wy durne psy, myślał Thomas. Ja muszę, ale wy? Wy zgłosiliście się dobrowolnie, palanty! Włoch to facet żądny przygód, Norweg, Ukraińiec i Niemcy najwidoczniej idealisci, natomiast Hindusi byli kuzynami polityka nazwiskiem Subhas Chandra Bose, który przed dwoma laty zbiegł ze swojej ojczyzny do Niemiec.

— No, koniec z przewrotami! Powstań, naprzóóód marsz, raz dwa, raz dwa! Do drążków! Żywiej, żywiej, ruszcie się trutnie przebrzydłe, na co czekacie!?

Dwunastu zdyszanych mężczyzn w drelichowych ubraniach, z kolką w boku i bólem serca, popędziło bezładnie do wysoko zawieszonych drążków i zaczęło się na nie wspinać. Drążki znajdowały się pod sufitem hali, pięć metrów nad ziemią.

— Kołysać się! Będziecie się porządnie kołysać wy obzarte dekonwniki?!

Thomas Lieven kołysał się. Znał już to wszystko, była to część tak zwanych ćwiczeń naziemnych. Uczyli się spadać. Wszystko wskazywało na to, że wyskoczyć z samolotu nie było żadną sztuką. Chodziło, jak się wydaje, tylko o to, by nie pogruchotać sobie kości przy lądowaniu.

— Jeszcze dziesięć sekund... jeszcze pięć sekund... spadać! — wrzeszczał feldfelbel Bieselang.

Dwunastka mężczyzn puściła drążki i zaczęła spadać. Nogi w kolanach rozluźnione, sprężyste, ciało elastyczne, tak jak spada kot — o to tu głównie chodziło. Gdy się usztywnisz, możesz sobie pogruchotać kości.

Thomas Lieven prawie pogruchotał sobie kości, gdy huknął o podłogę hali. Zaklął cicho i zaczął rozcierać obolałe nogi.

— Za głupi, żeby dobrze spadać, co, numer siedem? — rozdarł się natychmiast Bieselang.

Wszyscy mieli przydzielone numery, nie padało żadne nazwisko.

— Jak pan sądzi, drętwa padlino, co się z panem stanie, jeśli przyjdzie panu skakać przy porządnej wicherze? Czy ja tu mam do czynienia z samymi idiotami?

— Dobrze, dobrze — mruknął Thomas, podnosząc się z trudem — jeszcze się tego nauczę. W końcu to ja mam w tym największy interes.

— Do poręczy, żywo, żywo! — krzyknął feldfelbel Bieselang. — Do roboty, wy nędzni, gnuśni cywile... Hej, numer dwa, dalej, runda honorowa wokół hali... ale na kolanach!

— Zatłukę go — wyszeptał norweski Quisling, wspinając się obok Thomasa — przysięgam, jeszcze go kiedyś zatłukę, tego nędznego oprawcę!

Podczas wspinania, kołysania i spadania prześladowały Thomasa ponure myśli. Żadnych wieści z Marsylii. Ani słowa od Chantal. Bastian też milczy. Thomas myślał o tym z bólem serca. Co za czasy. Czy chęć przeżycia rzeczywiście była czymś najważniejszym i ostatecznym? Czy tylko po to ta cała walka?

Niemcy zajęli Marsylię. Co się stało z Chantal? Czy żyła? A może ją deportowali, aresztowali? Może była torturowana jak on?

Gdy Thomas Lieven zrywał się z takich złych snów, nie mógł zmrużyć oka do rana. Leżał w obrzydliwej koszarowej sali, gdzie szczęściu mężczyzn stękało i chrapało. Chantal... A przecież właśnie chcieliśmy uciec do Szwajcarii i wieść spokojne życie... spokojne życie, dobry Boże...

Thomas już dawno próbował wysłać list do Chantal. Jeszcze w Paryżu, w hotelu „Lutetia”, pułkownik Werthe obiecał mu pomoc. Także jednemu z tłumaczy Ośrodka Szkolenia Językowego, który właśnie jechał do Marsylii, dał list. Tylko że Thomas w ciągu ostatnich paru tygodni kilkakrotnie zmieniał adres. Jakim sposobem list Chantal miał do niego dotrzeć?

Wścikły feldfelbel Bieselang nadal okrutnie pastwił się nad swą dżunastką. Po ćwiczeniach naziemnych w hali przyszła kolej na szkolenie na zamarzniętych na kość, pokrytych szronem polach. Tu zakładano kursantom otwarty spadochron i włączano zamontowany na cokole silnik lotniczy. Spadochron nadymał się pod wpływem potężnych zawirowań powietrza i włókł kandydatów bezlitośnie po ziemi. Kursant musiał się nauczyć obiec go i paść na niego tak, by wyprzeć z niego powietrze.

Nie sposób było uniknąć blizn i ran, rozbitych kolan i zwichniętych stawów. Feldfelbel Bieselang znęcał się nad swoimi podopiecznymi od szóstej rano do szóstej wieczorem. Kiedyś zaprezentował im makietę samolotu Ju—52 i kazał z dużej wysokości skakać z niej na płachty trzymane przez czterech kursantów.

— Wyprostować nogi w kolanach, cymbale! Wyprostować nogi! — ryczał.

Jeśli lądowało się na ugiętych kolanach, można było albo roztrzaskać sobie nimi twarz, albo pozrywać wszystkie mięśnie. Feldfelbel

przyswajał swym uczniom wszystkie potrzebne im umiejętności, tyle że czynił to zbyt okrutnie.

Wieczorem przed pierwszym prawdziwym skokiem ze spadochronem, kazał im spisać i zapieczętować w kopercie testament. Przed pójściem spać musieli też spakować wszystkie swoje rzeczy.

— Żebyśmy mogli to wysłać waszym krewnym, gdybyście jutro pospadali na pyski i odwalili kitę.

Bieselang wmawiał sobie, że jest to psychologiczna pułapka, Chciał zobaczyć, która z jego ofiar w nią wpadnie! Wpadli wszyscy. Oprócz jednego.

— Gdzie pański testament, numer siedem? — szalał Bieselang.

— Nie potrzebuję — odparł Thomas pokorny jak owieczka. — Ktoś, kto przeszedł szkolenie pod pańskim okiem, panie feldfelbel, nie musi się niczego obawiać!

Następnego dnia feldfelbel Bieselang ostatecznie przekroczył swe kompetencje. Około dziewiątej rano wystartował ze swą dwunast osobową grupą na pokładzie rozklekotanego Ju-52. Na wysokości ośmiuset metrów maszyna nadleciała nad teren skoków. Cała dwunastka stała szeregiem w kadłubie maszyny, przygotowana do skoku z samoczynnym otwarciem spadochronu, zwanego potocznie skokiem „na linkę”. Rozległ się sygnał pilota.

— Przygotować się do skoku! — wrzasnął Bieselang, który stał po odwietrznej stronie otwartego luku. Wszyscy mieli tego dnia stalowe hełmy, Hindusi założyli je na turbany. W rękach ściskali ciężkie pistolety maszynowe.

Numerem jeden był Włoch. Postąpił krok do przodu. Bieselang trzepnął go w plecy, Włoch rozpostarł ramiona i wyskoczył w stronę lewego skrzydła, w pustkę. Przyczepiona do stalowej szyny linka naprężyła się i wyrwała mu ze spadochronu zawleczkę. W powietrzu Włoch natychmiast został porwany w dół do tyłu.

Wyskoczył numer dwa. Potem trzy. Thomas myślał: Jakie mam suche wargi. Czy stracę w powietrzu przytomność? Może się zabiję? Dziwne, ale nagle naszła mnie straszna ochota na gęsie wątróbki. Ach, dlaczegoż to nie pozwolono mi zostać z Chantal? Byliśmy ze sobą tak szczęśliwi...

Przyszła kolej na numer sześć — Ukrainka. Ten nagle cofnął się przed Bieselangiem, zderzył z Thomasem i zaskrzeczał w panice:

— Nie... nie... nie...

Napad strachu. Typowy napad strachu. Trudno mieć do niego pretensje, zarejestrował mózg Thomasa Lievena. Nikogo nie można zmusić do skoku — tak stanowił jeden z przepisów szko-

lenia. Jeśli ktoś dwa razy odmówił skoku, zostawał definitywnie wyeliminowany.

Tylko że feldfebel Bieselang miał gdzie przepisy.

— Ty psie zasrany — wrzasnął — tchórzliwa świnio, już ja cię...

Chwyił trzęsącego się ze strachu kursanta, szarpnął go ku sobie, a potem dał mu potężnego kopa w tyłek. Ukraińiec z krzykiem przerażenia wyleciał na zewnątrz.

Zanim Thomas zdołał dojść do siebie po tej scenie, także on poczuł szarpnięcie. But feldfebla potraktował go tak, jak jego poprzednika. Zaczął spadać, spadać, spadać w samo serce pustki.

5

Nasz przyjaciel przeżył bez szwanku swój pierwszy w życiu skok spadochronowy. Także wszyscy inni wylądowali szczęśliwie. Tylko Ukraińiec złamał sobie nogę. Z frakturą i szokiem nerwowym przewieziono go do szpitala. Tego popołudnia — właśnie ćwiczyli w hangarze składanie spadochronów — po członkach grupy przeszedł szmer, zajadle szepotali o czymś między sobą.

Norweg żarliwie opowiadał się za zbiorowym morderstwem. Bieselang spał w osobnym pokoju, z dala od wieloosobowych sal kursantów. Spał głęboko...

Niemcy byli za złożeniem skargi u komendanta lotniska i odmówieniem wykonywania poleceń.

Włoch i Hindusi skłonni byli dać mu porządny wycisk, ale półżywemu jednak odpuścić. Wszyscy mieliby do tego przyłożyć ręki, wówczas nikt nie mógłby zostać ukarany indywidualnie.

Okazało się, że tak przez Thomasa Lievena znieawidzone życie obozowe odcisnęło jednak swe piętno na jego sposobie wyrażania myśli.

— Już wam tu mózgi rozwodniono, co? — powiedział do spis-kowców w czasie jednej z przerw na papierosa. — Wiecie, jaki to odniesie skutek? Bieselang dostanie awans, a nas wtrąca do bunkra. Wszystkich.

Norweg zgrzytnął zębami z wściekłości.

— Ale ten skurwiel... ten parszywy pies... No to co z nim zrobić?

— Też już o tym myślałem — odparł Thomas. — Zaprosimy go na przyjęcie...

Menu, Paryż, wrzesień 1943

Bulion

Poładwica wołowa à la Colbert

Pudding rodzynekowy z sosem Chaudeau

Jak Thomas Lieven „zmięcza” wściekłego feldfwebła.

Bulion: każda pani domu przyrządzi go w znany sobie sposób z wołowiny z kością i włoszczyzn.

Poładwica à la Colbert: do przyrządzenia tej potrawy potrzebujemy: 3 funty poładwicy wołowej, sól, pieprz, 30 g masła, 30 g pieczarek lub namoczonych grzybów suszonych, 5 g pietruszki, 1 kapustę włoską, 1 funt świeżej słoniny i 150 g tłuszczu do pieczenia. Oczyszczoną poładwicę nakrawamy wzdłuż głównej płaszczyzny, by uzyskać na wierzchu płat mięsa grubości 1 cm, który można odgiąć jak wieko walizki. Siekamy drobno cebulę, pietruszkę i pieczarki, obrumieniamy na gorącym maśle i wsuwamy to pod naciętą pokrywę mięsa. Rozbieramy kapustę włoską na liście, obcinając wypukłe, grube żyłki i gotujemy je we wrzącej, osolonej wodzie. Następnie owijamy mięso liśćmi kapusty, a potem cienko pokrojoną słoninką. Całość owijamy nićmi, po czym pieczemy w piekarniku. Przed podaniem oddzielamy tłuszcz z sosu uzyskanego przy pieczeniu i zagotowujemy go na krótko z odrobiną masła i rosółu.

Pudding rodzynekowy: mieszamy 4 żółtka i 1/2 funta mąki, 3/8 l mleka, 80 g cukru, 1/2 funta rodzynek, 1/2 funta koryntek, 1/2 funta dobrze posiekanego tłuszczu od nerek, 30 g skórki pomarańczowej i 30 g cytrynowej — te ostatnie drobno posiekane. Dodajemy 1/4 startej gałki muszkatolowej, 1/2 szklanki rumu i odrobinę soli. Wyrabiamy wszystko razem, dodajemy ubitą pianę z białek i gotujemy w dobrze wysmarowanej masłem formie puddingowej około 4 godzin. Przy podaniu polewamy pudding rumem, zapalamy i płonący dajemy na stół.

Chaudeau: rozbełtujemy 1/4 l białego wina, 2 jajka, 50 g cukru, startą skórkę cytrynową z 1/4 cytryny, sok z 1/2 cytryny i 5 g mączki ziemniaczanej. Na parze ubijamy sos na pianę i podajemy do puddingu.

To przyjęcie, które odbyło się 26 lutego 1943 roku w domu właściciela gospody w Wittstock, Friedricha Ohnesorge, wspomina się do dziś. Elfriede Bieselang, śliczna jak malowanie córeczka feldfwebła, pracowała u Ohnesorge'a jako kelnerka.

W jakimś niepozornym sklepiku Thomas odkrył różne absolutnie niezbędne drobiazgi: suszone grzyby, koryntki, rodzyнки, cytrynową i pomarańczową cykatę.

Płowowłosa Elfriede pomagała mu przyrządzić polędwicę wołową, narzekając na swego ojcowskiego stwórcę:

— Wcale niewart tego trudu, ten stary nieudacznik! To wstrętny, ograniczony żołdak! Bez przerwy gędzi o swych bohaterskich czynach. Inni to dla niego sami tchórze, on sam natomiast jest zawsze bohaterem!

— Elfriede — badał Thomas, skrapiając przy tym ostrożnie wodą kawałeczki pomarańczowej i cytrynowej cykaty — niech mi pani powie, dorodne dziecko, czy pani świętej pamięci mama wysłuchiwała wojennych opowieści ojca pani?

Elfriede wybuchnęła śmiechem.

— Mama? Gdy tylko zaczynał, wychodziła z pokoju. Mawiała zawsze: „W Grecji umiałeś strzelać, w domu nie za bardzo!”

— To jasne — rzekł Thomas poważnie — w ten sposób obie te sprawy nałożyły się na siebie.

— Nie rozumiem, panie Lieven.

— Człowiek, piękna, młoda, jasnowłosa Elfriede, jest wytworem swego otoczenia — jeśli wolno mi przytoczyć tę marksistowską maksymę w naszych wspaniałych narodowosocjalistycznych czasach.

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan gada — przyznała się Elfriede, podchodząc bardzo blisko do Thomasa — ale jest pan tak miły, tak uprzejmy, tak wykształcony...

Thomas nie zareagował.

— I dlatego pani ojciec stał się taki zły, jaki dziś jest.

— Dlaczego?

— Nikt go nie słuchał, nikt nie podziwiał, nie kochał...

Elfriede stała teraz tak blisko niego, jej wargi były rozchylone w takim oczekiwaniu, że po prostu musiał ją pocałować. Trochę to trwało.

— Byłbyś dla mnie odpowiednim mężczyzną — szeptała w jego ramionach, podczas gdy w piekarniku obok nich skwierczała polędwica wołowa Colbert — my oboje... gdybyśmy się złączyli do kupy... Ale ty jesteś dla mnie za... za wysokie progi... To z moim starym... jeszcze nikt mi tego tak nie wyjaśnił, jak ty...

— Bądź dla niego trochę miłsza — poprosił Thomas — będziesz, co? Słuchaj czasem tego, co mówi. Zaskarbisz sobie w ten sposób wdzięczność wielu panów z obozu.

Elfriede rozeźmiała się i pocałowała go ponownie. Ale mimo słodczy tego pocałunku siedemnastolatki, Thomas myślał o Chantal. Myśle o niej, myślał, całując inną. Mój Boże, ja ją kocham, kocham Chantal...

Przyjęcie, do którego wszyscy zaproszeni nastawieni byli bardzo sceptycznie, okazało się jednym wielkim sukcesem.

Thomas wygłosił krótką mowę na cześć honorowego gościa Adolfa Bieselanga, którą zakończył następującymi słowy:

— ... i tak, dziękujemy panu, szanowny panie feldfeblu, za to, że bezlitosną surowością, z samopoświęceniem i niestrudzonym troskliwym nadzorem, a kiedy nie było innego wyjścia, także kopniakami, pomógł nam pan zwyciężyć naszą wewnętrzną podłość...

Słyszac te słowa, Bieselang wstał ze łzami w oczach, i wygłosił mowę, którą rozpoczął następującymi słowy:

— Wielce szanowni panowie, nigdy bym nie przypuszczał, że dany mi będzie jeszcze kiedyś w życiu taki piękny moment...

Tama została przerwana. Feldfeblowi Adolfowi Bieselangowi pozwolono mówić, wreszcie, wreszcie. Po tylu złych, długich latach dano mu mówić! I mówił. W trakcie spożywania rosołu o Norwegii, przy połędwicy wołowej o Grecji, w czasie rodzynkowego budyniu o Krecie.

Na drugi dzień przed grupą stanął do gruntu odmieniony Adolf Bieselang i powiedział:

— Panowie, dziękuję wam za piękny wieczór. Chciałbym panów teraz prosić, byście udali się za mną do samolotu. Musimy jeszcze, niestety, poćwiczyć nieco skakanie.

6

Gdy wieczorem 27 lutego Thomas wracał do swojej kwatery, przechodził obok wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego, który oddzielał ośrodek szkolenia agentów od terenów Luftwaffe. Po drugiej stronie ogrodzenia stał skoczek spadochronowy i gwizdał na niego.

— Hej!

— Słucham?

— Opis, który mi dał ten Bastian, pasuje do ciebie.

Z Thomasa opadło nagle całe zmęczenie.

— Bastian?

— Nazywasz się Pierre Hunebelle?

— Tak, to ja... Czy wiesz... Masz może też jakieś wieści o niejakiej Chantal Tessier?

— Tessier? Nie... znam tylko tego Bastiana Fabre'a... Dał mi trzy złote monety za dostarczenie tego listu... Muszę pryskać, stary, bo mnie mój feldfel capnie...

Thomas stał z kopertą w ręce. Po chwili przysiadł na jakimś polnym kamieniu. Zapadał zmierzch. Było zimno, ale Thomas nie odczuwał chłodu. Rozerwał kopertę, wyjął list i zaczął go czytać. Jego serce biło, waliło jak wielki, ogromny młot...

Marsylia, 5.2.1943

Mój drogi, stary Pierre!

Nie mam pojęcia, jak mam ten list zacząć. Może, gdy piszę te słowa, już wachasz kwiatki od spodu.

W ciągu ostatnich tygodni laziłem bez celu i spotkałem faceta, co to strzela na dwie bramki — pracuje i dla resistance, i dla Niemców. No więc, ten facet słyszał w Paryżu, co się z Tobą działo. Te przekłete gestapowskie świnię. Jak dorwę kiedyś któregoś z nich, uduszę go własnymi rękami. Teraz, tak nadawał ten kumpel, podobno zmieniles drużynę. Nie do wiary. I gdzieś w pobliżu Berlina szkolą cię na spadochroniarza. Człowieku, bo się zlej!

Mój Pierre skoczkim spadochronowym! Jakie to by było śmieszne, gdyby nie było takie smutne.

W Montpellier poznałem takiego jednego niemieckiego żołnierza, jest w porządku. Do tego jeszcze posmarowałem mu łapę. Jedzie do Berlina. Dam mu dzisiaj ten list.

Chantal dostała od ciebie dwa listy, ale nie mieliśmy nikogo pod ręką, żeby dostarczył odpowiedzi.

Drogi Pierre, wiesz, jak cię lubię... dlatego tym trudniej przychodzi mi napisać ci to, co się stało. 24 stycznia niemieckie dowództwo ogłosiło, że stara dzielnica portowa ma zostać oczyszczona!

Tego dnia w naszym rejonie aresztowali około 6000 ludzi — wielu z nich znasz — i zamknęli ponad 1000 barów i burdeli. Takich zapasów w damskim wykonaniu jeszcze nie widziałeś!

Niemcy dali mam tylko cztery godziny na opuszczenie kwater, zaraz potem wkroczyły ich oddziały z zadaniem wysadzenia całego kramu w powietrze. Chantal, stary Francois (Kopyto, pamiętasz go jeszcze?) i ja byliśmy do końca razem. Chantal była jak pijana, jakby się prochów nażarła! Myślała tylko o jednym — sprzątnąć Glacę! Dantes Villeforte, pamiętasz? To ta po trzykroć przekłeta świnię wydała cię w ręce gestapo.

A więc, tego wieczoru czekaliśmy na niego w bramie wjazdowej przy Rue Mazenod, naprzeciw domu, w którym mieszkał. Wiedzieliśmy, że schował się w piwnicy. Chantal powiedziała: „Teraz, gdy Niemcy

wysadzają domy, musi wyleźć". No więc czekaliśmy. Całymi godzinami. Chłopie, co to był za wieczór! Dym i kurz i pył w powietrzu, dom za domem wylatywał w powietrze, mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczały, dzieci płakały...

7

Powietrze było pełne dymu, kurzu i pyłu. Eksplozje wstrząsały ziemią, mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczały, dzieci płakały...

Było już ciemno. Tylko czerwona, niesamowita poświata płonących domów rozświetlała Starą Dzielnicę. Chantal stała nieruchomo w mrocznym łuku bramy. Miała na sobie długie, obcisłe spodnie i skórzaną kurtkę, włosy przepasała czerwoną chusteczką. Pod kurtką chowała pistolet maszynowy. Na jej bladej, kociej twarzy nie drgał żaden mięsień.

Znów jakiś dom wyleciał w powietrze. Posypały się odłamki cegieł. Zapanował zgiełk, rozległy się niemieckie przekleństwa, krzyki, tupot podkutyh butów.

— Boże na wysokościach, musimy wiać — naciskał Bastian. — W każdej chwili mogą tu być Niemcy! Jak nas zobaczą... z bronią w ręku...

Chantal w milczeniu potrząsnęła głową.

— Spadajcie, ja zostaję.

Jej głos był zachrypły. Kaszłała.

— Glaca siedzi tam w piwnicy, wiem o tym. Musi wyjść, pies. Zabiję go. Przysięgam, że go zabiję. Choćby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu!

W pewnym momencie dotarły do nich przeraźliwe piski. Spojrzeli w górę ulicy. Żołnierze pędzili przed sobą gromadkę kobiet. Część dziewczyn miała na sobie tylko poranniki lub peniuary. Okładały Niemców jak tylko mogły, gryzły, kopały i drapały, broniły się przed wywózką rękami i nogami.

— To dziewczyny od madame Yvonne — powiedział Kopyto.

Gromadkę dziewcząt przeganiano właśnie obok nich. Nie nadające się do druku przekleństwa i wyzwiska pobrzmiwały w powietrzu.

— Patrz! — krzyknął nagle Bastian.

W bramie wyjazdowej naprzeciwko pojawił się Dantes Villeforte w towarzystwie trzech innych mężczyzn. Glaca miał na sobie krótką

futrzaną kurtkę, ludzie z obstawy grube swetry. Z kieszeni ich spodni wystawały kolby pistoletów.

Bastian poderwał rewolwer, ale Chantal zabiła mu lufę do dołu.

— Nie! — zawołała. — Trafisz którąś z dziewczyn!

Kobiety ciągle jeszcze szamotały się z niemieckimi żołnierzami na wysokości bramy.

Potem wszystko nastąpiło bardzo szybko po sobie.

Dantes podbiegł skulony do jednego z żołnierzy, uważając by między nim a Chantal zawsze znajdował się albo jakiś Niemiec, albo dziewczyna i pokazał mu legitymację podpisaną przez niejakiego sturmbannführera Eichera z SD w Paryżu. Potem Glaca zasypał podoficera potokiem słów, wskazując przy tym na bramę, w której stali Chantal, Bastian i Francois.

Chantal natychmiast poderwała pistolet maszynowy, wycelowała i... zawahała się, bo ciągle jeszcze dziewczyny znajdowały się w polu ostrzału.

Ta chwila wahania kosztowała Chantal życie. Z podstępny uśmiechem Villeforte, przyczajony za jedną z dziewczyn, podniósł pistolet i wystrzelał cały magazynek.

Nie wydawszy z siebie ani tonu, Chantal skuliła się i runęła na brudną ziemię. Krew, potok krwi, zabarwił jej skórzaną kurtkę na czerwono. Nie ruszała się już. Jej piękne oczy zgasły.

— Dalej! — wrzasnął Francois. — Przez podwórze! Przez mur!

Bastian wiedział, że teraz o wszystkim zadecydują sekundy. Odwrócił się i wypalił w stronę Villeforte'a. Zauważył, że gangster drgnął i złapał się za lewe ramię, usłyszał też jego kwik, przypominający zarzynanego wieprza.

Potem Bastian i Francois ruszyli pędem w wyścigu o życie. Znali każdy kamień w Starej Dzielnicy. Za murem znajdował się włącz do kanału. Wszedłszy do niego w tym miejscu, można było wyjść poza Starą Dzielnicą.

8

— ... doszliśmy do starego kanału, a potem zapadliśmy się w bezpiecznym miejscu, pisał Bastian Fabre.

Thomas Lieven opuścił list, wpatrzył się w zmierzch i w fioletowy opar, który słał się tu wieczorową porą, potem otarł łzy z oczu i czytał dalej:

Ja zaszyłem się w Montpellier. Jeśli kiedykolwiek tu przyjedziesz, pytaj o mnie u mademoiselle Duval, 12 Boulevard Napoleon, to moja obecna pieszczołka.

Pierre, mój Boże, Pierre, nasza droga Chantal nie żyje. Wiem przecież, jak byliście sobie bliscy. Powiedziała mi, że może nawet się pobierzecie. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, i dlatego rozpaczam razem z tobą. Życie to jedno wielkie merde. Czy zobaczymy się jeszcze kiedyś? Kiedy? Gdzie? Trzymaj się, mój stary. Rzygać mi się chce na myśl o tym wszystkim! Nie mogę dalej pisać.

Bastian.

Zapadł zmrok. Thomas wciąż jeszcze siedział na przydrożnym kamieniu. Było zimno, ale nie czuł chłodu. Po jego twarzy spływały łzy.

Nie żyje. Chantal nie żyje. Nagle schował głowę w ramionach i zaczął głośno. O Boże, jak tęsknił, jak strasznie tęsknił za nią, za jej dzikością, śmiechem, jej miłością.

W dali, w koszarach, wykrzykiwano jego nazwisko, szukano go, ale on nic nie słyszał. Siedział w chłodzie, myślał o swej utraconej miłości i płakał.

9

4 kwietnia 1943 roku, krótko przed północą, brytyjski samolot typu „Blenheim” przyleciał na wysokości 600 metrów nad bezludny, zalesiony teren między Limoges a Clermont-Ferrand. Zatoczył ogromny łuk i przeleciał nad lasem po raz wtóry. Teraz w głębi pod nim zapłonęły dwa ogniska, po nich rozbłysły trzy czerwone punkty świetlne, w końcu zaczął migać biały sygnał elektrycznej latarki.

W kabinie samolotu, z niebiesko-biało-czerwonymi kręgami RAF-u, siedziało dwóch niemieckich pilotów Luftwaffe i niemiecki radiotelegrafista Luftwaffe. Za nimi stał mężczyzna w ziemistobrunatnym kombinezonie, made in England, ze spadochronem angielskiej produkcji.

Mężczyzna ten posiadał znakomicie podrobione dokumenty osobiste na nazwisko Robert Almond Everett oraz książeczkę wojskową, z której wynikało, że był kapitanem. Miał obwisłe, sumiaste wąsy i długie, gęste bokobrody. Oprócz tego miał przy sobie angielskie papierosy, angielskie konserwy i angielskie lekarstwa.

Pilot odwrócił się w jego stronę i skinął głową. Thomas Lieven wyciągnął z kieszeni swój staroświecki złoty repetier i uruchomił mechanizm. Godzina zero dwadzieścia osiem.

Przy pomocy radiotelegrafisty wyrzucił z otwartego luku pokazny pakunek na spadochronie transportowym, po czym sam stanął przy luku. Radiotelegrafista podał mu rękę.

Thomas skulił się, tak jak go uczono, i w myślach poprzysiął: Jeśli przeżyję, jeśli kiedykolwiek jeszcze spotkam Dantesa Villeforte'a na tym świecie, pomszczę cię, Chantal, pomszczę cię. I mruknął pod nosem niedorzecznie: Kocham się, Chantal.

Potem rozrzucił ramiona i skoczył, na lewe skrzydło, w ciemną noc...

W pierwszych dziesięciu sekundach opadania myślał: Przecież nikt w to nie uwierzy! Gdy kiedykolwiek opowiem to w moim londyńskim klubie, natychmiast mnie wyślą do domu wariatów. To nie do wiary. Już prawie cztery lata żyję w tym obłądnym świecie. Wyprowadziłem w pole angielski, niemiecki i francuski wywiad — ja, właśnie ja, człowiek, którego jedynym życzeniem było żyć w pokoju, dobrze jeść i adorować piękne kobiety! W Lizbonie nauczyłem się fałszować paszporty. W Marsylii założyłem uniwersytet dla złoczyńców. Podałem się konieczności, zdradzając własną cnotę. To się w głowie nie mieści.

W dole pod sobą Thomas widział małą polanę, a na niej płomień dwóch ognisk i trzy czerwone światełka latarek.

Podczas drugich dziesięciu sekund opadania myślał: Muszę wylądować w trójkącie między czerwonymi punktami świetlnymi. Tam znajduje się goła, bezdrzewna polana. Jeśli nie wyląduję w trójkącie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że jakaś gałąź dębu wbije mi się w... Mój Boże, przecież ja w tym miesiącu kończę trzydzieści cztery lata! Trochę posterować rękami. Wspaniale. Znow nad trójkątem. Dzielni francuscy partyzanci trzymają tam w dole czerwone latarki. Sądzą, że przysłała mnie do nich pułkownik Buckmaster z Londynu. Gdyby przypuszczali, że przysłała mnie admirał Canaris z Berlina...

W ostatnich dziesięciu sekundach opadania myślał: Taki obwisty, sumiasty wąs to chyba coś najbardziej obrzydliwego na świecie! Naprawdę! Włosy bez przerwy wchodzą mi do ust. I do tego długie bokobrody. Wujowie z Abwehry zmusili mnie, żebym je zapuścił. Sumiaste wąsy i bokobrody. Typowe dla wywiadów! Żebym wyglądał po angielsku. Jak gdyby prawdziwy angielski captain, gdyby miał zamiar wyskoczyć w tajnej misji nad okupowaną przez Niemców Francją, natychmiast nie obciął sobie bokobrodów i wąsów, by

wyglądać mniej po angielsku. Dureń przy durniu. Ale w końcu niech mnie wszyscy razem...

Thomas Lieven, alias captain Everett gwałtownie i boleśnie spotkał się z ziemią. Upadł na twarz, poczuł w ustach pokąsną porcję wąsich włosów i w ostatniej chwili przypomniał sobie, że musi przeklinać po angielsku, nie po niemiecku. Podniósł się powoli. Oświetleni migotliwym płomieniem rozpalonych drewnem ognisk, otaczali go partyzanci. Trzech mężczyzn i kobieta. Mieli na sobie watowane kurtki.

Kobieta była młoda i ładna. Jasne, gładko do tyłu zaczesane włosy. Wysokie kości policzkowe, skośne oczy. Pięknie wykrojone usta. Spośród trzech mężczyzn jeden był mały i tusty, drugi wysoki i chudy, zaś trzeci owłosiony jak człowiek z epoki kamiennej.

— Ile królików gania się po ogródku mojej teściowej? — zapytał Thomasa po angielsku mały tusty.

— Dwa białe, jedenaście czarnych i jeden pstrokaty — odparł Thomas wspaniałym oxfordzkim akcentem. — Ma się pan wkrótce pokazać u Fernandela. Fryzjer już czeka na pana.

— Lubi pan Czajkowskiego? — spytała go surowa piękność po francusku.

Jej oczy błyszczały, zęby połyskiwały w blasku bliskiego płomienia, w rękę trzymała gotowy do strzału ciężki pistolet.

Posłusznie odpowiedział po francusku z angielskim akcentem. To zdanie pułkownik Werthe zdradził mu w Paryżu tuż przed odlotem.

— Wolę Chopina.

Odpowiedź chyba uspokoiła blondynkę, bo schowała narzędzie mordu.

— Mogę rzucić okiem na pańskie papiery? — spytał tłuścioch.

Thomas okazał się czwórce fałszywymi dokumentami.

— Wystarczy — zdecydował wysoki, chudy partyzant przywykłym do wydawania rozkazów głosem. — Witamy, captain Everett.

Wszyscy po kolei mocno uścisnęli mu prawicę.

A więc, takie to proste, pomyślał Thomas. Gdybym na londyńskiej giełdzie przez jeden jedyny dzień pozwalał sobie na takie dziecinne igraszki, wieczorem poszedłbym z torbami. Jeszcze jak!

Zadanie w istocie nie należało do najtrudniejszych. Niemiecki wywiad dowiedział się, że w rejonie dzikiego, romantycznego obszaru lasów w dolinie Creuze Francuzi zorganizowali silny oddział resistance, „Maquis Crozant”, którego nazwa wywodziła się od małej miejscowości Crozant, położonej na południu od Gargilesse. „Maquis Crozant” był bardzo zainteresowany nawiązaniem kontaktu z Londynem i walką

z Niemcami wedle angielskich wskazówek. Oddział stanowił ogromne niebezpieczeństwo, gdyż operował w praktycznie niemożliwym do kontrolowania rejonie, gdzie roilo się od linii kolejowych, dróg i elektrowni. Wąwozy i skaliste wzgórza udaremniały wszelkie poważniejsze kontrakcje, na przykład z użyciem czołgów.

Nowe ugrupowanie dotarło do „Maquis Limoges”. Ten oddział posiadał radiostację i był w kontakcie z Londynem. Nawiasem mówiąc radiotelegrafista służył dwóm panom, Francuzom i Niemcom. W ten sposób do wywiadu w Paryżu dotarła wiadomość o tym, że „Maquis Crozant” chciałby mieć własną radiostację.

Zdradziecki radiotelegrafista, który powiadomił o tym nie Londyn, lecz Berlin, przyjmował teraz radiotelegamy, które rzekomo napływały z Londynu, w rzeczywistości zaś były nadawane przez niemiecką Abwehrę w Paryżu. W jednym z nich „Maquis Limoges” został poproszony o przekazanie wiadomości „Maquis Crozant”, że 4 kwietnia 1943 roku, krótko po północy, kapitan Robert Almond Everett zostanie zrzucony nad pewną polaną wśród lasów w okolicy Crozant...

— Gdzie spadochron z radiostacją? — spytał po chwili Thomas Lieven, alias captain Everett.

Martwił się o ten sprzęt. Niemieccy radiotechnicy długo nad nim pracowali.

— Już zabezpieczona — zapewniła surowa piękność, która nie spuszczała z Thomasa wzroku. — Niech pan pozwoli, że przedstawię panu moich przyjaciół.

Mówiła szybko i pewnie. Panowała nad mężczyznami, tak jak Chantal nad rzezimieszkami swojej bandy. W miejsce namiętności i temperamentu operowała chłodnym intelektem.

Mały tłuścioch nazywał się Robert Cassier i był burmistrzem Crozant. Chudy, małomówny mężczyzna z mądrą twarzą okazał się byłym porucznikiem Bellecourt, zaś trzeciego niezwykle blondynka przedstawiła jako Emile’a Rouffa, garncarza z Gargilesse.

Ta jasnowłosa, ponętna, mała partyzancka emancypantka, myślał Thomas, mierzy mnie złym wzrokiem. Dlaczego właściwie? A może to nie złe spojrzenie, lecz zmysłowe. Niesamowity babsztyl!

— Przed dziewięcioma miesiącami — oznajmił garncarz z ogromną brodą i zmierzwioną czupryną — poprzysiągłem sobie, że ostrzygę się i ogolę dopiero wtedy, gdy szcześnie ten hitlerowski pomiot.

— Nie popadajmy w przesadny optymizm, monsieur Rouff. W ciągu następnego roku, nawet dwóch, nie odwiedzi pan chyba fryzjera.

Thomas zwrócił się do dziewczyny.

— Czy dowiem się też czegoś o pani, mademoiselle?

— Yvonne Dechamps, asystentka profesora Debouche.

— Debouche?

Thomas spojrział jej w oczy.

— Tego słynnego fizyka?

— Jest znany również w Anglii, nieprawdaż? — spytała jasnowłosa Yvonne z dumą w głosie.

W Niemczech też, pomyślał Thomas, ale nie wolno mi tego powiedzieć.

— Sądziłem, że profesor wykłada na uniwersytecie w Strasburgu?

Nagle wyrósł przed nim chudy Bellecourt. Jego głos brzmiał sucho i bezbarwnie.

— Uniwersytet w Strasburgu został przeniesiony do Clermont-Ferrand. Czy ta wiadomość nie dotarła do Londynu, mon capitaine?

Jasna cholera, pomyślał Thomas, to przez to, że za dużo gadam.

— Z pewnością dotarła — powiedział zimno. — Ale ja o tym nie wiedziałem. Informacyjna luka. Sorry.

Po tych słowach nastąpiła przerwa, zimna, bezduszna przerwa. Teraz może pomóc tylko bezczelność, pomyślał Thomas. Spojrzął na porucznika wyniośle i rzucił krótko:

— Nie traćmy czasu. Dokąd idziemy?

Porucznik spokojnie wytrzymał jego spojrzenie.

— Pójdziemy do profesora Debouche. Oczekuje nas. W Moulin de Gargillesse.

— Za dużo tu milicji Vichy — powiedziała Yvonne.

Wymieniła z porucznikiem spojrzenie, które wcale się Thomasowi nie podobało. Burmistrz i garncarz są niegroźni, pomyślał. Natomiast porucznik i Yvonne są niebezpieczni, śmiertelnie niebezpieczni.

— Kto jest radiotelegrafistą ugrupowania? — spytał.

— Ja — odparła blondynka.

Oczywiście. Jeszcze tylko tego brakowało.

10

Profesor Debouche wyglądał jak Einstein — był niskim, przysadzistym mężczyzną z potężną czaszką naukowca. Miał białą lwią grzywę, dobrotliwe, smutne oczy i ogromną potylicę. Długo patrzył na Thomasa Lievena w milczeniu. Thomas zaś starał się za wszelką cenę

wytrzymać to spokojne, przenikliwe spojrzenie. Robiło mu się przy tym na przemian zimno i gorąco. Otaczało go pięcioro milczących ludzi.

— Witam pana! — powiedział nagle profesor, kładąc obie ręce na ramionach Thomasa.

Stali w mieszkalnej części młyna w Gargillesse.

— Capitaine jest w porządku, przyjaciele — zwrócił się do partyzantów. — Znam się na ludziach.

Zachowanie czwórki zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jeszcze przed chwilą byli sztywni i małomówni, teraz mówili jeden przez drugiego, klepali przybysza po plecach, śmiali się, traktowali go jak przyjaciela.

Yvonne podeszła do Thomasa. Jej oczy lśniły jasno, miały barwę morskiej zieleni i były bardzo piękne. Objęła Thomasa ramieniem i pocałowała go. Zrobiło mu się gorąco, bo Yvonne całowała z żarem patriotki, która wyraża podziękowanie narodu.

— Profesor Debouche jeszcze nigdy nie pomylił się w ocenie człowieka — oznajmiła po chwili. — Mamy do niego zaufanie. To nasz Dobry Bóg.

Stary człowiek podniósł ręce w obronnym geście. Yvonne ciągle jeszcze stała tuż przy Thomasie.

— Naraża pan swoje życie dla naszej sprawy — powiedziała, a jej głos brzmiał wyzywająco szorstko — a myśmy panu nie dowierzali. Musiało to pana dotknąć. Niech pan nam wybaczy. Proszę!

Thomas spojrzał na siwowłosego, dobrodusznego uczonego, na człowieka pierwotnego Rouffa, milczka porucznika, tłustego, śmiesznego burmistrza, na nich wszystkich, którzy ukochali swój kraj, i myślał: Wybaczcie mi. Tak mi wstyd. Co miałem zrobić? Co mogłem zrobić? Chciałem i chcę podjąć próbę uratowania wam życia. I swojego.

Thomas miał ze sobą oryginalne brytyjskie konserwy wojskowe, oryginalne angielskie papierosy i tytoń fajkowy, i szkocką whisky z nalepką „For Members Of His Majesty's Royal Air Force Only”. Wszystkie te atrakcyjne towary pochodziły ze zdobycznych zapasów niemieckiego Wehrmachtu.

Partyzanci otworzyli butelkę i czcili go jak bohatera, a Thomas cały czas myślał o swym wstydzie.

Aby sprawiać bardziej brytyjskie wrażenie, palił fajkę, on, który nigdy nie tknął papierosa. Tytoniowy dym drażnił go w gardle, whisky smakowała jak olej. Czuł się podle, bo wszyscy traktowali go tu jak przyjaciela i towarzysza broni. Z całym szacunkiem. Pełni podziwu. Także Yvonne nie dawała mu spokoju. Chłodna, wyrachowana Yvonne, której oczy błyszczały wilgocią, a rozchylone wargi...

— Najbardziej potrzebujemy — powiedział długowłosy garn-
carz — dynamitu i amunicji!

— A broń macie? — spytał Thomas mimochodem.

Porucznik Bellecourt poinformował go, że „Maquis Crozant” —
oddział liczył około 65 ludzi — zdobył składy broni, dwa francuskie
i jeden niemiecki.

— Dysponujemy — powiedział nie bez dumy — trzystu pięć-
dziesięcioma francuskimi karabinami typu „Lebel”, kaliber siedem
przecinek pięć, sześćdziesięcioma ośmioma brytyjskimi pistoletami
maszynowymi typu „Sten”, trzydziestoma pięćdziesięciomilimetro-
wymi niemieckimi granatnikami model FN i dwudziestoma czterema,
będącymi na wyposażeniu armii francuskiej.

Smacznego, pomyślał Thomas.

— Do tego dziewiętnastoma ciężkimi karabinami maszynowymi
na trójnogu marki „Hotchkiss”.

— Brak nam tylko amunicji — wtrącił burmistrz Crozant.

To już trochę lepiej, pomyślał Thomas.

— Listę naszych potrzeb nadamy do Londynu — powiedział
profesor — niech pan nam teraz objaśni, proszę, kod i obsługę
radiostacji, mon capitaine.

Thomas zaczął wykład. Yvonne w mig pojęła zasady systemu
kodowego. Polegał on na wielokrotnym przesunięciu liter i wstawianiu
grup liter w miejsce pojedynczych. Thomas Lieven smutniał coraz
bardziej. To ja uknułem tę całą intrygę. I zadziało. Miałem nadzieję,
że zadziało. A teraz...

Włączył radiostację.

— Jest teraz za pięć druga — powiedział. — Punkt druga Londyn
czeka na nasz pierwszy radiotelegram. Na częstotliwości 1773 ki-
loherców.

Na tę częstotliwość niemieccy technicy nastavili radiostację.

— Będziecie się zawsze zgłaszać jako „Słowik siedemnaście”
i wywoływać pokój 231 w War Office w Londynie. Tam urzęduje
pułkownik Buckmaster ze Special Operation Branch.

Wstał.

— Proszę, mademoiselle Yvonne.

Pierwszy komunikat zaszyfrowali wspólnie. Teraz wszyscy spog-
lądali na zegarki. Wskazówka sekundnika ruszyła w obieg ostatniej
minuty przed drugą nad ranem. Jeszcze piętnaście sekund. Dziesięć.
Jeszcze jedna...

Teraz!

Yvonne zaczęła telegrafować. Mężczyźni tłoczyli się wokół niej zaciekawieni — gruby, śmieszny burmistrz, chudy porucznik, stary profesor i długowłosy garniarz.

Thomas stał nieco z boku.

A więc tak to się robi, myślał. Nic nie da się już zmienić. Niech Bóg ma was wszystkich w swojej opiece. I mnie...

11

— No to, do roboty — powiedział wiedeńską gwarą gefrajter Schlumberger z Wiednia — już są.

Miał na głowie słuchawki i obsługiwał radiostację. Przy stoliku obok siedział gefrajter Raddatz i okiem znawcy przeglądał francuski magazyn z rozebranymi panienkami.

— Zawsze te baby — skinął na niego Schlumberger. — Chodź tu!

Gefrajter Raddatz z berlińskiej dzielnicy Neukölln (też mówił gwarą swego miasta) westchnął, odwrócił wzrok od czarnoskórej piękności i przysiadł się do kolegi.

— Jeszcze kilka takich zasranych numerów — mruknął zakładając słuchawki — i ostateczne zwycięstwo mamy w kieszeni!

Obaj przyjmowali tekst, który przez noc, mgłę i setki kilometrów płynął do nich w postaci krótkich i długich sygnałów nadawanych damską ręką w starym młynie nad brzegiem Creuze.

Test brzmiał dokładnie tak jak kontrolny, leżący przed Schlumbergerem od ośmiu godzin, czyli od czasu, gdy ten dziwny sonderführer Thomas Lieven, któremu zostali przydzielni, opuścił Paryż.

Leżący przed gefrajtrem tekst zaczynał się od „gr 18 34512 etkgo nson crags”, na częstotliwości 1773 nadano właśnie „gr 18 34512 etkgo nson crags”.

— Idzie jak po maśle — mruknął wiedeńczyk.

— Powiedz no, a chłopcy z Londynu nie mogą tego czasem odebrać? — spytał gefrajter z Neukölln.

— Na tej częstotliwości to praktycznie niemożliwe — odparł Schlumberger.

Siedzieli w mansardowym pokoju hotelu „Lutetia”, kwaterze wywiadu wojskowego w Paryżu. Schlumberger notował nadawany komunikat.

— Karli — zagadał Raddatz ziewając — zwałeś już kiedyś jakąś Murzynkę?

— Daj spokój. I zamknij wreszcie jadaczkę.

— Gdybyśmy my, Niemcy, bardziej interesowali się babami, mniej by wojen było na świecie — burknął Raddatz ponuro.

Schlumberger cały czas notował to, co nadawano mu alfabetem Morse'a.

— To wszystko do dupy — nie ustępował Raddatz — przecież nawet najdurniejszy dureń skapuje, że nie możemy wygrać tej wojny. Czemu nie położą na tym krzyżyka, ci nasi zasrani generałowie.

Sygnaly w słuchawce Schlumbergera zanikły. Odchylił się do tyłu i zgodnie z instrukcją nadał morsem „Zgłosimy się ponownie”.

— No powiedz, czemu te psy nie dadzą sobie na wstrzymanie? — zaburczał znów Raddatz.

— Nie da rady. Hitler postawiłby wszystkich pod ścianę, Żorz!

— Hitler i Hitler! Już słuchać tego nie mogę. Hitler to my wszyscy. Bo go wybraliśmy. I wrzeszczeliśmy „heil”! Za durni, za durni byliśmy. Powinniśmy więcej myśleć, mniej wierzyć!

W tym niespecjalnie przychylnym służbie wojskowej tonie rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Schlumberger zaczął nadawać morsem zaszyfrowany meldunek, który zostawił mu „sonderführer Lieven”. Po rozszyfrowaniu meldunek ten brzmiał:

„z pokoju 231 ministerstwo wojny do słowika 17 — odebraliśmy was wyraźnie — pozdrawiamy was jako nowego członka naszej special operation branch — nadawajcie od tej pory codziennie o ustalonym czasie — będziecie dostawać instrukcje — captain everett zostanie przez nas dziś 4 kwietnia 1943...”

12

„... z nastaniem zmroku odebrany około godziny osiemnastej — polana jak poprzednio — maszyna typu lysander — niech żyje francja niech żyje wolność — buckmaster — koniec”.

Pięciu mężczyzn i młoda kobieta rozszyfrowali właśnie ten nadany morsem tekst. Znajdowali się w starym młynie nad brzegiem Creuze. Teraz zerwali się na równe nogi, brali się w ramiona, tańczyli z radości.

Okolo trzeciej nad ranem udali się na spoczynek.

Yvonne poprosiła Thomasa, by przyniósł jej jeszcze do pokoju instrukcję obsługi radiostacji. Zapukał do jej drzwi z autentyczną brytyjską broszurą w ręku. Był zmęczony. I smutny. Ciągle myślał o Chantal...

— Chwileczkę! — zawołała Yvonne z drugiej strony drzwi.

Chyba się już rozebrała i właśnie narzuca coś na siebie, pomyślał Thomas. Czekał. Po chwili usłyszał jej głos:

— Już pan może wejść, mon capitaine!

Otworzył drzwi.

Mylił się. Jeśli w chwili gdy pukał Yvonne miała jeszcze coś na sobie, to zdążyła to zdjąć, gdyż oto stała przed nim w małym, urządzonym chłopskimi meblami, przegrzanym pokoiku jak ją pan Bóg stworzył.

Nie, pomyślał Thomas, nie, tylko nie to! Zrazu była nieufna, teraz nabrała do mnie zaufania i chce mi to udowodnić... O nie, po prostu nie mogę. Chantal, kochana martwa Chantal...

Położył broszurę na chłopskiej komodzie i zapłonął się jak uczeń.

— Stokrotnie przepraszam, niech mi pani wybaczy — rzekł pośpiesznie i wybiegł z pokoju. Yvonne stała bez ruchu. Jej wargi drżały, ale nie płakała. Zaciśnęła pięści. Jej uczucia zmieniły się raptownie i diametralnie. Ten podły pies. Ten impertynencki Anglik. Jeszcze mi za to zapłaci.

W mgnieniu oka skora do miłości kobieta przeistoczyła się w śmiertelnego wroga.

Rankiem Yvonne zniknęła. Żaden z mężczyzn nie miał pojęcia, gdzie się podziała. W jej pokoju znaleźli kartkę: „Wyjechałam do Clermont-Ferrand. Yvonne.”

— Coś takiego! — złościł się gruby burmistrz. — Kto nam teraz będzie gotował. Chcieliśmy wydać na pana cześć pożegnalną kolację, mon capitaine.

— Jeśli panowie mnie dopuście do kuchni...

— Umie pan gotować? Nie do wiary.

— Troszkę — bąknął Thomas skromnie.

A więc przyrzadził — cóż mu pozostało — potrawy angielskie, w najwyższym stopniu angielskie. Wiedział, że w towarzystwie Francuzów podejmuje tym samym spore ryzyko.

Jego rostbef smakował jednak wszystkim wyśmienicie. Tylko jarzyna, którą podał, spotkała się z krytyką burmistrza.

— Niechże pan powie, czy pan naprawdę gotuje w samej wodzie z solą?

Menu, Moulin de Gargilesse, 4 kwietnia 1943

Roastbeefz dripping cake *Angielski pudding jableczny*

Nawet partyzanci łagodnieją gdy gotuje Thomas Lieven...

Pieczeń: kawał dobrze skruszonej wołowiny bez kości wkładamy do brytfanny, dodając obficie rozpuszczonego gorącego masła, ewentualnie z dodatkiem tłuszczu od nerki. Opiekamy krótko ze wszystkich stron, solimy i pieprzymy. Następnie wsuwamy brytfannę do dobrze wygrzanego piekarnika i pieczemy mięso, często podlewając, około 45 minut, unikając dodawania wody. Początkowo ogień winien być mocny, po jakimś czasie należy go zmniejszyć. Mięso należy wielokrotnie obracać, ale pod koniec smażenia część bardziej tłusta winna być na wierzchu. Po wyjęciu z brytfanny nie porcjować natychmiast, ponieważ sok z mięsa wycieknie, a ono samo poszarzeje. Odstawiamy zatem pieczeń na kilka minut. Pieczeń można również przyrządzić na ruszcie, a ściekający tłuszcz użyć do ciasta.

Dripping cake (coś w rodzaju ciasta kulebiakowego): rozmącamy 5-6 jaj z 1/4 funta mąki, 1/2 l mleka, odrobiną soli i wlewamy do bardzo rozgrzanego tłuszczu w brytfannie (pozostałość po pieczeniu). Zapiekamy niecałe 10 minut w gorącym piekarniku, tak aby ciasto spodem było brązowe, a wierzchem lekko zrumienione. W ten sposób otrzymamy ciasto kroimy na kawałki, dekorujemy nim pokrojoną pieczeń. Można je również przyrządzać bez tłuszczu z roastbeefu, na podsmażonych skwarkach — nazywamy je wtedy „Yorkshire — Pudding”.

Pudding jableczny: 1 funt mąki, 250 g moczonego przez 12 godzin i dobrze posiekanego tłuszczu z nerek, łyżeczkę imbiru i trochę soli dokładnie mieszamy. Dodajemy zimnej wody i otrzymujemy ciasto, które nie powinno przylepiać się do dłoni w trakcie wyrabiania. Ciasto rozwałkowujemy i kładziemy na serwetce w głębokiej misce, posypując lekko mąką. Robiąc w cieście wgłębienie, kładziemy na nim pokrojone na ćwiartki kwaśne jabłka, po czym szczelnie zlepiamy ciasto na górze. Serwetkę zawiązujemy i wkładamy na 2 godziny do osolonego wrzątku. Podajemy bez sosu, z gruboziarnistym cukrem. Pudding można wzbogacić, dusząc przed włożeniem do ciasta jabłka z masłem, 100 g rodzynek i tyłuż koryntek, skórką pomarańczową i cytrynową oraz cukrem i rumem.

— Tak, my Anglicy tak właśnie to jadamy — odpowiedział Thomas, wyciągając z ust kilka włosów z wąsów.

Prowadził podwójną konwersację, gdyż profesor Debouche opowiadał mu o trudnościach z produkcją fałszywych dokumentów w Clermont-Ferrand.

— Ostatnio kontrole żądają okazania nie tylko dowodów osobistych, lecz także kartek na żywność. Jak pan sądzi, capitaine, czy nie powinniśmy lepiej się zabezpieczyć?

— Co to właściwie jest, co podał pan z rostbefem? — spytał jednocześnie łapczywy burmistrz.

— Wszystko po kolei, panowie — powiedział Thomas Lieven. — Ciasto zaczyna się z mąki, jajek i mleka. Bez rostbefu nazywamy tę potrawę „Yorkshire Pudding”, z rostbefem „Dripping Cake”.

Thomas odwrócił się teraz do profesora Debouche’a, by po chwili zostać założycielem supercentrali fałszowania dokumentów.

— Musicie dysponować kompletem wszelkich dokumentów, profesorze — powiedział. — Przecież macie swoich ludzi we wszystkich urzędach, prawda? Wszystko musi się zgadzać — dowód osobisty, książeczka wojskowa i uposażeniowa, zaświadczenie udziału w spisie ludności, kartki na żywność i karta podatkowa. Wszystko wystawione na to samo fałszywe nazwisko. I to fałszywe nazwisko musi figurować we wszystkich odnośnych urzędach...

Powyzsza wskazówka Thomasa Lievena została wykorzystana i wprowadzona w życie tak skutecznie, że Niemcom wkrótce włosy stanęły dęba! Lawina tak zwanych „prawdziwych fałszywych” dokumentów załazała Francję. Uratowano w ten sposób wiele istnień ludzkich.

13

Między zmierzchem a nocą 4 kwietnia 1943 roku, na małej polanie, nad którą przed osiemnastoma godzinami wyskoczył Thomas Lieven, wylądował samolot lysander Royal Air Force. Za sterami siedział pilot w brytyjskim mundurze. Pochodził z Lipska. Został wyznaczony przez Abwehrę do tego zadania, gdyż mówił po angielsku, niestety, z saksońskim akcentem.

Dlatego też mówił niewiele, właściwie głównie salutował i to — ku przerażeniu Thomasa — niepoprawnie. Pilot sprężył się przyłożył dłoń do skroni wewnętrzną jej częścią w stronę policzka, a nie tak, jak czynią to Brytyjczycy, wewnętrzną stroną na zewnątrz.

Wszystko wskazywało na to, że żaden z nowo pozyskanych francuskich przyjaciół Thomasa tego nie zauważył. Było padanie sobie w ramiona, pocałunki, męskie uściski dłoni i serdeczne życzenia.

— Bon chance! — wołali mężczyźni, gdy Thomas gramolił się do maszyny, sycząc do pilota Luftwaffe:

— Ależ z pana idiota, kompletny idiota!

W pewnej chwili podniósł wzrok. Na skraju lasu stała nieruchomo Yvonne. Ręce miała schowane w kieszeniach kurtki. Pomachał do niej. Nie zareagowała. Pomachał powtórnie. Stała nieruchomo jak posąg.

Opadając na siedzenie wiedział już, że ta kobieta mu nie daruje. Jeszcze wystawi mu rachnek...

Akcja „Słowik” przebiegała, tak jak Thomas przypuszczał, bez jakichkolwiek zakłóceń.

Co wieczór o godzinie dwudziestej pierwszej „Maquis Crozant” zgłaszał się do gefrajtrów Schlumbergera i Raddatza w hotelu „Lute-tia”, czekał aż ich komunikat zostanie odszyfrowany, w końcu otrzymywał wytyczne od „pułkownika Buckmastera, pokój 231, Ministerstwo Wojny w Londynie”.

Przebieg operacji zaprzętał uwagę jeszcze dwóch panów — pułkownika Werthego, który oswobodził Thomasa z rąk gestapo, i kapitana Brennera, który od tak dawna z wielkim zainteresowaniem śledził losy naszego przyjaciela.

W osobie kapitana Brennera Thomas poznał typowego żołnierza zawodowego — trzeźwego, pedantycznego, w miarę przyzwoitego nienazistę. Kapitan był jednak typowym „żołnierskim łbem”, pracującym jak maszyna odbiorcą rozkazów, pozbawionym jakichkolwiek uczuć, krytycznych myśli, prawie bez serca.

Brenner, energiczny niewielki człowieczek z precyzyjnym przedziałkiem i okularami w złotych oprawkach, od początku nie rozumiał tego, jak się wyraził, „całego teatru ze Słowikiem 17”.

Zrazu Thomas wysyłał ludziom z „Maquis Crozant” zwołujące odpowiedzi, jednak „Słowik 17” żądał czynów. Oddział chciał włączyć się do walki. Potrzebował amunicji!

Nie było wyjścia. Pewnej ciepłej majowej nocy niemiecka załoga angielskiego zdobyczego samolotu zrzuciła w lasach między Limoges a Clermont-Ferrand cztery spadochrony ze skrzynkami z amunicją. Amunicja miała tylko jedną wadę — nie pasowała typem i kalibrem do broni „Maquis Crozant”.

Nastąpiła nie kończąca się wymiana radiotelegramów. I znów minęło kilka dni. „Londynowi” było bardzo przykro z powodu pomyłki. Naprawi ją, gdy tylko zdobędzie odpowiednią amunicję. To musi potrwać, przecież partyzancka broń pochodzi częściowo z niemieckich i francuskich zasobów.

„Londyn” przekazał „Maquis Crozant” polecenie gromadzenia zapasów żywności. Wiadomo było, że ludność tej niedostępnej okolicy głodowała, a głodujący ludzie mogą stać się niebezpiecznymi szaleńcami...

I znów wzbily się w powietrze zdobyczne maszyny z niemieckimi pilotami. Tym razem zrzuciły spadochrony z brytyjskimi zdobycznymi konserwami, brytyjskimi zdobycznymi lekarstwami, whisky, papierosami i kawą.

Kapitanowi Brennerowi nie mieściło się to w głowie.

— My opijamy się podrabianym pernodem, a panowie partyzanci piją prawdziwą whisky! Ja palę gauloiesy, a oni być może papierosy marki Henry Clay! Karmimy ich, żeby byli grubi i tłuści! To obłęd, panowie, czysty obłęd!

— To nie takie głupie — pouczył go pułkownik Werthe. — Lieven ma rację. To jedyna możliwość, by nie stali się dla nas niebezpieczni. Gdy już wysadzą w powietrze linie kolejowe i elektrownie, rozpięrzchną się na wszystkie strony świata i szukaj wiatru w polu.

W czerwcu 1943 roku „Słownik 17” zrobił się tak niespokojny, że Thomas zmienił taktykę. Brytyjskie zdobyczne samoloty zrzucały teraz nad terenami kontrolowanymi przez partyzantów amunicję, która rzeczywiście pasowała do ich broni.

Krótko potem „Maquis Crozant” otrzymał następującą instrukcję: „maguis marseille przewidziany do przeprowadzenia szeroko zakrojonych akcji sabotażowych i zbrojnych — nieodzowne tymczasowe przekazanie mu waszej broni i amunicji”

Potężna wrzawa w eterze.

Ale „Londyn” był twardy. „Maquis Crozant” otrzymał precyzyjną wiadomość, gdzie i kiedy broń ma zostać przekazana.

I tak też, pewnej burzliwej nocy w lasach w pobliżu szosy prowadzącej z Belac do Montemart, broń zmieniła właściciela. Nowi jej posiadacze, którzy zachowywali się bardzo po francusku, odjechali z nią kilkoma ciężarówkami. Gdy znów byli między sobą, mówili tak jak zwykle — niemieckim żargonem wojskowym.

Na początku lipca zdradziecki radiotelegrafista „Maquis Limoges” doniósł pułkownikowi Werthemu, że „Maquis Crozant” ma już „po dziurki w nosie współpracy z Londynem”. Niepokój wśród mężczyzn siała niejaka Yvonne Dechamps. Czy aby na pewno z Londynem byli w radiowym kontakcie? Podjudzała Yvonne. Także ten captain Everett sprawił na niej okropne wrażenie! A co dopiero ów pilot RAF-u, który po niego przyleciał! Przecież salutował po szwabsku!

— Szlag by trafił — powiedział Thomas na wieść o tym. — Wiedziałem, że to się tak skończy. Panie pułkowniku, widzę tylko jedno wyjście.

— To znaczy?

— Musimy Słowikowi 17 stworzyć możliwość i zlecić dokonanie prawdziwego i poważnego aktu sabotażu. Musimy poświęcić jakiś most, linię kolejową czy elektrownię i może uratować w ten sposób wiele elektrowni, mostów i linii kolejowych.

— Zbikował! — jęknął obecny przy rozmowie kapitan Brenner i zamknął oczy. — Sonderführer Lieven zbikował!

Także pułkownik Werthe wydawał się zmieszany.

— Wszystko ma swoje granice, Lieven — powiedział. — Poważnie! Czego pan ode mnie żąda?

— Mostu, panie pułkowniku! — wrzasnął nieoczekiwanie Thomas. — Chyba, do ciężkiej cholery, znajdzie się we Francji jakiś jeden jedyny most, z którego możemy zrezygnować!?

Księga trzecia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Winda z brzękiem zatrzymała się na najwyższym piętrze zarekwirowanego przez Niemiecką Abwehrę paryskiego hotelu „Lutetia”. Wysiadł z niej trzydziestoparoletni mężczyzna. Był średniego wzrostu, szczupły i miał obwisłe, sumiaste wąsy.

Chudy Georg Raddatz z Berlina szybkim ruchem wsunął do teczki najnowszy numer francuskiego magazynu „Regal” z aktami kobiecymi, poderwał się i huknął obcasami:

— Heil Hitler, panie sonderführer!

— Gefrajter Raddatz i gefrajter Schlumberger w czasie pełnienia służby przy radiostacji, panie sonderführer! — wrzasnął wiedeńczyk i z przesadną energią przyjął postawę zasadniczą.

Ten bez wątpienia najbardziej osobliwy sonderführer, jakiego wydała na świat Trzecia Rzesza, odparł z uśmiechem:

— Heil Hitler, gamonie. Słuchaliście już Londynu?

— Tak jest, panie sonderführer — zameldował sztywno wiedeńczyk. — Właśnie skończyliśmy.

Ci trzej mężczyźni już od tygodni widywali się co wieczór, i od tygodni — dopóki byli sami — wykorzystywali wbrew wyraźnemu zakazowi urzędzenia odbiorcze doskonale zorganizowanej niemieckiej sieci radiowej. Każdego wieczoru odbierali Londyn.

— Churchill wygłosił przemówienie — zaczął Schlumberger wiedeńską gwarą. — Powiedział, że jeśli Włosi jeszcze teraz, kiedy Mussolini poszedł w odstawkę, nadal będą z nami trzymać, to dostaną wycisk.

25 lipca, przed pięcioma dniami, król Włoch Wiktor Emanuel kazał aresztować Mussoliniego. Tegoż 25 lipca przeprowadzono dienne naloty na Kassel, Remscheid, Kilonię i Bremę.

— Chłopie, chłopie, jak to szybko leci — zajączał Raddatz po

berlińsku. — W Rosji dostajemy w dupę nad jeziorem Ładoga, na Łuku Kurskim zwiewamy ile sił w nogach. Włosi obrywają równiutko na Sycylii.

Thomas usiadł.

— A panowie w Berlinie wciąż jeszcze nie spuszczają z tonu i kipią optymizmem. Bez opamiętania, bez opamiętania.

Schlumberger i Raddatz, starzy, doświadczeni wojacy, pokiwali ponuro głowami. Dowiedzieli się co nieco o Thomasie Lievenie. Wiedzieli, że był torturowany przez gestapo, zanim pułkownik Werthe uratował go przed niechybną śmiercią w piwnicach Służby Bezpieczeństwa przy Avenue Foch.

Nawiasem mówiąc, Thomas już zupełnie przyszedł do siebie po pobycie w areszcie i potwornych przesłuchaniach. Jego ciało pokryte było jeszcze gdzieś tam strasznymi bliznami, ale chował je pod pierwszorzędną garderobą, do jakiej z lubością powrócił.

— Zaraz przyjdzie pułkownik Werthe i kapitan Brenner — powiedział. — Chciałbym was prosić o zaszyfrowanie tymczasem tego radiotelegramu.

Thomas położył kartkę na stole przed Raddatzem, ten zaś przeczytał tekst i zdumiał się.

— Chłopie, chłopie, coraz lepiej. Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze wygramy tę wojnę. Spójrz no, Karli.

Wiedeńczyk przeczytał i poskrobał się w głowę. Jego komentarz był krótki.

— Beze mnie.

— Ejże, ejże — naciskał Thomas — lepiej zabierzcie się zaraz do roboty.

Tekst brzmiał: *„do słowika 17 — bombowiec raf-u zrzuci 1 sierpnia między godziną 23 a 23 minut 15 w kwadracie 167 specjalny zasobnik z plastycznym materiałem wybuchowym — 4 sierpnia dokładnie o godzinie x minut xx wysadzić w powietrze pont noir między gargillesse a eguzon — dokładnie dotrzymać podanego czasu — powodzenia — buckmaster.”*

— Do dzieła, panowie — rzekł Thomas Lieven. — Jak mam rozumieć te zdumione spojrzenia?

— Pan sonderführer znów wywija jakiś numer, Żorż — powiedział wiedeńczyk. — To na pewno jakiś zafajdany mostek na uboczu, kapujesz?

— Ten most, panowie — oznajmił Thomas ze zmęczonym uśmiechem — przerzucony jest nad rzeką Creuze i prowadzi do Route Nationale 20, jednej z najważniejszych tras komunikacyjnych Francji.

Zbudowano go w okolicy Eguzon, gdzie znajduje się zapora elektrowni, zaopatrującej w prąd większą część środkowej Francji.

— I akurat ten ma wylecieć w powietrze?

— Dałby Bóg — odparł Thomas. — Masę czasu straciłem, zanim go znalazłem.

2

Swe poszukiwania odpowiedniego mostu Thomas Lieven rozpoczął 4 lipca 1943 roku. W jasnym letnim garniturze, w doskonałym nastroju, pogwizdując, szedł ulicami skąpanego w słońcu Paryża. Ach, te bulwary z kwitnącymi drzewami! Ach, ogródki kawiarniane pełne młodych kobiet w krótkich, kolorowych sukienkach. Zwariowane kapelusze. Buty na wysokich obcasach! Zapach przygody, flirtu, perfum i jaśminu...

Paryż roku 1943 — miasto ciągle jeszcze żyjące w pokoju. Jeśli na Square de Bois de Boulogne przedwcześnie gasło światło, to przyczyną tego stanu rzeczy nie było zamknięcie dopływu prądu, jeśli szeleściły zasłony, to były to kurtyny utkane z czułości, a nie odlane z żelaza.

Paryżanie na swój sposób pogodzili się z niemiecką okupacją. Kwitł „marche noir”, czarny rynek. Moralność żołnierzy nie miała szans w konfrontacji z takim życiem. Generał von Witzleben westchnął kiedyś: „Wykończyły nas francuskie kobiety, francuska kuchnia i francuska mentalność. Właściwie musiałbym co cztery tygodnie wymieniać stacjonujące tu wojska.”

Najmarniejszy szaraczek z Zagłębia Ruhry żył w Paryżu jak udzielną księżę! Znał subtelne różnice między najznamienitszymi markami szampana, żądał w hotelu „poulet garni”, jadał tuzinami ostrygi i w kojących ramionach swej francuskiej przyjaciółki dowiadywał się, że śmierć za ojczyznę na pewno nie jest najpiękniejszą rzeczą na świecie.

Pierwszym celem Thomasa była Kwatera Główna generała von Rundstedta, głównodowodzącego Armii Zachód. Tu przeprowadził rozmowy z trzema majorami, których po kolei ceremonialnie i uroczysto czynił powiernikami tajemnicy państwowej, zanim sformułował swą niewielką prośbę.

Pierwszy z majorów odesłał go do drugiego, drugi do trzeciego. Trzeci z majorów wyrzucił go za drzwi i zameldował o sprawie

generałowi. Generał przesłał meldunek do hotelu „Lutetia” z uwagą, że stanowczo wyprasza sobie jakiegokolwiek mieszanie się Abwehry w sprawy wojskowe, a wysadzenie mostu w powietrze jest chyba taką właśnie sprawą!

Tymczasem energicznie działający Thomas złożył już wizytę w Dziale Techniki Sztabu Dowodzenia Wehrmachtu, by przedłożyć swą prośbę niejakiemu majorowi Ledeburowi. Działo się to o godzinie 11 minut 18. O 11 minut 19 na biurku pedantycznego, ambitnego kapitana Brennera w hotelu „Lutetia” rozdzwonił się telefon.

Mały oficer zawodowy z prostym jak strzełił przedziałkiem i w okularach w złotych oprawkach podniósł słuchawkę, odezwał się, a potem skłonił się sztywno, nie wstając, gdyż dowiedział się, że rozmawia z niejakim majorem Ledeburem.

Słowa starszego rangą spowodowały, że kapitan poczerwieniał.

— Spodziewałem się czegoś takiego, panie majorze! Zupełnie się z panem zgadzam! Tylko że ja mam związane ręce! Bardzo żałuję, ale jestem zmuszony połączyć pana majora z panem pułkownikiem Werthem.

Co też uczynił. Pułkownik — w przeciwieństwie do swego podwładnego — pobladł jak ściana, gdy usłyszał, co major miał mu do powiedzenia.

— Dziękuję panu za wiadomość, panie majorze - wydukał w końcu z trudem. — To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, naprawdę. Ale mogę pana uspokoić — sonderführer Lieven nie zwariował. Na pewno nie! Przyjadę po niego osobiście.

Odłożył słuchawkę. Kapitan Brenner zbliżył się do niego. Szklą jego okularów połyskiwały niespokojnie.

— Pozwolę sobie zauważyć najuniżeniej, że zawsze ostrzegałem przed tym człowiekiem. On na prawdę nie jest normalny!.

— Lieven jest tak normalny jak pan i ja! A Canaris oszalał na jego punkcie. Z ręką na sercu, czy jego pomysł pokojowego zwalczania partyzantów nie był najprzedniejszym pomysłem na świecie? Brenner, człowieku, niechże się pan ocknie! Oddziały partyzanckie we Francji tylko w ciągu ostatniego miesiąca dokonały 243 zabójstw, 391 zamachów na pociągi i 825 aktów sabotażu przemysłowego! W jednym jedynym okręgu panował spokój — w Gargillesse. To obszar przez niego kontrolowany!

Kapitan Brenner zacisnął wargi i wzruszył ramionami. Pułkownik Werthe wsiadł w samochód i uwolnił Thomasa Lievena, który się setnie ubawił, gdy się dowiedział, że major Ledebur miał wątpliwości co do stanu jego umysłu.

— Tak czy siak, teraz muszę sobie zaaplikować małą wódeczkę—
rzekł do niego pułkownik Werthe.

W jakiś czas potem siedzieli nad szklaneczkami pernodu.

— Dlaczego się pan tak szaleńczo uczeplił tego mostu? — spytał
Werthe, potrząsając głową.

— Bo jestem przekonany — odparł Thomas cicho — że jeśli
znajdę taki most, wielu ludzi, którzy musieliby zginąć, będzie mogło
przeżyć. Niemców i Francuzów, panie pułkowniku. Dlatego.

— Ach, Lieven — pułkownik popatrzył przez okno — miły
z pana facet.

Patrzył na bulwar pełen drzew, kwiatów, młodych niewiast.

— Ta cholerna wojna — rzekł po chwili niespodziewanie, za-
ciskając pięść.

3

Następnego ranka Thomas Lieven błędził po korytarzach placówki
Urzędu Pracy Rzeszy w Paryżu. Zgubił się zupełnie w poszukiwaniu
wydziału odpowiedzialnego za mosty, w końcu znalazł się w biurze,
które chciał natychmiast opuścić w popłochu. Dwa były powody jego
paniki: Cztery obrazy na ścianie i kobieta za biurkiem.

Obrazy przedstawiały Hitlera, Goebbelsa, Göringa i szefa Urzędu
Pracy Rzeszy Hierla, zaś dama — chuda jak szczapa i wysoka jak
tyczka — miała płaskie piersi i kościste dłonie. Bezbarwne włosy upięła
w kok na czubku głowy. W jej białej bluzce nad lewą piersią tkwiła
złota odznaka NSDAP, a w kołnierzyku ciężka, kuta brosza. Miała na
sobie brunatną spódnicę, brunatne wełniane pończochy i buty na
niskim obcasie. Wyglądała surowo, była ubrana surowo i w jej biurze
pachniało surowością.

Thomas już połową ciała wymknął się z pokoju, gdy dopadł go
twardy, skrzekliwy głos:

— Chwileczkę!

Odwrócił się i wykrzywił usta w sztucznym uśmiechu.

— Proszę o wybaczenie, zabłądziłem. Do widzenia!

Kobieta wyskoczyła zza biurka i trzema susami znalazła się
przy drzwiach.

— Co to znaczy „Dzień dobry”? Nasze pozdrowienie brzmi
„Heil Hitler”!

Przewyższała Thomasa o dwie głowy.

— Żądam odpowiedzi. Kim pan jest? Jak się pan nazywa?

— Sonderführer Lieven — odparł Thomas zalekniony.

— Jaki znów sonderführer? Niech się pan wylegitymuje!

— Niby dlaczego? Ja też nie znam pani personaliów.

— Stabshauptführerin Mielcke — rzuciła chuda, która najwidoczniej używała lizolowego mydła. — Jestem tu od czterech tygodni. Osobiste polecenie szefa Urzędu Pracy Rzeszy Hierla. Dysponuję wszelkimi pełnomocnictwami. Oto moja legitymacja. Poproszę o pańską.

Stabshauptführerin Mielcke dokładnie przestudiowała legitymację Thomasa Lievena. Potem zadzwoniła do pułkownika Werthego i sprawdziła, czy ten zna niejakiego sonderführera Lievena. Dopiero wtedy zaproponowała Thomasowi krzesło.

— Wróg czai się wszędzie — zakomunikowała. — Należy mieć się na baczności. A zatem, czego pan sobie życzy?

— Ależ naprawdę, pani Mielcke...

— Stabshauptführerin. To moja ranga.

— Naprawdę pani stabshauptführerin...

— Nie pani. Tylko stabshauptführerin.

Masz rację staropanińska paskudo, nie pani, pomyślał i powiedział z wymuszoną uprzejmością:

— Naprawdę stabshauptführerin, nie sądzę, żeby była pani właściwą instancją...

— Jestem. Niech pan nie marudzi. Niech pan mówi.

Thomasa ogarniała stopniowo dzika wściekłość. Jeszcze potrafił się opanować.

— Moja misja jest tajna. Nie mogę o niej mówić.

— Żądam tego od pana. Mam do tego prawo jako pełnomocnik szefa Urzędu Pracy Rzeszy. Każę pana aresztować, jeśli natychmiast nie zacznie pan...

— Stabshauptführerin! — wrzasnął Thomas na całe gardło. — Wypraszam sobie taki ton!

— Nie ma pan tu sobie nic do wypraszania! Jeszcze dziś napiszę raport w tej sprawie. O zdolnych do służby na froncie młodych ludziach, którzy pod płaszczykiem Abwehry dekują się w tym paryskim grzesznym bagnie. Zdam z tego relację reichsarbeitsführerowi. Osobiście!

Tego już było dla Thomasa za wiele. Miarka się przebrała.

— Ja też sporządzę raport! — wrzasnął na babę. — Ja zdam relację admirałowi Canarisowi. Osobiście! Czy pani postradała zmysły? Jak pani śmie rozmawiać ze mną w ten sposób? Tylko tego nam jeszcze brakowało! Stabshauptführerin odpowiada rangą pułkownikowi, pra-

wda? W takim razie admirał to chyba mimo wszystko jeszcze troszkę więcej, co? — rozeźlił się i huknął pięścią w stół. — Będzie się pani musiała tłumaczyć przed admirałem Canarisem, zrozumiano?!

Mierzyła go wąskimi jak szparki oczami, które były wodniste, błękitne i nordyckie. Tym razem przemówiła z uśmiechem, cedząc słowa. W jej głosie pobrzmiwała nutka strachu.

— Cemu się pan tak denerwuje, sonderführer? Przecież ja tylko spełniam swój obowiązek.

Przełknęła ślinę.

Teraz się boi, pomyślał Thomas, chciałaby mnie udobruchać. Za późno! Udużę się, jeśli zostanę tu jeszcze choć chwilę. Zerwał się, poderwał prawe ramię w górę i ryknął:

— Heil Hitler, stabshauptführerin!

— Ależ...niechże pan poczeka...

Ale Thomas był już przy drzwiach, otworzył je gwałtownie i z hukiem zatrzaskał za sobą. Byle dalej stąd! Byle dalej! Na świeże powietrze!

11 lipca Thomas Lieven wylądował w Kwaterze Głównej organizacji Todt, zajmującej się sprawami budownictwa. Tu skierowano go do radcy budowlanego nazwiskiem Heinze. Nazwisko to widniało na drzwiach biura, którego próg Thomas przekroczył tego dnia o godzinie jedenastej przed południem. Wewnątrz znajdowały się dwa stoły kreślarskie i dwóch kłócących się zawzięcie postawnych mężczyzn. Ich spór był tak zażarty, że nawet nie zauważyli pojawienia się obcego. Mężczyźni mieli na sobie białe kitle założone na mundury i krzyczeli:

PIERWSZY: Nie biorę za to odpowiedzialności! Może się zawalić pod każdym przejeżdżającym pod nim czołgiem!

DRUGI: W takim razie, jak pan to sobie wyobraża? Przecież następny most przed Creuze znajduje się dopiero pod Argenton!

PIERWSZY: Co z tego? W takim razie trzeba nadłożyć drogi! Oświadczam, że „pont noire” w okolicy Gargillesse stanowi zagrożenie. Długie na metr szczeliny pod jezdnią! Moich statyków prawie szlag nie trafił!

DRUGI: Niech pan wzmocni konstrukcję stałą zbrojeniową!

PIERWSZY: Pan wybaczy... przecież to gówno nic nie da!

Most pod Gargillesse, pomyślał Thomas. Fantastyczne. Absolutnie fantastyczne. Czuję się tak, jak gdyby rzeczywistość podążała za moimi życzeniami i marzeniami. W tej chwili mnie dognała.

DRUGI: Niech pan pomyśli o elektrowni! O zaporze wodnej! Jeśli wysadzimy most, zakłócimy dostawy energii elektrycznej!

PIERWSZY: Żaden problem, jeśli to my wysadzimy most! Możemy przedtem podjąć akcję przełączeń i wyłączeń. Ale jeśli to coś zawali się jutro samo, wówczas powstanie niewyobrażalny chaos! Ja w każdym razie...Czego pan tu szuka?

Wreszcie odkryto obecność Thomasa Lievena, który skłonił się i rzekł łagodnym głosem:

— Chciałbym porozmawiać z radcą budowlanym Heinzem.

— To ja — powiedział drugi — o co chodzi?

— Panie radco — rzekł Thomas — wydaje mi się, że moglibyśmy podjąć owocną współpracę...

Współpraca układała się rzeczywiście doskonale. Już piętnastego lipca całkowicie skoordynowano plany organizacji Todt i organizacji Canarisa co do przyszłości „pont noir” na południe od Gargilesse. Teraz Thomas jako „pułkownik Buckmaster, War Office, Londyn”, przekazał „Maquis Crozant” drogą radiową następujące zdanie: „sporządzić listę najważniejszych mostów na terenie działania waszego maquis — zameldować o sposobie i częstotliwości ruchów wojsk”.

Całymi dniami i nocami członkowie francuskiego ruchu oporu leżeli na czatach. Czaili się pod łukami mostów, w koronach drzew, na strychach starych wiatraków i w chłopskich zagrodach. Ich bronią były lornetki, papier i ołówki. Liczyli niemieckie czołgi, ciężarówki, motocykle, a wieczorami składali meldunki do „Londynu”. Oto most pod Feurs. Most w okolicy Macon. Pod Dompierre. Pod Nevers. I wielki „pont noir” na południe od Gargilesse przed zaporą elektrowni w pobliżu Eguzon.

30 lipca o godzinie dwudziestej pierwszej w pomieszczeniu mieszkalnym starego młyna „Moulin de Gargilesse” siedzieli: Yvonne Dechamps, profesor Debouche, burmistrz Cassier, porucznik Bellecourt i Emile Rouff, garncarz. Powietrze było gęste od papierosowego dymu.

Yvonne miała słuchawki na uszach. Właśnie odbierała zaszyfrowany radiotelegram, który nadawał z Paryża nieco przytłustawy gefrajter Schlumberger.

„SV. 21 54621 lhwih rhwea rieht ctbgstwoee...”

Mężczyźni otaczający Yvonne Dechamps oddychali płytko i pośpiesznie. Profesor Debouche czyścił szkła swych okularów. Porucznik Bellecourte nieustannie oblizywał wargi.

„...sntae siane krodi lvgap” — nadawał morsem Schlumberger na najwyższym piętrze hotelu „Lutetia” w Paryżu. Otaczający go mężczyźni — Thomas Lieven, mały, pedantycznie ufrizowany kapitan Brenner, zamknięty w sobie pułkownik Werthe — oddychali płytko i pośpiesznie. Kapitan Brenner zdjął okulary w złotej oprawce i czyścił je starannie.

Dwadzieścia minut po godzinie dziewiątej „Londyn” zakończył nadawanie. W romantycznym, prastarym młynie nad brzegiem Creuze przywódcy „Maquis Crozant” rozszyfrowywali otrzymaną wiadomość. A wiadomość brzmiała: „do słowika 17 — 1 sierpnia między godziną 23 a 23 minut 15 bombowiec raf-u zrzucił nad kwadratem 167 specjalny zasobnik z plastycznym materiałem wybuchowym — wysadzić 4 sierpnia dokładnie o godzinie x minut xx pont noir między gargillesse a eguzon...”

W chwilę po rozszyfrowaniu meldunku podniosła się nieopisana wrzawa. Tylko Yvonne Dechamps milczała. Siedziała bez słowa przed radiostacją z rękami splecionymi na łonie. Myślała o tym dziwnym kapitanie Everecie, któremu tak bardzo nie dowierzała.

Profesor Debouche rozmawiał z mężczyznami, ale do Yvonne prawie to nie docierało. Jej myśli, jej uczucia były niedorzeczne, absurdalne, a jednak, jednak... Była przekonana, pewna aż do bólu, że jeszcze kiedyś, jeszcze gdzieś zobaczy tego kapitana Everetta...

Głosy wokół niej wzmogły się. Yvonne ocknęła się nagle. Zorientowała się natychmiast, że rozgorzał spór między burmistrzem Cassierem, garncarzem Rouffem i profesorem Debouche. Próżny Cassier uderzył dłonią w stół:

— To mój teren! Znam go jak własną kieszeń! Obstawę przy tym, że to ja pokieruję akcją!

— Tu nikt nie bije pięścią w stół, przyjacielu — powiedział spokojnie uczony. — Akcją pokieruje porucznik Bellecourt. Jest specjalistą w tych sprawach. Będzie pan wykonywał jego polecenia.

— Rzygać mi się chce, jak widzę, że wszystko składa się w ręce porucznika — unosił się burmistrz. — W końcu kto założył „Maquis Crozant”? Rouff, ja i kilku chłopów.

— Tak jest — zawołał garncarz. — Okoliczna ludność! Wy wszyscy przyłączyliście się dopiero później.

Yvonne za wszelką cenę chciała przestać myśleć o kapitanie Everecie.

— Przestańcie się kłócić — powiedziała zimno. — Będzie tak, jak postanowi profesor. To prawda, że dołączyliśmy później, ale to my stworzyliśmy prawdziwy oddział. To dzięki nam dostaliście radiostację, to ja nauczyłam was ją obsługiwać.

Burmistrz i garncarz zamilkli, ale ponad głową Yvonne wymienili spojrzenia — chytre i szczerwane, spojrzenia starych chłopów...

4

1 sierpnia 1943 roku o godzinie 23 minut 10 nad kwadratem 167 Niemcy zrzucili z brytyjskiego zdobycznego bombowca wielki, specjalny pojemnik ze zdobycznym plastycznym materiałem wybuchowym.

2 sierpnia 1943 roku w elektrowni Eguzon pojawił się radca budowlany Heinze z Organizacji Todt z Paryża i szczegółowo omówił z kierującymi zakładem niemieckimi inżynierami skutki koniecznych przedsięwzięć, wynikających z wysadzenia mostu w pobliżu zapory.

3 sierpnia radca budowlany Heinze zjawił się u komendanta wojskowego rejonu, uczynił go powiernikiem tajemnicy państwowej i bardzo stanowczo zalecił, by 4 sierpnia między godziną dwudziestą piętnaście a zero trzydzieści cała niemiecka ochrona „pont noir” została wycofana ze swych posterunków.

4 sierpnia o godzinie zero zero osiem „pont noir” z potwornym hukiem wyleciał w powietrze. Zgodnie z programem. Rannych nie było.

5 sierpnia o godzinie dwudziestej pierwszej gefrajtrzy Schlumberger i Raddatz siedzieli nieruchomo przed swymi radiostacjami i pocili się. Za ich plecami stali Thomas Lieven, pułkownik Werthe i kapitan Brenner.

„Słowik 17” zgłosił się punktualnie. Schlumberger notował, mrużąc pod nosem:

— Dziś nie nadaje dziewczyna. Dziś radiostację obsługuje któryś z tych facetów.

„Słowik 17” nadawał morsem długo, tak długo, jak jeszcze nigdy. Meldunek po prostu nie miał końca. Podczas gdy Schlumberger ciągle jeszcze odbierał tekst, Raddatz zaczął go już rozszyfrowywać. Pierwsza część meldunku brzmiała podobnie, jak tego Thomas oczekiwał:

„...akcja pont noir wykonana zgodnie z planem — most wysadzony w powietrze — w operacji wzięło bezpośredni udział dwudziestu ludzi — porucznik bellecourt złamał sobie nogę przed akcją — leży u przyjaciół w eguzon — nadaje emile rouff — profesor debouche i yvonne dechamps są w clermont-ferrand...”

Werthe, Brenner i Thomas zaglądali deszyfrującemu Raddatzowi przez ramię.

Co za idiota przy tej radiostacji, pomyślał Thomas błędnie, po co wymienia nazwiska?

Zanim nasz przyjaciel mógł cokolwiek przedsięwziąć, poczuł, jak gefrajter Raddatz nadeptuje mu na nogę. Spojrzał w dół na radioteleg-

rafistę. W oczach berlińczyka dostrzegł wyraz przerażonego zdumienia. Schlumberger właśnie podawał mu kolejną kartkę. Raddatz chrząknął zrozpaczony.

— Co się dzieje? — zawołał Brenner, doskakując do niego z szybkością łasicy.

— Ja...ja...nic! — wyjaśnił berlińczyk.

— Niech no pan to pokaże!

Brenner wyrwał mu kartkę z ręki. Podniósł ją do góry. Okulary mu potyskiwały.

— Proszę posłuchać, panie pułkowniku!

Thomas poczuł, jak jakaś lodowata ręka zbliża się do jego serca, gdy Brenner odczytał rozszyfrowany właśnie przez Raddatza tekst:

„Prosimy o powiadomienie o naszej akcji generała de Gaulle'a, podając mu nazwiska najważniejszych i najdzielniejszych członków naszego oddziału. Pochwały i wyróżnienia wzmocnią ducha walki...”

O Boże, pomyślał Thomas, przecież to niemożliwe!

„...Po stracie porucznika Bellecourta, główna zasługa w wysadzeniu mostu przypada burmistrzowi Cassierowi, zamieszkałemu w Crozant, oraz Emile'owi Rouffowi z Gargillesse. Oprócz nich w akcji uczestniczyli...”

Zmieszany gefrajter Schlumberger podniósł wzrok znad bloczka do stenogramów.

— Niech pan dalej odbiera, człowieku! — ofuknął go Brenner, po czym odwrócił się w stronę Thomasa. — Panie sonderführer, twierdził pan kiedyś, że nie sposób dobrać się do tej hołoty, bo nie znamy ich prawdziwych nazwisk i adresów, prawda?

Brenner zaśmiał się metalicznie.

— Zaraz je poznamy!

Wokół Thomasa zawirował świat. Te głąby kapuściane! Próżni idioci! Wciąż myślałem, że tylko my tacy jesteśmy. Francuzi nie lepsi. Na próżno. Wszystko na próżno.

Pułkownik Werthe nagle zacisnął usta.

— Niech pan stąd wyjdzie, panie Lieven — powiedział bardzo cicho.

— Panie pułkowniku, proszę wziąć pod uwagę... — zaczął Thomas, ale przerwał, gdyż spojrzął w szare oczy Werthego i wyczytał z nich, że nic, co powie, nie może już wpłynąć na tego człowieka.

Na próżno. Wszystko na próżno. Przez paru jolopów, którzy chcieli dźwigać po wojnie parę kawałków blachy na piersi...

Pięć minut później Schlumberger i Raddatz zostali złuzowani, skończyła się ich służba. Zeszli do hallu hotelu, gdzie czekał na nich Thomas.

Menu, Paryż, 5 sierpnia 1943

Grzanki z nerkami baraniami

Sola (plastuga) à la Grenoble

Omlety z morelami

Przy rybie wpadł na pomysł jak uratować 65 osób.

Grzanki z nerkami baraniami: oczyszczone z tłuszczu i skóry nerczki baranie przepoławiamy wzdłuż. Na kawałki białej bułki paryskiej, posmarowanej z dwóch stron cienko masłem, kładziemy nerki przekrojoną stroną do dołu. Łączymy ostrą musztardę z kwaśną śmietaną i kawałkiem masła, żółtkiem, odrobiną soli i pieprzu Cayenne, tak aby powstał gęsty sos, którym smarujemy nerki. W ten sposób przyrządzone grzanki zapiekamy w średnio gorącym piecu około 10 minut. Sprawdzamy ostrym szpikulcem czy są gotowe — jeśli z nerek nie wycieka czerwony sos, są gotowe. Podajemy na gorąco.

Sola à la Grenoble: solę winno się kupić już obraną ze skóry i sfiletowaną. Najmniej 1/2 godziny przed smażeniem marynujemy ją w zalewie z soku cytrynowego, pieprzu i soli, aby mięso ryby było spójne i białe. Osuszone kawałki ryby smażymy krótko na ostrym ogniu na zarumienionym maśle, po czym układamy na wygrzonym półmisku. Krótko smażymy na maśle pokrojoną w kostkę cytrynę i kapary, i polewamy tym solę. Podajemy z ziemniakami z wody, posypanymi pietruszką.

Omlety z morelami: smażymy średniej wielkości omlety. Po jednej stronie smarujemy je konfiturą z moreli, rolujemy w ruloniki i obsmażamy raz jeszcze krótko na gorącym maśle. Podajemy na gorąco, dekorując tartymi migdałami. Omlety udają się najlepiej, gdy ciasto przygotujemy i odstawimy co najmniej na godzinę przed smażeniem.

Schlumberger wykrzywił twarz, jakby mu się zbierało na łyżę.

— Ten bęcwał nadał bez końca. Dwadzieścia siedem nazwisk do tej pory.

— A z tych dwudziestu siedmiu wyciągną nazwiska wszystkich pozostałych. Jak nic — dodał Raddatz.

— Czy zjecie ze mną kolację, koledzy? — spytał Thomas.

Poszli — jak często w ciągu ostatnich miesięcy — do „Henriego”.

Był to odkryty kiedyś przez Thomasa mały lokalik przy Rue Clement Marot. Gospodarz sam podszedł do stolika i pozdrowił ich serdecznie. Gdy patrzył na Thomasa, zawsze wilgotniały mu oczy.

Henri miał szwagierkę, niemiecką Żydówkę, która wyposażona w fałszywe papiery zaszyła się gdzieś na wsi. Fałszywe domkumenty załatwił jej Thomas. Hotel „Lutetia” oferował dużo dobrych okazji

zdobycia fałszywych papierów. Thomas korzystał z nich od czasu do czasu. Pułkownik Werthe wiedział o tym i milczał.

— Coś lekkiego, Henri — powiedział Thomas.

Było już późno i musiał uspokoić nerwy. Wspólnie zestawili menu.

— Niech mu pan powie — poprosił Schlumberger — żeby zrobił parę nadziewanych naleśników.

Thomas przetłumaczył. Henri zniknął, a przy stoliku trójki przyjaciół zapadło milczenie, ciężkie jak ołów milczenie. Dopiero gdy podano nerki baranie, wiedeńczyk burknął:

— Brenner połączył się z Berlinem. Najpóźniej jutro rano zorganizują tam akcję specjalną. Co się stanie z tymi ludźmi, wiadomo.

Thomas myślał. Profesor Debouche. Piękna Yvonne. Porucznik Bellecourt i wielu, wielu innych. Jeszcze żyją. Jeszcze oddychają. Wkrótce zostaną aresztowani. Wkrótce nie będzie ich między żywymi.

— Chłopie — odezwał się Raddatz — już cztery lata się dekuję. Nigdy nikogo nie zabiłem. Zastrane uczucie, gdy tak nagle spada na nas część winy...

— To nie nasza wina — przerwał mu Thomas i pomyślał: Wasza nie. Ale moja? Ja, beznadziejnie zaplątany w kłamstwo i oszustwo, intrygę i podstęp. Czy jestem winny?

— Panie Lieven — powiedział Schlumberger — to wykluczone, żebyśmy w tej sytuacji pomogli tym partyzantom. Przecież oni zabijają naszych kolegów!

— Tak — zgodził się Thomas — to wykluczone.

I pomyślał zdesperowany: Co jeszcze można by zrobić? Co trzeba zrobić? Jak pozostać przyzwoitym człowiekiem?

— Karli ma rację — poparł go berlińczyk w swojej gwarze. — Niech pan spojrzy, ja też nie jestem nazistą. Ale tak z ręką na sercu: Gdybym wpadł im w ręce, nie mam szans. Myśli pan, że mi uwierzą? Dla nich będę nazistą!

— Mają w dupie wszelkie różnice. Zabijają cię. Dla nich Niemiec to Niemiec i już.

Thomas dłużej w swojej rybie, pogrążony w myślach. Nagle wstał.

— Widzę jeszcze jedną możliwość. Jedyną.

— Jaką?

— Można jednak coś zrobić ... i pozostać przyzwoitym człowiekiem.

Thomas poszedł do budki telefonicznej, zadzwonił do hotelu „Lutetia” i poprosił pułkownika Wertheego. Oficer zgłosił się. Był zdenerwowany. Do Thomasa docierał gwar głosów. Widocznie pułkownik uczestniczył właśnie w jakiejś naradzie. Po twarzy Thomasa

spływał pot. Pozostać przyzwoitym, myślał, wobec przyzwoitych ludzi w moim kraju, wobec przyzwoitych ludzi w tym kraju. Nie zostać zdrajcą. Ani fantastą. Nie kierować się sentymentem. Po prostu ratować życie...Ratować życie...

— Panie pułkowniku, tu Lieven — odezwał się Thomas zachrypłym głosem. — Chciałbym panu złożyć propozycję najwyższej wagi. Sam nie będzie pan mógł podjąć decyzji. Proszę, niech mnie pan wysłucha i natychmiast powiadomi pana admirała Canarisa.

— Cóż to znowu za bzdury?

— Panie pułkowniku, kiedy zaczyna się ta akcja na południu?

— Jutro rano. Dlaczego?

— Chciałbym prosić, by pozwolił pan m nie pokierować tą akcją!

— Lieven! Nie mam nastroju do żartów. Moja cierpliwość ma swoje granice!

— Niech pan posłucha, panie pułkowniku — zawołał Thomas. — Proszę, niech pan wysłucha tego, co mam panu do zaproponowania...

5

Była godzina czwarta czterdzieści pięć 6 sierpnia 1943 roku, gdy oryginalny brytyjski samolot typu lysander wziął kurs na francuskie miasto Clermont-Ferrand. Ze skłębionych tumanów mgły wyłaniała się właśnie rozżarzona kula słońca.

Pilot, oddzielony od pasażera ścianą kabiny, sięgnął po słuchawkę telefonu pokładowego i powiedział:

— Lądowanie za dwadzieścia minut, sonderführer!

— Dziękuję — rzekł Thomas i zamocował słuchawkę na ścianie kadłuba. Potem siedział nieruchomo w malutkiej kabinie i wpatrywał się to w nieskazitelnie czyste niebo, to w białawoszare pokłady mgły pod sobą, które zasłaniały jeszcze przed jego wzrokiem brudną ziemię z jej walkami i intrygami, nikczemnością i głupotą.

Thomas Lieven wyglądał nietęgo. Straszły jego zapadłe policzki i także zapadłe, podkrążone oczy. Miał za sobą najcięższą noc swego życia, przed sobą najcięższy dzień.

Po dziesięciu minutach lotu pilot zszedł na niższą wysokość. Lysander przerwał poranną zasłonę mgły. Pod nimi rozpościerało się Clermont-Ferrand — siedziba biskupstwa i uniwersytetu — jeszcze pogrążone we śnie, bez życia, z wyludnionymi ulicami.

O godzinie piątej piętnaście Thomas Lieven pił gorącą kawę w służbowym pokoju tyrolskiego kapitana Ollingera. Krępy, niewysoki komendant stacjonującej w okolicy Clermont-Ferrand jednostki strzelców górskich dokładnie studiował służbową legitymację Thomasa Lievena.

— Otrzymałem obszerny dalekopis od pułkownika Werthego — powiedział. — Dzwonił też do mnie przed godziną. Moi ludzie są do pańskiej dyspozycji, sonderführer.

— Na razie poproszę jedynie o samochód. Muszę pojechać do miasta.

— Dam panu dziesięciu ludzi.

— Nie, dziękuję. Ta sprawa wymaga dyskrecji.

— Ale...

— Ma pan tu zapieczętowany list. Niech go pan otworzy, jeśli nie zgłoszę się do ósmej. Zawiera wszystkie niezbędne wskazówki pułkownika Werthego, co musi pan w zaistniałej sytuacji przedsięwziąć. Na razie...

— Do zobaczenia...

— Tak — powiedział Thomas i odpukał w niemalowane drzewo — mam nadzieję.

Citroen, wprawdzie zdobyczny, ale nie na niemieckich numerach, trząśł na nierównościach placu Blaise Pascal. Thomas siedział obok zaspanego, milkliwego kierowcy. Miał na sobie założony na flanelowy garnitur krótki trencz i biały kapelusz.

Cel jego porannej podróży — profesor Debouche, duchowy przywódca resistance w południowej Francji. Uczony zajmował służbowe mieszkanie w rozległym „Cite Universitaire”. Thomas wysiadł przed główną bramą przy Avenue Carnot.

— Niech pan pojedzie za róg ulicy i poczeka tam na mnie — rzucił.

Podszedł do bramy uniwersytetu. Dobry Boże, dopomóż, pomyślał. Pomóż nam wszystkim...

Całą wieczność trwało — Thomas musiał dzwonić natarczywie przez dłuższy czas — zanim w końcu zjawił się, klnąc, stary pedel, w pantoflach i nocnej koszuli, z płaszczem zarzuconym na ramiona.

— Nom de Dieu, czy pan oszalał? Czego pan chce?

— Porozmawiać z profesorem Debouche.

— O tej porze? Posłuchaj pan...

Pedel przerwał. Banknot o nominale pięciu tysięcy franków zmienił właściciela.

— No tak...to chyba coś bardzo pilnego. Kogo mam zameldować panu profesorowi?

- A ma pan telefon w mieszkaniu?
- Tak, monsieur...
- W takim razie sam z nim porozmawiam.

W zagraconym, suterelowym mieszkaniu pedla, Thomasowi wystąpił pot na czoło, gdy — ze słuchawką przyciśniętą do ucha — usłyszał ostry dzwonek telefonu, rozlegający się u profesora Debouche.

Żona pedla wstała z łóżka, podeszła blisko do swego męża i rozmawiała z nim o czymś szeptem. Oboje patrzyli na przybysza przestraszeni. Po chwili do Thomasa dotarł znajomy głos:

- Debouche. Co się stało?
- Tu Everett — zaskrzeczał Thomas.
- Usłyszał jak profesor głęboko wciągnął powietrze.
- Everett? Gdzie...gdzie pan jest?
- Na uniwersytecie. W mieszkaniu pedla.
- Niech pana do mnie przyprowadzi...natychmiast...Ja...Cze-

kam na pana...

Thomas odłożył słuchawkę.

- Niech pan pozwoli, monsieur — powiedział pedel.

Wychodząc, skinął do swej żony — to jeszcze zdążył Thomas zauważyć — nie zauważył natomiast, że już po chwili przekwitła, szarzała kobieta podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę...

6

— Co, na litość boską, przywiodło pana do tego szaleńczego kroku, captain Everett? Czego pan tu szuka?

Słynny fizyk, przypominający wyglądem Alberta Einsteina, stał naprzeciw Thomasa w bibliotece swego mieszkania przed ogromną półką na książki.

— Panie profesorze, „Maquis Crozant” wysadziła most w okolicy Gargillesse.

- Tak, zgodnie z instrukcją.

— Czy widział pan swoich ludzi od tamtej pory?

— Nie. Jestem tu już od tygodnia ze swą asystentką. Miałem wykłady.

— Ale wie pan, że zamiast porucznika Bellecourta akcją kierowali burmistrz Cassier i garncarz Rouff?

— Niezawodni, dzielni ludzie!

— Zawodni i głupi — powiedział Thomas z goryczą. — Próżni ludzie, panie profesorze! Nieodpowiedzialni!

— Mon capitaine, niechże pan posłucha...

— Wie pan, co te przeklęte zakute pały zrobiły wczoraj wieczorem? Usiedli do radiostacji i nadali nazwiska i adresy członków „Maquis Crozant”! Cassier! Rouff! Profesor Debouche! Yvonne Dechamps! Porucznik Bellecourt. Ponad trzydzieści nazwisk i adresów...

— Ależ dlaczego, na miłość boską!

Uczony zbladł.

— Z chępliwości. Żeby generał de Gaulle aby na pewno się dowiedział, kim są najmężniejsi bohaterowie, którzy zasługują na najwyższe odznaczenia...Ma pan tam, w górach, kompletnych głupców, panie profesorze!

Starzec długo patrzył na Thomasa.

— W istocie, błędem było podawanie nazwisk, ale czy to przestępstwo? Czy dla Londynu stanowi to jakieś zagrożenie? Nie sądzę...A zatem, nie dlatego pan tu przybył. Z takiego powodu nie ryzykuje się życia...

Profesor Debouche podszedł do Thomasa bardzo blisko. Oczy uczonego były wielkie i badawcze, gdy zapytał świszczącym szeptem:

— Dlaczego ryzykuje pan życie, captain Everett?

Thomas głęboko wciągnął powietrze. Nawet gdyby miał mnie zabić, pomyślał. Nawet gdybym nie miał przeżyć tego dnia. W takim razie przynajmniej umrę przy próbie ratowania ludzkiego życia w tych brudnych czasach. Nagle poczuł się zupełnie spokojny, jak wówczas, gdy podejmował decyzję odebrania sobie życia, by uniknąć dalszych przesłuchań przez gestapo.

— Ponieważ nie nazywam się Everett, lecz Thomas Lieven — powiedział cicho.

Stary człowiek zamknął oczy.

— I nie pracuję dla Londynu, lecz dla Niemieckiej Abwehry.

Uczony otworzył oczy i patrzył na Thomasa z wyrazem bezgranicznego smutku.

— Dlatego wreszcie, że „Maquis Crozant” od samego początku nie miała kontaktu radiowego z Londynem, lecz z Niemcami.

Po tych słowach w bibliotece zapanowała cisza. Mężczyźni nie spuszczała z siebie wzroku.

— To za potworne, by mogło być prawdziwe — wyszeptał w końcu Debouche. — Nie mogę, nie chcę w to uwierzyć.

W tym momencie drzwi rozwarły się gwałtownie i stanęła w nich asystentka profesora Yvonne Dechamps, zadyszana, nieumalowana,

w błękitnym deszczowcu narzuconym na skąpą bieliznę. Jasne włosy opadały jej w nieładzie na ramiona, zielone jak morze oczy były szeroko rozwarte w przerażeniu. Piękne usta drgały.

— A więc to prawda...Captain Everett...To naprawdę pan...

Trzema susami dopadła Thomasa. Debouche uczynił gwałtowny ruch. Yvonne wlepiła wzrok w Thomasa. Mówiła szybko i chaotycznie.

— Żona pedla zadzwoniła do mnie...Ja też tu mieszkam...Co się stało, capitaine Everett, co się stało?

Thomas zacisnął wargi i milczał. Nagle sięgnęła po jego dłoń i ścisnęła ją mocno obiema rękami. Dopiero teraz spostrzegła, że Debouche siedzi złamany, stary, zrozpaczony.

— Co się stało, profesorze? — zawołała Yvonne w gwałtownie narastającej panice.

— Moje dziecko. Człowiek, którego rękę trzymasz, jest niemieckim agentem...

Wolno, bardzo wolno Yvonne Dechamps odstąpiła od Thomasa. Chwiała się na nogach, jakby była pijana. Po chwili opadła na fotel. Profesor Debouche zrelacjonował jej chrapliwym głosem to, co usłyszał od Thomasa.

Yvonne słuchała uważnie, nie spuszczać wzroku z Thomasa. Jej zielone oczy ciemniały coraz bardziej, wzbierała w niej dzika nienawiść i pogarda. Jej wargi prawie się nie poruszyły, gdy powiedziała:

— Myślę, że jest pan czymś najbardziej podłym i nikczemnym na świecie, panie...Lieven. Myślę, że jest pan łajdakiem nad łajdaki, jedyne uczucie, jakim można pana obdarzyć to nienawiść.

— Jest mi obojętne, co pani o mnie myśli — rzekł Thomas. — Nie mogę odpowiadać za to, że nie tylko wśród nas, lecz także u was zdarzają się tacy próżni, samolubni idioci jak Rouff i Cassier. Przez całe miesiące wszystko szło dobrze...

— Pan to nazywa dobrze, świnio?

— Tak — odrzekł Thomas.

Czuł, że ogarnia go coraz większy spokój.

— To właśnie nazywam dobrem. Od kilku miesięcy nikt w tej okolicy nie został zastrzelony. Żaden Niemiec. Żaden Francuz. I tak mogło być nadal. Mógłbym was chronić aż do końca tej przekłętej wojny...

Yvonne krzyknęła nagle, piskliwie i histerycznie jak dziecko, skoczyła na chwiejne nogi i splunęła Thomasowi w twarz. Profesor odciągnął ją gwałtownie do tyłu.

Thomas wytarł sobie chusteczką policzek. Patrzył na Yvonne w milczeniu. Ma rację, pomyślał. Z jej punktu widzenia ma rację. Wszyscy mają rację ze swych punktów widzenia... ja też. Przecież chcę być przyzwoity wobec wszystkich wkoło...

Yvonne Dechamps chciała rzucić się w stronę drzwi, ale Thomas szarpnął ją do tyłu. Z hukiem odbiła się o ścianę. Obnażając zęby, prychnęła na niego jak dzikie zwierzę.

— Nigdzie pani nie pójdzie.

Thomas zastawił sobą drzwi.

— Gdy wczoraj wieczorem przetelegrafowano nazwiska, Abweh-
ra natychmiast zawiadomiła Berlin. Postanowiono wprowadzić do
akcji stacjonującą pod miastem jednostkę strzelców górskich. Gdy się
o tym dowiedziałem, przeprowadziłem jeszcze jedną rozmowę z szefem
Abwehry w Paryżu...

— Po co? — spytał profesor Debouche.

Thomas potrząsnął głową.

— To moja sprawa — powiedział.

Profesor spojrzął na niego osobiście.

— Nie chciałem pana urazić...

Ten człowiek, pomyślał Thomas, ten godny podziwu człowiek
zaczyna pojmować, zaczyna mnie rozumieć...Jeśli mi się poszczę-
ści...Jeśli nam wszystkim się poszczęści...

— Uświadomiłem pułkownikowi Werthemu, że akcja strzelców
górskich z pewnością pociągnie za sobą ofiary. Po obu stronach. Nasi
ludzie będą działali stanowczo. Wasi będą się rozpaczliwie bronić.
Poleje się krew. Zginą ludzie. Niemcy i Francuzi. Gestapo podda
torturom jeńców. Ci zdradzą swych towarzyszy.

— Nigdy! — zawołała Yvonne.

Thomas odwrócił się.

— Niech się pani zamknie!

— Istnieją straszne tortury — włączył się starzec.

Nagle spojrzął na Thomasa, mądrze i smutno jak prorok ze
Starego Testamentu.

— Wie pan coś o tym, panie Lieven, prawda? Wydaje mi się, że
wiele zrozumiałem. Przypomina pan sobie, powiedziałem kiedyś, że
uważam pana za porządnego człowieka...Czuję, że to nadal aktualne.

Thomas milczał. Yvonne oddychała chrapliwie.

— Co jeszcze powiedział pan pańskiemu pułkownikowi, panie
Lieven? — spytał profesor.

— Przedłożyłem mu pewną propozycję, która uzyskała akcepta-
cję admirała Canarisa.

— Co to za propozycja?

— Jest pan duchowym przywódcą ruchu oporu. Ludzie pana posłuchają. Zwoła pan spotkanie oddziału przy młynie pod Gargillesse i wyjaśni, że nie ma innego wyjścia. Wówczas Niemcy będą mogli ich pojmać tam, na miejscu, bez jednego wystrzału.

— Co dalej?

— Jeśli tak się stanie, admirał Canaris gwarantuje swoim słowem honoru, że nie zostaniecie wydani gestapo, lecz umieszczeni jako regularni jeńcy wojenni w jednym z obozów Wehrmachtu.

— Wystarczy.

— W tych warunkach jest to najlepsze z możliwych rozwiązań. Wojna nie będzie trwała wiecznie.

Profesor Debouche nie odpowiedział. Stał z opuszczoną głową na tle swoich książek.

Spraw Boże, żeby ta wojna rzeczywiście wkrótce się skończyła. Pod rządami nazistów tak strasznie trudno pozostać przyzwoitym człowiekiem. Spraw, żeby tę hołotę szlag trafił, żeby ich wreszcie szlag trafił. A mnie wreszcie pozwól żyć w pokoju.

Były to życzenia, które jeszcze długo, bardzo długo miały czekać na spełnienie...

— Jak się dostanę do Gargillesse? — spytał profesor.

— Ze mną, moim samochodem. Czas nagli, profesorze. Jeśli nie przyjmie pan tej propozycji, o godzinie ósmej wkroczą do akcji strzelcy górscy. Bez nas.

— A...a Yvonne? Jest jedyną kobietą w oddziale...Kobietą, panie Lieven...

Thomas uśmiechnął się smutno.

— Mademoiselle Yvonne umieszczę jako mojego osobistego jeńca — proszę, niech mi pani da powiedzieć do końca — w celi prefektury miejskiej. Pozostanie tam do czasu zakończenia akcji. Żeby swym patriotycznym zapałem nie sprowadziła na nas nieszczęścia. Potem wyciągnę ją stamtąd i przewiozę do Paryża. Tyle że w czasie podróży zbiegnie mi z samochodu.

— Co?

Yvonne wytrzeszczyła na niego oczy.

— Podejmie pani udaną próbę ucieczki — powiedział Thomas cicho.—To drugi przywilej, jakiego udzielił mi pułkownik Werthe. Będzie to, że się tak wyrażę, ucieczka z przyzwoleniem Niemieckiej Abwehry!

Yvonne podeszła bardzo blisko Thomasa. Dyszała z podniecenia.

— Jeśli Bóg istnieje, ukarze pana...Niech pan zdechnie, powoli i nędznie...Nigdzie nie ucieknę! A profesor Debouche nigdy nie

przyjmie pańskiej propozycji, nigdy! Będziemy walczyć do końca! Wszyscy.

— Oczywiście — powiedział Thomas zmęczonym głosem. — A teraz niech pani usiądzie z powrotem i zamknie się wreszcie, babski bohaterze.

7

„tajne — godzina 14 minut 35 — 9 sierpnia — abwehra paryż do szefa abwehry berlin — batalion strzelców górskich z rejonu clermont-ferrand pod dowództwem sonderführera lievena pojmał 7 sierpnia około godziny 22 w okolicy młynu pod gargillesse oddział ruchu oporu maquis crozant — członkowie oddziału pod przywództwem profesora debouche nie stawiali oporu — aresztowano 67 (sześćdziesięciu siedmiu) mężczyzn — aresztowani zgodnie z instrukcją zostali umieszczeni w jenieckim obozie wehrmachtu 343 — koniec...

8

27 września 1945 roku profesor Debouche oświadczył przed sojuszniczą komisją śledczą w Paryżu dosłownie:

„Wszyscy członkowie Maquis Crozant byli w obozie 343 Wehrmachtu traktowani humanitarnie. Wszyscy przeżyli wojnę i wrócili do ojczyzny. Chciałbym podkreślić, że nasze życie zawdzięczamy odwadze i człowieczeństwu Niemca, który zrazu zwiódł nas, podając się za brytyjskiego kapitana, i który 6 sierpnia 1943 roku zjawił się u mnie w Clermont-Ferrand. Twierdził wówczas, że jest sonderführerem Thomasem Lievenem...”

Po tym oświadczeniu członkowie alianckiej komisji śledczej rozpoczęli poszukiwania owego „sonderführera Lievena”. Nigdy nie wpadli na jego trop, gdyż jesienią 1945 roku Thomasa Lievena ścigały całkiem inne organizacje niż sojusznicza komisja śledcza. Z tego też powodu Thomas Lieven...Ale stop, opowiedzmy wszystko, jak się należy, po kolei. Jeszcze mamy sierpień 1943 roku...

17 sierpnia 1943 roku Naczelne Dowództwo Wehrmachtu poinformowało o wycofaniu się z Sycylii. Oczywiście na z góry upatrzone pozycje. Poza tym, głosił komunikat, w środkowym biegu Dońca, po zmasowanym przygotowaniu artyleryjskim, Sowietci ruszyli do — oczywiście dawno oczekiwanego — natarcia.

Tego samego dnia, na wielkim wiecu NSDAP — Krajowa Grupa Francja — przemawiał w Paryżu gauleiter Sauckel. Mówca wywodził między innymi, że naród niemiecki przeżywa w obecnej chwili swą najwznioślejszą i najbardziej promienną epokę. Ostateczne zwycięstwo, oświadczył Sauckel, jest pewne. W czwartym roku wojny sytuacja Niemiec jest całkiem inna niż swego czasu w I Wojnie Światowej. A zatem prędzej świat się zawali niż Niemcy ją przegrają.

W tym samym czasie, gdy gauleiter Sauckel trzykrotnym Sieg-Heil! dziękował führerowi za doprowadzenie narodu niemieckiego na takie niedosiężne wyżyny i do takiej niepowtarzalnej wielkości, pułkownik Werthe wezwał do swego biura w hotelu „Lutetia” kapitana Brennera i sonderführera Lievena.

— Panowie — zagaił — właśnie dostałem odpowiednie instrukcje z Berlina. Kapitanie Brenner, za pańskie zasługi w likwidacji „Maquis Crozant” zostaje pan awansowany do stopnia majora. Z działaniem wstecz od 1 sierpnia. W imieniu führera i Naczelnego Dowódcy nadają panu też Wojenny Krzyż Zasługi I Klasy z Mieczami.

Oto wybiła wielka godzina dla małego kapitana Brennera! Jego oczy błyszczały za połyskującymi szklami okularów jak oczy szczęśliwego dziecka w czasie wieczoru wigilijnego. Stał wyprężony, z wciągniętym brzuchem i wypiętą piersią!

— Brawo! — zawołał cywil Lieven, który miał na sobie tego dnia doskonale skrojony, błękitny letni garnitur, białą koszulę i matowy krawat w szaro-różowe paski.

— Gratuluję, panie majorze! — powiedział.

— Wiem, że zawdzięczam to wszystko panu — powiedział świeżo upieczony zawstydzony major Brenner.

— Nonsens!

— Nie, nie, żaden nonsens, właśnie panu! I przyznaję, że często byłem przeciwko panu w tej operacji, że uważałem to wszystko za szaleństwo, nie miałem do pana zaufania...

— Jeśli teraz je pan do mnie ma, to nic się nie stało — rzekł Thomas pojednawczo.

I rzeczywiście, od tamtej chwili Thomas Lieven miał w osobie majora Brennera oddanego, pełnego podziwu przyjaciela, który w przyszłości nie cofał się przed najbardziej zwariowanymi i brawurowymi akcjami swego zagadkowego sonderführera.

Pułkownik Werthe otrzymał Klamrę do Żelaznego Krzyża I Klasy.

— To jeszcze odznaczenie z I Wojny Światowej — wyjaśnił.

— Niech pan spojrzy — powiedział Thomas do świeżo upieczonego majora Brennera — rozpętałyśmy dwie wojny światowe w tak krótkich odstępach czasu, że silny, zdrowy człowiek może bez problemu zaznać szczęścia doświadczenia obu w ich heroicznej wielkości.

— Niech się pan zamknie — warknął pułkownik. — Czego pan tu w ogóle szuka, śmieszny sonderführerze? Przecież jest pan cywilem.

— I chcę nim zostać.

— Nawiasem mówiąc, przekazano mi z Berlina zapytanie, jakie odznaczenie chciałby pan otrzymać.

— Mnie nie sposób uszczęśliwić orderami, panie pułkowniku — odparł na to nasz przyjaciel — ale gdybym mógł wyrazić pewną prośbę...

— Słucham!

—...chciałbym zmienić pole działania. Nie chciałbym, panowie, być już wykorzystywany do zwalczania partyzantów. Jestem człowiekiem, który chętnie się śmieje i bawi. W ciągu ostatnich tygodni przeszła mi ochota do śmiechu. Chciałbym, jeśli już muszę dla was pracować, zająć się jakąś mniej nudną i zabawniejszą działalnością.

— Wydaje mi się, że akurat mam coś odpowiedniego dla pana, sonderführer Lieven.

— A mianowicie, pułkowniku?

— Francuski czarny rynek — odparł Werthe.

I rzeczywiście, od tej chwili — przynajmniej na jakiś czas — z horyzontu życiowego Thomasa Lievena zniknęły wszystkie ciemne chmury, a nasz przyjaciel wpadł z impetem w karnawał nowych, groteskowych przygód...

— Jeszcze nigdy w historii ludzkości nie zaistniał tak ogromny, tak zwariowany i tak niebezpieczny czarny rynek, jak dziś w Paryżu — rzekł pułkownik Werthe.

Thomas dowiedział się, ku swemu zdumieniu, co kryło się za fasadą roziskrzonego światłami miasta nad Sekwaną.

— Kupują tu wszyscy — ciągnął pułkownik — Organizacja Todt, Marynarka Wojenna, Luftwaffe, Armia Lądowa i park maszynowy Wehrmachtu...teraz jeszcze włączyło się w to wszystko gestapo.

Marszałek Rzeszy Göring polecił zlikwidować „marche noir”, gdyż przez wzajemne podbijanie cen przez niemieckich nabywców, doszły one ostatnio do niebotycznych wysokości. Okrężną drogą, poprzez pięciu czy sześciu pośredników, cena zwykłej, prostej obrabiarki rosła z czterdziestu tysięcy do miliona franków!

Tak więc gestapo powołało do życia przy Rue des Saussaies, w budynku „Surete” tzw. Placówkę Zwalczenia Czarnego Rynku. Szefem jej został jakiś untersturmbannführer SS. Funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa z całej Francji przysyłano do Paryża na przeszkolenie. Tyle że Sicherheitsdienst nie miała specjalnego pożytku ze swej nowej komórki, gdyż przeszkoleni już funkcjonariusze Placówki Zwalczenia Czarnego Rynku bardzo prędko dochodzili do wniosku, że na tym „marche noir” można się nieźle obłowić i współpracując z Francuzami, dokonywali nieprawdopodobnych wręcz machlojek.

Na przykład jednego jedynego dnia sprzedano czterokrotnie te same 50 000 swetrów, przy czym trzej spośród nabywców zostali po transakcji sprzątnięci. A ponieważ czwarty był członkiem bandy, następnego dnia... W każdym razie forsa za po trzykroć 50 000 swetrów już wędrowała do kasy...

Znikali ludzie. Znikały lokomotywy. Znikały setki tysięcy kilogramów najprzedniejszej bibułki do papierosów. Coraz bardziej szaleńczy był chaos wywoływany przez gestapo i powołaną przez nie, skorumpowaną placówkę. Agenci aresztowali się nawzajem i zabijali. Gestapowcy występowali jako Francuzi, Francuzi jako funkcjonariusze gestapo...

To wszystko pułkownik Werthe opowiedział zaskoczonemu i przysłuchującemu się z uwagą Thomasowi Lievenowi. W końcu rzekł:

— Czy to nie byłoby coś dla pana, Lieven?

— Wydaje mi się, że tak, panie pułkowniku. Jak najbardziej.

— Nie boi się pan?

— Ach, wie pan, gdy mieszkałem w Marsylii otrzymałem niezły szlif w tej dziedzinie — powiedział Thomas Lieven. — Poza tym spełniam wszelkie dodatkowe warunki. Posiadam willę w Paryżu przy Square du Bois de Boulogne i udział — jeszcze sprzed wojny — w pewnym niewielkim tutejszym banku. W ten sposób budzę całkowite zaufanie.

Słowa słowami, myśli myślami. Przede wszystkim, myślał Thomas, odzyskam wreszcie choć cząstkę mojej prywatności. Odseparuję się trochę, oddalę od was, moi drodzy. Kto wie, może nawet uda mi się oddalić aż do Szwajcarii...

Jego własny bank sprawił na Thomasie Lievenie wrażenie jak na człowieku z bajki, który po długim, zaczarowanym śnie wraca do swej wioski i stwierdza, że minęło siedem lat. W przypadku Thomasa Lievena upłynęły tylko trzy lata. Został zarówno współwłaścicielem banku, jak również większość starszych urzędników. Spośród młodszych brakowało wielu.

Jako wyjaśnienie swej długotrwałej nieobecności Thomas podał wielce wiarygodny fakt, iż został ze względów politycznych uwięziony przez Niemców i właśnie odzyskał wolność.

Na samym wstępie Thomas postanowił odszukać swego podstęp- nego angielskiego współnika Roberta W. Marlocka, ale nikt z pracowników banku nie miał o tym łotrze żadnych wiadomości, więc zniechęcony pojechał w stronę Lasku Bulońskiego. Na widok niewielkiej willi, w której spędził tyle niezapomnianych chwil z piękną Mimi Chambert, popadł w tkliwą melancholię.

Mimi Chambert...Pułkownik Simeon...Czy byli w Paryżu? Musi ich znaleźć...A Josephine Baker i pułkownik Debras... Z daleka, bardzo daleka, z gromnej pustyni czasu, uśmiechali się do niego Bastian i „Kopyto” z Marsylii, genialny fałszerz Pereira, martwy garbaty przyjaciel Lazarus Alcoba, histeryczna konsulowa Estrella Rodrigues z Lizbony... Z najdalszej, nieosiągalnej dali, uśmiechała się smutno kobieta, za którą Thomas wciąż jeszcze tęsknił...

Nagle ocknął się z mrzonek, przetarł dłonią wilgotne oczy i wszedł do niewielkiego ogrodu willi, którą przed trzema laty opuścił w po- płochu, cadillackiem z amerykańską flagą na dachu.

Otworzyła mu młoda, piękna pokojówka. Poprosił o rozmowę z gospodarzem domu. Dziewczyna wprowadziła go do salonu.

— Pan Płatnik Sztabowy zaraz przyjdzie.

Thomas rozejrzał się wokół. Jego meble były jeszcze na swym miejscu, dywany i obrazy tudzież. Ach Boże, podniszczone, zaniedbane, ale jego własne...

Oto wszedł pan Stabszahlmeister — pewien siebie, nażarty do syta, pyszałkowaty.

— Moje nazwisko Höpfner, Heil Hitler! Czym mogę panu służyć?

— Thomas Lieven. Wyprowadzając się stąd niezwłocznie.

Płatnik Sztabowy spurpurowiał.

— Spił się pan, co?

— Bynajmniej.

— Głupi kawał?

— Nie, to po prostu moje mieszkanie.

— Bzdura! To mieszkanie należy do mnie. Od roku.

— Widać. Wszystko tu strasznie zapuszczone.

— Posłuchaj no pan, panie Lieven, czy jak tam się pan nazywa, albo natychmiast pan stąd znika, albo wezwę policję.

Thomas wstał.

— Już idę. Nawiasem mówiąc, pański ubiór pozostawia wiele do życzenia.

Udał się do pułkownika Wertheho. Dwie godziny później Stabszahlmeister Höpfner otrzymał od swego przełożonego rozkaz natychmiastowego opuszczenia willi przy Square du Bois de Boulogne. Noc spędził już w hotelu. Nie mieściło mu się to w głowie.

Były Płatnik Sztabowy Höpfner nazywa się teraz wprawdzie inaczej, ale żyje między nami. Jest dziś dyrektorem wielkiej fabryki w Nadrenii. Być może przeczyta te słowa. Wówczas, po tak długim czasie, dowie się wreszcie, kto był winien tego, że 3 września 1943 roku tak szybko wyleciał z pięknej willi przy Square du Bois de Boulogne.

11

Stabszahlmeister Höpfner stracił willę, zaś pułkownik Werthe stracił w tych dniach pierwszorzędną pomoc domową — piękną, czarnowłosą Nanette. Mała Francuzeczka poznała Thomasa Lievena i ogarnęła ją podziw dla niego, gdy 12 grudnia 1942 roku pułkownik Werthe wyciągnął go — skatowanego i nędznego — z więzienia gestapo. Teraz Nanette nagle złożyła pułkownikowi Abwehry wypowiedzenie. W kilka dni później spotkał ją znów. W willi Thomasa.

— Niech się pan nie gniewa, panie pułkowniku — zakwiliła — ja zawsze chcę pracować w Square du Bois de Boulogne...

Na początku września 1943 roku Thomas urządził się już w willi według swego smaku. Piwnica wypełniła się alkoholami z czarnego rynku, kuchnia produktami spożywczymi z tego samego źródła. Można się więc było zabrać do zwalczania czarnego rynku!

Pierwszą, poniekąd tajemniczą, kluczową postacią, której rozpracowanie zlecił mu pułkownik Werthe, był niejaki Jean-Paul Ferroud. Siwowłosy olbrzym posiadał, jak Thomas, prywatny bank w Paryżu. Wiele wskazywało na to, że właśnie on maczał palce w największych i najbardziej bezczelnych lewych operacjach finansowych.

Thomas zaprosił go na kolację.

Dwie rzeczy czynili Francuzi w roku 1943 tylko w całkiem wyjątkowych okolicznościach — składali wizyty Niemcom i zapraszali ich do siebie. Spotykano się w restauracjach, barach, w teatrze, ale nie w domu. Chyba że miano po temu bardzo, bardzo ważne powody...

Sprawa Ferrouda zaczęła się od niespodzianki — bankier przyjął zaproszenie Thomasa.

Przez pięć dni Thomas Lieven i Nanette przygotowywali tę kolację. Ferroud przybył o wpół do ósmej. Panowie mieli na sobie smokingi.

Bardzo wytrawne martini wypili w salonie, po czym przeszli do stołu, na którym płonęły świece.

Nanette podała pieczeń z szynki w czerwonym winie.

Ferroud jadł jak koneser. Dyskretnie oblizwał wargi.

— W istocie, wyśmienita. Leżała w czerwonym winie, co?

— Przez pięć dni. Ale najważniejsze było natarcie jej jałowcem, imbirem, liśćmi laurowymi, pieprzem i cebulą. Trzeba ją tak długo nacierać, aż prawie całkiem czernieje.

— Użył pan tylko czerwonego wina?

Ferroud wyglądał wspaniale, jak pere noble jakiegoś francuskiego teatru.

— I pół butelki octu. Jestem bardzo szczęśliwy, że przyjął pan moje zaproszenie.

— Proszę pana — rzekł olbrzym, nabierając na widelec sałatkę z selera — w końcu niecodziennie jest się zapraszającym przez agenta Niemieckiej Abwehry.

Thomas spokojnie jadł dalej.

— Zasięgnąłem o pana języka, monsieur Lieven. Właściwie należałoby traktować pana z wielką nieufnością, bo z uzyskanych przeze mnie informacji wynika tak wiele, a jednocześnie tak niewiele na temat tego, kim pan naprawdę jest. Jedno nie ulega wątpliwości — napuszczono pana na mnie, bo uważa się mnie za cichego króla czarnego rynku! Zgadza się?

— Tak — odparł Thomas. — Proszę wziąć jeszcze jeden plaster mięsa! Czegoś tu nie rozumiem.

Menu, Paryż, 10 września 1943

Szynka w czerwonym winie z sałatką selerową i ziemniakami z wody Savarin z owocami

Szynką rozpoczyna Thomas Lieven popłoch na czarnym rynku.

Szynka w czerwonym winie: z dużej szynki wieprzowej ścinamy skórę oraz część tłuszczu. Przyrządzamy zalewę ze startej cebuli, rozmiążdżonego pieprzu, imbiru, liści bobkowych, jagód jałowca i nacieramy mocno całą szynkę tym roztworem tak długo, aż zrobi się ciemnobrunatna. Następnie kładziemy ją do garnka i zalewamy 1 butelką wina czerwonego i 1/2 butelki octu. W tej polewie trzymamy szynkę 5-8 dni, często ją obracając. Przed pieczeniem nacieramy ją solą i dusimy na małym ogniu, dodając połowę zalewy. Po wygotowaniu się zalewy wkładamy szynkę do piekarnika podlewając stopniowo resztą zalewy. Szynkę pieczemy na piękny złotobrazowy kolor, po czym zagęszczamy sos. Podajemy z sałatką z selerów bez majonezu i ziemniakami z wody. Czas gotowania i pieczenia szynki wynosi 3-5 godzin, w zależności od jej wielkości.

Savarin z owocami: zagniatamy ciasto z 1/2 funta mąki, 1/8 l mleka, 15 g drożdży, 125 g masła, 30 g cukru, 3 jaj i odrobiny soli. Nieco drożdży rozpuszczamy w 1/4 l mleka i czekamy na fermentację. Potem dodajemy do roztopionego masła i łączymy z pozostałymi składnikami. Wyrabiamy ciasto tak długo, dopóki nie pojawią się na nim pęcherze. Przygotowujemy wysmarowaną masłem formę i wypełniamy ją w 3/4 ciastem. Czekamy na wyrośnięcie ciasta i wypełnienie formy, po czym pieczemy 30 minut w piekarniku. Tymczasem przygotowujemy zaprawione lub świeżo ugotowane połówki brzoskwiń (możemy również wziąć inne owoce) do temperatury wrzenia, dodając 1/8 funta marmolady morelowej. Przygotowujemy również zalewę z 1/8 litra soku z owoców, 2 łyżek białego wina, po 1 łyżeczce sherry, maraskino i soku cytrynowego, 1/2 łyżeczki rumu i kawałka rozartej wanilii. Tuż po upieczeniu wykładamy gorące ciasto na wygrzany półmisek, zalewamy gorącą zalewą, smarujemy marmoladą morelową i pośrodku układamy kopczyk z gorących brzoskwiń. Dekorujemy 2 łyżkami pistacji. Ciasto można upiec dnia poprzedniego, ale tuż przed podaniem i ubraniem należy je podgrzać.

— Czegóż to?

— Że, nie ufając mi i wiedząc kim jestem, mimo wszystko przyszedł pan do mnie. Musi pan mieć jakiś powód.

— Oczywiście, że mam. Chciałem poznać człowieka, który będzie — być może — moim wrogiem. I chciałbym poznać pańską cenę. Może moglibyśmy się jakoś dogadać, monsieur...

Thomas zmarszczył brwi. W jego głosie pobrzmiwała teraz arogancja.

— Czyli nie jest pan jednak dobrze poinformowany co do mej osoby — rzucił. — Szkoda, monsieur Ferroud, cieszyłem się na godnego siebie przeciwnika.

Bankier poczerwieniał. Odłożył nóż i widelec.

— A więc, nie widzi pan możliwości porozumienia? Teraz ja twierdzę, że szkoda. Obawiam się, że nie docenia pan niebezpieczeństwa, jakie będzie panu od tej chwili zagrazać, monsieur. Rozumie pan, że nie mogę nikomu pozwolić zaglądać sobie w karty. A już na pewno nie komuś, kto jest nieprzekupny...

12

Thomas Lieven położył się właśnie na kanapie, gdy w willi przy Square du Bois de Boulogne w Paryżu zadzwonił telefon. Była godzina trzynasta czterdzieści sześć 13 września 1943 roku — historyczna chwila! Ten telefon bowiem — jeśli spojrzeć na to w szerszej perspektywie czasu — miał pociągnąć za sobą lawinę wydarzeń.

Miał przyczynić się do ponownego spotkania Thomasa Lievena z pewną damą, które to spotkanie — po niezwykle krótkim okresie błogości — już wkrótce nieomal przepląciłby życiem.

Miał przynieść Thomasowi Lievenowi przyjaźń pewnego człowieka, który kilka miesięcy później uratował mu rzucone życie.

Miał mu umożliwić wyjaśnienie pewnego ze wszech miar zrozumiałego, acz godnego potępienia morderstwa, a co za tym idzie jednej z największych czarnorynkowych afer roku.

Miał wreszcie zaskarbić naszemu przyjacielowi dozgonną wdzięczność pewnej zdesperowanej pani domu i pewnej starej kucharki, króрым pośpieszył z pomocą w sytuacji dla pań domu koszarnej.

Jak widać, dość urozmaicony program z miłymi i mniej miłymi akcentami. Mimo to, gdyby nasz przyjaciel przeczuwał, co go czeka, nie podniósłby słuchawki do Sądneho Dnia. Ale Thomas nie przeczuł i podniósł słuchawkę.

— Słucham?,

— Pan Lieven?

Thomas znał ten głos. Dzwonił Jean-Paul Ferroud.

Thomas spytał uprzejmie o samopoczucie bankiera, na co tamten odparł, że miewa się dobrze.

— A szanowna małżonka?

— Dziękuję, również. Niech pan posłucha, panie Lieven, przykro mi, że zachowałem się u pana, hm, tak zimno i agresywnie...

— Nie ma o czym mówić!

— Jest, jest! I to przy tak smaczkowej szynce...Chciałbym jakoś naprawić tę gafę.

No, no, pomyślał Thomas.

— Czy sprawiłby pan mojej żonie i mnie radość, przyjmując nasze zaproszenie na kolację dziś wieczorem?

O, do diaska, pomyślał Thomas.

— Wychodzę z założenia, że pan, jako agent Abwehry, wie, gdzie mieszkam, prawda? — rzucił bankier z subtelną ironią.

Niewinne żarciki tego typu już od dawna nie wyprowadzały Thomasa z równowagi.

— Ależ oczywiście, monsieur — odparł pośpiesznie. — Mieszka pan przy Avenue Malakoff numer 24, bardzo blisko mnie. I ma pan bardzo piękną żonę o imieniu Marie-Louise. Z domu Kleber. Jest w posiadaniu najdrogocenniejszej biżuterii w Paryżu. Zatrudnia pan chińskiego służącego nazwiskiem Shen-Tai, kucharkę Therese i pokojówkę Suzette. Ma pan też dwa buldogi, wabią się Cicero i Caesar.

Usłyszał śmiech Ferrouda.

— Powiedzmy o ósmej?

— O ósmej, monsieur.

Thomas odłożył słuchawkę.

Zanim jeszcze zdążył pomyśleć o tym szczególnym zaproszeniu, ktoś zapukał do drzwi. Do salonu wpadła zadyszana, śliczna jak malowanie, pokojówka Nanette. Mówiła po niemiecku. Nanette zawsze mówiła po niemiecku, gdy była bardzo podniecona.

— Monsieur...monsieur...W radiu właśnie podało, że Mussolini wolny...Duce jest już w drodze do Berlina...do Hitler...żeby móc wspólnie walczyć dalej...

— Benito jest zapewne bardzo szczęśliwy — skwitował Thomas.

Nanette roześmiała się i podeszła do niego blisko, bardzo blisko.

— O, monsieur...Pan jest taki miły...Jestem taka szczęśliwa, że tu mogę być...

— Nanette, niech pani nie zapomina o swoim...Jak się miewa Pierre?

Dziewczyna wydeła usta.

— Ach, Pierre...on jest taki nudny...

— To bardzo miły chłopak — ocenił Thomas pedagogicznie i wstał, gdyż podeszła do niego za blisko.

— Marsz do kuchni, Nanette.

Dał jej klapsa, a ona roześmiała się, jakby ją ktoś połaskotał.

Potem wyszła zawiedziona.

Thomas zaczął rozmyślać: Czego ten Ferroud może ode mnie chcieć?

13

Willa przy Avenue Malakoff okazała się niezwykle cywilizowanym domem, pełnym europejskich i dalekowschodnich kosztowności. Ferroud musiał być milionerem!

Mały chiński służący przywitał gościa wprawdzie z odwiecznym uśmiechem swej rasy, ale jego postawa i głos były wyniosłe i chłodne. Wyniosła i chłodna była także pokojówka, której Thomas wręczył celofanowe pudełko z różowymi orchideami dla pani domu.

Wreszcie sam gospodarz był także wyniosły i chłodny. Kazał mu czekać ładną chwilę w salonie. Całe siedem minut, jak, marszcząc czoło, stwierdził Thomas przy pomocy swego ukochanego złotego repetiera. W końcu wszedł, wytworny jak zwykle, podał Thomasowi rękę i zaczął miksować martini.

— Moja żona już schodzi — powiedział.

Dziwne, pomyślał Thomas, dziwne. Przyglądał się Buddzie, intarsjowanym szafkom, ciężkim, wieloramiennym świecznikom, dywanom. Ten Jean-Paul Ferroud jest bardzo bogaty. Może gwizdać na mnie. W takim razie, dlaczego mnie zaprasza, jeśli jestem dla niego nikim. A jeśli już mnie zaprasza, dlaczego zachowuje się tak, że powoli wzbiera we mnie wściekłość?

Siwowłosy bankier upuścił nagle na ziemię dwie kostki lodu. Stał przed barkiem ozdobionym fantazyjnie pomalowanymi lustrami i napełniał srebrny shaker. Odchrząknął i roześmiał się zmieszany:

— Ręce mi się trzęsą. Sprawa wieku. I alkoholu!

Nagle Thomas doznał olśnienia. Ten człowiek wcale nie był wyniosły, ten człowiek był zdenerwowany, potwornie zdenerwowany! Chińczyk też. I dziewczyna... Błędnie ich ocenił. Z trudem opanowywali zdenerwowanie. Trwali w pełnym trwogi oczekiwaniu... Na co?

Weszła pani domu. Marie-Louise Ferroud była wysoka, szczupła i nieskazitelnie piękna. Miała błękitne oczy z długimi rzęsami, a jej

Menu, Paryż, wrzesień 1943

Gotowana szynka z sosem Cumberland

Zapiekana ryba

Krem czekoladowo-kawowy

Thomas Lieven ratuje rybę i pewną blondynkę.

Sos Cumberland: 1/4 l galaretki porzeczkowej mieszamy z 1/8 l czerwonego wina, sokiem z 2 pomarańczy, łyżeczką sproszkowanej angielskiej musztardy i pociętą w cienkie paseczki, wyczyszczoną z białych włókien skórką pomarańczy. Sos należy przechowywać w chłodzie. Sos ten podaje się do różnych mięs na zimno, szczególnie pasuje do dziczyzny.

Zapiekana ryba: rybę gotujemy w całości i po odcedzeniu zdejmujemy z niej skórę, wyciągamy ości i porcjujemy. Robimy zasmażkę z mąki i masła, dodajemy kwaśnej śmietany, białego wina, startego parmezanu i odrobinę rosolu z ugotowanej ryby. Całość zagotowujemy, otrzymując gęsty, biały sos. Doprawiamy go solą i pieprzem, i dodajemy podduszone pieczarki z kaparami. Układamy rybę w rynience dobrze wysmarowanej masłem, polewamy sosem, posypujemy grubo startym parmezanem, tartą bułką i wiórkami masła, po czym zapiekamy na złocisty kolor w piekarniku. Przed podaniem dekorujemy rybę upieczonymi uprzednio półksiężycami z francuskiego ciasta, tzw. „Fleurons”. Potrawę tę można przyrządzać z każdej ryby, najlepiej z wåtłusza czy dorsza.

Krem czekoladowo-kawowy: gotujemy 1 l mleka ze 150 g czekolady kokosowej i odrobiną cukru. W misce ucieramy 3 żółtka z 1 łyżką mąki kartoflanej lub kukurydzianej. Ciągłe mieszając, wlewamy ciepłe mleko z dodatkami. Masę trzymamy na bardzo małym ogniu tak długo, aż zgęstnieje — nie dopuszczając do zagotowania. Po zdjęciu z ognia, dodajemy 1 łyżkę grubo zmielonej kawy (w żadnym razie sproszkowanej) oraz pianę z ubitych białek do kremu. Podajemy mocno schłodzony.

blond włosy ułożone były w urzekającą fryzurę. Miała na sobie czarną suknię z odkrytymi plecami, a na ramionach i szyi wspaniałą biżuterię. W porównaniu z tym, pomyślał Thomas mimo woli, nasz łup, który zgarnęliśmy u jubilera Pissoladiere'a, to pestka. Panie Lieven, przyszło mu zaraz potem do głowy, aleś się pan stoczył!

— Madame...

Zgiął się w głębokim ukłonie i pocałował ją w rękę, stwierdzając przy okazji, że ta szczupła, biała, subtelnie pachnąca dłoń drżała.

Wyprostował się, spojrział w chłodne, błękitne oczy i także w nich wykrył panikę, wielkim wysiłkiem okupione opanowanie. Dlaczego?

Madame podziękowała za orchidee. Madame cieszyła się z poznania Thomasa. Madame wzięła do ręki podany jej przez małżonka kieliszek martini. Madame postawiła nagle kieliszek na sześciokątny stoliczek z brązu, przycisnęła pięści do ust i wybuchnęła płaczem.

Co się dzieje, pomyślał Thomas, co się dzieje? Nie wspomnę już o moim klubie, ale jeśli przeżyję tę zasaną wojnę, sprzedam jakiemuś wydawnictwu moje pamiętniki. Razem z przepisami!

Siwowłosa Ferroud pośpieszył do swojej pięknej małżonki.

— Na litość boską, Marie-Louise, co się... Weź się w garść... Co pan Lieven sobie pomyśli?

— Ach, wybac mi Jean — łkała madame Ferroud — wybac mi...

— To tylko nerwy, chérie...

— Nie, to nie tylko nerwy... I wcale nie dla tego płaczę... Zdarzyło się jeszcze coś oprócz tego!

Twarz Ferrouda skamieniała.

— Oprócz tego? Co???

— Jedzenie... Jedzenie zmarnowane!

Pani domu ze szlochem sięgnęła po chusteczkę, wytarła nos i zawołała:

— Therese upuściła sandacza!

Bankier Ferroud, co do którego Niemiecka Abwehra miała bardzo uzasadnione podejrzenie, że stanowi jedną z najbardziej niebezpiecznych, kluczowych postaci fantastycznego francuskiego czarnego rynku, oburzył się.

— Marie-Louise, proszę cię! Przecież wiesz jak ważny to wieczór! Wiesz jaka jest stawka tej gry! A ty wybuchasz płaczem z powodu jakiegoś idiotycznego sandacza? Zachowujesz się, jak...

— Monsieur Ferroud — przerwał mu Thomas łagodnie, ale stanowczo.

— Czego pan chce, to znaczy, słucham pana?

— Czy pozwoli pan, że zadam madame kilka pytań?

— Ja... hm...no, wie pan...Tak, oczywiście.

— Dziękuję. Madame, stwierdziła pani, że Therese upuściła sandacza...

— Tak, upuściła. Jest taka stara. Niedowidzi. Spadł na płytę pieca, gdy wyjmowała go z wody. Rozpadł się — robi mi się słabo — w drobny mak.

— Madame, istnieje tylko jeden grzech na tym świecie — utrata nadziei. I odwagi. Courage. Wykazała się pani szaleńczą odwagą,

zapraszając do stołu niemieckiego agenta. Czy francuski sandacz ma panią rzucić na kolana?

Ferroud złapał się nagle obiema rękami za głowę i rzekł:

— Tego już za wiele...

— Ależ skąd — zaprotestował Thomas i ponownie zwrócił się do pani domu:

— Pani wybaczy niedyskretne pytanie, ale co miało być podane przed sandaczem?

— Szynka w sosie cumberland.

— Hm. Hm.

Zrobił minę, jak wielki profesor Sauerbruch w czasie konsylium.

— Tak...a potem?

— Krem czekoladowo-kawowy.

— Aha — rzekł Thomas, sięgając po oliwkę — to się bardzo dobrze składa.

— Co się składa? — wyszeptła dama, dźwigająca na sobie przynajmniej 70 karatów.

Thomas skłonił się przed nią.

— Wydaje mi się, madame, że dręczą panią dwie troski. Od jednej z nich mogę panią bez trudu uwolnić, jeśli mi pani pozwoli przekroczyć próg swojej kuchni.

— Pan...Myśli pan, że zdoła pan uratować coś z tego nadwerżonego sandacza?

Jej oczy nabrały wyrazu nieziemskiego podziwu.

— Ależ oczywiście, madame — zapewnił nasz przyjaciel. — Może zabierzemy ze sobą kieliszki i shaker? Przy szklaneczce lepiej się gotuje. Naprawdę znakomity ten koktajl. Prawdziwy brytyjski gin Gordon. Skąd pan go wytrzasnął w czwartym roku wojny, monsieur Ferroud...

14

A więc, co tu się naprawdę działo?

Tego nie dowiedział się Thomas także w ogromnej, wykafelkowanej kuchni. W fartuszkuz przewiązanym na smokingu, elegancko usuwał skutki sandaczowej katastrofy. Z podziwem przyglądali mu się przy pracy: zgięta pod brzemieniem wina, stara krótkowzroczna kucharka, blada pani domu i blady pan domu. Osobliwa para zapom-

niała — przynajmniej na razie — powodu swej niebywalej nerwowości. Mam czas, pomyślał Thomas, poczekam. Nawet jeśli to przedstawienie miałoby trwać do jutra rana. Przecież kiedyś wreszcie otworzycie usta!

Sfiletował nieszczęsną rybę, obdarł ją ze skóry i pokroił na cienkie plastry. Pociągnął łyczek i powiedział:

— Ciężkie czasy, moje panie, nauczyły mnie, że życie zawsze zostawia nam jakąś szansę. Rozsypany sandacz wciąż jeszcze jest lepszy niż żaden. A teraz przyrządzimy smakowity sosik. Czy ma pani parmezan, Therese?

— Ile pan tylko chce, monsieur — zaszcebiotała stara kucharka. — Tak mi przykro, że mi się to przytrafiło!

— Niech się pani nie przejmuję, moja droga, i wypije łyczek. To uspokaja.

Gospodarz nalał kucharce spory kieliszek.

— Białe wino, kwaśną śmietanę i masło, proszę — powiedział Thomas.

Spełniono jego żądanie. Wszyscy przyglądali mu się, jak robi sos. Nagle w domu rozległ się jakiś hałas. Do uszu obecnych dotarły jakieś podniesione głosy, kobiece i męskie. Pani domu zbladła. Gospodarz ruszył pędem do drzwi, gdzie zderzył się z chińskim służącym, który miał niezwykle prosty sposób dyskretnego komunikowania tego, co miał do powiedzenia — jazgotał po chińsku.

Ilustracją tekstu była gestykulacja, wskazywał ręką za siebie. Pani domu — widocznie chiński nie miał dla niej tajemnic — krzyknęła. Pan domu ofuknął ją. Też po chińsku. Opadła na kuchenny taboret. Gospodarz bez słowa usprawiedliwienia podążył za Shen-Tai. Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Aha, pomyślał Thomas, to takie zwyczaje panują u wytwornych Francuzów. Ale cóż począć? Postanowił zachować całkowity spokój.

— Czy mamy kapary, Therese?

— O Święta Panienko, biedna szanowna pani...

— Therese!

— Kapary...tak, proszę bardzo.

— A pieczarki?

— Też...Madame, czy mogę coś dla pani zrobić?

Pani domu zdążyła się już opanować. Podniosła głowę.

— Proszę, niech pan wybaczy to wszystko, panie Lieven. Shen-Tai jest u nas od dziesięciu lat. Nie mamy przed nim tajemnic. Zatrudniłszy go już w Szanghaju...Mieszkaliśmy tam długo...

W domu rozbrzmiewały podniesione głosy. Potem coś się prze-

wróciło. Nic, tylko zignorować, rzekłby swym osobliwym językiem mój przyjaciel, gefrajter Karli Schlumberger, pomyślał Thomas.

— I do piekarnika z tym, Therese.

— Mam kłopoty z moją kuzynką, panie Lieven.

— Przykro mi, madame... Teraz zapiec w łagodnej temperaturze.

— Musi pan wiedzieć, że miała z nami usiąść do kolacji, ale ni stąd ni zowąd chciała w popłochu opuścić dom. Shen-Tai w ostatniej chwili ją powstrzymał.

— Zaiste, uroczy wieczór. Dlaczegoż to szanowna kuzynka pani rzuciła się do ucieczki?

— Z pańskiego powodu.

— Hm...Z mojego powodu?

— Tak. Ona...ona nie chciała się z panem spotkać.

Pani domu wstała.

— Mój mąż jest teraz z nią w salonie. Proszę, niech pan pozwoli ze mną. Jestem pewna, że Therese da już sobie radę.

— Porządnie posypać parmezanem, kaparami i pieczarkami, Therese — zlecił Thomas na odchodnym, po czym wziął swój kieliszek i shaker.

— Madame, bardzo bym chciał poznać pani krewną, damę, która chce uciec przede mną z nim mnie poznała. Cóż za komplement!

Ruszył za gospodynią. Gdy przekroczył próg salonu, zdarzyło mu się coś, czego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu — wypadł mu z ręki kieliszek z martini. Napój wsiąkł szybko w gruby dywan.

Thomas stanął jak wryty. Wlepił wzrok w siedzącą w antycznym fotelu szczupłą, młodą kobietę. Ferroud warował przy niej jak ochrona osobista. Ale nasz przyjaciel widział tylko tę młodą, bladą kobietę z zaciśniętymi ustami, skośnymi, zielonymi oczami, surowo uczesanymi jasnymi włosami i wysokimi kośćmi policzkowymi.

— Dobry wieczór, panie sonderführer — powiedziała chrapliwym głosem.

— Dobry wieczór, mademoiselle Dechamps — wykrztusił z trudem.

Potem skłonił się przed byłą asystentką profesora Debouche, byłą członkinią ruchu oporu z „Maquis Crozant”, żarliwą, nienawidzącą Niemców patriotką, która w Clermont-Ferrand napluła mu w twarz i życzyła śmierci, długiego, pełnego męczarni umierania...

Jean-Paul podniósł upuszczony przez Thomasa kieliszek i powiedział:

— Nie mówiliśmy Yvonne, kogo będziemy dziś gościć. Ona...Usłyszała pański głos, gdy przechodziliśmy do kuchni i rozpoznała pana. Chciała uciec...Chyba pan wie, dlaczego.

— Chyba wiem.

— No cóż, panie Lieven, ma pan nas w rękę. Yvonne grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Ściga ją gestapo. Jeśli jej nie pomożemy, jest zgubiona.

Oczy Yvonne Dechamps zwięzły się. Patrzyła ma Thomasa zza wąskich szczelin, a jej piękna twarz wyrażała zawstydzenie i gniew, zmieszanie i nienawiść, strach i żądzę.

Zdradziłem ją po dwakroć, pomyślał Thomas Lieven, raz jako Niemiec, po wtóre jako mężczyzna. Tego drugiego razu nie może mi wybaczyć. Stąd ta nienawiść. Gdybym wówczas, w młynie pod Gargillesse, został w jej pokoju...

— Jest pan bankierem, tak jak ja — dotarł do niego głos Ferrouda. — Nie mówię o sentymentach, mówię o interesach. Chce pan informacji o czarnym rynku, ja natomiast chcę, żeby kuzynce mojej żony nic się nie stało. Czy to jasne?

— Jasne — powiedział Thomas.

Jego wargi zrobiły się nagle suche jak pergamin.

— Dlaczego ściga panią gestapo? — zwrócił się do Yvonne.

Odrzuciła głowę do tyłu i odwróciła ją w stronę okna.

— Yvonne! — krzyknęła madame Ferroud rozgniewana.

Thomas wzruszył ramionami.

— Pani kuzynka i ja jesteśmy starymi, dobrymi wrogami, madame. Nie może mi wybaczyć, że wówczas w Clermont-Ferrand puściłem ją wolno. Dałem jej też adres mojego przyjaciela nazwiskiem Bastian Fabre. On by ją ukrył. Niestety, jak się wydaje, nie skorzystała z tego.

— Odszukała przywódców oddziału z Limoges, by kontynuować walkę w resistance — wyjaśnił Ferroud.

— Nasza mała patriotka, babska bohaterka — stwierdził Thomas i westchnął.

Nagle Yvonne spojrzała na niego otwarcie i spokojnie, po raz pierwszy bez cienia nienawiści.

— To mój kraj, panie Lieven — powiedziała po prostu — chciałam dalej walczyć dla niego. Co pan by uczynił na moim miejscu?

— Nie wiem. Może to samo. Co dalej?

Yvonne spuściła głowę.

— W oddziale był zdrajca — wyjaśnił Ferroud. — Radiotelegrafista. Gestapo aresztowało 55 partyzantów. Sześciu do dziś poszukuje. Jeden z tej szóstki siedzi tu przed panem.

— Yvonne ma krewnych w Lizbonie — powiedziała madame Ferroud — jeśli tam się dostanie, jest uratowana.

Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Thomas wiedział — to był początek owocnej współpracy, nie wiedział natomiast, jak to wszystko sprzeda swemu pułkownikowi. Chyba tylko dobry Bóg raczy to wiedzieć!

Chiński służący zjawił się w pokłonach.

— Kolacja gotowa — oznajmiła madame Ferroud.

Poszła przodem do jadalni, reszta towarzystwa podążyła za nią. Thomas Lieven musnął przy tym dłoń Yvonne. Wzdrygnęła się, jakby ją prąd przeszył. Spojrzał na nią. Jej oczy nagle pociemniały. Krew uderzyła jej do głowy.

— Od tego musi się pani szybko odzwyczać — powiedział.

— Co...co takiego?

— Nie wolno będzie pani trwożyć się z byle powodu. Płócić się też nie. Jako agentka Niemieckiej Abwehry będzie pani musiała bardziej panować nad sobą.

— Jako...jako co? — wyszeptwała.

— Jako agentka niemieckiego wywiadu — powtórzył Thomas. — A co, myślała pani, że zawiozę panią do Lizbony jako bojowniczkę francuskiego ruchu oporu?

15

Planowy nocny pociąg pośpieszny do Marsylii, który wyjeżdżał z Paryża o godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt, miał w swoim składzie trzy wagony sypialne. Położone obok siebie środkowe przedziały jednego z tych wagonów były wieczorem 17 września 1943 roku zarezerwowane przez Niemiecką Abwehrę.

Na dziesięć minut przed odjazdem pociągu w korytarzu tego sypialnego wagonu pojawił się wytwornie ubrany cywil w towarzystwie młodej, eleganckiej damy i wezwał do siebie francuskiego konduktora. Kobieta miała na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny z podniesionym kołnierzem i modny właśnie kapelusz w męskim fasonie z szerokim rondem. Jej twarz tonęła w cieniu.

Mężczyzna okazał konduktorowi rezerwację miejsc sypialnych i wcisnął mu w rękę bardzo okazały banknot.

— Dziękuję, monsieur, zaraz przyniosę kieliszki...

Konduktor otworzył drzwi obu przedziałów zarezerwowanych dla niemieckiego wywiadu. W jednym z nich na podłodze stał kubek

pełen lodu, w którym spoczywała butelka Veuve Cliquot, zaś na stoliczku pod oknem wazon z dwudziestoma czerwonymi goździkami. Wewnętrzne drzwi łączące oba przedziały były otwarte.

Thomas Lieven zamknął drzwi na korytarz. Yvonne Dechamps zdjęła swój wielki kapelusz i znów oblała się głęboką purpurą.

— Przecież zabroniłem pani się czerwienić — powiedział Thomas.

Podniósł chroniącą przed światłem zasłonę na oknie i wyjrzał na zewnątrz. Peronem przechodziło właśnie dwóch podoficerów Wehrmachtu z patrolu kontroli kolejowej. Thomas ponownie opuścił zasłonę z czarnego, błyszczącego materiału.

— Co jest? Dlaczego pani tak na mnie patrzy? Czyżbym znowu zdradził Francję?

— Szampan...kwiaty...Dlaczego pan to robi?

— Żeby się pani trochę uspokoiła. Jest pani jednym kłębkim nerwów! Przy każdym szmerze wzdryga się pani, ogląda za każdym facetem. A przecież nic pani nie grozi. Nazywa się pani Madeleine Noel i jest agentką Niemieckiej Abwehry. Legitymuje się pani dokumentami niemieckiego wywiadu!

Aby uzyskać te dokumenty, Thomas musiał w hotelu „Lutetia” przez cały dzień popisywać się swą zdolnością sztuki oratorskiej. W końcu pułkownik Werthe westchnął i powiedział:

— Jeszcze pan kiedyś, Lieven, doprowadzi paryską Abwehrę do upadku. Tylko takiego faceta jak pan tu jeszcze brakowało!

W tym krytycznym momencie nasz przyjaciel otrzymał wsparcie ze strony, z której najmniej by się jej spodziewał.

— Jeśli mógłbym sobie najuniżejniej pozwolić na pewną uwagę — wtrącił się major Brenner, niegdyś jego nieufny rywal, dziś entuzjasta — sonderführer Lieven także w sprawie „Maquis Crozant” zaproponował niekonwencjonalne metody...i odnieśliśmy sukces.

Mały Brenner ze starannym przedziałkiem na głowie łypnął ponad szklami okularów na lewy ze swych plecionych majorskich naramienników, na których miejscu jeszcze nie tak dawno znajdowały się skromne kapitańskie.

— Jeśli ten Ferroud rzeczywiście puści farbę...

— Uczyni to, jeśli wywozę dziewczynę — oznajmił Thomas i mrugnął do Brennera.

— ...to kto wie, jaki nie lada wyczyn moglibyśmy zapisać na swoim koncie, panie pułkowniku — zakończył Brenner.

Zabrakło mu tchu na myśl o tym, że w razie spektakularnego sukcesu, miałby szansę na kolejny awans, a kolejny awans to — o Boże kochany! — szarża podpułkownika.

W końcu Werthe ustąpił.

— Dobrze, dostanie pan te swoje papiery, ale wypraszam sobie, by towarzyszył pan tej damie do Marsylii. Pozostanie pan przy niej tylko do chwili wejścia na pokład samolotu, rozumiano? Jeszcze tego by brakowało! Co by było, gdyby dorwało pana gestapo i wykryło, że pomaga pan w ucieczce uczestniczkom francuskiego ruchu oporu!?

Major spojrział na Thomasa z podziwem. Co za człowiek! Setny facet! Gdyby można było być takim jak on. Choć właściwie, dlaczego by nie? Major Brenner poprzysiągł sobie w duszy, że przy najbliższej okazji też będzie setnym facetem...

Wszystko to poprzedziło chwilę, w której konduktor Emile — na pięć minut przed odjazdem nocnego pociągu pośpiesznego do Marsylii — zapukał do drzwi przedziału numer 17, by donieść zajmującym go państwu dwa kieliszki do szampana.

— Wejść! — zawołał Thomas Lieven.

Konduktor Emile otworzył drzwi. Musiał je otworzyć na oścież, by przepuścić jakąś niebywale wysoką i chudą jejmość, która odprowadziła do przedziału jakąś inną damę, a teraz zamierzała opuścić wagon sypialny.

Kobieta, która właśnie przechodziła obok otwartego przedziału numer 17, w którym stali obok siebie Thomas Lieven i Yvonne De-champs, miała na sobie mundur stabshauptführerin Niemieckiej Służby Pracy, tzw. Arbeitsdienst. Jej bezbarwne włosy były zaczesane do góry i upięte w kok, w kurtce munduru tkwiła złota odznaka NSDAP, a pod szyją, w kołnierzyku surowej bluzki, ciężka, kuta brosza. Stabshauptführerin Mielcke, osobista referentka szefa reichsarbeitsführera Hierla, miała też brązowe wełniane pończochy i buty na płaskim obcasie.

Niezbadany kaprys losu sprawił, że przechodziła obok przedziału Thomasa Lievena akurat w chwili, gdy konduktor Emile otworzył jego drzwi. Mogła przechodzić obok niego wcześniej, później, albo wcale. Przechodziła w najbardziej nieszczęśliwym z nieszczęśliwych momentów. Zobaczyła i rozpoznała tego faceta, z którym przed kilku tygodniami tak potwornie się starła, zobaczyła piękną, młodą kobietę u jego boku. Kolejny niezbadany kaprys losu sprawił, że Thomas Lieven nie zauważył stabshauptführerin Mielcke. Właśnie odwrócił głowę, a po chwili już jej nie było...

— Ach, kieliszki — ucieszył się Thomas. — Niech pan zostawi, sam otworzę butelkę, Emile.

Uczył to i właśnie pili pierwszy kieliszek, gdy — na dwie minuty przed odjazdem pociągu — w ich przedziale zjawili się wspomniani podoficerowie kontroli kolejowej Wehrmachtu.

Yvonne udowodniła, że nie zawsze popada w histerię. Zachowała całkowity spokój. Niemieccy żołnierze byli niezwykle uprzejmi. Poprosili o okazanie dokumentów, zasalutowali, życzyli przyjemnej podróży i poszli.

— No proszę — powiedział Thomas — wszystko idzie jak z płatka!

Żołnierze opuścili wagon i podeszli do czekającej na peronie stabshauptführerin Mielcke, która poprosiła ich o poddanie kontroli oboje pasażerów w przedziale numer 17.

— Są w porządku, stabshauptführerin — stwierdził jeden z żołnierzy. — Abwehra Paryż. Oboje. Jakiś Thomas Lieven i niejaka Madeleine Noel.

— Madeleine Noel, aha — powtórzyła stabshauptführerin Mielcke, podczas gdy na peronie rozległy się przeraźliwe gwizdki, odgłos zatraskiwanych drzwi i pociąg z sykiem pary i chrzęstem osi ruszył w swą daleką podróż. — Oboje z paryskiej Abwehry. Dziękuję!

Odprowadziła wzrokiem odjeżdżający pociąg, a zły uśmiech wykrzywił nagle jej surowe usta. Po raz ostatni stabshauptführerin uśmiechała się tak w sierpniu 1942 roku w Berlinie na przyjęciu w Kancelarii Rzeszy, kiedy to Heinrich Himmler powiedział kawał. O Polakach.

16

Po pierwszej butelce Veuve Cliquot Yvonne pozbyła się strachu. Jej graniczące z histerią wewnętrzne napięcie prawie ustąpiło. Prowadzili już w miarę zabawną rozmowę. Oboje śmiali się, lecz nagle uśmiech zamarł na ustach Yvonne, odsunęła się od Thomasa, wstała, odwróciła głowę. Thomas rozumiał ją dobrze. Kiedyś pogardził jej uczuciem. Żadna kobieta tego nie zapomni. I żadna nie chciałaby przeżyć tego powtórnie.

Tak więc, około wpół do dwunastej powiedzieli sobie dobranoc. Tak będzie najlepiej, pomyślał Thomas...Ale czy na pewno? Był, jak i ona, nieco podchmielony, a Yvonne bardzo mu się podobała. Gdy całował ją w rękę na pożegnanie, cofnęła się przed nim, zaśmiała się konwulsyjnie, po czym znów skamieniała.

Thomas przeszedł do swego przedziału, rozebrał się i umył. Właśnie wkładał spodnie od piżamy, gdy nagle pociąg zahamował gwałtownie, wchodząc jednocześnie w bardzo ostry zakręt. Thomas stracił równowagę, przeleciał przez cały przedział i wpadł z impetem na wewnętrzne,

łączące przedziały drzwi, które pod naporem jego ciała rozwarły się. Nie tyle wpadł, co siła bezwładności wrzuciła go do przedziału Yvonne, która leżała już w łóżku, a teraz zerwała się przestraszona.

— Na miłość boską!

Thomas odzyskał równowagę.

— Niech pani wybaczy. Nie zrobiłem tego umyślnie...naprawdę nie...Ja... dobranoc...

Ruszył z powrotem w stronę otwartych drzwi, gdy dotarły do niego jej pośpieszne słowa.

— Niech pan zaczeka!

Odwrócił się. Oczy Yvonne były przymknięte i bardzo ciemne. Usta miała nieco rozwarłe. Mówiła zdyszanyim głosem:

— Te blizny...

Wlepiła wzrok w jego nagi tors. W poprzek lewej strony klatki piersiowej biegły trzy szpetne, nabrzmiałe, choć już całkiem zabliznione pręgi szczególnego rodzaju, pozostałości po ciosach zadanych szczególnym narzędziem — skręconą, obciążoną gumą sprężyną.

— To...przytrafiło mi się kiedyś...Wypadek...

Thomas odwrócił głowę. Mimowolnie zasłonił pierś rękami.

— Pan kłamie...

— Słucham?

— Miałam brata. Dwukrotnie przesłuchiwało go gestapo. Za drugim razem powiesili go. Za pierwszym torturowali. Gdy... — głos się jej załamał — gdy wrócił ze szpitala, miał...wtedy miał...takie same blizny...A ja pana lżyłam...podejrzewałam...Pan ...

— Yvonne...

Podszedł do niej. Wargi tej pięknej kobiety muskały blizny po ranach zadanych mu przez gestapowskich siepaczy. Potem poczuli siebie. Czułość splukała nieśmiałość i niemile wspomnienia. Rozległ się gwizd lokomotywy. Koła wagonów w pośpiechu biły o szyny. Cichutko pobrząkiwał wagon z czerwonymi goździkami.

17

Coraz szybciej i szybciej pędziła po pasie startowym lotniska w Marsylii dwusilnikowa maszyna kurierska z niemieckimi znakami rozpoznawczymi. Przedpołudnie było pochmurne. Siąpił drobny deszczyk.

Przy oknie budynku portu lotniczego stał mężczyzna o wielu fałszywych nazwiskach. Jego prawdziwe brzmiało Thomas Lieven. Ręce trzymał w kieszeniach miękkiego flauszowego płaszcza. Zaciskał kciuki.

W kurierskim samolocie siedziała Yvonne Dechamps. Leciała do Madrytu, a stamtąd do Lizbony.

Kochali się tylko jedną jedyną noc, a mimo to Thomas czuł się teraz, gdy samolot zniknął już w chmurach, samotny, opuszczony i bardzo stary.

Było mu zimno. Powodzenia, Yvonne, rzekł w myślach. W twoich ramionach po raz pierwszy od miesięcy nie myślałem o Chantal. Ale nie mogliśmy zostać razem. To nie pora na miłość. Te czasy brutalnie rozłączają kochanków albo ich uśmiercają. Wszystkiego dobrego, Yvonne, już chyba nigdy o sobie nie usłyszymy. Mylił się!

22 września 1943 roku Thomas Lieven wrócił do Paryża.

— Monsieur Ferroud dzwonił, cztery razy już — przywitała go śliczna, czarnowłosa, pełna czci dla niego pokojówka.

— Niech pan wpadnie do mnie dziś o czwartej — poprosił Ferroud, gdy Thomas złapał go telefonicznie w jego banku.

Gdy nasz przyjaciel przekroczył próg domu, siwowłosa, elegancki finansista objął go ze łzami w oczach.

Thomas odchrząknął.

— Monsieur Ferroud, Yvonne jest bezpieczna, ale pa n nie. Panu zagraża większe niebezpieczeństwo niż kiedykolwiek.

— Słucham?

— Zanim przejdziemy do interesu — ja słowa dotrzymałem, teraz pana kolej — zaznajomię pana pokrótce z wynikami moich dotychczasowych indagacji, dotyczących charakteru pańskich transakcji.

Thomas ustalił tymczasem, że Jean-Paul Ferroud był kanciarzem szczególnego rodzaju. Spekulował, jak inni szermierze czarnego rynku, olbrzymimi ilościami towarów strategicznych, lecz nie czynił tego po to, by odsprzedać je Niemcom, lecz by je przed nimi uchronić. Był przeciwieństwem zwykłych paskarzy, którzy wyprzedawali Francję. Usiłował ratować francuski majątek. By to urzeczywistnić, Ferroud zafalszowywał bilanse i wyniki produkcyjne zakładów, które związane były z jego bankiem oraz pozorował sprzedaż Niemcom ogromnych ilości towarów.

To wszystko Thomas rzucił mu teraz prosto w twarz. Ferroud zbladł. Chciał zaprotestować, ale w końcu zamilkł i odwrócił się do Thomasa plecami.

— ...pańska dotychczasowa działalność jest idiotyczna, monsieur — ciągnął nasz przyjaciel. — Czy wie pan, jak się to wszystko wkrótce

skończy? Pańskie fabryki zostaną wywłaszczone. Co wtedy? Z punktu widzenia Francuza pańska postawa jest dla mnie w pełni zrozumiała. Dlatego, zanim dobiorą się panu do skóry, udzielę panu prywatnej rady: Niech pan natychmiast zażąda niemieckich powierników. Wówczas nikt już nie będzie węszył po pańskich fabrykach...No, a jak wyprowadzić w pole powierników...Tego chyba nie muszę panu tłumaczyć?

Ferroud odwrócił się. Skinął głową. Dwa razy przełknął, po czym rzekł:

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Tak. A teraz do rzeczy. Tylko ostrzegam pana, Ferroud, jeśli pańskie informacje będą bez wartości, sypnę pana! Myli się pan bowiem, jeśli pan sądzi, że potrafię się wczuć tylko w duszę Francuza. W końcu Yvonne została uratowana dzięki niemieckiej pomocy.

— Wiem. I doceniam to.

Ferroud podszedł do niego.

— To, co panu zdradzę, umożliwi panu rozbicie jednej z największych organizacji czarnego rynku wszechczasów. Jest to klika, która już naraziła na ogromne szkody nie tylko mój, lecz także pański kraj. W ciągu ostatnich miesięcy Francja została po prostu zalana niemieckimi Bonami Kredytowymi Rzeszy, tzw. RKKS — Reichskreditkasenscheine. Wie pan, co to jest?

Thomas wiedział. Bony Kredytowe Rzeszy były rodzajem środka płatniczego władz okupacyjnych. Wprowadzano je w każdym z zajmowanych przez Niemców kraju. Dzięki nim miano udaremnić wypływ za granicę zbyt wielkich ilości prawdziwych niemieckich banknotów.

— Te Bony Kredytowe Rzeszy — ciągnął Ferroud — mają ciągle numery serii. Dwie cyfry serii — umieszcza się je zawsze w tym samym miejscu — informują fachowca dla jakiego kraju bony są przeznaczone. Ale oto, drogi przyjacielu, w ciągu ostatniego pół roku na czarnym rynku zakupiono za takie bony francuskie towary wartości prawie dwóch miliardów marek, przy czym bony wartości ponad jednego miliarda oznaczone były nie francuskimi, lecz rumuńskimi liczbami identyfikacyjnymi w numerach serii!

— Rumuńskimi!?

Thomas podskoczył.

— W jaki sposób rumuńskie bony mogły się w tak ogromnych ilościach pojawić we Francji? — zapytał.

— Nie wiem.

Ferroud podszedł do biurka i wydobył z niego dwa grube pliki Bonów Kredytowych Rzeszy wartości 10 000 marek każdy.

— Wiem tylko, że tu są. Proszę, niech pan spojrzy, to rumuńskie cyfry identyfikacyjne. Nie sądzę, żeby Francuzi byli w stanie zmienić bieg tego, przeznaczonego dla Rumunii, rwącego potoku i skierować go do własnego kraju...

18

— ...Ferroud nie wie, w jaki sposób rumuńskie bony dotarły do Francji — relacjonował Thomas Lieven dwie godziny później w biurze pułkownika Werthego w hotelu „Lutetia”.

Mówił szybko. Opanowała go łowiecka gorączka. Nie zauważył, że pułkownik Werthe i mały, ambitny major Brenner — jego słuchacze — wymieniali ze sobą od czasu do czasu osobliwe spojrzenia. Był za bardzo zaafetowany. — Ale dla Ferrouda nie ulega wątpliwości, że bony mogą być przerzucane do Francji tylko przez Niemców, czyli że Niemcy muszą kierować całą tą organizacją!

— A więc, o tym jest pan Ferroud przekonany — powiedział pułkownik Werthe, cedząc słowa i spoglądał na Brennera.

— O co tu właściwie chodzi? — Thomas dopiero teraz zorientował się, że coś się nie zgadza. — Co mają znaczyć te spojrzenia?

Pułkownik Werthe westchnął i popatrzył na Brennera.

— Niech mu pan powie.

Major Brenner zagryzł wargi.

— Pański przyjaciel Ferroud musi się liczyć z wielkimi kłopotami. W jego willi od pół godziny siedzi gestapo. Od pół godziny znajduje się w areszcie domowym. Gdyby został pan u niego nieco dłużej, spotkałby pan swego starego druha, sturmbannführera Eichera i jego adiutanta Wintera.

Thomasa ogarnął przejmujący chłód.

— Co się stało?

— Przed dwoma dniami zamordowano w Tuluzie niejakiego untersturmführera Ericha Petersena. Został zastrzelony. W swym hotelu. Hotel „Victoria”. Gestapo jest pewne, że chodzi tu o mord polityczny. I swego rodzaju demonstrację. Führer zarządził już uroczysty pogrzeb na koszt państwa.

— Himmler żąda, by podjąć najbardziej energiczne kroki, zastosować najostrzejsze środki.

— Gestapo w Tuluzie zwróciło się do francuskiej policji, a ta przekazała mu listę 50 komunistów i 100 Żydów — powiedział Brenner. — Spośród nich wybierze się zakładników, którzy zostaną rozstrzelani za mord na Petersenie.

— Czarująca ta pełna zrozumienia usłużność francuskiej policji, co, panie Lieven? — zauważył pułkownik Werthe kaśliwie. — Nic tylko zleść w dupsko gestapo. Nawet jeśli własni rodacy mieliby przez to zdechnąć!

— Chwileczkę, chwileczkę — powiedział Thomas — już się w tym wszystkim pogubiłem. Mam dwa pytania. Po pierwsze: Skąd ten cały spektakl wokół pana Petersena?

— Bo Petersen był kawalerem Orderu Krwi, przyznawanego tylko uczestnikom puczu z listopada 1923 roku. Stąd to zamieszanie w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Dlatego też Bormann osobiście interweniował u Himmlera, żądając krwawego odwetu.

— Teraz rozumiem — rzekł Thomas. — W takim razie pytanie drugie: Co bankier Ferroud ma wspólnego z morderstwem w Tuluzie?

— Służba Bezpieczeństwa w Tuluzie przesłuchiwała cały szereg świadków, wśród nich pewnego konfidenta gestapo, drobnego lichwiarza nazwiskiem Viktor Robinson. Tenże Robinson dostarczył gestapo dowody na to, że pański Jean-Paul Ferroud jest duchowym inspiratorem mordu na untersturmführerze Petersenie.

Mózg naszego przyjaciela pracował z zawrotną szybkością. Zamordowany kawaler Orderu Krwi Petersen. Podejrzany Ferroud. Wiem o nim dużo. Ale...teraz on też wie o mnie niemało. Może mnie wydał? Może wyznał im prawdę? Co się z nim stanie? A ze mną? Co się stanie z tymi 50 komunistami? I setką Żydów?

Thomas musiał odchrząknąć, zanim zaczął mówić.

— Panie pułkowniku, Ferroud jest przekonany, że Niemcy kierują organizowaniem tego gigantycznego szachrajstwa z Bonami Kredytowymi Rzeszy.

Zacinał się, szukał najbardziej odpowiednich słów.

— Czy to nie dziwne, że gestapo kasuje bankiera Ferrouda właśnie w chwili, gdy my jesteśmy nim zainteresowani?

— Nie mam pojęcia, do czego pan zmierza — przyznał się pocziwy major Brenner.

— Tak też myślałem — odparł Thomas grzecznie, po czym zwrócił się do Werthe: — Nie potrafię tego racjonalnie uzasadnić, ale mam przeczucie, że nie wolno nam zostawić Ferrouda na łasce...losu! Abwehra musi zachować w tej sprawie inicjatywę!

— Jak pan to sobie wyobraża?

— Panie pułkowniku, wie pan, że mieszkałem kiedyś w Marsylii. W owym czasie poznałem tam dwóch panów z Tuluzy. Nazywają się Paul de la Rue i Fred Meyer...

Fred Meyer i Paul de la Rue...Przychylny czytelnik przypomina sobie zapewne, że te niegdyś nieokrzesane rzezimieszki zostały w trakcie wycieńczającego, przyspieszonego kursu przeobrażone przez Thomasa Lievena w czarujących gentlemanów, zanim zdjeli z utrudzonych baroków jubilera Mariusa Pissoladiere'a brzemień biżuterii wartości okragło ośmiu milionów franków. Thomas Lieven subtelnymi słowy opisał swe prawdziwe związki z oboma panami z półświatka, po czym oświadczył:

— A więc udam się do Tuluzy!

— Do Tuluzy?

— Tak jest, do Tuluzy. W tym mieście nie dokonano jeszcze takiej zbrodni, o której panowie ci nie byliby poinformowani! A ze mną podzielił się swoimi informacjami.

— A co z gestapo?

— Musi pan pójść do Eichera, panie pułkowniku, i wyjaśnić mu, że Ferroud ma dla nas obecnie ogromne znaczenie. Musi mu pan też zaoferować współpracę Abwehry w wyjaśnieniu mordu na untersturmführerze Petersenie.

Major Brenner zdjął okulary i czyścił je ceremonialnie. Myślał, zagryzając wargi: Przy tej zwariowanej historii z partyzantami sparzyłem sobie paluchy, bo próbowałem stanąć okoniem i otwarcie zgłosiłem swój sprzeciw. Z jakim skutkiem? Major Brenner spojrział na lewy ze swych splecionych majorskich naramienników.

— Po głębokim namyśle — zaczął — skłonny jestem podzielić poglądy pana Lievena. W istocie nie wolno nam dać się wyeliminować z gry. Powinniśmy zachować inicjatywę. Afera z Bonami Kredytowymi Rzeszy to sprawa wielkiej wagi...

Thomas odwrócił głowę. Na jego twarzy wykwitł dyskretny uśmiech.

— A więc mam znowu pobiec do tych bydłaków i stanąć przed nimi na baczność? — rozeźlił się pułkownik Werthe.

— O stawaniu na baczność nie może tu być mowy, panie pułkowniku! — zapewnił Brenner. — Najlepiej zastosować stary chwyt! Pójść do nich z całą urzędową pompą i przedłożyć Tajną Sprawę Naczelnego Dowództwa!

— Obaj jesteście niespełna rozumu — jęknął pułkownik Werthe. — Ten Eicher purpurowieje na sam mój widok!

— Panie pułkowniku, pana Lievena wyciągnęliśmy dzięki fałszywej GEKADOS, dlaczegóż więc nie możemy się włączyć w sprawę mordu na Petersenie przy pomocy prawdziwej?

— Ten po trzykroć przekłety, zafajdany Lieven — powiedział jowialny, przysadzisty i czerwony na twarzy sturmbannführer Walter Eicher.

Siedział w zamienionej na biuro bibliotece domu numer 84 przy Avenue Foch. Przed nim siedzieli: jego adiutant Fritz Winter i obersturmführer Ernst Redecker, jasnowłosy esteta, wielbiciel Rilkego i poety Stefana Georgego.

Było około godziny dziewiętnastej 23 września 1943 roku. Sturmbannführer Eicher już zakończył służbę. Często i chętnie, popijając szlachetne trunki, ucinał sobie jeszcze przez godzinkę — po znojach roboczego dnia — pogawędkę ze swym adiutantem. Nie miał też nic przeciwko temu, by przyłączał się do nich obersturmführer Redecker, gdyż ten gorliwy człowiek miał jedną szczególną zaletę — był autentycznym szwagrem reichsführera SS i szefa Niemieckiej Policji Heinricha Himmlera. Od czasu do czasu Redecker otrzymywał osobiste, utrzymane w bardzo serdecznym tonie listy od „Reichsheiniego”, „Henia Rzeszy”, które ze zrozumiałą dumą pokazywał wokół. Takiego człowieka należy hołubić, pomyślał Eicher...I czynił to.

Ale tym razem nie było nastroju do pogaduszek przy kominku.

— Dzień w dzień nowy ambaras — użalał się sturmbannführer. — Właśnie był u mnie pułkownik Werthe z Abwehry. Ten przekłety, zafajdany Lieven — zaklął powtórnie.

— Ten, którego mieliśmy w garści? — spytał adiutant Winter z błyskiem w oku.

— Niestety, za prędko go z tej garści wypuściliśmy. Niech pan wybaczy obersturmführer, właściwie nie zwykłem wyrażać się w ten sposób, ale z tą kanalią mam same kłopoty.

— Co tym razem? — zaciekawiał się Winter.

— Mord na Petersenie.

Autentyczny szwagier „Henia Rzeszy” gwałtownie odstawił swą koniakówkę. Jego twarz drgnęła i pobladła. Wszyscy wiedzieli, że obersturmführera Redeckera łączyła zażyła przyjaźń z zastrzelonym w Tuluzie Erichem Petersenem. Stąd też jego zdenerwowanie było zrozumiałe.

Eicher wyjaśnił, że pułkownik Werthe zjawił się u niego, by go poinformować o szczególnym zainteresowaniu Abwehry podejrzanym bankierem Ferroudem, kluczową postacią potężnej organizacji doko-

nującej przerzutu dewiz na ogromną skalę, przestępczej siatki, do której najprawdopodobniej należą także Niemcy.

Redecker sięgnął po kieliszek. Był teraz, nie wiedzieć czemu, tak zdenerwowany, że wylał odrobinę koniaku.

— No i co? — spytał cchryłym głosem. — Co ma wspólnego Petersen z przerzutem dewiz?

— Oczywiście nic. Ale Werthe prosi, żeby Abwehra wspólnie z nami prowadziła dochodzenie w sprawie tego podłego morderstwa na naszym koledze.

— Mam nadzieję, że pan odmówił, sturmbannführer — rzucił Redecker nerwowo.

— Oczywiście, że odmówiłem...początkowo. Ale potem Werthe wyskoczył z „GEKADOS” i tym całym kramem...Obstawał, żebym zadzwonił do Canarisa. Ten kontaktował się na pewno z pańskim szwagrem, bo przed pół godziną dostałem dalekopis z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, nakazujący prowadzenie śledztwa wspólnie z Abwehrą.

Z niewiadomych powodów Redeckerowi nagle wystąpiły na czoło krople potu. Nikt tego nie spostrzegł. Wstał, odwrócił się do obu plecami i wytarł pot.

— Werthe już pojechał na południe, do Tuluzy — usłyszał zagniewany głos Eichera. — W czym towarzystwie? No? Pana Lievena! Zafajdany podwójny agent! Łajdak, który wykiwał naszych ludzi! Człowiek, który już dawno powinien zniknąć gdzieś w masowym grobie!

Eicher podniecony wypił koniak.

— Jeśli jeszcze kiedyś dostanę go w swoje łapy...Co jest?

Do pokoju wszedł jeden z jego funkcjonariuszy.

— Zgłosiła się jakaś kobieta. Mówi, że chciałaby z panem porozmawiać.

— Niech przyjdzie jutro. I uprzednio się zamelduje.

— Przepraszam, sturmbannführer, ale to stabshauptführerin...

— Co?

— Tak...Stabshauptführerin Mielcke. Osobisty sztab reichsarbeitsführera Hierla. Chciałaby złożyć donos...

— Na kogo?

— Na jakiegoś sonderführera Lievena.

Radecker kaszlnął krótko. Winter mrugnął do niego. Eicher zaciągnął się głęboko cygarem i wydmuchał kłęb dymu. Potem wstał.

— Proszę wprowadzić stabshauptführerin!

Rozdział drugi

1

Rue des Bergeres z jej bistrami, małymi restauracyjkami i barami położona była na malowniczym Starym Mieście Tuluzy. Thomas Lieven uśmiechnął się smutno, gdy skręcił w tę niewielką uliczkę. Dokładnie jak przed trzema laty, gdy podczas ucieczki przed Niemcami przybył tu ze swą przyjaciółką Mimi Chambert i bohaterskim głupcem, pułkownikiem Simeonem, po ulicach miasta spacerowały chmary pięknych dziewczyn — wszystkie trochę za jaskrawo wymalowane, wszystkie nieco za wyzywająco ubrane.

Thomas zdążył się już dowiedzieć, że Jeanne Perrier, lwiogrzywa właścicielka dyskretnego hotelu, nie przebywa już w mieście. Tak chętnie odwiedziłby ją i jej dziewczyny. Oczywiście tylko po to, by wspólnie wrócić do wspomnień...

Zatrzymał się. Dom był podupadły, korytarz zaniedbany. Wszedł na trzecie piętro i stanął przed drzwiami, na których widniała tabliczka:

PAUL DE LA RUE — FRED MEYER NIERUCHOMOŚCI

Thomas Lieven uśmiechał się, gdy dzwonił. Nieruchomości, pomyślał. Gdy ich poznał, byli jeszcze fałszerzami obrazów, złodziejami hotelowymi i kasiarzami. Voila, jaka kariera.

Zza drzwi dało się słyszeć kroki. Na progu stanął Paul de la Rue, potomek Huguenotów. Był ubrany i uczesany ze smakiem.

Jego wysoka postura i szczupła twarz nadawała mu czegoś ujmująco arystokratycznego.

— Witam szanownego pana, czym mogę służyć? — zaczął elegancko, po czym wrzasnął: — Nom de Dieu, to Pierre!

Z impetem huknął w plecy Thomasa, którego poznał pod nazwiskiem Pierre Hunebelle. Na chwilę zapomniał o swym starannym wychowaniu.

— Chłopie, bo się w tyłek ugryzę! Żyjesz? Ktoś mi mówił, że zatłukło cię gestapo!

— Ładnie tu macie — ocenił Thomas, wyswabadzając się z objęć Paula i wchodząc do mieszkania. — Nauka nie poszła w las. Tylko te bibeloty tam...sarenka, elfik i tancerka...wyrzućcie to jak najprędzej.

Paul wpatrywał się w niego.

— Gdzieś się podziewał? Skąd się tu wziąłeś?

Thomas wyjaśnił cel swej wizyty. Paul przysłuchiwał mu się w milczeniu, od czasu do czasu kiwając głową.

— Tak więc, zjawiłem się tu z mym pułkownikiem — zakończył Thomas — w nadziei, że mi pomożecie. Ale wytwornisie się z was zrobiły...

— Wytwornisie, nie gadaj głupot! Nieruchomości to tylko tabliczka na drzwiach. Zajmujemy się oczywiście robieniem przewalek, jak wszyscy. Ale już inteligentniej...dzięki tobie, mój stary. Wyświadczyłeś nam wówczas ogromną przysługę tym swoim kursem.

— Tak — zgodził się Thomas — a teraz wy mi ją możecie wyświadczyć. Muszę wiedzieć, kto zabił tego untersturmführera. Muszę wiedzieć, czy resistance maczała w tym palce.

— Głowę daję, że to nie był mord polityczny.

— To jeszcze trzeba udowodnić. Powiedz, kto zastrzelił Petersena. I jak. I dlaczego.

— Ależ Pierre, przecież nie wsypię rodaka, który załatwił hitlerowca. Tego nawet ty nie możesz ode mnie wymagać.

— Coś ci powiem, Paul. Naziści aresztowali stu pięćdziesięciu ludzi, twoich rodaków. Rozstrzelają zakładników. Więcej niż jednego! Możemy temu zapobiec tylko wówczas, gdy udowodnimy, że nie był to mord polityczny, lecz ten Petersen miał swoje za uszami i padł na przykład ofiarą bandyckich porachunków! Czy twój zidiociały mózg to przyjmuje?

— Stary, nie wydzieraj się tak. Mogę się tu i ówdzie rozejrzeć...

2

W trzy dni później, 27 września 1943 roku, trzech panów zasiadło do obiadu w mieszkaniu Paula de la Rue. Oprócz gospodarza, do posiłku sposobili się Thomas Lieven i Fred Meyer.

Paul zadzwonił do hotelu, w którym się Thomas zatrzymał.

Menu, Tuluza, 27 września 1943

Nadziewane selery naciowe *Fricco po hiszpańsku* *Płonące brzoskwinie*

Przy pikantnych potrawach zostaje udaremnione milionowe oszustwo.

Nadziewane selery naciowe: kilka jędrnych, białych selerów naciowych dokładnie myjemy. W garnku roztopiamy świeże masło z Roquefortem lub Gorgonolą w równych proporcjach i dokładnie mieszamy. Nacinamy selery wzdłuż naturalnego wgłębienia, napełniamy uzyskaną masą i studzimy. Podajemy je w szklanym, wysokim półmisku, w pozycji pionowej, liśćmi do góry, obkładając kostkami lodu.

Fricco po hiszpańsku: połówkę wołową rozbijamy, formujemy w małe befsztyki i smarujemy musztardą, posypując solą i pieprzem. Surowe obrane ziemniaki kroimy w cienkie plasterki, dodajemy dużo posiekanej cebuli, uprzednio lekko przesmażonej na maśle. W wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułką formie budyniowej układamy warstwami: najpierw ziemniaki, wiórki masła, trochę soli i pieprzu, potem mięso przykryte cebulką i ponownie ziemniaki, masło itd. Ostatnią warstwą winny być ziemniaki z wiórkami masła. Dolewamy 1/2 filiżanki czerwonego wina, trochę śmietany i rosółu, mieszamy i zamykamy formę szczelnie. Gotujemy w garnku z wodą około 1 1/2 godziny, nie mieszając. Gdy gotowe, wykładamy wprost na duży półmisek.

Płonące brzoskwinie: 3 młeczne bułeczki, cukier i drobno pokrojone migdały podtapiamy w garnku podobnie jak karmel. Dodajemy świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i cytryny w stosunku 1 do 2. Dolewamy odrobinę cointreau, maraskino i koniaku, po czym układamy połówki ociekniętych brzoskwiń z puszek. Podlewamy je tak długo aż będą gorące, dodajemy jeszcze trochę koniaku i podpalamy go. Gorące brzoskwinie układamy na półmisku na lodach waniliowych, polewamy sosem i ozdabiamy bitą śmietaną.

Deser ten winniśmy przygotować przy stole w niklowanym wewnątrz naczyniu, na palniku spirytusowym.

— Chyba mamy coś dla ciebie — powiedział. — Wpadnij do mnie. Zaprosiłem też Freda. Może upichciłbyś nam coś pysznego? Od chłopaków z Marsylii słyszeliśmy, że kiedyś wyprawiliś im ucztę nad ucztą.

— W porządku — zgodził się Thomas.

Tego przedpołudnia nasz przyjaciel przez trzy godziny krzątał się po kuchni Paula de la Rue. Oba lotry miały na sobie — na cześć tego

spotkania — ciemne garnitury, białe koszule i srebrzyste krawaty. Byli nawet tak dobrze wychowani, że podjęli próbę jedzenia przekąski — podano faszerowany seler naciowy — nożem i widelcem, co sprawiało im wszakże ogromne trudności.

— W przeciwieństwie do większości innych potraw — wyjaśnił im Thomas — seler w takiej postaci można, a nawet trzeba wziąć do ręki.

— Bogu dzięki — odetchnął Fred. — Co to za ser?

— Roquefort — rzekł Thomas. — No więc, kto zabił Petersena?

— Niejaki Louis Monico. Korsykańczyk. Nazywają go „Louis le reveur”, Ludwik Marzyciel.

— Co to za Marzyciel? Ruch oporu?

— Ale gdzie tam! Gangster z krwi i kości. Młodziutki, ale ciężko chory. Na płuca. Cztery lata więzienia za zabójstwo. Chłopie, przez ten seler zdechnę z obżarstwa!

— Żeby to nie nastąpiło — powiedział Thomas — podam prędziutko danie główne.

Poszedł do kuchni, by wrócić po chwili z garnkiem do gotowania w kąpieli wodnej, z którego wydobyl przykrytą formę do budyniu.

— Eeee, budyń — bąknął Fred rozczarowany. — Nie jem tego gó...hm...To niesprawiedliwe. Myślałem, że będzie mięso!

— Naprawdę — przyłączył się Paul, wytwornym ruchem osuszając serwetką kąciki ust — muszę przyznać, że też jestem nieco zawiedziony, drogi przyjacielu!

— Poczekajcie!

Thomas wysypał zawartość na wielki porcelanowy półmisek. Rozszedł się delikatny zapach mięsa i cebuli. Obaj gangsterzy zaczęli węszyć zaskoczeni. Na ich twarzach malował się teraz obraz harmonii i uspokojenia.

— A teraz opowiedzcie mi o tym Marzycielu — powiedział Thomas. — Dlaczego zabił Petersena?

— Według tego, czego zdołaliśmy się dowiedzieć — odrzekł Fred — a mamy informacje z pierwszej ręki, ten Petersen był skończonym bydlakiem. Nie był natomiast z całą pewnością kawalerem Orderu Krwi! I nie miał nic wspólnego z gestapo! Przyjechał tu, na południe, jako cywil, kapujesz, i wiesz, czym się zajmował? Skupował złoto.

— Popatrz, popatrz.

— Brał każdą ilość. Dobrze płacił. Musiał być niezłym artystą w swoim fachu. Marzyciel sprzedał mu kilka razy to i owo. W małych ilościach.

Pan Petersen ze służby bezpieczeństwa spekulantem, myślał Thomas. I führer wyprawia państwowy pogrzeb handlarzowi złotem.

I wydaje się rozkaz rozstrzeliwania zakładników. I Niemcy tracą bohatera. Heil!

— Z czasem Marzyciel nabrał zaufania do Petersena — ciągnął Fred — i pewnego dnia przyszedł do jego hotelu z bardzo znaczną ilością złota...

3

Szczyły i blady Louis Monico postawił dwie ciężkie walizy pełne złotych monet i sztab złota na rokokowy stół w salonie apartamentu 203 hotelu „Victoria”. Dyszał ze zmęczenia, oddychał ni to ze świstem, ni z rżeniem. Jego oczy błyszczały jak w gorączce.

Naprzeciw Marzyciela stał niewysoki mężczyzna w szarym flanelowym ubraniu. Miał wodniste oczy, usta z ledwie zaznaczonymi wargami i z matematyczną precyzją wykonany przedziałek, który przecinał krótkie, jasne włosy. Louis wiedział, że nazywa się Petersen. I że skupuje złoto. Poza tym nie wiedział o nim nic. Ale i po co, myślał.

— Ile tym razem? — spytał Petersen.

— 300 złotych ludorów i 35 sztabek złota.

Marzyciel otworzył walizki. Złoto rozbłysło w świetle elektrycznego świecznika.

— Gdzie forsa?

Petersen sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Gdy wyciągnął z powrotem rękę, trzymał w niej jakąś legitymację.

— Jestem untersturmführer Petersen z SD — zabrzmiał lodowaty głos Petersena. — Jest pan aresztowany.

Gdy Petersen mówił te słowa, Louis Monico trzymał rękę w kieszeni marynarki. Nie wyjął jej. Strzelał przez kieszeń. Trzy kule trafiły w pierś kawalera Orderu Krwi, Ericha Petersena... Zginął na miejscu. Zgasłymi oczami wpatrywał się w sufit apartamentu.

— Nie ze mną takie zafajdane numery, psie — powiedział Marzyciel do trupa, po czym, przekraczając zwłoki, poszedł do wyjścia i otworzył podwójne drzwi. Korytarz był pusty. Marzyciel wrócił do pokoju, zabrał swe walizki i wyszedł. W hallu nikt nie zwrócił na niego uwagi.

4

— ...w hallu nikt nie zwrócił na niego uwagi — zakończył swą opowieść Fred Meyer.

— Skąd to wszystko wiecie? — zdziwił się Thomas.

— Od brata Marzyciela.

— Dziwne, że opowiedział wam to wszystko otwarcie i szczerze...

— Ale tak właśnie było. Przecież to i tak nie ma już żadnego znaczenia. Mówiłem ci przecież, że Marzyciel jest chory na płuca. Przed trzema dniami miał krwotok. Leży w szpitalu. Nie dożyje końca tygodnia.

— Możesz go odwiedzić ze swym pułkownikiem — dodał Paul — jest gotów złożyć zeznanie...

27 września 1943 roku, godzina szesnasta piętnaście.

Na biurku majora Brennera zadzwonił telefon. Oficer podniósł słuchawkę i usłyszał głos swego przełożonego:

— Tu Werthe. Dzwonię z Tuluzy. Niech pan uważnie posłucha. Przekażę panu informacje najwyższej wagi!

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Znaleźliśmy mordercę Petersena.

Werthe zrelacjonował przebieg wypadków i treść zeznań chorego na płuca Louisa Monico.

— Lieven, dwaj funkcjonariusze SD i ja byliśmy u niego w szpitalu.

— Do stu piorunów, panie pułkowniku! — zawołał Brenner.

Jego serce biło jak młotem. Ten Lieven! Ten szatański Lieven! Dzięki Bogu, od razu opowiedziałem się za jego koncepcją!

Brennerowi coś przyszło do głowy.

— A co z tym lichwiarzem...tym Victorem Robinsonem? Przecież obciążył Ferrouda!

— To też już wyjaśniliśmy. Robinson robił mętne interesy wspólnie z Petersenem. Kiedyś pracował u Ferrouda, a ten go wyrzucił, więc Robinson chciał się zemścić. Ale to jeszcze nie wszystko, Brenner. Najważniejszego jeszcze pan nie wie. Według informacji uzyskanych przez Lievena, Petersen, operując złotem, był zamieszany w tę wielką aferę z Bonami Kredytowymi Rzeszy...Brenner, słyszy mnie pan?

Brenner oblizwał zeschnięte wargi. Cholera jasna, Bony Kredytowe Rzeszy! Coraz lepiej! To przecież...O Boże, i ja w tym uczestniczę!

— Słyszę, panie pułkowniku — krzyknął, przęcąc się, w słuchawkę.

— Nie znamy jeszcze wszystkich powiązań, ale teraz nie możemy tracić ani sekundy, Brenner! Jeśli prawdą jest, że Petersen spekulował bonami, to wybuchnie skandal, jakiego świat nie widział! Gestapo będzie oczywiście usiłowało wszystko zatuszować! Mamy nad nimi przewagę, ale tylko kilku godzin... Najwyżej! Majorze Brenner, niech pan weźmie pięciu ludzi...

— Tak jest!

— Petersen ma mieszkanie przy Avenue de Wagram 3. Służbowe. Najpierw przeprowadzi pan tam rewizję.

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Lieven wywęszył, że Petersen miał też jeszcze jedną tajną kwaterę, przy Avenue Mozart 24. SD prawdopodobnie nic o niej nie wie... Tam też pan pójdzie...

— Tak jest, panie pułkowniku!

— Niech pan oba mieszkania przewróci do góry nogami. Udzielam panu wszelkich pełnomocnictw! Lieven już jest w drodze do pana. Niech pan zabezpieczy wszystkie podejrzone materiały, zanim SD uda się je usunąć! Zrozumiano?

— Tak jest, panie pułkowniku! — zawołał Brenner.

W ten sposób mały major wpadł w wir przygody, która sprawiła, że jego uczciwe, pyzate policzki zapłonily się rumieńcem wstydu, w wir skandalicznej, prawdziwej paryskiej przygody. Mamy nadzieję, że znajdziemy owe wyszukane słowa, które pozwoliłyby nam opowiedzieć tu przygodę majora Brennera.

5

Z piskiem opon mercedes Wehrmachtu zatrzymał się przed domem przy Avenue de Wagram 3. Z auta wysiadł major Brenner, wyprężył się i zdecydowanym ruchem poprawił okulary w złotych oprawkach.

Za mercedesem zaparkowała szara ciężarówka Wehrmachtu, z której wyskoczyło na bruk pięciu ludzi w mundurach. Ulica lśniła w ostatnich promieniach słońca tego pięknego, pastelowego jesienno-go dnia.

Była szesnasta czterdzieści sześć 27 września 1943 roku.

— Za mną! — rzucił major, przesuwając do przodu pistolet.

Potem rzucił się razem z pięcioma zaufanymi ludźmi do ataku na dom. Niestety, służbowe mieszkanie nieboszczyka Petersena było puste. Wszystkie drzwi stały otworem. Dywany, meble, wszystko znikło.

— Dziś rano wszystko zabrali — wyjaśniła dozorczyńni, wzruszając ramionami.

— Zabrali? Kto?

— No, meblarze...i jakiś niemiecki oficer, przyjaciel pana Petersena...Często tu bywał...Nazywa się Redecker...

— Redecker?

Major Brenner miał powiązania z SD. Znał obersturmführera Redeckera, autentycznego szwagra reichsführera SS i szefa Niemieckiej Policji, Heinricha Himmlera.

Poczuł się nieswojo. Czyżby Redecker był w zмовie z Petersenem? W takim razie rzeczywiście chodziło o sekundy! Tu, do mieszkania służbowego, przybyli za późno. O garsonierze przy Avenue Mozart gestapo podobno nie wiedziało. Jedyna szansa!

Pięciu wybranych ludzi popędziło za swym majorem po schodach w dół i wybiegło na ulicę. Zaryczały silniki. Samochody ruszyły z piskiem opon. Serce majora Brennera biło jak szalone. Czuł się jak bohater filmów z Hansem Albersem w roli głównej — nuże, nuże, już przybywam!

W kilka minut później Brenner usiłował swym szkolnym francuskim wytłumaczyć dozorczyńni domu przy wytwornej Avenue Mozart, że musi przeszukać mieszkanie pana Petersena.

— Ależ monsieur — protestowała kobiecina — przecież damy są na górze! — Damy? Jakie damy?

— Madame Lilly Page i jej pokojówka.

— Jaka znów madame Page?

— Przyjaciółka pana Petersena, oczywiście. On sam wyjechał gdzieś na kilka dni.

Na podstawie tej wypowiedzi Brenner wysnuł błyskotliwy wniosek, że wieść o śmierci kawalera Orderu Krwi i spekulanta złotem Petersena nie dotarła tu jeszcze. Już po chwili major i jego ludzie znów ruszyli do ataku — tym razem na drugie piętro. Major zadzwonił. Drzwi otworzyła nadzwyczajnie piękna pokojówka, której wyjaśnił cel swej wizyty, nie wspominając jednak ani słowem (główka pracuje!) o opłakanym losie kawalera Orderu Krwi. Śliczna pokojówka wpadła w konfuzję i pobiegła po madame.

Madame Page pojawiła się w sukieneczce, którą nawet w półmroku sieni należałoby określić jako oszałamiająco przeźroczystą.

Miała mniej więcej 33 lata, była bardzo ponętna i nieco korpulentna. Czarująca osóbka z migdałowymi oczami i białą jak śnieg skórą.

Major spostrzegł, że jego ludzie stali bez ruchu z wybałuszonymi oczami. Istniał pewien typ kobiet, z którymi Fritz Brenner nigdy w życiu nie miał do czynienia. Odchrząknął, po czym grzecznie, choć stanowczo wyjaśnił swe zadanie.

Potem — czyste poczucie obowiązku — udał się przodem do urządnego niezwykle elegancko i kosztownie salonu. Na ścianach wisiało kilka w najwyższym stopniu nieprzyzwoitych obrazów. Brenner oczywiście ani na nie nie spojrział.

Tymczasem pełna wdzięku Lilly Page podeszła do okna i spuściła chroniące przed słońcem żaluzje, choć o tej porze naprawdę nie wydawało się to konieczne.

Nie jestem idiotą, pomyślał Brenner, przecież to jest jakiś umówiony znak dla kogoś na ulicy! Tak więc, podszedł do Lilly o wybujających kształtach, podniósł żaluzję i rzekł z chropowatą galanterią:

— Pozwoli pani, że będzie mi wolno oglądać jej urodę przy pełnym świetle dnia.

— Jaki pan szarmancki — zachwyciła się przewiewnie ubrana Lilly, usiadła w głębokim, miękkim fotelu i założyła nogę na nogę. — Proszę, panie majorze, niech pan rewiduje.

Jak się zdawało, pięciu ludzi Brennera nie czekało na przyzwolenie. Z pokoju obok do uszu majora docierał rumor i odgłosy figli z pokojówką. Cholerne kpy! Żadnej powagi, żadnego poczucia obowiązku! To ci dopiero pojmovanie służby...

Zagniewany, zmieszany dodatkowo obecnością Lilly, major Brenner otworzył okazałą mahoniową komódkę. Jej zawartość wywołała na jego obliczu rumieniec wstydu. Z trudem chwycił powietrze. Czarna Lilly uśmiechnęła się sardonicznie. Major z hukiem zatrzaskał komódkę. Po raz drugi poczuł się nieswojo.

Major Brenner słyszał już kiedyś wprawdzie, że istnieją podobno książki, rysunki, zdjęcia i przedmioty, których należałoby strzec przed publicznym oglądem, ale nigdy nawet nie próbował wyobrazić sobie takich książek, rysunków, zdjęć i przedmiotów. Teraz, gdy jego nic nie podejrzewające, niewinne spojrzenie padło na tego typu nieczystości, jego czystą duszę ogarnęło święte oburzenie! Potworność. Plugastwo. Zwyrrodnienie. Zepsucie. Nic dziwnego, że taki naród przegrał wojnę.

Major drgnął na odgłos z trudem tłumionych okrzyków i chichotu.

— Pańscy ludzie odkryli już chyba bibliotekę — powiedziała łagodnie madame z migdałowymi oczami.

Brenner ruszył pędem do pokoju obok. Czterech spośród jego wybranych ludzi dobierało się właśnie do półek na książki. Major zadrżał z przerażenia, gdy spostrzegł, co ich tak bawiło. Rozglądał się za piątym z wybranych mężczyzn. Był u pokojówki.

Brenner zabronił czwórce kontaktu z półką, po czym odnalazł piątego i zabronił mu pokojówki. Tego już było za wiele. Przestał panować nad sytuacją. Mieszkanie okazało się absolutnym siedliskiem wszelkiego paskudztwa.

Twarz majora przybrała na stałe barwę przejrzałego pomidora. Czoło miał zroszone potem. Wreszcie podjął rozpaczliwą decyzję. Podbiegł do telefonu i poprzez centralę Wehrmachtu Leander 14 zamówił błyskawiczną rozmowę z Tuluzą.

Dzięki Bogu, jeszcze zastał Werthego. Brenner westchnął z ulgą, gdy usłyszał głos swego zwierzchnika. Bez tchu zrelacjonował mu, w jakie bagno wdepnął.

W Tuluzie także pułkownik Werthe westchnął nad swym pochciwym majorem, ale uszło to tegoż uwadze.

— A materiał? — usłyszał tylko pytanie pułkownika. — Bony i tak dalej... Nic z tych rzeczy?

— Nic, panie pułkowniku.

— Niech pan posłucha, Brenner. Lieven musi już wkrótce dotrzeć do Paryża. Niech pan nie rusza się z mieszkania. I niech pan nikomu nic nie mówi na temat Tuluzy...

— Rozumiem, panie pułkowniku. Nie ruszam się z miejsca, milczę jak grób.

— Niech pan zadzwoni do hotelu i do prywatnego mieszkania Lievena. Niech go przyślą do pana, gdy tylko przyjedzie.

Brenner odłożył słuchawkę. Lieven! Thomas Lieven! Ach, sonderführer jawił mu się jak jasny promyk nadziei. Żeby tylko przyjechał, jak najszybciej..

6

Major Brenner i jego ludzie znaleźli dotąd w tajnym mieszkaniu kawalera Orderu Krwi — oprócz niewymownych zbiorów — cenną biżuterię, wielkie ilości złotych monet, dalekowschodnie figurki z drewna i bibliofilskie druki, ale żadnych dowodów, świadczących o udziale Petersena w spekulacji Bonami Kredytowymi Rzeszy.

Madame Page wciąż próbowała manipulować przy żaluzji jednego z okien, aż major Brenner wyraźnie jej tego zabronił.

Od chwili rozpoczęcia przesłuchania minęło półtorej godziny. Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych. Lilly zbladła jak ściana.

Brenner wyciągnął pistolet.

— Ani słowa — syknął.

Ruszył tyłem przez przedpokój w stronę drzwi. Odwrócił się. Szarpnął za klamkę. Chwycił stojącego na progu człowieka.

Mężczyzna był młody, przystojny, oliwkowoskóry. Miał błyszczące, czarne włosy, malutkie wąsiki, długorzęse oczy i dwie blizny na prawym policzku, jak od cięć nożem. Był blady jak śmierć.

— Idiota! — krzyknęła Lilly o krągłych kształtach. — Po coś tu przylazł?

— A dlaczego nie? — odkrzyknął. — Przecież żaluzja była podniesiona!

— Aha! — zawołał Brenner triumfalnie.

Sprawdził, czy przybysz nie ma broni. Nie miał. Z jego paszportu wynikało, że nazywa się Prosper Longtemps. Zawód: Aktor. Wiek: 28 lat. Brenner wziął go na spytki. Młody człowiek milczał zawzięcie.

Nagle Lilly zaniosła się szlochem.

— Monsieur le Commandant, wszystko powiem! Prosper jest moją...moją wielką miłością. Zdradzałam z nim Petersena, przez cały czas...Wierzy mi pan?

— Ani trochę — powiedział Brenner lodowato i pomyślał: Lieven też by zareagował tak lodowato, po czym zamknął Prospera Longtempa w łazience.

Było wpół do ósmej, na dworze zapadł już zmrok. Major ponownie zadzwonił do hotelu „Lutetia”, potem do mieszkania Lievena. Thomas Lieven jeszcze się nie pojawił.

Brenner nie odważył się choćby na to, by wysłać choć jednego ze swych ludzi na dworzec, by odebrać Lievena bezpośrednio z pociągu. Kto wie, czy nie zjawi się tu gestapo? Wówczas musiałby bronić tego mieszkania jak twierdzy...Sam?

Co mógł jeszcze przedsięwziąć? Major Brenner łamał sobie głowę. Wszystko zaczęło się tak brawurowo i obiecująco, a teraz? Teraz siedział w dusznym mieszkaniu, pełnym różnych paskudztw, ale jednocześnie pustym, bez śladu jakichkolwiek dowodów. Wziął jeńca, tak jest. Ale co to za człowiek? Jak on, Brenner, ma dojść kiedykolwiek do prawdy?

Na domiar złego ta pesząca madame Page ze swą śliczną pokojówką i pięciu mężczyzn, których z trudem trzymał z dala od niewypowiedzianych zbiorów i pokojówki. Ach, gdyby został przy biurku w swej placówce

w hotelu „Lutetia”! Jego silną stroną była teoretyczna praca w Sztabie Generalnym, a nie taktyka i strategia bezpośredniego działania...

Brenner wzdygnął się przestraszony. Madame zasugerowała, że pokojówka mogłaby przygotować parę kanapek dla głodnych ludzi...

Major zwlekał z decyzją. Czy mógł na to pozwolić? Czy madame i jej pokojówka nie były wrogiem? Choć z drugiej strony ludzie naprawdę byli głodni, a on chciał być wyrozumiętym dowódcą. Tak więc pozwolił pokojówce pójść do kuchni, oddelegował jednego z żołnierzy do jej pilnowania, stanowczo mu nakazując, by zachował konieczny dystans.

Już wkrótce ludzie z wypchanymi policzkami pochłaniali jedzenie, popijając szampanem, który znalazł się w lodówce. Brenner początkowo odmówił po męsku, lecz w końcu jednak przełknął kawałek i wypił łyżeczek...

Minęła dziewiąta, dziesiąta, a o Thomasie Lievenie ani widu, ani słyhu. Damy wyraziły życzenie udania się na spoczynek.

Brenner zezwolił. Zorganizował służbę wartowniczą. Jeden człowiek czuwał przed pokojem pani domu, jeden przed izbą pokojówki, jeden przed łazienką. Dwóch pozostałych trzymało straż przy drzwiach wejściowych. On sam pozostał w salonie. Trwał przy telefonie.

Nie będę spał, pomyślał. Zdało mu się, że jest opoką w morskiej kipieli. Nic nie było w stanie go przekupić, nic zachwiać jego pozycją, nic...

Zasnął.

Gdy się obudził, w salonie było ciemno. Poczuł, że jakieś delikatne ręce muskają łagodnie jego ciało.

— Cicho — wyszeptwała Lilly — wszyscy śpią...Spełnię każde pana życzenie, tylko niech pan wypuści Prospera...

— Madame — rzekł Brenner twardo, a jego dłonie jak imadła zacisnęły się wokół jej dłoni — niech pani natychmiast zabierze ręce z mojego pistoletu!

— Ach — westchnęła Lilly w ciemności — mam gdzieś twój pistolet, głupcze...

W tym momencie rozległ się ostry dźwięk dzwonka u drzwi.

7

Thomas Lieven wrócił do Paryża o godzinie dwudziestej drugiej dziesiątej. W hotelu „Lutetia” powiadomiono go w zaafelowaniu, że major Brenner już od paru godzin pilnie oczekuje go przy Avenue Mozart 28. Major wyruszył tam z kilkuosobowym oddziałem.

— Hm — bąknął Thomas i pomyślał: Cóż, na miłość Boską, robi Brenner od kilku godzin w tajemnej kwaterze spekulanta Petersena?

W hotelowym hallu spostrzegł swych starych przyjaciół — znużonego wojną, doskonale zorientowanego w tajnikach służby wojskowej radiotelegrafistę, gefrajtra Raddatza i Schlumbergera, którego poznał i nauczył się cenić w czasie przygody z „Maquis Crozant”. Berlińczyk i wiedeńczyk przywitali go z promiennymi uśmiechami. Właśnie skończyli służbę.

— Chłopie — ucieszył się po berlińsku chudy berlińczyk z zamiłowaniem do francuskich świerszczyków — spójrz no, Karli, przecież to nasz sonderführer!

— Pójdzie pan z nami, sonderführer? — spytał przytłustawy wiedeńczyk. — Chcemy jeszcze wyskoczyć na Plac Pigalle i przygarnąć jakieś sztywne kotki.

— Posłuchajcie, koledzy — powiedział Thomas Lieven — odstańcie na razie od swych chwalebnych zamiarów i chodźcie za mną. Może będę was potrzebował.

I tak wszyscy trzej stanęli około dwudziestaj trzeciej na progu mieszkania przy Avenue Mozart 28. Thomas zadzwonił. Rozległy się głosy, potem jakiś łoskot. I kroki. Drzwi otworzyły się z impetem. Stał w nich major Brenner, purpurowy, zadyszany, z rozwianym włosiem i śladami szminki na szyi. Za jego plecami Thomas i jego przyjaciele dostrzegli damę, która miała na sobie lekką jak mgła nocną koszulę...i nic więcej.

— Panie Lieven... — wyjąkał Brenner — dzięki Bogu, że się pan wreszcie zjawił...

Thomas Lieven dwornie pocałował w rękę damę w nocnej koszuli.

Major Brenner zdał relację z „całokształtu sytuacji”. Poinformował, co — niestety — znalazł w tym mieszkaniu i czego — niestety — nie znalazł. W końcu poświęcił parę słów jeńcowi.

— Prosper jest moim kochankiem — wtrąciła Lilly Page, która tymczasem narzuciła na siebie porannik i była nieco bardziej ubrana.

Spojrzała Thomasowi w oczy.

— On nie ma zielonego pojęcia o interesach prowadzonych przez Petersena.

— O interesach, które prowadził — uściślił Thomas. — Erich Petersen został zastrzelony. W Tuluzie. Przez jednego ze swych kontrahentów.

Piękne wargi Lilly ułożyły się w radosny uśmiech.

— Wreszcie go ktoś dorwał, podłego łotra — powiedziała z wyrazem niezmiernego szczęścia.

— Niech pani nie poddaje się swemu bezbrzeżnemu cierpieniu, madame — poprosił Thomas.

Major nic już nie rozumiał.

— Ale... — bąknął — myślałem...

— Ja cię kręcę — przerwał mu w tym momencie dźwięczny głos gefrajtra Raddatza — to jest coś! Muszę obejrzeć...

— Jak pan śmie mi przerywać — oburzył się major Brenner.

Odwrocił się. Chudy gefrajter stał przed dużą mahoniową komódką, którą major dziś przed południem utworzył, a następnie zatrasnął z głęboką odrazą.

Gefrajter Raddatz także otworzył komódkę, ale — w całkowitym przeciwnieństwie do majora — nie zamknął jej z głęboką odrazą. Obiema rękami wygarniał wszystko z jej szufladek, patrzył, zdumiewał się, uśmiechał z zadowoleniem. W końcu wyjął wszystkie szufladki i wysypał ich zawartość na podłogę. Wciąż jeszcze uśmiech trwał na jego twarzy. Ale nagle zamarł.

— Niech mnie prąd popieści... — powiedział osłupiały — a cóż to w tak pięknym miejscu robią Bony Kredytowe Rzeszy?

W salonie zapanowała nagle cisza, śmiertelna cisza.

— No proszę — przerwał ją w końcu Thomas.

Skłonił się przed madame Lilly Page.

— Pozwoli pani, że ponownie przeszukamy mieszkanie?

Piękna kobieta uśmiechnęła się sztucznie.

— Z przyjemnością. Powiem też panu, gdzie trzeba szukać. Wszędzie tam, gdzie nie szukali ludzie pana majora, bo im zabronił...

Wydobyli na światło dzienne przeznaczone dla Rumunii Bony Kredytowe Rzeszy wartości pięciu milionów marek. Były w komódkach z różanego drzewa, w których znajdowały się także osobliwe przyrządy z przemysłnego Orientu, za zabronionymi książkami w bibliotece, pod niewymownymi zbiorami, za nieprzyzwoitymi obrazami w salonie.

Thomas wysłał panią domu do jej pokoju i zajął się bladym, wystraszonego Prosperem Longtempsem. Po dziesięciu minutach wszedł do sypialni madame.

Leżała w łóżku. Piekły ją oczy. Thomas przysiadł na brzegu łóżka.

— Mówię prawdę... — wyszeptła — Prosper jest moim kochankiem. Tylko dla niego wytrzymałam tu, u Ericha...tego bydła...Ale pan mi nie wierzy.

— Wierzę — zapewnił Thomas. — Rozmawiałem z Prosperem. Powiedział mi, że zna panią już od dwóch lat. Przed rokiem został aresztowany przez gestapo.

Dużo miał na sumieniu ten Prosper Longtemps, ladaco, który tak potrafił uszczęśliwiać damy. Gdy przed rokiem został aresztowany przez SD, przesłuchiwał go niejaki untersturmführer Petersen, u którego zjawiła się następnie niejaka Lilly Page, wstawiając się za Prosperem. Kobieta spodobała się Petersenowi, obiecał więc, że obejdzie się z Prosperem łagodnie, jeśli... Lilly Page została — zniewolona koniecznością — kochanką Petersena, a Petersen wypuścił Prospera.

Thomas rzekł:

— Proszę posłuchać, madame, jestem gotów obejść się z Prosperem łagodnie. Pod jednym warunkiem...

— Rozumiem — powiedziała, wykrzywiła twarz w uśmiechu i wykonała niedbały ruch.

— Nie sądzę, by mnie pani rozumiała — powiedział Thomas uprzejmie. — Petersen był zamieszany w spekulacje Bonami Kredytowymi Rzeszy. Muszę wiedzieć, jakimi kanałami docierały do Francji. Jeśli nam pani pomoże, będę pobłażliwy dla Prospera.

Lilly powoli podniosła się w łóżku. Jest bardzo piękna, pomyślał Thomas, i kocha się w tym nicponiu. Zrobiłaby dla niego wszystko... Jakie to życie jest dziwne!

— W salonie wisi obraz — powiedziała Lilly Page — Leda z łąbodziem. Proszę go zdjąć ze ściany.

Thomas zdjął obraz. Pod spodem znajdował się mały sejf ścienny z zamkiem na kombinację cyfrową.

— Niech pan ustawi na 47 132 — poleciła kobieta w łóżku.

Ustawił pokrętki na 47 132. Drzwi sejfu puściły. W stalowym wnętrzu leżała oprawna w czarną skórę książka, nic więcej.

— Erich Petersen był odrażająco pedantycznym człowiekiem — wyjaśniła kobieta w łóżku. — Wszystko skrupulatnie notował. Znajdzie pan tu zapiski o mężczyznach, kobietach, pieniądzech. To jego pamiętnik. Niech pan go przeczyta. W ten sposób dowie się pan wszystkiego.

Tej nocy Thomas prawie nie zmrużył oka. Czytał pamiętnik untersturmführera Ericha Petersena. O brzasku wiedział wszystko o jednej z największych afer spekulacyjnych tej wojny.

Niewyspany składał przed południem raport pułkownikowi, który też już wrócił do Paryża.

— Sprawa zatacza wielkie kręgi. Są w nią zamieszani najwyżsi urzędnicy Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Najwyżsi funkcjonariusze SD w Rumunii. Prawdopodobnie sam Manfred von Killinger, niemiecki poseł w Bukareszcie. A tu, w Paryżu — obersturmführer Redecker, szwagier Heinricha Himmlera!

— Boże wszechmogący — powiedział pułkownik Werthe słabym głosem, podczas gdy major Brenner wiercił się na fotelu niespokojnie, niecierpliwie, pełen napięcia.

— W ogóle to wszystko zaczęło się od Redeckera — mówił Thomas. — W roku 1942 pracował w służbie bezpieczeństwa w Bukareszcie.

W owym czasie Rumuni musieli wprowadzić zaakceptować Bony Kredytowe Rzeszy jako środek płatniczy, ale byli w siódmym niebie, gdy znaleźli kogoś, kto wymienił im je na dolary, funty albo złoto. Po najgorszych kursach. Obojętnie. Wszystko jedno. Byle dalej od tych lichu wartych papierów!

Redecker został przeniesiony do Paryża. Tu poznał untersturmführera Petersena. Panowie wkrótce odkryli u siebie niezwykle podobieństwo duchowe. Redecker podzielił się z Petersenem swymi rumuńskimi doświadczeniami. Wspólnie rozkręcili interes na wielką skalę. Petersen podróżował po Francji. Skupował, kradł, wymuszał szantażem i rekwirował złoto, które następnie kurierskimi samolotami SD przetrzucane było do Berlina. Tu rezydowało dwóch zaufanych „współpracowników” w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Stąd francuskie złoto leciało kurierskimi maszynami SD do Bukaresztu. Tu także działali zaufani współpracownicy.

W Rumunii funkcjonariusze służby bezpieczeństwa skupowali za bezcen rumuńską edycję Bonów Kredytowych Rzeszy, które następnie były deklarowane i pakowane jako GEKADOS, Tajna Sprawa Naczelnego Dowództwa, i wysyłane przez Berlin do Paryża.

— ...sprawa wygląda dokładnie tak, jak przypuszczał bankier Ferroud — kończył Thomas swą relację. — Tylko Niemcy byli w stanie rozwinąć tak szeroko zakrojoną akcję. Za tak niecnie i tanio uzyskane bony Redecker i Petersen z całym spokojem duszy wykupywali Francję. Tylko Petersen nigdy do końca nie ufał Redeckerowi. Wiem to od Lilly Page. Dlatego też wynajął sobie tajną kwaterę i prowadził pamiętnik, gdzie skrzętnie notował wszystkie operacje, w których Redecker maczał palce. Chciał go, na wszelki wypadek, mieć w garści.

Thomas wziął do ręki czarną książkę.

— Nie tylko nazwisko Redeckera znajdzie pan na kartach tego pamiętnika. Pojawia się tu jeszcze wiele innych nazwisk. Przy pomocy tej książki, panowie, możemy rozbić całą organizację.

— Niech się pan tak nie śpieszy, Lieven — burknął Werthe rozdrażniony — czy zdaje pan sobie sprawę, przeciwko komu stajemy? Przeciwko szwagrowi Himmlera! Przeciw posłowi! Przeciw najwyższym funkcjonariuszom gestapo. Sam pan to mówi!

— Dlatego musimy starannie rozważyć nasze kolejne kroki, panie pułkowniku! A najlepszy klimat takich starannych rozważań stwarza dobre jedzenie. Już wydałem w domu wszystkie konieczne rozporządzenia. Oczekuję panów u mnie za godzinę.

— Ach, ile różnych rzeczy może się zdarzyć w ciągu godziny...

8

Pułkownik Werthe i major Brenner zjawili się po sześćdziesięciu minutach w czarującej, małej willi Thomasa Lievena przy Square du Bois Boulogne. Byli bladzi i zmieszani. Major sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Pułkownik gapił się zawzięcie przed siebie, podczas gdy Nanette serwowała zakąskę.

Thomas poczekał, aż wyszła, po czym zapytał:

— Skąd te marsowe oblicza, panowie? A może odczuwacie, panowie, ludzkie współczucie na myśl o tym, że oto ktoś dobiera się do skóry szwagrowi „Henia Rzeszy”?

— Żeby tylko jemu — rzekł Werthe głucho.

— A komuż to jeszcze? — spytał Thomas, wkładając do ust kawałek melona.

— Panu — rzucił Werthe.

Ponieważ nie przystoi mówić z pełnymi ustami, Thomas najpierw przełknął, po czym zapytał:

— Żarcik, co?

— Niestety nie, Lieven. Gestapo ma pana na celowniku. Wie pan, że Brenner ma tam swoich ludzi, prawda? Po naszym rozstaniu wstąpił jeszcze na Avenue Foch. W końcu to my wyjaśniliśmy mord na Petersenie w Tuluzie. Brenner rozmawiał z Winterem. Najpierw stwierdził coś bardzo uspokajającego — SD w Paryżu nic nie wie o aferze z Bonami Kredytowymi Rzeszy, ale potem Winter zaczął mówić o panu, panie Lieven.

— Aha. I cóż takiego powiedział?

— Powiedział...hm...twierdził, że teraz już im się pan nie wymknie.

Drzwi się otworzyły.

— Ach, spójrzcie panowie, oto zjawia się znowu nasza słodka Nanette — zawołał Thomas, zacierając ręce — i wnosi kotlety w parmezanie.

Dziewczyna zapłonila się po uszy.

— Monsieur Lieven, ja proszę pana nie mówić „słodka Nanette”, jak ja noszę naczynie. Ja w takim razie spuścić wszystko na ziemię i zrobić kaputt! Monsieur jest najbardziej uroczym mężczyzną na świecie! — zdradziła Werthemu, podając mu półmisek.

Pułkownik skinął w milczeniu, nakładając sobie sałatę. Nanette opuściła pokój.

— Nie za dużo pieprzu w tych kotletach? — spytał Thomas. — Nie? To dobrze. A zatem, mają na mnie haka? Jakiego?

— Zna pan niejaką stabshauptführerin Mielcke? — spytał Brenner z cierpieniem na twarzy.

Thomas zachłysnął się.

— No pewnie, że znam tego potwora. Obrzydliwe paskudztwo!

— No widzi pan — powiedział Brenner — wpadł pan przez tę Mielcke.

— I nikt już panu nie pomoże, Lieven — rzucił Werthe, grzebiąc nożem w kotlecie. — Nikt. Ani ja, ani Canaris. Nikt. Niech pan mówi dalej, Brenner.

Major zdał sprawę ze swej rozmowy z Winterem. Z jego słów wynikało, że stabshauptführerin Mielcke zjawiała się mniej więcej tydzień temu u sturmbannführera Eichera. Na wstępie poinformowała go, że swego czasu ostro się starła z sonderführerem Lievenem. Potem widziała go w nocy 21 września w przedziale wagonu sypialnego pociągu pośpiesznego do Marsylii. W towarzystwie niezwykle pięknej, ale też niezwykle podejrzanej osoby płci żeńskiej. Kontrola wykazała, że osoba płci żeńskiej okazała legitymację Abwehry w Paryżu na nazwisko Madeleine Noel. „Czy to aby nie śmierdzi?” spytała stabshauptführerin Mielcke i poradziła sturmbannführerowi Eicherowi, by ten zajął się sprawą.

Eicher, który nienawdził Thomasa, uczynił to z radością. Prędko ustalili, że niejaka Madeleine Noel leciała 22 września niemieckim samolotem kurierskim z Marsylii do Madrytu, skąd udała się dalej, do Lizbony. Eicher wydał swym ludziom w Lizbonie odpowiednie instrukcje. Ci natychmiast zabrali się do roboty i stwierdzili, że jakaś Madeleine Noel przybyła 23 września do Lizbony. I że jeszcze miasta nie opuściła. Tylko, że teraz nazywała się Yvonne Dechamps.

Yvonne Dechamps... To nazwisko obilo się już kiedyś Eicherowi o uszy. Sprawdził listy osób poszukiwanych i jego twarz wykrzywił triumfalny uśmiech. Yvonne Dechamps, asystentka profesora Debouche, była od dłuższego czasu poszukiwana przez gestapo jako niebezpieczna członkini ruchu oporu. A Thomas Lieven pomógł jej w ucieczce — z legitymacją Niemieckiej Abwehry!

Menu, Paryż, wrzesień 1943

Melon

Kotlety schabowe z parmezanem

Naleśniki z czekoladą

Przy deserze tego menu Thomas Lieven planował sprowadzić na ziemię pewnego Reichsführera.

Melon: podajemy pokrojony w plastry, mocno schłodzony melon. Każdy doprawia sobie sam do smaku pieprzem i solą.

Kotlety schabowe z parmezanem: kotlety schabowe średniej wielkości rozbijamy, pieprzymy i solimy. Układamy je w płaskiej, dokładnie wysmarowanej masłem formie i posypujemy obficie tartym parmezanem. Polewamy gęstą, kwaśną śmietaną (nie za dużo) i zapiekamy przez 20-30 minut w piekarniku na jasnobrązowy kolor. Podajemy w formie, serwując do nich zieloną sałatę i ziemniaki z wody.

Naleśniki z czekoladą: smażymy cienkie naleśniki, na które ciasto przygotowujemy godzinę wcześniej. Ubijamy w misce dwa żółtka z trzema łyżkami cukru, dodajemy roztopione uprzednio w gorącym mleku trzy tabliczki czekolady i szklankę mleka. Mieszymy dokładnie, dodając trochę cukru waniliowego i odrobinę soli. Na małym ogniu, ciągle mieszając, uzyskujemy z masy gęsty krem, którym smarujemy naleśniki, po czym zwijamy je w rulony i posypujemy gorące grubym cukrem, tartymi migdałami lub pistacjami. Podajemy na ciepło.

— Winter powiedział mi, że Eicher skontaktował się już w tej sprawie z Berlinem — ciągnął Brenner, przecinając ziemniaki nożem, czego czynić nie przystoi. — Z Himmlerem.

— Ze szwagrem pana Redeckera — włączył się pułkownik — a ten zwrócił się do Canarisa. Canaris dzwonił do mnie przed godziną. Jest wściekły. Wie pan przecież, jak napięte są nasze stosunki z SD! A teraz jeszcze to! Przykro mi, Lieven. Jest pan miłym facetem, ale nic tu już nie poradzę. Służba bezpieczeństwa wniesie przeciw panu oskarżenie. Pójdzie pan pod sąd wojenny, nie ma wyjścia i ...

— Jest, jest — rzekł Thomas.

— Słucham?

— Wydaje mi się, że jest wyjście. Niejedno, panie Brenner. Ostrzegam pana, niech pan nie je tyle mięsa. Czeka nas jeszcze pewien specjał — naleśniki z czekoladą.

— Niech mnie pan nie wyprowadza z równowagi, Lieven! — krzyknął Werthe. — I niech pan przestanie gadać o jedzeniu! Jakie pan widzi wyjście?

— SD chce mnie załatwić. Proszę bardzo. W takim razie my sypniemy Redeckera. Jaki to dzień mamy dzisiaj? Wtorek? Dobrze. Zapowiem na jutro po południu swą wizytę u sturmbannführera Eichera i załatwię sprawę z fałszywą legitymacją.

— Pan...Chce pan pójść do Eichera?

— Tak, dlaczego nie? Naprawdę bardzo mi przykro, że sprawiam przykrość panu Canarisowi.

— Ale dlaczego...po co chce pan w ogóle iść do Eichera?,

— Ponieważ jutro jest środa, panowie — powiedział Thomas uprzejmym tonem — a w moim małym, czarnym pamiętniczku środa jest dniem tygodnia, w którym Bony Kredytowe Rzeszy wyruszają w powietrzną podróż z Bukaresztu do Berlina. Musimy jeszcze tylko — oczywiście po wstaniu od stołu — ustalić dokładny harmonogram działań, choć właściwie nasza akcja nie może się nie udać...

9

Z pełnym oddaniem uśmiechem śliczniutka służąca Nanette pomogła swemu umiłowanemu panu założyć płaszcz z wielbłądziej wełny. Thomas Lieven spojrzął na swój repetier. Była godzina szesnasta trzydzieści 29 września 1943 roku.

Thomas wyjrzał przez okno.

— Czy sądzi pani, że jeszcze dziś spłynie na miasto mgła, urocze dziecko?

— Nie, monsieur. Nie sądzę...

— Obyś miała rację — powiedział Thomas. — W takim razie kilku panów jeszcze dziś wieczorem znajdzie się w pace.

— Pardon, monsieur?

— Nic, nic, Nanette. Właśnie organizuję pewien wyścig. Chciałbym go wygrać.

Thomas Lieven w istocie zorganizował wyścig, w którym musiał dziś uczestniczyć. Wprawił w ruch lawinę, teraz musiał dobrze uważać, by go nie pochłonęła. Udawał się bowiem właśnie do siedziby gestapo w Paryżu przy Avenue Foch, do sturmbannführera Eichera...

Operacja, z której Thomas — jak się spodziewał — miał wyjść zwycięsko, rozpoczęła się przed dwudziestu czterema godzinami. W szczerym pragnieniu uratowania życia Thomasa Lievena pułkownik Werthe wysłał dalekopisem długi raport do admirała Canarisa.

Już w godzinę później siwowłosy szef wywiadu wojskowego zjawił się u Heinricha Himmlera. Rozmawiali przez godzinę. Nie miał dobrych wiadomości dla reichsführera SS i szefa Niemieckiej Policji...

— Podejmę energiczne i bezlitosne działania — zżymał się Heinrich Himmler.

O godzinie osiemnastej trzydzieści rozpoczęła pracę komisja specjalna, składająca się z wysokich funkcjonariuszy SS. Trzej jej członkowie jeszcze tej nocy polecili przez Wiedeń do Bukaresztu.

29 września o godzinie siódmej piętnaście ci trzej SS-mani aresztowali na lotnisku w Bukareszcie kuriera SD unterscharführera Antona Linsera, który właśnie zamierzał udać się samolotem do Berlina. W jego okazałym bagażu znaleziono liczne GEKADOS, które komisyjnie otworzono. Zawierały rumuńską edycję Bonów Kredytowych Rzeszy wartości dwóch i pół miliona marek.

O godzinie ósmej trzydzieści trzej oficerowie SS zjawili się w siedzibie bukareszteńskiej SD, która mieściła się w niepozornym, bocznym skrzydle Ambasady Niemiec, przy głównej ulicy miasta Calea Victoriei. Tu zabezpieczono wielkie ilości francuskich luidorów i ogromne ilości Bonów Kredytowych Rzeszy. Dwie osoby aresztowano.

O godzinie trzynastej pięćdziesiąt na lotnisku Berlin Staaken wylądowała kurierska maszyna z Bukaresztu. Członkowie komisji specjalnej aresztowali untersturmführera nazwiskiem Walter Hansmann, który z wyraźnymi oznakami wielkiego niepokoju wypytywał załogę samolotu o kuriera z Bukaresztu. Po krótkim przesłuchaniu Hansmann pękł i przyznał się do udziału w aferze z Bonami Kredytowymi Rzeszy. Podał nazwiska czterech wysokich funkcjonariuszy SD w Berlinie, którzy zamieszani byli w sprawę. O czternastej cała czwórka siedziała już za kratkami...

— Teraz możemy więc z całym spokojem zjeść obiad — powiedział Thomas Lieven do pułkownika Werthego.

Stali przed dalekopisem, który co godzina przekazywał Werthemu wiadomości od admirała Canarisa.

— Wszystko wskazuje na to, że znów się panu udało, niegodziwcze — Werthe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Na psa urok! — powiedział Thomas i odpukał w niemalowane drzewo. — Kiedy wystartowali panowie sędziowie, panowie mściciele?

— Przed pół godziną. Sędzia SS i dwóch radców Sądu Wojennego. Mają wylądować między szesnastą trzydzieści a siedemnastą.

O godzinie szesnastej trzydzieści śliczna Nanette pomogła swemu panu założyć płaszcz z wielbłądziej wełny. Dobry Boże, myślał Thomas wychodząc z domu, spraw, żeby się nie zamgliło, bo przy mgle panowie z Berlina nie wylądują i moja zemsta na tych bydlakach z Avenue Foch, którzy nieomal zakatowali mnie na śmierć, będzie niepełna...

Panowie z szefostwa SD przy Avenue Foch przyjęli Thomasa poważnie i surowo. Natychmiast zorientował się, że nie mają zielonego pojęcia o tym, co ich czeka. „Heniu Rzeszy” nie ostrzegł ich.

Rumiany na twarzy sturmbannführer i jego adiutant, błady Fritz Walter, rozmawiali z nim spokojnie i zdecydowanie. Zachowywali się tak, jak niektórzy z owych generałów, radców sądów wojennych i oficerów, którzy w ostatnich latach wojny skazywali niemieckich żołnierzy — często z najbłahszych powodów — na śmierć. Przed egzekucją swych ofiar zjawiali się, by spokojnie i stanowczo wyjaśnić delikwentom, dlaczego niezbędne było skazanie ich na śmierć przez rozstrzelanie.

Podobne słowa padały teraz z ust panów Eichera i Wintera, a skierowane były do Thomasa Lievena, który siedział naprzeciw nich (popielaty freskowy garnitur, biała koszula, czarny krawat, czarne buty i skarpetki) z nogą założoną na nogę.

— Niech pan zrozumie, Lieven — mówił Eicher — osobiście nie mamy nic przeciwko panu. Wręcz przeciwnie! Podoba mi się, że miał pan odwagę tu przybyć. Ale tu chodzi o Rzeszę, o wspólnotę...

— Może się pan spokojnie uśmiechać, Lieven — wtórował mu Winter — przed sądem wojennym przejdzie panu ochota na śmiech.

— Prawem jest to — ciągnął Eicher — co służy narodowi niemieckiemu. Bezprawiem to, co mu szkodzi. Pan szkodził swemu narodowi. Chciałbym, żeby pan to pojął...

— Czy wolno mi zadać jedno pytanie? — przerwał mu Thomas z grzecznym ukłonem. — Czy naprawdę jest dziesięć po piątej, czy też mój zegarek się spóźnia?

W spojrzeniu, które rzucił mu teraz Eicher, dostrzegł pełen nienawiści podziw.

— Dlaczego nie mógł pan być przyzwoitym człowiekiem i pracować dla nas. Mógłby pan już dziś być sturmbannführerem. Pański zegarek chodzi dobrze.

Thomas wstał, wolno podszedł do okna, spojrzął w dół na jesienny ogród i w górę na jesiennie niebo. Ani śladu mgły.

— Niechże mi panowie zdradzą, jak mnie rozpracowaliście — poprosił Thomas Lieven.

Sturmbannführer Eicher i jego adiutant, wyraźnie zadowoleni z siebie, zdradzili mu, jak to dzięki stabshauptführerin Mielcke zwie-

trzyli, że Thomas Lieven przerzuca do Lizbony niebezpieczną bojowniczkę francuskiego ruchu oporu Yvonne Dechamps, i to jako niemiecką tajną agentkę z dokumentami Abwehry w Paryżu.

Lieven przysłuchiwał im się uprzejmie, potem znów zerknął na zegarek.

— Trzyma pan fason do końca, co? — zarechotał Eicher. — Podobają mi się pan, bardzo mi się pan podoba.

— Wszystkie dowody przeciwko panu zostały już przedstawione reichsführerowi SS. Za kilka dni stanie pan przed sądem wojennym.

— Teraz już nikt pana z tego nie wyciągnie — rozżalił się Eicher — Ani pułkownik Werthe, ani Canaris. Nikt!

Thomas spojrział na zegarek.

Z klatki schodowej do pokoju dotarł jakiś stłumiony hałas, jakieś głosy, rozkazy, odgłos podkutych obcasów. Thomas poczuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić.

— Mam nadzieję — powiedział — że panowie sprawią mi ten zaszczyt i zjawią się na mojej egzekucji.

Eicher zaniepokoił się.

— Co tam się dzieje?

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Na progu stanął przestraszony ordynans, zasalutował i zachrypłym głosem zameldował:

— Panowie z Berlina, obersturmbannführer, sprawa niecierpiąca zwłoki... Komisja Specjalna z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy...

Wreszcie, pomyślał Thomas. Po raz ostatni tego dnia spojrział z okna w niebo. Dzięki, dobry Boże! Eicher i Winter siedzieli jak skamieniali.

— Spe...spe...Komisja Specjalna?

Ale panowie już weszli. Sędzia SS w stopniu gruppenführera miał na sobie czarny mundur, buty z cholewami i budził grozę. Radcy sądu wojennego byli niżsi, nosili okulary i salutowali po wojskowemu.

Sędzia SS wyrzucił w górę ramię w tak zwany niemiecki pozdrowieniu. Jego głos brzmiał zimno.

— Heil Hitler! Sturmbannführer Eicher? Miło mi. Zaraz udzielię panu wszelkich koniecznych wyjaśnień. Pańskie nazwisko?

— Untersturmführer Winter...

— A pan?

Eicher doszedł nieco do siebie.

— To tylko gość. Może pan już odejść, panie Lieven...

Sędzia SS nadstawił uszu.

— Sonderführer Thomas Lieven?

— W samej rzeczy — potwierdził nasz przyjaciel.

— Niech pan zostanie, proszę.

— Ale po co? — zaskrzeczał Eicher.

— Sturmbannführer, niech pan tu wezwie obersturmführera Redeckera. Ale ani słowa ostrzeżenia, zrozumiano?

Już po chwili zjawił się, z uśmiechem na wąskich wargach, szwagier Heinricha Himmlera. Gdy zobaczył gości, uśmiech zamarł mu na ustach.

— Zrewidujcie tego człowieka! Sprawdźcie, czy nie ma broni!

Winter wykonał polecenie, nic nie rozumiejąc.

Redecker zaczął przetykać ślinę, zachwiał się na nogach, po czym opadł ciężko na jeden z foteli.

Sędzia SS spojrział na niego z odrazą.

— Obersturmführer, jest pan aresztowany.

Ciałem szwagra „Henia Rzeszy” wstrząsnął szloch, bład Winter bez przerwy przetykał ślinę.

— Ale dlaczego? — krzyknął nagle Eicher łamiącym się głosem.

— Obersturmführer jest zamieszany w milionowej wartości machinacje z Bonami Kredytowymi Rzeszy — odparł lodowato olbrzym w czerni. — Wspólnie z zastrzelonym w Tuluzie untersturmführerem Petersenem działali w najpodlejszy i najnikczemniejszy sposób na szkodę Rzeszy. Śledztwo wykaże, kto jeszcze spośród funkcjonariuszy SD w Paryżu zamieszany jest w tę aferę.

— Nic nie rozumiem — Eicher patrzył na sędziów w osłupieniu — kto wniósł to potworne oskarżenie?

Sędzia w czerni powiedział, kto.

Eicherowi opadła szczęka. Szklanymi oczami wpatrywał się w Lievena i wybełkotał:

— Pan...pan...pan..

Potem zdarzyło się coś, przez co sturmbannführer Eicher o mały włos nie postradałby zmysłów: Sędzia SS przystąpił do Thomasa, uściśnął mu rękę i powiedział:

— Sonderführer, w imieniu reichsführera SS wyrażam panu podziękowanie i przekazuję wyrazy uznania.

— Nie ma za co — rzekł Thomas skromnie. — Cała przyjemność po mojej stronie.

— Reichsführer SS kazał też panu przekazać, że porozumiał się już z admirałem Canarisem. W wiadomej sprawie nie zostaną przeciw panu podjęte żadne kroki.

— To bardzo miłe ze strony pana Himmlera — powiedział Thomas Lieven.

10

W aferze z Bonami Kredytowymi Rzeszy dokonano 23 aresztowań. Wśród oskarżonych znalazło się tylko dwóch Francuzów i trzech Rumunów.

Proces odbył się przy drzwiach zamkniętych. Dwaj Francuzi, trzech Rumunów i untersturmführer Hansmann zostali skazani na śmierć, inni oskarżeni otrzymali wysokie kary więzienia.

Obersturmführer Redecker dostał osiem lat. Heinrich Himmler szybciotko wykazał się umiłowaniem życia rodzinnego — obersturmführer Redecker siedział tylko pół roku za kratkami. Potem — na osobiste polecenie reichsführera — został zwolniony i powołany do Berlina, gdzie pracował na podrzędnym stanowisku do końca wojny.

Dziś ma się dobrze. Jest wybitnym członkiem pewnej niemieckiej partii narodowej na północy swojej ojczyzny.

11

13 października 1943 roku Włochy wypowiedziały Niemcom wojnę, a 6 listopada Rosjanie zdobyli Kijów.

Tej zimy ruch oporu we Francji z tygodnia na tydzień przybierał na sile. Niemieckie władze okupacyjne coraz bardziej traciły kontrolę nad sytuacją. Thomas Lieven i jego przyjaciele z sarkastycznym uśmiechem obserwowali w hotelu „Lutetia” zabiegi francuskich pase-rów i kurtyzan. O ile do tej pory wchodzili w układy z Niemcami, o tyle teraz wykazywali się patriotyzmem. Przedstawicielki najstarszego za-wodu świata, obecnego w przestępczym podziemiu od jego zarania, nagle odkryły w sobie ojczyźniane popędy i świadczyły swe „usługi specjalne” na rzecz ruchu oporu, zbierając w ten sposób punkty, swoiste poświadczenia niewinności na niepewne czasy, które stały już za progiem. Najbardziej wzięte kokoty z Paryża deponowały dla ruchu oporu swą, w ciężkim znoju zdobytą, biżuterię.

Okupanci i okupowani żyli jak w gorączce. Z dnia na dzień traciły wartość i sens pieniądze, godność i moralność. Życie stawało się coraz bardziej chaotyczne, przypominając taniec na wulkanie. Nowobogaccy

w absurdalny sposób trwonili swe nagromadzone fortuny. Coraz nikiemniejsze, coraz podlejsze stawały się machinacje ciemnych kręgów, zarówno po stronie francuskiej, jak i niemieckiej.

Abwehra miała pełne ręce roboty. Spośród spraw, w których rozpracowaniu Thomas Lieven brał udział, wymienimy tu tylko cztery:

1. Mniej więcej w tym czasie, kiedy Roosevelt, Churchill i Stalin spotkali się na konferencji w Teheranie, Thomasowi Lievenowi udało się wykazać, że niejaki Werner Lamm, osobisty przyjaciel Hermana Göringa, to ostatnia kanalia.

Tenże Lamm wpadł na doskonały pomysł, by swe ciemne interesy ukryć pod płaszczkiem polityki gospodarczej. Anglia od lat opanowała światowy rynek handlu dywanami. Brytyjski kartel, zwany „dywanowym pulem”, panował na nim niepodzielnie. Pan Lamm oświadczył swemu przyjacielowi, Marszałkowi Rzeszy, że ma sposób na ten pul. Göringowi zaimponowało to. Zezwolił Lammowi sprowadzić z Holandii do Paryża około 6000 dywanów, które po większej części pochodziły z żydowskiego majątku. Lamm albo je ukradł, albo zarekwirował. Następnie otworzył na Champs-Elysees elegancki sklep z dywanami, nie zaprzestając kradzieży i rekwizycji na terenie Francji. Nikt nie miał odwagi pociągnąć do odpowiedzialności przyjaciela Göringa.

Nikt?

Thomas Lieven wraz z pułkownikiem Werthem i majorem Brennerem zastawili na Lamma pułapkę! Thomas podrzucił mu bowiem adres pewnej wiejskiej posiadłości pod Paryżem, która należała do pewnego Żyda i była pełna wspaniałych smyrneńskich i perskich kobierców.

Willi w istocie należała do Żyda, tyle że południowoamerykańskiego. Ale tego już Lamm nie wiedział. Kazał zarekwirować dywany i na tym się sparzył. Południowoamerykańska ambasada złożyła ostry protest do dziekana korpusu dyplomatycznego, szwedzkiego Konsula Generalnego Nordlinga, ten zaś zwrócił się do Naczelnego Dowódcy Wojsk Niemieckich we Francji, generała Karla-Heinricha von Stülpnagla.

Skandal ten stał się tak głośny w kręgach dyplomatycznych Paryża, że nawet sam Göring nie odważył się interweniować w obronie swego przyjaciela. Pan Lamm stracił cały swój majątek i powędrował za kratki.

2. Podobnie postąpił Thomas z profesorem Dienstagiem i Landwendem, około Bożego Narodzenia roku 1943, mniej więcej w czasie,

kiedy Brytyjczycy zatopili u wybrzeży północnej Norwegii niemiecki okręt wojenny „Scharnhorst”. Panowie ci, na zlecenie Marszałka Rzeszy, skupowali we Francji obrazy i inne dzieła sztuki, płacąc za nie fałszywymi, produkowanymi w okolicy Stuttgartu, frankami.

Thomas Lieven udowodnił niezbicie, że cztery spośród obrazów zakupionych przez panów profesorów w Paryżu, pochodzą ze zbiorów szwajcarskiego dyplomaty Egona Treumera, który dopiero co został okradziony.

I znów do sprawy włączył się Naczelnny Dowódca we Francji. Skandal przybrał tym razem takie rozmiary, że Göring został wezwany do Hitlera.

Ach, zapomnielibyśmy o najważniejszym: Zawodowi włamywacze, którzy wynieśli owe cztery obrazy z mieszkania Eugena Treumera i sprzedali je profesorom, byli starymi przyjaciółmi Thomasa Lievena i działali — za sową opłatą — na jego zlecenie. Policja nigdy nie wpadła na ich trop...

3. 4 stycznia 1944 roku Rosjanie przekroczyli dawną granicę Polski, a wojska alianckie wylądowały pod Anzio we Włoszech, na tyłach armii niemieckiej. Mniej więcej w tym właśnie czasie Lieven ubił swój „cytrynowy interes”.

Na początku roku nasz przyjaciel otrzymał cynk z Bordeaux. Wiadomość, pochodząca od pewnego starego kasiarza, którego Thomas poznał swego czasu w Marsylii jako członka przestępczego gangu Chantal Tessier, była napisana nieortograficznie, na kiepskim papierze i w nieortograficznym przekładzie brzmiała:

Drogi przyjacielu! Tutaj w porcie jest taki magazyn, kturen szczerze niemiecka Kriegsmarine, Lerzy tu 420 ton bibulki papierosowej, gotowej do wysylki. Nie wyslano go, bo Ameryka przystapila do wojny. To jest, drogi przyjacielu, najwyszczzej jakości szyfonowa bibólka. Cena rynkowa 190 szwajcarskich franków za kilo. To szmal nad szmale. SD ma na niego chrapkę i chce go zarekwirować. Jako „wrogie mienie”. Dlatego pośpiesz się przyjacielu.

Thomas Lieven pośpieszył się. Wiedział, że towar zarekwirowany przez SD nie zobaczy światła dziennego, stanie się łupem wąskiej grupy ludzi. Pojechał do Bordeaux, gdzie dzielny major Brenner znał pewnego kapitana marynarki. Thomas natychmiast znalazł z nim wspólny język.

Od czasu afery z obrazami Thomas zaprzyjaźnił się ze szwajcarskim dyplomata Eugeniem Treumerem. Dzięki niemu natychmiast polecił wspomnianemu kapitanowi Kriegsmarine pewnego człowieka

z Bazylei, który mógł i chciał nabyć amerykańską bibułkę. Za cenę siedmuset sześćdziesięciu tysięcy franków szwajcarskich.

Przed taką sumą skapitulowała także niemiecka Kriegsmarine. W czasie, gdy ludzkie winogrona zwieszały się z każdego wagonu, gdy brakowało nawet pociągów do przerzutu wojsk, 42 tony zapakowanej w skrzynie amerykańskiej bibułki papierosowej toczyły się po torach Francji w kierunku Szwajcarii. Ładunek był zaopatrzony w listy przewozowe Wehrmachtu, a jego celem był Deutscher Bahnhof w Bazylei.

Thomas zatroszczył się także o to, by wagony zostały w nocy przetoczone z Deutscher Bahnhof na Schweizer Bahnhof. Siedemset sześćdziesiąt tysięcy franków! Na dźwięk takiej sumy nawet słabeusz stawał się mocarzem!

Niemiecka Kriegsmarine doskonale zarobiła na tym interesie. Za uzyskane pieniądze zakupiono pełne witamin cytryny dla zagrożonych szkorbutem załóg okrętów, głównie łodzi podwodnych. Thomas Lieven otrzymał jako wyraz uznania 30 000 marek prowizji.

4. 19 marca 1944 roku radzieckie wojska przekroczyły granice Rumunii. Tego samego dnia Thomas Lieven zjawił się w asyście pułkownika Werthego i majora Brennera w mieście Poitiers. Zostali zaalarmowani przez nową agentkę paryskiej Abwehry, niejaką Charlotte Regnier.

Charlotte Regnier, czterdziestoletnia piersiasta blondynka, niezbyt piękna i bardzo nerwowa, uchodziła od pewnego czasu za znakomity nabytek niemieckiego wywiadu na tym terenie. Tę samotną francuską pisarkę udało się zwerbować do pracy dla Abwehry majorowi Brennerowi. Prawie codziennie jej sensacyjne raporty siały niepokój w hotelu „Lutetia”.

W ostatnim ze swych raportów Charlotte Regnier doniosła o utworzeniu w rejonie Poitiers nowego, potężnego oddziału ruchu oporu. Skutkiem tej wiadomości była szeroko zakrojona akcja paryskiej Abwehry w rejonie Poitiers, w wyniku której aresztowano i poddano całodniowym przesłuchaniom ponad dwustu Francuzów.

Po jakimś czasie ponad dwustu Francuzów nagle odzyskało wolność...

Okazało się — sonderführer Lieven udowodnił to tymczasem w sposób nie budzący żadnej wątpliwości — że major Brenner jednak nie zwerbował w osobie blondwłosej Charlotte, superagentki. Sonderführer Lieven wykazał, że blondwłosa Charlotte przed pół rokiem została zwolniona z zakładu dla psychicznie chorych. Lekarze określili ją jako niegroźną dla otoczenia, ale ciągle jeszcze była ubezwłasnowolniona. I ciągle jeszcze — oczywiście — szalona...

23 marca 1944 roku Thomas został zaproszony na wielkie przyjęcie, wydawane przez jednego z jego francuskich klientów. Na przyjęciu tym nudził się jak mops aż do chwili, gdy pojawiła się na nim pewna dama w zielonej wieczorowej sukni. Party okazało się dla niego nagle niezwykle interesujące.

Dama w zieleni miała około 28 lat, jasne, zaczesane do góry włosy i kasztanowe oczy. Wyglądała jak aktorka filmowa Grace Kelly.

— Kto to? — spytał Thomas natychmiast pana domu.

Ten powiedział mu, kim jest dama.

Nazwijmy ją, powiedzmy, Vera, księżniczka von C., gdyż żyje do dziś między nami i darzymy ją sympatią. Dlatego też nie ujawnimy jej prawdziwego nazwiska.

— Prastara szlachta niemiecka — zdradził Thomasowi jego przyjaciel — spokrewniona z domami książęcymi całego świata, ze starym Wilhelmem, Windsorami, hrabią Paryża i diabeł wie, z kim jeszcze...

— Czy byłby pan tak miły i przedstawił mnie? — spytał Thomas.

Pan domu był tak miły.

Natomiast księżniczka wręcz przeciwnie. Thomas nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś tak nieprzystępnego, chłodnego i wyniosłego!

Roztaczał przed nią cały swój urok, puszczał fajerwerki szarmanterii, lecz księżniczka traktowała go jak powietrze, uśmiechała się mechanicznie, a po jego najprzedniejszym dowcipie, rzekła:

— Pan coś mówił, panie... Lieven?

Takie traktowanie podniecało naszego przyjaciela. Ta osóбка przypadła mu do gustu! Miał gdzieś jej arystokratyczne pochodzenie. Nie miał snobistycznych ambicji. Nie potrzebował księżniczki w swym zbiorze. Nie, chodziło o jej osobowość... Ta osobowość zafascynowała go!

Tak więc, nie ustawał w wysiłkach. Spytał, czy nie mogliby się jeszcze kiedyś spotkać? Pójść do opery... na kolację...

— Sam gotuję. Powiadają, że mam talent. Czy mogę coś ugotować dla pani? Może jutro?

— To, niestety, wykluczone. W tym tygodniu jestem co wieczór u pana Lakuleita. Zna go pan?

— Lakuleit?

Thomas gdzieś już słyszał to nazwisko. Tylko gdzie?

— Nie, nie znam go, szczęśliwca, któremu poświęca pani tyle czasu.

W końcu nasz przyjaciel dał za wygraną. To było bez sensu. Po prostu bez sensu. Rozeźlony opuścił towarzystwo jako jeden z pierwszych.

W dwa dni później nieprzystępna księżniczka zupełnie nieoczekiwanie zadzwoniła do niego do domu. Poprosiła, żeby Thomas wybaczył jej chłodne zachowanie. Po jego wyjściu dowiedziała się od gospodarza, że pochodzi z Berlina i jest właścicielem pewnego małego banku w Paryżu. Pan domu znał Thomasa tylko jako bankiera. Nikt oprócz bezpośrednio zainteresowanych nie miał w Paryżu pojęcia o działalności wywiadowczej Thomasa Lievena.

— ...napomknęłam panu przecież o panu Lakuleicie — mówiła księżniczka. — Niech pan sobie przedstawi, że on też jest berlińczykiem. To znaczy, urodził się w Królewcu... Wspomniał pan o swych kulinarnych talentach, więc wpadł na zabawny pomysł: Ma ochotę na klopsy po królewiecku... Nikt tu nie potrafi tego przyrządzić... Może wpadnie pan jutro do nas... to znaczy do pana Lakuleita...

Nasz przyjaciel przyjął zaproszenie, ale nie dawało mu to spokoju. Lakuleit... Lakuleit...

Skąd znam to nazwisko? Thomas przepytał pułkownika Werthego, ale informacje, które od niego otrzymał, nie zadowolily go.

Oskar Lakuleit był wyłącznym właścicielem „Intercommerciale” SA (IC) w Paryżu. Firma ta otrzymała od Pełnomocnika Parku Maszynowego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu zlecenie skupowania dla potrzeb armii używanych pojazdów na terenie całej Francji. Lakuleit pracował ku absolutnemu zadowoleniu swych zleceńodawców. Energiczny człowiek. W Berlinie był właścicielem stacji obsługi samochodów. Dziś miał pieniądze. Dużo pieniędzy...

Lakuleit... Lakuleit... Skąd Thomas znał to nazwisko?

Pan Lakuleit zamieszkiwał pałac przy Boulevard Pereire. Służący w liberii otworzył Thomasowi drzwi i zaprowadził go do hallu, który sprawiał wrażenie przeladowanego sklepu z antykami. Na ścianach wisiał obraz przy obrazie, skraj jednego dywanu zachodził na drugi. Thomas zaczerpnął tchu.

Służący zawiódł go do biblioteki, gdzie siedział pan domu i właśnie rozmawiał przez telefon. Gospodarz już na pierwszy rzut oka wywarł na Thomasie niesympatyczne wrażenie. Bardzo wysoki i bardzo gruby. Koło czterdziestki. Okrągły łeb. Niskie czoło. Włosy krótkie, wypłowiałe, gładko uczesane i tłuste od brylantyny. Wodniste oczy o przenikliwym spojrzeniu. Nad babskimi ustami jasnobłond wąsik...

Gdy Thomas wszedł, nie odłożył bynajmniej słuchawki, tylko skinął, by zajął miejsce. Purpurowy na twarzy darł się do słuchawki:

Menu, Paryż, 26 marca 1944

Nadziewane karczochy
Klopsy po królewiecku
Ananasy w cieście

Pewna księżniczka zachowywała się dziwnie jedząc specjały z Prus Wschodnich.

Nadziewane karczochy: bierzemy 8 nasad karczochów konserwowych lub zaprawionych w słojach i układamy na półmisku, skrapiając je obficie cytryną. Układamy na nich 50 g czarnych oliwek bez pestek i plasterki z dwóch tzw. diabelskich papryk oraz jaj na twardo. Osobno przygotowujemy sos z soku cytrynowego, oliwy, drobniutko pokrojonej cebuli i pietruszki. Sosem oblewamy karczochy i ozdabiamy pietruszką.

Klopsy po królewiecku: mielimy funt cielęciny i funt wieprzowiny. Dodajemy 1 namoczoną, dobrze wyciśniętą bułkę, 2 jajka i cienko posiekaną, uprzednio przesmażoną na słabym ogniu, cebulę. Doprawiamy do smaku solą, pieprzem i pastą sardelową i formujemy wilgotnymi rękami okrągłe, średniej wielkości klopsy i ciągniemy na małym ogniu aż się ugotują. Wyjmujemy klopsy, zaciągamy sos śmietaną rozmąconą z dwoma żółtkami i dodajemy 1 łyżkę kaparów. Doprawiamy solą, pieprzem, sokiem cytrynowym do smaku i z powrotem wkładamy do sosu klopsy, pozostawiając na jakiś czas na małym ogniu. Nie gotujemy.

Ananasy w cieście: krążki świeżego lub puszkowego ananasa dzielimy na pół. Z 1/8 l mleka, 125 g mąki, dwóch całych jajek, szczypty soli i odrobiny rumu przygotowujemy płynne, gęste ciasto. Zanurzamy kawałki ananasa w cieście i smażymy na gorącym smalcu. (Ciasto z ananasem winno pływać w tłuszczu). Gdy ciasto nabierze złocistej barwy wyjmujemy je z tłuszczu i pozwalamy obciec. Podajemy posypane cukrem pudrowym.

— Coś panu powiem, Neuner, gównu mnie obchodzi, że ma pan chorą żonę! Co...co..co znaczy niesprawiedliwie!?! Okradał mnie pan! Tak, to właśnie nazywam kradzieżą! Ostrzegam pana, Neuner, niech pan nie podskakuje, bo zaraz straci pan ciepłą posadkę i wyląduje na froncie! Co? Niezdolny? Niech mnie pan nie rozśmiesza! Dość tego. Zwalniam pana! Od zaraz!

Lakuleit cisnął słuchawkę na widelki, podniósł się, chrząknął i uśmiechnął się.

— Dobry, panie Lieven. Miło mi. To jeden z moich księgowych. Musiałem go wylać. Facet zbezczelniał. Na to nie możemy sobie pozwolić, nie?

Klepnął Thomasa w plecy ze sztuczną jowialnością.

— No, stary ziomku z nadszprewskich Aten, najpierw strzelimy sobie po jednym, a potem zaprowadzę pana do kuchni. Księżniczka zaraz się zjawi, a moja żona, jak zwykle, nie może się wygrzebać.

Thomas spostrzegł, że Lakuleit dźwigał na swych kielbasowatych palcach trzy pierścienie z wielkimi brylantami. Działał na niego coraz bardziej odpychająco...

Kuchnia była ogromna, jak w średniej wielkości hotelu. Thomas miał do pomocy kucharkę, kucharza i dwie pomoce kucharskie. Lakuleit przyglądał się, popijając Hennessy ze zwykłej szklanki.

Po jakimś czasie do kuchni weszła Vera, księżniczka von C. Miała na sobie długą wieczorową suknię z głębokim dekoltem. O ile przy pierwszym spotkaniu była wyniosła i nieprzystępna, to tym razem przesadnie miła. To spowodowało, że Thomas z niedobrym przeczuciem wkładał klopsy do wyśmienitego sosu.

Całkiem nieswojo poczuł się zaś wtedy, gdy w jadalni poznał panią Lakuleit.

Pani Lakuleit wyglądała koszmarnie. Wychudła na twarzy, miała żółtawo zabarwione oczy i matowe włosy. A przecież nie przekroczyła jeszcze czterdziestki...

O Boże, pomyślał Thomas, nieszczęsna istota. Czy księżniczka jest kochanką tego tłuściocha? Wszystko na to wskazuje. Po co dałem się namówić na tę wizytę? Obrzydliwość.

Atmosfera zagęszczała się z minuty na minutę. Olga Lakuleit nie odzywała się wcale, nie piła, prawie nie jadła. Nagle po jej białych policzkach pociekły łzy.

— Najlepiej wróć na górę — rzucił Lakuleit krótko i brutalnie.

Olga Lakuleit wstała i wyszła.

— Może jeszcze klopsa, panie Lieven? — spytał tkliwy małżonek, a księżniczka uśmiechnęła się promiennym uśmiechem do Thomasa Lievena, który nagle stracił apetyt, zupełnie stracił apetyt.

Po kolacji przeszli do biblioteki, gdzie — przy kawie i francuskim koniaku — grubas wreszcie puścił farbę:

— Posłuchaj pan, panie Lieven. Pan jest berlińczykiem, i ja jestem berlińczykiem. Pan jest bankierem, a ja prowadzę wielką firmę. Wszystko się sra. Nie miejmy złudzeń, to ostatnie podrygi. Musimy zmienić fronty. W końcu trzeba pomyśleć o przyszłości. Nie mam racji?

— Nie bardzo wiem o czym pan mówi, panie Lakuleit — powiedział Thomas zimno.

Tłuścioch zarżał.

— Dobrze pan wie! Kto miałby to wiedzieć, jeśli nie pan? Pan też już przerzucił swoje pieniądze do Szwajcarii!

Lakuleit przeszedł do konkretów. On i jego przyjaciele mieli we Francji poważne majątki. Jeśli Thomas znajdzie jakąś drogę, by — dzięki swym znajomościom — dokonać ich transferu do Szwajcarii, zostanie sownie wynagrodzony.

— Nieźle się pan na tym obłowi, Lieven! — zakończył.

Tego już było dla Thomasa za wiele. Wstał.

— Obawiam się, że zwrócił się pan do niewłaściwego człowieka, panie Lakuleit. — Nie zajmuję się tego typu działalnością.

Do rozmowy włączyła się teraz księżniczka, wspierając propozycję Lakuleita. To do końca przesądziło sprawę. Że też wstydu nie ma! Kochanka żonatego mężczyzny...do tego jeszcze takiego mężczyzny! Obrzydzenie!

— Panie Lieven, może jednak da się pan przekonać, gdy się pan dowie, o jakich przyjaciół pana Lakuleita chodzi...

— Mówi panu coś nazwisko Göring? — zarechotał grubas. — A Bormann? Himmler? Rosenberg? Mówię panu, tu idzie gra o miliony...Także dla pana!

— Mnie pan nie kupi!

— Ach, niechże pan da sobie spokój z takimi bzdurami! Każdego można kupić, to tylko sprawa ceny!

Wystarczy, pomyślał Thomas, po czym pożegnał się niezwłocznie. Kipiał ze złości. Ta spasiona świnia! Muszę się przyjrzeć tym jego tłustym łapom. Przecież jego interesy śmierdzą na milę...

Gdy Thomas zakładał w garderobie płaszcz, nagle zjawiła się księżniczka.

— Ja też idę. Może mnie pan odprowadzić. Mieszkam tu w pobliżu.

Thomas skłonił się w milczeniu. Zaniemówił z wściekłości. Na ulicy też nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Nie otworzył ust przez całą drogę. W końcu stanęli przed domem księżniczki. Otworzyła drzwi i oparła się o ścianę budynku.

— No, Tommy? — rzekła ta osobliwa przedstawicielka niemieckiej arystokracji.

Mówiła teraz głębokim, chropawym głosem.

Thomas wlepił w nią wzrok.

— Co...co proszę?

— No już, pocałuj mnie...na co jeszcze czekasz?

Pociągnęła go za rękaw ku sobie, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go namiętnie.

— Chcę się z tobą kochać — wyszeptała.

Pocałowała go ponownie i powiedziała — dość głośno — kilka zdań, nie nadających się do druku.

Ach, Hohenzollernowie! Windsorowie, Auerspergowie i Collonna'owie! Drogi hrabio Paryża! Aby oszczędzić wasze czcigodne rody, powstrzymamy się od zacytowania słów tej szykownej, szlacheckiej blondyneczki. Czynimy to ze względu na was i na międzynarodową cenzurę książkową.

W tej samej chwili, kiedy wysłuchiwał z ust Very, księżniczki von C. tego niesamowitego potoku słów, Thomas Lieven nagle doznał olśnienia, które nieomal nie zważyło go z nóg.

Lakuleit!!!

Wreszcie sobie przypomniał, skąd znał to nazwisko. Widniało w dzienniku zastrzelonego untersturmführera Petersena! W książce tej paser umieścił wiele nazwisk ludzi zamieszanych w jego nieczyste interesy.

Lakuleit... Wyraźnie, bardzo wyraźnie miał Thomas przed oczami obraz tego nazwiska. I za nim trzy wykrzykniki. A pod spodem inicjały drugiego nazwiska „V.v.C.” I znak zapytania...

13

W gruncie rzeczy Thomas nie miał nic przeciwko temu, by być uwodzony, grając „małą, naiwną dziewczynkę”. Ale dziś? Choć tak ponętne było to jasnowłose dziecko z prastarej szlachty, to z drugiej strony księżniczka wywierała na Thomasie niesamowite, dziwnie niekorzystne wrażenie. Poza tym dama obracała się w podłym towarzystwie.

Dlatego też grzecznie, acz stanowczo zdjął ręce Very ze swych ramion i rzekł w ukłonie:

— To był uroczy wieczór. Pozwoli pani, że się pożegnam, droga księżniczko?

Kasztanowe oczy apetycznej piękności zamieniły się w szparki.

Szanowni czytelnicy! Wyobraźcie sobie rozpaloną z podniecenia do białości, kusząco piękną blondynkę! Już? To dobrze. W takim razie widzicie oczami duszy swojej to, co Thomas ujrzał in natura.

— Oszalałeś, Tommy, co? — spytała przez zęby dzika dziewczyna. Nie możesz mnie przecież zostawić samej w takim stanie...

Thomas skłonił się po raz drugi.

— Zda mi się, czcigodna księżniczko, iż jest pani serdecznie zaprzyjaźniona z panem Lakuleitem. Nie chciałbym zakłócać tego związku. Tego harmonijnego, moralnego związku.

Otworzył drzwi wejściowe. Próbowwała go zatrzymać, ale uwolnił się. Zaczęła tupać swymi małymi stopkami, w końcu krzyknęła przeraźliwie:

— Zostaniesz tu, gnojku!

Walila pięściami w jego pierś, ale on odwrócił się i nie troszcząc się więcej o rozwścieczoną dziewczynę, ruszył spokojnie w dół pogrążonego w mroku bulwaru.

Uff! Świeże powietrze! Tego potrzebował! Co za wieczór! Mocna rzecz ta niemiecka magnateria! Mieszczkańskie damy byłyby tu po prostu bez szans.

Nieco zepsuta ta mała, myślał Thomas, ale milutka. Dziwne, mógłbym przysiąc, że jest przyzwoita. I dobrze wychowana. Mądra i czarująca...Jeśli chce. Co taka kobieta, jak ona, widzi w facecie pokroju Lakuleita. Dlaczego jej nazwisko widnieje pod jego w czarnym dzienniku martwego untersturmführera Petersena?

Thomas przystanął i, gapiąc się na drzewo, powiedział na głos:

— Chyba nie zakochałeś się już w tej Verze, idioto?

Drzewo milczało, ale w końcu nie jego pytanie dotyczyło. Thomas ruszył dalej. Nonsens, pomyślał. Co znaczy zakochany? W takim blond rekinie? Śmieszne! Ale panu Lakuleitowi popatrzymy na łapy. Tak jest!

Tego wieczoru, 26 marca 1944 roku, służąca Nanette miała wychodne. Thomas Lieven otworzył drzwi wejściowe, zapalił światło w maleńkim przedsionku, zdjął płaszcz i wszedł do niewielkiej biblioteki.

Przed kominkiem, w fotelu z oparciami, siedział jakiś mężczyzna. Wypielęgnowany wąsik. Rzymski nos. Oczy z wyrazem permanentnej ironii. Błękitny garnitur, już nieco znoszony i fajka à la Sherlock Holmes w ręce. Mężczyzna wypuścił kłąb dymu z taniego tytoniu, po czym odezwał się w te, ogromnej wagi, słowa:

— Tego się pan nie spodziewał, panie Lieven, co?

— Dobry wieczór, pułkowniku Simeon — powiedział Thomas Lieven, patrząc z westchnieniem na tego agenta francuskiego wywiadu, patentowego bohatera, który kosztował go już tyle nerwów. — Dawno się nie widzieliśmy.

Pułkownik Simeon, który wciąż jeszcze wyglądał jak przyduże wydanie Adolphe'a Menjou, wstał.

— Swe wejście tu zawdzięczam wytrychowi — zaczął patetycznie. — Pańska gra skończona, mój panie.

— Chwileczkę, mój drogi. Pański tytoń — niech pan nie patrzy na mnie takim złym wzrokiem — cuchnie bestialsko. Widzi pan, tam pod oknem, ten niebieski gliniany pojemnik? Znajdzie pan w nim autentyczny angielski. Zdobycz niemieckiego Wehrmachtu. Niech pan nie ma żadnych narodowych skrupułów!

Agent wiecznie niedofinansowanych, francuskich tajnych służb zwlekał przez chwilę, po czym wytrząsnął fajkę i podszedł do niebieskiego pudełka. Podnosząc pokrywkę, powiedział ponuro:

— Osobiście nie mam nic przeciwko panu, panie Lieven. Przecież to ja zwerbowałem pana do „Deuxieme Bureau”, ale pańska gra skończona.

— Już pan to mówił. Niech pan chwileczkę poczeka, za moment będę do pańskiej dyspozycji...

Simeon odłożył fajkę. W jego rękę, ni stąd ni zowąd, pojawił się pistolet.

— Niech się pan odsunie od szafy! Ręce do góry!

— Ależ, panie pułkowniku — rzekł Thomas, potrząsając głową. — Wciąż jeszcze tak łatwo pana przestraszyć?

— Mnie pan nie zwiedzie! Chciał pan otworzyć szafę!

— Tak.

— Żeby wyjąć broń i mi nią zagrozić.

— Nie. Nie mam broni w szafie.

— A co?

— Barek. Chciałem panu zaproponować drinka.

Pułkownik wykonał trzy potężne susy, otworzył gwałtownie rzeźbioną szafę i pokraśniał nieco.

— W moim zawodzie nigdy za wiele ostrożności — mruknął.

Thomas jął przyrządzać napoje.

— Szczególnie jeśli chodzi o zdrajcę pańskiego pokroju.

— Z wodą sodową, czy czystą?

— Z wodą. O potrójnego, poczwórnego zdrajcę, jak pan.

— Trochę błada, co? Może jeszcze odrobinę whisky? O, tak!

Simeon odwrócił się rozeźlony. Thomas traktował go z przymrużeniem oka. W gruncie rzeczy lubił tego pomyleńca i heroicznego maniaka.

— Przykro mi, pułkowniku — powiedział.

— Co?

— Przykro mi, że zepsułem pański bohaterski czyn. Niech pan powie, co się właściwie dzieje ze słodką Mimi?

— Skądże mam wiedzieć?

— Ejże, panie pułkowniku! Przecież to pan mi ją odbił! Chcieliście się pobrać, napłodzić dzieci, gromadkę małych francuskich patriotów... I pan twierdzi, że nic o niej nie wie?

— Mimi odeszła ode mnie — rzekł głucho pułkownik. — Już przed rokiem. Wyobraża pan sobie?

— Mimo wszystko wypijmy za zdrowie Mimi. Czy będzie dla pana pociechą fakt, że mnie też zostawiła?

— Nie.

— To bardzo miło z pańskiej strony. A teraz niech mi pan wyjaśni, dlaczego moja gra skończona.

— Nie pozwolił mi pan dotąd dojść do słowa. Nie chciałem powiedzieć, że pańska gra skończona, chciałem powiedzieć, że pańska gra skończona, jeśli nie zostawi pan w spokoju księżniczki.

— Jakiej znów księżniczki?

— Dobrze pan wie, o kim mówię! Spędził pan z nią dzisiejszy wieczór.

— Niech mi pan wierzy, że ja zostawiłem ją w spokoju!

— Niech pan nie będzie frywolny! To sprawa życia i śmierci! Ostrzegam pana, Lieven. Mamy całą teczkę na pana.

— Mój Boże, jaki wywiad jej nie ma?

— Ostrzegam pana po raz ostatni, Lieven. Niech pan nie ucieka w ten bezduszny cynizm. Wie pan, jak potężna jest teraz we Francji resistance. Możemy w każdej chwili załatwić każdego z was... gdybyśmy chcieli. Pana też! Tylko że w pańskim przypadku wciąż jeszcze trochę mięknię...

— Panie pułkowniku...

→ Tak, to prawda... Wspomnienia... Nasza wspólna ucieczka z Paryża... Mimi... Tuluza... Pułkownik Debras... Josephine Baker... Tylko że nie będę już mógł pana dłużej osłaniać, jeśli nadal będzie się pan zajmował księżniczką... i tym Lakuleitem...

Thomas Lieven oniemiał z wrażenia.

— Chce mi pan wmówić, że francuski wywiad troszczy się o pomyślność tego tłustego hitlerowskiego spekulanta?

— Tak.

— Dlaczego?

— Tego, niestety, nie mogę panu powiedzieć.

Pułkownik był teraz niezwykle męski i zdecydowany.

— Przekazałem panu nasze ostatnie ostrzeżenie, Lieven. Kolejnego nie będzie. Od tej chwili strzelamy ostrą amunicją!

— Zaraz, zaraz, czy możemy jeszcze wypić wspólnie ostatnią whisky?

Rozdział trzeci

1

— Ten pan Lakuleit to, moim zdaniem, jedna z największych świni, jakie obecnie pałętają się po Francji — powiedział Lieven w jednym z pokoi hotelu „Lutetia” w Paryżu.

Jego słuchaczami byli pułkownik Werthe i mały, ambitny major Brenner. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Dlaczego zamieniacie porozumiewawcze spojrzenia, panowie?

— Ach, Lieven — westchnął Werthe — Brenner i ja spojrzeliśmy na siebie, gdyż sądzimy, iż znany nam jest motyw pańskiego oburzenia. Powiem krótko — Vera!

— Księżniczka Vera — uściślił Brenner i zachichotał. — Niech pan nie mierzy mnie takim gniewnym wzrokiem, panie Lieven! Od czasu, jak gestapo ma na pana chrapkę, po prostu troszkę na pana uważamy...

— Księżniczka jest mi obojętna! — zachnął się Thomas. — Absolutnie obojętna!

Brenner chichotał nadal.

— Co pana tak śmieszy?! Mówię panu, że machlojki Lakuleita wołają o pomstę do nieba! A księżniczka nie lepsza! Nawet francuski wywiad depcze im po piętach!

— Czy zażądalibyśmy od pana za wiele, gdybyśmy spytali, kto z francuskiego wywiadu? — zaciekawił się Werthe.

Thomas skinął głową.

— Twierdzi pan, że Lakuleit chce przerwucić do Szwajcarii majątek Bormanna, Himmlera i Rosenberga. Czy pan nie przesadza? A może chce się pan porwać na samego Adolfa Hitlera?

— Panie Lieven, niech się pan zastanowi... — zaczął major Brenner, ale Thomas przerwał mu wściekły.

— Kto jak kto, ale pan powinien za wszelką cenę unikać sprzeciwiania mi się, Brenner. Przy okazji sprawy z ruchem oporu przeciw-

stawił mi się pan... i — mimo to — awansował pan na majora, w sprawie z Bonami Kredytowymi Rzeszy zareagował pan już rozsądniej, a teraz — tuż przed szlifami podpułkownika — chce pan wszystko zniweczyć i pokrzyżować moje plany, głupcze?

Zadziałało.

— Ale gdzie tam, panie Lieven — zapewnił czerwony jak burak Brenner. — Wydaje mi się... wydaje mi się... Popieram pański plan. Hm!

— Tego tylko brakowało — jęknął pułkownik Werthe — że będzie mi pan korumpował ludzi, Lieven!

Abwehra w Paryżu wzięła pod lupę pana Oskara Lakuleita, byłego właściciela stacji obsługi samochodów w Berlinie Nord, obecnie milionera, wyłącznego właściciela firmy „Intercommerciale SA” i współpracownika Wehrmachtu do spraw zakupu pojazdów. Zaangażowano wszelkie będące w dyspozycji wywiadu środki. I co się okazało?

Oskar Lakuleit źle traktował swoją żonę. Na oczach wszystkich zdradzał ją z księżniczką Verą von C. W interesach stosował metody brutalne, w życiu towarzyskim był chamski, poza tym uważano go za aroganta i typowego dorobkiewicza.

— Co z tego? — spytał Werthe. — Za to się nie zamyka. Gdyby tak było, trzeba by aresztować trzy czwarte wszystkich mężczyzn na świecie.

— Mimo to coś tu śmierdzi — rzekł Thomas Lieven zajadle. — Jeszcze jak! Tylko co?

Na zlecenie „pełnomocnika do spraw parku maszynowego” Oskar Lakuleit od lat skupował w całej Francji samochody. Jego firma opodatkowywała rocznie sumy idące w miliony. Wehrmacht przyznał mu — jako zysk, zwrot kosztów i pokrycie wydatków na prowizje — dziesięć procent sum wydatkowanych na zakup francuskich aut.

Interes rozwijał się ku obopólnemu zadowoleniu. Przepytywany przez Thomasa „pełnomocnik do spraw parku maszynowego” oburzył się:

— Niech pan z łaski swojej zostawi pana Lakuleita w spokoju, sonderführer! To nasz najlepszy człowiek!

— Mimo to... — burknął Thomas, siedząc wieczorem 7 kwietnia 1944 roku w bibliotece swej małej willi przy butelce koniaku z majorem Brennerem — mimo to ten Lakuleit jest przestępcą... Jeszcze nigdy nie pomyliłem się w ocenie człowieka...

Zadzwoił telefon.

— Hej, Tommy — zabrzmiał znany głos — jak tam się miewa mój niedobry chłopak?

Przecież to bez sensu, pomyślał Thomas, dlaczego się nagle czerwienię?

— Znakomicie, czcigodna księżniczko — odparł zachrypłym głosem — a pani?

— Tęsknię... Za panem! Czy zechciałby pan jutro wieczorem złożyć mi wizytę?

— Nie.

— Moja służąca ma wolne. A więc, powiedzmy, po kolacji?

— Obawiam się, że to naprawdę niemożliwe.

— Mam parę cudownych nowych płyt. Przemyt z Portugalii. Gershwin i Glenn Miller. Benny Goodman i Stan Kenton. Przesłuchamy je wspólnie... A zatem, o dziewiątej!

Dotarł do niego jej śmiech, potem odgłos odkładanej słuchawki. Nawet nie poczekała na jego odpowiedź.

— Bezcelność — rzekł Thomas Lieven.

2

Był przed jej domem już za dziesięć dziewiąta. W rękę trzymał celofanowe pudełko z trzema orchideami, które kosztowały go wiele zachodu. W roku 1944 nawet w Paryżu zaczynało brakować orchidei.

Księżniczka miała na sobie drogocenną biżuterię i krótką, czarną suknię wieczorową, oszłamiającą głęboko wyciętą z przodu, z tyłu i po bokach.

Puściła Thomasowi nowe płyty. Potem trochę potańczyli. I pili różowego szampana. Księżniczka wydawała mu się porywająco piękna. Powiedział jej to. Ona mu powiedziała, że jest dla niej najczarowniejszym mężczyzną na świecie. I tak oto, około godziny dwudziestej trzeciej, bez ceregieli wylądowali na kanapie.

Tak nie był Thomas jeszcze nigdy całowany.

— Żaden mężczyzna nie podobał mi się tak, jak ty... — zamruczała księżniczka.

— Ty też mi się podobasz, Vero... bardzo.

— Gdybyś mógł coś dla mnie zrobić... zrobiłbyś?

— To zależy...

- Czy mógłbyś mi odpiąć zamek błyskawiczny?
- Chętnie...
- Czy zrobiłbyś dla mnie coś jeszcze?
- Bardzo, bardzo chętnie!
- Zostaw Lakuleita w spokoju.

Thomas usiadł na kanapie. Nagle poczuł się trzeźwy jak niemowlę.

— Co takiego?

— Masz zostawić Lakuleita w spokoju.

Nadal leżała na kanapie, patrząc na niego w napięciu.

— Przecież od dawna depcesz mu po piętach, mój mały Tommy.

Może nie?

Milczał.

— Może ci się nie podoba, gdy nazywam cię Tommy? — zainteresowała się księżniczka. — Może mam do ciebie mówić Jean? Jean Leblanc? Albo Pierre? Pierre Hunebelle?

Wstał. Nagle poczuł się dość dziwnie.

— Co? Więc Hunebelle też ci się nie podoba? Dobrze, więc może Armand Deeken? Przypominasz sobie jeszcze ten zgrabny numer z frankami, Armand? A ten z francuskimi partyzantami, captain Robert Almond Everett?

Thomas zachłysnął się powietrzem.

— A pamiętasz, jak grałeś przed niemieckim generałem amerykańskiego dyplomatę Roberta S. Murphy'ego? Mam dalej mówić, mój mały, słodki agencie niemieckiej Abwehry? Chyba że zmieniłeś już tymczasem drużynę?

— Nie — odparł Thomas.

Opanował się.

— Ciągłe jeszcze jestem agentem niemieckiego wywiadu. A ty?

— Zgadnij!

— Gdy pomyślę o twym tłustym kochanku, powiedziałbym — gestapo — powiedział szorstko.

Księżniczka krzyknęła. Zerwała się na równe nogi. Zanim Thomas zdążył się cofnąć, oberwał w twarz. Z prawej i z lewej.

— Ty wierutny łotrze, przebrzydły — wpadła a tempo w swój dość specyficzny sposób wyrażania się — co sobie wyobrażasz? To ja robię wszystko, żeby uratować ci życie, a ty?

Thomas podszedł do drzwi.

— Tommy, nie odchodź! Jeżeli o mnie chodzi, zrób z Lakuleitem co chcesz. Tylko zostań!

Thomas kroczył przez przedpokój.

— Zemszczę się... ty niecna bestio... Proszę... zostań, proszę...

Thomas zatrzasnął za sobą drzwi. Zbiegł po schodach. Na górze drzwi otworzyły się z impetem. Obrzuciła go stekiem wyzwisk, megiera.

Byle dalej! Byle wyrwać się stąd! Wybiegł na ulicę. Tu zderzył się z jakimś mężczyzną, który krzyknął stłumionym głosem:

— Ała! By to szlag!

— Zmywaj się pan stąd. Jestem taki wściekły, że nie wiem, co czynię!

— Nie szkodzi — powiedział chłodno pułkownik Jules Simeon. — Stoję tu od dwóch godzin. Widziałem, jak pan przyszedł, widzę, jak pan wychodzi.

— Coś takiego! Ależ z pana zdolny agent!

— Zlekceważył pan moje ostrzeżenie. Już wkrótce będzie pan wachał kwiatki od spodu!

3

— ... a przed domem stał facet z francuskiego wywiadu — relacjonował Thomas następnego dnia w hotelu „Lutetia” pułkownikowi Werthemu i majorowi Brennerowi. Ciągłe jeszcze był wściekły.

— Jaką rolę odgrywa tu właściwie pańska księżniczka?

— Nie wiem, ale wkrótce się dowiem... Panie pułkowniku, przysięgam panu, że go załatwię, ja...

— Niech pan już da spokój z tym Lakuleitem, Lieven — przerwał mu Werthe. — Porządnie mi się dziś oberwało. Ze sztabu Speera. Musimy go odpuścić. Natychmiast. Ten człowiek jest duszą atlantycznej linii zaporowej. Dostarcza wszelkich deficytowych towarów. Organizacja Todt i Naczelne Dowództwo Wehrmachtu byłyby bez niego bezradne! Na przykład przewody telefoniczne... Organizacja Todt nie dostawała kabli. Lakuleit załatwił dostawę! 120 000 metrów!

Thomas westchnął.

— No dobrze, panu zmyto głowę, panie pułkowniku. Rozumiem pańskie rozgoryczenie, ale dlaczego pan, drogi Brenner, ma taką kwaśną minę?

Major machnął ręką.

— Same kłopoty. List z domu. Żona chora. Chłopak z pewnością będzie siedział. Łacina i fizyka. No i te przekłete podatki...

— Jakies problemy z podatkami, panie Brenner? — spytał Thomas niespecjalnie zainteresowany.

— Tak. Tylko dlatego, że kiedyś przed laty napisałem dla pewnego wydawnictwa parę artykułów o polityce obronnej! I — idiota — zapomniałem zgłosić ten fakt do urzędu podatkowego! A w wydawnictwie właśnie przeprowadzono kontrolę i jakiś zafajdany księgowy na to wpadł. Jeszcze się pan dziwi?

Thomas Lieven zrobił nagle minę kompletnego kretyna.

— Księgowy... — wybełkotał.

— No przecież mówię!

Thomas zerwał się na równe nogi, wydał z siebie ochryply krzyk, objął Brennera i pocałował go w czoło. Potem wybiegł z biura.

Twarz majora nabiegła krwią. Jeszcze nigdy nie pocałował go żaden mężczyzna. Przetarł czoło.

— Zbzikował — powiedział skonsternowany. — Sonderführer Lieven postradał zmysły!

— Nigdy, panie Lieven — klął się chudy, żółty na twarzy księgowy Anton Neuner — nigdy tego nie zapomnę!

— Niechże pan je, panie Neuner, zupa panu ostygnie — powiedział Thomas.

Zaprosił skromnego Neunera do swojej willi na kolację. Panowie znali się od tygodnia. Jeszcze niedawno Neuner był księgowym należącej do Oskara Lakuleita firmy „Intercommerciale”. Wieczorem, kiedy to Thomas gościł u Lakuleita, tenże telefonicznie wyrzucił go z pracy. Wówczas Thomas po raz pierwszy usłyszał nazwisko Neuner. Przypomniawszy sobie dopiero, gdy major Brenner wylewał swe podatkowe gorzkie żale.

Chudy księgowy posłusznie przełknął łyżkę zupy, po czym opuścił ją znowu i wpatrzył się w Thomasa jak w święty obraz.

— Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć! Pan Lakuleit mnie wyrzuca. Obala werdykt lekarski o niezdolności do służby wojskowej. Moja żona wypłakuje sobie oczy. Już się czuję tak, jakbym był na froncie wschodnim. A potem nagle zjawia się pan, całkiem obcy człowiek i oferuje mi pan ponownie stanowisko przewidziane dla niezdolnych do służby wojskowej. Dlaczego?

— Panie Neuner, jestem bankierem. Znam „Intercommerciale”. Wiem, że jest pan zdolnym człowiekiem. Takie wieści szybko się rozchodzą! I dlatego tym bardziej jest dla mnie niezrozumiałe, że pan Lakuleit pana wylał...

Neuner pochylił się nad talerzem. Jego twarz drgała.

— Z powodu 18 marek i 25 fenigów. Tak, tak, dobrze pan słyszał! I to po trzech latach harówki dla niego.

Neuner zrelacjonował, jak to pewnego razu — gdy sytuacja wymagała dłuższej obecności w biurze — zjadł kolację w lokalu i bez wiedzy Lakuleita zwrócił sobie poniesione koszty. Tłuszcioch wykrył ten drobny fakt i natychmiast wyrzucił go z pracy.

— A przecież miałbym dużo do powiedzenia o jego interesach, oj dużo! Mówię panu, panie Lieven...

— Ciekawe.

— ... ale nie zrobię tego. Choć pan Lakuleit zachował się wobec mnie nieelegancko. Nie jestem donosicielem...

Śliczna Nanette wniosła główne danie.

— Zupa była wspaniała — ocenił Neuner. — Mam nadzieję, że nie przewidział pan nic smażonego. Jestem chory. Wrzody na żołądku, wie pan...

— Będą gołąbki, duszone w wodzie z masłem. Wziąłem pod uwagę stan pańskiego zdrowia.

— Ach, drogi Lieven, jaki z pana wspaniały człowiek!

— Nie ma o czym mówić. Nawiasem mówiąc, na pewno przeżyje pan tego grubasa. Pan Lakuleit waży dużo za dużo. Jeszcze się przeżre... Zadławi się swoimi interesami...

— Już się zadławił — wyrzucił z siebie Neuner. — Jeszcze sobie złamię kark na tych autach.

Zamilkł na chwilę przestraszony.

— Niech pan tego skosztuje... to przetarty przez sito kalafior. A jak gołąbki?

— Znakomite, nawet na Riwierze nie jadłem nic smakowitszego.

W mózgu Thomasa Lievena zadźwięczał alarmowy dzwonek. Neuner, skromny buchalter, na Riwierze?

— Ten przepis dostałem od kucharza „Hotel Negresco” — rzekł Lieven. — Tam zwykle mieszkałem, wspaniała firma...

— Cha, cha, cha, za wysokie progi... Za drogie dla pana Lakuleita... Oczywiście za drogie, bym ja tam mieszkał. On sam rezydował tam zawsze. Ja musiałem zadowolić się tanim pensjonatem. Potrzebował mnie, bo nie znał francuskiego.

— Nieludzki, aspołeczny ten pan Lakuleit.

— Bardzo często jeździliśmy na Riwierę... — mówił z błyskiem w oku prostoduszny Neuner — aż po samą francusko-hiszpańską granicę. Nasze interesy...

Zamilkł nagle i spojrzał na Thomasa Lievena nieufnie.

Thomas uśmiechnął się pogodnie.

— Proszę nabrać sobie trochę kompotu, panie Neuner! I niech mi pan opowie coś o Nicei. Tak dawno już tam nie byłem...

Menu, Paryż, 14 kwietnia 1944

Bulion cielęcy z grzanką
Prużone gołąbki
Kalafior à la crème
Mus jabłkowy z wiśniami

Dietetyczne dania Thomasa Lievena łamią komuś kark...

Bulion cielęcy: z chudego kawałka cielęciny z odrobiną soli gotujemy wywar — nie dodając włośzczyzny. Tak otrzymany bulion podajemy w filiżankach z dodatkiem drobno posiekanej pietruszki. Do bulionu podajemy grzanki bez skórki.

Prużone gołąbki: dobrze oczyszczone, dorodne młode gołąbki gotujemy pod przykryciem na małym ogniu około 30 minut w lekko posolonej wodzie z dodatkiem sporego kawałka masła. Należy uważać, aby w przykrytym garnku było zawsze tyle wody, aby gołąbki nie zaczęły się opiekać.

Kalafior à la crème: oczyszczamy duży, dorodny kalafior z twardych części i liści, po czym łamiemy go na wiele części i gotujemy do miękkości w osolonej wodzie. Ugotowany kalafior, po osuszeniu na cedzaku, przefasowujemy przez sito. Do otrzymanego w ten sposób purée dodajemy żółtko, trochę słodkiej śmietany, masła i podgrzewamy na bardzo małym ogniu, uważając, aby masa się nie zagotowała.

Mus jabłkowy z wiśniami: słodkie, pokrojone na kawałki i oczyszczone jabłka gotujemy z cukrem do miękkości, po czym przygotowujemy mus jabłkowy. Dekorujemy go wiśniami z zapraw i biszkopikami.

4

Z tajnego raportu, jaki 12 maja 1944 roku Abwehra Paryż wysłała do Najwyższej Izby Obrachunkowej Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu w Berlinie:

„...zręcznie sterowane wypowiedzi wyrzuconego z pracy księgowego Antona Neunera dotyczące Nicei zwróciły naszą uwagę na to miasto. Major Brenner i sonderführer Lieven zostali wysłani na Riwierę. Po trzytygodniowym pobycie ustalili, co następuje: Oskar Lakuleit zakupił lub zlecił kradzież, z opuszczonych przez właścicieli punktów

sprzedaży, co najmniej 350 cennych pojazdów zagranicznej produkcji (rolls-royce, lincoln, cadillac, hispano suiza etc.). Interesy załatwiał w „Hotel Negresco”, korzystając z usług buchaltera Neunera jako tłumacza. Lakuleit rozbił samochody na części. Przekupstwem wyjednał sobie w Vichy zezwolenie na wywóz „części zamiennych” i eksportował je do Madrytu, gdzie „części zamienne” były ponownie montowane, zamieniając się z powrotem w luksusowe, sprzedawane po najwyższych cenach samochody.

Nie ulega wątpliwości, że nicejskie transakcje nie są wykazane w księgach rachunkowych „Intercommerciale”. Wszystko wskazuje na to, że dzięki tej i innym operacjom tego typu Oskar Lakuleit naraził Rzeszę Niemiecką na milionowe straty. Uskutecznił w Nicei transakcje mogą stanowić podstawę wszczęcia przez policję podatkową śledztwa, obejmującego całokształt działalności firmy.”

5

Wieczorem 29 maja 1944 roku Thomas Lieven wręczył księżniczce von C. bukiet czerwonych róż. W przeddzień dziwna arystokratka znów zadzwoniła do niego z zaproszeniem. W ocenie Thomasa wyglądała ponętnie, jak jeszcze nigdy.

— Obiecuję panu — rzekła Vera — że dziś wieczorem będę bardzo grzeczna. Nie powiem ani słowa o Lakuleicie!

Tego wieczora Vera dość długo dotrzymywała słowa. Nie miała wpływu na to, że w końcu złamała przyrzeczenie.

Tańczyli. Flirtowali. Muzykowali. Robiło się coraz później. Zaczęli się całować. W pewnej chwili zatracili się zupełnie. Wszystko stało się nagle bardzo naturalne i bardzo proste. Thomas miał wrażenie, że zna Verę od dawna, bardzo dawna...

Zadzwonił telefon.

— Nie odbiorę — oznajmiła Vera leniwie.

Popatrzyła na Thomasa rozkochanym wzrokiem i gładka go. Telefon ciągle dzwonił. W końcu Vera podniosła słuchawkę. Przez chwilę słuchała, po czym zbladła jak ściana. W jej oczach nagle pojawił się wyraz nienawiści.

— Ty psie — zasyczała do Thomasa — ty wściekły psie!

— Nie, chérie! Nie zaczynaj od nowa — poprosił.

Vera niespodziewanie krzyknęła w słuchawkę:

— Już nie mogę... Nie mogę już tego słuchać!

Cisnęła słuchawkę na kanapę i zatrzęsała się cała z wściekłości. Zaczęła obrzucać Thomasa stekiem niewybrednych wyzwisk.

Thomas słuchał przez chwilę, potem podniósł do ucha słuchawkę, z której ciągle jeszcze dobiegał podniecony, skrzeczący głos:

— ... Vera... Vera... niech pani posłucha, na Boga! Mówię pani, że to sprawka Lievena! Nic na to nie możemy poradzić... Lakuleit jest już w drodze do Berlina. Pod nadzorem. W firmie... w willi... wszędzie siedzą urzędnicy kontroli podatkowej. Wszystko plombują...

— Życzę dobrej nocy, pułkownikowi Simeon — powiedział Thomas Lieven z uśmiechem.

Odłożył słuchawkę na widelki i opadł na kanapę. Uśmiechał się. Wtem otrzymał cios. I jeszcze jeden. Vera nie przebierała w środkach. Lieven nie pozostawał jej dłużny.

— Łajdaku — krzyczała — podła kanalio!

W końcu złapał ją za ręce i zażądał dokładnych wyjaśnień.

— Zmywam się stąd — wyjaśniła mu dokładnie — jeszcze dziś w nocy... Nie zobaczysz mnie już nigdy!

— Jeśli ci pozwolę odejść!

— Pozwolisz... Wiem, co myślisz. Znam twą przeszłość. Dlatego jestem taka wściekła... dlatego nic już nie rozumiem!

— Czego nie rozumiesz?

— Że załatwiłeś Lakuleita!

— Jest wstrętnym złoczyńcą, a do tego jeszcze potajemnie finansuje gestapo.

— Co z tego? Co cię to obchodzi? Całe złoto, wszystkie dewizy nazistowskich bonzów wpadłyby w nasze ręce...

— W czyje nasze?

— Brytyjskiego wywiadu!

Opadł na poduszki, z trudem łapał oddech.

— Pracujesz dla brytyjskiego wywiadu?

— No przecież ci mówię!

— Ale ... Skąd w takim razie Simeon w twoim pobliżu?

— Myśli, że pracuję dla niego... Takie było moje zadanie. Odwrócić uwagę Francuzów i samemu capnąć łup. I capnęlibyśmy go, gdybyś się nie wtrącał, idioto!

Parsknął śmiechem.

— Nie śmieję się, łobuzie!

Thomas śmiał się do rozpuku. Przewrócił się na brzuch, z powrotem na wznak i znowu na brzuch.

— Przestań rechotać, do ciężkiej cholery, bo cię zatłukę, lajdaku!

Thomas pokładał się ze śmiechu, stękał i jęczał, jeszcze w życiu tak się nie śmiał. Prawie się dusił. Vera zniecka rzuciła się na niego. Znow zaczęli się okładać.

Nagle po raz wtóry zadzwonił telefon. Thomas odepchnął Verę, wsparł się na łokciu i gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę. Zadyszany, ciągle jeszcze nie mogąc powstrzymać się od śmiechu, zaskrzeczał w słuchawkę:

— Tak, monsieur le colonel, co jeszcze?

— Jak to „jeszcze”? — spytał głos pułkownika Werthege.

Thomasa nagle przejął chłód.

— Co... — wyjąkał — co się stało, panie pułkowniku?

— Miałem nadzieję, że złapiemy pana u księżniczki. Szukamy już pana wszędzie.

— Szukacie... mnie... już... wszędzie... — powtórzył Thomas bez sensu, podczas gdy Vera patrzyła na niego z otwartymi ustami.

— Mam tu u siebie kuriera. GEKADOS. Jutro rano poleci pan w sprawie Lakuleita do Berlina, Lieven. I zamelduje się pan — niech się pan czegoś złapie — w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy.

— W Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy?

— Tak. O piętnastej. Punkt. U Henricha Himmlera.

6

Musiał w tym maczać palce jakiś absolutnie pozbawiony smaku architekt, pomyślał Thomas Lieven, gdy ujrzał ogromny kompleks budynków przy Wilhelmstrasse 102.

Przez potężną, otwartą na oścież podwójną bramę nasz przyjaciel wkroczył w mroczny wjazd. Wysoki jak sosna SS-man kamiennym wzrokiem spojrzął w dół na cywila. Bez słowa wskazał ręką na przeszklone pomieszczenie, gdzie urzędowało trzech jego kolegów.

Thomas wszedł, uchylił kapelusza i powiedział,

— Sonderführer Lieven z Abwehry Paryż. Miałem się zameldować w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy.

— Do nas wchodzi się z „Heil Hitler!” na ustach — pouczył go ostrym tonem dyżurny hauptscharführer SS. — Kto pana wzywał?

— Pan reichsführer SS i szef Niemieckiej Policji — odparł skromnie Thomas.

Oficer dyżurny zbladł, sięgnął po telefon, powiedział coś, słuchał. Potem nagle stał się uosobieniem szacunku i rewerencji. W okamgnieniu wypisano Thomasowi przepustkę opatrzoną pieczętą, datą i godziną: Berlin, 30 maja 1944, godzina 17 minut 48.

Na piętro prowadziły szerokie kamienne schody, które wyżej zamieniały się w drewniane. Wąskie korytarze tonęły w mroku. Rozlegał się stukot butów z cholewami, odgłos kroków. Wydawało się, jakby tysiące ludzi poruszało się po tym centrum strachu.

Podążając za ordynasem, Thomas myślał: Jeszcze wczoraj byłem w Paryżu. Teraz jestem w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Ja, pokojowo nastawiony obywatel, człowiek, który nienawidzi tajnych służb, hitlerowców, przemocy i kłamstwa. Ja, Thomas Lieven, któremu od tak dawna nie pozwalano żyć w spokoju.

Czy opuszczę jeszcze kiedyś żywy ten szkaradny budynek? Czy wyrwę się jeszcze kiedyś z tej przerażającej pajęczyny losu, aby zdać relację z tego w co i tak nikt nie uwierzy?

— Niech pan siada, sonderführer — powiedział Heinrich Himmler.

Chwilę tę poprzedziło krótkie powitanie, w czasie którego SS-Obergruppenführer Kaltenbrunner, olbrzym z bliznami na brutalnej, kanciastej twarzy, zmierzył go nieufnym wzrokiem. Kaltenbrunner był szefem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. W jego biurze siedział właśnie Thomas Lieven. Sam na sam z Himmlerem.

Wszystko w tym biurze było pompacyjne: boazeria, srebrne kandelabry, meble. Na ścianie wisiał olejny obraz przedstawiający ruinę zamku nad rozszalałą morską kipiela.

Reichsführer SS i szef Niemieckiej Policji, w czarnym mundurze swej formacji, powiedział:

— Niech pan dobrze uważa, Lieven. Wie pan, że pański protektor, admirał Canarias, jest od pewnego czasu osobą prywatną. Wie pan też, że w tej sytuacji cały wywiad wojskowy podlega mnie.

Himmler uśmiechnął się znacząco.

— Przejrzałem pańskie akta. Czy wie pan, co musiałbym właściwie z panem zrobić?

— Właściwie musiałby pan kazać mnie rozstrzelać — powiedział Thomas Lieven cicho.

— Ja? Jak to? Co? Tak jest, słusznie! To właśnie miałem na myśli.

Himmler nieprzerwanie obracał na palcu ciężki sygnet z esesowskimi runami. Patrzył na Thomasa lodowatym wzrokiem.

— Chcę dać panu szansę. Ostatnią szansę. Dzięki misji, jaką chcę panu zlecić, może pan zmyć swoje winy wobec führera i narodu.

Zadzwonił telefon. Himmler podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym ją odłożył i rzekł:

— Wrogie eskadry nadlatują nad stolicę Rzeszy. Niech pan zejdzie ze mną do schronu.

To była pierwsza faza rozmowy. Do drugiej doszło w głębokim, bezpiecznym schronie.

Podczas gdy chmury bombowców zrzucały swe śmiertelne ładunki nad Berlinem, a mniej pierwszorzędni rodacy, w mniej pierwszorzędnych piwnicach zdychali setkami, reichsführer SS uderzył w rozmowie z Thomasem w inne tony:

— Lieven, jest pan człowiekiem o pacyfistycznych poglądach. Niech pan nie przeczy, wiem wszystko! Tym łatwiej przyjdzie panu zgodzić się ze mną, jeśli powiem, że trzeba skończyć tę straszliwą rzeź. My, przedstawiciele cywilizowanego świata, nie możemy wyciąć się nawzajem... To by dopiero była zabawa dla bolszewickich podludzi. Śmiały się w kułak.

Ciężka bomba wstrząsnęła bunkrem. Zgasło światło. Po chwili rozbłysło na nowo. Thomas spostrzegł, że reichsführerowi pot zrosił czoło.

— Prowadzę ciężką walkę — mówił półgłosem. — Spoczywa na mnie wielka odpowiedzialność. Nikt jej ze mnie nie zdejmie. Sam muszę podjąć decyzję.

Ja, ja, tylko ja, pomyślał Thomas. A Hitler? A Goebbels? A wszyscy inni? Ten facet chyba szykuje się do indywidualnego finiszu!

— W normalnych warunkach skróciłibyśmy pana pewnego dnia o głowę. Jako wroga narodu. Ale ja chcę i mogę skorzystać z pana usług. Nie widzę lepszego od pana.

Znów bomba uderzyła gdzieś w pobliżu. Znów zgasło światło. Twarz Himmlera poszarzała.

— Zna pan każde przejście graniczne do Hiszpanii, każdą szmuglerską ścieżkę z Hiszpanii do Portugalii. Zgadza się?

— Tak — rzekł Thomas.

— No widzi pan. Otrzyma pan wszelkie pełnomocnictwa. Daruję panu wolność pod warunkiem, że przetrzuci pan pewnego człowieka — zdrowo i cało — do Lizbony. Jest pan bankierem, czy się mylę? Można chyba z panem pogadać o interesach?

— To zależy — powiedział Thomas i pomyślał: A więc o to chodzi. Dlatego mnie potrzebuje. Portugalczycy zerwali z nami stosunki dyplomatyczne. Hiszpanie nie wpuszczają już do siebie żadnego Niemca. Granicę można przekroczyć tylko nielegalnie. A więc dlatego.

Thomasowi Lievenowi zaschły wargi, pot wystąpił mu na czoło. Nie jestem bohaterem, pomyślał. Na pewno nie jestem bohaterem, ani trochę. Boję się. Ale jeśli ten morderca, wielokrotny morderca, sądzi, że może jestem w stanie przerzucić jego... albo jakiegoś jego krewnego, czy przyjaciela...

— Ach tak, stawia pan warunki! — w głosie Himmlera zabrzmiał ton groźby. — O co chodzi?

— Co to za człowiek? — spytał Thomas Lieven cicho.

— Z pewnością przypadnie panu do gustu — odparł Himmler. — Nazywa się Wolfgang Lenbach i ma doskonałe papiery na to nazwisko. Naprawdę nazywa się Henry Booth i jest angielskim podpułkownikiem. Zaufany Churchilla i Montgomery'ego. Kierował jedną z akcji w Norwegii. Tam wzięliśmy go do niewoli...

7

W kilka godzin po odwołaniu alarmu Berlin ciągle jeszcze płonął jak ogromna pochodnia.

Dworzec wypełniał rozhisteryzowany tłum. Kobiety i dzieci krzyczały, mężczyźni walczyli o miejsca w wagonach, które — pełne uciekinierów — opuszczały miasto.

Pociąg był przepelniony do granic wytrzymałości. Nawet w ubikacjach tłoczyła się ludzka masa. Wyjść z pociągu można było tylko oknami. Ale w wagonie sypialnym było luźno, bardzo luźno...

Czterech SS-manów eskortowało dwóch cywilów do sypialnego wagonu pociągu pośpiesznego do Paryża. Odtrącali po drodze kobiety i dzieci.

Gdy SS-mani podeszli, konduktor otworzył zamknięte dotąd drzwi wagonu.

— Pan Lieven i pan Lenbach, tak? — spytał nerwowym głosem. Thomas skinął głową.

— Miejsce trzymaście i czternaście — powiedział konduktor.

Thomas spojrział na swego szczupłego, wysokiego towarzysza i wykonał zapraszający ruch ręką. Człowiek legitymujący się papierami na nazwisko Wolfgang Lenbach, a w rzeczywistości nazywający się Henry Booth, wszedł do przedziału. Brytyjski podpułkownik ubrany był w błękitny freskowy garnitur. Miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy, jasne oczy i krzaczaste brwi!

— Wyobrażam sobie stan pańskiego ducha, mister Booth — zagadał go Thomas po angielsku. — Na pańskim miejscu czułbym to samo. Mimo to... Przez następne kilka dni będzie pan skazany na moje towarzystwo.

Brytyjski podpułkownik milczał.

Thomas westchnął i wyciągnął z torby podróźnej butelkę whisky. Napełnił oba stojące na umywalce kubeczki do mycia zębów i podał jeden z nich Anglikowi.

— Thanks — powiedział oficer.

Było to pierwsze wypowiedziane przez niego słowo, po którym znów na pewien czas zapadło milczenie. Pociąg szarpnął i ruszył.

Thomas usiadł na łóżku.

— Wiem w jakiej misji udaje się pan do Lizbony, mister Booth — rzekł Thomas patrząc na umywalkę. — Od razu tak przypuszczałem.

Milczenie. Tylko koła pociągu biły o tory, tocząc się w dal.

— Ma pan przekazać ofertę pokojową Himmlera — ciągnął Thomas — Anglikom i Amerykanom. Już raz podjęto taką próbę, przez angielskiego konsula generalnego Cable w Zurychu. Wówczas Himmler w ostatniej chwili się wycofał. Ale teraz proponuje wam zawieszenie broni i wspólną walkę przeciw Sowietom...

Milczenie.

— To oczywiste — mówił Thomas — że to oferta nie do przyjęcia. Jest niemoralna z każdego punktu widzenia. Walczyliście razem z Sowietami przeciwko nam. Nie możecie zostawić towarzyszy broni na pastwę losu.

— Po co mi pan to wszystko opowiada? — usłyszał Thomas głos Anglika.

— Nie wszyscy Niemcy to zwykłe świnie, panie pułkowniku.

— Nie rozumiem.

Thomas spojrział Anglikowi w oczy.

— Nic pan o mnie nie wie. Nie ma pan powodu, żeby mi wierzyć. Zna pan natomiast pana Himmlera. I zna pan stan jego umysłu. A ja mimo to twierdzę, że w Niemczech żyją nie tylko naziści! Nie wszyscy z radością i triumfem uderzali na Rosję.

— Z radością nie, ale uderzali!

— Napadliśmy na Rosję. To prawda. Mimo to twierdzę, że w Niemieckim Wehrmachcie nie służą sami rozwydrzeni lancknechci. Lada moment wojska sprzymierzone wylądują na kontynencie. Wspólnie z Rosjanami rozbijecie nas w puch. Ale dla setek tysięcy będzie stanowić ogromną różnicę, czy zostaną wzięci do zachodniej czy sowieckiej niewoli. Wśród tych setek tysięcy będzie wielu, którzy nie

ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, co się zdarzyło w czasie tej wojny...

— A więc niewinnych? — rzucił Booth. — A nie wrzeszczeście wszyscy „Heil!”, nie popieraliście w ślepym zachwycie pana Hitlera?

— A zagranica? Czy też nie pozwalała Hitlerowi na wszystko? Nie podziwiała go i nie zachwycała się jego olimpiadą? Nie patrzyła beczynnie jak napadał kolejno na bezbronne narody? — spytał Thomas. — Może pana Churchilla nie było w Monachium?

Anglik gwałtownie odstawił kubek, zgasił światło nad łóżkiem i odwrócił się do ściany.

8

Uprzedźmy wypadki:

Zgodnie z ustaleniami o bezwarunkowej kapitulacji, wszystkie jednostki Niemieckiego Wehrmachtu otrzymały od armii sojuszniczych rozkaz, by w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku, dokładnie o północy, zaniechać wszelkich walk i ruchów wojsk oraz poddać się do niewoli w miejscu, gdzie się o tej porze znajdowały. Historycy wykazali niezbiec, że angloamerykańscy dowódcy i oficerowie, przede wszystkim feldmarszałek Bernard L. Voscount Montgomery, milcząco przyzwalał niemieckim jednostkom jeszcze wiele godzin po północy 8 maja 1945 roku przemieszczać się na zachód. W ten sposób setki tysięcy niemieckich żołnierzy znad Łaby, z Meklemburgii i Turynгии uniknęły sowieckiej niewoli. W sztabie feldmarszałka Montgomery'ego pracował wówczas lieutenant-colonel Henry Booth...

9

Kwatera Główna SD w Marsylii mieściła się przy Rue de Paradis 426. Ta bardzo długa ulica łączyła Cannebiere z Prado. Po obu stronach głównego budynku gestapo zarekwirowało szereg domów, które jednak miały tylko jedno wspólne wejście — przy Rue de Paradis 426.

Tym wejściem rankiem 8 czerwca 1944 wkroczył do budynku mężczyzna w znakomicie skrojonym, popielatym letnim garniturze i kazał się zameldować u szefa gestapo w Marsylii, hauptsturmführera Heinricha Rahla.

Rahl, wysoki, postawny mężczyzna z rozplaszczonym nosem, przyjął gościa natychmiast.

— Już wiem, sonderführer. Dalekopis z Berlina. Tajna misja. Wszystko jasne. Co mogę dla pana zrobić?

— Jak panu wiadomo — odparł Thomas oficjalnym tonem — otrzymałem zadanie przerzucenia przez granicę niezwykle ważnej osobistości.

— Jestem poinformowany — rzekł Rahl.

Sprawiło mu to widoczną satysfakcję.

— Taką akcją trzeba starannie przygotować. Przede wszystkim potrzebuję służbowego samochodu dowódcy.

— Jest do pańskiej dyspozycji, sonderführer.

Takie auto naczelnego komendanta to piękna rzecz. Waży dwie i pół tony, podwójne koła, przystosowany do jazdy terenowej. Nie na próżno Thomas przeszedł niegdyś kurs francuskiej szkoły agentów. Znał się na radiotelegrafii, nadawaniu, szyfrowaniu i deszyfrowaniu. Teraz, dwa dni po inwazji aliantów nad Atlantykiem, miał zamiar skorzystać ze swych umiejętności.

Spojrzał znacząco na hauptsturmführera.

— Mieszkam z moim... hm... towarzyszem w „Hotel de Noailles”.

Kiedyś mieszkała tu Josephine Baker, pomyślał. Byłem tu w towarzystwie Debrasa i Simeona. Przedtem o mały włos by mnie nie zastrzelili. Teraz znów tu jestem i przygotowuję (po raz który to już) swoją ucieczkę. Przy wydatnej pomocy pana Heinricha Himmlera i gestapo.

— W trakcie mojej misji będę potrzebował pomocy. Także ze strony francuskiej. Dlatego proszę pana, hauptsturmführer, o ustalenie adresu niejakiego Bastiana Fabre’a. Ostatnio mieszkał w Montpeliere. U mademoiselle Duval. Przy Boulevard Napoleon...

Trzy dni później...

— Pierre, mój stary, to tylko tobie mogło strzelić do głowy — powiedział Bastian Fabre.

Muskularnemu olbrzymowi wciąż jeszcze sterczały z głowy szczecinowate, rudawe włosy. Klęczał przed otwartym piekarnikiem, w którym dusiło się młodzietkie prosię. Bastian właśnie smarował je masłem. Gdy na delikatnej skórcie prosięcia tworzył się pęcherz, Bastian natychmiast przebijał go szpilą. Takiej właśnie procedury nauczył go Thomas

Menu, Marsylia, 11 czerwca 1944

Koktajl z krabów
Pieczone prosię
Grzanki po walijsku

Przy tym prosięciu Thomas Lieven postanowił „ubić” wielką świnię.

Koktajl z krabów: otwieramy puszkę krabów i wkładamy do osobnych pojemników mięso krabie i zawiesinę z puszki, w której były kraby. Polewamy kraby odrobiną koniaku i paroma kroplami soku cytrynowego. Słodką śmietaną rozmącamy dokładnie z tartym czosnkiem, angielską sproszkowaną musztardą i wywarem z krabów. Celem uzyskania czerwonego koloru dodajemy nieco ketchupu, po czym w tak uzyskany sos wkładamy kawałki krabów. W specjalnych płaskich kielichach koktajlowych układamy kawałki zielonej sałaty, na którą wykładamy przygotowany krem z krabów. Podajemy schłodzone.

Pieczone prosię: wypatroszone i wymyte prosię bez oczu i stópek nacieramy od wewnątrz pieprzem i solą. Nadziewamy je wzdłuż na drewniany szpikulec i pieczemy na ruszcie lub w brytfannie z odrobiną gorącej wody. Nakłuwamy szpikulcem powstające na wierzchu pęcherze, wycierając natychmiast wyciekający sok, tak aby nie powstawały plamy na skórce, która winna równo się obrumienić. Prosięcia nie wolno podlewać, lecz w trakcie pieczenia jedynie smarować roztopionym masłem lub oliwą — najlepiej pędzlem. Kiedy skórka jest już chrupka solimy prosię po wierzchu. Gdy mięso jest miękkie — winno być upieczone w około godzinę, w zależności od wielkości — podajemy bardzo gorące, dekorując włożoną do pyszcza cytryną.

Grzanki po walijsku: ser Chester lub podobny, bardzo dojrzały, kroimy w małe kawałki. Podgrzewamy je na stole na palniku spirytusowym w roztworze z masła i piwa z dodatkiem ostrego pieprzu z Cayenne. W momencie, gdy ser zaczyna się ciągnąć i rozpuszczać smarujemy nim grubo przygotowane uprzednio grzanki i podajemy na wygrzanych talerzach.

Lieven, którego znał i kochał pod nazwiskiem Pierre Hunebelle. Kiedyś.

Oprócz Bastiana w niewielkiej kuchni znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn — Thomas i lieutenant-colonel Booth. Kuchnia była częścią zajmowanego przez Bastiana mieszkania przy Rue Clary w pobliżu Boulevard de Dunkerque. Bastian nie był tu zameldowany. Mimo to czynne gestapo ustaliło miejsce jego pobytu. Na polecenie sonderführera Lievena.

— Myślałem, że się przewalę, jak mi tu nagle wyrosli gestapowcy — wyznał Bastian, doglądając prosiątka.

Gestapowcy zjawili się u Bastiana 10 czerwca. Jeszcze tego samego dnia miała miejsce scena burzliwego powitania po latach. Bastian kilkakrotnie brał w ramiona swego starego, dawno już w myślach pogrzebanego przyjaciela Pierre'a. Nagle rozryczał się jak dziecko.

— Taka radocha, stary... tak się cieszę...

Thomas przedstawił stan rzeczy. Bastian dostał napadu śmiechu. Ze łzami w oczach. Potem postanowili zorganizować nazajutrz coś, co Bastian nazwał „szykownym, małym żarciem”.

Tak więc, stali właśnie we trójkę w kuchni — Bastian, Thomas i milkliwy lieutenant-colonel Booth. Bastian baczył na prosię, zaś Thomas przyrządzał koktajl z krabów. Anglik kroił w kostkę ser na przegrzynkę.

— Potrzebna mi twoja cenna, pomocna dłoń, Bastianie — powiedział Thomas. — Mam nadzieję, że granica hiszpańska nadal nie ma dla ciebie tajemnic?

— Pierre, człowieku, z zamkniętymi oczami! Nie ma takiego hiszpańskiego pogranicznika, który by już ode mnie nie wziął w łapę!

— To wspaniale — rzekł Thomas. — W takim razie poprowadzisz nas. Musimy przerzucić tego pana do Lizbony. Niech pan kroci ten ser w troszkę drobniejszą kostkę, jeśli mogę prosić, mister Booth, przecież to na grzanki. Przy okazji, czy mógłby pan wnieść nieco światła do odwiecznego sporu, który dręczy nas, smakoszy, tu na kontynencie, czy te grzanki z serem nazywają się „Welsh Rabbits” czy „Welsh Rarebits”?

— To nie tylko spór kontynentalny — odparł sztywno podpułkownik. — W moim kraju też skacze się sobie przez to do oczu. Nie wiem, jak to właściwie powinno brzmieć.

— Poczyszczające. Masz może ketchup, Bastianie?

Olbrzym otworzył jedną z kuchennych szaf i wyjął z niej butelkę, strącając przy tym coś na podłogę. Była to zabawka. Mała lokomotywa. Bastian podniósł ją.

— Spójrz, Pierre — powiedział. — Pamiętasz? To jeszcze z mojej elektrycznej kolejki! Nic więcej mi nie zostało. Ta lokomotywka serwowała twoje zwariowane żarcie. Od tej pory wlokę ją ze sobą. Jako talizman. I pamiątkę...

— Wiem — rzekł Thomas cicho.

Grzebał bez sensu w krabowym sosie, myśląc o Chantal Tessier. Wciąż jeszcze z bólem serca. Och, Chantal, gdybyś żyła... gdybyś mogła być teraz z nami...

— Nawiasem mówiąc — dotarł do niego głos Bastiana — Glaca wciąż jeszcze działa.

Thomas podskoczył.

— Jest w Marsylii?

Bastian potwierdził skinieniem głowy.

— Rozwiązał bandę, świnia — powiedział z zaciśniętymi ustami — i sprzedał się SD. Szpicel. To jego jedyne zajęcie. Cała Marsylia przed nim drży. Teraz oczywiście trochę trzęsie portkami, ale...

Thomas usiadł. Ogarnęła go fala wścieklej nienawiści. Glaca żył! Człowiek, który zastrzelił Chantal, chodził po Marsylii! W krąg... w krąg... Wszystko zaczęło wirować.

— Mister Booth — powiedział Thomas — będzie pan musiał przekroczyć granicę beze mnie. Mój przyjaciel pana przeprowadzi. Ja mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Anglik chciał zaprotestować, ale Thomas uprzedził go ruchem głowy.

— Niech pan sobie oszczędzi. Zostaje. Mam tu do wyrównania rachunek z pewnym łajdakiem. I wyrównam go, choćby miał to być ostatni ruch, jaki wykonam. Choćbym...

10

— 14 czerwca 1944 roku Thomas Lieven przywiózł (samochodem dowództwa SD) angielskiego oficera i Bastiana Fabre'a w pobliże hiszpańskiej granicy.

— Powodzenia, lieutenant-colonel, niech pan pamięta o naszej rozmowie w pociągu.

Anglik skłonił się w milczeniu. Bastianowi znów oczy zaszyły łzami, gdy wziął Thomasa w ramiona.

— Zaraz wrócisz — powiedział do niego Thomas. — Zobaczymy się w Marsylii. Wojna się kończy.

Dzięki radiostacji swego służbowego samochodu był doskonale poinformowany. Codziennie godzinami odbierał niemieckie i sojusznicze komunikaty.

Thomas ustalił plan bitwy w oparciu o wiadomości z pomocnego eteru. Wrócił do Marsylii i ani na krok nie odstępował tysego Dantesa Villeforte'a. Obserwował go w dzień i w nocy. Ale jeszcze nie uderzał. Czekał. Wiedział na co...

26 czerwca alianci zdobyli Cherbourg, 9 lipca Caen. 20 lipca dokonano zamachu na Hitlera.

3 sierpnia armie sprzymierzone zajęły Rennes, 9 Le Mans, 10 Nantes i linię Loary. Wszystkie te wiadomości uzyskał Thomas dzięki swej „służbowej radiostacji”. Ale jeszcze nie uderzał. Wreszcie nadszedł 15 sierpnia. Z kierunku Neapolu ruszyli Anglicy i Amerykanie. Wylądowali na Riwierze. 23 padło Grenoble. Najwyższy czas, powiedział do siebie Thomas Lieven.

Tego dnia pojawił się w Głównej Kwaterze gestapo przy Rue de Paradis. Na dziedzińcu budynku były w niebo kłęby brunatnego dymu. Panowie gestapowcy palili akta.

— Tylko bez paniki, mój drogi — rzekł Thomas do hauptsturmführera Rahla — zepchniemy Amerykanów do morza, to jasne. Tak czy owak zgodnie z rozkazem reichsführera SS cała pańska placówka jest do mojej dyspozycji... Chyba, że chce pan zwinąć żagle...

— W za...żadnym wypadku, sonderführer.

— Mam nadzieję. Niech mi pan da pewnych ludzi. Pod bronią. Najprawdopodobniej dojdzie do strzelaniny. Facet, o którego chodzi jest najniebezpieczniejszym zdrajcą w Marsylii. Dantes Villeforte.

— Villeforte... ale to przecież...

— Zdrajca, już mówiłem! Czy pan powątpiewa w wagę mojej misji, hauptsturmführer? Mam się poskarżyć na pana w Berlinie?

— Niech Bóg broni, sonderführer, sprawa absolutnie jasna.

11

21 września 1944 roku niejaki Paul Martinie złożył następujące zeznanie przed funkcjonariuszami 145 CIC Detachment, United States Army, Europe.

„Od stycznia 1944 byłem więźniem gestapo przy Rue de Paradis. 23 sierpnia wszystko zaczęło się sypać... Nagle zabrakło jedzenia... nawet dla niemieckich strażników. Do naszych malutkich cel zaczął się wciskać gęsty dym. Prawdopodobnie gestapowcy palili akta.

Wieczorem doszło do głośnej awantury. Wiem to od Friedricha Felgego z Hanoweru, starszego, milego człowieka, który powiedział: Mamy tu teraz takiego jednego sonderführera, grubą rybę z Berlina. Kazał aresztować zdrajcę. Tu w Marsylii nazywają go „Glacq”. Zakuli

go w łańcuchy i trzymają na dole, w piwnicy. Wiadomo mi było, że Glaca, o prawdziwym nazwisku Dantes Villeforte, rzeczywiście jest zdrajcą, ale zdrajcą, który zdradził Francję. Był szpiclem SD. 27 sierpnia gestapowcy zmyli się. My wrzeszczeliśmy i waliliśmy w drzwi cel. Na próżno. Rankiem 28 sierpnia drzwi mojej celi otworzyły się. Na progu stał elegancki pan w cywilu i powiedział nienaganną francuszczyzną: Jest pan wolny, jak zresztą wszyscy pańscy towarzysze niedoli. Za kilka godzin będą tu alianci. Niech pan na ten czas przejmie pieczę nad budynkiem i więzieniem z piwnicy. Wielu z was z pewnością go zna. Nazywa się Dantes Villeforte. Jest mordercą, szpiclem gestapo i oddał pod nóż setki pańskich rodaków. Potem znikł. Pilnowaliśmy Villeforte'a, a potem wydaliśmy go alianckiej komisji, która go natychmiast aresztowała. Człowieka, który nas uwolnił, nigdy już nie widziałem.”

12

Przed południem 28 sierpnia Thomas wyprowadził się z hotelu i pojechał na Dworzec Główny, gdzie oddał na przechowanie walizkę. Na przedmieściach Marsylii toczyły się walki. Niezbyt zażarte. Po południu 29 sierpnia Marsylia została wyzwolona. Thomas Lieven zniszczył swe liczne dokumenty SD, sięgając jednocześnie po cały szereg innych, które swego czasu bardzo mu się przydały przy zwalczaniu „Maquis Crozant”...

Wieczorem 29 sierpnia 1944 roku u Amerykanów zgłosił się niejaki captain Robert Almond Everett, brytyjski agent spadochroniarz. Poinformował, że został zrzucony nad Francją i prosił, by go jak najszybciej dostarczyć do Londynu. Amerykanie ugościli dzielnego sojusznika, który kubek w kubek przypominał Thomasa Lievena, whisky i specjalnymi racjami żywnościowymi.

W wyzwoleniu Marsylii brały także udział nowo sformowane wojska francuskie i oddziały partyzanckie, które napłynęły z całego południa. W dwa dni po zwycięstwie, w zajęтым przez Amerykanów „Hotel de Noailles” odbyła się wielka uroczystość. Wszyscy obecni, stojąc, odśpiewali francuski hymn narodowy, także captain Robert Almond Everett.

— ... le jour de gloire est arrive — powiedział właśnie, gdy jakaś ciężka dłoń spoczęła na jego barkach. Odwrócił się. Stali za nimi dwaj

ogromni amerykańscy żandarmi. Policja wojskowa. Obok nich stał facet, który wyglądał jak za duże wydanie Adolphe'a Menjou.

— Niech pan aresztuje tego człowieka — rozkazał pułkownik Jules Simeon, tym razem we wspaniałym mundurze. — To jeden z najbardziej niebezpiecznych niemieckich agentów tej wojny. Ręce do góry, panie Lieven. To już koniec. Pańska gra skończona! Absolutnie.

13

25 sierpnia generał de Gaulle wkroczył z Amerykanami do Paryża. 15 września Thomas Lieven, po raz drugi w życiu, wylądował w pobliskim więzieniu w Fresne. Kiedyś zamknęło go tu gestapo. Teraz Francuzi.

Siedział tydzień, dwa tygodnie, nic się nie działo. Znosił ponowne uwięzienie ze stoickim spokojem. Często myślał, że tak właśnie musiało się to skończyć. Sprawiedliwość sprawiedliwością. W tych złych latach, myślał, paktowałem z diabłem, teraz muszę za to zapłacić!

Choć z drugiej strony...

Z drugiej strony, mam tu tylu przyjaciół. Tylu Francuzom pomogłem — Yvonne Dechamps, bankierowi, madame Page. Wielu uratowałem życie. Teraz oni mi pomogą.

Ile dostanę? Pół roku? Trudno. Jakoś to przeżyję. A potem, mój Boże, wreszcie będę miał spokój. Wreszcie będę mógł wrócić do Anglii. Ach, po tylu latach, wreszcie będę mógł żyć w pokoju. Nigdy więcej tajnych służb! Żadnych przygód! Wrócić do życia jak niegdys. Z konta Eugena Wälterlego w Zurychu.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Ktoś przekręcił klucz w zamku i drzwi celi otwarły się gwałtownie. Na progu stanęło dwóch francuskich żołnierzy.

— Niech się pan zbiera! — powiedział pierwszy.

— No wreszcie — ucieszył się Thomas Lieven, zakładając marynarkę — nie śpieszyliście się specjalnie z tym przesłuchaniem!

— Przesłuchaniem? — zdziwił się drugi. — Zaraz zostanie pan rozstrzelany!

Księga czwarta

Rozdział pierwszy

1

Ani jedna chmurka nie wędrowała po ciemnobłękitnym letnim niebie. Owego 7 lipca 1945 roku w Baden-Baden było gorąco, bardzo gorąco. Mieszkańcy miasta snuli się po ulicach bladzi, chudzi, źle ubrani i zrozpaczeni.

Okolo południa przez skrzyżowanie na Leopoldplatz przejeżdżał oliwkowozielony samochód sztabowy z generałem dywizji na tylnym siedzeniu. Ruchem kierował tu francuski żandarm. Francuskim ruchem, gdyż niemieckich aut nie było. Za to francuskich ogromne ilości! Baden-Baden było siedzibą francuskiego rządu wojskowego. Miasto zamieszkiwało 30 000 Niemców i 32 000 Francuzów. Ci ostatni to wojsko, urzędnicy administracji i ich rodziny.

— Niech się pan zatrzyma — polecił generał.

Kierowca przystanął przy żandarmie, który zasalutował tak nie-dbale, że przez niemieckiego generała zostałyby natychmiast ofuknięty. Lecz w owym czasie niemieccy generałowie już, czy raczej jeszcze, nie wydzierali się na nikogo.

Generał dywizji spuścił okno po swojej stronie i odezwał się:

— Jestem tu obcy, a pan się zapewne orientuje. W którym kasynie można tu najlepiej zjeść?

— Mon general, niech pan, na miłość boską, nie odwiedza żadnego kasyna! Proszę pójść do kapitana Clairmont z Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych. — Żandarm opisał drogę.

— No to w drogę — rzucił zgłodniały generał.

Samochód ruszył w stronę hotelu „Atlantic” i Domu Zdrojowego, mijając po drodze kasyno gry. Ach, jaki smutny widok rozpościerał się w miejscu, gdzie niegdyś roilo się od najbogatszych panów, najwytworniejszych kobiet, najdroższych kokot! Z muszli orkiestry zdrojowej pozostały zgłiszczca, zdewastowane były klomby i trawniki. Drogocenne meble Domu Zdrojowego i kasyna gry wały się na zewnątrz.

Samochód sztabowy zatrzymał się przed okazałą willą. Tu, do końca tak zwanej Tysiącletniej Rzeszy, mieściła się komenda gestapo, teraz znalazł siedzibę Urząd „Recherche de Criminels de Guerre”, Urząd Ścigania Przestępców Wojennych. Generał wkroczył do willi i zapytał o kapitana Clairmonta.

Po chwili zjawił się człowiek, który właśnie nosił nazwisko Rene Clairmont — szczupły, średniego wzrostu, pociągła twarz, czarne włosy i mądre oczy. Ten około trzydziestopięcioletni mężczyzna miał na sobie doskonale leżący mundur. Nawiasem mówiąc, mundur ten sprawiał bardzo cywilne wrażenie.

Capitaine, który w rzeczywistości nazywał się Thomas Lieven i dawno, dawno temu był wziętym prywatnym bankierem w Londynie, uściśkał dłoń generała i odezwał się w te słowa:

— Będzie dla mnie zaszczytem gościć pana u nas, mon general.

Ale chwileczkę, chwileczkę! Gdy ostatnio zajmowaliśmy się tajnym agentem mimo woli, mistrzem sztuki życia i geniuszem sztuki kulinarnej Thomasem Lievenem, ten człowiek o wielu nazwiskach siedział w więzieniu Fresnes pod Paryżem, wtrącony tam przez Francuzów.

Dlatego chyba najwyższy już czas odpowiedzieć przychylnemu czytelnikowi na pytanie, jak to możliwe, że 7 lipca 1945 roku Thomas Lieven przebywał w Baden-Baden jako funkcjonariusz francuskiego Urzędu Ścigania Przestępców Wojennych, podczas gdy jeszcze 3 października 1944 roku dwóch żołnierzy wyprowadzało go z więzienia Fresnes z żądaniem, by się przygotował... Na śmierć...

2

Na rozstrzelanie? Pomyślał Thomas, podczas gdy żołnierze skrupowali mu ręce i wyprowadzili na ponury więzienny dziedziniec. Boże drogi! A ja myślałem, że wlepią mi najwyżej kilka miesięcy.

Żołnierze wpełnęli go do tego samego, pozbawionego okien, cuchnącego autobusu, do którego kiedyś wrzucili go żołnierze niemieccy.

Wewnątrz ciągle jeszcze śmierdziało potem i strachem. Wychudły, błądy i nieogolony, w wymiętym ubraniu, bez szelek, krawata i sznurówadeł, siedział w autobusie skulony Thomas Lieven. Nieprzerwanie opadały go mdłości.

Nie wiedział, dokąd przyjechali, gdy pojazd zatrzymał się w Paryżu, znów na jakimś ponurym podwórzu. Obojętnie pozwalał żołnierzom brutalnie się popychać, aż do jednego z pokoi w jakimś wielkim budynku.

Drzwi pokoju rozwarły się, a w chwilę potem wokół Thomasa zaczęło wszystko wirować, z trudem łapał oddech. Słyszał głosy i słowa, lecz ich nie rozumiał. Wpatrywał się w siedzącego za biurkiem mężczyznę w mundurze francuskiego pułkownika, w wysokiego, opalonego mężczyznę z siwizną na skroniach i łagodnym przepiswyrazem oczu. Podczas gdy krew potężnie pulsowała mu w skroniach, Thomas już wiedział — był uratowany. Ta myśl przeszła go, gdy rozpoznał przyjaciela Josephine Baker, któremu też kiedyś ocalał życie, pułkownika Debrasa z „Deuxieme Bureau”.

Pułkownik żadnym drgnieniem twarzy, żadnym słowem nie dał po sobie poznać, że zna Thomasa Lievena.

— Tam! Siadać! Gębę na kłódkę! — warknął na niego.

Usiadł i trzymał gębę na kłódkę.

Żołnierze bez pośpiechu uwolnili go z więzów, bez pośpiechu kazali sobie potwierdzić przekazanie więźnia. Minęła prawie wieczność, zanim w końcu zniknęli. Thomas został z Debrasem sam na sam.

Pułkownik uśmiechnął się.

— Ma pan pozdrowienia od Josephine, podły psie — odezwał się.

— Dziękuję, to miło... Gdzie... gdzie przebywa madame?

— W Casablance. Byłem gubernatorem tego miasta, musi pan wiedzieć.

— Ciekawe.

— Miałem coś do załatwienia w Paryżu. Tam dowiedziałem się, że został pan aresztowany.

Thomas powoli dochodził do siebie.

— Na polecenie pańskiego kolegi, pułkownika Simeona. Właśnie śpiewałem Marsylianekę. W czasie narodowego święta wyzwolenia. A mogłem pozostać w hotelu i trzymać język za zębami. Dawno już siedziałbym w Londynie. Hymny narodowe zawsze przynoszą ze sobą same nieszczęścia!

— Wiem o panu wiele — oświadczył Debras. — Znane mi są wszystkie pańskie, skierowane przeciwko nam, posunięcia. Ale znam też wszystkie zasługi. A zatem w Paryżu dotarła do mnie wieść o pańskim losie. Już nie jestem w „Deuxieme Bureau”. Pracuję w Urzędzie Ścigania Zbrodniarzy Wojennych. Jedyną drogą dotarcia do pana było umieszczenie pana na naszej liście poszukiwanych zbrodniarzy i oświadczenie, że zostanie pan rozstrzelany. Tylko w ten sposób mogłem wy dostać pana z Fresnes. Niezły numer, co?

Thomas wytarł sobie pot z czoła.

— Tak — powiedział. — Niezły. Może tylko nieco męczący psychicznie.

Debras wzruszył ramionami.

— Czasy są męczące psychicznie, Lieven. Chyba nie ma pan złudzeń? Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, iż pańskie uwolnienie pociągnie za sobą pewne skutki. Dla pana.

— Wiem. Tego się obawiałem — rzekł Thomas pokornie. — Chyba znaczy to, że będę musiał znów dla pana pracować, pułkowniku Debras!

— Właśnie.

— Jeszcze jedno pytanie. Kto w Paryżu poinformował pana o moim aresztowniu?

— Bankier Ferroud.

Dobry, stary Ferroud. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

— Jakie ma pan wobec mnie plany, panie pułkowniku? — spytał Thomas.

Przyjaciel Josephine Baker patrzył na niego przyjaźnie.

— Zna pan włoski, prawda?

— Tak.

— W roku 1940, gdy Niemcy napadli na nasz kraj, w ostatniej chwili, gdy już na pewno nie groziło to z naszej strony żadnym niebezpieczeństwem, Włosi zbezczelnili i wypowiedzieli nam wojnę. Jednym z najnikczemniejszych łajdaków, którzy panoszyli się wówczas w południowej Francji, był generał Luigi Contanelli. Zdążył na czas przedzierzgnąć się w cywila...

— Jak większość panów generałów.

— ... i zaszyć w bezpiecznym miejscu. Według naszych informacji przebywa gdzieś w okolicach Neapolu.

Czterdzieści osiem godzin później Thomas był już w Neapolu.

Dokładnie jedenaste dni po swym przybyciu aresztował we wsi Caivano, na północny wschód od Neapolu, generała Contanellego, który próbował tu — z konieczności, nie z cnoty — swych sił jako pasterz owiec.

Wróciwszy ze swym dostojnym jeńcem do Paryża, Thomas oświadczył miłą wieczorową porą, w miłym nocnym barze, pułkownikowi Debrasowi:

— Właściwie nie było to wszystko zbyt skomplikowane. Bardzo pomogło mi amerykańskie CIC. Wspaniali chłopcy. Choć na Włochów

też nie mogę narzekać. Nie mają zbyt wielkiego mniemania o generałach, aczkolwiek wydaje mi się, że niestety, nie mają też zbyt wielkiego mniemania o Amerykanach. Pożałowania godne!

Potem Thomas zdał relację ze swej włoskiej przygody.

Prowadząc poszukiwania swego generała-pastuszka, złożył pewnego dnia kolejną wizytę w Kwaterze Głównej CIC (Counter Intelligence Corps), aby uzyskać jakieś nowe informacje, gdy nieoczekiwanie stał się świadkiem dziwnej sceny.

Oto tajni agenci amerykańscy biegali wkoło histerycznie i zapamiętali, wykrzykiwali coś jeden przez drugiego, wydawali rozkazy, by odwołać je za chwilę, telefonowali zawzięcie i wypisywali, niejako seryjnie, nakazy aresztowania.

Niebawem Thomas dowiedział się, o co chodziło. Otóż, przed trzema dniami w porcie cumował jeszcze wielki amerykański frachtowiec „Victory” z prowiantem dla armii amerykańskiej we Włoszech. W niedzielę „Victory” zniknęła, nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Włoskie placówki zwały winę na siebie, amerykańskie postępowały według tego samego schematu.

Co się stało z „Victory”? Przecież nie mogła rozpląnąć się w powietrzu! Powodowany ciekawością Thomas Lieven poszedł do portu, włóczył się po knajpach i spelunach, wreszcie wylądował u „Luigiego”.

Luigi przypominał z wyglądu aktora Orsona Wellesa, prowadził małą, brudną garkuchnię, a poza tym był paserem, fałszerzem i szefem bandy.

Luigi z miejsca zapałał braterską sympatią dla eleganckiego cywila z domyślnym, ironicznym uśmiechem. To uczucie sympatii pogłębiło się jeszcze, gdy Luigi dowiedział się, że Thomas jest Niemcem.

Nie do wiary — to, za czym CIC daremnie węszyła, Thomas rozgryzł w ciągu kilku godzin. Co więcej, poznał u Luigiego panów, którzy wykręcili ów numer z „Victory”.

A sprawa wyglądała tak.

Ubiegłej niedzieli załoga transportowego parowca otrzymała zezwolenie zejścia na ląd. Na statku pozostała jedynie dyżurna wachta. Przyjaciele Luigiego zainscenizowali na nabrzeżu, tuż przy drabinie linowej, bójkę między ślicznymi dziewczętami, z których jedna zaczęła przeraźliwie wzywać pomocy. Wachta ze statku rycersko rzuciła się na pomoc zagrożonej kobiecie. Do utarczki wmieszali się także śniadoskórzy neapolitańczycy. Doszło do gwałtownej bijatyki! Tymczasem przebrani za marynarzy przyjaciele Luigiego przybili do bakburty „Victory” i wdarli się na jej pokład. Błyskawicznie zwolnili cumy,

podnieśli kotwicę, wyprowadzili statek z portu i popłynęli wokół cypla aż do Pozzuoli.

Tu ponownie rzucili kotwicę. Fracht został przeładowany do czekających już ciężarówek. W ładowniach statku znajdowały się konserwy, mrożony drób, owoce, cukier, ryż, mąka, napoje alkoholowe przeróżnych gatunków, kilkaset kilogramów papierosów i kilka tysięcy puszek pasztetu z gęsich wątróbek.

Piraci nie bez powodu wybrali Pozzuoli na miejsce przybicia statku. Znajdowały się tu bowiem ogromne, suche doki. Fachowcy za stosowną opłatą harowali w nadgodzinach, by natychmiast rozebrać i zełomować uprowadzony statek. Na miejscu czekali już także nabywcy poszczególnych zdemontowanych części! Otaczali statek, udzielając pracującym wskazówek, ci zaś dokładnie spełniali ich życzenia. Jeden chciał kupić silnik, drugi wały korbowe, inni stalowe ściany czy nadbudówki. Przypominało to pracowitego rzeźnika, wykrawającego skrzętnie z wołu jeden smakowity kąsek po drugim.

W Neapolu nie istniało w owym czasie nic, czego nie można by było do czegoś wykorzystać. Dlatego też z „Victory” nie został wkrótce ani jeden nit. Cóż, żywiono nawet obawę, iż przyjaciele Luigiego spożytkowali też w jakiś sposób szczury, które znaleźli na statku...

3

Historią tą Thomas bawił pułkownika Debrasa owego miłego wieczoru, w pewnym miłym nocnym barze w Paryżu. Wreszcie Debras spowaźniał.

— Jest pan Niemcem, Lieven — powiedział. — Potrzebujemy pana teraz w Niemczech. Nikt lepiej od pana nie potrafi odróżnić wielkich, prawdziwych bydlaków od małych, niegroźnych, porwanych prądem wydarzeń pionków. Dzięki panu kara może osiągnąć tylko tych naprawdę winnych. Zgadza się pan?

— Tak.

— Tylko że w Niemczech będzie pan musiał bezwarunkowo nosić mundur.

— Nie!!!

— Przykro mi, taki przepis. Musimy też nadać panu francuskie nazwisko i stopień wojskowy. Powiedzmy, kapitan.

— Mój Boże, co to ma być za mundur?

— Pańska sprawa. Lieven. Niech pan sobie coś wymyśli!

Tak więc Thomas udał się do pierwszego oficerskiego krawca w mieście i wynalazł sobie coś stosownego: gołębioszare lotnicze spodnie, bezową marynarkę z dużymi kieszeniami, długą środkową fałdą z tyłu i wąskim paskiem. Do tego pas przez ramię, furażerkę i kapitańskie dystynkcje w kształcie potrójnych „V” na ramieniu.

Wynaleziony przez Thomasa mundur tak przypadł wszystkim do gustu, że miesiąc później został uznany za oficjalny strój organizacyjny Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych.

Z pracymi naprzód wojskami alianckimi Thomas wrócił jako Rene Clairmont do swej ojczyzny. Koniec wojny zastał go w Baden-Baden. Swe biuro urządził w byłej Kwaterze Głównej Gestapo przy Kaiser-Wilhelm-Strasse.

W ten sposób przychylny czytelnik dowiedział się, jakim cudem nasz przyjaciel 7 lipca 1945 przyrzucił w Baden-Baden kolację dla pewnego generała dywizji!

W budynku przy Kaiser-Wilhelm-Strasse 1 pracowało siedemnastu ludzi. Mieszkali w willi naprzeciw. Ich praca była ciężka i niewdzięczna. Na dodatek względy polityczne i inne spowodowały, że część z nich nie znosiła się nawzajem. I tak, Thomas natychmiast popadł w konflikt z porucznikiem Pierrem Valentinem, młodym, przystojnym mężczyzną o lodowatych oczach i wąskich wargach, którego można było sobie bez trudu wyobrazić jako esesmana.

Valentine rekwirował i aresztował jak szalony. Podczas gdy przywoici oficerowie francuskiego Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych, podobnie jak ich przywoici amerykańscy i brytyjscy koledzy, trzymali się ściśle sporządzonych przez Rząd Wojskowy list „wanted persons”, czyli osób poszukiwanych, Valentine wykorzystywał swą władzę samowolnie i bezwzględnie.

Gdy Thomas wezwał go i zwrócił w tej sprawie uwagę, ten wzruszył tylko butnie ramionami.

— Nienawidzę Niemców — powiedział. — Wszystkich.

Thomas Lieven zaprotestował przeciw takiemu prymitywnemu uogólnieniu, na co Valentine odparł niedbale:

— Niech pan się przyjrzy samym liczbom. Tylko na naszym odcinku i tylko w ciągu ostatniego miesiąca otrzymaliśmy 6000 donosów Niemców na Niemców. Tacy właśnie są. Gdy napadają na małych i bezbronnych, są narodem panów. A jak spadną kiedyś na

pysk, grają Beethovena i denuncjują się nawzajem. I jak tu odnosić się z szacunkiem do takiego narodu?

Lieutenant Valentine, choćby nie wiem jak był odpychający, miał w tym przypadku rację. Po zakończeniu wojny, przez Niemcy przetoczyła się fala szpiclostwa, podłości i niegodziwości...

Wreszcie nadszedł 2 sierpnia 1945 roku. Tego dnia Thomas przeżył coś, co nim wstrząsnęło. W jego biurze zjawił się jakiś chudy, niedożywiony siwowłosy mężczyzna w pomiętym ubraniu, który zdjął kapelusz i powiedział:

— Dzień dobry panu. Nazywam się Werner Hellbricht. Poszukujecie mnie. Byłem kreisbauernführerem, odpowiadałem za sprawy chłopstwa w powiecie.

odał nazwę miejscowości w Schwarzwaldzie, na terenie której działał.

— Ukrywałem się do tej pory, ale mam już tego dość, więc przychodzę do pana.

Thomas patrzył na chudego, siwego mężczyznę.

— Dlaczego pan to robi?

— Bo doszedłem do wniosku — odparł — że w moim kraju dokonały się okropne zbrodnie. Jestem gotów za to odpokutować, budować ulice, tłuc kamienie, co pan tylko chce. Szczerze żałuję, że służyłem temu zbrodniczemu rządowi. Wierzyłem w niego. Na tym polegał mój błąd. Powinienem być mniej wierzyć, a więcej myśleć.

Thomas wstał.

— Pani Hellbricht, jest pierwsza. Zanim zacznie pan dalej mówić, pytanie: Zje pan ze mną obiad?

— Obiad? Z panem? Przecież powiedziałem panu, że byłem nazistą!

— Stało się. W każdym razie uczciwie wyznał pan skrucę.

— W takim razie, mam prośbę. Niech pan pojedzie ze mną do mojej zagrody. Chciałbym panu coś pokazać. Na przesiece za moim gospodarstwem — powiedział były kreisbauernführer.

4

Pani Hellbricht — tak samo przeraźliwie blada i chuda jak jej mąż — przygotowała żałośnie cieką zupę ze szczawiu, trybuli, mleczu i różnych ziół łąkowych. Zagroda, którą ujrzał Thomas, przedstawiała obraz nędzy i rozpacz — wybite okna, przestrzelone zamki,

puste obory, pokoje splądrowane przez cudzoziemskich robotników przymusowych.

— Nie można mieć im tego za złe — powiedział Hellbricht z krzywym uśmiechem. — My najpierw spustoszyliśmy ich domostwa, wtedy, w ich krajach...

Żona byłego kreisbauernführera, która stała przed paleniskiem w ogołoconej ze sprzętów kuchni, oznajmiła:

— Po zupie będą duszone ziemniaki z suszonymi owocami. Z przydziału. Przykro mi, ale nie mamy nic lepszego. Thomas wyszedł na podwórze i otworzył bagażnik swego samochodu. Wrócił z ćwiartką masła, puszką śmietany, puszką ekstraktu mięsnego i puszką peklowanej wołowiny.

— Proszę mnie dopuścić do kuchennego stołu, pani Hellbricht — powiedział i niezwłocznie zabrał się do roboty.

Najpierw wzmocnił chudą zupkę wywarem mięsnym, potem otworzył konserwę wołową i rozdrobnił mięso. Odkrywszy miskę z chudym twarogiem, zwrócił się do pani Hellbricht:

— Niech go pani, proszę, przetrze przez sito. Wspólnymi siłami już wkrótce upichcimy wspaniały obiad.

— O Boże — jęknęła pani Hellbricht i rozplakała się. — Konserwa wołowa! Śniła mi się po nocach... ale nigdy jeszcze jej nie widziałam.

— A przy tym istnieją ludzie, którzy śmieją się szyderczo z głodu innych. I to ludzie, którzy są winni naszej nędzy. Nie jestem donosicielem, panie kapitanie, ale musi pan wiedzieć, że na przesiece znajduje się — zakopany i ukryty pod mchem — ogromny magazyn żywności.

— Kto go założył i kiedy?

— To było w roku 1944. Jesienią. Przyszedł do mnie reichsbauernführer Darre. I szef gestapo z Karlsruhe, doktor Zimmermann. Powiedzieli, że otrzymali zadanie zakopania zapasów dla... jako rezerwy dla führera... dla najgrubszych ryb...

Przekwitła, wyniszczona i smutna pani Hellbricht dodała, przecezdając twaróg:

— Dlatego tu pana poprosiliśmy. Trzeba to wszystko odkopać. Tylu ludzi przymiera głodem. My mamy jeszcze chociaż własny dach nad głową. Damy sobie jakoś radę. Ale ci ze zbombardowanych domów, uchodźcy, dzieci...

Tego dnia, 2 sierpnia 1945 roku, rozpoczęto dwie akcje: Po pierwsze dyskretnie rozkopano i opróżniono ogromny magazyn żywności, uzyskując wiele tysięcy puszek z tłuszczem, mięsem, marmoladą, sztucznym miodem, kawą, herbatą, lotniczą czekoladą, cukrem gronowym, mąką, warzywami, owocami. Skarby te przekazano organi-

Menu, Baden-Baden, 2 sierpnia 1945

Zupa ziołowa

Wołowina z puszki à la „czarodziej”

Krem z twarogu

Można by to dziś serwować; wówczas Thomas Lieven dzięki tym daniom przydybał „bonzów”.

Zupa ziołowa: mieszamy dobrze oczyszczone i posiekane: szczaw, szczypiorek, koperek, pietruszkę, trybulę, liście selera, czosnek. Przesmażamy niewielką część w maślanej zasmażce i rozprowadzamy wodą lub rosółem. Gotujemy i doprawiamy pieprzem, solą, odrobiną gałki muszkatolowej. Tuż przed podaniem dodajemy resztę ziół. Tak otrzymaną zupę możemy zaciągnąć żółtkiem lub śmietaną, lub dodając na jedną osobę po 1 jajku w koszulce. Zupę podajemy z grzankami z białej bułki.

Wołowina z puszki à la „czarodziej”: dużą ilość pokrojonej cebuli lekko przesmażamy na maśle, dodajemy puszkę wołowiny uprzednio rozdrobnionej i podgrzanej przez parę minut na lekkim ogniu, tak aby się nie przysmażyła. Dodajemy niezbyt gęste purée ziemniaczane, dokładnie mieszamy, doprawiamy pieprzem i solą. Podgrzewamy przed podaniem na małym ogniu, ciągle mieszając.

Krem z twarogu: przetarty przez sito twaróg mieszamy z cukrem pudrem do smaku, dodajemy słodkiej śmietanki, tak aby powstała gładka, niezbyt płynna masa. Dodajemy rodzynki, parę kropli soku cytrynowego i napełniamy otrzymanym kremem półmisek. Wierzch dekorujemy bitą śmietaną i mocno schładzamy.

zaczom pomocy do rozdziału wśród chorych, starców i dzieci. W błyskawicznym tempie zlikwidowano powstałe doły i zamaskowano mchem przesiekę, tak jakby nikt tu nigdy nie kopał. Od tego czasu odcinek lasu za zagrodą kreisbauernführera Hellbrichta był w dzień i w nocy strzeżony przez wybranych ludzi Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych.

11 sierpnia o zmierzchu — Thomas pełnił właśnie służbę — na przecinkę wszedł chyłkiem jakiś człowiek. Rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Każdy szmer przykuwał go do miejsca. Na plecach miał pusty plecak, w ręku łopatkę. Thomas znał tego człowieka z bladą, bezwzględną twarzą ze zdjęć w listach gończych.

Mężczyzna zaczął kopać. Coraz szybciej, coraz łapczywiej. Ani się spostrzegł, gdy nagle za jego plecami wyrosły trzy postacie. Odwrócił

się. Wstał mozolnie i zaraz opadł z powrotem na ziemię. Przerażenie malowało się na jego twarzy.

— Szeffie gestapo, Zimmermann, jest pan aresztowany — oznajmił Thomas Lieven z bronią gotową do strzału.

Przychodzili jeden po drugim, wszyscy wielcy bonzowie, którzy znali tajemnicę ukrytego magazynu żywności, jeden po drugim! Thomas Lieven surowo nakazał swym ludziom:

— Każdy, kto tu zacznie grzebać, jest wysokim funkcjonariuszem hitlerowskim. Wszystkich natychmiast aresztować!

W ten sposób między sierpniem a październikiem 1945 roku wpadło siedemnastu faszystowskich bonzów.

W przypadku kreisbauernführera Hellbrichta Thomas przeformował kwalifikację „pasywnego współpracownika” i karę pieniężną. Wolno mu było zachować zagrodę.

5

Nastąpiła pierwsza powojenna jesień. Ludzie żyli o głódzie i chłódzie. We francuskiej strefie okupacyjnej coraz bardziej przybierały na sile konflikty między okupującymi a okupowanymi. Po części na skutek niemieckich resentymentów, po części wskutek francuskiego bezprawia, bo to też, niestety, się zdarzało.

Oto francuskie wojska pod okiem francuskiego specjalisty demonstrowały w Szwarzwaldzie maszyny tutejszego przemysłu zegarowego i próbowały uprowadzić fachowców do Belfort i Haute-Savoie, by tam zbudować francuski przemysł tej branży.

Cała produkcja fabryk igieł do maszyn do szycia we francuskiej strefie okupacyjnej była konfiskowana i przez kilku zaledwie ludzi przrzucana do Szwajcarii. Niemieccy robotnicy byli kiepsko opłacani kiepską marką Rzeszy, otrzymując jeszcze bardziej kiepskie, skromne racje żywnościowe.

Pozbawieni skrupułów cudzoziemscy geszefciarze bezlitośnie wyrąbawali ogromne połacie lasów. We dnie i w nocy nad Titisee zgrzytały piły tarczowe. Jeszcze całymi latami wielkie, gołe wyręby w tych okolicach przypominały szeroko rozpleniony bandycki interes.

Za pozornie nietkniętą fasadą Baden-Baden upadała obyczajność i moralność. Dochodziło do bijatyk, aktów zemsty i bójek na noże.

Żołnierze plądrowali, kradli i strzelali wokół jak opętani. Z pistoletów maszynowych zabijali łąbędzie. Bezsensowna masakra.

Thomas wiedział dokładnie, że jasnowłosa, szczupła porucznik Valentine należał do jednej z owych band, które wzbogacały się w brudny, niegodziwy sposób, ale całymi miesiącami nie był w stanie mu nic udowodnić.

Taki dzień nadszedł wreszcie 3 listopada 1945 roku...

W przeddzień do uszu Thomasa dotarła wiadomość, że porucznik znów ma zamiar przeprowadzić jedną ze swych potajemnych akcji rewizyjnych. Gdy popołudniem 3 listopada Valentine w asyście dwóch ludzi opuścił jeepem Baden-Baden, Thomas podążył za nim drugim autem tej samej marki. Zachowywał szczególną ostrożność i bezpieczną odległość.

Dojechali aż do Karlsruhe. Tu skręcili w drogę prowadzącą do Ettlingen, które zostawili z boku i kontynuowali podróż w kierunku miejscowości Spielberg. Tutaj, ponad wioską, wznosiła się — pośrodku wielkiego, otoczonego wysokim murem parku — ciemna budowla. W tamtą właśnie stronę ruszył jeep Valentine'a. Thomas zatrzymał samochód w połowie wzniesienia, po czym wjechał w gąszcz i pośpieszył na skróty pod górę.

W niektórych oknach wielkiej, wznoszącej się na podobieństwo zamku willi, paliło się światło. Thomas widział jakieś cienie, słyszał niewyraźne, podniecone głosy. Zaczął się skradać wokół willi, obrzucając badawczym spojrzeniem fasadę budynku. Szedł wzdłuż wielkich, w dolnej części zasłoniętych kwiatami, okien i mógł dostrzec tylko morze roślin i białe sufity nad nim. Nagle zapadła cisza. Potem ujrzał sylwetkę porucznika Valentine'a, który uczynił coś osobliwego — zbliżył się do szeregu stojących na parapetach doniczek, podniósł jedną z nich do góry i wyrwał z niej kwiaty. Z jednej. Drugiej. W sumie zniszczył siedem roślin. Dlaczego? Po co? Thomas nic z tego nie rozumiał.

Czekał cierpliwie. Po kwadransie Valentine opuścił ze swymi ludźmi willę i odjechał.

Thomas zadzwonił do ciężkich wejściowych drzwi. Otworzył mu zmieszany służący.

— Kto tu mieszka? — zapytał Thomas.

— Pan hrabia von Waldau.

— Jestem capitaine Clairmont. Proszę mnie zameldować.

Hrabia von Waldau... Hrabia von Waldau. Thomas przypominał sobie tego człowieka. Był wysokim urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Członek NSDAP. Dość poważnie obciążony. Przesłuchiwał go już dwukrotnie w Baden-Baden.

Zjawił się — chudy, wyniosły i wściekły.

— A więc, pan też, kapitanie Clairmont! Co pan chce jeszcze stąd wynieść? Srebro stołowe? Jakiś obraz? Pańscy koledzy zabrali już, co najcenniejsze!

— Hrabio — rzekł Thomas spokojnie — przybyłem, żeby się dowiedzieć, co się tu dzieje.

— Przecież wie pan dokładnie! — podniósł głos Waldau. — Wszyscy jesteście złodziejami i bydlakami.

— Niech się pan zamknie — powiedział Thomas bardzo cicho, ale bardzo wyraźnie.

Hrabia wlepił w niego wzrok, zaczął się trząść, w końcu opadł na fotel. Potem zaczął mówić...

Jeśli wierzyć słowom Waldaua, ukrył swoje najdrogocenniejsze kosztowności w siedmiu doniczkach na kwiaty, pod korzeniami roślin.

— Całą biżuterię rodową! Posłuchałem rady pewnej krewnej... Ta kanalia. Oczywiście wszystko było ukartowane. Dopiero teraz rozjaśniło mi się w głowie...

Hrabia spojrział na Thomasa płonącymi oczami.

— Niech pan wybaczy me zachowanie. Mam wrażenie, że nie ponosi pan winy za ten haniebny rabunek...

— Proszę mówić dalej.

— Wie pan, że jestem obciążony. Bałem się grabieży. Żyjemy tu w samotności. Przed miesiącem odwiedziła mnie moja... ta krewna. Jest Angielką. Przepuszczam, że pracuje w wywiadzie, w Kwaterze Głównej w Hanowerze. To ona podsunęła mi pomysł ze schowkiem w doniczkach. Ci trzej mężczyźni, jak tylko tu się pojawili, weszli bez słowa do oranżerii i bez słowa powyjmowali rośliny z doniczek...

Na dźwięk słowa „Secret Service” Thomasa najpierw ogarnęła fala gorąca, zaraz potem przejęło go chłodem.

— Jak się nazywa ta dama, hrabio? — powiedział.

Hrabia podał nazwisko.

6

Dwa dni później w Głównej Kwaterze Brytyjskiego Wywiadu w Hanowerze zjawił się niejaki capitaine Clairmont z Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych w Baden-Baden i udał się do pewnej drobnej, blondwłosej piękności, która w szykownym damskim mundurze poru-

cznika pełniła służbę w swym biurze, na drugim piętrze potężnego zarekwirowanego budynku.

Dama trzymała w ręku lupę i z błyskiem w oku syciła wzrok drogocenną bransoletą. Ktoś zapukał. Klejnot i lupa błyskawicznie zniknęły w szufladzie.

— Wejść! — zawołała dama.

Wszedł mężczyzna, który teraz nazywał się Clairmont. Dziewczyna za biurkiem pisnęła i zerwała się na równe nogi. Była blada jak kreda. Obie dłonie przycisnęła do policzków.

— Niemożliwe... Tommy... Ty...?

Thomas Lieven z zaciśniętymi ustami patrzył na piękną, bezwzględną księżniczkę Verę von C., którą dawno temu poznał w Paryżu jako kochankę nazistowskiego spekulanta Lakuleita. Jego księżniczka Vera, jego słodka kochanka, ten zepsuty bachor, pozbawiona wszelkiej moralności osobka, która już kiedyś, w Paryżu, gotowa była zrobić za pieniądze wszystko, dosłownie wszystko.

— Tommy... jak się cieszę!... Przeżyłeś to wszystko... pracujesz dla Francuzów — bełkotała, rzucając mu się na szyję.

Uwolnił się od niej szorstko.

— Ty ścierwo, ty podle ścierwo — powiedział Thomas Lieven — od kiedy współpracujesz z tą świnią Valentinem?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, skarbie — odpowiedziała księżniczka z uśmiechem.

— Powtórz to jeszcze raz, a ci strzelę — ostrzegł Thomas Lieven. Vera powtórzyła.

I oberwała.

Potem w biurze Brytyjskiego Wywiadu w Hanowerze wybuchła gwałtowna, choć niema szamotanina.

Po pięciu minutach Vera — już odrestaurowana — siedziała na krześle. Thomas, również odrestaurowany, chodził przed nią tam i z powrotem, usiłując wyrzucić pedagogiczny wpływ na tę dziwną przedstawicielkę niemieckiej szlachty rodowej.

— Jesteś aspołecznym bękartem. Żądnym forsy i bezecnym.

Przeciągnęła się jak kotka.

— Ach, bzdura, Tommy. Chodź tu, do swej małej Very. Złap mnie jeszcze raz za gardło, podduś trochę, jak przed chwilą.

— Zaraz ci poprawię — zagroził Thomas. — To, co uczyniłaś, jest w najwyższym stopniu podle i nikczemne... Czy hrabia Waldau jest z tobą spokrewniony? Tak czy nie?

— Ach ten! Stary nazistowski pęta!

Roześmiała się.

— Zamknij się! Przed dwoma dniami twój elegancki przyjaciel Valentine dokonał u hrabiego przeszukania domu, albo ściślej przeszukania doniczek na kwiaty. Przestań się śmiać! Już! Takie świństwo! Kto wpadł na ten pomysł? Ty? On?

— Wolnego! Oczywiście, że ja. Pierre jest za głupi na taki piękny numer!

Zatrzymał się przed nią i podparł się pod boki.

— Piękny numer! Nie jesteś lepsza od tego odrażającego hitlerowca!

— Skończ z tym wreszcie! Mam gdzieś moralność! Zwłaszcza w odniesieniu do tego bydlaka Waldaua! Przecież tę całą biżuterię zagrabił dopiero w okresie Trzeciej Rzeszy!

— Możliwe — zgodził się Thomas. — Jeśli Waldau zagrabił te kosztowności, to należą one do ich prawowitych właścicieli — o ile można ich jeszcze odnaleźć — albo do państwa. W każdym razie na pewno nie do waszej dobranej pary!

— Ach, Boże, jakiś ty słodki... jaki dziki... i idealistyczny... Wiesz co, Tommy, chodź, pójdziemy do mnie. Mam tu przytulne mieszkanko. Też byłe gniazdko jakiegoś starego nazisty.

— Chyba nie myślisz poważnie, że moja noga może jeszcze kiedykolwiek postać w twoim mieszkaniu — oburzył się Thomas.

7

Mieszkanie w istocie było bardzo przytulne. W trzech pokojach na ścianach widniały jaśniejsze plamy. Jeszcze niedawno wisiały tam obrazy. Na ich widok Thomas uśmiechnął się.

Był to dziwny wieczór, gdyż zarówno Thomas, jak i księżniczka mieli jedno na względzie — powalić przeciwnika na łopatki. Oczywiście w przenośnym znaczeniu tego zwrotu...

Najpierw Vera wyciągnęła w tym celu butelkę whisky. Potem wypili po łyżku. I jeszcze po jednym. I jeszcze. W końcu kiedyś alkohol uderzy mu do głowy, myślała Vera. W końcu kiedyś alkohol uderzy jej do głowy, myślał Thomas.

W końcu alkohol obojgu uderzył do głowy!

Teraz dokonamy w naszej opowieści pewnego niewielkiego skoku. Ze względu na dzieci. A zatem, trzy godziny później...

W trzy godziny później jasnowłosa księżniczka była niezwykle przytulna i czuła, a Thomas nieco sentymentalny.

Podchmielony Thomas popełnił niewybaczalny błąd. Opowiedział księżniczce o swoich planach na przyszłość i w związku z tym o swym koncie w „Züricher Bank” na nazwisko Eugen Wälterli.

— To Eugen Wälterli też się nazywasz? — zachichotała Vera. — Jakie to czarujące... Czy... hm... dużo masz na tym koncie?

To pytanie powinno go było otrzeźwić. Nie otrzeźwiło.

— Powiedz no — podniecił się w rauszu — chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, że to u ciebie chorobliwe? Czy z tobą można porozmawiać o czymś oprócz pieniędzy?

Przygryzła dolną wargę, pokiwała głową ze zgryzotą.

— Ciężka neuroza. Uraz z dzieciństwa. Wiesz, że już nawet fałszowałam czeki? Nie ma takiego podpisu, jakiego nie potrafiłabym podrobić!

— Gratuluję — rzekł Thomas, prostoduszny głupiec.

— Poza tym... jestem niepoprawną kleptomanką... Autentyczną. W dzieciństwie miałam z tym prawdziwy kłopot. Portmonetki moich przyjaciółek były moimi portmonetkami. Potem nastąpiło pewne przesunięcie akcentów. Mężowie moich przyjaciółek... Nie muszę chyba kończyć?

— Bynajmniej — zapewnił ją Thomas.

Potem znów coś wypili. Wreszcie zasnęli.

Następnego poranka Thomas już trząsał w kuchni sprzętami, gdy Vera ocknęła się z bólem głowy. Przyniósł jej śniadanie do łóżka.

— Nic dziwnego — stwierdził — napij się w spokoju kawy. Potem się wykąpiesz, ubierzesz i jedziemy.

— Jedziemy? Dokąd?

— Do Baden-Baden oczywiście.

Zbladła.

— Po co?

— Pogadasz ze swym przyjacielem Valentinem. Zadbasz o to, by zwrócił biżuterię Waldaua. Ale jeśli którekolwiek z was jeszcze coś kiedyś przeskrobie, posadzę was oboje!

— Posłuchaj no, łajdaku, a dzisiejszej nocy już nie pamiętasz, co?

Thomas zmarszczył brwi.

— Noc nocą, służba służbą.

Taca z kawą spadła na podłogę, naczynia roztrzaskały się z brzękiem. Rzuciła się na niego z rykiem, zaatakowała zębami i pazurami.

— Ty psie... Zakatrupię cię!

Tego wieczoru — a był on smutny i chłodny — zakurzony jeep wjechał do miasta Baden-Baden. Za kierownicą siedział Thomas Lieven, obok niego księżniczka Vera von C.

Tu popełnił kolejny błąd. Zabrał Verę do swego biura przy Wilhelmstrasse 1, po czym wezwał porucznika Valentine'a. Oficer zdrzął na jej widok. Thomas przemówił obojgu do sumienia.

— Nie wiem, o co panu chodzi — stwierdził zimno porucznik. — Złóż na pana skargę, mon capitaine, ja...

— Zamknij się, Pierre — powiedziała księżniczka rzeczowo. — On wszystko wie.

— Co wie? — zaskrzeczał Valentine.

Vera spojrzała na Thomasa.

— Czy mogę porozmawiać z nim przez chwilę w cztery oczy?

— Jak o mnie chodzi... — zgodził się Thomas.

I to był właśnie błąd!

Wyszedł i usiadł na korytarzu. Nie spuszczał z oka drzwi swego biura. Nie jestem idiotą, pomyślał.

Po czasie potrzebnym na wypalenie papierosa nagle zrobiło mu się bardzo gorąco. Zorientował się, że jednak był idiotą. Jego biuro mieściło się na pierwszym piętrze, a okno nie było zakratowane! Popędził z powrotem. Pokój był pusty. Okno otwarte...

Po dziesięciu minutach w całym kraju rozterkotały się dalekopisy i telegrafy:

„godzina 20 min. 14 stop 6 list. 45 stop nadaje franc. urząd ścigania zbrodniarzy wojennych baden-baden stop do wszystkich placówek żandarmerii stop do wszystkich jednostek cich i cich stop odnaleźć i niezwłocznie aresztować...”

Już nazajutrz o czwartej piętnaście patrol francuskiej żandarmerii aresztował w poczekalni dworca w Nancy Pierre'a Valentine'a, gdy ten kupował właśnie bilet do Bazylei. Poszukiwania księżniczki Very von C. nie dały rezultatu. Zniknęła.

Aresztowany porucznik został przewieziony do wojskowego więzienia w Paryżu. Na osobistą prośbę głównodowodzącego francuskich sił zbrojnych w Niemczech, generała Pierre'a Königa, Thomas miał zebrać cały dostępny materiał dowodowy przeciwko Valentine'owi. Ta niemiła praca absorbowwała naszego przyjaciela aż do początku grudnia. Aresztowano czterech kolejnych Francuzów.

Upředźmy wypadki: Porucznik Valentine i jego przyjaciele stanęli w Paryżu przed sądem. 15 marca 1946 roku zostali zdegradowani i skazani na kary długoletniego więzienia.

3 grudnia Thomas Lieven został wezwany do Głównej Kwatery generała Königa.

— Dziękuję panu serdecznie — powiedział generał — za pańską pomoc w unieszkodliwieniu tych nikczemnych zbrodniarzy. Nie jesteśmy armią złoczyńców i bandytów. Zależy nam na ładzie i sprawiedliwości w naszej strefie okupacyjnej.

Jeszcze 3 grudnia Thomas Lieven został przyjęty przez generała Königa, od którego zebrał pochwały i podziękowania. Już 7 grudnia otrzymał następujący list:

**MINISTERSTWO WOJNY
REPUBLICKI FRANCUSKIEJ**

Paryż, 5 grudnia 1945

*Capitaine Rene Clairmont
Numer Identyfikacyjny Armii 324 213
Urząd Ścigania Zbrodniarzy Wojennych
Baden-Baden
Sprawa: CS Hr. 324/1945*

W związku z wstępnym śledztwem prowadzonym przez Sąd Wojskowy w sprawie porucznika Pierre'a Valentine'a i jego współoskarżonych zażądaliśmy od „Deuxieme Bureau” pańskich akt.

Z akt tych oraz z dodatkowych wyjaśnień złożonych nam przez jednego z wysokich urzędników „Deuxieme Bureau” wynika, iż w czasie wojny był pan agentem Niemieckiej Abwehry w Paryżu. Rozumie pan chyba, że nie możemy tolerować w placówkach naszego Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych człowieka z pańską przeszłością.

Pułkownik Maurice Debras, który swego czasu zaangażował pana do pracy w naszej organizacji, przeszedł do innej służby.

Niniejszym wzywamy pana, by do godziny dwunastej w południe 15 grudnia 1945 roku zwolnił pan swe pomieszczenie biurowe w Baden-Baden i zdał przelożonym wszelkie dokumenty, akta, pieczętki i inne materiały oraz pańskie osobiste dokumenty wojskowe i legitymacje. Zostaje pan zwolniony ze służby ze skutkiem natychmiastowym. Pozostałe instrukcje otrzyma pan w najbliższym czasie.

Pod pismem widniał nieczytelny podpis, a pod nim wypisany na maszynie stopień wojskowy: Generał brygady.

Thomas Lieven siedział za biurkiem i nucił coś pod nosem. Potem przeczytał list powtórnie, znów coś zanucił i pomyślał: A więc, znów to samo. W moim życiu wszystko powtarza się z paraliżującą monotonią. Wykręcam jakiś lewy numer i wszyscy mnie kochają. Spada na mnie grad odznaczeń, pieniędzy i pocałunków. Jestem ulubieńcem odnoszących ojczyzn. Gdy natomiast zrobię coś przyzwoitego — trzask prask i już tkwię po uszy w gównie.

Wysoki urzędnik „Deuxieme Bureau” złożył panom z Ministerstwa Wojny dodatkowe wyjaśnienia, uzupełniające moje akta. Wysoki urzędnik! A zatem Jules Simeon też przeżył wojnę. I nadal mnie nienawidzi...

Thomas wstał. Nieobecny myślami, zaczął mimowolnie porządkować swoje biuro. Gdy otwierał szufladę biurka, zamek zaciął się nieco. Nieznacznie. Nie podpadło mu to. Jeszcze mu nie podpadło. W zamyśleniu zbierał papiery, oddzielał swoje rzeczy osobiste.

Wyjął z szuflady, której zamek nieco się zacinał, fałszywe paszporty. Przeliczył. Były wszystkie. Nie, nie wszystkie! Przeliczył ponownie. Do ciężkiej cholery, jednego brakowało!

Na czoło Thomasa Lievena wystąpił pot, gdy odkrył, który zniknął — piękny szwajcarski paszport na nazwisko Eugena Wälterlego. Jeszcze czegoś nie mógł odnaleźć, czegoś, co też znajdowało się w szufladzie. Oprócz paszportu zniknęła książeczka czekowa na konto w „Schweizerische Nationalbank” i pełnomocnictwo bankowe.

Thomas z jękiem opadł na fotel. W jego mózgu tłoczyły się strzępy rozmów i wspomnień. „To Eugen Wälterli też się nazywasz? Dużo masz forsy na tym koncju? Nie ma takiego podpisu, jakiego nie potrafiłabym podrobić...”

Thomas poderwał słuchawkę telefonu i zamówił błyskawiczną rozmowę z Zurychem. „Schweizerische Nationalbank”. Czekał w nieskończoność. Połączenie możliwe tylko po liniach wojskowych. Co z tego? Teraz wszystko było mu już obojętne! Wreszcie uzyskał połączenie.

Poprosił urzędnika prowadzącego jego konto. Gdy tylko usłyszał miłą szwajcarski dialekt bankowca, wiedział co go spotkało.

— Tak, panie Wälterli, wszystko w porządku. Szanowna małżonka wszystko już załatwiła...

Załatwiła. Sobie fałszywy szwajcarski paszport. Na wzór mojego szwajcarskiego. To ścierwo, ta wstrętna kanalia.

— Kiedy... kiedy była u pana moja małżonka?

— Tak mniej więcej... chyba gdzieś przed dwoma tygodniami... Madame poinformowała mnie, że wróci pan do Zurychu i podejmie decyzję co do przyszłości konta...

— Konta... Przyszłości...

— Jest na nim jeszcze 20 franków.

O Boże, Boże, Boże!

— Resztę... całą resztę podjęła?

— Oczywiście, proszę pana, oczywiście. Madame miała przecież przy sobie pański paszport, książeczkę czekową i pełnomocnictwo... także odnośnie sejfu... Panie Wälterli! Panie Wälterli! Na miłość boską, czy coś nie w porządku? Czyżby coś się nie zgadzało? W każdym razie, nie ma tu naszej winy... Madame okazała wszelkie pełnomocnictwa i dokumenty... wszystko z pańskim podpisem...

Thomas Lieven odłożył słuchawkę na widelki. Przez długi czas siedział bez ruchu. Wyjąwszy dwadzieścia franków, stracił wszystko, co posiadał.

Godzinę później człowiek, który jeszcze nazywał się Rene Clairmont, przekazał szefowi placówki swe biuro wraz z całą dokumentacją. W południe owego 7 grudnia capitaine Clairmont zniknął. Bez śladu.

9

22 lutego 1946 roku u recepcjonisty luksusowego hotelu „Crillon” w Paryżu, przy Place de Concorde, zjawiło się dwóch panów i spytało o niejakiego pana Hausera.

Sądząc po promiennym uśmiechu portiera, tenże monsieur Hauser był ulubieńcem hotelu.

Portier zadzwonił do gościa.

— Jakichś dwóch panów chciałoby z panem rozmawiać, panie Hauser — powiedział. — Monsieur Fabre i monsieur le baron Kutusow.

— Niech się z łaski swojej pofatygują tu do mnie na górę.

Hotelowy boy zaprowadził gości na drugie piętro. Szczecinowate, purpurowoczerwone włosy Bastiana Fabre’a sterczały mu z głowy bardziej niż zwykle. Jego towarzysz, noszący nazwisko słynnego rosyjskiego generała, miał około czterdziestu pięciu lat, szerokie bary i ubrany był bardzo niearystokratycznie.

W salonie apartamentu numer 213 monsieur Hauser pośpieszył naprzeciw swym gościom. Miał ma sobie nieskazitelnie skrojony garnitur.

Bastian odczekał, aż boy zniknął, potem padł w ramiona swego starego przyjaciela.

— Chłopie, jak się cieszę, że cię znów widzę!

— A ja, Bastianie, co dopiero ja! — powitał go Thomas Lieven.

Uwolnił się z objąć olbrzyma, by uścisnąć dłoń Rosjaninowi.

— Bardzo mi miło pana poznać, baronie Kutusow. Nawiasem mówiąc, pozwolę sobie od tej chwili nie zwracać się już do pana per baronie, lecz per towarzyszemu komisarzu. Komisarzu Kutusow.

— Dlaczego? — zaciekawił się Rosjanin, mrugając nerwowo.

— Chwilę cierpliwości! Wszystko po kolei! Mam wam tyle do powiedzenia, braciszku! Zamówiłem jedzenie do pokoju. Podadzą za dziesięć minut. Między innymi barszcz, towarzyszemu komisarzu! Siadajcie proszę...

Jeśli wziąć pod uwagę, że francuskie władze wojskowe poszukiwały go od tygodni i że w związku z tym w Paryżu znajdował się poniekąd w jaskini lwa, Thomas Lieven poruszał się z zapierającym dech spokojem i pewnością siebie. Pocięszał się retorycznym pytaniem — gdzie lew rzadziej szuka ofiary niż we własnej jaskini?

Gdy 7 grudnia w popłochu opuszczał Baden-Baden, pewien specjalista, który niegdyś fałszował paszporty dla Abwehry w Paryżu, zmajstrował mu elegancki francuski paszport na nazwisko Maurice Hauser. Potem Bastian Fabre dostał w Marsylii list, z którego wynikało, że jego autor, Thomas Lieven, znalazł się na progu całkowitego bankructwa.

Odpowiedź Bastiana Fabre'a nadeszła odwrotną pocztą:

„Widzisz, Pierre, jak to dobrze, że podprowadziliśmy wówczas trochę łupu z akcji na Lessepsa? Masz jak znalazł. Zwinąłem tu jednego takiego kumpla, syna ruskiego barona. Nazywa się Kutusow, jego stary był żtaksówkarzem w Paryżu. Wykitował. Teraz jeździ syn. Pontiakiem...”

Odpowiedzią na odpowiedź był telegram Thomasa: *„oczekuję ciebie, barona i samochodu 22 lutego hotel crillon”*.

W tym miejscu Thomas chciał się upewnić i zapytał swych gości:

— Gdzie stoi auto?

— Przed hotelem.

— To dobrze. Musi być na widoku. Teraz ty, drogi Bastianie, będziesz musiał na jakiś czas przejąć rolę kierowcy. A towarzyszu komisarz zajmie miejsce z tyłu. Przywiozłeś złoto?

Menu, Paryż, 22 lutego 1946

Barszcz po rosyjsku
Boef Stroganoff
Suflet cytrynowy

Swój pierwszy powojenny milionowy interes zrobił Thomas Lieven „po rosyjsku”.

Barszcz po rosyjsku: z funta wołowiny i takiejż ilości wieprzowiny oraz 1/2 funta wędzonki gotujemy mocny rosół. Ugotowane mięso wyjmujemy i kroimy na małe kawałki. W smalcu wieprzowym dusimy kilogram poszatkiwanej białej kapusty z solą i pieprzem, przyprawami ziołowymi i liściem laurowym. W innym garnku gotujemy pokrojone w paski buraki z dodatkiem włoszczyzny, soli, pieprzu, liścia laurowego i odpowiedniej ilości octu, by buraki nie straciły koloru. Z podduszanej kapusty i buraków wyjmujemy liście laurowe, po czym jarzyny łączymy z mięsem i rosółem. Zagotowujemy. Tuż przed podaniem ścieramy do zupy 1 czerwony burak. Na stół podajemy kwaśną śmietaną, licząc po 1 łyżce na talerz zupy.

Boef Stroganoff: połówkę wołową kroimy na plastry, a potem na małe paski. Dusimy drobno posiekaną cebulę na maśle do miękkości, uważając by się nie przysmażyła. Dodajemy pocięte mięso i smażymy po minucie z każdej strony. Doprawiamy do smaku solą i pieprzem. Polewamy gęstą, kwaśną śmietaną. Całość zagotowujemy raz jeszcze.

Suflet cytrynowy: ucieramy 3 żółtka z 3 łyżeczkami cukru. Dodajemy trochę soli i tartą skórkę z połówki cytryny, pół łyżeczki mączki kartoflanej lub kukurydzianej, a na końcu pianę z ubitych 3 białek. Masą tą napelniamy wysmarowaną masłem formę i pieczemy w piekarniku na dużym ogniu. Pieczemy tak długo, aż urośnie w formie i nabierze złotawego koloru. Podajemy na stół w formie, na gorąco, z biszkoptami.

— Jest w walizce.

Zjawiło się trzech kelnerów i podało jedzenie. Po chwili Thomas, Bastian i Kutusow siedzieli przy stole i rozprawiali świeżą śmietaną w barszczu.

— Jak w domu! — zawołał ze zdziwieniem rosyjski taksówkowy arystokrata. — Śmietana na stole!

— Gdybym mógł prosić pana, towarzyszu komisarzy, o nieco bardziej luźny sposób jedzenia, na przykład z łokciami opartymi na stole. Może też w najbliższym czasie nie będzie pan dbał o tak starannie wypielęgnowane paznokcie.

— A dlaczego? Po co to wszystko?

— Panowie, chciałbym wam zaproponować interes na wielką skalę. Interes, przy realizacji którego pan, baronie, będzie musiał grać rolę komisarza, Bastian kierowcy, a ja hurtownika spirytualii.

— Spiry...co? — zdziwił się Bastian.

— Nie gadaj, jak masz pełno w papie, bo cię...Najpierw przełknij, potem mów. Handlarza wódką. Ogromnymi ilościami wódki. Francuska armia dotknęła mnie do żywego. Zawiodłem się na niej, panowie. Mam zamiar spłatać tej armii sporego psikusa.

— Wódką?

— Tak, wódką.

— Przecież teraz nie uświadczysz wódki, czcigodny panie! — pożałił się Kutusow. — Wszystko racjonowane.

— Nawet wam się w głowie nie mieści, jakie morze wódki wyleje się tutaj, gdy Bastian porządnie odegra rolę szofera, a pan wywiąże się bez zarzutu z roli komisarza — powiedział Thomas. — Dalej, jeszcze po talerzu. Po jedzeniu idziemy na zakupy.

— Co?

— Musimy kupić wyposażenie. Czarne skórzane płaszcze. Futrzane czapki. Ciężkie buty.

Thomas ściszył głos.

— Tu w hotelu zamieszkuje od końca wojny sowiecka delegacja. Pięciu ludzi. Ich zadaniem jest opieka nad wszystkimi obywatelami radzieckimi we Francji. Wiecie, o ilu ludzi chodzi?

— Nie mam pojęcia.

— Ponad pięć tysięcy. A wszyscy mają ten sam problem...

Podczas gdy goście, słuchając go w skupieniu, jedli najsmakowszą zupę świata, barszcz, Thomas opowiadał, jakie problemy nurtowały wszystkich obywateli radzieckich we Francji...

10

Dwa dni później przed „Ministere du Ravitaillement”, ministerstwem aprowizacji, gdzie między innymi mieścił się francuski urząd do spraw obrotu alkoholem, zatrzymał się czarny pontiac. Drzwi otworzył kierowca w czarnym skórzanym płaszczu i futrzanej czapce na rudych, sterczących włosach. Z auta wysiadł mężczyzna w skórzanym płaszczu i futrzanej czapie. Przybysz wszedł do wielkiego, szarego budynku,

wjechał windą na trzecie piętro i udał się do biura człowieka o nazwisku Hippolyte Lassandre, który wyszedł mu naprzeciw z otwartymi ramionami.

— Mój drogi, wielce czcigodny monsieur Kutusow. To ze mną rozmawiał pan wczoraj telefonicznie. Niechże pan zdejmie płaszcz. I proszę zająć miejsce.

Monsieur Kutusow, który pod czarnym skórzanym płaszczem miał dość wymięty, niebieski, bardzo nie na miarę garnitur, a na nogach ciężkie buciory, zdawał się bardzo wzburzony.

— Postawa pańskiego ministerstwa to wrogi akt, o którym niezwłocznie powiadomię Moskwę...

— Proszę pana, błagam, drogi monsieur Kutusow...drogi komisarzu Kutusow...Niech pan tego nie robi, bo będę miał do czynienia z Komitetem Centralnym! Zniszczą mnie...

— Z jakim komitetem?

— Komitetem Centralnym Komunistycznej Partii Francji, towarzyszu komisarzu. Jestem członkiem partii! Zapewniam pana, że to zwykłe niedopatrzenie.

— Niedopatrzeniem nazywa pan fakt, że pięć tysięcy obywateli radzieckich od miesiący nie otrzymywało należnej im racji alkoholu?

Fałszywy komisarz roześmiał się szyderczo.

— Niedopatrzenie, co? Dziwne...Obywatele brytyjscy i amerykańscy nie byli w pańskim kraju w ten sposób dyskryminowani. Ale dzielni obywatele mojego kraju, który wziął na siebie największy ciężar rozbitcia faszyzmu...

— Niech pan już nic nie mówi, towarzyszu komisarzu. Proszę pana! Wiem, że ma pan rację. To niewybaczalne! Ale naprawimy to, natychmiast!

— W imieniu Związku Radzieckiego żądam oczywiście także dodatkowych dostaw jako rekompensaty za nie dostarczone przydziały w poprzednich miesiącach — oświadczył Kutusow.

— Oczywiście, towarzyszu komisarzu, oczywiście...

O tym, że obywatele radzieccy nie otrzymywali przydziałów alkoholowych, dowiedział się Thomas od Zizi. Zizi zaś była drobną blondynką, która pracowała w pewnym wielce intratnym przybytku Paryża. Thomas znał ją jeszcze z czasów wojny. Zizi kochała Thomasa. W czasie wojny uratował jej chłopaka przed wywiezieniem do Niemiec. Zizi powiedziała mu, że powodzi jej się znakomicie. Zwłaszcza od czasu, gdy w mieście są Rosjanie. Są, jakby to rzec, stałymi gośćmi jej lokalu rozrywkowego.

— Jacy Rosjanie? — zainteresował się Thomas.

— No, ta komisja z hotelu „Crillon”. Pięciu facetów. Silni jak tury, mówię ci. To są mężczyźni!

Zizi twierdziła, że owych pięciu obywateli radzieckich jest zachwyconych przejawami zachodniej, kapitalistycznej dekadencji. W każdym razie w karygodny sposób zaniedbywali swą służbę. Mieli się troszczyć o okrągłe pięć tysięcy swych rodaków we Francji, skłonić ich do powrotu do kraju. Nieczęsto oddawali się swej misji. Najchętniej spędzali czas u Zizi. I gdzie indziej...

— Wyobraź sobie — mówiła Zizi do Thomasa — że nie dbają nawet o przydziały wódki.

— Jakie znów przydziały wódki? — spytał Thomas.

Po chwili już wiedział.

Zizi coś jeszcze opowiadała, ale Thomas już nie słuchał. W jego mózgu zrodził się pewien plan, malutki, dobry plan. Teraz, po przybyciu do Paryża Bastiana i Kutusowa, przekuwał go w czyn...

Ze sfalszowanymi papierami, dostatecznie legitymującymi go jako obywatela radzieckiego, komisarz Kutusow przyjmował zaległe dostawy alkoholu. Nie mniej niż 3000 hektolitrow przetoczyło się na ciężarówkach do pewnego niezwykłego, na poły zburzonego browaru w pobliżu lotniska Orly.

Thomas odkrył go, czekając na Bastiana. Należał do jakiegoś zbiegłego kolaboranta. W lutym 1946 roku — fakt ten, trzeba przyznać, ma dla tej opowieści niezwykle istotne znaczenie — w większości krajów europejskich panował jeszcze ogromny chaos. We Francji też.

A zatem, w owym zakładzie podjęło pracę ośmiu ludzi. Produkcja szła pełną parą. Dniem i nocą. Panowie, pod czujnym okiem pana Hausera, wytwarzali znaną i słusznie lubianą anyżową wódkę „pastis”, której rodzinną recepturę Thomas zawdzięczał pewnej czarnoskórej damie z lokalu Zizi. Oto ten przepis:

Weź na litr chemicznie czystego, dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu:

8 gramów nasion kopru włoskiego

12 gramów liści melisy

5 gramów badianu czyli anyżu gwiazdkowego

2 gramy kolendry

5 gramów szałwii

8 gramów nasienia anyżu

Niech się przegryza w ciemności przez osiem dni. Krótco przed odcedzeniem dodaj jeszcze dziesięć kropel anyżowej esencji. Na koniec rozcieńcz do czterdziestu czterech procent zawartości alkoholu...

Kutusow płacił za alkohol z sum, jakie uzyskiwał ze sprzedaży przywiezionych przez Bastiana sztabek złota. Napelnione butelki przyjaciele Bastiana opatrywali etykietkami, których druk Thomas zlecił pewnej niewielkiej drukarni.

Podczas gdy produkcja szła pełną parą, monsieur Hauser złożył wizytę pewnemu urzędnikowi francuskiej administracji wojskowej, zaopatrzeniowcowi sztabu w paryskiej dzielnicy Latour-Mauborg. Dzielnica ta była w całości zajęta przez wojsko, małe miasto w mieście.

Monsieur Hauser zaproponował sztabowemu intendentowi Villardowi lewy interes z wódką:

— Dysponuję surowcami, jestem w stanie wytwarzać „pastis”. Wiem, że w waszym kasynie oficerskim alkoholu jak na lekarstwo. Oferuję przystępną cenę.

— Przystępną?

No cóż, jak na te ubogie w alkohol czasy na pewno! Dziś uznano by żądania cenowe Thomasa Lievena alias pana Hausera za nieco przesadzone. Zażądał bowiem, w przeliczeniu na wartość nabywczą dzisiejszego pieniądza, 60 marek za butelkę „pastisa”.

Intendent sztabowy zaangażował się w sprawę, jakby był to interes jego życia i w rzeczy samej był nim, jeśli wziąć pod uwagę, że na czarnym rynku butelka „pastisa” kosztowała wówczas, w przeliczeniu, około 100 marek.

Interes kwit!

Przede wszystkim z szybkością wiatru zataczał coraz większe kręgi! Sztabowy intendent zaopatrywał nie tylko swoje kasyno w produkt firmy Hauser, lecz szerzył radosną wieść także wśród swych przyjaciół, tak że już wkrótce ciężarówki wojskowe z napisami „Pastis Hausera” kursowały do wszystkich oficerskich kasyn kraju.

Można bez przesady powiedzieć, że Thomas Lieven zaopatrywał francuską armię. A armia francuska płaciła jak za zboże. Wszystko szło jak z płatka aż do 7 maja 1946 roku. Wówczas to nastąpiła pewna mała wpadka...

7 maja 1946 roku, około godziny dziewiętej, w apartamencie fałszywego komisarza Kutusowa, w hotelu „Crillon”, zjawił się przysadzisty szef sowieckiej delegacji, pan Andriej S. Szenkow i — czerwony na twarzy — zażądał od niego wyjaśnień. Pan Szenkow postanowił mianowicie przed kilku dniami jednak potraktować swe obowiązki nieco poważniej i zaopatrzyć 5000 rodaków w racje alkoholowe. W Ministerstwie Apropowizacji poinformowano go, że sprawę dawno przejął w swoje ręce niejaki komisarz Kutusow, zamieszkały w hotelu „Crillon”.

— Żądam wyjaśnień! — wrzeszczał Szenkow po francusku, z rosyjskim akcentem. — Kim pan jest, panie? Nie znam pana! Nigdy nie widziałem pana na oczy. Każę pana aresztować. Ja...

— Gębę w kubeł! — ryknął na niego Kutusow czystą jak łąza mową swych rosyjskich przodków.

Potem przez pół godziny rozmawiał po rosyjsku z towarzyszem Szenkowem, dokładnie w taki sposób i dokładnie o takich sprawach, jak mu to Thomas Lieven stanowczo nakazał. Thomas bowiem oczywiście od początku brał pod uwagę możliwość tego typu wpadki.

Po pół godzinie towarzysz Andriej S. Szenkow wrócił błady, przestraszony i z czołem zroszonym potem do swego pokoju, gdzie czekali na niego przyjaciele — Tuszkin, Bołkoński, Balaszew i Alpatycz.

— Towarzysze — jęknął Szenkow i opadł na fotel — jesteśmy zgubieni.

— Zgubieni?

— Praktycznie już jesteśmy na Syberii. To okropne. Potworne. Wiecie kim jest Kutusow? To komisarz wysłany za nami, żeby nas mieć na oku. Dysponuje wszelkimi pełnomocnictwami. I wie o nas wszystko.

— Wszystko? — krzyknął osłupiały Bołkoński.

— Wszystko — rzekł Szenkow tępo. — Jak tu pracujemy. Czym się tu zajmowaliśmy.

Na twarzach czwórki jego przyjaciół malowało się przerażenie.

— Została nam jedyna szansa, towarzysze, musimy spróbować zjednać sobie jego przyjaźń. I pracować jak szaleni, dzień i noc. Koniec z Zizi! Koniec z nylonami, amerykańskimi konserwami i papierosami! Wówczas Kutusow może przymrużyć oko i okaże nam łaskę...

W ten sposób, dzięki geniuszowi przewidywania Thomasa Lievena, poradzono sobie z tym drobnym incydentem i można było już bez przeszkód rozwijać dalej ogromny interes z anyżówką.

29 maja szczęśliwy, bo stosunkowo zamożny, eks-towarzysz i tak-sówkarz-arystokrata Kutusow zawiózł starym pontiakiem swych obu przyjaciół do Strasburga. Tu Thomas znał, jeszcze z mile przez siebie wspomnianych czasów swej pracy w Urzędzie Ścigania Zbrodniarzy Wojennych, paru uczynnych francuskich strażników granicznych. I paru uczynnych niemieckich. Przy ich pomocy nie powinno nastąpić specjalnych trudności przy przetrzymaniu przez granicę dwóch walizek, należących do panów Lievena i Fabre'a. Pokażne walizki zawierały plon akcji „pastis”.

— A teraz do Anglii, Bastianie! — marzył Thomas na tylnym siedzeniu pontiaka. — Do kraju wolności! Ach, mój klub... moje piękne mieszkanie...bank...Pokochasz Anglię, mój stary...

— Nie rozumiem, przecież w 1939 Anglicy wydalili cię z kraju!

— Tak — rzekł Thomas — dlatego też musimy jeszcze wyskoczyć na chwilę do Monachium. Mam tam przyjaciela z młodości, który pomoże mi dostać się z powrotem do Anglii.

— Przyjaciel z młodości?

— Berlińczyk. Teraz jest amerykańskim majorem. I dziennikarzem. Nazywa się Kurt Westenhoff — wyjaśnił Thomas z błogim uśmiechem. — Ach, Bastianie, jakże się cieszę...Cały ten bałagan wreszcie się skończy...Zacznie się nowe życie...nowe czasy.

11

Thomas Lieven czekał wśród wielu innych gości w przedpokoju amerykańskiego majora Kurta Westenhoffa. W Monachium. Przy Schellingstrasse. W ogromnym budynku byłego hitlerowskiego wydawnictwa Eher-Verlag.

W epoce tak zwanej Tysiącletniej Rzeszy naziści drukowali tu pismo „Völkischer Beobachter”. Teraz powstała tu inna, redagowana przez Amerykanów, gazeta.

Tego 30 maja 1946 roku w Monachium panował wielki skwar. Niektórym z wychudzonych, bladych ludzi w przedpokoju Westenhoffa pot wystąpił na czoło. Thomas rozglądał się wokół siebie w zamyśleniu. Siedzicie tu, myślał, w starych ubraniach, które zrobiły się dla was za duże, w koszulach z za obszernymi kołnierzykami, chudzi, niedożywieni i bladzi. Gdy tak na was patrzę, wy petenci, powodzianie pierwszych powojennych miesięcy, którzy tu przychodzicie, by prosić o pomoc, posadę, poświadczenie wojennej niewinności...Nie wyglądacie mi na tych, co to nadstawiali karku gdzieś na froncie albo w autentycznym oporze przeciw faszystom. Chyba siedzieliście cicho przez te tysiąc lat. Zatkane uszy, zamknięte oczy, gęba na kłódkę. Ale teraz wreszcie chcecie się dorwać do władzy! Już wkrótce będziecie się tłoczyć przed żłobami narodu, by wyrwać swoją część z wielkiego kotła z żarciem. Już wkrótce wypłyniecie na górę, w rządzie, w gospodarce, w całym kraju. Amerykanie wam przecież pomogą...

Ale, myślał Thomas, czy naprawdę jesteście tymi właściwymi, którzy pójdą właściwą drogą? Czy wykorzystacie tę niepowtarzalną szansę, by Niemcy i Niemców przesunąć nieco na margines historii? Choć na chwilę?

Rozpętaliście dwie wojny światowe w ciągu dwudziestu trzech lat i w obu ponieśliście druzgocącą klęskę. Niezły wyczyn! Co by było, gdybyśmy tak teraz wycofali się na drugi plan, gdybyśmy zdobyli się na neutralność, poddali woli Amerykanów i Rosjan? Gdybyśmy zaczęli handlować z Zachodem i ze Wschodem? Tyle się już nastrzelaliśmy! Może byśmy postanowili — nie złoście się zaraz, przecież to tylko propozycja! — nigdy już nie strzelać? O Boże na wysokościach, jakie to by było piękne...

W poczekalni zjawiała się piękna jak obrazek sekretarka.

— Panie Lieven, major Westenhoff oczekuje pana — oznajmiła dziewczyna, która w przyszłości miała się nazywać missis Westenhoff.

Thomas minął ją i wszedł do biura redaktora, który z wyciągniętą ręką wyszedł mu naprzeciw.

— Dobry, Thomas — przywitał go Kurt Westenhoff.

Był niski i pulchny. Miał skąpe, jasne włosy, wydatne czoło i mądre, błękitne oczy, które zawsze sprawiały wrażenie przyjaznych i sentymentalnych. Ojciec tego człowieka, doktor Hans Westenhoff, pracował jako naczelny redaktor w wydawnictwie Ullsteina w Berlinie. Pisywał do „Berliner Zeitung am Mittag” i do „Tempo”. Potem rodzina musiała emigrować. Teraz wojna się skończyła i Kurt Westenhoff wrócił do kraju, który go wygnał.

— Dobry, Kurt — rzekł Thomas.

Po raz ostatni widział tego człowieka w roku 1933 w Berlinie. Minęło trzynaście lat. Mimo to Westenhoff natychmiast go sobie przypomniał.

— Dzięk...dziękuję ci — wydukał Thomas.

— Nie ma o czym mówić! Znam cię od dziecka. Znałem twojego ojca. Nie muszę ci zadawać żadnych pytań. Oprócz jednego: W czym mogę ci pomóc?

— Wiesz, że byłem przed wojną bankierem w Londynie. „Marlock and Lieven”. Dominion Agency, przy Lombard Street.

— Tak, wiem, Dominion Agency! Przypominam sobie.

— Przeżyłem szalone lata. W waszym CIC mam na pewno grubą teczkę. Ale prawda jest taka, że w ten diabelski krąg wpadłem przez mego wspólnika Marlocka. Zadbał o to, by mnie wydano z Anglii. Bezprawnie przejął cały bank. Od 1939 roku powoduje mną jedno jedyne życzenie, dręczący mnie jedna myśl — dobrać się tej świni do skóry!

— Rozumiem — rzucił Westenhoff. — Chcesz się dostać do Anglii.

— Tak. Żeby rozliczyć się z Marlockiem. Możesz mi w tym pomóc?

— Sure, boy, sure! Oczywiście — powiedział amerykański berlińczyk.

Ale się mylił...

Dwa tygodnie później, 14 czerwca, Westenhoff poprosił Thomasa, by odwiedził go w jego willi.

— Przykro mi, Thomas — zaczął major, gdy usiedli na tarasie położonym na tyłach domu i patrzyli na pogrążający się w mroku ogród. — Naprawdę, bardzo mi przykro. Wypij może najpierw dużą whisky bez wody, zanim ci powiem, o co chodzi.

Thomas poszedł za radą przyjaciela.

— Twój Robert E. Marlock zniknął. Porozumiałem się z moimi ludźmi w CIC, a ci umożliwili mi kontakt z Anglikami. Smutna sprawa, Thomas, bardzo smutna. Twój bank już nie istnieje. Może jeszcze drinka?

— Najlepiej postaw od razu całą butelkę koło mnie. Powoli zaczyna mi się zdawać, że jestem Hiobem.

Thomas uśmiechnął się sztucznie.

— Hiob z Johnnym Walkerem. Kiedy zlikwidowano mój bank?

— W 1942 roku.

Westenhoff wyciągnął z kieszeni kartkę papieru.

— Dokładnie 14 sierpnia 1942 roku. Wtedy to Marlock wstrzymał wszelkie operacje. Pojawiły się weksle bez pokrycia. Klienci chcieli likwidować swe konta. Tego dnia Marlock znikł z powierzchni ziemi i nie pojawił się do dzisiaj. Tyle moi przyjaciele z CIC. Nawiasem mówiąc, bardzo chcieliby cię poznać.

— Ale ja ich nie.

Thomas westchnął. Patrzył na kwitnący ogród, którego drzewa i krzewy coraz bardziej traciły kontury i rozplywały się w niekształtne cienie w szarym świetle chylącego się ku nocy dnia. Obracał kieliszek w dłoni. W tę i z powrotem. W końcu powiedział:

— A więc, zostanę tutaj. We Francji zarobiłem wystarczającą ilość pieniędzy. Zacznę pracować. Ale nigdy więcej, słyszysz Kurt, nigdy już dla tajnych służb. Nigdy w życiu!

Ale mylił się. Tak samo, jak mylił się Kurt Westenhoff zakładając, że Thomas Lieven nigdy już nie spotka się ze swym występnyim współnikiem Robertem E. Marlockiem...

Pewnego pięknego dnia w lipcu 1946 roku, po utrzymanej w angielskim stylu murawie komfortowej willi w Grünwaldzie na obrzeżach Monachium stapał pan w sportowej koszuli i w sportowych spodniach. Mężczyzna był blady i sprawiał wrażenie zrezygnowanego. U jego boku kroczył, w takiej samej lekkiej odzieży, muskularny, pogodny olbrzym z rudymi, szczeciniastymi, sterczącymi z głowy włosami.

— Niezły domek sobie sprawiliśmy, co Bastianie, mój stary? — zagadał Thomas Lieven.

— I to na koszt armii francuskiej — zarżał były złoczyńca z Marsylii, który od pewnego czasu próbował swych sił jako kamerdyner Lievena.

Zbliżyli się do willi.

— Dziś w nocy wyliczyłem sobie — rzekł Thomas — ile przy naszym obrocie jesteśmy winni francuskiemu Urzędowi Finansowemu.

— No ile?

— Około trzydziestu milionów franków — rzucił Thomas nie-dbale.

Rozbawiło to Bastiana co niemiara.

— Vive la grande armee!

W willi zadzwonił telefon.

— Czy masz ochotę złożyć dziś wieczorem wizytę Ewie Braun? — spytał Kurt Westenhoff.

— Co?

— To znaczy, w jej willi. Róg Maria-Theresia-Strasse i Prinzregentenstrasse.

— Przecież to teraz siedziba CIC.

— Zgadza się, chłopcze, zgadza się.

— Mówiłem ci, że już nigdy nie będę pracował jako tajny agent.

Nawet dla was!

— Nie masz dla nas pracować jako agent, lecz jako kucharz.

— Przecież twoi przyjaciele mają z pewnością własnego kucharza!

— Mają, mają. Nawet pierwszorzędnego. Był kiedyś właścicielem wielkiej restauracji. Do tego kawaler Orderu Krwi...

— Gratuluję. Twoi przyjaciele mają delikatne podniebienia.

— Kucharz był jeszcze bardziej subtelny. Gdy został aresztowany, bez zastanowienia zdradził wszystkich swych przyjaciół bonzów. Za to

CIC nie wsadziło go do obozu. Siedzi w areszcie domowym i gotuje. Ale dziś nie może, bo ma rozwolnienie. Przyjdźże w ten jeden jedyny wieczór i pomóż, Thomas. Zrób to dla mnie. Mają rogalca. Załatwił go jakiś „special agent”. Kuszą.

— Kurt, nie powinieś tyle pić dziś wieczorem!

— To święta prawda. Załatwił go z łuku. Znam faceta. Nie poluje inaczej. Twierdzi, że w ten sposób zwierzyzna nie cierpi tak bardzo. Że to bardziej humanitarnie.

Obżarci, jakimi dziś jesteśmy, nie pamiętamy już prawie, jak tu wówczas było.

W czerwcu 1946 roku w Zagłębiu Ruhry dzienna norma żywnościowa dla „zwykłego obywatela” wynosiła 800 kalorii. Na południu kraju 950. Ciężko pracujący otrzymywali 1700 kalorii, najciężej 2100, a górnicy 2400.

Jeszcze we wrześniu 1947 roku „racja podstawowa” zawierała 7(!) gramów tłuszczu (przy spożyciu przedwojennym około 110 gramów) i 14 gramów mięsa (przed wojną 123 gramy).

Niemieccy lekarze podawali latem 1947 roku w swym „Raportcie o stanie wyżywienia narodu” minimalną niezbędną ilość tłuszczu na dzień i na głowę w wysokości 40 do 60 gramów.

Pocieszająca wiadomość: Kawaler Orderu Krwi, który pod skrzydłami CIC bez specjalnych zabiegów zabezpieczył się przed śmiercią głodową, przeżył także wspomnianą biegunkę. W ogóle wszystko przeżył dobrze. Dziś jest właścicielem znanej restauracji, w pewnym wielkim mieście na południu Niemiec...

13

Hitler podarował swej kochance śliczną willę, zauważył Bastian Fabre, gdy wraz z Thomasem Lievenem znalazł się w kuchni byłej posiadłości Ewy Braun.

— Nigdy bym go — wegetarianina — o to nie posądzał, a ty?

— Tylko co ona z tego miała? Postradała życie i tyle — rzekł Thomas. — Chyba przed sarną podamy budyń z parmezanu, a po sarnie coś słodkiego. Amerykanie to lubią.

Drogi i zmyślny czytelniku, piękna i wytworna czytelniczko! Z ciężkim, bardzo ciężkim sercem przychodzi nam opowiedzieć to, co

teraz opowiedzieć musimy: Jeszcze nigdy — sami jesteście tego najbardziej wiarygodnymi świadkami — nigdy w przeszłości nasz przyjaciel się nie upił.

Tego wieczoru, 16 czerwca 1946 roku, upił się jednak w willi (nie)świętej pamięci kochanki Hitlera jak jeszcze nigdy w życiu. I tylko tą niespotykaną ilością promille we krwi da się wytłumaczyć to, co go spotkało w tym jego oplakany stan.

Może Bastian powinien był bardziej uważać na swego pana, ale owego wieczoru jego uwagę zbyt pochłaniała rudowłosa służąca. Z tą nieco sfatygowaną pięknnością, która jeszcze czternaście miesięcy temu, jako siła pomocnicza w służbie radiotelegraficznej, wносиła radość w samotne noce niemieckich żołnierzy, pętał się po kuchni i gdzie indziej. W ten oto sposób złowróżbne fatum mogło dokonać swego dzieła...

Kurt Westenhoff przybył w towarzystwie swej pięknej sekretarki. Trzech agentów CIC zaprosiło swe niemieckie przyjaciółki. Towarzystwo uzupełniały dwie bardzo, ale to bardzo atrakcyjne damy z tzw. „Art Collecting Point”, „Ośrodka Zbiorów Dzieł Sztuki” — jedna we francuskim mundurze, druga w nieco znoszonej białej sukni w fantazyjne kwiaty.

Damę we francuskim mundurze nazywano mademoiselle Daniela. Thomas znał ją już, to znaczy znał jej głos. W „Paryskiej godzinie” nadawanej przez Radio Monachium Daniella zwykła śpiewać — drżącym, pościelowym głosem — najnowsze francuskie szansonetki. Ta czarująca osobka była niewątpliwie główną atrakcją wieczoru.

Jej niemiecka towarzyszka pozostawała całkowicie w jej cieniu. Miała długie, czarne włosy, czarne oczy z długimi rzęsami, wydatne usta i nazywała się Christine Troll. Była sekretarką w „Art Collecting Point”.

O tej właśnie organizacji Francuzka opowiadała bardzo zabawne historie. Państwo z „Ośrodka Zbiorów Dzieł Sztuki” rezydowali na Königsplatz, w mniejszej z dwóch tak zwanych „budowli führera”. Do zadań ośrodka należało wykrywanie i zabezpieczanie dzieł sztuki, które na okupowanych przez hitlerowców terenach, ale także w faszystowskich Niemczech zmieniły właściciela, czy to przez konfiskatę, czy grabież lub przeniesienie do innego obiektu.

Według relacji mademoiselle Danielli, naziści „zabezpieczyli” w Paryżu słynne kolekcje Rotszylda, Goldschmidta i Schlossa. Ale gdzie podziały się te skarby?

Spośród samych tylko obrazów hitlerowcy „przemieścili” 14 000 dzieł. Tylko dokąd? Detektywi tropiący zaginione dzieła sztuki odnaj-

Menu, Monachium, 16 lipca 1946

Pudding parmezanowy
Comber sarni à la Baden-Baden
Krem po rosyjsku

Serce Thomasa Lievena zapłonęło jak pochodnia, gdy gotował dla Amerykanów.

Pudding parmezanowy: mieszamy 125 g masła z 6 żółtkami, 80 g startego parmezanu, 1/4 l kwaśnej śmietany, odrobiną soli, 140 g mąki, dodając na koniec pianę z 6 ubitych białek. Masą tą napelniamy wysmarowaną masłem i posypaną mąką formę budyniową, po czym gotujemy formę w garnku z wodą. Wykładamy budyń na duży, okrągły półmisek i dekorujemy cienko pokrojoną szynką i usmażoną w maśle zieloną fasolką, całość dekorujemy posiekaną zieloną pietruszką.

Comber sarni: oczyszczony z błony i naszpikowany słoninką comber sarni solimy i pieprzymy, polewamy gotującym masłem i wkładamy w brytfannie do dobrze wygrzanego piekarnika. Pieczemy go, obficie podlewając, 45-60 minut, mięso winno pozostać soczyste i przy kości lekko zaróżowione. Następnie do połowy sosu, powstałego przy pieczeniu, wrzucamy kawałki ananasa, wiśnie i winogrona — podgrzewamy i obkładamy nimi comber. Do pozostałej połowy sosu dodajemy kwaśnej śmietany, zagotowujemy i podajemy osobno.

Krem po rosyjsku: na osobę bierzemy: 1 żółtko, 1 łyżeczkę cukru i ucieramy z odrobiną araku lub rumu (na trzy jajka 1 łyżkę stołową), po czym dodajemy mocno ubitą śmietanę. Można ozdobić krem małymi, nasączonymi arakiem lub rumem makaronikami.

dywali pojedyncze eksponaty w klasztorze Dietramszell, w klasztorze Ettal, w warzelniach soli w Alt-Aussee...Niewiele. Niewiele w porównaniu z liczbą tych, które zniknęły.

Po wkroczeniu do miasta Amerykanie przekazali Niemcom „budowlę führera I”. „Bierzcie co chcecie, przecież to Hitlera”. Tak to w każdym razie zrozumiało paru obrotnych monachijczyków i w istocie „przejęło” wszystko, co się nadało...

Niektóre z tych malowideł, opowiadała mademoiselle Daniella, odnalazły się później, gdy „Collecting Point” — przy wsparciu Military Police — zorganizowało obławę w ponad tysiącu mieszkań w okolicy Königsplatz. Przy okazji odnaleziono najwspanialsze, bezcenne arcydzieła, służące za podkłady pod materace lub namiastki okiennych zasłon.

Oczywiście Amerykanie też płądrowali. Mademoiselle Daniella opowiedziała o przypadku, jaki zdarzył się pewnemu handlarzowi dzieł sztuki z Maximilianstrasse. Otóż następnego dnia po zajęciu Monachium, przed jego sklep zajechał czołg typu sherman. Czołgiści wyciągnęli antykwariusza na ulicę i pokazali mu obraz, który przywiązali do tarczy czołgu. Ekspertowi krew ścięła się w żyłach. To, co wisiało na brudnym, tłustym od oleju pancerzu czołgu, nie było niczym innym jak słynnym, umieszczanym we wszystkich katalogach i albumach obrazem Rembrandta, portretem rabina z Amsterdamu. Oryginałem.

Antykwariusz nie mógł się dogadać z żołnierzami, więc zwycięzcy z chrzestem gąsienic odjechali w siną dal. Dokąd? Nikt nie wiedział. Po tym Rembrandcie zaginął wszelki ślad...

Tego typu opowieści bawiły gospodarzy i gości. Nastrój stawał się coraz weselszy. Pito dżin z sokiem. Thomas poszedł do kuchni, by doglądnąć Bastiana, służącej i sarniego combra. Stan wszystkich trzech obiektów jego troski wydał mu się wielce zadowalający. Eks-wicetelegrafistka siedziała Bastianowi na kolanach. Na zewnątrz była bardzo czerwona, wewnątrz zapewne ciągle jeszcze brunatna. Thomas wbił szpikulec w sarni comber i doszedł do wniosku, że w tym przypadku wszystko było dokładnie odwrotnie. Udzielił tokującemu Bastianowi odpowiednich wskazówek i wrócił do salonu.

Mademoiselle Daniella ciągle jeszcze zabawiała gości opowiadaniem. Thomas usiadł obok skromnej, acz pięknej Christine Troll i słuchał. Czuł jak powoli alkohol uderza mu do głowy. Także oczy powabnej, ciemnowłosej Christine błyszczały niepokojąco.

— Zaraz podadzą jedzenie — powiedział do niej.

— Dzięki Bogu, bo już jestem tipsy — przyznała głębokim, ochrypłym głosem.

Głęboki, ochrypy głos, który tak lubię, pomyślał Thomas. Taki traf. Ileż też może mieć lat ta mała? Najwyżej dwadzieścia pięć. Hm. Niezła sztuka...

Mademoiselle Daniella bawiła gości swymi historyjkami także w czasie kolacji.

Thomas był zawiedziony. Akurat parmezanowemu budyniowi poświęciłem tyle trudu, pomyślał. I nikt na niego nie zważa, nikt go nie chwali...

Takie właśnie opadały go myśli, gdy siedząca obok niego Christine powiedziała cicho:

— Wspaniały ten budyń. Jeszcze nigdy nie jadłam czegoś równie smakowitego!

Thomas był zachwycony. Co za dziewczyna!

Gdy podano sarni comber, mademoiselle opowiadała właśnie o słynnym historycznym, wydanym w roku 1493, inkunabule „Schedels Weltchronik”.

— ...przed dwoma tygodniami jeden z naszych ludzi przejeżdżał przez Troibach koło Kraiburga nad Innem. U jednego z gospodarzy udał się... jakby to powiedzieć... w ustronne miejsce...

Śmiech.

— Gdy chciał się...obsłużyć, papier i pismo wydały mu się jakieś dziwne...

Ponowna salwa śmiechu.

— Moi państwo, co tu dużo mówić, były to pocięte stronicie średniowiecznej kroniki świata, pierwszej w historii świeckiej książki. Wisiały na zardzewiałym gwoździu w wychodku w Troibach koło Kraiburga nad Innem...

Kolejny głośny wybuch śmiechu.

A o moim sarnim combrze znów nikt nic nie mówi, pomyślał Thomas ze smutkiem.

— Fantastyczny — powiedziała cicho Christine — comber też wśmienity. Jest pan geniuszem. Czy to jakiś specjalny przepis?

— Mój własny. Nazwałem go „comber sarni Baden-Baden”. Na cześć ...hm...przeżyłem tam wiele pięknych chwil.

— Musi mi pan to wszystko dokładnie wyjaśnić...Proszę.

Thomas przysunął się do niej.

— Ależ z przyjemnością.

Wieczór był uratowany!

Po kolacji mademoiselle Daniella śpiewała szansonetki. Pito nadal. Niektóre parki znikaly, dochodzili nowi goście. Gramofon grał bez przerwy. Thomas pił ze wszystkimi po kolei. Nie piję przecież na pusty żołądek, uspokajał się, nie mam się czego obawiać.

Potem poznał agenta CIC, „pana Smitha”, owego przyjaciela zwierząt, który rzeczywiście polował wyłącznie za pomocą kuszy. Przy tej okazji wyszło na jaw, że Thomas został zaproszony nie tylko ze względu na jego kulinarne talenty.

— Niech pan posłucha, mister Lieven. Wiem, że nie był pan nazistą...ale znał pan ich tyłu...Mógłby pan nam pomóc...

— Nie, dziękuję.

— Lieven, to pański kraj! Ja nie zostanę tu na zawsze, pan może tak. Jeśli teraz nie będziemy działali z największą precyzją, zamkniemy nie tych, co trzeba, i puścimy wolno nie tych, co trzeba...to wszystko się powtórzy...Prędzej czy później.

— Mimo to — bronił się Thomas — nie chcę już mieć do czynienia z wywiadem. Nigdy!

Mister Smith spojrział na niego z ukosa i uśmiechnął się...

Światło przyćmiło się jeszcze bardziej, rozległa się jeszcze bardziej sentymentalna muzyka. Thomas tańczył z Christine. Thomas flirtował z Christine.

— Właściwie studiowałam chemię — zwierzyła się Christine. — Moi rodzice mieli tu w Monachium niewielką fabryczkę, preparaty kosmetyczne...

— Co znaczy mieli?

— Nie żyją. A fabryka została splądrowana. Nie było mnie tu w tym czasie. Gdybym znalazła kogoś, kto by mnie wsparł finansowo...

Mówiła z taką powagą. Thomas uważał, że jest niezwykle sympatyczna.

— Zdobyć niewielki w gruncie rzeczy kapitał i ...złota żyła. Miliony kobiet z utęsknieniem wypatrują kosmetyków. Nie mają żadnej możliwości, by wesprzeć swą urodę...Na razie rynek jest niezwykle chłonny.

Argumenty te trafiły Thomasowi do przekonania.

— Musimy koniecznie... — powiedział, choć mu język przeszkadzał — musimy koniecznie na ten temat porozmawiać, panno Christine.

Nowa potyczka z językiem.

— Odwiedzę panią jutro. Nie...niewykluczone, że zainteresuję się pani fabryką.

— Och!

Jej oczy jaśniały.

Mademoiselle Daniella znów zaczęła śpiewać. Thomas pił i tańczył z Christine, tańczył i pił. Potem sam zaczął śpiewać. W końcu stało się — był pijany, kompletnie pijany. Bardzo kompletnie. Był uprzejmy. Miły. Szarmancki. Ale w sztok pijany. Tyle, że nikomu to nie podpadało, bo wszyscy mieli porządnie w czubie, wszyscy w domu martwej Ewy. Z jednym jedynym wyjątkiem. Kawaler Orderu Krwi leżał z bólami podbrzusza na swej mansardzie i zgrzytał zębami.

14

Thomas obudził się we własnym łóżku.

— Śniadanie, Pierre — usłyszał głos Bastiana. — Obudź się. Już wpół do dwunastej.

Nasz przyjaciel otworzył oczy i jęknął. W jego czaszce szalały młoty pneumatyczne. Spojrzał na Bastiana, który stał przed nim z tacą w ręku. Podniósł się. I zamarł. Obok niego leżała jakaś dziewczyna. Spała. Głęboko i spokojnie. Słodka, ciemnowłosa Christine Troll...

Thomas zamknął oczy. Thomas otworzył oczy. To nie był koszmarny sen, lecz jawa. Christine ciągle jeszcze leżała w jego łóżku. Właśnie zamruczała coś pod nosem i uśmiechnęła się. Przeciągnęła się. Boże wszechmogący! Thomas przykrył ją pośpiesznie.

Z przerażeniem popatrzył na Bastiana, który wszakże zachował kamienną twarz.

— Co się stało? Skąd wzięła się tu ta dama?

— Chłopie, co mnie pytasz? Skąd ja mam wiedzieć?!

— Czy ja...czy ta pani i ja...czy byliśmy już w domu, jak przyszedłeś?

— Tak jest. Chrapałeś jak pułk wojska.

— Na miłość boską!

— Spiteś się jak bela, co?

— Niestety. Stary, mam przerwę w życiorysie...Osiem, może nawet dziewięć godzin. Nie pamiętam nic, absolutnie nic.

— Popatrz, popatrz, jaka szkoda!

— Zamknij się! Odstaw tę tacę. Muszę stąd spływać, zanim się obudzi. Może też była pijana. Wówczas mógłbym jej oszczędzić krępującej sceny przebudzenia.

Nie oszczędził, gdyż w tej chwili Christine Troll otworzyła swe piękne czarne oczy i rozglądnęła się wokół. Patrzyła i patrzyła. Wreszcie spojrzała po sobie i oblała się jaskrawym rumieńcem.

— To straszne — rzekła. — Coś takiego! To oburzające! Kim pan jest, mój panie, jeśli wolno spytać?

Thomas skłonił się, nie wstając.

— Nazywam się Lieven. Thomas Lieven.

— O Boże, wielki Boże. A kto...kim jest ten drugi pan?

— Mój służący Bastian.

— Dzień dobry, mademoiselle — powiedział Bastian i zgiął się w ukłonie.

Dziewczyna wybuchła płaczem...

Po śniadaniu Thomas i Christine poszli na spacer w dolinę Izary. Ich ból głowy powoli mijał.

— I nic pani nie pamięta? — spytał.

— Absolutnie nic.

— Ja też.

— Panie Lieven!

— W tych okolicznościach nie powinnaś się krępować. Na imię mi Thomas!

— Nie, wolę formę oficjalną! W tych okolicznościach, panie Lieven, pozostaje nam tylko jedno: Rozejdziemy się i nie spotkamy już nigdy.

— Nie bardzo rozumiem...Dlaczego?

— Jestem porządną dziewczyną, panie Lieven. Coś takiego nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło.

— Mnie też. Pójdźmy na kompromis, nie mówmy już o tym. Pomówmy natomiast o pani fabryce kosmetyków. Trzeba ją postawić na nogi.

— To pan sobie przypomina?

— Dokładnie. I dotrzymam słowa. Sfinansuję tę operację.

— W żadnym wypadku, panie Lieven. Nie mogę przyjąć pańskiej oferty.

15

15 sierpnia 1946 fabryka kosmetyków Troll wznowiła produkcję. Początkowo na niewielką skalę. Z kilkunastoosobową załogą. W ciężkich warunkach. We wrześniu było już lepiej. Dzięki swym dobrym układom z Amerykanami, wspólnikowi Christine Troll udało się załatwić większe ilości niezbędnych do produkcji chemikaliów. W październiku 1946 roku fabryka wytwarzała już mydło, krem do rąk, wodę toaletową i — przebój sezonu — „beauty milk”, mleczko kosmetyczne, które podbiło rynek. Zatrudniono nowych robotników.

Christine Troll ciągle jeszcze z żelazną konsekwencją zwracała się do swego partnera per „panie Lieven”.

Thomas Lieven zaś — z żelazną konsekwencją — zwracał się do swej partnerki per „panno Troll”.

— Dość lewych numerów i podejrzanych interesów, rozumiesz? — powiedział do Bastiana. — Uczciwością i pracą ludzie się bogacą. My też. Uczciwie, staruszkule, kapujesz? Uczciwie!

Bastian wyszczerzył się w uśmiechu...

Mniej więcej w tamtym czasie, pewnego smutnego październikowego wieczoru, w willi Thomasa zjawiła się jakaś drobna, przestraszona kobiecina, przeprasząc wielokrotnie, że nie uprzedziła

o swej wizycie. Zrazu nie przedstawiła się i nie wyjawiała celu swej wizyty.

— ... ach, wie pan, panie Lieven, byłam tak strasznie zdenerwowana, gdy przeczytałam pańskie nazwisko...

— Gdzie?

— W Urzędzie Hipotecznym... Pracuje tam moja siostra. Ja wciąż jeszcze mieszkam z dziećmi w Freilassing. Przenieśli nas tam w czterdziestym piątym. Żałośnie... Mieszkanie jak klatka, chłopci traktują nas jak ścierwo, teraz jeszcze ta pogoda...

— Droga pani — rzekł Thomas cierpliwie — czy byłaby pani tak łaskawa i się przedstawiła?

— Emma Brenner.

Thomas drgnął.

— Brenner! Jest pani żoną majora Brennera?

Kobiecina rozplakała się.

— Tak, panie Lieven! Żoną majora Brennera... Tak często pisał o panu... Z Paryża. Był panem zachwycony... Panie Lieven, znał pan mojego męża! Czy był złym człowiekiem? Czynił ludziom krzywdę?

— Z pani pytań, pani Brenner, wnioskuję, że pani mąż został aresztowany. Czy tak?

Kobieta przytaknęła szlochając.

— Pułkownik Werthe też. Zna go pan przecież...

— O Boże — rzekł Thomas — on też?

— Od zakończenia wojny siedzą w obozie Moosburg... i będą tam siedzieć tak długo, aż zdechną z głodu lub zamarzną...

— Niech się pani uspokoi, pani Brenner. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Żona majora Brennera snuła swą opowieść — z przerwami na szloch. Werthe i Brenner rzeczywiście znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Praktycznie bez wyjścia. Thomas znał ich dobrze. Wiedział, że byli przyzwoitymi ludźmi, którzy całymi latami ścierali się z gestapo. Ale w roku 1944 admirał Canaris poszedł w odставку, a wywiad wojskowy został podporządkowany Henrichowi Himmlerowi. Werthe i Brenner nagle stali się ludźmi Himmlera!

Jako takich zastali ich Amerykanie. I aresztowali. Amerykanie nie bawili się w szczegóły. Ludzie Himmlera byli dla nich ludźmi SD, a funkcjonariusze SD stanowili „security threats”, zagrożenie bezpieczeństwa, i podlegali „automatic arrest”, natychmiastowemu aresztowaniu.

W obozie dla internowanych każdy z jeńców miał swoją teczkę. Teczki te, posegregowane według poszczególnych kategorii, wędrowały

od czasu do czasu przez biura zwolnień. Z dnia na dzień wypuszczano na wolność kolejne kategorie, tylko jedna nie miała żadnych, absolutnie żadnych szans na zwolnienie — „security threats”.

- Czy mogę liczyć na pańską pomoc? — szlochała pani Brenner.
- Mój nieszczęsny mąż... biedny pan pułkownik...
- Zobaczę, co się da zrobić — obiecał Thomas w zamyśleniu.

— Panie Smith — powiedział nazajutrz do miłującego zwierzęta agenta CIC, który tak bardzo się starał, by go zwerbować do pracy w wywiadzie — zastanowiłem się. Sam pan widzi najlepiej, co się w naszym kraju dzieje. Brunatna zaraza szerzy się nadal. Wciąż jeszcze stanowi zagrożenie. Wszyscy musimy być czujni, by nie dopuścić do jej odrodzenia...

Mister Smith z radością wciągnął powietrze.

— Czy mam przez to rozumieć, że zdecydował się pan jednak dla nas pracować?

— Tak, niestety tak. Ale pod pewnym warunkiem. Chcę działać tylko i wyłącznie w jednej sferze — zwalczania faszystów. Nic poza tym. To mogę zaakceptować. Mogę też, jeśli pan zechce, zająć się obozami.

— Okay, Lieven — ucieszył się mister Smith — that's a deal!

Następne sześć tygodni Thomas Lieven spędził w podróży. Odwiedził obozy internowanych w Ratzbonie, Norymberdze-Langwasser, Ludwigsburgu, wreszcie w Moorsburgu.

W trzech pierwszych obozach całymi godzinami studiował setki teczek, gęsto zapisane strony maszynopisu, zaopatrzone w zdjęcia jeńców i pieczętki przesłuchujących funkcjonariuszy.

Thomas dokładnie przyjrzał się tej dokumentacji. Pieczętki były proste, łatwe do podrobienia. Zdjęcia przymocowywano prymitywnie. Używano różnych marek maszyn do pisania.

W trzech pierwszych obozach Thomas stwierdził obecność 34 funkcjonariuszy gestapo, których poznał i zapalał do nich nienawiścią we Francji. Był wśród nich szef SD w Marsylii, hauptsturmführer Rahl i paru ludzi z jego świty. Hauptsturmführer Rahl pełnił w obozie funkcję „kulturalno-oświatowego” i cieszył się wszelkimi możliwymi przywilejami.

Na podstawie swych nowych doświadczeń Thomas doszedł do ogólnego wniosku, że najwięksi lajdacy, nawet w obozach, już zapewnili sobie ciepłe posadki — w kuchni, izbie chorych, kancelarii. Wielu z nich awansowało do funkcji „mężów zaufania” lub „rzeczników obozu” i terroryzowało całą resztę. Znowy wypłynęli na powierzchnię.

— Prowadzicie czujną, bardzo czujną i dalekowzroczną politykę — mówił Thomas do Amerykanów. — Okazuje się, że wy też jesteście podatni na blond włosy, błękitne oczy i postawę na bacność! Od tej pory będziemy szczególnie dokładnie przyglądać się funkcyjnym, panom na posadkach...

Tak też się stało.

Gdy 3 stycznia 1947 roku Thomas przybył do Moosburga, zyskał już sobie tymczasem całkowite zaufanie obu agentów CIC, którzy mu towarzyszyli. Ci właśnie ludzie wprowadzili go do pilnie strzeżonego obozowego archiwum i zostawili go samego z jedenastoma tysiącami protokołów przesłuchań. W owym czasie w Moosburgu siedziało 11 000 ludzi.

Thomas wykrył wśród nich między innymi trzech funkcjonariuszy SD, z którymi łączyły go złe, bardzo złe wspomnienia. Odnalazł oczywiście także protokoły dotyczące majora Brennera i pułkownika Werthego.

Wieczorem 6 stycznia nasz przyjaciel opuścił obóz z teczkami Werthego i Brennera za pazuchą. Mieszkał tu w małej chłopskiej zagrodzie. Długo pracował w swej kwaterze tej nocy.

Korzystając z nauk genialnego Reynalda Pereiry, fałszował dokumenty dotyczące Brennera i Werthego. Najpierw sporządził nową gumową pieczętkę, potem szewskim szydłem i scyzorykiem odgiął ostrożnie nity przytrzymujące zdjęcia i odkleił je od dokumentów, nawilżając i delikatnie usuwając klej. Potem zredagował na oddanej mu do dyspozycji obozowej maszynie do pisania nowe dokumenty. Gdy dniało, fotografie jego przyjaciół zdobyły już nową dokumentację. Jakże różniła się ona od oryginału! Werthe i Brenner nie byli już złymi gestapowcami, lecz nieszkodliwymi, nieobciążonymi oficerami niemieckiej administracji wojskowej we Francji. Nie było powodu, by ich nadal więzić, zwłaszcza że ich kategoria już dawno została zwolniona.

Rankiem 7 stycznia dwóch agentów CIC znów przywiozło Thomasa do obozu. Tym razem miał już za pazuchą nową dokumentację. Starą spalił w kaflowym piecu swej kwatery. W ciągu dnia bez trudu udało mu się podłożyć sfalszowane dokumenty na właściwym miejscu we właściwej szafie. Tym samym jego misja była zakończona.

Jeszcze przed końcem stycznia 1947 roku Brenner i Werthe zostali wypuszczeni na wolność. O ironio losu! W tym czasie, gdy Brenner i Werthe opuszczali miejsce odosobnienia, Thomas Lieven właśnie także przekraczał. Znów siedział.

A było to tak...

Opuściwszy obóz w Moosburgu, agenci CIC pojechali jeszcze z Thomasem do obozów w Dachau, Darmstadt i Hohenasperg. Tu siedziała hitlerowska dyplomacja. Thomasowi znów udało się wykryć kilku zbrodniarzy z SD. Agenci CIC wyrazili mu swe uznanie. 3 stycznia wrócili do Monachium. Przybyli późnym wieczorem. Thomas padał z nóg. Zawieźli go do Grūnewald, do jego willi. Gdy otworzył bramę do ogrodu, odjechali, kiwając mu na pożegnanie.

Dom pogrążony był w ciemnościach. W żadnym oknie nie paliło się światło. Bastian znów się gdzieś włóczy, pomyślał Thomas. Nie ma żywej duszy. Zauważył pomyłkę, gdy wkroczył do hallu willi. Coś błysnęło w ciemności. Nagle zapaliło się światło.

Przed nim wyrósł nagle amerykański żandarm, drugiego miał za plecami. Obaj dzierżyli w dłoniach ciężkie pistolety. Z biblioteki wyszedł jakiś cywil. On też trzymał w ręku broń gotową do strzału.

— Łapy w górę, Lieven! — rozkazał.

— Kim pan jest?

— CID — powiedział cywil.

CID, „Criminal Investigation Department”, był wojskową policją kryminalną, interesował się przestępstwami politycznymi i szpiegostwem.

— Jest pan aresztowany! — powiedział cywil. — Czekamy tu na pana już piąty dzień!

— Ach, wie pan, przez ostatnie kilka tygodni działałem w służbie pańskiej konkurencji.

— Gębę w kubel! Brać go!

— Chwileczkę — rzekł Thomas — ostrzegam pana! Mam wielu przyjaciół w CIC. Właśnie wyświadczyłem im ogromną przysługę. Żądam natychmiastowych wyjaśnień. Z jakiego powodu mam zostać aresztowany?

— Zna pan niejakiego Bastiana Fabre’a?

— Tak.

— A Christine Troll?

— Też.

Boże, to przeczucie, to dręczące przeczucie...

— Widzi pan? Już siedzą.

— Ale dlaczego? Dlaczego, do ciężkiej cholery!?

— Panie Lieven, jest pan oskarżony o próbę zamachu na życie generała Lyntona. Na zlecenie wehrwolfu. Pan i dwójka pańskich przyjaciół.

— Lynton? Amerykański generał Lynton?

Thomas doznał spazmatycznego napadu śmiechu.

- Niby jak go miałem zamordować, jeśli wolno spytać?
- Chciał go pan wysadzić w powietrze!
- Aha!
- Przestanie się pan śmiać, Lieven. I nie tylko pan. Produkuje pan kosmetyki, co?
- Tak.
- Między innymi tak zwane „beauty milk”, zgadza się?
- Tak. Co z tego?
- Jedno z takich morderczych opakowań eksplodowało przed pięciu dniami z potężną siłą w sypialni Lyntona. Tylko szczęśliwym zrządzeniem losu w chwili eksplozji nie było nikogo w pobliżu. Sprawa jest jasna. W jednym z opakowań znalazł się materiał wybuchowy. To pańska sprawka. Dech panu zaparło, co? Zakuć go w kajdanki, chłopcy...

Rozdział drugi

1

— Nigdy, przenigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby wysadzić w powietrze czcigodnego generała Lyntona — zadeklarował Thomas Lieven.

Powiedział to po raz trzynasty w ciągu trzech dni.

Najpierw się śmiał rozbawiony, potem się wściekł. Rozgoryczony odrzucał zdecydowanie wszelkie zarzuty.

Co z tego!?

— Łże pan! — mówił śledczy CID, James Purnam.

Powiedział to po raz jedenasty w ciągu ostatnich trzech dni. Jego uparty więzień coraz bardziej działał mu na nerwy.

Centralne ogrzewanie w pokoju przesłuchań było nie do zniesienia. Panował tu suchy upał, który powodował, że Purnamowi pot występował na czoło i ból rozsadzał czaszkę.

— Nie kłamię — mówił Thomas Lieven.

— Niech pan posłucha, Lieven!

— Panie Lieven, jeśli wolno!

— Niech pan posłucha, panie Lieven, mam już pana dość! Niniejszym kończę przesłuchanie, zamykam pana i będzie pan siedział po sądny dzień.

Thomas westchnął.

— Przykro mi, naprawdę mi przykro, że się pan tak poci, mister Purnam, ale jeśli chce pan zachować swe stanowisko, musi pan mnie jeszcze przez chwilę posłuchać. Jeśli pan tego nie zrobi i jeśli podległe panu pomieszczenia nadal będą tak przegrzewane, widzę oczyma duszy mojej kolejne zamachy, całą serię zamachów bombowych.

— Cały co... Całą serię...

— Pańska sprawa — rzekł Thomas jak cierpliwy nauczyciel do niedorozwiniętego ucznia. — To pan mnie aresztował. Pan też aresztował mojego przyjaciela Bastiana Fabre'a i moją współniczkę Chris-

tine Troll. Dlaczego? W prowizorycznie odbudowanej fabryce rodzi-
ców pani Troll uruchomiliśmy produkcję kosmetyków. Między innymi
„beauty milk”. Buteleczka tego kosmetyku eksplodowała w sypialni
generała Lyntona...

— Właśnie. Pańskie dzieło, panie Lieven. I pańskich gangsterów
z wehrwolfu!

— Nie, nie moje, lecz bakterii pleśni i dwutlenku węgla.

— Chyba zwariuję... — jęknął agent.

— Zanim sprawi mi pan tę przyjemność, niech mi pan odpowie na
jedno niezwykle istotne pytanie: Czy czcigodny pan generał dzieli swe
łóże z czcigodną panią generałową?

Purnam przełknął ślinę, wlepił wzrok w Thomasa i wyszeptał:

— Teraz pan zwariował!

— Nie, pan nie zwariował — powiedział Thomas — po prostu
rozważa różne możliwości. Pani generałowa miała w sypialni toaletkę.
Z lustrem i całą resztą... Stała obok okna...

— Skąd pan wie?

— Bo z reguły pod oknami znajdują się kaloryfery...

Purnam nerwowo zamrugał oczami. I nerwowo mrugając, przy-
słuchiwał się uważnie temu, co Thomas miał mu do powiedzenia. A ten
wygłosił wykład. Jego „beauty milk”, twierdził Thomas, było produk-
wane według starej receptury firmy Troll. W jego skład wchodziły
cytryny, chude mleko i nieco tłuszczu. Niestety, nie było jeszcze
możliwości zapewnienia sterylności produktu. Także buteleczki, które
napelniano kosmetykiem, budziły wiele zastrzeżeń. Kiepskie, stare
szkło.

— Niech pan weźmie pod uwagę, panie Purnam, że nie bez
powodu na każdej naszej flaszeczce widnieje etykieta z napisem
„Przechowywać w chłodnym miejscu”. Czcigodna pani generałowa
Lynton nie przestrzegała tych zaleceń i postawiła „beauty milk” na
toaletce. Tuż obok kaloryfera, tuż obok gorącego grzejnika central-
nego ogrzewania...

— Znow pan zaczyna!

— Niech mi pan, proszę, nie przerywa. Ponieważ nie mogliśmy
pracować w warunkach absolutnej sterylności, razem z mlekiem
dostały się do roztworu bakterie pleśni. Pod wpływem ciepła zaczął się
tworzyć dwutlenek węgla. To gaz spowodował wzrost wewnętrznego
ciśnienia w buteleczce wielce szanownej pani generałowej. Ciśnienie
zwiększało się coraz bardziej i ... bum! Mam mówić dalej?

— Kręactwo i łgarstwo — ocenił błydy Purnam. — Nie wierzę
w ani jedno pańskie słowo!

— Nie szkodzi, niech pan spokojnie czeka, mój drogi! Wkrótce z pewnością eksploduje następna buteleczka u następnego generała...

— Niech się pan zamknie! — wrzasnął Purnam.

— Niemieckim damom, które nabyły nasz środek, na pewno nic się nie stanie — rzekł Thomas. — Niemkom tej trzeciej powojennej zimy nie pozostaje bowiem nic innego, jak przechowywać swe kosmetyki w chłodzie.

Zadzwoił telefon. Purnam podniósł słuchawkę, zgłosił się i słuchał przez chwilę. Potem poczerwieniał na twarzy, wytarł pot z czoła, w końcu powiedział:

— Okay szefie, już jadę. Ale niech pan przestanie mówić o wehrwolfie, zamachu i tych rzeczach... sądzę, że się w ten sposób blamujemy.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Thomasa z krzywym uśmiechem.

— Niech wolno mi będzie spytać — odezwał się Thomas — czy przypadkiem nie wybuchła następna buteleczka?

— Tak. Na lotnisku Neubiberg. Przed kwadransem. W mieszkaniu majora Rogera Rappa.

2

Trzy dni później Thomas stanął przed „provost marshal”, kอมendantem żandarmerii miasta Monachium, mądrym, starszym amerykańskim pułkownikiem. W jego (też przegrzanym) biurze spotkał się ponownie ze swymi przyjaciółmi — marsylskim eks-złoczyńcą Bastianem Fabrem i czarnowłosą, czarnooką Christine Troll.

— Mister Lieven — zaczął pułkownik — chemiczna analiza różnych próbek „beauty milk” z fabryki Troll potwierdziła prawdziwość pańskiej tezy o bakteriach pleśni. Dlatego też zarówno pan, jak i Bastian Fabre zostaniecie niezwłocznie wypuszczeni na wolność.

— Chwileczkę — powiedział Thomas nerwowo — a co z panną Troll?

— Na podstawie odcisków jej palców stwierdziliśmy, że Christine Troll była — pod nazwiskiem Vera Fross — przez ponad rok członkiem osławionej bandy Kaisera w Norymberdze. Ci młodociani gangsterzy kradli samochody, napadali na żołnierzy i obrabowywali

wille amerykańskich oficerów. Członkinie bandy zajmowały się oficerami, których odurzano środkami nasennymi i alkoholem, a następnie okradano...

Thomas gapił się na Christine Troll, subtelną, dobrze wychowaną Christine, dziewczynę z dobrego mieszczańskiego domu, na tę tak czystą, tak porządną, taką promieniującą moralnością osobę. Patrzył na swą współniczkę, którą szanował jak damę i traktował jak niewinną dziewczynkę.

Christine Troll odwróciła twarz. Jej blade, spokojne oblicze madonny wykrzywił rażący grymas, a głos brzmiał teraz donośnie i ordynarnie.

— Co się tak głupio gapisz, palancie! Może myślateś, że przypadłam do ciebie z sympatii?

— Przypadłam... — powtórzył Thomas ledwie słyszalnym głosem, myśląc: Czyżbym się starzał? Czyżbym już nie dorastał do poziomu rozwyrzonych, niezdolnych bachorów?

— No pewnie, palancie! Zabrałam się! Jak rozwalili nas w Norymberdze, musiałam się gdzieś zaszyć! Wróciłam do swojego starego nazwiska, przytuliłam się do Amerykańców i czekałam na takiego głupca jak ty, żeby mi kopsnął szmal na fabrykę.

— Christine — rzekł Thomas — co ja pani zrobiłem? Dlaczego rozmawia pani ze mną tym tonem?

Dziewczyna postarzała się nagle, wyglądała teraz jak zmęczona życiem, zużyta i cyniczna baba.

— Rzygać mi się już chce na wasz widok! Mężczyźni! Wszyscy jesteście tacy sami. I Amerykanie, i Niemcy! Jesteście bydlakami, wstrętnymi bydlakami, wszyscy...

Głos jej się załamał.

— Shut up — uciął szorstko pułkownik.

Christine zamilkła.

— Fabrykę, cały dochód i gotową produkcję oczywiście konfiskujemy — powiedział pułkownik do Thomasa.

— Chwileczkę, przecież to nie jej wyłączna własność! Ja wyłożyłem pieniądze na ponowne uruchomienie produkcji!

— I am sorry, mister Lieven, fabryka figuruje w rejestrze handlowym pod nazwiskiem Christine Troll i żadnym innym. Obawiam się, że popełnił pan błąd.

Widzisz, znów cię los pokarał, pomyślał Thomas. Za to, że próbowałeś być porządnym i uczciwie zarabiać pieniądze. Forsę diabli wzięli! A gdybyś wykręcił jakiś lewy numer, z pewnością byłbyś bogaty, odznaczany, chwalony, kochany... Ale nie, idioto, musiałeś zakochać się w uczciwości. Życie niczego cię jeszcze nie nauczyło.

Wieczorem tego samego dnia siedział z Bastianem w hallu swej willi przed kominkiem, w którym skwierczał ogień. Pili „pastis”, wódkę, na której we Francji zarobili pieniądze, z których tak wiele właśnie stracili.

— Ostrzegalem cię od początku — przypomniał Bastian. — Teraz jesteśmy prawie goli. Co robić? Sprzedać willę?

— Bynajmniej — rzekł Thomas i przeciągnął się. — Ruszymy na poszukiwanie uranu.

— Czego?!

— Dobrze słyszałeś, mój stary. Amerykańcy zamknęli mnie w celi z bardzo ciekawym człowiekiem. Nazywał się Walter Lippert. Opowiedział mi pewną historię. Fantastyczną historię...

3

Walter Lippert był blady i wychudzony, gdy w swej celi wkroczył na drogę życiową Thomasa Lievena. Człowiek o wyjątkowej inteligencji i z wyjątkowym charakterem. Z zawodu pisarz. Z przekonania antyfaszysta. Spędził kilka lat w obozie koncentracyjnym w Dachau. Przymierał głodem. Dręczył go chłód. Był torturowany. Jego życie wisiało na włosku. W roku 1945 wyswobodzili go Amerykanie. Po czym go zamknęli.

— Wszystko przez Czarną Lucie — powiedział Walter Lippert do Thomasa Lievena.

— Czarną Lucie?

— To największa pokątna handlarka i królowa czarnego rynku w południowych Niemczech — odparł Walter Lippert.

Zanim został aresztowany przez CIC, opowiadał, mieszkał w pewnym mieście na południu Niemiec. W tym samym mieście działała Czarna Lucie, piękna, namiętna kobieta, za którą uganiały się chmary amerykańskich oficerów.

— Zna pan jej prawdziwe nazwisko? — spytał Thomas uwięzionego pisarza.

— Lucie Maria Wallner. Rozwiedziona. Z domu Felt.

Dama ta była właścicielką lokalu pod nazwą „Goldener Hahn”. Lokal ten nabył dla niej i wyposażył w czasie wojny pewien wielkoniemiecki gauleiter. Czarna Lucie była jego tyle żywiołową, co i niewierną kochanką. Gauleiter jeszcze przed końcem wojny pożegnał się

z ziemskim padolem, a Czarna Lucie została po wojnie tyle żywiółową, co i niewierną kochanką niejakiego kapitana Williama Wallace'a.

— Co to za captain Wallace? — spytał Thomas swego towarzysza z celi.

Captain Wallace, mówił Lippert, był komendantem obozu dla internowanych, na przedmieściu pewnego miasteczka. Siedziało tam wielu nazistowskich bonzów, których wyciągnięto na austriackiej granicy z ostatnich tzw. „odwrotowych pociągów”.

Te „odwrotowe pociągi”, które po koniec kwietnia 1945 roku, pękając w szwach, toczyły się na południe, wiozły byłych najwyższych funkcjonariuszy naczelnego dowództwa SA i SS, dyplomatów i urzędników ministerialnych. Panowie ci mieli przy sobie złoto i kosztowności, plany tajnych, nie wprowadzonych jeszcze do walki broni, ogromne ilości morfiny i innych środków odurzających z zasobów Wehrmachtu oraz kostek uranu z Kaiser-Wilhelm-Institut w Berlinie.

Tuż przed granicą bonzów obleciał strach. Najbardziej bali się uranu. Wyrzucali ten cenny materiał przez okna wagonów.

— ... na granicy — ciągnął swą opowieść pisarz Lippert — zostali arestowani przez Amerykanów i przewiezieni do obozu kapitana Wallace'a. Niektórzy z nich siedzą tam po dziś dzień. Złoto, narkotyki i biżuteria zniknęły. Jestem pewien, że wszystko to padło łupem kapitana Wallace'a.

— A uran? — zainteresował się Thomas.

— Zaginął po nim wszelki ślad. Plany tajnej, cudownej broni też. Może do dziś leżą gdzieś w jakiejś przesiece pod śniegiem. Może znalazł je jakiś chłop, kto wie...

— Nie rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego Czarna Lucie? — powiedział Thomas do chudego, załamane go pisarza.

— Po zwolnieniu z obozu koncentracyjnego Amerykanie zatrudnili mnie w swej „Special Branch”.

Pisarz roześmiał się.

— Pasowałem im. Byłem przecież takim dzielnym antyfaszystą! Facet z absolutnie czystym sumieniem! Dlatego też przydzielono mi zadanie „prześwietlania” — „screen” — mieszkańców naszego miasta i wystawiania im (lub nie) stosownych poświadczeń niewinności. Mniej więcej przed rokiem zjawiła się u mnie Czarna Lucie. W towarzystwie kapitana Wallace'a.

Do biura Waltera Lipperta weszła wysoka, piękna i wyniosła kobieta o bujnych kształtach. Czarna Lucie. U jej boku stał captain Wallace — wysoki, szczupły, błękitnooki mężczyzna o wąskich wargach.

Czarna Lucie usiadła na biurku Waltera Lipperta, rzuciła na nie trzy pudełka chesterfieldów, założyła nogę na nogę i odezwała się w te słowa:

— Panie Lippert, czy jak tam panu, długo mam jeszcze czekać na pański papierek? Jeszcze mnie pan nie prześwietlił?

— Nic pani nie dostanie — oburzył się Lippert. — Proszę natychmiast zabrać te papierosy, wstać z mojego biurka i usiąść na krześle!

Captain Wallace poczerwieniał. Mówił doskonale po niemiecku:

— Niech pan posłucha, Lippert, ta dama jest moją narzeczoną! Mamy zamiar się pobrać! Oczekuję od pana... Ma pan niezwłocznie wystawić to zaświadczenie. Zrozumiano?

— Nie wystawię takiego zaświadczenia, captain Wallace — powiedział bładz Lippert.

— A to dlaczego?

— Bo ta dama jest poważnie obciążona. Przez kilka lat była kochanką gauleitera. Denuncjowała ludzi, wysyłała ich do obozów koncentracyjnych, bogaciła się. Powszechnie wiadomo, że zależy jej na „poświadczeniu niewinności”, by przejąć „Bristol”.

„Bristol” był hotelem, którego właściciel — nazistowski zbrodniarz — odszedł w siłą dal.

— Co z tego? — wrzasnął nagle captain Wallace. — Co to pana obchodzi? Dostaniemy ten papier, czy nie?

— Nie — odrzekł Walter Lippert cicho.

— Jeszcze pan tego pożałuje! — krzyczał kapitan.

Wybiegł z biura, a Czarna Lucie, kołyszając się w biodrach i żując gumę, podążała za nim.

Lippert, nie posiadając się z oburzenia, natychmiast zadzwonił do swego landrata, doktora Wenera, który musiał podpisać każde zaświadczenie o „screeningu”.

— To oburzające! — wściekł się doktor Werner. — Ta stara hitlerowska kurwa! Niech się pan nie obawia, Lippert, jestem z panem! Nie ustąpimy! Tego by tylko brakowało!

I nie ustąpili. Ani landrat doktor Werner, ani więzień kacetu Walter Lippert. Ale nie ustąpił też captain Wallace.

— ... doprowadził do tego, że zostałem aresztowany — relacjonował Walter Lippert w styczniu 1947 roku swemu towarzyszy z celi, Thomasowi Lievenowi.

— Siedzę tu od 82 dni. Do tej pory ani razu mnie nie przesłuchano. Moja żona już na pewno odchodzi od zmysłów z troski i strachu. Napisała nawet list do prezydenta Trumana. I nic. Choć coś

jednak się zdarzyło — Czarna Lucie dostała swoje „screening-certifikate”.

— Od kogo?

Lippert zmęczony wrzucił ramionami.

— Od kogoś tam. Ma tylu przyjaciół. I dopięła swego — wydzierżawiła „Bristol”. Teraz tam się robi największe przewałki. Tak, panie Lieven, tak to wygląda. I za to dawałem się bić w obozie, do nieprzytomności, do kresu wytrzymałości. Niech żyje demokracja! Chwała sprawiedliwości!

Takie hasła usłyszał Thomas 26 stycznia 1947 roku w więziennej celi. Dziś, 29 stycznia, siedząc przy trzaskającym ogniu kominka w swej willi na przedmieściu Monachium, powiedział do Bastiana:

— Teraz wiesz już wszystko. Na jakiś czas mam dość, gardłem mi wychodzą dobre uczynki i uczciwe życie.

— Dzięki Bogu. Wreszcie!

— Jedziemy na południe. Do Lucie. Czarnej. Poszukamy tego uranu. I planów, które podobno zapadły się pod ziemię. Przy okazji zatroszczę się też o tego nieszczęśnika Waltera Lipperta. Zasłużył na to.

4

— To on — rzekła zapłakana, przybita Elsa Lippert.

Stała obok Thomasa przy oknie swego pokoju stołowego i wskazywała ręką w dół, na główną ulicę miasteczka.

— Tam idzie, łajdak! Z nią... z Czarną Lucie.

Thomas Lieven z zaciekawieniem patrzył na tę parę — jasnowłosego, szczupłego oficera i kobietę w kosztownym bobrowym futrze. Captain miał bliznę na lewym policzku! Nie była to blizna pooperacyjna, nie, ta blizna była pozostałością po pojedynku! Dziwne. Od kiedy to Amerykanie wdawali się w pojedynki?

Thomas obrzucił badawczym spojrzeniem kobietę u boku osobliwego kapitana. Wyglądała jak drapieżne zwierzę — silny, w każdej chwili gotowy do skoku drapieżnik.

— Czyli ta pani zawiaduje obecnie „Bristolem”?

— Tak, panie Scheuner — powiedziała pani Lippert.

Thomas przedstawił się jako Peter Scheuner. Na to właśnie nazwisko miał wystawione doskonałe papiery. Sam je zresztą sobie

wystawił. Także Bastian nazywał się już inaczej — Jean Lequoc.

— Pani Lippert — powiedział Thomas — spróbuję pomóc pani mężowi. Ale muszę wiedzieć wszystko. Mówi pani, że „Bristol” był własnością zbiegłego nazisty?

— Tak.

— W takim razie hotel przeszedł pod kontrolę „Property Control Office”. Jak nazywa się szef tego „Urzędu Kontroli Własności”?

— Captain Hornblow.

— Zaprzyjżniony z kapitanem Wallacem?

— Bardzo.

— Aha — rzekł Thomas Lieven.

W miasteczku roiło się od żołnierzy, uciekinierów i „displaced persons” — uchodźców. Brakowało kwater, gościniec i hotel były przepełnione do granic wytrzymałości.

Thomas i Bastian znaleźli dwa ciche pokoje u gospodarza, w wiosce pod miastem. Zakwaterowali się tam pod fałszywymi nazwiskami 20 lutego 1947 roku i zostali przez trzy miesiące. To długi czas, ale panowie nie próżnowali. Wręcz przeciwnie.

Na początek, przez kilka dni odwiedzali „Bristol”. W dzień i w nocy. Ożywiony ruch. W dzień i w nocy. Tańczono, pito, flirtowano i skutecznie lewe interesy, szeptano, handlowano i telefonowano. W „Bristolu” urzędowały chmary lekkich dziewczyn, pętali się żołnierze, którzy pozbywali się tu żołdu, podejrzeni Polacy, dziwni Czesi, kilku węgierskich arystokratów, Rosjan własowców i oczywiście Niemców.

W dzień i w nocy, zawsze można tam było zobaczyć Czarną Lucie, wymalowaną, wydekoltowaną i czujnym okiem doglądającą interesu. Prawie co wieczór odwiedzał lokal także captain Wallace — szczupły, sprężysty, wysoki i jasnowłosy. Z bliźną na policzku...

Thomas i Bastian przez tydzień obserwowali życie miasteczka, po czym — w pewnej wiejskiej gospodzie — odbyli radę wojenną.

— Są tu, mój stary, panienki, są żołnierze i uchodźcy, ale przede wszystkim są tu faszyści — powiedział Thomas. — Tutejsi i napływowi. To wiem. Ale Amerykanie chyba nie. Ale my, ty i ja, nie możemy o tym zapomnieć. Nigdy! Naszym celem jest uran i plany konstrukcyjne.

— Chyba że nie mamy już czego szukać!

— Wszystko wskazuje na to, że mamy. Wydaje mi się, że nawet wiem, jak to zrobić. Zastosujemy pewną niezawodną metodę...

— No mów już, mów — niecierpliwił się Bastian.

Thomas powiedział.

Był to plan tak prosty, jak genialny. Jego realizację zaczęto 28 lutego. 19 kwietnia Thomas dysponował już:

— 28 kostkami uranu 238 o krawędzi 5 centymetrów i wagi 2,2 kilograma, wszystkie opatrzone wybitym znakiem „Kaiser-Wilhelm-Institut” w Berlinie.

— egzemplarzem tajnego celownika MKO

oraz

— dokładnymi planami konstrukcyjnymi tegoż tajnego przyrządu celowniczego Trzeciej Rzeszy, wykonanego tylko w kilku prototypowych egzemplarzach i nie wdrożonego jeszcze do produkcji. Przewidywano go jako oprzyrządowanie myśliwców, które miało umożliwić trafienie przeciwnika dokładnie w tym momencie, gdy pojawi się na celowniku, bez potrzeby brania poprawki na upływ czasu...

Jak Thomas Lieven tego dokonał...

Jak tego dokonał ów tajemniczy Peter Scheuner, zadawali sobie — i słusznie — pytanie francuscy, amerykańscy, angielscy i inni agenci w połowie kwietnia 1947 roku, od których wówczas aż roiło się w południowych Niemczech i którzy — jak Thomas Lieven alias Peter Scheuner — usiłowali dotrzeć do tych przyrządów celowniczych i ich planów konstrukcyjnych.

Właśnie szybciotko przeskoczyliśmy w naszej relacji wiele tygodni. Przecież dziś dopiero 28 lutego. Dlatego też zachowajmy na razie dla siebie tajemnicę sukcesu Thomasa Lievena i opowiedzmy w krótkich słowach, co wydarzyło się w ciągu tych trzech miesięcy wokół tajemniczej Czarnej Lucie. I wokół Thomasa Lievena.

5

W czasie trzech miesięcy, między początkiem zimy a nastaniem wiosny, narkotykowe operacje Czarnej Lucie i jej amerykańskiego kochanka przybrały ogromne rozmiary. Nie liczyli się z nikim i z niczym, napuszczali jednych wywiadowców na drugich, nakręcali spirale cen. Czy Czarna Lucie wiedziała, że igra ze śmiercią?

Pisarz Lippert nadal siedział w monachijskim więzieniu. Thomas robił co mógł, by mu pomóc. Na próżno. Na razie nie było na to żadnych widoków. Nieszczęsnego Lipperta, który odważył się przeciwstawić Czarnej Lucie, otaczał mur milczenia, jakieś sprzysiężenie.

— Cierpliwości — pocieszał Thomas niefortunną, bezbronną i bezsilną Elzę Lippert. — Niech pani poczeka. Komuś dzieje się tu krzywda. Żadna krzywda nie trwa wiecznie. Czasem trwa długo, ale nigdy wiecznie. Nadejdzie dzień, kiedy pani mąż uzyska należną mu satysfakcję.

O ile każda próba rehabilitacji pisarza Lipperta kończyła się niepowodzeniem, o tyle prywatne akcje Thomasa Lievena rozwijały się bardzo pomyślnie. Jako się rzekło, 19 kwietnia posiadał już uran, prototyp urządzenia celowniczego i jego konstrukcyjne plany.

Wkrótce wśród agentów różnych nacji rozeszła się wieść, że Thomas jest w posiadaniu tego typu skarbów. Zaczęli go nachodzić z ofertami zakupu. Głównym obiektem ich zainteresowania był uran. Wybór Thomasa Lievena padł tym razem na argentyńskiego biznesmena i osobistego zaufanego Juana Domingo Perona, który przed rokiem został prezydentem swego kraju.

— O takiego nam chodziło, mój stary — powiedział Thomas do swego przyjaciela Bastiana. — Precz z tym czymś z Europy! Im dalej, tym lepiej! Tam, gdzie nie posłuży do produkcji bomb!

Argentyńczyk płacił amerykańskimi dolarami, 3200 dolarów za kostkę, razem 899 600 dolarów. Uran został zadeklarowany jako bagaż dyplomatyczny i poleciał do Argentyny.

Przychylny czytelnik przypomina sobie może skandal związany z pierwszą argentyńską elektrownią atomową, który stanowił prasową sensację roku 1954. Ujawniono wówczas, że rzekomy fizyk atomowy niemieckiego pochodzenia, niejaki „profesor” Ronald Richter, od 1948 roku przeprowadzał — na zlecenie Perona — eksperymenty atomowe na wyspie Huemul. Jego prace miały uczynić z Argentyny mocarstwo atomowe. Peron oddał do dyspozycji osobliwego profesora 300 milionów marek. Jednakże wskutek technicznych niedociągnięć milionowy projekt nie wypalił. Sztaby we wnętrzu reaktora atomowego wyprodukowano między innymi z uranu, którego wszystkie kostki były opatrzone stemplem „Kaiser-Wilhelm-Institut” w Berlinie...

Rozpoczęła się przepychanka agentów. Wszyscy chcieli wydusić od Thomasa Lievena urządzenie celownicze MKO. Jako przekonany pacyfista Thomas dokonał oczywiście w planach pewnych niezbędnych korekt. Tak dalece idących, że nawet najgenialniejsi technicy daremnie łamali sobie głowy, by je zrozumieć. Jako przekonany biznesmen skopiował owe plany wielokrotnie, gdyż marzyło mu się sprzedanie ich nie jednemu, lecz kilku kontrahentom.

Właśnie starał się wytargować kolejną najlepszą cenę, gdy zjawił się pan Gregor Marek. Pan Marek pochodził z Czech. Thomas często

Menu, Monachium, 6 maja 1947

Węgorz w szalwii
Krokiety cielęce
Pudding orzechowy

Po tym daniu nieomal nie rozleciał się Rząd Wojskowy Bawarii.

Węgorz w szalwii: dobrze oczyszczonego, pokrojonego w kawałki węgorza marynujemy co najmniej godzinę w zalewie z soku cytrynowego, soli, pieprzu i posiekanych korzeni z dodatkiem szalwii. Następnie zawijamy każdy kawałek w liście szalwii i zapiekamy 20-25 minut na zrumienionym maśle, podajemy na półmisku z plasterkami cytryny, polane zrumienionym masłem. Podajemy z młodymi ziemniakami posypanymi siekaną pietruszką i z mizerią.

Krokiety cielęce: odżyłowane mięso cielęce przekręcamy z namoczoną białą bułką przez maszynkę (bułka bez skórki) z dodatkiem upróżonej na maśle posiekanej pietruszki i szalotek. Do tej masy dodajemy rozmacone jajko, solimy i pieprzymy do smaku, masę starannie mieszamy i wybijamy. Następnie formujemy okrągłe medaliony, obtaczamy w tartej bulce i smażymy na złoto na gorącym maśle. Mięso podajemy z ketchupem na świeżo wypieczonych grzankach z białego chleba z foremki.

Budyni orzechowy: 4 żółtka ubijamy na sztywno z 75 g cukru, sokiem i startą skórką z połowy cytryny, dodając 145 g zmielonych orzechów i na końcu ubitą pianę z 4 białek. Masą tą wypełniamy uprzednio przygotowaną formę budyniową i gotujemy godzinę w garnku z wodą. Do budyniu podajemy soki owocowe lub gorący krem.

widywał go w „Bristolu”. Wszystko wskazywało na to, że panu Markowi powodziło się znakomicie. Niewysoki, przysadzisty, zawsze elegancko ubrany, miał szerokie kości policzkowe i skośne, słowiańskie oczy. Jego pochodzenie decydowało o jego akcencie.

— Niechże mi panowie, proszę, powiedzą, czy mógłbym zamienić z panami parę słów? Słyszałem, że macie panowie coś do sprzedania...

Thomas i Bastian nie wiedzieli zrazu, do czego zmierza. Z czasem pan Marek odkrył karty.

— Mam tam ludzi, w Czechosłowacji, przyjaciele, dobrze płacą. Niech mi pan więc pokaże to coś, te plany.

Po zwykłych w takich przypadkach targach Thomas i Bastian pokazali w końcu panu Markowi to coś i te plany. Czechowi oczy wyszły na wierzch.

— Nie do wiary! Już cały rok ganiam i ganiam za tymi planami. I nic! Niech mi pan, bardzo proszę, powie, jak pan tego dokonał.

— To proste, drogi panie Marek — odparł Thomas. — Wziąłem pod uwagę polityczną postawę ludności. Tylu tu nazistów. Przez kilka tygodni jeździliśmy z przyjacielem po okolicy. Od jednego nazisty do drugiego. Dawaliśmy do zrozumienia, że jesteśmy członkami wehrwolfu...

— O mój ty Boże najmilejszy i jeszcze wszyscy święci, na głowę pan upadł?

— Bynajmniej, mój drogi. Sam pan widzi rezultat. Gadaliśmy ze sobą jak faszysta z faszystą. Z tutejszymi i napływowymi. Gdzie ten uran? Co się stało z planami? Nasza organizacja potrzebuje finansowego wsparcia. Musimy sprzedać uran i plany. Panowie natychmiast wykazali zrozumienie. Skierowali nas do odpowiednich ludzi... Voila monsieur!

— O zesz ty! I tak bezpłatnie?

— Nie zapłaciliśmy ani centa. Sami idealisci. Do rzeczy. Co proponują pańscy mocodawcy ze Wschodu?

— Muszę pojechać i się trochę rozpytać.

Agent znikł. Wrócił po trzech dniach w znakomitym humorze.

— Mam pana serdecznie pozdrowić. Zapraszam pana dziś do mnie na kolację. Słyszałem, że lubi pan gotować. Mam w domu wszystko, co potrzebne. Pogadamy spokojnie o interesach.

6 maja 1947 roku około godziny jedenastej Thomas i Bastian zjawili się w luksusowo urządzonej mieszkanie agenta demokracji ludowej.

— Pańscy czescy przyjaciele muszą być bardzo hojni — zdziwił się Thomas.

— Niech pan nie przesadza — uśmiechnął się Marek — to nie jest główne źródło moich dochodów! Proszę pozwolić ze mną.

Marek poprowadził swych gości do przestronnego pomieszczenia obok kuchni. Leżały tu, ułożone w wielkie sterty, setki książek wydanych w okresie Trzeciej Rzeszy. „Führer i dzieci”, „Zjazd partii w Norymberdze”, „Autostrady führera”, „Zwycięstwo na Zachodzie”, „Zwycięstwo na Wschodzie” i inne tego typu dzieła.

Thomas wziął do ręki jedną z książek. Otworzył ją. Całostronnicowe zdjęcia pokazywały parady wojskowe, bonzów, generałów i na każdym kroku jego — führera.

— To tylko część moich zasobów. Mam tego jeszcze całą piwnicę. Poza tym sztylety SS, order, odznaki z trupimi czaszkami... Czego dusza zapagnie! Nie ma pan pojęcia, jakim się to cieszy popytem. A najlepsi klienci to Amerykanie. Po prostu oszaleli. Zabierają ten szajs do domu. Na pamiątkę.

Przeszli do kuchni, gdzie Thomas ujrzał w całej okazałości dobra uzyskane za sprzedane pamiątki — konserwy, mięso i whisky.

— Kupiłem pięknego węgorza, panie Scheuner. Może mógłby pan przyrządzić go w liściach szalwii? To moja ulubiona potrawa.

— W takim razie, do roboty — postanowił Thomas.

Oczyścił węgorza, pociął go na dzwonka i słuchał, cały czas słuchał, Marka.

— Moi mocodawcy chcą porozmawiać z którymś z panów osobiście. Wszystko zaaranżowane. Przeprowadzimy pana przez granicę. Mamy swoich ludzi wśród służby granicznej. Oczywiście planów nie zabierze pan ze sobą. Ja zostanę tutaj z tym z panów, który nie pojedzie.

Thomas i Bastian wyszli do ogrodu, gdzie odbyli krótką naradę.

— Ja pojedę — zaproponował Bastian — a ty nie będziesz spuszczał z niego oka. Jak coś się stanie, przekażesz go Amerykanom. Mam nadzieję, że ci z tamtej strony znają francuski!

Zapytany o to Marek, odparł:

— Jak swój język ojczysty. Mówią płynnie, panowie, płynnie!

Thomas doglądnął węgorza.

— Jeszcze przez godzinę musi leżeć w marynacie — powiedział. — Jeśli pan pozwoli, rozejrzę się tymczasem nieco w pańskiej bibliotece.

— Ależ proszę, z przyjemnością, bardzo proszę, niech pan działa — powiedział Marek.

Thomas zadziałał. Brał do ręki tom za tomem i się dziwił.

— Popatrz, popatrz, co to się u nas nie działo...

Przeglądnął piętnaście książek, dwadzieścia. Dwudziesta pierwsza nosiła tytuł: „Führer i jego ludzie”. Thomas otworzył ją, po czym nagle chrapliwie wciągnął powietrze i wstrzymał oddech. Krzyknął na Bastiana. Ten nadbiegł przerażony.

— Spójrz no...

Thomas wskazał na wielkie zdjęcie, na którym widnieli dwaj ludzie w mundurach SA. Jeden z nich był tłusty i nadęty, drugi jasnowłosy, szczupły, wysoki i wyniosły. Miał bliznę na lewym policzku. Pod zdjęciem widniał podpis:

SZEF SZTABU SA ERNST RÖHM I JEGO STURMFÜHRER FRITZ EDER

Thomas przerzucił stronę tytułową, przeczytał stopkę redakcyjną.

— Wydrukowano w roku 1933 — powiedział. — Wtedy pan Röhm jeszcze żył. Zamordowano go w roku 1944. Może panu Ederowi udało się zbiec do Ameryki. Nie sądzę, żeby trudno było ustalić, czy sturmführer SA Eder i captain Wallace to jedna i ta sama osoba!

Nie, nie było to trudne!

Po tygodniu CIC ustaliło, że captain Wallace to rzeczywiście ta sama osoba, co były sturmführer SA Eder. I rzeczywiście po puczu Röhma zbiegł do Stanów, gdzie zmienił nazwisko.

Wallace, alias Eder, został aresztowany. Ten sam los spotkał kapitana Hornblowa z „Property Control Office”. Obaj zostali później skazani na kary długoletniego więzienia.

Opuśćmy teraz na chwilę naszego przyjaciela Lievena i opowiedzmy pokrótce historię końca największej centrali czarnego rynku w Europie.

20 maja 1947 roku pisarz Walter Lippert został zwolniony z więzienia. 29 maja Jego Czcigodność sędziego Earl Rivers, ze stanu Północna Karolina, przyleciał do Niemiec, aby na zlecenie sekretarza stanu do spraw obronności Kennetha Royalla przejąć śledztwo w sprawie prowadzonej na wielką skalę spekulacji. 5 czerwca zostało aresztowanych i przesłuchanych 14 żołnierzy amerykańskich i 25 obywateli niemieckich, między innymi Czarna Lucie. 2 lipca Czarna Lucie została wypuszczona na wolność z zastrzeżeniem, że nie wolno jej opuszczać miasta. Nie opuściła miasta. Nadal kręciła interes. Wydaje się jednak, że nie zachowała umiaru w swej gorliwości. Robienie pieniędzy skończyło się dla niej przykrym zgrzytem. 23 grudnia znaleziono ją w jej sypialni z poderżniętym gardłem. Jej dobytku nie tknięto. Mordercy nigdy nie schwytano.

12 stycznia 1948 roku amerykańska gazeta wojskowa „Stars and Stripes” doniosła pod wybitym wielkimi czcionkami tytułem:

HUGE DOPE RING PROBED IN BAVARIA

by Tom Agoston

„Frankfurt, Jan. 12 (INS). Postwar Germany’s biggest black market scandal, involving a gang of international narcotic peddlers... threatened to blow up in the lap of U. S. Military Government today...”

Co w przekładzie brzmiało:

**ŚLEDZTWO W SPRAWIE GANGU NARKOTYCZNEGO
W BAWARII**

Tom Agoston relacjonuje:

„Frankfurt, 12 stycznia (INS). Największy czarnorynkowy skandal w powojennych Niemczech, w który zamieszana była między-

narodowa banda handlarzy narkotyków, wybuchł dziś tuż pod bokiem Amerykańskiego Rządu Wojskowego.”

I dalej:

„Sprawa ujrzała światło dzienne dzięki zbrodni dokonanej na pewnej Niemce o nazwisku Lucie W., która przed niespełna trzema tygodniami została brutalnie zamordowana.

Podobno bardzo poważne oskarżenia dotyczą dwóch oficerów Amerykańskiego Rządu Wojskowego w Bawarii. Skandal ten może zakłócić stosunki niemiecko-amerykańskie. Chodzi o sumy w wysokości 3 do 4 milionów dolarów.”

Tyle relacji prasowych.

Wróćmy teraz do roku 1947.

9 maja Bastian Fabre opuścił swego przyjaciela Thomasa Lievena, udając się w kierunku Czechosłowacji. Chciał wrócić do 15 maja. Nie wrócił. Ani 15 maja, ani do końca maja.

Najbardziej niepokoił się pan Marek. Bardziej niż Thomas.

— Na pewno coś się stało... coś takiego nigdy się jeszcze nie zdarzyło... to solidni ludzie ... moi mocodawcy...

— Marek, jeśli memu przyjacielowi coś się stanie, niech Bóg ma pana w opiece!

22 maja Marka odwiedził jego krajan, który przywiózł mu jakiś list, po czym bardzo, bardzo szybko się pożegnał. Pan Marek bladł w oczach, czytając pismo.

Thomas w napięciu nie spuszczał go z oka.

— Co jest? — spytał niecierpliwie.

Pan Marek ze zdenerwowania z trudem artykułował słowa.

— O Boże, Boże!

— Co się stało? Mów pan wreszcie!

— Rosjanie aresztowali pańskiego przyjaciela.

— Rosjanie?

— Dowiedzieli się, że Czesi chcą kupić celownik. Ruskie zabronili. Zamknęli go. Mówią, chcą, sami chcą mieć to coś. O Boże, Boże!

— Gdzie go trzymają?

— W Zwickau. Pana przyjaciel musiał chyba jechać przez sowiecką strefę okupacyjną.

— Panie Marek — rzekł Thomas — niech się pan gotuje do podróży.

— Pan chce... Chce pan pojechać do Zwickau?

— Oczywiście — powiedział Thomas.

W południe 27 maja 1947 roku na północny zachód od miasta Hof w Bawarii, tuż przed wioską Blankenstein leżał na skraju lasu pewien sympatyczny pan. Na brzuchu. Panem tym nie był nikt inny, jak tylko były prywatny bankier, Thomas Lieven. Instykt samozachowawczy kazał mu nosić obecnie nazwisko Peter Scheuner.

Przed nim, na mchu, leżała mapa. Cały czas korzystał z jej pomocy. Tam, gdzie kończył się las, zaczynała się pełna kwiecica łąka. Jej środkiem przemykała szemrząca, wesola rzeczka. Może nasz przyjaciel nie byłby tak pogodny, gdyby wiedział, że strumyk ten stanowił granicę między amerykańską i sowiecką strefą okupacyjną.

Na brzegu rzeczki kończyły się jedne Niemcy i zaczynały drugie. Na mapie oznaczono to kreskowaną brunatną strefą. Mam nadzieję, że było to działanie celowe. Żeby przypomnieć kto był winien temu, że mamy Niemcy i Niemcy...

Dwunasta w południe, 27 maja — tak ustalono termin spotkania. Trzy drzewa nad rzeczką — tak ustalono miejsce spotkania. Miał tu na Thomasa czekać żołnierz Armii Czerwonej. Tylko że nie czekał...

Panowie, panowie, myślał Thomas Lieven, nie przesadzajmy z tym niedbalstwem! Wysyłam mojego przyjaciela Bastiana do Zwickau, by prowadził z Czechami pertraktacje na temat — oczywiście odpowiednio spreparowanych — planów konstrukcyjnych cudownego urządzenia celowniczego. Rosjanie przechwytyują go. Oczywiście muszę go wyrwać z ich szponów. Oczywiście jest też to, że leżę tu w południe 27 maja. Jestem gotów. Mam ze sobą teczkę ze sfalszowanymi planami. Leżę tu i czekam na czerwonoarmistę, który przerzuci mnie z jednych Niemiec do drugich. Ale faceta nie ma. Czy naprawdę nigdy nic w życiu nie może potoczyć się wedle z góry ustalonego planu?

Thomas Lieven leżał na skraju lasu do godziny dwunastej dwadzieścia osiem. Gdy po raz pierwszy zaburczało mu w brzuchu, na drugim brzegu rzeki pojawił się radziecki żołnierz. W rękę trzymał gotowy do strzału pistolet maszynowy. Gdy dotarł do kępy (trzech) drzew stanął i zaczął się rozglądać. No wreszcie, pomyślał Thomas. Wstał i wszedł na łąkę. Czerwonoarmista, młody chłopak, popatrzył na niego zdumiony.

— Hallo! — rzucił Thomas, krocząc w stronę żołdata i kiwając przyjaźnie ręką.

Na brzegu rzeczki przystanął, zdjął buty, skarpetki i podwinął nogawki spodni. Potem, brodząc w lodowatej wodzie, przeszedł na

drugi brzeg. Pośrodku rzeki dotarł do niego ochryply krzyk. Zamarł zaskoczony.

— Stoj! — ryknął czerwonoarmista.

Krzyczał coś jeszcze, ale Thomas nic nie zrozumiał, pomachał mu przyjaźnie i, brodząc dalej, wyszedł na drugi brzeg. Młody krasnoarmiejec podbiegł do niego. Dopiero wtedy Thomasowi nagle spadły łuski z oczu. O zgrozo! Przecież to nie jest mój czerwonoarmista, który miał tu na mnie czekać. To jakiś całkiem inny. Facet, który nie ma o niczym zielonego pojęcia!

Czerwonoarmista krzyczał coś gardłowo.

— Mój drogi, młody przyjacielu, niechże pan posłucha... — zaczął Thomas.

Ale już miał lufę pistoletu maszynowego między żebrami. Upuścił buty, skarpetki i teczkę. Podniósł ręce do góry. To straszne, pomyślał. Jeszcze tylko Armii Czerwonej mi brakowało...

Wspominając, odbyte wprawdzie w zamierzchłych czasach, acz doskonałe, angielskie szkolenie w jiu-jitsu, Thomas zastosował tak zwany „podwójny chwyt motylkowy”. Ułamki sekund później czerwonoarmista z krzykiem szybował w powietrzu, lądując po chwili — z pistoletem maszynowym gotowym do strzału — w rzecze.

Thomas chwycił buty, skarpetki i teczkę, po czym ruszył biegiem... do radzieckiej strefy okupacyjnej.

Wtem ziemia zdrząła. Przerażony podniósł głowę. Ze skraju lasu po sowieckiej stronie łąki ruszyła chmara ludzi — około pięćdziesięcioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Jak szaleni pędzili w stronę rzeczki, przekroczyli ją i gnali dalej... do amerykańskiej strefy okupacyjnej.

Thomas patrzył na nich osłupiały. Wszystkim im pomógł w ucieczce na Zachód! Wszyscy oni, tak jak on na Zachodzie, leżeli tu, na Wschodzie, na czatach. Thomas roześmiał się. Oblęd, pomyślał. Potem spostrzegł, że Rosjanin wynurzył się z rzecznej toni, złapał powietrze i ... Thomas puścił się biegiem. Za sobą słyszał ryk młodego czerwonoarmisty. Potem padły strzały. Słyszał świst pocisków (Uwaga! — sowieckie pistolety maszynowe strzelają nawet po kąpieli w wodzie!).

Na drodze pojawił się radziecki jeep. Obok kierowcy siedział jakiś kapitan. Oficer podniósł się z siedzenia i — trzymając się przedniej szyby — krzyczał coś po rosyjsku do żołnierza, który nadal strzelał jak opętany. Młody czerwonoarmista natychmiast wstrzymał ogień. Jeep zatrzymał się obok Thomasa Lievena.

— Gospodin Scheuner, tak? — spytał kapitan gardłową niemczyzną. — Niech pan wybaczy spóźnienie. Opony niedobrze, kaput. Ale teraz dobrze. Witamy, gospodin, serdecznie witamy!

„Palast-Cafe” w Zwickau przedstawiała sobą tak żałosny widok, jak cała reszta tego liczącego 120 000 mieszkańców miasta. Sześć godzin po umożliwieniu grupowej ucieczki dość pokaźnych rozmiarów, Thomas siedział w kącie rzeczonoego lokalu, pijąc namiastkę lemoniady.

Nie miał nic innego do roboty tego 27 maja. Kapitan, który przyjechał po niego na granicę, zawiózł go do dowództwa w Zwickau. Radziecki komendant miasta, niejaki pułkownik Melanin, przeprosił go za pośrednictwem tłumacza i umówił się z nim nazajutrz o dziewiątej.

W ten sposób Thomas trafił do ponurego hotelu, a potem tutaj. Patrzył na smutnych ludzi, mężczyzn w starych dwurzędowych garniturach i znoszonych koszulach, na niewymalowane kobiety w wełnianych pończochach, starych butach na korkach i strąkowatych włosach. O Boże, pomyślał, a tam, skąd przybyłem, odrodził się już całkiem inny świat. Spekuluje się, haruje i żyje. Coraz lepiej. Tu zaś wygląda na to, że wy, tylko wy, przegraliście wojnę!

Przy stoliku naprzeciw siedziała wytworna para, jedyna wytworna para, jaką Thomas do tej pory w Zwickau zauważył. Kobieta była piękną, postawną blondynką o bujnych kształtach, wspaniałych pszenicznych włosach, zmysłowej słowiańskiej twarzy i błyszczących błękitnych oczach. Miała na sobie obcisłą, zieloną letnią sukienkę, na oparciu krzesła wisiało futro z leoparda.

Jej towarzysz był muskularnym olbrzymem z ostrzyżonymi na krótko, siwymi włosami. Miał na sobie typowy rosyjski urawniłowny niebieski garnitur z szerokimi nogawkami, siedział tyłem do Thomasa i rozmawiał ze swą panią. Nie ulegało wątpliwości, że byli to obywatele Związku Radzieckiego. Nagle Thomas drgnął. Pszeniczna dama wyraźnie się nim interesowała! Uśmiechała się do niego, szczyrzyła ząbki, puszczała oko...

Hm!!!

Przecież nie zwariowałem, pomyślał nasz przyjaciel, odwrócił się i zamówił jeszcze jedną butelkę namiastki lemoniady. Po trzecim łyku znów spojrzał w wiadomym kierunku.

Dama uśmiechała się. Thomas odpowiedział uśmiechem. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie. Jej partner odwrócił się. Wyglądał jak tarzan made in Soviet Union. Zerwał się na równe nogi. Trzema susami znalazł się przy Thomasie. Złapał go za kłapy marynarki. W kawiarni podniósł się krzyk gości. To wyprowadziło

Thomasa z równowagi. Jeszcze bardziej zdenerwował się, gdy za plecami zazdrosnego olbrzyma spostrzegł, że pszeniczna wstała i sprawiała wrażenie, jakby scena bawiła ją setnie. Ty gnido, pomyślał Thomas, coś tu śmierdzi, zmierzasz do tego, bym...

Tu skończyło się jego myślenie, gdyż pięść olbrzyma zagłębiła się w jego brzuchu. tego było już Thomasowi za wiele. Schylił się gwałtownie i podciął olbrzymowi nogi. Po raz drugi tego dnia jiu-jitsu. Tym razem „chwyt żeglarski”. Ponieważ rosyjski Otello stał przed barierką garderoby, wznosił się ponad nią w powietrze i znikł. Kątem oka Thomas dostrzegł, że jakiś sowiecki podoficer wyciągnął pistolet.

Odwaga jest sprawą inteligencji. Trzeba wiedzieć, kiedy przestać. Thomas skulił się, ruszył ku wyjściu i wybiegł na ulicę. Na szczęście nie było w pobliżu czerwonoarmistów, a Niemcy nie zwracali na niego uwagi. Gdy jakiś Niemiec biegł, miał z góry za sobą sympatię współrodaków.

Thomas biegł aż do stawu z łabędziami. Tu, w pięknym, starym parku, przysiadł, dysząc, na ławce. Po chwili doszedł do siebie i chyłkiem przekradł się do hotelu.

Nazajutrz tłumacz poprosił ogolonego, eleganckiego i pewnego siebie Thomasa Lievena do gabinetu komendanta miasta Zwickau. Potem — przynajmy — naszego przyjaciela prawie trafił szlag, gdy spostrzegł, że komendantem miasta Zwickau nie był nikt inny, jak tylko ów zazdrosny tarzan, którego Thomas w przeddzień po południu, stosując „żeglarski chwyt”, wyprawił za garderobianą barierkę „Palast-Cafe”...

Dziś olbrzym miał na sobie mundur. Na jego piersi można było podziwiać kilka szeregów odznaczeń. Patrzył na Thomasa w milczeniu.

Ten zaś główkował: Biuro na trzecim piętrze. Przez okno? Bez sensu. Żegnaj Europo. Niektórzy twierdzą, że na Syberii da się żyć...

— Gospodin Scheuner — odezwał się wreszcie pułkownik Wasili L. Melanin gardłową niemczyzną. — Wczorajsze wypadki godne pożalowania.

Thomas patrzył na niego bez słowa.

— Przykro mi. Wszystko przez Dunję... Ten przeklęty szatański wypierdek! — wrzasnął nagle jak opętany.

— Czy pan pułkownik mówi może o pańskiej szanownej małżonce?

— Ta suka! — powiedział Melanin przez zęby. — Już bym był, mógł być, generał brygady. Już dwa raz, dwa raz mnie już zdegradowali... przez ona... bo się wdałem w bójka.

— Panie pułkowniku, musi pan trzymać nerwy na wodzy — powiedział Thomas ugodowo.

Melanin trzasnął ręką w stół.

— Tylko że ja kocham tę gołąbeczkę Dunję. Ale dość z tym, przejdźmy do rzeczy. Chyba najpierw musimy coś wypić, panie Scheuner...

Tak więc wypili wspólnie buteleczkę wódki, po której Thomas Lieven był kompletnie pijany, a pułkownik Melanin trzeźwy jak niemowlę. Rozmawiali i rozmawiali, płynnie i błyskotliwie, tyle że bez rezultatu.

Pułkownik Melanin twardo obstawał przy swoim zdaniu.

— Chciał pan sprzedać ten przyrząd celownik MKO Czechom — mówił. — Wysłał pan tu swój przyjaciel. Może pan z nim na Zachód, jeśli nam pan przekaże plany.

— Sprzeda — skorygował Thomas z naciskiem.

— Przekaze — upierał się pułkownik. — Nie będziemy płacić.

Potem uśmiechnął się porozumiewawczo i powiedział:

— Nie sądzę, żeby był pan tak naiwny, panie Lieven!

Czasem kolana zachowują się jak wiśniowa galaretka, pomyślał Thomas.

— Co raczył pan być powiedzieć, panie pułkowniku? — bąknął Thomas.

— Powiedziałem Lieven, Thomas Lieven. Przecież tak się pan nazywa. Myśli pan, braciszku, że my idioci! Myśli pan, co nasz wywiad nie miał wglądu w sojusznicze akta? Nasi ludzie w Moskwie, ci się zaśmiewali na śmierć o te pańskie numery.

Thomas opanował się.

— Jeśli... — zaczął — jeśli już wiecie, kim jestem, dlaczego mnie nie zamkniecie?

— A po co, braciszku? Jest pan — proszę nie brać mi to za złe — śmiesznie kiepskim agentem.

— Bardzo dziękuję.

— Potrzebni nam pierwszorzędni agenci, a nie takie komiczne figury, jak pan.

— Bardzo pan miły.

— Słyszę, że pan chętnie gotuje. A ja chętnie jem! Niech pan do nas wpadnie. Dunja się ucieszy. Ja zrobię bliny. Kawioru mam w bród. I pogadamy, co dalej. Co na to?

— Wspaniały pomysł — powiedział Thomas i pomyślał przejęty skruchą: Kiepski agent. Komiczna figura. I ja słucham tego spokojnie. No cóż...

Nie pozostało mu nic innego. W kuchni zarekwirowanej willi przyrządził kotlet marechal, choć czuł się przy tym bardzo nieswojo.

Menu, Zwickau, 28 maja 1947

Bliny z kawiozem

Kotlet Maréchal z groszkiem i frytkami

Pudding karmelowy

W życie Thomasa Lievena wkracza Rosjanka Dunja z udkiem kurczęcia w rękę.

Bliny z kawiozem: bierzemy po dwa na osobę, świeżo upieczone, wielkości dłoni, omelety. Podajemy je na wygrzanych talerzach. Jeden posypujemy gęsto kawiozem i przykrywamy drugim omeletem. Polewamy gorącym, rozpuszczonym masłem i gęstą, kwaśną śmietaną (prawdziwe bliny przygotowujemy z mąki gryczanej, mąka ta jest u nas trudno osiągalna).

Kotlet Maréchal: należy wyjąć kości z delikatnych kurzych udek, tak aby nie uszkodzić skóry. Przygotowujemy farsz z posiekanej piersi kurzej, łyżki masła z dodatkiem po 1/4 łyżeczki siekanej szalotki, pietruszki i estragonu. Moczymy w 1/4 szklanki wina (białego) kawałek białej bułki i dodajemy łyżkę posiekanych pieczarek, odrobinę pieprzu i soli do farszu. Masę tę przekręcamy dwukrotnie w młynku, po czym trzymamy w garnku na małym ogniu, dodając jedną łyżkę masła i słodkiej śmietany, ciągle mieszając zagotowujemy masę tak, aby nie była zbyt gęsta. Napęlniamy udka kurczęcia wystudzonym farszem, obtaczamy w tartej bułce i smażyemy aż do zbrązowienia na maśle. W ten sam sposób możemy przyrządzić piersi kurczęcia, a do farszu dodać trochę odżyłowanej cielęciny.

Pudding karmelowy: gotujemy 1 l mleka wraz ze 100 g cukru i odrobiną wanilii. Rozbełtujemy 5 jaj z odrobiną soli i wlewamy do wystudzonego mleka. Na patelni przypalamy 200 g cukru na złocisty kolor, dodajemy odrobinę wody i wlewamy do uprzednio wygrzanej formy budyniowej tak, aby karmel pokrył równo wnętrze formy. Wlewamy uprzednio otrzymaną masę i zamkniętą foremkę gotujemy w garnku z wodą około 3/4 godziny. Wystawiamy formę do wystygnięcia — trwa to parę godzin, po czym wyrzucamy budyń na okrągły półmisek, przy czym karmel wyleje się z formy, tworząc sos.

Pułkownik Melanin nie pokazał się, za to, w chwili gdy właśnie oddzielał od kości pokaźne kurcze udko, zjawiała się pani pułkownikowa. Tym samym — jakby to rzec — wkroczyła w życie Thomasa Lievena. Tyle że Thomas jeszcze o tym nie wiedział. Bardzo piękna kobieta. Włosy... oczy... wargi... figura... No, no! I skóra jak marcepan! Świeżość, zdrowie i siła. Dama była niepowtarzalna. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że nie potrzebowała ani gorsetu, ani stanika, ani żadnych innych niezwykle istotnych pomocniczych kon-

strukcji używanych przez zwykłe damy. Weszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi, patrząc na Thomasa bez słowa, ale z, powiedzmy, ochotą. Rozchyliła wargi i przymrużyła oczy...

Cudowna wariatka, przemknęło Thomasowi przez myśl. Ojciec wszechmogący, wspomóż! Wszystko wskazuje na to, że jeśli jej nie pocałuję, udusi mnie gołymi rękami. Albo wezwie oficera NKWD i zadenuncjuje jako sabotażystę.

Gdzieś na korytarzu rozległy się kroki. Odskoczyli od siebie. Najwyższy czas, pomyślał Thomas.

Dunja, nieprzytomna, sięgnęła po jego udko. Nie całkiem kurze.

— Ratuj — wyszeptala. — Ucieknij ze mną. Mój mąż już mnie nie kocha. Zabije mnie. Chyba, że ze mną uciekniesz.

— Ma... ma... madame... hm... Co też pani przychodzi do głowy. Skąd pani wie, że mąż nie darzy pani uczuciem?

Dunja roześmiała się demonicznie.

— Wczoraj w knajpie ośmieszyles go. Kiedyś pobiłby cię do nieprzytomności. Mnie też. Kiedyś. Teraz wcale mnie już nie bije. Co to za miłość... Dobrze mówię po niemiecku, co?

— Doskonale.

— Matka Niemka. Od razu wydałes mi się sympatyczny. Uczynię cię szczęśliwym. Zabierz mnie ze sobą. Na Zachód...

Kroki zbliżały się.

Gdy pułkownik przekroczył próg kuchni, Dunja ciągle jeszcze gładziła Thomasa po udku.

— Ach, tu jesteś moja gołąbeczko — pułkownik uśmiechnął się zagadkowo. — Uczysz się, widzę, jak gotują na kapitalistycznym zachodzie, gdzie uciskają robotników. Co z panem, panie Lieven, niedobrze panu?

— Zaraz przejdzie, panie pułkowniku. Czy mógłbym... czy mógłby mi pan nalać kieliszek wódki?

9

Jedno było dla Thomasa całkiem jasne — musiał zrobić wszystko, by jak najszybciej wydostać się z powrotem na Zachód. Nie dorósł do tej parki. Wszystko wskazywało na to, że Rosjanie dostaną sfałszowane plany za darmo. Całe szczęście, że były przynajmniej zupełnie bezużyteczne...

Przy stole toczył jeszcze zażartą walkę, ale tylko na pozór, gdyż wiedział, że Rosjanie lubią tego typu przepychanki. Pułkownik przeciwstawił mu się żarliwie. I był nim zachwycony. Dunja siedziała między obu panami i patrzyła na nich, pogrążona w myślach. Coś knuła. Jedli do granic wytrzymałości, wypili morze wódki, ale tym razem — po tłustych blinach — Thomas zachował trzeźwość umysłu.

— Dobrze, panie pułkowniku, w takim razie zaproponuję panu coś innego. Dostanie pan plan za darmo, ale wypuści pan na Zachód mojego przyjaciela i jeszcze jednego pana.

— Jeszcze jednego?

— Reubena Achaziana. Nie wiem, czy pan go zna. Jeszcze troszkę udka, szanowna pani?

— Jeszcze. Jeszcze dużo pańskiego udka, panie Lieven.

— Jakże miałbym go nie znać! — rzekł pułkownik z pogardą. — Ten łajdak! Geszefciarz! Czego pan od niego chce?

— Zrobić interes — wyjaśnił Thomas skromnie. — Wybacz pan, panie pułkowniku, ale jeśli Armia Czerwona właśnie zepsuła mi jeden, muszę pomyśleć o jakimś innym.

— Skąd pan zna tę armeńską świnię?

— Poznałem tę armeńską świnię w Zwickau, panie pułkowniku.

Pan Reuben Achazian — mały, tłusty, z oczami rekina i wąsikami — rzeczywiście zjawił się w hotelu „Pod Jeleniem”, gdy Thomas siedział właśnie tego ranka przy śniadaniu. Pan Achazian bez ceregieli przeszedł do rzeczy.

— Niech pan uważa, niech pan mnie dopuści do słowa, niech mi pan nie przerywa, nie mam czasu, pan też nie. Wiem, kim pan jest...

— Skąd?

— Reuben Achazian wie wszystko. Niech pan nie przerywa. Mam tu pewne trudności. Z Rosjanami. Będę całkiem szczerzy — maczałem palce w pewnej dość dużej aferze handlowej... w państwowym handlu... Teraz nie dają mi pracować.

— Chwileczkę, panie Achazian...

— Psy! Jak mi pan pomoże w wydostaniu się na Zachód, uczynię pana bogatym. Mówi panu coś skrót ZVG?

— Oczywiście.

ZVG, „Zentrale Verwertungs-Gesellschaft”, miała siedzibę w Wiesbaden i została powołana do życia przez Amerykanów. W ogromnych magazynach ZVG składowała wielomilionowej (dolarowej) wartości pokłose wielkiej wojny — broń i amunicję, lokomotywy i ciężarówki, materiały opatrunkowe, złom, drewno, stal, całe konstrukcje mostowe, leki, samoloty i tkaniny. Administrację ZVG prze-

kazano w ręce niemieckie. Tyle, że wolno im było sprzedawać wyłącznie obcokrajowcom. Taki warunek postawili Amerykanie.

— ... ZVG może sprzedawać tylko obcokrajowcom — mówił sprytny Reuben Achazian do Thomasa Lievena — Niemcom nie! Ja jestem cudzoziemcem. Ze mną wolno im handlować. Mam kuzyna w Londynie, który wyłoży pieniądze. Założymy spółkę handlową. Pan i ja. Zrobię z pana milionera. W ciągu roku. Tylko musi mi pan pomóc wy dostać się na Zachód.

— Niech mi pan da trochę czasu, panie Achazian — odpowiedział Thomas Lieven.

Thomas dostał czas. I zastanowił się. Dlatego też teraz, przy obfitym obiedzie w zarekwirowanej po jakimś hitlerowcu willi w Zwickau, powiedział do radzieckiego komendanta miasta, Wasylego Melanina:

— Proszę wypuścić ze mną Achaziana, a dostanie pan plany.

— Pan Achazian zostanie tutaj. A plany i tak dostanę.

— Niech pan posłucha, mam w ręku pana Marka — zna pan oczywiście tego czeskiego agenta — zostawiłem go w Hof pod opieką amerykańskiego CIC. Nie wypuszczą go, zanim nie wrócę i go nie wyciągnę.

— Co z tego? Serce mi pęknie. Albo wyda pan plany, albo pan też się stąd nie ruszy.

— Dobrze, w takim razie zostaję — powiedział Thomas.

10

1 czerwca 1947 roku panowie Thomas Lieven, Bastian Fabre i Reuben Achazian przybyli zmęczeni, ale zdrowi i cali, do Monachium. Najpierw udali się do willi Thomasa w Grünewaldzie. Nasz przyjaciel musiał jeszcze wielokrotnie spożywać posiłki w towarzystwie pułkownika Melanina i z nim pić, zanim udało mu się go przekonać. W końcu rozstali się jak przyjaciele. Tyle, że plany... Plany znajdowały się teraz w Zwickau.

Panowie tylko kilka dni bawili w stolicy Bawarii.

— Przekazaliśmy plany Anglikom, Francuzom i Rosjanom — rzekł Thomas do Bastiana. — Wkrótce się zorientują, że wystawiliśmy ich do wiatru. Przybierzemy inne nazwiska i zaszyjemy się na pewien czas w Wiesbaden.

— W porządku, mój stary. Żeby tylko ten Achazian nie działał mi tak na nerwy. Przecież to szachraj, prawdziwy szachraj... Teraz jeszcze chce zacząć handlować bronią i amunicją!

— Nie zrobi tego — powiedział Thomas. — Pojedź najpierw do Wiesbaden. Pan Achazian będzie zaskoczony.

Jeśli już mówimy o niespodziankach...

Wieczorem, w przeddzień opuszczenia przez panów Monachium, siedzieli i popijali wino. Wtem — koło wpół do ósmej — ktoś zadzwonił do drzwi. Bastian poszedł otworzyć. Wrócił blady.

— Chodź no... pozwól... chodź, proszę... — wyjąkał.

Thomas wyszedł do sieni. Gdy zobaczył, kto stał na progu, zamknął oczy i chwycił się ramy drzwi.

— Nie — powiedział — nie!

— Właśnie, że tak — powiedziała pszenicznowłosa, prześliczna małżonka pułkownika Melanina z Zwickau — oto jestem, tak, tak, jestem.

Była. I stała. Z wielką walizką. Młoda i zdrowa.

— Jak... jak się tu, jak pani się tu dostała?

— Zwiąłam. Nie ja sama. Jestem uchodźcą politycznym. Udzielono mi azylu. Chcę zostać z tobą. I iść z tobą, dokąd byś nie poszedł.

— Nie.

— Tak. A jak nie pozwolisz mi u siebie zostać, pójdę w mój ból natychmiast na policję i opowiem, że przekazałeś mojemu mężowi plany... całą resztę też powiem...

— Ale dlaczego... dlaczego chcesz mnie zdradzić?

— Bo cię kocham... — stwierdziła beczelnie.

Z drugiej strony, do wszystkiego można się przyzwycząić.

Po dwóch miesiącach, w sierpniu 1947 roku -- w ogromnym mieszkaniu, które panowie Bastian Fabre i Reuben Achazian wynajęli przy Parkstrasse w Wiesbaden, by tam pracować i żyć — Thomas Lieven oświadczył:

— Nie wiem, co macie przeciwko Dunji. Jest czarująca. Gotuje dla was. Nie ustaje w trudach. Dla mnie jest wspaniała.

— Ale za bardzo cię absorbuje — powiedział Bastian. — Popatrz choćby na swe ręce. Trzęsą ci się jak...

— Bzdura — oburzył się Thomas bez specjalnego przekonania, bo zdawał sobie sprawę z tego, że jego nowa przyjaciółka rzeczywiście była może nieco zbyt wymagająca. Dunja mieszkała w wynajętym pokoju w pobliżu, nie przychodziła tu nawet co wieczór, ale jak już przyszła... W niewielu wolnych chwilach, jakie mu zostawały Thomas myślał o pułkowniku Melaninie. Doskonale rozumiał, dlaczego nie dosłużył się generalskich szlifów!

W Wiesbaden Thomas Lieven nazywał się Ernst Heller. Dysponując oczywiście odpowiednimi papierami. Na nazwisko swego cudzoziemskiego współpracownika założył „Otwarte Towarzystwo Handlowe Achazian”. Przedsiębiorstwo to zakupiło wielkie ilości wszelkich dóbr i składowało je w magazynach ZVG, na peryferiach zniszczonego miasta.

Na ogromnych składowiskach ZVG przechowywano nie tylko dobytek Niemieckiego Wehrmachtu, można tam było także kupić jeepy, ciężarówki i zapasy armii amerykańskiej — materiały, które albo były przeterminowane, albo nie opłacało się ich transportować z powrotem do Ameryki.

— Z Ameryką nie pohanlujemy — oświadczył Thomas swoim przyjaciółom — na to wszyscy trzej mamy zbyt mroczną przeszłość. Musimy się zainteresować innymi krajami, najlepiej takimi, które akurat prowadzą jakąś wojnę, bo tym nie wolno kupować w ZVG. Zabronione.

— Mam kontakt z panem Arystotelesem Pangalosem, reprezentującym interesy greckich partyzantów i z panem Ho Irawadim z Indochin — powiedział Reuben Achazian.

— Ale przecież nie możecie tym facetom sprzedać broni! — oburzył się Bastian.

Wówczas Thomas wygłosił przemówienie programowe.

— Jeśli nie my im sprzedamy broń, uczynią to inni. Dlatego zrobimy to my. Tyle, że ci panowie nie będą z niej mieli większego pożytku.

— Nic nie rozumiem.

— Pozwól mi skończyć. Wynająłem pod Moguncją pustą halę fabryczną. Opróżnimy amunicję z prochu i wypełnimy ją trocinami. Pistolety maszynowe są popakowane w skrzynie z wypalonymi znakami identyfikacyjnymi, zabite gwoździami i poplombowane. Znalazłem stolarnię, która zrobi dla nas dokładnie takie same skrzynie z dokładnie takimi samymi wypalonymi znakami. Plomby też można podrobić, zaś szare mydło nada skrzyniom odpowiedniego ciężaru...

— A co z prochem i bronią?

— Załadujemy na statek w Hamburgu — wyjaśnił Thomas. — W okolicach Hamburga morze jest głębokie. Mam mówić dalej?

Sierpień 1947 roku (103 okres ważności kartek żywnościowych) przyniósł z sobą w Wiesbaden całkowity krach zaopatrzenia ludności. Liczba kalorii spadła do 800 na dzień. Występował coraz dotkliwszy brak ziemniaków. Jeszcze tylko szpitale i obozy otrzymywały przydziały. Z towarów spożywczych można było dostać prawie wyłącznie,

nie lubiane z powodu ich gorzkiego smaku, produkty z kukurydzy. Przydziały tłuszczu musiały zostać zmniejszone z 200 do 150 gramów na dobę. Cukier wydawano w porcjach ćwierćkilogramowych — ćwiartka białego i ćwiartka tzw. żółtego, surowego. W związku z „bardzo kiepskim, spowodowanym długotrwałą wielką suszą, zbiorem owoców i jarzyn” przydzielono dodatkowo cztery jajka. Całkowicie załamało się zaopatrzenie w mleko. Dwie trzecie całej dorosłej ludności Wiesbaden nie otrzymywało go wcale.

Zapamiętaj: Straszliwa wojna długo jeszcze trwa po jej zakończeniu, jeśli się ją przegrało...

11

Pierwszą transakcją „Otwartego Towarzystwa Handlowego Achazian” była sprzedaż panom Pangalosowi i Ho Irawadiemu po dwie tony środka przeciwko malarii, z zasobów Niemieckiego Wehrmachtu. Na opakowaniach widniał jeszcze niemiecki orzeł ze swastyką. Trzeba go było usunąć. Thomas i jego partnerzy przetransportowali rzeczoną atebrynę do pewnej fabryki farmaceutycznej, gdzie została przepakowana. Teraz mogła już zostać załadowana na statek.

To co w przypadku atebryny było igraszką, okazało się w innym problemem zrazu nie do rozwiązania. Panowie Pangalos i Ho Irawadi chcieli zakupić hełmy tropikalne. Po 30 000 sztuk każdy. No i hełmy były na składzie. Tylko że opatrzone swastykami, których — solidna niemiecka robota — w żaden sposób nie można było usunąć. W takich okolicznościach panowie musieli oczywiście odstąpić od transakcji.

Co zrobić z tymi zas... hełmami, głowił się Thomas. Deliberował całymi dniami. W końcu wpadł na genialny pomysł. Hełmy były wyposażone we wspinające potniki, umieszczone wewnątrz paski z cienkiej skórki, zapobiegające nadmiernemu poceniu się żołnierzy. Zupełnie nowe, najwyższa jakość. W całym niemieckim przemyśle kapeluszniczym nie uswiadczyłoby się wówczas skórkowych potników.

Thomas skontaktował się z czołowymi ludźmi z branży. I nagle tropikalne hełmy zaczęły się sprzedawać jak ciepłe bułeczki!

„Otwarte Towarzystwo Handlowe Achazian” zarobiło na sprzedaży skórek więcej, znacznie więcej, niż uzyskałoby ze sprzedaży hełmów. A Thomasowi udało się nakręcić koniunkturę w powojennym niemieckim przemyśle kapeluszniczym.

Mimo to miał kłopoty, choć nie natury handlowej. Czuł jak Dunja wyniszcza go coraz bardziej, jak wysysa z niego wszystkie soki, coraz bardziej i bardziej. Urządzała mu sceny zazdrości. Z miłości. Była podniecająca i wyczerpująca. Thomas klócił się z nią i godził. Przeżywał najbardziej zwariowany okres swego życia.

Bastian też się martwił.

— Musisz to jakoś załatwić, chłopcze — mówił — przecież tak dalej być nie może. Ta dama zrujnuje ci zdrowie.

— Tylko co mam zrobić? Nie wyrzucę jej przecież. A sama i tak nie pójdzie.

— Kiedyś pójdzie!

— Owszem, na policję.

— Psiakrew — zdenerwował się Bastian. — Ale ty wreszcie, chłopie, pomyśl trochę o przyszłości.

— Myślę, myślę... Niczego innego nie robię. Nasze interesy i tak trzeba tu będzie wkrótce zwinąć. Będziemy musieli stąd pryskać. Nagle, z minuty na minutę, rozumiesz. Za nagle dla Dunji...

— Nie byłbym taki pewien.

Potem sprzedali Grekom i Azjatom łożyska kulkowe. I ciężarówki. I jeepy. I pługi. I inny sprzęt rolniczy.

— Tym nic złego nikomu nie wyrządzą — powiedział Thomas, spoglądając z okien swego biura na ponure gruzy i rumowiska Wiesbaden.

Miasto wyglądało tak, jak gdyby już nigdy nie miało się podnieść z ruin. Przed wojną mieszkali tu w większości bogaci ludzie. Teraz Wiesbaden było miastem gnieżdżących się w gruzach wyglodniałych rencistów.

„Globalna substancja gruzowa” została później oficjalnie określona na 600 000 metrów sześciennych. Do reformy walutowej Wiesbaden wydało na koszt usunięcia gruzu i rumowisk 3,36 miliona starych marek. Ramię przy ramieniu trudzili się przy tym robotnicy, „gruzinki” i inni obywatele miasta, pracując kolejno, na zmiany. Także Thomas Lieven, Bastian Fabre i Reuben Achazian całymi dniami grzebali w stertach śmieci, traktując to jako swego rodzaju sport wyrównawczy w stosunku do swych pozostałych zajęć.

Jesienią 1947 roku wpadli na to, że z jednego amerykańskiego śpiwora można uszyć parę spodni. Dysponowali 40 000 amerykańskich śpiworów. Fabryki odzieżowe południowych Niemiec jeszcze dziś wspominają zalew materiału i zleceń, jaki spłynął na nie w listopadzie

1947 roku. Wreszcie wiosną 1948 roku — jako ukoronowanie tego okresu ich działalności — przeprowadzili transakcję z bronią. Do tego czasu poddano już amunicję odpowiedniej „obróbce wstępnej”, po czym załadowano ją na statki razem z wypełnionymi szarym mydłem skrzyniami, w których miały się rzekomo znajdować pistolety maszynowe.

Statki z ładunkami dla Grecji i Indochin wyszły w morze. Rejsy potrwają jakiś czas, pomyślał Thomas, więc mogę z całym spokojem zabrać się do likwidacji mych biur w Wiesbaden. Działo się to mniej więcej w czasie, gdy różne firmy filmowe zaczynały otwierać swe studia w Wiesbaden.

Wszystkie kręcone tu filmy zajmowały się niewinno-banalną, ławo-rozwesalającą albo gwarantowanie nieszkodliwą tematyką okresu niemieckiego przekształcenia duchowego, czy — jak kto woli — reedukacji i nosiły odpowiednie do tego tytuły, na przykład: „Gdy kobieta kocha”, „Noc poślubna w raj”, „Tygrys Akbar”, „Śmiertelne marzenia”...

— No, to powoli musimy się zbierać do odlotu, mój stary — rzekł Thomas do Bastiana 14 maja 1948 roku.

— Pomyśl tylko, jak zareagują Grecy i Indochińczycy, gdy się kapną, na co wydali pieniądze.

— Jak nas dorwą, żegnaj świecie... — zgodził się Thomas.

Thomas i Bastian nie wpadli w łapy handlarzy bronią.

Za to — jak wiadomo — w latach 1948-1965 obcy agenci wpadli w Republice Federalnej na trop kilku autentycznych handlarzy bronią. Podłożyli im bomby zegarowe do samochodów, albo zastrzelili na ulicy.

— Kto przemoc sieje, od przemocy ginie — rzekł Thomas, wspominając jedną z takich makabrycznych akcji. — My sprzedawaliśmy szare mydło. I żyjemy...

Wypadki te miały miejsce — jak się rzekło — w czasie nieco późniejszym. 14 maja 1948 roku Thomas, ni stąd ni zowąd, przez chwilę żywił obawę, że może go jednak dosięgnąć gwałtowny koniec.

Było południe, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Bastian poszedł otworzyć. Wrócił błądy jak śmierć.

— Dwóch panów z Radzieckiej Komisji Wojskowej...

— Ojcie wszechmogący! — jęknął Thomas.

Nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo panowie już przekroczyli próg pokoju. Poważni i masywni. Mimo ciepła, ciągle jeszcze w skórzanym płaszczach. Thomasowi nagle zrobiło się bardzo gorąco, potem zdjęło go chłodem.

Koniec. To już koniec. Odnaleźli mnie.

— Dzień dobry — odezwał się po niemiecku jeden z ludzi radzieckich. — Pan Heller?

— Tak.

— Szukamy pani Dunji Melanin. Mówią nam, że tu u pana.

— Hm... jakby to rzec, no... — plątał się Thomas. — Przypadkowo jest akurat obecna.

— Pozwoli, że z nią porozmawiamy? Sa mi porozmawiamy?

— Ależ proszę — zgodził się Thomas.

Poprowadził Rosjan do pokoju, gdzie Dunja robiła sobie właśnie manicure.

Już po dziesięciu minutach panowie w skórzanych płaszczach wyszli z jej pokoju. Poważni i skryci.

Bastian i Thomas rzucili się pędem do Dunji.

— Co to miało znaczyć?

Z okrzykiem gwałtownej radości jasnowłosa piękność rzuciła się Thomasowi na szyję, prawie go przewracając.

— To najszczęśliwszy dzień w moim życiu!

Cmok.

— Serce ty moje!

Cmok.

— Jedyny!

Cmok.

— Możemy się pobrać!

Bastianowi opadła szczęka.

— Co możemy? — wybąkał z trudem Thomas.

— Pobrać się. Pobrać!

— Ale ty jesteś przecież zameżna!

— Już nie! Od dwóch godzin. Ci panowie zażądali mojego natychmiastowego powrotu. W imieniu radzieckiego sądu rozwodowego, do którego mój mąż wystąpił z pozwem. Odmówiłam. W takim razie, stwierdzili, moje małżeństwo zostaje rozwiązane ze skutkiem natychmiastowym! Oto dokument, popatrz!

— Nie znam rosyjskiego — mruknął Thomas, któremu wszystko wirowało w głowie.

Wlepiął wzrok w rozpromienioną Dunję. Gapił się na bladego jak wosk Bastiana.

No to smacznego, pomyślał. A statki z pełną trocin amunicją i szarym mydłem znajdują się już na pełnym morzu. Nie ma ucieczki. Boże dopomóż!

Chyba najlepiej będzie, jeśli wezmę strycalek lub się zastrzelę, rozważał Thomas w melancholijnym nastroju. Czy kiedyś wydostanę się z tych wszystkich tarapatów? Snuł się w owe dni posępny i przygnębiony. Gdy w nocy 18 maja wrócił do domu, po wizycie w wynajmowanym przez Dunję pokoju, powłókł się z jękiem do łazienki i w roztrzęsieniu strącił ze ściany domową apteczkę. Z łomotem huknęła o posadzkę.

Zaspany Bastian wyszedł chwiejnym krokiem ze swego pokoju.

— Chłopie, co się stało?

— Bromu — jęknął nasz przyjaciel. — Daj mi bromu. Muszę się uspokoić.

— Byłeś u Dunji?

— Tak. Wyobraź sobie, że dała już na zapowiedzi. Masz być jednym ze świadków. Szykuje tę imprezę za cztery tygodnie. I chce mieć dzieci. Pięcioro! Możliwie jak najszybciej... Bastianie... jeśli natychmiast czegoś nie wymyślimy, natychmiast, słyszysz, jestem zgubiony...

— Słyszę. Najpierw coś wypij. Mam pewien pomysł. Może zadziała. Ale musisz mi na to dać dwa, może trzy dni.

— Ile tylko chcesz, stary — powiedział Thomas Lieven.

Bastian zniknął. Gdy wrócił po sześciu dniach, był niezwykle małomówny.

— Otwórz wreszcie gębę, chłopie — niecierpliwiał się upadły na duchu narzeczony.

— Sie zobaczy — oznajmił Bastian.

Było to 25 maja. Ani tego dnia, ani następnego, Dunja nie dawała znaku życia. Nie zastał jej też wieczorem w domu.

27 maja o godzinie osiemnastej piętnaście w mieszkaniu rozdzwonił się telefon. Podniósł słuchawkę. Zrazu dochodziły go tylko jakieś potężne szумы i trzaski, niewyraźne głosy, warkot silników, potem usłyszał nagle zduszony płaczem, zrozpaczony głos Dunji:

— Serce moje... ukochany...

— Dunja! — wrzasnął. — Gdzie jesteś?

— We Frankfurcie... na lotnisku... w komisariacie żandarmerii...

— Żandarmerii?

Szloch z Frankfurtu, a potem:

— Lecę do Ameryki, mój złoty...

Thomas opadł na fotel.

— Ty... co?

— Mój samolot startuje za dziesięć minut... Taka jestem nie-
szczęśliwa... Ale tu chodzi o moje życie. Zabiją mnie, jeśli tu zostanę...

— Zabiją cię — powtórzył Thomas bez sensu.

W pokoju zjawił się Bastian. Nucąc sobie pod nosem, podszedł do barku i nalał sobie małą whisky, podczas gdy Thomas cały czas wsłuchiwał się w głos Dunji.

— Przysyłali mi listy z pogrózkami... napadli na mnie, ledwie mnie nie udusili... mówili, że mnie zatłuką, bo nie wróciłam... Amerykanie zresztą też!

— Amerykanie?

— Nie tak, jak myślisz! — zawołał histeryczny głos z Frankfurtu. — Lecę do Ameryki na polecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Stejt Departament, czy jakoś tak... Umieszczą mnie w bezpiecznym miejscu... Nie zapominaj, że mój mąż jest radzieckim generałem...

— Dlaczego mi nic o tym nie wspomniałaś?

— Nie chciałam narazić cię na niebezpieczeństwo. Zresztą zabroniono mi...

Terkotała jak karabin maszynowy. Thomas dostał zawrotu głowy. Dunja mówiła o miłości i ponownym spotkaniu, wiecznej wierności i przywiązaniu na wieki, ponad oceanami...

— ... muszę kończyć, kochany — rzekła w końcu. — Samolot już czeka... Powodzenia...

— Powodzenia — zdążył powiedzieć Thomas, po czym połączenie zostało przerwane.

Odłożył słuchawkę na widelki. Gapił się na Bastiana, oblizując wargi.

— Nalej mi też. Szybko. To twoja robota, co?

Bastian skinął głową.

— Nawiasem mówiąc, poszło jak z płatka, mój chłopcze — powiedział.

I rzeczywiście. A że tak trudne to nie było... od chwili, gdy Bastian dowiedział się o istnieniu pod Norymbergą wielkiego obozu dla obcokrajowców. Nazywał się „Obóz Valka”. Tam też udał się wierny przyjaciel Thomasa.

W ponurej okolicy ponurego obozu mieściło się wiele knajp. Trzeciego wieczoru Bastian poznał dwóch panów, którzy podjęli się — za bardzo przystępną opłatą — sformułować po rosyjsku kilka listów z pogrózkami. Poza tym zgodzili się pojechać do Wiesbaden i zain-

scenizować tam małe włamanko, podduścić nieco pewną damę i przestraszyć ją do żywego...

— ... reakcja nastąpiła natychmiast — opowiadał Bastian swemu przyjacielowi, zacierając ręce.

— Bastianie! — wrzasnął na niego Thomas.

— To było tylko lekkie, niegroźne podduśzenie. Nakazałem Iwanowi stanowczo, że nie wolno jej zrobić najmniejszej krzywdy!

— Jeszcze jedną, czystą. Szybko!

— Chętnie. Przyznaję, że nie była to elegancka metoda...

— Barbarzyństwo!

— ... ale nic na to nie poradzę, że leżysz mi na sercu, stary. Nachodził mnie już uparcie twój widok z piątką dzieci... Wybaczysz...?

Jeszcze tego samego wieczoru przeprowadzili rozmowę o swej przyszłości. Thomas napomknął o nowym interesie.

— Zrobiliśmy tu wielkie pieniądze. Musimy je teraz gdzieś ulokować. I to szybko.

— Skąd ten pośpiech?

— Obiło mi się o uszy to i owo. Wierz mi, musimy się spieszyć. Zaczniemy kupować samochody. Amerykańskie pontiaki, cadillaki i tak dalej.

Thomas podniecił się swymi słowami. Za dolara płaci się teraz około 200 reichsmarek, a pieniędzy mieli przecież dosyć. Oczywiście jako Niemcy nie dostaliby licencji na sprowadzanie amerykańskich aut. Nic na to nie poradzą! Ale Thomas poznał pewnego drobnego urzędnika Amerykańskiego Rządu Wojskowego. Właśnie odszedł z czynnej służby. Nazywał się Jackson Taylor. On na pewno zdobędzie licencję.

— Mister Taylor zakłada pro forma firmę samochodową w Hamburgu i sprzedaje bryczki... Dla nas.

— Ale komu? Przecież tu ludzie goli jak święci tureccy.

— Już niedługo.

— Ile aut chcesz kupić?

— Koło setki.

— Jezus Maria! I chcesz je tu wszystkie na raz sprowadzić?

— Tak. Nie. To znaczy, kupię je i sprowadzę, choć może nie zaraz.

— A kiedy?

— Zależy, kiedy się to dokona...

— Co się dokona?

Thomas wyjaśnił mu, o co chodzi...

10 czerwca „Olivia” wypłynęła z portu w Nowym Jorku. 17 czerwca statek z ładunkiem 100 samochodów produkcji amerykańskiej znajdował się na 15 stopniu 15 minucie długości geograficznej zachodniej i 48 stopniu 30 minucie szerokości geograficznej północnej, na wysokości zachodnich wybrzeży Francji. Tego dnia kapitan otrzymał następujący szyfrogram:

„nordeichradio — 17 czerwca 48 — godzina 15 minut 43 — towarzystwo żeglugowe schwertmann hamburg do kapitana hannes dröge — w imieniu cargo ownera wzywamy pana do pozostania na razie na obecnej pozycji i nie wpływania chwilowo na niemieckie wody terytorialne — utrzymujcie z nami kontakt radiowy — otrzymacie dalsze wskazówki — koniec”.

Po otrzymaniu tego radiotelegramu „Olivia” przez trzy dni i noc krążyła po wspomnianym obszarze morskim. Załoga pracowała na zmiany, grała w pokera i piła. Bezustannie wznoszono toasty za zdrowie tajemniczego „cargo ownera”, właściciela ładunku.

20 czerwca podchmielony pierwszy radiotelegrafista odebrał radiogram, który po rozszyfrowaniu brzmiał:

„nordeichradio — 20 czerwca 48 — godzina 11 minut 23 — towarzystwo żeglugowe schwertmann hamburg do kapitana hannes dröge — w imieniu cargo ownera prosimy niezwłocznie zawinąć do portu hamburg — koniec”.

Podczas gdy wstawiony pierwszy radiotelegrafista rozszyfrowywał radiogram dla wstawionego kapitana, wstawiony drugi radiotelegrafista słuchał wiadomości nadawanych przez Radio Londyn. W pewnej chwili zdjął słuchawki z uszu i powiedział:

— Właśnie ogłoszono w Niemczech radykalną reformę walutową. Dotychczasowe pieniądze straciły wartość. Wymieniają tylko po 40 marek na głowę.

— Nic z tego nie będzie — łudził się drugi radiotelegrafista.

— Moje oszczędności! — podniósł lament kapitan.

— Bogaty jest teraz ten, kto ma towar — uświadomił sobie pierwszy radiotelegrafista.

Drugi rozdziawił usta w podziwie.

— Kurcze blade, nasz cargo owner ma teraz sto samochodów. Akurat teraz!

— Taki numer musiałby kiedyś wykręcić ktoś z nas — potaknął kapitan posępnie. — Sprytna sztuka. Chciałbym wiedzieć, co to za jeden!

Drogi kapitanie Hannesie Dröge, może przypadkiem czyta pan właśnie te słowa. I już pan wie...

14

10 marca 1948 roku pierwszy prezydent Czechosłowacji, Masaryk, popełnił samobójstwo, a Benesz został aresztowany.

18 kwietnia ogłoszono nowe racje żywnościowe dla zjednoczonych zachodnich stref okupacyjnych. Zwykły obywatel otrzymywał na cztery tygodnie: 400 gramów tłuszczu, sto gramów mięsa, 62,5 grama proszku jajecznego i 1475 gramów produktów mącznych.

21 czerwca na terenie „I.G.-Farben” w Ludwigshofie doszło do potwornej eksplozji, która pociągnęła za sobą 124 ofiary.

Na początku sierpnia Thomas Lieven i Bastian Fabre przybyli do pewnego miasteczka we Frankonii.

— Początkowo chciałem wyjechać do Ameryki Południowej — wyjaśniał Thomas Bastianowi — ale pewnego dnia spotkałem w Wiesbaden przypadkowo mojego starego przyjaciela Ericha Werthego. U niego znajdziemy lepszą kryjówkę niż gdziekolwiek indziej. U niego nikt nas nie znajdzie. Dopóki prowadzimy interes z autami, lepiej jednak zostać w Niemczech. Zwłaszcza, że zakupiłem pewną ilość akcji. Zobaczymy, czy czasem ich kursy nie pójdą w górę...

Kaprys losu sprawił, że Thomas spotkał w Wiesbaden szczupłego, wysokiego eks-pułkownika Werthego z paryskiej placówki Abwehry. Dosłownie wpadli na siebie na ulicy. Stary, siwowłosy oficer miał łzy w oczach.

— Lieven, człowieku, co za radość!

— Psyt! Nie tak głośno, panie Werthe. Teraz nazywam się Heller. Werthe uśmiechnął się.

— Ciągle jeszcze chadzamy krętymi ścieżkami?

— Co znaczy ciągle jeszcze? Za każdym razem, kiedy próbuję iść prostą drogą, dostaję w łeb. Już mi się w nim kręci. A co z panem? Co pan porabia?

— Ach, właściwie nic. Siedzę w mojej skromnej winnicy we Frankonii. Należy do mojej żony. Musi pan nas odwiedzić. Koniecznie!

Kiedy tylko pan chce. I na jak długo pan chce! W końcu wyciągnął mnie pan przecież z tego przekłętogo obozu...

Tym to sposobem panowie Thomas Lieven i Bastian Fabre znajdowali się właśnie w drodze do niego. Jechali na południe rozgruchotanym, niepozornym przedwojennym autem, naprzód przed siebie do pięknej Frankonii, ku pewnej niewielkiej winnicy i naprzeciw kolejnej przygodzie...

Winnica Ericha Werthego położona była na łagodnych, mocno nasłonecznionych wzgórzach ponad miasteczkiem, które zyskało sobie sławę jako miejsce pielgrzymek. Sielankowe wzgórza winne przecinała płynąca doliną rzeczka, zaś nad okolicą górowała wysoka granitowa skała. Na niej to wznosił się potężny klasztor, miejsce kultu cudownej madonny.

Jednym z pierwszych ludzi, których Thomas poznał w miasteczku, był opat klasztoru, Waldemar Langauer — zaprawdę imponujący duchowny dostojnik, z białymi jak gołąbek włosami, ogorzałą twarzą i błyszczącymi oczami.

Zapoznał go z nim Erich Werthe. Panowie od razu znaleźli wspólny język. Waldemar Langauer pokazał Thomasowi wspaniałą bibliotekę klasztorną, po czym podzielił się z nim swymi troskami. Miasto pełne było uchodźców, którzy potrzebowali żywności, odzieży i mieszkań. Tylko skąd je wziąć? Wszystkiego brakowało. Twarz opata rozjaśnił uśmiech.

— W takich czasach poznaje się ludzi, panie Lieven. Czasem ktoś wyrasta ponad samego siebie... Mamy tu w miasteczku takiego człowieka.

— Naprawdę?

— Nazywa się Herbert Rebhahn. Z zawodu handlarz winem. Kiedyś często dochodziły do mnie różne wieści, wie pan, bardzo doczesne, rozumie pan... ale od zakończenia wojny ten człowiek jest jak odmieniony! Nie opuszcza żadnego niedzielnego nabożeństwa. Nie ma dobrego uczynku, w który by się nie angażował. Przekazał nam tysiące, ba, dziesiątki tysięcy marek na potrzeby tych nieszczęsnych uchodźców...

Tak to Thomas po raz pierwszy usłyszał o winiarzu i dobroczyńcy w jednej osobie, Herbercie Rebhahn. Nawiasem mówiąc, tego samego dnia usłyszał o nim po raz drugi — w domu Ericha Werthego, przy kolacji, którą przyrzędziła uroczą, choć bardzo drobna i błada żona eks-oficera wywiadu.

— Niech pan posłucha, Lieven, wówczas w Paryżu upiekł pan dla mnie fantastyczny cebularz. Może powtórzyłby go pan jutro? Będziemy mieli gości.

— Z przyjemnością — odparł Thomas.

— Przyjdzie kilku przyjaciół. Byłem im winny zaproszenie... po tym wszystkim, co dla mnie učinili. Zwłaszcza Herbert Rebhahn.

Tu właśnie padło znów to nazwisko!

— Ten pan zdaje się być absolutnym uosobieniem dobroci — rzekł Thomas.

— Bez żartów! — oburzył się Werthe całkiem poważnie. — Gdyby nie było pana Rebhahna, komendanta policji Kattinga i księcia von Welkowa, dawno już musiałbym się powiesić.

— Ma pan kłopoty? — spytał Thomas cicho, z obawą w głosie.

— Kłopoty? Wybacz to słowo, Luise, zasrane całe to nasze dzisiejsze życie. Wie pan, że mam tu winnice, prowadzę też sprzedaż win. Otóż, na moje wino nie ma zbytu, a Amerykanie nie dają mi licencji importowych. Tym samym niezły interes, jaki robiliśmy kiedyś na winach zagranicznych, też się skończył...

Bastian podrapał się w głowę i powiedział swą francusko akcentowaną niemczyzną:

— Nie rozumiem. Ja myślę, że w Niemczech nie ma nic do kupić. Pan ma dobre niemieckie wino. To dlaczego pan nie może jego zbywać?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem...

15

— Przed przystąpieniem do wieczerzy — oznajmił płowowłosy Herbert Rebhahn — pomódlmy się.

Spłótl swe czerwone, tłuste rączki i pochylił rumianą, nalaną twarz z jasnymi brwiami i takąż bródką. Komendant policji Katting, księżę von Welkow, Erich Werthe i jego żona w ślad za nim schylili głowy i splekli ręce. Thomas spojrział znacząco na Bastiana, po czym obaj przyłączyli się do ceremonii.

Księżę von Welkow był starszym mężczyzną, chudym, wyniosłym, pergaminowoskórym i milczącym, zaś komendant policji, Wilhelm Katting, wyglądał jak ostrożny, poprawny urzędnik bankowy, mniej więcej pośrodku siatki płac. Po cichej modlitwie oczka dobroczyńcy Rebhahna zwinnie prześlizgnęły się po stole.

— O, cebularz! — ucieszył się. — Co za smakołyk!

Poczęstował się.

Wyblakły książę żuł powoli, po chwili zaś powiedział:

— Wspaniały placek. Całkiem jak u mojej matki. Gratuluję, szanowna pani.

— Proszę pogratulować panu Lievenowi — skorygowała pani Werthe — to on go upiekł.

Thomas poczuł na sobie nagle wzrok trzech par oczu, chłodny, badawczy, nieprzychylny. Komendant policji, książę i filantrop Rebhahn spojrzeli na niego jak trójka komisarzy kryminalnych na aresztowanego właśnie podejrzanego.

Naszemu przyjacielowi nagle przestał smakować jego własny cebularz. Obracał w ustach ostatni kęs. Ten pan Rebhahn wydawał mu się z sekundy na sekundę coraz bardziej antypatyczny.

— Niech jeszcze podziękujemy — odezwał się Bastian swym niezgrabnym, obco akcentowanym niemieckim — że uroczą madame Werthe jest na tym świecie i to cudowne wino, którym teraz piję na jej zdrowie. Messieurs!

Wszyscy podnieśli kieliszki i wypili zdrowie Luise Werthe, która oblała się rumieńcem.,

— Wolą Bożą — rzekła z lekką goryczą — rośnie tu to wino. Czy też Bożą wolą nie możemy go sprzedać?

— To czas próby, droga, szanowna pani — rzekł Rebhahn z namaszczeniem — czas, przez który musimy przejść. My wszyscy. Czy ja jestem w lepszej sytuacji? Moje wino też się marnuje.

— Już nawet nie o to chodzi, że mamy kłopoty ze zbytem naszego wina — powiedziała Luise Werthe. — Ale co z włoskim? Myślę, że to nikczemna manipulacja. To przecież...

— Luise, proszę cię! — przerwał jej ostro Werthe.

Jednocześnie Thomas Lieven zauważył, że Rebhahn, książę i komendant policji wymienili spojrzenia. Thomas szybko spojrzął na Bastiana. On też to spostrzegł.

— Włoskie wino? Co z nim? — spytał Thomas niewinnie, nabierając na widelec cebularz.

Rebhahn, książę i policjant znów spojrzeli po sobie. Czy mój stary Werthe jest ślepy, pomyślał Thomas. I takich ludzi ma za swych przyjaciół? Nie chciałbym mieć nic wspólnego z tą świętą trójcą!

Rebhahn popatrzył na Thomasa rozpromienionymi, błękitnymi oczami i odpowiedział stanowczym głosem:

— Od roku Niemcy są zalewane setkami hektolitrów tanich włoskich win. Wina te rujną nam wszystkim interes, bo wszyscy

Menu, Franken, 14 sierpnia 1948

Cebularz

Cielęcina z duszonymi ziemniakami

Nadziejane jabłka

3 obwiesie udławiły się jedzeniem przygotowanym według tego przepisu Thomasa Lievena.

Cebularz: niesłodzone, kruche lub drożdżowe ciasto cienko wałkujemy i wkładamy do tortownicy. 2 funty cebuli, pokrojonej cienko w plasterki, przemyjemy na maśle, tak aby pozostała biała. Po ostygnięciu dodajemy 3 do 4 całe jajka rozbite z paroma łyżkami gęstej śmietany, odrobiną kminku i soli. Masę tę wlewamy do tortownicy na ułożoną tam warstwę ciasta i z tego samego ciasta robimy na masie randzik. Ciasto pieczemy w piekarniku i po uzyskaniu złotawego koloru podajemy ciepłe na stół.

Cielęcina z duszonymi ziemniakami: sznyce cielęce, dobrze rozbite, solimy oraz pieprzymy po jednej stronie. Tę stronę sznycli obkładamy cienko pokrojoną słoninką, posiekaną cebulką i pietruszką, sznyce zwijamy w zrazy i owijamy cienką nitką. Pieczemy zrazy na maśle na złoty kolor, podlewamy kwaśną śmietaną zmieszaną z łyżeczką siodła, dusimy aż do miękkości i doprawiamy sos solą i pieprzem. Do zrazików podajemy kartofle purée, zieloną sałatę.

Nadziejane jabłka: dość kwaśne jabłka, po obcięciu czubka i ostrożnym oczyszczeniu wnętrza, ustawiamy otworem do góry w dobrze wysmarowanej masłem formie. Do otworu każdego jabłka wsypujemy po 1 łyżeczce cukru, parę rodzynek i galaretkę z porzeczek. Na wierzch dodajemy odrobinę masła i pieczemy w piekarniku do miękkości.

kupują oczywiście tamte, a nie nasze. Nikt nie wie, skąd pochodzą. Kto je importuje? Nikt nie wie.

— Chwileczkę — zainteresował się Thomas — wydawało mi się, że nie są wydawane licencje importowe na zagraniczne wina. Tak mi pan przecież wczoraj powiedział, panie Werthe.

— Owszem — potwierdził Werthe ze smutnym uśmiechem. — Oficjalnie nie istnieją. We Frankfurcie urzęduje amerykańska komisja — JEIA — i tylko ona jest władna udzielić licencji. Na wino nie wydaje żadnych. W każdym razie nie oficjalnie.

— I rzeczywiście ich nie udziela, panie pułkowniku — powiedział z namaszczeniem dobrodziej uchodźców i wspaniały okaz chrześcijanina, Rebhahn. — Nie będziemy chyba rzucać podejrzeń na uczciwych i nieprzekupnych amerykańskich oficerów, prawda?

— Boże broń! — wykrzyknął Werthe przerażony.

Biedny człowieku, pomyślał Thomas, czyżby tak cię już opętali?

Tej nocy na jednym ze wzgórz nad miasteczkiem miała miejsce następująca rozmowa:

— Posłuchaj Bastianie, stary kumplu, czy tobie też chce się rzygać na widok tego Rebhahna?

— Chyba jeszcze bardziej niż tobie! A te dwa pozostałe typy!?

— Nieszczęsny, stary Werthe... ci faceci pożyczili mu pieniądze... ma zobowiązania wobec tych gangsterów.

— Miałbym do ciebie malutkie pytanko. Mogę?

— Miej, chłoptasiu, pytaj!

— Jeśli monsieur Rebhahn — tak jak Werthe — nie ma zbytu na swoje wina, i jeśli nie posiada licencji na obrót winami zagranicznymi, to jakim cudem powodzi mu się tak dobrze, że stać go na przekazywanie ogromnych sum na rzecz uchodźców?

— Właśnie — rzekł Thomas Lieven — też już się nad tym zastanawiałem. Aby odpowiedzieć na to pytanie i — mam nadzieję — pomóc memu przyjacielowi, będę chyba musiał pojechać na kilka dni do Włoch...

16

10 września 1948 roku Thomas Lieven siedział w knajpie podejrzanego typu Luigiego, w Neapolu, przy garnku pełnym „pasta asciuta” i butelce czerwonego wina. Poznał i nauczył się szanować Luigiego — tak podobnego do Orsona Wellesa — tuż po zakończeniu wojny, gdy na polecenie francuskiego Urzędu Ścigania Zbrodniarzy Wojennych zatrzymał się tu na kilka dni, by aresztować pewnego włoskiego generała.

Przed około trzema tygodniami Thomas znów zjawił się w Neapolu i poprosił Luigiego, by ten powęszył wkoło, kto, u kogo i w jakich ilościach kupował w północnych Włoszech wino. Wino mające zostać wyeksportowane do Niemiec.

— Moi kumple — relacjonował Luigi — byli na zwiadach w Bozen i Meran, w Piave de Cadere, Sarentino i Bresanzone. Wszędzie tam, na północy, mniej więcej od roku, wino idzie jak woda. Kupuje się setki tysięcy litrów! Ale potajemnie, w absolutnej tajemnicy.

— I to wino szmugluje się potem do Niemiec?

— Gdzie tam, chłopie. Jest tam wysyłane całkiem oficjalnie, deklarowane na granicy i przewożone koleją!

— Ale przecież w Niemczech nie wolno sprzedawać żadnych zagranicznych win!

— Bo też to wino nie jest na sprzedaż. Pozornie.

Luigi zatarł ręce, wałnął się w brzuch i roześmiał krzykliwie:

— To wino mszalne!

— Mszalne?

— Tak, dziękuję, tak. Mszalne! Podarunek włoskich katolików dla katolickich kościołów w Niemczech. Podarunek! Rozumiesz, jaki to genialny chwyt?

Luigi nie mógł się uspokoić.

Podarunki nie podlegają przepisom importowym Amerykanów! Przecież nie przynoszą zysków. To nie transakcja handlowa. Dla podarunków JEIA udziela licencji wwozowych!

Thomasa zdjęło chłodem.

— Kto jest kontrahentem w Niemczech? — spytał cicho.

Luigi krztusił się ze śmiechu.

— Wino jest dostarczane na adres trzech klasztorów w Bawarii, ale właściwym odbiorcą jest we wszystkich przypadkach opat pewnego klasztoru. Nazywa się...

— Waldemar Langauer — uprzedził Thomas stłumionym głosem.

— Tak — potwierdził Luigi — skąd wiesz?

Opat Waldemar Langauer zamieszany w gigantyczną aferę winną? Thomasowi nie mieściło się to w głowie. Przecież go widział, rozmawiał z nim. Znał się na ludziach. To nie był człowiek zdolny do robienia brudnych interesów!

W takim razie, o co w tym wszystkim chodziło? Kto w tak bezwstydnym sposób nadużywał nazwiska tego duchownego dostojnika?

Thomas pojechał do północnych Włoch. Całymi dniami włóczył się po okolicy, przekupywał kolejarzy, celników, robotników transportowych, przeglądał licencje importowe JEIA. Stwierdził, że niemieckim dworcem przeładunkowym transportów wina była miejscowość o nazwie Rosenheim, po czym przeprowadził kilka długich rozmów telefonicznych. Po kilku dniach na dworcu w Rosenheim zjawił się pewien sympatyczny facet z rudymi, szczecinowatymi włosami i siłą tura. Nazywał się Gustave Aubert i dysponował papierami na to nazwisko. Był podobny jak dwie krople wody do Bastiana Fabre'a. Nic dziwnego...

Pracowity Francuz („Jestem byłym robotnikiem cudzoziemskim, które chciał zostać bym w Niemczech, bo się dobrze czujemy w Ba-

warii!”) natychmiast zyskał sobie sympatię miejscowych robotników. Pracował przy załadowywaniu ciężarówek. Beczkami włoskiego wina. Poznał kierowców tych ciężarówek. Przyjeżdżali nocą i odbierali towar. Mieli go podobno dostarczać do trzech bawarskich klasztorów. Byli bardzo oszczędni w słowach i kiedyś sprali Francuza, gdy wydał im się za bardzo wścibski. Po raz pierwszy w życiu pozwolił dać sobie w skórę. Myślał przy tym o maksymie swego przyjaciela, Thomasa Lievena: „Odwagi nie udowadnia się samą pięścią. Potrzebny jest też pomysłu-
lunek.” Wymyślił coś, co było bardziej korzystne i bardziej cenne niż pokonanie niemieckich szoferów według klasycznych reguł technicz-
nego k. o. Udało mu się przejrzeć listy przewozowe i dowody rejestracy-
jne samochodów. Dowiedział się, kto był właścicielem ciężarówek
przewożących „wino mszalne”. Dowiedział się, na czyje zlecenie
kierowcy jeździli.

17

— Mój przyjaciel, Wasza Przewielebność, gotów jest zeznać pod przysięgą, że wszyscy kierowcy jeździli i jeżdżą na zlecenie pana Herberta Rebhahna — powiedział Thomas Lieven.

Działo się to w samo południe 19 października 1948 roku. Thomas stał przy oknie przestronnego pokoju, w którym opat Langauer zwykł pracować.

Sługa Boży wyglądał tak, jakby się postarzał o całe dziesięciolecie. Jego dłonie otwierały się i zaciskały mechanicznie. Mięśnie jego twarzy drgały.

— To straszne — powiedział. — Jeszcze nigdy w życiu na nikim się tak nie zawiodłem. Zostałem oszukany. Padłem ofiarą łotra...

Opat zaczął snuć opowieść...

Herbert Rebhahn zjawił się u niego po raz pierwszy w maju 1946 roku, przekazując 20 000 marek na potrzeby uchodźców. Potem zjawiał się w klasztorze regularnie z ciągle nowymi datkami, ciągle nowymi ofiarami. Przez cały rok.

Latem 1947 roku Langauer zaprotestował.

— Przecież nie możemy ciągle brać od pana pieniędzy, panie Rebhahn! Wszystko ma swoje granice!

— To obowiązek chrześcijanina, ofiarować dary, Czcigodny Ojcze.

— Ale panu też się przecież nie przelewa, panie Rebhahn... Ma pan kłopoty... Gdybym tylko wiedział, co klasztor mógłby zrobić, by zdobyć jakieś sumy...

Herbert Rebhahn stwierdził, że miałby w tym względzie dla klasztoru pewną propozycję! Otóż w administracji JEIA we Frankfurcie pracuje niejaki major Jolsen.

— Major ten — przemawiał Rebhahn anielskim głosem — z pewnością nie odmówi Czcigodnemu Ojcu licencji wwozowej na... pewną ilość mszalnego wina. Jako upominek. Wino nic by pana nie kosztowało. Mam przyjaciół we Włoszech, którzy poczytaliby sobie za honor zakupić wino i przekazać je Czcigodnemu Ojcu.

— Tylko czy to zgodne z prawem?

— Całkowicie. Ja sam wziąłbym na siebie zbyt tegoż wina w Niemczech. A zysk przekazałbym Czcigodnemu Ojcu... na rzecz nieszczęsnych uchodźców...

Waldemar Langauer przyjął ofertę. Udzielił swego nazwiska operacji handlowej, o której rozmiarze i przestępczym charakterze nie miał pojęcia. Herbert Rebhahn przez cały rok sprzedawał dla niego i jego uchodźców „pewne ilości włoskiego wina mszalnego”. Z zysku przekazał opatowi Langauerowi 125 000 starych marek.

— Według moich obliczeń — oznajmił Thomas Lieven w południe 19 października 1948 roku — w samym tylko ubiegłym roku Rebhahn zarobił na swych machinacjach winnych 5 milionów marek!

— Dziękuję panu za wszystko, co pan w tej sprawie zrobił, panie Lieven — rzekł opat matowym głosem. — To straszne, co teraz mnie czeka, ale muszę to zrobić.

Sięgnął po słuchawkę.

— Z policją kryminalną proszę... — powiedział.

Handlarz winem Herbert Rebhahn jeszcze tego samego dnia został aresztowany.

— Nigdy nie wytoczą mi procesu! — powiedział do funkcjonariuszy, wyprowadzających go z jego luksusowego mieszkania. — Za dużo wysoko postawionych osobistości zamieszanych jest w tę sprawę...

W ciągu następnych tygodni i miesięcy znacznie spuścił z tonu, a na przełomie lat 1948 na 1949 przystał na złożenie zeznań, które zaprowadziły za kratki komendanta policji Kattinga. U progu roku 1949 sędzia śledczy, doktor Offerding, posiadał następujące informacje w tej sprawie:

W roku 1946 Rebhahn i Katting skutecznie zaszantażowali księcia von Welkova jego mroczną hitlerowską przeszłością i ten — pod presją — przepisał na nich swój wielki majątek ziemski Wickerode wraz

z otaczającymi go lasami. Jednak, jednocześnie z przepisaniem, sprytny książę zrećnie zaciągnął pożyczkę na hipotekę majątku, tak że na jego nowych właścicieli spadły długi z tym związane, a tym samym ich posiadłość była w gruncie rzeczy bezwartościowa.

Rebhahn i Katting rozkręcili produkcję materiałów budowlanych, po której obiecywali sobie krociowe zyski. W wyniku niefachowego kierowania zakładem, interes skończył się jednak idącą w miliony plajtą. W tej sytuacji Katting, Rebhahn i książę jechali, jak Rebhahn zwykł to określać, „na jednym wózku”. Musieli się rozejrzeć za jakąś finansową rekompensatą. Wtedy Rebhahn wpadł na pomysł z winem mszalnym. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego związku producentów przemysłu winnego. Pozycja ta umożliwiała mu organizowanie tajnego bojkotu w stosunku do tych handlarzy winem, których chciał od siebie uzależnić. Po jego aresztowaniu związek zmienił front. A interes uczciwych winiarzy rozkwitł nagle w całej pełni...

Eks-pułkownik mógł podziękować Thomasowi Lievenowi jedynie na piśmie, gdyż w owym czasie, wiosną 1949 roku, kiedy to sędzia śledczy doktor Offerding sporządzał wielostronicowy akt oskarżenia przeciwko Herbertowi Rebhahnowi i jego kompanom, tenże, wraz z Bastianem Fabrem, mieszkał w wynajętym apartamencie w Zurychu.

Thomas i Bastian opływali w Zurychu w dostatki. Ich codzienną ulubioną lekturą była giełdowa część „Neue Züricher Zeitung”. Z zysków uzyskanych dzięki ostatnim operacjom handlowym, Thomas zakupił znaczne ilości przedwojennych akcji, które tuż po wojnie można było nabyć za bezcen, gdyż każdy wiedział, jak doszczętnie i do gruntu zwycięzcy zdruzgotali niemieckie centra przemysłowe.

Najwartościowsze urządzenia zostały zdemontowane, największe koncerny rozwiązane. W latach 1946-1947 akcje „Vereinigte Stahlwerke” były sprzedawane za 15 procent swej nominalnej wartości, akcje „AEG” za 30 procent, a akcjami „I.G.-Farben” w ogóle nie wolno było obracać.

Ludzie, którzy mimo to zakupili te i inne akcje, zostali sownie wynagrodzeni za swój optymizm! W chwili gdy akcje w reichsmarkach stały się nagle akcjami w markach Republiki Federalnej, ich kursy zaczęły gwałtownie zwyżkować. W pewnym apartamencie w Zurychu mieszkał człowiek, który nie mógł się skarżyć na taki rozwój wydarzeń...

Wiedli błogi żywot, dopóki nie nadszedł ów 14 kwietnia 1949 roku, kiedy to Thomas i Bastian wybrali się do zuryskiego kina „Scala”. Chcieli obejrzeć słynny włoski film „Złodzieje rowerów”. Najpierw na ekranie pojawiły się reklamy, potem kronika filmowa, a w niej reportaż z wiosennego derby w Hamburgu.

Można było podziwiać piękne konie, panów w długich, modnych marynarkach, eleganckie kobiety. Kamera robiła zbliżenia dostojnej publiczności. Oto jakiś gruby jegomość. Czarująca kobieta. Jeszcze jedna. Nastął czas cudu gospodarczego. Jakiś wytworny pan...

Nagle w loży numer 5 ktoś krzyknął głośno:

— Marlock!

Thomas zakrzuszył się, gdyż tam oto, na ekranie, stał on, nadnaturalnej wielkości, jego nikczemny wspólnik. którego już pogrzebał, jego zbrodniczy partner, który obrócił wniwecz jego spokojną egzystencję, cisnął go w machinę międzynarodowych tajnych służb... oto stał, nienagannie ubrany, w modnej marynarce, z lornetką na piersi.

— To on... Zabilę go, bydlaka — wrzeszczał Thomas. — A myślałem, że od dawna już smaży się w piekle... Żyje... No to nadszedł czas zapłaty!

18

— Co proszę? — zdziwił się właściciel kina „Scala”. — Chyba niezupełnie pana zrozumiałem, szanowny panie. Czego pan sobie życzy?

— Dobrze mnie pan rozumiał, mój panie — rzekł Thomas Lieven z eleganckim ukłonem. — Chciałbym po ostatniej projekcji wypożyczyć sobie taśmę z kroniką filmową, którą pan dzisiaj wyświetla.

— Wypożyczyć? Po co?

— Bo chcę ją jeszcze raz obejrzeć. Prywatnie. Zobaczyłem w niej pewnego znajomego, którego straciłem z oczu przed wojną.

Po kilku godzinach Thomas pędził przez nocny Zurych z rolką taśmy pod pachą, udając się w stronę położonych na przedmieściu studiów filmowych „Praesens-Film”. Tu zorganizował montownię i montażystę filmowego, który tak długo przepuszczał kopię kroniki na stole montażowym, aż Thomas nie zawołał:

— Stop!

Na małym ekranie nad stołem widniał teraz nieruchomy obraz wiosennego derby w Hamburgu. Jacys grubi panowie i eleganckie panie na trybunie, a na pierwszym planie, wyraźnie widoczny E. Marlock.

Thomas zacisnął pięści. Czuł jak z podniecenia pot występuje mu na czoło. Spokojnie, powiedział sam do siebie, tylko spokojnie. Zemsta wymaga spokoju.

— Czy mógłby pan skopiować ten kadr i zrobić dla mnie do jutra kilka odbitek, powiększonych jak to tylko możliwe?

— Oczywiście, proszę pana — powiedział montażysta.

Następnego dnia o godzinie jedenastej czterdzieści pięć Thomas Lieven wsiadł do ekspresu, udającego się do Frankfurtu nad Menem. Tu złożył wizytę dwóm wysokim urzędnikom „Nadzoru bankowego”. Pokazał im zdjęcia Roberta E. Marlocka. Po pół godzinie leżała przed nim karta osobowa, jedna z tych, które znajdowały się w tutejszej kartotece. Karty takie zakładano wszystkim trudniącym się interesami bankowymi.

— Ta podła kreatura mieszka w Hamburgu — powiedział Thomas do swego przyjaciela Bastiana Fabre’a, wieczorem 15 kwietnia 1949 roku. Nazywa się teraz Walter Pretorius i znów jest właścielem niewielkiego banku. Przy Innenalster. Co za bezczelność! Zuchwałość tego arcyłotra nie zna granic!

Bastian obracał w dłoni pękatą koniakówkę.

— Na pewno sądzi, że nie żyjesz — powiedział. — Chyba że zdążyłeś już złożyć mu wizytę.

— Zwariowałeś? Nie, nie, Marlock musi dalej żyć w wierze, że nie żyje!

— Myślałem, że chcesz się zemścić...

— I się zemszczę! Ale spójrz, Marlock otrzymał niemiecką licencję bankową. Żyje sobie w Hamburgu, nie spodziewając się niczego złego. Czy mam się zwrócić do niemieckiego sądu i powiedzieć: Pan Pretorius nazywa się naprawdę Marlock i wystawił mnie w 1939 roku do wiatru. Tak to sobie wyobrażasz? Jeśli go oskarżę, muszę to uczynić pod nazwiskiem Thomas Lieven, bo jako Thomas Lieven byłem bankierem w Londynie. Moje nazwisko pojawi się we wszystkich gazetach...

— Boże broń!

— No widzisz! Myślisz, że uśmiecha mi się zginąć z jakiejś tajemniczej ręki? Obojętnie czy z czerwonej, zielonej, niebieskiej, czy z czarnej? Człowiek z moją przeszłością musi za wszelką cenę unikać jakiegokolwiek rozgłosu.

— No to jak chcesz się dostać do Marlocka?

— Mam pewien plan. Potrzebny mi tylko jakiś figurant, choć i jego już mam — pan Reuben Achazian, z którym współpracowaliśmy w handlu zasobami Wehrmachtu. Napisałem do niego. Przyjedzie.

— A ja? Mam siedzieć beczynnienie?

— Ty, staruszk, musisz się ze mną na pewien czas rozstać — powiedział Thomas, kładąc mu rękę na ramieniu. — Nie patrz na mnie tak nieszczęśliwie. To konieczne. Gra toczy się o za wysoką stawkę... Weźmiesz wszystkie zbędne pieniądze, jakie posiadam i pojedziesz do Niemiec. Najlepiej do Düsseldorfu. Tam, gdzie mieszkają najbogatsi, kupisz dla nas willę, samochód, i tak dalej. Jeśli mój plan się nie powiedzie i wszystko stracę, będę potrzebował kredytu. I zaufania. Muszę mieć czym zaimponować. Kapujesz?

— Kapuję.

— Cecilien-Allee — powiedział Thomas rozmarzonym głosem. — To by była okolica w sam raz dla nas. Rozejrzyj się tam. Tam osiadziemy, bo tam mieszka najwykwintniejsze towarzystwo.

— Jasne — zgodził się Bastian. — W takim razie jasne jak słońce, że my też musimy się tam znaleźć...

19

Opowiemy teraz o największej i najbardziej ryzykownej operacji giełdowej Thomasa Lievena. Postaramy się zrelacjonować to w taki sposób, jak wyrafinowany był plan jego zemsty.

Rzucmy wprzód spojrzenie na Stuttgart. U bram tego pięknego miasta mieścił się budynek „Excelsior-Werke AG”. W czasie wojny zakłady te, z ponad pięciotysięczną załogą, produkowały armaturę i przyrządy dla Luftwaffe marszałka Rzeszy, Göringa. W roku 1945 interes się skończył. W Niemczech nie produkowano — przez krótką chwilę — samolotów bojowych. Dlatego też „Excelsior-Werke” wytwarzały na razie, w bardzo małym zakresie, różne przyrządy techniczne. Ale tuż po wprowadzeniu reformy walutowej, latem 1948 roku, wydawało się, że już nic nie uratuje zakładów przed bankructwem. Akcje „Excelsiora” sprzedawano znacznie poniżej ich wartości nominalnej, po kursie 18 do 25. Wczesną wiosną 1949 roku eksperci orzekli, że całkowity krach jest już tylko kwestią tygodni.

W tej rozpaczliwej sytuacji panowie z zarządu „Excelsior-Werke” zawarli 9 maja 1949 roku znajomość z pewnym Armeńczykiem nazwiskiem Reuben Achazian, który złożył im wizytę w Stuttgarcie.

Znakomicie ubrany pan Achazian, właściciel nowiutkiego caddy, model 1949, oznajmił zebranym:

— Panowie, przybywam do was na zlecenie pewnej szwajcarskiej firmy, która życzy sobie zachować anonimowość. Firma ta jest bardzo zainteresowana przeniesieniem części swej produkcji do Niemiec...

Panowie z zarządu chcieli się dowiedzieć, dlaczego.

— ... ponieważ koszty produkcji sprzętu technicznego są tu znacznie niższe. Panowie, Szwajcarzy zamierzają zaoferować panom długoterminowy kontrakt. Wyrazili gotowość partycypowania na korzystnych warunkach w kosztach uzdrowienia tutejszych zakładów. Aby panom uświadomić, jak poważnie moi szwajcarscy zleceniodawcy podchodzą do sprawy, upoważniono mnie, bym panom oświadczył, iż są oni gotowi przejąć płatne weksle zakładów do sumy miliona marek!

Milion marek! Nowych marek! Promyk nadziei dla zagrożonej widmem bankructwa fabryki. Zrozumiałe, że panowie nie zwlekali z decyzją...

Już 25 maja do kasy „Excelsior-Werke” wpłynęło 900 000 DM. Suma ta stanowiła majątek, jaki Thomas Lieven zainwestował w swą zemstę. Pracował ciężko w tamtych dniach. Po rozmowach z licznymi redaktorami, specjalizującymi się w problematyce gospodarczej oraz innymi dziennikarzami, w szwajcarskich gazetach ukazały się artykuły, w których twierdzono, że kręgi przemysłowe w Szwajcarii rozważają możliwość otwierania filii swych macierzystych zakładów w Republice Federalnej Niemiec. Te doniesienia, jak też fakt, że wszystkie płatne weksle „Excelsior-Werke” zostały sprawnie wykupione, wywołały sensację na zachodnioniemieckich giełdach. Gwałtownie zwiększył się popyt na akcje „Excelsior-Werke”. Kursy podniosły się znacznie, do poziomu 40 i 50.

Teraz — na zlecenie Thomasa Lievena — kilku figurantów zasięgnęło w Domu Bankowym Pretorius w Hamburgu informacji, czy wiadomo tu coś na temat sprawy „Excelsior-Werke”, budząc tym samym zainteresowanie niezwykle łasego na pieniądze właściciela banku, Waltera Pretoriusa...

Kilka dni później w Domu Bankowym Pretorius zjawił się niejaki pan Reuben Achazian i poprosił o rozmowę z właścicielem banku, którego od tej pory dla jasności będziemy nazywać jego prawdziwym nazwiskiem — Marlock.

— Na zlecenie mych szwajcarskich przyjaciół zapytuję, czy jest pan zainteresowany udziałem w szeroko zakrojonej akcji uzdrawiania „Excelsior-Werke” — mówił pan Reuben Achazian, który także do Wolnego Miasta Hanseatyckiego przybył swym eleganckim cadillakiem. Wobec ciągłego, gwałtownego wzrostu kursu tych akcji, Marlock zgodził się natychmiast. Obiecał swój udział w przedsię-

wzięciu, po czym zakupił przez pośredników wielkie ilości akcji „Excelsiora”, przez co ich kurs jeszcze bardziej podskoczył. Teraz Marlock musiał je już kupować po znacznie zawyżonym kursie. Uczynił to głęboko przekonany, że oto stanął przed interesem swego życia.

— Doprowadziłem już do tego — mówił Thomas Lieven 19 września w Zurychu do Reubena Achaziana — że ten bydlak utopił cały swój majątek w tym upadłym przedsięwzięciu, zwanym „Excelsior-Werke”. Teraz muszę jeszcze tylko zadbać o to, by odzyskać owe 900 000 marek, które zainwestowałem w wykup weksli „Excelsiora”.

— Jak pan zamierza to zrobić? — spytał Armeńczyk z wilgotnymi, migdałowymi oczami.

— Za pomocą „zablokowanych marek”, mój drogi — odparł Thomas łagodnie.

Wyrażeniem „zablokowane marki” określano wówczas majątek obcokrajowców w Rzeszy Niemieckiej, który dla zabezpieczenia waluty był zablokowany, i którym właściele mogli dysponować tylko za specjalnym zezwoleniem.

Przed rokiem 1951 „spermarkami” handlowano tylko nielegalnie za granicą. Z reguły płacono 8 do 10 dolarów za 100 takich marek, a więc kurs był dla sprzedających bardzo niekorzystny. Thomas Lieven wykrył w Szwajcarii zakłady przemysłowe, które dysponowały kontami „zablokowanych marek”, po części jeszcze z lat 1931-1936! Ich właściciele odstąpili naszemu przyjacielowi z ochotą swe konta, i to po wspomnianym nędznym kursie. Nieważne, nieważne, twierdzili, przecież w ten sposób odzyskamy chociaż część swych pieniędzy! Tak Thomas stał się właścicielem kont „zablokowanych marek” w Niemczech. Teraz wysłał Reubena Achaziana ponownie do Hamburga, gdzie mały Armeńczyk oświadczył bankierowi Marlockowi:

— Uzdrawienie „Excelsior-Werke” ma być w znacznej części finansowane z kont „spermark” moich szwajcarskich zleceniodawców. Według obowiązujących obecnie przepisów, operacji tej można dokonać tylko za zezwoleniem „Bank Deutscher Länder”. Posiadam pełnomocnictwa, by przekazać do pańskiego banku rzeczony sumy zawarte na kontach „zablokowanych marek” w wysokości 2,3 miliona marek.

Marlock zatarł ręce. Wiedział przecież, że trafił mu się interes życia! Pojechał do Frankfurtu. Przez kilka dni prowadził uparcie pertraktacje z „Bank Deutscher Länder”. Zaręczył z mocą przysięgi, że owe 2,3 miliona marek zużytkuje wyłącznie na uzdrowienie „Excelsior-Werke” w Stuttgarcie. W obliczu tego faktu bank zwolnił zablokowane marki.

— Niech pan znów do niego pojedzie — rzekł Thomas Lieven tego samego dnia w swym zuryskim mieszkaniu do Reubena Achaziana. — Zabierze pan ze sobą pełnomocnictwa, pierwszorzędnie sfałszowane dokumenty firm szwajcarskich, uczestniczących rzekomo w projekcie uzdrowienia zakładów. Ten hamburski łajdak wypłaci panu bez problemu te miliony. Przecież to nie jego. Podejmie pan całą sumę w gotówce i przywiezie ją tutaj.

Armeńczyk popatrzył na Thomasa Lievena pełen podziwu.

— Chciałbym mieć pańską głowę. Ile pan właściwie zapłacił za te ponad dwa miliony zablokowanych marek?

— Równe sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Thomas uśmiechnął się skromnie. Nie mógł zapobiec temu, że jego ręce — jakby to rzec — zatarły się poza jego świadomością.

— A w chwili gdy przywiezie pan swym wytwornym cadillakiem pieniądze do Zurychu — ciągnął — „sperrmarki” zamienią się w całkiem normalne D-marki! Będzie pan musiał jechać kilka razy. Pieniądze ukryjemy w kole zapasowym i w podwoziu. A potem wypniemy się na „Excelsior-Werke” i nie będziemy ich uzdrawiać. W ten sposób ta świnia w Hamburgu zbankrutuje.

Reuben Achazian wyruszył 7 grudnia 1949 roku. Miał wrócić 16. Był to dzień, w którym Republika Federalna otrzymała od Stanów Zjednoczonych kredyt w wysokości miliarda dolarów. Pan Reuben Achazian nie wrócił tego, dla niemieckiej odbudowy historycznego, dnia. Pan Reuben Achazian nie wrócił już nigdy...

28 grudnia bankier Walter Pretorius został aresztowany przez funkcjonariuszy niemieckiej policji kryminalnej. O tej samej porze funkcjonariusze szwajcarskiej policji federalnej aresztowali w jego zuryskim mieszkaniu Thomasa Lievena. Działali na podstawie pilnego listu gończego „Interpolu” i „Niemieckiego Federalnego Urzędu Kryminalnego” w Wiesbaden. Panom Lievenowi i Pretoriusowi zarzucano przeprowadzenie ogromnej akcji spekulacyjnej „zablokowanymi markami”.

— Kto mi to zarzuca? — spytał Thomas Lieven szwajcarskich policjantów.

— Oskarżenie przeciwko panu wniósł niejaki Reuben Achazian, przekazując jednocześnie władzom niemieckim obszerny materiał dowodowy. Nawiasem mówiąc, zaraz potem znikł bez śladu.

W takim razie mogę się pożegnać z moimi milionami, pomyślał Thomas Lieven. Czyli w końcu jednak popełniłem błąd. A przecież ten Achazian to taki miły Armeńczyk...

Thomas Lieven przesiedział w więzieniu śledczym prawie cały rok, rok wielkich wydarzeń, który przyniósł najbardziej upalne lato stulecia, zniesienie kartek żywnościowych i — 28 czerwca — wybuch wojny koreańskiej, której skutkiem była trwająca miesiącami psychoza gromadzenia wszelkich zapasów.

19 listopada 1950 roku Druga Wielka Izba Karna Sądu Krajowego we Frankfurcie skazała Thomasa Lievena na karę trzech i pół roku więzienia. W ustnym uzasadnieniu wyroku sędzieja powiedział: W przypadku oskarżonego Lievena należy z uznaniem podkreślić jego otwartość i szczerą postawę. Sąd odniósł wrażenie, że niewyjaśnione, prawdopodobnie z punktu widzenia psychologii zrozumiałe motywy, popchnęły oskarżonego do popełnienia tego karygodnego czynu. Sędzia powiedział dosłownie:

— Ten wysoce inteligentny, znakomicie wykształcony człowiek, nie jest typem pospolitego przestępcy...

W stosunku do drugiego oskarżonego, hamburskiego bankiera Waltera Pretoriusa, sędzia nie znalazł takich łaskawych słów. Dostał cztery lata. Jego bank musiał ogłosić bankructwo. „Niemiecki Nadzór Bankowy” obłożył go dodatkową karą dożywotniego zakazu wykonywania zawodu i wykreślił nazwisko Waltera Pretoriusa z rejestru poważnych bankierów.

Dwa fakty dodały frankfurckiemu procesowi pikanterii. Po pierwsze, oskarżeni, mimo iż — jak wiemy — znali się doskonale, nie przyznali się przed sądem żadnym słowem ani gestem do tej znajomości.

Po drugie, przewodniczący składu sędziowskiego już po drugiej rozprawie zarządził przeprowadzenie postępowania przy drzwiach zamkniętych, gdy oskarżony Thomas Lieven zapowiedział, że ujawni w szczegółach chwyt, dzięki któremu zwolnił zablokowane w bankach marki. W ten sposób nasz przyjaciel uniknął obszernych sprawozdań prasowych z rozprawy przeciwko Lievenowi i Pretoriusowi, a tym samym publicity, której obawiał się ze względu na swe powiązania ze służbami wywiadowczymi różnych krajów.

W pewnym sensie nasz przyjaciel osiągnął swój cel — Walter Pretorius alias Robert E. Marlock został zrujnowany po wsze czasy. Przed sądem był już tylko trzęsącym się, nerwowym wrakiem.

Oskarżeni nie zamienili z sobą w czasie procesu ani słowa. Wyrok obaj przyjęli w milczeniu. Thomas Lieven spoglądał przy tym z uśmiechem w stronę swego byłego współnika. Robert E. Marlock odwrócił głowę, nie mógł znieść tego uśmiechu...

Marlock odsiadywał swój wyrok w zakładzie karnym we Frankfurcie-Hammelgasse. Thomasowi udało się uzyskać przeniesienie do więzienia w Düsseldorfie-Derendorf. O to, by się dobrze czuł i nie zbywało mu na żadnych ziemskich dobrach, troszczył się, taszcząc ogromne paczki, jego przyjaciel Bastian, obecnie zamieszkały w Düsseldorfie, przy Cecilien-Allee. Gdy Thomasowi za bardzo zaczęła doskwierać nuda, rozpoczął pracę nad słownikiem gwary przestępczej. Z tysięcy słów zawartych w tym swoistym leksykonie prezentujemy tu — miejmy nadzieję ku zainteresowaniu publiczności — na próbę kilka:

OBDZWANIACZ — człowiek, którego zadaniem jest sprawdzić przed planowanym włamaniem do mieszkania, czy jego właściciel jest w domu. W tym celu w odstępach co pięć minut czterokrotnie uruchamia dzwonek do drzwi. Jeśli nikt nie reaguje, daje współnikom cynk, że droga wolna.

ŁOM — w złożeniach pomieszczenie, o którym akurat mowa, na przykład kratolom — więzienie, siurołom — ubikacja itd.

PUCHAROWAĆ — oszukiwać w grze w karty.

PRIMOWŚRÓD — doskonale się rozumiejąca banda przestępcza.

ABORDAŻ — okradzenie bezbronnego pijaka, którego pod pozorem pomocy odprowadza się do domu.

WOLNOSIEJ — więzień tuż przed wyjściem na wolność.

GERANIA — dyrektor zakładu karnego.

HEIERMANN — moneta pięciomarkowa.

PĘTAK — przestępca, którego nie należy brać poważnie.

GUSTAW, ŻELAZNY — specjalnie uformowany magnes, który wieszka się na liczniku elektrycznym, by go unieruchomić (stosowany przy nielegalnym poborze prądu).

GRĄC NA FORTEPIANIE — procedura przymusowego pobierania odcisków palców przez policję kryminalną.

WĄTRÓBKA — asystent lekarza w więziennym szpitalu.

MASZORES — strażnik więzienny.

NATHAN MĘDRZEC — więzień, który udziela współwięźniom porad prawnych i wszelkich innych, nie pobierając za to opłat.

OFFENBACH — złodziej specjalizujący się w kradzieżach instrumentów muzycznych.

PULSOWAĆ — udawać się, np. oszustwo lub włamanie.

GADACZ — więzień, który naprzykrza się każdemu rozmowami o rzekomej możliwości rewizji procesu.

RÓŻANIEC — pęk wytrychów, pojedynczy nazywa się **SEZAM**.

MARZYCIEL — jeden rok więzienia.

GALARETA — niezgodny z oczekiwaniami rezultat włamania.

BIDOWAĆ — ukrywać się po ucieczce w bardzo złych warunkach.

AŚ — areszt śledczy.

ODGANIACZ — człowiek, który kieruje policję na fałszywy trop.

WILK — więzień, który w celi markuje samobójstwo, a następnie napada przybyłych strażników.

ZENOBEL — nie istniejąca suma pieniędzy, którą się jednak operuje, aby uzyskać kredyt.

21

14 maja 1954 roku Thomas Lieven odzyskał wolność. Jego przyjaciel oczekiwał go przed więzieniem. Obaj natychmiast udali się na Riwierę, gdzie Thomas do woli wypoczywał na Cap Ferrat.

Dopiero latem 1955 roku Thomas Lieven wrócił do swej pięknej willi przy Cecilien-Allee w Düsseldorfie. Dysponował jeszcze pewną kwotą pieniędzy ulokowanych na koncie w „Rhein-Main-Bank”. Sąsiedzi uważali go za solidnego niemieckiego biznesmena, choć dąsali się nieco, że tak niewiele można się było o nim dowiedzieć.

Thomas całymi miesiącami nie robił nic innego, tylko rozmyślał i wypoczywał.

— Rusz się wreszcie, chłopie — nagabywał go Bastian Fabre. — Forsa kiedyś się wreszcie skończy, i co? Nad czym tak dumasz?

— Myślę o pewnej akcji z akcjami — odparł Thomas prosto. — Tym razem nikt nie powinien na tym stracić...

Przez następne kilka miesięcy Thomas pieczołowicie przygotowywał tę szeroko zakrojoną akcję z akcjami. Przystąpił do niej dopiero 11 kwietnia 1957, zapraszając do siebie właściciela fabryki papieru, tłustego, pokrytego bliznami pana dyrektora Schallenbergę.

Thomas wykrył, że Schallenberg, pod nazwiskiem Mack, był wehrwirtschaftsführerem w tak zwanym Warthegau i jego nazwisko

wciąż jeszcze widniało na liście ekstradycyjnej rządu polskiego. W tej sytuacji panu dyrektorowi nie pozostało nic innego, jak tylko — ze zgrzytem zębów — spełnić to, o co Thomas go prosił — dostarczyć mu pięćdziesiąt wielkoformatowych arkuszy specjalnego papieru ze znakiem wodnym. Takiego, jakiego używa się do druku akcji.

Wiadomo już, co Thomas z tym papierem zrobił i w jaki sposób skuteczniał interes z akcjami DESU. Relacjonowaliśmy to obszernie na początku tej opowieści. Gdy wyruszył na Riwierę, z poznaną w Zurychu piękną, młodą Helene de Couville, jego zysk wynosił 71 850 franków szwajcarskich.

W nocy, w czasie której słodka Helene de Couville w luksusowym hotelu „Carlton” w Cannes została jego kochanką, Thomas doznał koszmarnej niespodzianki. W pewnej chwili Helene wybuchła przeraźliwie gwałtownym płaczem.

— Oszukałam cię! — łkała. — Och, kochany Thomasie, muszę ci wyznać, że jestem agentką amerykańskiego wywiadu... Ja... Napuszczono mnie na ciebie. FBI chce cię za wszelką cenę zwerbować do współpracy... Jeśli się nie zgodzisz, zniszczą cię...

Thomas opuścił zrozpaczoną kobietę. W sypialni usiadł przy otwartym oknie i patrzył ku niebu i gwiazdom, które migotały nad Morzem Śródziemnym. Thomas Lieven rozmyślał nad swym burzliwym, pogmatwanym życiem — niezwykłą przygodą, która oto miała zamknąć swój krąg... A wszystko zaczęło się owego ciepłego dnia, w maju roku 1939...

Rozdział trzeci

1

Powabna i urocza Czytelniczko, roztropny i zmyślny Czytelniku! Opowiedzieliśmy dotąd, co przydarzyło się naszemu przyjacielowi między majem 1939 a majem 1957 roku.

Właśnie zamknął się wielki, ogromny krąg, który obejmował wielu ludzi, wiele krajów i przygód, wojnę światową i czas, który nastąpił po niej. Ale to jeszcze nie koniec historii Thomasa Lievena.

Bynajmniej!

A zatem opowiedzmy, co się jeszcze zdarzyło...

Thomas spotkał się ponownie z nadobną Helene dopiero przy śniadaniu. Była blada i nerwowa. Pod jej pięknymi oczami kładły się mroczne cienie.

— Wybaczysz mi?

— Spróbuję, moje dziecko — powiedział łagodnie.

— I... i... będziesz dla nas pracował?

— Spróbuję.

Wydobyła z siebie ostry krzyk radości. Rzucając mu się na szyję, przewróciła jego szklankę z jajkami po wiedeńsku.

— Oczywiście postawię pewne warunki — powiedział. — Nie chcę otrzymać zadania ani od ciebie, ani od twego szefa, pułkownika Herricka, lecz od pierwszego człowieka FBI.

Roześmiała się.

— Od Edgara Hoovera? Dziwne, on też chce się z tobą koniecznie spotkać! Polecono nam za wszelką cenę dostarczyć cię do Waszyngtonu...

Nie do wiary, jak to się toczą koleje losu!

23 maja 1957 roku Thomas Lieven siedział w restauracji portu lotniczego Rhein-Main we Frankfurcie. Był bardzo niespokojny. Jego

repetier wskazywał dwadzieścia minut po szóstej. Za piętnaście siódma startował superconstellation, którym miał polecieć do Nowego Jorku, a tego przekłętego agenta nazwiskiem Faber wciąż jeszcze nie było! Pojawienie się agenta zaawizował mu przy pożegnaniu w Zurychu pułkownik Herrick.

— Faber zaprowadzi pana do Hoovera — oznajmił.

Ale Faber się nie zjawił. Thomas wściekły wpatrywał się w wejście do restauracji portu lotniczego.

Wtem w drzwiach wejściowych pojawiła się jakaś młoda kobieta. Thomas wydał z siebie przytłumiony jęk, fala gorąca podeszła mu do gardła, a ciało przeszył dreszcz.

Dziewczyna zmierzała wprost ku niemu. Miała na sobie czerwony płaszcz, czerwone buty i takiż toczek, spod którego wysypywały się kruczoczarne włosy. Jej usta były wielkie i czerwone, zaś oczy wielkie i czarne. Miała bardzo jasną karnację. Tymczasem serce Thomasa waliło jak młotem. Nie, nie i jeszcze raz nie, myślał. Litości! To niemożliwe, po prostu niemożliwe. To Chantal, moja dobra, zmarła Chantal, jedyna kobieta, jaką kochałem. Oto idzie do mnie z uśmiechem na ustach. O Boże, ale przecież ona nie żyje, została zastrzelona w Marsylii...

Dziewczyna podeszła do jego stolika. Gdy Thomas podnosił się z krzesła, czuł, jak pot strumieniem spływa mu po plecach. Stała tuż obok niego, mógł jej dotknąć.

— Chantal... — jęknął.

— A zatem, Thomasie Lieven — odezwała się kobieta zachrypłym, szorstkim głosem. — Jak leci?

— Chantal... — wybąkał raz jeszcze.

— Słucham pana?

Zaczerpnął powietrza. Nie, to nie była ona. Oczywiście, że nie. Nonsens. Była niższa. Drobniejsza. Młodsza. O kilka lat młodsza. Ale to podobieństwo, to nieprawdopodobne podobieństwo...

— Kim pani jest? — zapytał z trudem.

— Nazywam się Pamela Faber. Lecę z panem. Niech pan wybaczy spóźnienie, samochód mi się zepsuł.

— Pani... pani nazywa się Faber?

Wokół Thomasa wciąż jeszcze wirował świat.

— Pułkownik Herrick wspominał o mężczyźnie.

— Pułkownik Herrick mnie nie zna. Otrzymał tylko informację o jakimś agencie, więc automatycznie skojarzył to z mężczyzną.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Chodźmy, panie Lieven. Nasz samolot jest już gotów do startu.

Gapił się na nią jak na zjawę. A Pamela Faber była w istocie taką

zjawą z zaświatów. Czułe, rzewne wspomnienie, daleki znak z królestwa umarłych...

Na wysokości 6000 metrów nad Atlantykiem rozmawiali ze sobą przez prawie całą noc, cicho, poufale.

Pamela obudziła w Thomasie nutkę melancholii. Dlaczego ta kobieta tak na niego oddziaływała? Czy tylko przez swe podobieństwo do Chantal? Co sprawiało, że miał uczucie, jakby znał tę Pamelę Faber od lat, jakby był z nią związany od wieków?

Pamela powiedziała mu, że jej rodzice byli Niemcami, ale ona urodziła się w Ameryce. Od 1950 roku pracowała dla amerykańskiego wywiadu. Jak do tego doszło? Pamela wzruszyła ramionami.

— Wydaje mi się, że głównie z żądy przygód — wyjaśniła szczerze. — Moi rodzice nie żyją. Chciałam ruszyć w świat, zwiedzić obce kraje, przeżyć coś...

Przeżyć coś, myślał Thomas, zwiedzić obce kraje. Rodzice nie żyją. Tak właśnie odpowiedziałyby Chantal, gdyby ją zapytać, dlaczego rzuciła się w wir przygód. Chantal, ach Chantal! To straszne. Dlaczego ta dziewczyna musi być do niej tak podobna?

— Ale teraz mam już dość, wie pan. To nie życie dla mnie, pomyliłam się. Albo jestem już za stara.

— Ile pani ma właściwie lat?

— Trzydzieści dwa.

— O Boże — jęknął Thomas i pomyślał o swoich czterdziestu ośmiu.

— Chcę z tym skończyć. Wyjść za mąż. Mieć dzieci. Małe mieszkanko. Gotować różne smakowitości dla rodziny.

— Pani... Lubi pani gotować? — spytał Thomas chrapliwie.

— To moja pasja! Dlaczego pan tak na mnie patrzy, panie Lieven?

— Hm! Nic, nic...

— Ale tajne służby zataczają diabelski krąg, z którego trudno się wydostać. Skończyć z tym. Po prostu odejść. Kto z nas może sobie na to pozwolić? Pan? Nikt. Nikomu nie wolno tego uczynić...

2

Oczarowanie, jakiego Thomas doznał tamtej nocy, trwało. Potęgowało się coraz bardziej i bardziej, a nasz przyjaciel zanurzał się w nim jak w toni słodczy, jak w obłoku odurzających zapachów.

Z Nowego Jorku polecili z Pamelą dalej, do Waszyngtonu. Obserwował ją teraz dokładnie, z niemal klinicznym zainteresowaniem. Cechowała ją szczerść, dobroć i odwaga Chantal. Miała w sobie coś z drapieżnego zwierza, jak Chantal, coś z jej gwałtowności i energii. Jednocześnie była od niej lepiej wychowana, mądrzejsza. Dlaczego tak boli mnie serce, gdy tylko na nią spojrzę, myślał Thomas.

Edgar Hoover, sześćdziesięciodwuletni szef amerykańskiego Federalnego Urzędu Kryminalnego, przyjął Thomasa w swej służbowej rezydencji w Waszyngtonie. Ich pierwsze spotkanie trwało zaledwie kilka minut. Po serdecznym przywitaniu ten przysadzisty mężczyzna z mądrymi, zawsze nieco melancholijnymi oczami, powiedział:

— Tu nie możemy spokojnie pogadać. Wie pan co? Miss Faber, pan i ja zorganizujemy sobie miły weekend. Mam tu w pobliżu wiejski dom.

Wiejska posiadłość Edgara Hoovera leżała w stanie Maryland, wśród łagodnych, pokrytych lasem wzgórz i wielu przytulnych domów tego typu. Refugium pierwszego policjanta Ameryki było urządzone pięknymi, antycznymi meblami.

— Proponuję — powiedział niedzielnego poranka przy śniadaniu szef FBI, zacierając ręce — żebyśmy sobie dziś upichcili doskonałego indyczka. Wprawdzie jeszcze trochę za wcześnie na indyki, ale widziałem na dole, w wiosce, piękne, młode sztuki. Przyniosę później. Borówki też.

— Borówki?

Thomas zmarszczył brwi, na co Pamela — miała tego ranka na sobie koszulę á la drwal, dzinsy i wyglądała jeszcze ponętniej niż zwykle — wyjaśniła Thomasowi z uśmiechem:

— Tak się tu jada indyka, panie Lieven.

— Fe! Jak o mnie chodzi, to robiłem zawsze indyka...

— ... z nadzieiem, prawda? — Pamela pokiwała głową. — Moja mama też. A nadzieie robiło się z przekręconych przez maszynkę indyczych i gęsih wątróbek i ...

— ... cielęciny, słoniny wieprzowej i żółtek — przerwał jej rozochocony Thomas — ... do tego trufle — łupiny starte, same trufle pokrojone w kostkę — dwie bułki...

— ... a wieprzowina musi być tłusta!

Nagle zamilkli oboje, spojrzeli na siebie i oblali się rumieńcem.

Menu, Maryland, 15 maja 1957

Rosół z grzanką

Indyk z nadzieniem z trufli

Ciasto cytrynowe

Thomas gotuje dla Ameryki i postanawia umrzeć...

Indyk z nadzieniem z trufli: bierzemy 150 g chudej wieprzowiny, 100 g cielęciny, 200 g świeżego tłuszczu wieprzowego, wątrobę indyczą, 125 g surowej wątroby gęśiej i mielimy maszynką. Do zmielonej masy dodajemy dwie namoczone bułki i dwa żółtka. Następnie dodajemy 2 posiekane łupiny trufli oraz posiekane trufle, 125 g pokrojonej drobno i upróżonej na maśle gęsi, wątróbkę, sól, przyprawy tak jak do pasztetu oraz odrobine Madery. Uzyskane w ten sposób nadzienie wkładamy do indyka. Indyka posypujemy i nacieramy solą, pierś obkładamy cienko pokrojonymi plasterkami słoninki, którą usuwamy na 1/2 godziny przed końcem pieczenia, aby i piersi uzyskały ładny, brązowy kolor. Do brytfanny dodajemy odpowiednią ilość masła i trochę gotującej wody, układamy indyka na jednym boku, od czasu do czasu przekładamy go na drugi bok i dokładnie, obficie podlewamy. Czas pieczenia zależy od wielkości indyka. Przez ostatnie pół godziny pieczenia kładziemy indyka grzbietem do ognia. Można również nadzienie truflowe dać wyłącznie do szyjki, a resztę wnętrza indyka napętnić mniej wyszukany farszem. Np. zamiast gęśiej wątróbki wziąć cielęcą! Do dekoracji można użyć drobną, żółtą kukurydzę puszkową obgotowaną w maśle, sos borówkowy (cumberland) i upróżoną sałatkę. Przyrządzamy ją z pokrojonych surowych jabłek, pomarańczy, ugotowanego selera pokrojonego w kostkę. Wszystko to mieszamy z majonezem i startym orzechem kokosowym.

Ciasto cytrynowe: bierzemy 2 szklanki cukru, sześć jaj, 1/2 szklanki gorącej wody, dwie łyżki soku cytrynowego, startą skórkę z jednej cytryny i dwie szklanki mąki. Układamy żółtka, dodajemy cukier, wodę, sok z cytryny, startą skórkę cytrynową i mąkę, na końcu łączymy z ubitą pianą z białek. Uzyskane w ten sposób ciasto wlewamy do formy i pieczemy na średnim ogniu w piekarniku około 45-50 minut. Ciasto można podawać na ciepło lub po wystudzeniu z sokiem owocowym.

— Coś takiego! — zdziwił się Edgar Hoover. — Znakomicie się uzupełniacie! Prawda, panie Lieven?

— Tak — zgodził się Thomas — ta myśl już od dawna nie daje mi spokoju.

Dwie godziny później krzatali się po kuchni. Pamela pomogła Thomasowi oskubać i wypatroszyć ptaka, pomogła mu też w przygotowaniu nadzienia. Gdy chciał sięgnąć po pieprz, już miała go w ręku. Gdy doszedł do wniosku, że nadzienie jest nieco za rzadkie, już przekreślała przez maszynkę kolejną namoczoną bułkę.

O, Boże, myślał Thomas. O wielki Boże na wysokościach!

— Pierś indyka zawiniemy w słoninę, moja matka też tak zawsze robiła.

— Mama pani zawijała pierś w świeżą, tłustą słoninę? — promieniał Thomas. — Moja też! Zostawiała ją taką zawiniętą prawie do ostatniej chwili przed włożeniem do piekarnika. Dopiero pół godziny wcześniej ją odwijiała.

— Żeby nie wyschła, oczywiście.

Thomas podniósł do góry kuper indyka, podczas gdy Pamela zreżnie i z wdziękiem zaszywała ten naturalny otwór, przez który nadzienie dostało się do wnętrza zwierzęcia.

— Mister Lieven — powiedział przyglądający im się Hoover — nie przypuszcza pan chyba, że sprowadziliśmy pana do Ameryki dlatego, że tak znakomicie opanował pan sztukę kulinarną.

— Nie? — zdziwił się Thomas, obracając w tę i z powrotem indycy kuper.

— Nie. Zna pan Dunję Melanin?

Indyk wypadł Thomasowi z ręki.

— No, no! — bąknęła Pamela.

— Pardon! — przeprosił Thomas, podnosząc ptaka. — Gdzie jest... ta dama...?

— W Nowym Jorku. Była pańską kochanką, prawda?

— Tak... to znaczy...

Thomas wyczuł na sobie wzrok Pameli, on sam wlepił uparcie wzrok w kuper indyka.

— Wmawiała sobie, że mnie kocha...

Hoover wstał. Jego głos brzmiał teraz poważnie.

— Wiemy, że w Nowym Jorku od dłuższego czasu działa prężna rosyjska siatka szpiegowska. Nie wiemy, jak. Nie wiemy też, kto do niej należy. Jednak przed trzema tygodniami do naszej ambasady w Paryżu zgłosił się i oddał do naszej dyspozycji jeden z członków siatki. Niejaki mister Morris. Był ostatnim kochankiem pani Melanin...

Thomas ostrożnie położył indyka z powrotem na stole.

— Nie musi pan dalej mówić, panie Hoover — powiedział przyjaźnie. — Zrobie, co w mojej mocy. Ale pod jednym warunkiem.

— Tak?

Thomas spojrzał na melancholijnego szefa FBI. Spojrzał na smakowitego indyka. Spojrzał wreszcie na Pamelę, która stała przed nim z powalanymi, mokrymi rękami, rozgorączkowana, śliczna i ponętna.

— Chciałbym — i to jest mój warunek — żebyście po wykonaniu misji pozwolili mi umrzeć — powiedział Thomas przyjaźnie.

Wczesnym rankiem 21 listopada 1957 roku, dzieci bawiące się na białej plaży wioski rybackiej Cascais pod Lizboną znalazły kolorowe muszki, rozgwieżdżone, na wpół żywe ryby i jakiegoś całkiem nieżywego pana. Leżał na wznak. Na twarzy martwego pana malował się wyraz zdziwienia, zaś na sobie miał niezwykle modny, choć już znacznie rozmoczony, popielaty garnitur z przędzy czesankowej, czarne półbuty i skarpetki, białą koszulę i czarny krawat. W okolicy serca w koszuli widniała okrągła dziura i ogromna plama krwi. Marynarka też sporo ucierpiała. Wszystko wskazywało na to, że pan ten został za pomocą kuli — nie najmniejszej zresztą — wyprawiony z tego na drugi, rzekomo lepszy, świat.

Odkrywszy zwłoki, dzieci z piskiem rzuciły się do ucieczki. Po pięciu minutach na miejsce przybiegli rybacy i ich żony. Podnieceni, otoczyli martwego mężczyznę.

— Sprawdź, Jose — powiedział w końcu jakiś stary rybak do swego syna — czy ten człowiek nie ma przy sobie jakichś dokumentów.

Jose ukląkł koło zwłok i sprawdził. Denat miał przy sobie cztery paszporty.

— Znam tego faceta — powiedział jakiś starzec. — We wrześniu 1940 roku, przed siedemnastu laty, brałem udział — za sówitą opłatą — w uprowadzeniu przez niemieckich agentów jakiegoś wytwornego pana. Byłem wówczas sternikiem kutra rybackiego. Gdzieś tam w mieście dali mu w łeb i przywieźli tu nieprzytomnego. Potem wpakowaliśmy go na pokład i wypłynęliśmy w morze. Przed trzy-milową strefą, mówili Niemcy, będzie czekała niemiecka łódź podwodna i przyjmie faceta. Tylko że go nie przyjęła. Bo coś się stało.

Stary rybak opowiedział, co się wówczas stało, ale przychylny Czytelnik zna już tę historię.

— Cały czas mówili o nim „kupiec Jonas” — skończył stary sternik.

— Sprawdź no, Jose — odezwał się znów pierwszy — czy ten martwy pan ma przy sobie paszport na nazwisko Jonas.

Jose sprawdził. Martwy pan miał przy sobie paszport. Na nazwisko Emila Jonasa, kupca z Rudsheim.

— Musimy natychmiast zawiadomić policję — powiedział Jose.

4

— Niech pani pisze — powiedział komisarz Manuel Vayada z wydziału morderstw lizbońskiej policji i zaczął dyktować: *W przypadku zwłok znalezionych na plaży Cascais chodzi o wyraziście męską — hm, niech pani skreśli wyraziście — o męską istotę w wieku około 45, 50 lat. Z załączonego orzeczenia lekarza policyjnego, hm, hm, wynika, że śmierć nastąpiła wskutek zastrzelenia z amerykańskiego pistoletu wojskowego, kaliber 9 milimetrów... Akapit.*

Przy denacie — ma pani? — znaleziono 891 dolarów i 45 centów, dwa rachunki z nowojorskich lokali, rachunek hotelu „Waldorf-Astoria” w Nowym Jorku, niemieckie prawo jazdy wystawione na nazwisko Thomas Lieven, staroświecki złoty repetier, jak też paszporty — dwa niemieckie na nazwiska Thomas Lieven i Emil Jonas oraz dwa francuskie na nazwiska Maurice Hauser i Jean Leblanc... Akapit.

Zdjęcia Jeana Leblanca i Emila Jonasa, znajdujące się w kartotece policji kryminalnej, pokrywają się dokładnie ze zdjęciami z czterech paszportów denata. Powyższe okoliczności pozwalają chyba na wysnucie prawidłowego wniosku, że w przypadku zamordowanego chodzi o agenta Thomasa Lievena, o którym było bardzo głośno w ciągu ostatnich trzech lat. Nie ulega wątpliwości, że padł on ofiarą rozgrywek tajnych służb. Śledztwo w tej sprawie prowadzone jest z całą energią... Co za bzdura. Jak gdyby kiedykolwiek udało się wyjaśnić jakiegokolwiek morderstwo w środowiskach wywiadu! Morderca jest już gdzieś za siódmą rzeką... Oszalała pani!? Co pani przyszło do głowy, żeby notować moje ostatnie słowa??

5

— Człowiek, z niewiasty zrodzony, żyje krótko i niespokojnie... — powiedział duchowny nad otwartym grobem.

Była godzina szesnasta trzydzieści 24 listopada 1957 roku. Minęło trochę czasu zanim zwłoki zamordowanego zwolniono i zezwolono na pogrzeb.

24 listopada 1957 roku w Lizbonie padało i panował przejmujący chłód. Skromna grupka żałobników marzła. Obecni byli prawie sami

mężczyźni, pojawiła się tylko jedna młoda dama. Panowie wyglądali na to, czym byli — kolegami po fachu. Eks-major Fritz Loos z niedysyj-szej komendy okręgowej Wehrmachtu w Kolonii spuścił głowę. Stojący obok niego, żółty jak pigwa brytyjski agent Lovejoy kichnął. Czeski szpieg Gregor Marek trwał skulony w bezruchu. Pogrążeni w myślach byli pułkownicy francuskiego wywiadu Simeon i Debras, w smutku pułkownik niemieckiej Abwehry w Paryżu Erich Werthe i major Brenner. Obok duchownego stała amerykańska agentka Pamela Faber, która tak bardzo przypominała Thomasowi Chantal Tessier.

— Niech ci ziemia lekką będzie, Thomasie Lievenie. Amen — skończył duchowny.

— Amen — zawtórowali mu osobliwi żałobnicy.

Wszyscy obecni znali Thomasa Lievena. Wszystkich wystawił kiedyś do wiatru. Teraz ich szefowie wystali ich, by stwierdzili, czy ten s... .. czy on naprawdę nie żyje. Dzięki Bogu, to fakt, myśleli panowie.

Dół zasypano. Każdy z byłych kolegów Thomasa Lievena sypaną w otchłań łopatkę ziemi, po czym grabarze przykryli świeży grób prostą marmurową płytą, która miała go zdobić.

Żałobnicy rozchodzili się powoli. Brenner i Werthe kroczyli obok siebie. Nie znali swego rodaka Fritza Loosa, on też ich nie znał. Fritz Loos pracował bowiem dla nowo powstałej niemieckiej agencji wywiad-owczej, podczas gdy Werthe i Brenner działali w innej nowo powstałej niemieckiej agencji wywiadowczej. W roku 1957 istniało ich znów kilka w niemieckiej ojczyźnie!

Przed cmentarzem agenci wsiedli do taksówek. Praktycznie mogli też wynająć mikrobus, gdyż mieszkali w tym samym hotelu, w najlep-szym, rozumie się. Odnośne ojczyzny pokrywały wszelkie koszty. Ze swoich pokoi, w przepięknym, luksusowym hotelu „Palacio do Es-toril-Parque”, zamówili niezwłocznie rozmowy telefoniczne z Anglią, Francją, Niemcami, nawet za Żelazną Kurtynę.

Gdy połączenia doszły do skutku, mówili w słuchawkę niedorzecz-ne zdania, jak choćby to: „Dziś po południu podano żółtego rekina”, co oznaczało: „Widziałem zwłoki w kostnicy. To Lieven.”

W związku z tym, po południu 24 listopada 1957 roku, w różnych centralach wywiadowczych zamykano i odkładano do archiwum cień-sze lub grubsze teczki z aktami. Wszystkie opatrzone były napisem THOMAS LIEVEN. Teraz dorysowywano tylko pod spodem krzy-żyk...

Podczas gdy jej koledzy po fachu wisieli jeszcze przy słuchawkach, Pamela Faber siedziała beczynninie w swym hotelowym pokoju. Zamó-wiła whisky, lód i wodę sodową, zdjęła buty na wysokich obcasach

i oparła nogi na taborecie. Siedziała odprężona w wygodnym fotelu, paliła papierosa i obracała w rękę pokazną szklaneczkę whisky.

Jej czarne oczy błyszczały jak gwiazdy, a wielkie usta jakby nieustannie gotowały się do śmiechu z niesamowitego, tajemnego psikusa. Tak więc, Pamela Faber siedziała, paliła, popijała i uśmiechała się, podczas gdy zmierzch deszczowego jesiennego wieczoru opadał na Lizbonę. Nagle podniosła szklanekę i powiedziała głośno: „Twoje zdrowie, kochany Thomasie! Obyś żył jeszcze długo... dla mnie!”

W tej chwili miała już nieco w czubie. Na trzeźwo by tego nie powiedziała, bo Thomas nie mógł jej usłyszeć. Nie było go w pokoju. Nie było go też ani w Lizbonie, ani w Portugalii, ani nawet w Europie. Był...

No właśnie. Co się działo z Thomasem Lievenem, zapyta słusznie szanowny Czytelnik. Bo fakt, że to nie Thomas Lieven został po-
grzebany tego dnia, odgadliście Państwo choćby z żartobliwego tonu naszej relacji. Ale jeśli on żył, kto w takim razie został pochowany? Kogo międzynarodowi agenci rozpoznali jako Thomasa Lievena?

Cierpliwości, szanowny Czytelniku, zaraz to opowiemy. Dla całkowitej jasności sprawy musimy wszakże cofnąć się w czasie do owego dnia, kiedy to straciliśmy Thomasa z oczu, do 25 maja 1957 roku.

Tego dnia, jak już wspomnieliśmy, Thomas gościł w wiejskiej posiadłości wśród łagodnych wzgórz stanu Maryland. Gospodarzem był szef amerykańskiego FBI. Tego też dnia wyraził zaskakujące życzenie, by po wypełnieniu misji pozwolono mu umrzeć.

— Aha — rzekł Hoover jak gdyby nigdy nic. — A jak pan sobie wyobraża pańską śmierć?

Thomas Lieven powiedział jemu i Pameli, jak sobie wyobraża własną śmierć.

— Moja śmierć jest niezbędna — zakończył — żebym wreszcie... wreszcie mógł pożyć w spokoju.

Hoover i Pamela uśmieśli się serdecznie z tych słów i projektu zakończenia żywota Thomasa Lievena.

— Szczegóły omówimy później — zaproponował Thomas. — A teraz może by mi pan powiedział coś bliższego o mojej Dunji i tym panu Morrisie. Gdzież on jest?

— W Paryżu — rzucił Edgar Hoover.

— No, no... Myślałem, że w Nowym Jorku?

— Był w Nowym Jorku. Jeszcze kilka tygodni temu. Potem pojechał do Europy. W Paryżu zatrzymał się w „Crillonie”. I chyba właśnie wtedy puściły mu nerwy, gdyż po południu 4 maja wyszedł z hotelu i przez Place de Concorde udał się do Ambasady Amerykańskiej, gdzie powiedział: „Jestem radzieckim szpiegiem...!”

6

— Jestem radzieckim szpiegiem. Mogę udzielić wam informacji o największej sowieckiej siatce szpiegowskiej w Stanach Zjednoczonych — powiedział Victor Morris do amerykańskiego ambasadora w Paryżu.

Był 4 maja 1957 roku, godzina siedemnasta czterdzieści pięć.

— Dlaczego chce pan to zrobić? — spytał ambasador.

— Bo potrzebuję pomocy — odparł Morris, człowiek z szeroką, nabrzmiałą twarzą i mocnymi, czarnymi okularami w rogowej oprawie. — Otrzymałem zadanie opuścić Amerykę i przez Paryż powrócić do Moskwy. Wiem, co to znaczy. Chcą mnie sprzątnąć.

— Dlaczego?

— Ja... hm... wydaje mi się, że się nie sprawdziłem — odpowiedział Morris w nieskazitelnej amerykańskiej odmianie angielskiego. — Baby. Wóda. Gadatliwość. No i do tego jeszcze ta Dunja...

— Co za Dunja?

— Dunja Melanina. Eks-żona radzieckiego oficera. W Nowym Jorku pracuje jako pomoc lekarska. Zaprzyjaźniłem się z nią. Ale nieustannie dochodziło do kłótni. Rzucaliśmy się w oczy. Mark kazał mi się natychmiast wynosić.

— Kto to taki?

— Mark jest od dziesięciu lat szefem największej radzieckiej siatki szpiegowskiej w Ameryce.

Wkrótce okazało się, że Victor Morris to człowiek o wielu nazwiskach. Naprawdę nazywał się Hayhanem i był podpułkownikiem sowieckiego wywiadu. Od roku 1946 do 1952 przygotowywano go w Rosji do misji szpiegowskiej w Ameryce, gdzie miał współpracować z legendarnym, osławionym „Mister Markiem”.

Sześć lat szkolenia! Wystarczy pomyśleć, co to znaczy. Hayhanem musiał całkowicie zrezygnować ze swej starej osobowości i przywdziać nową. Musiał nauczyć się czytać, mówić, jeść, chodzić i dyskutować jak człowiek z okolic Nowego Jorku. I jeździć samochodem jak Amerykanin. I tańczyć, czytać, pisać, palić i upijać się jak Amerykanin.

Podpułkownik Hayhanem stał się zupełnie nowym człowiekiem. Bądź co bądź, ktoś już przed nim tego dokonał — „Mister Mark”, najlepszy szpieg, jakim Kreml kiedykolwiek dysponował w Ameryce i który przez dziesięć lat pozostawał nieuchwytny.

Hayhanem, alias Morris, zdał wszystkie egzaminy. 14 kwietnia 1952 roku, wyposażony w doskonale sfałszowany amerykański pasz-

port, zameldował się — zgodnie z instrukcją — u Michaiła Swirina, sekretarza radzieckiej delegacji przy ONZ w Nowym Jorku. Spotkanie to odbyło się z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności. Swirin przekazał mu pieniądze i powiedział:

— Nawiąże pan kontakt z Markiem. To nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Od tej chwili nie istnieje pan dla mnie, tak jak oficjalnie nie istnieje dla mnie mister Mark. Niech pan nie liczy na jakąkolwiek pomoc z mojej strony. Jestem dyplomatą. Nie mogę mieć z panem nic wspólnego.

— Jak poznam Marka?

— Zadzwoń do pana. Do hotelu. Dam panu małą rzeźbioną fajkę. Będzie pan ją trzymał w ustach jako znak rozpoznawczy, gdy Mark ustali już z panem miejsce spotkania.

Mark zadzwonił po trzech dniach.

— Niech pan będzie punktualnie o wpół do szóstej w ustępie panoramicznego kina w Flashing.

Ustęp! Chyba żaden wywiad świata nie mógłby się obejść bez tego przybytku! Tego dnia, punktualnie o wpół do szóstej, Morris odwiedził wspomnianą ubikację. Z jednej z kabin wyszedł mężczyzna w wieku około 45 lat — wysoki, prawie całkiem łysy, ze sceptyczną, inteligentną twarzą, wielkimi uszami i wąskimi wargami. Miał okulary bez oprawek, a na sobie flanelowy garnitur i niebieską koszulę bez krawata. Spojrzał na Morrisa. Dostrzegł zwisającą mu z kącika ust małą fajkę o osobliwym kształcie. Skinął ledwie dostrzegalnie głową i powiedział:

— Co do minuty, Morris...

7

— Mark skinął głową i rzucił: „Co do minuty, Morris...” — opowiadał szef FBI, Edgar Hoover, uważnie przysłuchującemu się Thomasowi Lievenowi. Obok niego siedziała poważna Pamela Faber. Cała trójka paliła, piła czarną kawę i francuski koniak. Indykowa ucztą należała już do przeszłości.

Hoover zapalił grube, długie cygaro i wypuścił obłok słodkawego dymu.

— Morris i Mark nie znosili się nawzajem — ciągnął szef FBI — od pierwszej chwili poczuli do siebie antypatię. Ale byli na siebie skazani...

Tak, byli na siebie skazani. Owego popołudnia, w kinowej umywalni Mark przekazał Morrisowi pieniądze, klucz do kodu i omówił zasady konspiracji — Morris miał otworzyć studio fotograficzne, żeby władze nie zaprzętały sobie głowy pytaniem, z czego żyje. Oprócz tego Mark powiadomił Morrisa, gdzie i w jaki sposób miał przekazywać i odbierać tajne informacje.

Informacje — mikrofilmy nie większe od główki od szpilki — miały być chowane w monetach, starych papierowych chusteczkach albo skórkach pomarańczy. Za pomocą małej płytki magnetycznej można je było umieszczać pod ławkami, publicznymi aparatami telefonicznymi, kubłami na śmiecie czy skrzynkami pocztowymi.

— Praca przebiegała bez zakłóceń — mówił Hoover. — Morris, jako się rzekło, nie cierpiał Marka, ale mimo to wypełniał swoje zadania bez zarzutu.

— Jakie na przykład?

— Niestety bardzo ważne — rzekł Hoover z westchnieniem. — Sądząc z tego co Morris powiedział w Paryżu, nie powinniśmy mieć złudzeń. Dzięki „Organizacji Mark” Sowietci dysponują ogromnym zasobem informacji! Na przykład Morris, według jego własnych słów, penetrował centrum raketowe w New Hyde Park.

— I nigdy nie zdarzyła im się żadna wpadka, żadne potknięcie?

— Jeden jedyny raz. Ta wpadka stanowiła dla nas potwierdzenie prawdziwości wywodów Morrisa. Oto dowód.

Hoover położył na stole przed Thomasem wytartą monetę pięciocentową.

— Niech pan ją podniesie i upuści.

Thomas sięgnął po monetę. Upuścił ją. Rozpadła się na dwie części. W środku była pusta. Wydrążona. Wewnątrz jednej z połówek przytwierdzony był malutki kawałek filmu.

— Ten kawałek mikrofilmu zawiera zakodowaną informację od Marka. Najlepsi specjaliści FBI od czterech lat usiłują ją rozszyfrować. Daremnie.

— Jak pan wszedł w posiadanie tej monety? — spytał Thomas.

— Czysty przypadek — powiedział Edgar Hoover. — Znalazł ją pewien chłopiec, gazeciarz James Bozart, w 1953 roku...

Pewnego upalnego wieczoru, latem 1953 roku, po schodach pewnego domu czynszowego w nowojorskiej dzielnicy Brooklyn pędził co sił w nogach mały, piegowaty gazeciarz James Bozart.

Nagle bach! Wywrócił się jak długi. Całe pieniądze wypadły mu

z kieszeni. Taki pech! Przeklinając pod nosem, chłopak zaczął zbierać swój majątek. Nagle dostała mu się do ręki dziwna pięciocentówka. Dziwna...

James obrócił ją kilkakrotnie w palcach. Rozpadła się na dwie części. W wydrążeniu jednej z części chłopak spostrzegł jakiś ciemny punkt. Coś takiego! Dopiero co oglądał jakiś film szpiegowski, gdzie tajne informacje przekazywano na mikrofilmach ukrytych w pudełkach papierosów. Czyżby to też był mikrofilm?

James Bozart — naród amerykański winien mu za to dozoną wdzięczność — zaniósł swe znalezisko najpierw na najbliższy posterunek policji. Komendant Milley wyśmiał chłopca, ale sierżant Levon powiedział: „Chwileczkę, Joe. Poślijmy to coś do FBI. Kto wie, może nasze nazwiska znajdą się w gazetach!”

Nazwisko żadnego z nich nie pojawiło się wówczas w gazetach, ale dwóch agentów Federal Bureau of Investigation odwiedziło po jakimś czasie małego Jamesa w domu. Zadali mu masę pytań. Na przykład, gdzie się przewrócił?

Na Fulton Street 252. To wielka kamienica czynszowa. Dolne lokale zostały rozbudowane i mieszczą się tam sklepy. Pierwsze i drugie piętro zajmują firmy, wyżej mieszkają kawalerzy, artyści i drobni urzędnicy. Oprócz tego w tym mamucim domu FBI posiadało jedno ze swych biur.

Agenci FBI drobiazgowo prześwietlili każdego mieszkańca domu przy Fulton Street 252. Na próżno.

Minęły lata. Informacja zawarta na mikrofilmie pozostawała nierozszyfrowana, jej nadawca nieuchwytny. Ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo narodowe Ameryki coraz dotkliwiej odczuwali ten fakt, w owym czasie między rokiem 1953 a 1957. Przejmująca grozą siatka szpiegowska ogarniała ich kraj, stanowiła dla niego coraz większe zagrożenie.

— W tamtych latach — mówił Edgar Hoover do Thomasa Lievena w swym cichym, wiejskim domu — Morris coraz bardziej staczał się na dno. Gdy spotkał Dunję Melanin, rozpoczęło się najgorsze. Bił ją, ona biła jego. Mark na pewno wysłał w tej sprawie raport do Moskwy, bo Morris został nagle odwołany. W Paryżu poszedł do Amerykańskiej Ambasady, poprosił o ochronę i opowiedział wszystko, co wiedział.

— Wygląda na to, że nie było tego wiele — rzekł Thomas.

— Jego informacje są niewystarczające, ale jest ich jednak dość sporo — nie zgodził się Hoover. — Choć tajemniczy Mark czynił wszystko, by zataić przed Morrisem miejsce swojego zamieszkania,

temu udało się raz podążyć jego tropem. Według jego zeznań mister Mark mieszka... Wie pan gdzie?

— Jeśli to takie niezwykle, jak pan sugeruje, chyba przy Fulton Street 252.

— Właśnie — rzucił Edgar Hoover. — W domu, gdzie przed czterema laty przewrócił się i znalazł monetę mały James Bozart...

Nastąpiła chwila ciszy. W końcu Thomas wstał, podszedł do okna i spojrzął na daleki, malowniczy krajobraz.

— Cały sztab moich funkcjonariuszy — odezwał się znów Edgar Hoover — wśród nich także miss Faber, wziął w ciągu ostatnich tygodni ponownie pod lupę każdego mieszkańca kamienicy. Opis podany przez Morrisa odpowiada dokładnie najbardziej lubianemu lokatorowi. Jest malarzem. Mieszka na samej górze, na poddaszu. Nazywa się Goldfuss. Emil Robert Goldfuss. Obywatel amerykański. Zamieszkały przy Fulton Street 252 od roku 1948. Niech pani opowie dalej, miss Faber.

— Od tygodni depczemy Goldfussowi po piętach — powiedziała Pamela. — Zaangażowaliśmy w akcję tuzin aut FBI z urządzeniami radarowymi, radiostacjami i wyposażeniem telewizyjnym. Nie odstępujemy go ani na krok. Wynik równy zeru!

— Czegoś tu jednak nie rozumiem — powiedział Thomas. — Jeśli istnieje tak poważne podejrzenie, że jest szpiegiem, to dlaczego go nie aresztujecie?

Pamela potrząsnęła głową.

— To nie Europa, panie Lieven.

— W Stanach — wyjaśnił Hoover — można aresztować człowieka tylko wówczas, gdy nie ma nawet cienia wątpliwości, że popełnił czyn niezgodny z prawem. Dopiero wtedy sędzia wyda nakaz aresztowania. Podejrzewamy, że Goldfuss jest szpiegiem, ale co z tego? Nie możemy mu nic udowodnić. A dopóki nie przedłożymy niepodważalnych dowodów, żaden sędzia w tym kraju nie pozwoli go aresztować.

— A Morris?

— Morris udzielił nam poufnych informacji. Ze względu na swą rodzinę w Rosji pod żadnym pozorem nie wystąpi przed sądem przeciw Goldfussowi jako świadek oskarżenia.

— To może przeszukanie mieszkania coś da?

— Oczywiście moglibyśmy, wykorzystując jego czasową nieobecność, wejść do mieszkania Goldfussa i je przeszukać. Jestem pewien, że znaleźlibyśmy u niego nadajnik krótkofalowy i wiele innych rzeczy, mogących stanowić dowód jego szpiegostwa. Tylko że w takim przypadku nigdy nie zostałby skazany!

— Nie rozumiem...

— Jego obrońcy zażądaliby od naszych funkcjonariuszy zeznania pod przysięgą i wyjaśnienia, w jaki sposób zdobyli obciążający materiał. Gdyby się okazało, że weszli w jego posiadanie wskutek podjęcia bezprawnej rewizji, sędzia zarządziłby wyłączenie całego tego materiału z postępowania przeciw Goldfussowi.

— W takim razie, jak można mu się w ogóle dobrać do skóry?
Edgar Hoover uśmiechnął się łagodnie.

— Właśnie pana o to pytamy, panie Lieven. Po to tu pana sprowadziliśmy, pana, starego przyjaciela Dunji Melanin.

8

— W Rosji szaszłyk przyrządza się z cebulą! — wrzasnął tłusty Boris Roganoff.

— W Rosji szaszłyk przyrządza się bez cebuli! — wrzasnął Thomas Lieven.

Stali naprzeciw siebie, dygocząc z wściekłości. W powietrzu, tuż tuż, wisiała bijatyka. Był 19 czerwca 1957 roku, godzina trzynasta trzydzieści. W Nowym Jorku panowała potworna duchota. Kłótnia o szaszłyk miała miejsce w kuchni rosyjskiej restauracji dla smakoszy przy 41 ulicy. Tłusty Boris Roganoff był właścicielem tego lokalu. Thomas od kilku dni tu bywał, bo „u Roganoffa” zwykła niekiedy jadać obiady Dunja Melanin. Pracowała w pobliżu, u niejakiego doktora Masona.

Było to smutne spotkanie. Dunja, wciąż jeszcze urocza i ponętna, usychała z tęsknoty za Victorem Morrisem. Raz po raz wybuchała płaczem, gdy o nim opowiadała, a opowiadała o nim bez przerwy, już to z własnej wewnętrznej potrzeby, już to ulegając ciągłym zachętom Thomasa, który uparcie pozostawał przy tym właśnie temacie.

Mimo potoku słów, Thomas nie dowiedział się od Dunji niczego, co mogłoby mieć dla niego jakąś wartość. Gdy ją opuszczał, spotykał się z Pamelą, przez którą kontaktował się z Hooverem. Miała niewielkie mieszkanie na Manhattanie. On sam mieszkał w hotelu „Waldorf-Astoria”.

Mijał dzień za dniem. Nic się nie działo. Goldfuss nie popełniał żadnego błędu. Thomasowi podpadło niezrozumiałe dla niego, wyraż-

Menu, Nowy Jork, 19 czerwca 1957

Salatka wiosenna
Szaszłyk z ryżem
Obsmażane banany

Te dania pomagają Thomasowi zdemaskować najgroźniejszego szpiega radzieckiego.

Salatka wiosenna: do miski należy pokroić cienko świeży zielony ogórek i delikatne rzodkiewki, dodać posiekane jajko na twardo. Doprawić z wycuciem pieprzem i solą, dać dużo cienko pokrojonego koperku, szczypiorku i pietruszki. Wymieszać delikatnie z odpowiednią ilością gęstej, kwaśnej śmietany. Salatkę należy podawać zaraz po przygotowaniu, tak aby pokrojone ogórki nie puściły wody.

Szaszłyk: filety przygotowujemy z baraniej polędwicy, tnąc ją na dwucentymetrowe kotlety. Tak pocięte należy zamarynować na 12 godzin w przygotowanej przedtem zaprawie z oliwy, soku cytrynowego, soli, posiekanej cebuli, pietruszki, grubo zmielonego pieprzu, zmacerowanej ząbkami czosnku i odrobiną wina. Następnie na szpikulce grillowe nadziewamy na zmianę kawałki słoniny i kawałki mięsa i obsmażamy je na grillu lub ruszcie, tak aby w środku pozostały lekko różowe.

Rizotto: należy uprzyżyć w garnku dużą, cienko pokrojoną cebulę na maśle lub oliwie, nie brunacząc, dodać suchy ryż i stale mieszając lekko, przez 10 minut, obsmażać, uważając aby nie zbrązowiał. Następnie dodać odpowiednią ilość gotującej się wody, sól i gotować na małym ogniu w szczelnie zamkniętym garnku około 30 minut.

Obsmażane banany: dojrzałe, niezbyt miękkie, pokrojone banany obsmażamy krótko w brązowym maśle, dodajemy płynny miód z odrobiną rumu. Banany odwracamy kilkakrotnie, podlewając je powstałym roztworem. Podajemy na gorąco na podgrzanych talerzach, udekorowane tartymi migdałami lub pistacjami.

nie narastające rozdrażnienie Pamelii. Ciągłe jeszcze spotykał się z Dunją, próbował znaleźć jakiś punkt zaczepienia, coś, co mogłoby obciążyć Goldfussa, zaprowadzić do niego. Wszystko wskazywało jednak na to, że Dunja nie widziała Goldfussa na oczy. Nieustannie opłakiwała swego Morrisa.

Wczoraj zażyczyła sobie szaszłyk. Thomas natychmiast włożył do zaprawy kilka kawałków baraniny. Po dwunastu godzinach mięso było gotowe do dalszej obróbki. Thomas chciał je właśnie zacząć nadziewać na szpikulce, przekładając poszczególne kawałki słoniną, gdy ów tłusty Boris Roganoff zaczął — o zgrozo! — kroić na grube plastry cebulę.

Wybuchła gwałtowna kłótnia. Po jakimś czasie panowie się wprawdzie pogodzili, ale to nie miała być jedyna awantura tego dnia.

Gdy Dunja — oczywiście spóźniona — zjawiała się wreszcie i zasiadła z Thomasem do posiłku, także ona dała popis strasznego rozdrażnienia. Bez przerwy łapała się za bolącą głowę, ciągle czepiała się o coś Thomasa. Potem opanowała się nieco.

— Wybacz — prosiła — to przez tę zwariowaną pracę... Padam z nóg...

— Co się stało?

— Wygląda na to, że nagle pół miasta pragnie się zaszczepić.

— Zaszczepić?

— Tą nową szczepionką przeciw heinemedinie. Doktor Salk. Na pewno słyszałeś. Samo szczepienie nie jest jeszcze wcale najgorsze. Najgorsza ta cała pisanina!

— Jaka pisanina?

— Każdy z pacjentów musi przedłożyć metrykę urodzenia. Nie paszport, nie poświadczenie zameldowania, lecz metrykę urodzenia.

— Dlaczego?

— Tak stanowi przepis! A ja z każdej metryki muszę wypisać numer i nazwę urzędu, który ją wystawił. A przychodzą setkami. Zwariuję! Zaszczepić i zaszczepić! Nic, tylko zaszczepić!

— Zaszczepić, zaszczepić — powtórzył niedorzecznie.

Wtem poczuł gwałtowny skurcz serca; gdyż do lokalu weszła właśnie piękna, młoda kobieta, w żółtej letniej sukience. Nie uwierzył własnym oczom. Obłęd! Chyba oszalała! Przepisy FBI surowo zabraniają publicznych spotkań pracujących ze sobą agentów. Wszystko wskazywało na to, że Pamela Faber miała to gdzieś. Usiadła dokładnie naprzeciw niego. Założyła nogę na nogę. Oparła się wygodnie. I wlepiła wzrok w Dunję...

Ta oczywiście zorientowała się po chwili.

— Kto to?

— Co... co proszę?

— Ta osoba naprzeciw. Gapi się na mnie. Znasz ją?

— Ja? O którą ci właściwie chodzi?

— O tę wymalowaną żółtą. Nie udawaj!

— Nie widziałem jej na oczy!

— Łżesz! Znasz ją! Jeszcze jak!

Tak to się zaczęło i trwało przez cały czas posiłku. Przy kawie Thomas poczuł, że jest mokry jak szczur. Pamela Faber uparcie wpatrywała się w Dunję.

Taki wesoły miał być cały ten dzień!

W „Waldorf-Astorii” czekał na Thomasa Lievena pan nazwiskiem Roger Ackroyd. Mister Ackroyd był znany w hotelu jako eksporter, często współpracujący z handlowcami europejskimi.

Pan Peter Scheuner — tak właśnie akurat nazywał się Thomas — znany był w hotelu jako jeden z tych europejskich handlowców. Obaj przedsiębiorcy, którzy nimi nie byli, usiedli przy pustym barze.

— Sprawa nie cierpi zwłoki, Lieven, staje się coraz groźniejsza. Ma pan coś?

— Nic.

— Psiakrew! — powiedział mister Ackroyd. — Wszystko wskazuje na to, że Goldfuss szykuje się do ucieczki. Lada chwila może nam się wymknąć. Nie wiemy, dokąd chce zwać. Do Australii? Azji? Afryki? Europy?

— Trzeba wzmóc kontrole graniczne. Na lotniskach. W portach. I tak dalej...

— Jak pan to sobie wyobraża? Nie mamy tylu ludzi. Goldfuss będzie oczywiście podróżował z absolutnie autentycznym fałszywym paszportem.

Thomas wiedział od dawna, że „autentyczny” fałszywy paszport to taki, którego nieautentyczności nie sposób stwierdzić nawet na podstawie kontroli urzędowych rejestrów.

— Sądzi pan, że załatwił sobie same autentyczne fałszywe dokumenty?

— Nie wiem. W tym pośpiechu... Chyba nie. Ale paszport na pewno. A paszport wystarczy. Jeśli nie zdarzy się jakiś cud, wymknie nam się z rąk.

Thomas westchnął głęboko. Do tego jeszcze ta wspaniała współpracowniczką miss Faber, pomyślał z goryczą. Oj, usłyszysz ode mnie, usłyszysz!

9

— Wie pani, na co pani zasługuje? Powinienem panią sprać! — krzyczał Thomas.

Ciężko dysząc, stał tego wieczoru przed Pamelą w jej nowojorskim mieszkanku. Miała na sobie czarny porannik i zapewne niewiele pod spodem.

— Co pani strzeliło do głowy, żeby zjawić się u „Roganoffa”?
— Chyba wolno mi jeszcze odwiedzić ten czy inny lokal? „Roganoffa” też!

— Ale nie wtedy, gdy ja tam jestem!

— Nie wiedziałam, że pan tam jest! — odkrzyknęła.

— Doskonale pani wiedziała!

— No dobrze, wiedziałam.

— To po co pani przysłała?

— Bo chciałam zobaczyć tę Dunję, słodką gołąbeczkę!

Thomasowi opadła szczeka.

— I z tego powodu naraża pani wszystko... całą akcję?

— Niech pan na mnie nie krzyczy! Musi pan się strasznie kochać w tej damie!

— Albo się pani zamknie, albo przełożę panią przez kolano!

— Proszę bardzo, jeśli się pan odważy!

— No to poczekaj — powiedział i rzucił się na nią.

Doświadczona agentka zręcznym chwytem jiu-jitsu powaliła go na ziemię. Huknął o dywan. Roześmiała się i uciekła. Thomas zerwał się na równe nogi i popędził za nią. Dogonił ją w sypialni. Rozpoczęła się drobna szamotanina. Upadli na łóżko.

Po chwili, wymachując w powietrzu nogami i parszcząc gniewnie, leżała na jego kolanie.

— Zostaw mnie... puszczaj... zabiję...

Porannik zsunął się z niej. Rzeczywiście wiele pod nim nie miała. Thomas, nieporuszony, okładał ją po tyłku. Piszcząca, waliła na ślepo pięściami, gryzła.

Jak Chantal, myślał oszołomiony, podczas gdy krew zaczynała pulsować mu w skroniach, całkiem taka sama... O Boże!

Nagle opadł na nią. Ich wargi spotkały się na moment. Ugryzła. Po chwili jej wargi rozwarły się jednak. Objęła go ramionami i oboje pograżyli się w odurzającej słodczy pierwszego pocałunku. Przestrzeń rozplynęła się Thomasowi przed oczami, czas stracił sens.

Gdy doszedł do siebie, spojrzał w dwoje przepelnionych miłością oczu.

— Byłam taka zazdrosna... — wyszeptała Pamela — tak strasznie zazdrosna o tę twoją Rosjankę...

Wtem Thomasowi podpadło coś na ramieniu Pameli. Spoglądał na okrągłe, jasne plamki po szczepieniu. Zbladł.

— Zaszczepić... — wybełkotał.

Pamela, która właśnie miała zamiar go pocałować, zamarła w bezruchu.

— Co się stało?

— Zaszczepić — powtórzył idiotycznie.

— Zwariowałeś? — zainteresowała się Pamela.

Patrzył na nią nieobecny wzrokiem.

— Goldfuss wie, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Będzie próbował opuścić Amerykę i wrócić do Rosji. Każdy, kto jedzie do Europy musi się dać zaszczepić przeciwko różnym chorobom. Tak stanowią przepisy. A przy szczepieniu musi okazać lekarzowi metrykę urodzenia, żeby ten wypisał z niej numer...

Thomas nagle zaczął się jąkać z podniecenia.

— Metrykę urodzenia, nie paszport... Jego fałszywy paszport jest autentycznym fałszywym paszportem... ale czy jego fałszywa metryka urodzenia jest też autentyczną fałszywą metryką?

Pamela zbladła.

— Oszalał, całkiem zwyczajnie oszalał.

— Bynajmniej! Jeśli Goldfuss — dałby Bóg! — przedłożył sfałszowaną fałszywą metrykę, to wreszcie będziemy mu mogli zarzucić karalny czyn, aresztować i przeszukać mieszkanie...

— Thomas!

— Nie przeszkadzaj! Ilu lekarzy praktykuje w Nowym Jorku?

— Skąd mam wiedzieć? Przynajmniej dziesięć tysięcy!

— Nieważne — powiedział Lieven, podczas gdy Pamela obserwowała go w osłupieniu. — Nawet gdybyśmy musieli wprowadzić do akcji wszystkich agentów FBI! I nawet jeśli wszyscy naprawdę mieliby przy tym oszaleć! Musimy spróbować!

10

Wieczorem 19 czerwca, na terenie miasta Nowy Jork, ogłoszono alarm dla 277 funkcjonariuszy FBI. Otrzymali zadanie bezzwłocznie złożyć wizytę 13 810 lekarzom, którzy pracowali w tym dziesięcioletnim mieście.

Każdy z 277 agentów miał przy sobie zdjęcie człowieka w wieku około 45 lat. Miał inteligentną, sceptyczną twarz, wielkie uszy, wąskie wargi i nosił okulary.

Od wieczora 19 czerwca 1957 roku, 277 ludzi, pokazując 277 zdjęć, zadawało w nieskończoność te same pytania: „Czy pan zna tego

mężczyznę, doktorze? Czy należy do pańskich pacjentów? Czy szczepił go pan może ostatnio?”

Pytania te stawiano także przez cały dzień 20 czerwca 1957 roku.

Tymczasem w luksusowym hotelu „Waldorf-Astoria” niejaki Peter Scheuner, niemiecki kupiec-eksporter, siedział jak na rozżarzonych węglach. Od czasu do czasu dzwonił telefon. Zgłaszali się ludzie z FBI, którzy szyfrem informowali Thomasa, że operacja nadal nie dawała rezultatów. Thomas za każdym razem z westchnieniem odkładał słuchawkę na widelki.

Stan ten zmienił się nagle 21 czerwca o godzinie szesnastej trzydzieści pięć. Znowu rozdzwonił się telefon.

— Zero — powiedział w słuchawce jakiś tubalny głos.

Thomas podskoczył, jak przeszyty prądem.

— Gdzie? — rzucił tylko jedno słowo.

— 3145 Riverside Drive — odparł głos.

W dwadzieścia minut później Thomas Lieven znajdował się już w niewielkim gabinecie doktora Teda Willcoxa, starszego lekarza, który prowadził praktykę w najbiedniejszej z nędznych dzielnic Nowego Jorku.

Doktor Willcox trzymał w ręku fotografię.

— Oczywiście, przypominam sobie tego człowieka — powiedział. — Przede wszystkim dlatego, że rzadko zachodzą tu do mnie tak elegancko ubrani pacjenci.

A więc, jednak w końcu popełniłeś błąd, sowiecki superagencie, pomyślał Thomas. Wyszukałeś sobie lekarza możliwie daleko od swego mieszkania. Rozumiem, dlaczego. Mimo to się nie udało.

— Pan ten przyszedł do mnie 16 czerwca po południu — ciągnął doktor Willcox. — Chciał się zaszczepić. Wystawiłem mu tak zwaną międzynarodową książeczkę szczepień, która jest niezbędna na przykład przy podróżach do Europy.

Stary lekarz pokuśtykał w stronę kartoteki, gdzie wyszukał datę 16 czerwca. Wyciągnął jedną z karetek.

— Nazywa się Martin Collins. Zgodnie z metryką urodzenia przyszedł na świat 7 lipca 1910 roku jako obywatel amerykański. Na Manhattanie. Numer metryki urodzenia 32027/ 7/ 71897.

O siedemnastej piętnaście Thomas Lieven i postawny agent FBI zmusili do pracy w nadgodzinach dwóch pracowników Urzędu Stanu Cywilnego dzielnicy Manhattan. Po dłuższej chwili przyczłapał jeden z nich, zdmuchnął kurz z poźółklej karty rejestracyjnej i mruknął:

— Martin Collins... Collins, Martin... A to ci dopiero! 32027 kreska 7 kreska 71 897, powiada pan?

— Powiadam — powiedział Thomas.

Urzędnik podniósł głowę.

— Ciekawe, ciekawe, mój panie. Metryka urodzenia 32027 kreska 7 kreska 71897 została wystawiona 4 stycznia 1898 roku na nazwisko niejakiej Emilii Woermann. Zmarła 6 stycznia 1902 roku w wieku czterech lat. Na zapalenie płuc.

Thomas spojrzał na agenta FBI.

— No to go mamy — powiedział cicho.

11

Na drzwiach widniała mosiężna tabliczka z wygrawerowanym napisem: EMIL ROBERT GOLDFUSS.

Drzwi znajdowały się na najwyższym piętrze potężnej kamienicy czynszowej przy Fulton Street 252. 21 czerwca 1957 roku o godzinie dziewiętnastej sześć, przed drzwiami tymi stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich dobył z kabury pod pachą pistolet i odbezpieczył go. Drugi wyciągnął z kieszeni staroświecki złoty repetier.

— Dziwne — powiedział Thomas Lieven. — Dopiero siódma, a ja już tak zgłodniałem!

Agent FBI zapukał do drzwi, odsunął się na bok i podniósł pistolet.

Drzwi otworzyły się, stanął w nich chudy mężczyzna w niebieskim malarskim kitlu, z paletą w ręku. Uśmiechał się ujmująco, promieniał sympatią i mądrością.

— Co to ma znaczyć, mój panie — powiedział, ujrzawszy pistolet w ręku agenta FBI. — Niesmaczne żarty? Reklama? Prezent?

— Panie Goldfuss, Mark albo Collins, czy jak tam się pan nazywa — oznajmił agent FBI — jest pan aresztowany.

— Aresztowany? Przez kogo?

— FBI.

— Nie ma pan żadnych podstaw, żeby mnie aresztować — rzekł malarz przyjaźnie. — Nie popełniłem żadnego przestępstwa, poza tym nie ma pan nakazu aresztowania.

— Mam, mam, mister Goldfuss — zapewnił go Thomas, podchodząc bliżej.

On też uśmiechał się ujmująco.

— Kim pan jest?

— Przyjacielem domu — wyjaśnił Thomas — to znaczy przyjacielem firmy. FBI. Widzi pan, mister Goldfuss, już od dawna mieliśmy gotowy nakaz aresztowania pana, tylko musieliśmy jeszcze wynaleźć jakiś zgrabny powód aresztowania. I wreszcie nam go pan dostarczył. Wczoraj znaleźliśmy taki powód... sfałszowana metryka urodzenia...

Z piętra poniżej atelier weszło nagle dwóch ludzi, z dachu spuściło się dwóch kolejnych.

— Zabraliśmy ze sobą tych drogich nam przyjaciół — powiedział Thomas — gdyż wiemy oczywiście, że jest pan nie tylko uroczym fałszerzem metryk urodzenia.

— Co pan nie powie!

— Jest pan najprawdopodobniej także najlepszym agentem, jakim Sowietom kiedykolwiek dysponowali. Nigdy nie szafuję przesadnymi komplementami — zakończył Thomas Lieven z uśmiechem.

Mister Goldfuss odpowiedział na uśmiech. Obaj panowie patrzyli na siebie w milczeniu. Żaden z nich nie mrugnął okiem...

Mieszkanie-pracownia zostało natychmiast przeszukane. Agenci FBI znaleźli metrykę urodzenia na nazwisko Martin Collins, 3545 dolarów w gotówce, bilety na statek do Europy na nazwisko Collins z datą 1 lipca 1957 roku i silny nadajnik krótkofalowy typu „Hallicrafter”, który stał nieukryty między dwoma obrazami.

Agenci FBI pomogli Goldfussowi spakować niewielką walizkę. Thomas spostrzegł przy tym, że mister Goldfuss, na oczach wszystkich, wyrzucił kilka zużytych papierowych chusteczek. Gdy wyjął z kosza te zmięte strzępki, Goldfuss pobladał nagle. Nasz przyjaciel rozwinął je ostrożnie. Znajdowały się na nich małe, ciemne punkciki, niepozorne jak musze łajno.

— Hm — mruknął Thomas.

Szkolony i szantażowany dwadzieścia lat przez wywiady najróżniejszych krajów, wykształcił w sobie niezwykłą czujność. Chusteczki nie były upstrzone przez muchy...

Dwa dni później Ameryka przeżyła sensację. Aresztowano najniebezpieczniejszego rosyjskiego agenta wszechczasów. Mikrofilmy znalezione w starych papierowych chusteczkach zdradziły jego klucz szfrowy, prawdziwe nazwisko, prawdziwy życiorys.

Człowiek ten był pułkownikiem radzieckiego wywiadu, który przez dziesięć lat bez przeszkód i nie podejrzewany przez nikogo prowadził w Stanach działalność szpiegowską.

Wieczorem 23 czerwca 1957 roku wiadomość o aresztowaniu i jego znaczeniu dalekopisy przekazały do redakcji gazet na pięciu kontynentach, cały świat o tym mówił. Także w następnych dniach i tygodniach czyny pułkownika Rudolfa Iwanowicza Abla nie schodziły z pierwszych stron gazet. Wkrótce świat wiedział o nim wiele, ale bynajmniej nie wszystko. Na przykład nigdy się nie dowiedział o pewnym obiedzie, do którego zasiedli kiedyś jeden pogodny i dwóch panów o marsowych obliczach. Odbyło się to 17 sierpnia 1957 roku, w przytulnym drewnianym domku wśród idyllicznych, pokrytych lasem pagórków stanu Maryland...

— Panowie — zagadał Thomas Lieven wesoło — dlaczego przybraliście takie nasrożone miny?

Spojrzał na Edgara Hoovera, szefa amerykańskiej federalnej policji kryminalnej, po czym przeniósł wzrok na opalonego, czterdziestoletniego Jamesa B. Donovana, którego włosy lśniły już absolutną bielą. Donovan był obrońcą arcyszpiega Abla, w mającym się wkrótce odbyć procesie.

Thomas przyszedł właśnie z kuchni. Wniósł tacę z wielkim tygłem i innymi różnorakimi sprzętami. Odstawiając tacę i podpalając spirytusowy palnik, który stał na małym stoliku obok nakrytego stołu, sam sobie odpowiedział:

— Wiem, wiem! Prawdopodobnie jesteście panowie tacy poważni, bo przypominacie sobie czas wojny, gdy jako szefowie dwóch konkurujących ze sobą organizacji szpiegowskich bez przerwy darliście ze sobą koty, co?

Wydawało się, że trafił w dziesiątkę. Hoover wyszczerzył zęby, Donovan chrząknął rozeźlony. W istocie, adwokat był w czasie wojny oficerem w tajnej misji słynnego „OSS”, „Office for Strategy Services”. W trakcie przeprowadzania różnych akcji on i jego ludzie popadali w konflikty z FBI Hoovera.

Thomas postawił tygiel na palniku. Nadal nic nie mogło zmącić jego pogodnego nastroju.

— Proszę, niech panowie zajmą miejsca! Przeczuwając roztropnie taki właśnie nastrój panów, pozwoliłem sobie wymyślić i przyrządzić przekąskę, która koi nerwy, uskrzydla ducha i poprawia humor.

Thomas potrząsnął tygłem nad palnikiem. Znajdowały się w nim lekko podsmażone, pokrojone w drobną kostkę nerki cielęce.

— Oby potrawa ta przybliżyła nas do wspólnego celu.

— Jakiego celu? — mruknął Donovan nieufnie.

Polewając nerki koniakiem, Thomas odpowiedział z rozumą:

— Pomóc pańskiemu klientowi i Stanom Zjednoczonym Ameryki.

Hoover spojrzął na Donovana.

— Abel wylądował na krześle elektrycznym, to nie ulega wątpliwości. Mamy przeciw niemu aż nadto materiału dowodowego.

Donovan wzruszył ramionami.

— Ciekaw jestem, jak pan chce udowodnić, że mój klient jest sowieckim szpiegiem?

Thomas potrząsnął głową.

— Żalotne. Takie marnowanie niepowtarzalnego talentu. Pożalowania godne. Naprawdę pożalowania godne!

— Co?

— Smutno mi się robi na myśl o tym, że człowiek taki jak Abel będzie skwierczał na krześle elektrycznym.

— Cieszyłbym się, mister Scheuner, gdyby był pan łaskaw przed jedzeniem zachować nieco taktu.

— O pardon! Serce mi krwawi. Abel nie tylko ma talent, to geniusz!

— Nie przesadzajmy, nie przesadzajmy...

— Co to znaczy, nie przesadzajmy? Niech mi wolno będzie przypomnieć panu, mister Donovan, że jako agent OSS próbował pan w czasie wojny działać w Szwajcarii. Już po sześciu miesiącach Szwajcarzy zdemaskowali pana i wydali z kraju. A Abel? Dziesięć lat działał w Stanach i był nieuchwytny!

— Niech się pan zamknie — Donovan przeniósł wzrok z Thomasa na Hoovera — czegoś ode mnie chcecie, tylko widocznie oficjalnie nie możecie mi tego zaproponować, więc próbujecie przez ogródek. Gadajcie wreszcie! O co chodzi?!

— Teraz jeszcze tylko trochę szampana — powiedział Thomas Lieven i wlał trunek do rozgrzanego tygla.

Natychmiast rozszedł się niezwykle intensywny, kuszący, smakowity zapach.

— Aaaach! — zareagował Hoover i rozparł się wygodnie w fotelu. Nawet napięta twarz Donovana pojaśniała, uśmiechnął się nieznacznie.

— Widzi pan, już działa — ucieszył się Thomas.

Nadal krzątał się przy jedzeniu, mówiąc jakby mimochodem.

— FBI zatai najbardziej obciążający materiał dowodowy przeciwko Ablowi. Nie zostanie skazany na śmierć.

— Co pan nie powie!

— Słucham?

Thomas z przyganą zmarszczył brwi.

— Panie Donovan — ciągnął — dziwię się panu! Co ma znaczyć ta pańska ironia? Mógłby pan spokojnie pozwolić swemu klientowi pożyczyć jeszcze odrobinę. Czyżby mu pan źle życzył?

Menu, Maryland, 17 sierpnia 1957

Nerki cielęce w szampanie
Sandacz szpikowany
Deser ananasowy

Przyrządzone przez Lievena nerki cielęce w szampanie oszałamiają nawet „grube ryby”.

Nerki cielęce w szampanie: obieramy duże nerki cielęce z tłuszczu i ściągamy z nich skórę, kroimy w plasterki, pieczemy 3 minuty na gorącym maśle, pieprzymy i solimy. Podajemy na stół w garnku fondu, podlewając szklanką koniaku, który podpalamy w momencie serwowania i zalewamy szampanem. Dodajemy 100 g przesmażonych na maśle pieczarek i 1 łyżkę posiekanej pietruszki. Podgrzewamy mocno, nie gotując. Nerkami i sosem tak przygotowanym napelniamy puste babeczki upieczone z kruchego lub francuskiego ciasta.

Sandacz szpikowany: nacieramy sandacza solą i pieprzem, skrapiamy sokiem cytrynowym i pozostawiamy tak godzinę. Następnie obsuszamy sandacza dokładnie i szpikujemy go z dwóch stron kawałkami tustej słoninki, po czym układamy go na grzbiecie w długiej formie na ryby, polewamy obficie zbrązowionym masłem i wkładamy formę do gorącego piekarnika. Nie odwracając pieczemy około pół godziny, ciągle podlewając, dodajemy od czasu do czasu kwaśnej śmietanki rozbełtanej z 1/2 łyżeczki mąki kukurydzianej. Sandacza podajemy w tejże formie, w której był pieczony.

Deser ananasowy: w dużej, płaskiej szklanej misce układamy biszkopty wielkości łyżki, polewamy je obficie sokiem z ananasa, a następnie dajemy grubą warstwę lekko słodkiej śmietany. Na śmietanie układamy w ozdobny wzór plastry ananasa i własnej roboty kwaśne wiśnie. Deser podajemy mocno schłodzony.

— Niech mi pan niczego nie wmawia! To mister Hoover stwierdził, że Abel musi wylądować na krześle elektrycznym!

— Zgodnie z literą prawa, tak — pouczał Thomas, dzieląc jednocześnie wyszukaną przekąskę. — Chyba że FBI miałyby jakieś swoje plany związane z osobą pańskiego klienta...

— Co wtedy?

— Wówczas zaistniałyby możliwości wydania innego wyroku. Na przykład dożywocie. Trzydzieści lat więzienia. Dwadzieścia. Może dziesięć...

— A co z materiałem dowodowym, o którym wspomniał mister Hoover?

— Można go zataić. Przynajmniej część. Tę najbardziej obciążającą. Proszę jeść, panie Donovan, proszę jeść, na miłość boską! Nerka panu ostygnie.

Siwowłosy adwokat mechanicznie zabrał się do jedzenia. Patrzył na Thomasa przymrużonymi oczami.

— Co pan miałby z tego, gdyby... — zaczął, nie przerywając jedzenia.

Zakrztusił się, zaczął kaszleć. Thomas uderzył go pomocną ręką w plecy.

— Widzi pan, widzi pan. Zaraz chciałem to panu powiedzieć, ale nie miałem odwagi. Pomyślałem sobie, że nie przystoi, bym zwrócił uwagę takiemu wielkiemu człowiekowi jak pan.

— Zwrócił uwagę? Na co?

— Żeby pan nie mówił z pełnymi ustami — odparł prosto nasz przyjaciel. — Już chyba dobrze, co?

James B. Donovan odłożył sztućce. Nagle zacisnął usta aż wargi prawie zniknęły z jego twarzy. Jego głos brzmiał tak, jak brzmiałby sopol, gdyby umiał mówić, czego jednak nie umie:

— Dajmy spokój z tą grą w kotka i myszkę. Powtarzam pytanie: Co FBI miałyby z tego, gdyby zataiło najważniejszy materiał obciążający i tym samym uratowało życie Abła?

Thomas spojrział na Hoovera.

— Może pan zechciałby odpowiedzieć na to pytanie, sir?

Hoover mruknął coś niezrozumiałego i pochylił się nad talerzem.

— Tak właśnie myślałem — powiedział Thomas. — Zawsze ja muszę odpowiadać na najbardziej kłopotliwe pytania. To lubię. No dobrze, mister Donovan. Istnieje dość duże prawdopodobieństwo, że FBI prędzej czy później zdołałoby uratować w ten sposób życie jakiegoś amerykańskiego agenta.

— Amerykańskiego agenta?

— Panie Donovan, jest mi naprawdę bardzo przykro, że muszę się grzebać w tak poufnych sprawach amerykańskiego wywiadu, ale sam pan kiedyś działał w tej branży, prawda? I wówczas, pod koniec wojny, pomagał pan przecież budować wywiad skierowany przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Zgadza się?

James B. Donovan milczał.

— Nie czynię panu z tego zarzutu — powiedział Thomas, przymrużając oko. — W końcu takie pan otrzymał zadanie. No cóż... Ktoś mógłby uznać za paradoks, że właśnie pan ma bronić sowieckiego szpiega...

— Jako obrońca z urzędu. Sądzę chciał w ten sposób podkreślić swój obiektywizm.

— Ależ, ależ, to wcale nie miał być zarzut! — zapewnił Thomas wyrozumiale.

— Wydaje mi się, że każdy kraj prowadzi działalność wywiadowczą — powiedział Donovan lekko obrażony.

— Tylko nie wolno się dać złapać — mruknął Hoover niewyraźnie, pochylony nad talerzem.

— Właśnie — zgodził się Thomas. — Wprawdzie widzę już oczami duszy mojej dzień — to wyłącznie sprawa rachunku prawdopodobieństwa — kiedy Sowieci przydybią jakiegoś amerykańskiego agenta. W końcu możliwość taka istnieje, prawda? Panowie, poczęstujcie się jeszcze odrobiną nerek.

Podał elegancko.

— Na przykład dotarło do mnie, że wywiad już od lat wysyła w różne rejony naszego globu specjalne samoloty, które z powietrza fotografują nie tylko chmury.

— To oczywiście zupełnie niedorzeczna plotka — powiedział Hoover, nie podnosząc głowy.

— Oczywiście, a jakże — rzekł Thomas zgodnie, a Donovan nagle zaczął się przysłuchiwać ze zdwojoną uwagą. — Sowieckie protesty, dotyczące naruszania przestrzeni powietrznej Związku Radzieckiego, są także pozbawione wszelkich podstaw.

Hoover podniósł głowę i mrugnął znacząco.

— W każdym tego typu przypadku chodziło o samoloty meteorologiczne, które przypadkowo zboczyły z kursu.

— Jasne. Ale co by się stało, gdyby jeden z tych... hm... pilotów meteorologicznych został przypadkowo zestrzelony? — nagabywał Thomas.

— Znam te samoloty meteorologiczne — powiedział wolno Donovan. — Artyleria przeciwlotnicza jest przeciw nim bezsilna. Latają za wysoko.

— Co na razie niemożliwe, może stać się możliwe w przyszłości. Poza tym, słyszałem, że istnieją od pewnego czasu bardzo precyzyjne rakiety. Jeśli zatem jakaś rakietą osiągnie kiedyś takiego amerykańskiego pilota meteorologicznego, a on przeżyje i stanie przed sądem... Jeśli będzie to w dodatku taki pilot meteorologiczny, którego mister Hoover chciałby zobaczyć jeszcze kiedyś w Ameryce... czy wówczas nie byłoby żal, gdyby pan Abel zdążył się już pożegnać ze światem doczesnym? Zwłoki nie mogą stanowić towaru przetargowego, panowie!

— Naprawdę, panie Scheuner — oburzył się Hoover — pański cynizm nie zna granic.

— Pardon, przecież wspomniałem tu tylko pewną możliwość. Czysta hipoteza...

— A jeśli żaden z naszych pilotów meteorologicznych nie zostanie zestrzelony? — spytał adwokat, cedząc słowa.

— Widzi pan, mister Donovan — uradował się Thomas — wreszcie się rozumiemy. Niewykluczone, że pan Abel — ze zwykłej wdzięczności — zdecydowałby się wówczas zmienić front i pracować dla amerykańskiego wywiadu.

James B. Donovan spojrział uważnie na Edgara Hoovera.

— Pan też tak sądzi? — spytał.

— Słyszał pan, co powiedział mister Scheuner. Nie mam nic do dodania.

Twarz adwokata oblała się ciemną purpurą.

— Za kogo pan mnie właściwie ma, panie Scheuner? Za kogo pan ma mojego klienta? Chce mi pan dać coś do zrozumienia. Niedwuznacznie. Bardzo niedwuznacznie.

— To tylko wytwór mojej fantazji, mister Donovan, nic więcej — rzekł Thomas skromnie.

— Mój klient nigdy nie zgodzi się na coś takiego! — zawołał James B. Donovan.

12

24 sierpnia 1957 roku, u dyrektora nowojorskiego więzienia śledczego zjawił się niejaki Peter Scheuner. Od najwyższych czynników otrzymał zezwolenie na rozmowę w cztery oczy z Rudolfem Iwanowiczem Ablem. Dyrektor osobiście poprowadził tę widocznie Very Important Person przez nie kończące się korytarze do rozmównicy. Po drodze zdążył mu powiedzieć, że radziecki szpieg zdążył już sobie zjednać tutaj powszechną sympatię.

— Zwykle czerwoni są bardzo źle traktowani przez swych współwięźniów. Ale nie ten Abel!

Dyrektor przewrócił oczami.

— Mówię panu, absolutny ulubieniec tłumu! Muzykował dla współwięźniów, odgrywał kabaret, wprowadził nowy system porozumiewania się...

— Co takiego?

Dyrektor roześmiał się zakłopotany.

— Ach, wie pan przecież, jak więźniowie utrzymują kontakt między poszczególnymi celami.

— Stary, sprawdzony system pukawkowy, puk puk, puk puk puk... — powiedział Thomas z sentymentem, pogrążając się na moment we wspomnieniach swych własnych więziennych przeżyć.

— Abel nauczył naszych więźniów nowego, lepszego systemu. Funkcjonuje po stokroć szybciej!

— Jak?

— Nie chciałbym zdradzać tej tajemnicy. Mogę panu tylko powiedzieć, że sygnały przesyła się po przewodach elektrycznych.

— A to ci dopiero!

Thomas zmarszczył brwi. Najlepszych kontrahentów, pomyślał, spotyka się w życiu dopiero wtedy, gdy na nic się już nikomu nie zdadzą.

Doszli do rozmównicy. Thomas wszedł do środka. Za przegrodą z drobnej, drucianej siatki stał — w eleganckim cywilnym ubraniu — Rudolf Iwanowicz Abel. Dyrektor skinął na strażników, po czym wszyscy opuścili pomieszczenie. Ciężkie stalowe drzwi zamknęły się.

Oddzieleni od siebie drucianą przegrodą, stali oto naprzeciw siebie Thomas Lieven i radziecki szpieg Abel. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W rozmównicy panowała absolutna cisza. Po pewnym czasie Thomas Lieven przemówił...

Nie wiemy, co powiedział. Nie wiemy, co Abel odpowiedział. Ani Abel, ani Thomas nigdy tego nie ujawnili. Rozmowa trwała 49 minut.

26 września 1957 roku rozpoczął się proces przeciw Rudolfowi Iwanowiczowi Ablowi. Przewodniczącym składu orzekającego był sędzia Mortimer Byers. Rozprawa prawie cały czas toczyła się przy drzwiach otwartych. Przy pomocy pewnego chwytu Abel zapewnił sobie pomoc prawną jednego z najbardziej wziętych adwokatów Ameryki. Gdy mianowicie zażądano od niego wyboru obrońcy, powiedział: „Nie mam pieniędzy. Owe znalezione przy mnie 3545 dolarów nie są moją własnością. Nie mogę też oczekiwać, że ktoś podejmie się mojej obrony za darmo. Dlatego też zwracam się do Wysokiego Sądu z prośbą o zapewnienie mi obrońcy z urzędu.”

W państwie prawa, jakim jest Ameryka, oznaczało to, że władze muszą mu zapewnić adwokata, który w żaden sposób nie mógłby zostać posądzony o komunistyczne sympatie, a jednocześnie asa w swym zawodzie — właśnie takiego, jak James B. Donovan!

Był to jedyny w swoim rodzaju proces. Oskarżony mógł się swobodnie poruszać po gmachu sądu, jadać w kantynie z sędziami przysięgłymi i rozmawiać z dziennikarzami. Na dodatek sędzia Byers zarządził, że żaden z 38 świadków nie może — poza czasem składania zeznań — przebywać na sali sądowej i śledzić przebiegu całego procesu.

Nawiasem mówiąc, żaden z owych 38 świadków nie musiał być obecny na sali rozpraw, by z najdrobniejszymi szczegółami znać jego przebieg. Mógł o tym po prostu przeczytać w prasie...

Ze względów bezpieczeństwa nakazano, by agenci FBI i inne zagrożone osoby mogły składać zeznania tylko z zakrytą twarzą. Zakładano im kominiarki z małymi otworami na usta i oczy. Wyglądali jak delegaci Ku-Klux-Klanu.

Także Thomas Lieven zjawił się w takim nakryciu głowy. Na piersi miał, jak wszyscy inni świadkowie, tabliczkę z numerem. Oto wyjątki ze stenograficznego zapisu jego przesłuchania:

BYERS: Numerze 17, był pan obecny w chwili aresztowania pana Abła. Proszę opisać jego zachowanie.

NUMER 17: Mister Abel był bardzo opanowany. Tylko w trakcie rewizji wpadł w histerię.

BYERS: Z jakiego powodu?

NUMER 17: Ponieważ w mieszkaniu obok ktoś włączył radio na cały regulator. Właśnie śpiewał Elvis Presley. Mister Abel obiema rękami zatkał obie uszy i krzyknął dosłownie: „Można dostać kręcka od takiej muzyki! Ten wyjący szczeniak to główny powód mojej chęci powrotu do Rosji!”
Śmiech.

BYERS: Stanowczo proszę o absolutną ciszę! Numerze 17, rozmawiał pan z mieszkańcami domu. Jakie wrażenie wywierał na nich mister Abel?

NUMER 17: Doskonale. Panował powszechny pogląd, że to dusza człowiek. Wielu z nich sportretował w ciągu tych lat, także agentów, pracowników mieszczącego się tam biura FBI.

Poruszenie.

BYERS: Malował agentów FBI?

NUMER 17: Wielu. Jest bardzo utalentowany, Wysoki Sądzie.

BYERS: Z akt sprawy wynika, że Abel nie ukrywał używanej przez siebie krótkofalówki. Podobno stała na widocznym miejscu w atelier?

NUMER 17: Zgadza się, panie sędzio.

BYERS: I agenci FBI nie zainteresowali się nią?

NUMER 17: Owszem! Niektórzy prosili, by wyjaśnił im jej działanie. Uważali go za radioamatora. Kiedyś nawet zaczęła pracować w chwili, gdy Abel portretował jednego z agentów FBI. Abel nadał jakiś krótki komunikat, po którym aparat zamilkł. Na pytanie agenta,

kto chciał z nim właśnie nawiązać łączność, Abel odparł: „A jak pan myśli? Oczywiście Moskwa!”

Głośny śmiech.

BYERS: Jeśli powtórzy się to raz jeszcze, każę opróżnić salę! Numerze 17, to pan zabezpieczył szereg starych papierowych chusteczek, w których Abel ukrył mikrofilmy. Jeden z nich zawierał klucz szyfrowy pewnego niezwykle skomplikowanego kodu. Czy udało się panu rozszyfrować wiadomość, którą oskarżony zapisał w postaci wielu szeregów czterocyfrowych grup liczb bezpośrednio przed swym aresztowaniem?

NUMER 17: Tak, Wysoki Sądzie.

BYERS: Czy mógłby pan przytoczyć treść tego komuniaktu?

NUMER 17, czytając z kartki: Gratulujemy panu wspaniałych królików. Niech pan nie zapomni zająć się partyturą Beethovena. Proszę zapalić fajkę, ale trzymać czerwoną książkę w prawej ręce.

BYERS: Przecież to nadal jakiś szyfr!

NUMER 17: Oczywiście, Wysoki Sądzie. To jest rozszyfrowana wersja kodu cyfrowego. Abel zwykł wszystkie nadawane przez siebie teksty szyfrować podwójnie.

BYERS: A co z kluczem do drugiego kodu?

NUMER 17: Niestety, nigdy nie został odkryty, Wysoki Sądzie. Gromki śmiech. Poruszenie. Sędzia Byers nakazuje opróżnienie sali. Przerwa w rozprawie do godziny 11 minut 34...

Proces trwał prawie cztery tygodnie. Potem przyszła kolej na sędziów przysięgłych, którzy musieli postanowić o winie lub niewinności oskarżonego. Obradowali kilka godzin. Publiczność i dziennikarze niecierpliwili się coraz bardziej. Nad czym tu się zastanawiać?

Przysięgli wrócili na salę rozpraw dopiero o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Zapadła śmiertelna cisza. Wszyscy obecni wstali z miejsc, gdy sędzia zapytał:

— A zatem, zwierzchniku ławy przysięgłych, czy podjęliście decyzję?

— Tak, panie sędzio.

— Jak brzmi?

— Nasze orzeczenie brzmi: Oskarżony jest winny zarzucanych mu czynów.

Na twarzy Rudolfa Iwanowicza Abla nie drgnął ani jeden mięsień.

15 listopada zapadł wyrok — 30 lat więzienia i 2000 dolarów grzywny.

Trzydzieści lat więzienia i dwa tysiące dolarów grzywny dla największego sowieckiego szpiega wszechczasów? Jak to możliwe? W kraju wrzało... przez kilka dni. Potem afera Abla, jak wszystko na świecie, popadła w zapomnienie...

Dziwne są koleje losu!

W tych dniach, kiedy słowa te przygotowywane są do druku — latem 1960 roku — historia powszechna, jakby to rzec, nas dognała i sprawiła, że prognozy Thomasa Lievena stały się rzeczywistością. Mamy nadzieję, że przychylny Czytelnik wybaczy nam krótki skok w bezpośrednią terażniejszość. Musimy się na niego zdecydować, gdyż w przeciwnym razie historia przypadku Abła byłaby niepełna.

1 maja 1960 roku, w pobliżu miasta Swierdłowsk, w ręce Rosjan wpadł amerykański samolot wywiadowczy typu U-2. Wszystkie gazety podały: *Amerykański samolot zestrzelony przez sowiecką raketę...* Pilot maszyny nazywał się Francis G. Powell, miał 30 lat, był żonaty i mieszkał w Stanie Federalnym Virginia. Incydent wydarzył się w czasie najwyższego napięcia politycznego, bezpośrednio przed rozpoczęciem tak zwanego „Szczytu Paryskiego”, w czasie którego Eisenhower, Chruszczow, MacMillan i de Gaulle mieli dyskutować na temat pokoju światowego. Posłużył Rosjanom jako pretekst do zerwania konferencji jeszcze przed jej rozpoczęciem.

Pilot został postawiony przed sądem wojskowym w Moskwie. Rosjanie zainscenizowali wielką hecę propagandową. Prokurator generalny Rudenko — niegdyś radziecki oskarżyciel w Norymberdze — oświadczył w swej mowie oskarżycielskiej: „Stoi oto przed obliczem sądu nie tylko lotnik Powers, lecz także rząd amerykański, prawdziwy inspirator i organizator tej niesłychanej zbrodni.”

Mimo iż nazwał zbrodnię niesłychaną, pod koniec swej mowy prokurator uderzył w znacznie łagodniejsze tony: „Biorąc pod uwagę skrucę oskarżonego, nie żądam dla niego kary śmierci.” Rudenko zażądał piętnastu lat więzienia, sąd wydał jeszcze łagodniejszy wyrok — dziesięć lat pozbawienia wolności...

Skazany na trzydzieści lat więzienia sowiecki szpieg Abel zostawił w Związku Radzieckim żonę, zamężną córkę i synka. Nie zezwolono im uczestniczyć w procesie. Natomiast Rosjanie udzielili wiz wjazdowych żonie pilota Powersa, jego rodzicom i teściowej, którzy śledzili proces zestrzelonego amerykańskiego lotnika z łoży moskiewskiej sali sądowej.

Oliver Powers, ojciec oskarżonego, prostoduszny szewc, oświadczył dziennikarzom: „Mam nadzieję, że Chruszczow ułaskawi mojego nieszczęsnego chłopca. W końcu on sam stracił syna w czasie wojny z Niemcami, podczas gdy nasze wojska walczyły po stronie Rosjan. A jeśli go nie ułaskawi, to może pojawi się chociaż możliwość wymienienia go na jakiegoś ujętego w Stanach szpiega radzieckiego. Myślę tu choćby o agencie Ablu...”

Jak się to wszystko skończy? No właśnie. Jak?

Mamy nadzieję, że przychylny Czytelnik wybaczy nam ten skok w bezpośrednią terażniejszość. Wróćmy czym prędzej do jesieni roku 1957. I tu już na wstępie znów musimy prosić o wybaczenie. Mamy nadzieję, że „Federal Bureau of Investigation” nie weźmie nam za złe, jeśli opowiemy teraz o „Harper Clinic”, która oczywiście — tu poczynimy pewne ustępstwo wobec FBI — nie nazywa się wcale „Harper Clinic”. Nie zdradzimy też, gdzie się mieści. Ale klinika ta istnieje, a my wiemy gdzie, znamy też jej prawdziwą nazwę.

23 października 1957 roku radziecki szpieg Abel został uznany winnym zarzucanych mu czynów. 25 października dwaj goście przekroczyli próg gabinetu Edgara Hoovera w jego urzędowej siedzibie w Waszyngtonie — Thomas Lieven i Pamela Faber.

Młoda, piękna kobieta, z kruczoczarnymi włosami i wydatnymi, lśniącoczerwonymi ustami, raz po raz spoglądała na Thomasa Lievena rozkochanym wzrokiem.

Hoover był w doskonałym nastroju, serdecznie przywitał oboje.

— Czym mogę panu służyć, mister Lieven? — spytał.

— Może pan spełnić swą obietnicę — odparł Thomas przyjaźnie. — Przypomina pan sobie zapewne, że swego czasu prosiłem o pewien przywilej... Miał pan — po zakończeniu mojej misji — pozwolić mi umrzeć...

— Przypominam sobie — powiedział Hoover powoli.

— Widzi pan! — ucieszyła się Pamela. — Ta chwila właśnie nadeszła! A po śmierci Thomasa chcemy się jak najszybciej pobrać.

Hoover przygryzł wargi.

— Nie cofam raz danego słowa — powiedział — ale zdaje pan sobie sprawę, mister Lieven, że to nie bagatela. To bolesne, cholernie bolesne.

— Ach, czegoż nie robi się dla własnej śmierci — nie ustępował Thomas. — Poza tym słyszałem, że ma pan w „Harper Clinic” znakomitych specjalistów.

(Podał prawdziwą nazwę kliniki.)

— Zgoda, załatwię sprawę kliniki. Niech pan umrze pięknie, a potem niech pan zazna szczęścia, wielkiego szczęścia z Pamelą. Nawiasem mówiąc, pańska śmierć nie nastąpi natychmiast, to może potrwać całe tygodnie. Musimy poczekać na odpowiednie zwłoki! Nietatwo znaleźć zwłoki podobne do pana.

— Ależ panie Hoover, w tak ogromnym kraju jak Ameryka, znajdzie się przecież coś odpowiedniego — powiedział Thomas Lieven. Uroczą Czytelniczkę, zmyślny Czytelniku!

Nic na to nie poradzimy, doszliśmy oto w naszej relacji do pewnego epizodu... Nie możemy go przemilczeć. Musimy o nim opowiedzieć. Nie będzie to przyjemna opowieść, nie będzie piękna.

Biorąc pod uwagę dobrą opinię, jaką cieszymy się zarówno my, jak i wielu naszych subtelnych przyjaciół, oraz dobry smak, stwierdzmy chociaż wprzód z całą powagą: Nic nie jest nam bardziej obce niż sianie grozy ku czyjejszemu uciesze! Chętnie przemilczelibyśmy to, co się stało, ale... się stało! Zdarzyło się rzeczywiście i naprawdę, choćbyśmy wszyscy stanęli na głowie.

27 października Thomas Lieven, w towarzystwie Pameli Faber, przybył do „Harper Clinic”, która — w całkowitym odosobnieniu od świata, otoczona wysokimi murami i przez okrągłą dobę strzeżona przez agentów FBI — znajduje się gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

Thomasowi przydzielono komfortowy pokój, którego okna wychodziły na wielki park. Pamela dostała pokój obok. Tuż po przybyciu odwiedziła go. Witani się przez dwie godziny...

W końcu Pamela westchnęła szczęśliwa i zmęczona.

— Ach, jakie to piękne być z tobą wreszcie sam na sam!

— Jeśli nam na to pozwolą — powiedział i pogłaskał ją czule. — Dziwne uczucie, naprawdę. Gdy pomyślę, że dostanę nową twarz, nowe papiery, nazwisko i narodowość... wszystko nowe. Kto zazna takiego szczęścia w wieku 48 lat?

Pocałował ją.

— Jakiego chcesz mnie mieć?

— Nie rozumiem...

— Pomyśl tylko, gdy teraz zaczną dłużyć przy mojej twarzy, z pewnością pozwolą mi przedtem wyrazić jakieś życzenia. Dotyczące uszu. Albo nosa.

Pamela nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Wiesz, jako dziecko zachwyciałam się Grekami. Mężczyzna, którego kiedyś poślubię, musi mieć grecki profil! Myślisz, że... myślisz, że to się da zrobić?

Pamela poczerwieniała.

— To takie głupie — powiedziała.

— Masz na myśli grecki nos? — spytał przyjaźnie. — No, jeśli tylko o to chodzi! A uszy w porządku?

— Tak, kochany, najzupełniej. Poza tym wszystko w jak najlepszym porządku.

— Jesteś pewna? Jeszcze jest czas! W trakcie takiej operacji wszystko można załatwić. Panowie doktorzy na pewno mogą wszystko u mnie upiększyć... zwiększyć... zmniejszyć... jak sobie tego życzysz...

— Nie! — wykrzyknęła pośpiesznie — nie, reszta niech zostanie dokładnie taka, jaka jest!

14

W następnych dniach trzech lekarzy miało z Thomasem ręce pełne roboty. Fotografowali go, wielkimi cyrklami mierzyli mu czaszkę, przebadali go gruntownie, do najdrobniejszego szczegółu. Potem zabronili mu palić. Potem pić. Potem Pamela nie mogła już... potem Thomasowi nie wolno już było nic, absolutnie nic.

7 listopada przeprowadzono operację.

Gdy Thomas odzyskał przytomność, leżał w swoim pokoju. Całą głowę miał obandażowaną. Bolała.

Czwartego dnia po operacji wreszcie poczuł się lepiej. Lekarze zmienili opatrunki. Pamela całymi dniami przesiadywała przy jego łóżku i zabawiała go, choć opowiadała mu tylko poważne historie, bo śmiech nadal sprawiał Thomasowi ból.

Wreszcie pewnego dnia na adres kliniki nadszedł niecierpliwie oczekiwany telegram dla pana Greya, takie bowiem Thomas nosił tu nazwisko. Jego tekst brzmiał:

ciotka vera wylądowała szczęśliwie stop wszystkiego dobrego edgar

Pamela i Thomas przeczytali telegram. Pamela wydała z siebie stłumiony okrzyk szczęścia i uściśnęła jego rękę.

— Znaleźli zwłoki, kochanie, znaleźli odpowiednie zwłoki!

— Teraz nie może się już stać nic złego — zawyrokował Thomas zadowolony.

I tu się pomylił. Niestety, stało się. 13 listopada w klinice zjawił się jakiś zatroskany pan o posępnym wzroku. Męczący katar powodował, że z trudem oddychał. Poprosił o rozmowę z panem Greyem. W cztery oczy. Pozostawszy sam na sam z naszym przyjacielem, przedstawił się jako agent FBI, John Misaras. Przeziębiony Misaras przynosił niepomysłne wieści:

— Ze zwłokami stało się coś strasznego. Bardzo się tym martwimy, panie Grey, niech mi pan wierzy!

Kichnął jak z armaty.

— Co się stało? — badał zmieszany Thomas.

— Wymknęły się nam.

— Co? Dokąd?

— Do Ankary.

— Aha — jęknął Thomas zdumiony.

— Pochowano je.

— Aha — jęknął Thomas powtórnie.

— Musi pan wiedzieć, że tego dnia było pięcioro zwłok. Dwoje z nich zamieniono. Przez pomyłkę. Nasze i obce. Te drugie jeszcze mamy. Jakiś turecki dyplomata. Ale on nie jest do pana podobny. Co za pech.

— Aha — jęknął Thomas po raz trzeci.

— Nie rozumie pan?

— Na zdrowie! Nic a nic.

— Znaleźliśmy w Detroit zmarłego bez rodziny. Mógłby być pańskim bliźniakiem. Atak serca. Spreparowaliśmy go odpowiednio ...

— Spreparowaliście?

— Tak. I w specjalnej trumnie przetransportowaliśmy samolotem do Europy. Mój szef chciał uniknąć wszelkiego ryzyka. Aby nie zwrócić uwagi obcych wywiadów, kazał umieścić nasze zwłoki w samolocie do Europy, który miał na pokładzie jeszcze cztery inne trumny. Rejs czarterowy zlecony przez ambasadę turecką. Bo, musi pan wiedzieć, ten turecki dyplomata zginął wraz z rodziną — żoną i dwójką dzieci — w wypadku samochodowym. Cała prasa to podała. Pisano też, że wycarterowano samolot celem przewiezienia zwłok do Europy. W ten sposób nikomu nie podpadło, że umieściliśmy na pokładzie jedną trumnę więcej. Nikt nie zwracał na to uwagi.

— Rozumiem.

— Niestety, w Paryżu zaszła pomyłka. Miano tu wylądować naszą trumnę, podczas gdy cztery pozostałe miały polecieć dalej, do Ankary. Oczywiście oznakowaliśmy odpowiednio trumnę z naszymi zwłokami, ale w trakcie nadawania do szyfrogramu wkradł się błąd i nasi ludzie w Paryżu wyjęli niewłaściwą.

— O Boże ...

— Tak, to bardzo nieprzyjemna sprawa. W trumnie leży turecki dyplomata, sprawdziliśmy to tymczasem.

— A... a... a zwłoki, które były do mnie podobne?

— Zostały pochowane wczoraj w Ankarze. W rodzinnym grobie. Naprawdę przykro mi, mister Grey, ale nic już na to nie poradzimy. Musimy poczekać, aż znów się znajdzie coś odpowiedniego...

Tak więc, Thomas i Pamela czekali. 19 listopada nadszedł kolejny telegram do pana Greya:

wujek fred bezpieczny stop wszystkiego dobrego edgar.

— Znów mają odpowiednie zwłoki — wyszeptała Pamela.

— Trzymajmy kciuki, żeby tym razem wszystko przebiegało bez przykrych niespodzianek — powiedział Thomas.

Tym razem niespodzianki nie było.

W chwili, gdy Thomas i Pamela zacisnęli kciuki, drugie zwłoki spoczywały na stole operacyjnym zaufanego lekarza FBI w Chicago. Zmarły był niezwykle podobny do Thomasa Lievena. Na podstawie zdjęć Thomasa i za pomocą nadtlenku wodoru, zastrzyków parafiny i innych pięknych rzeczy lekarz starał się, by zmarły jeszcze bardziej upodobnił się do naszego przyjaciela. Agenci FBI trzymali tymczasem w pogotowiu części garderoby Thomasa i należące do niego drobiazgi, w tym złoty repetier oraz cztery paszporty wystawione na cztery różne nazwiska.

Jeden z agentów FBI z zaciekawieniem przypatrywał się pracy chirurga, który — wstrzykując nieco płynnej parafiny do nosa zmarłego — spytał:

— Kto to taki?

— Lucky Campanello — wyjaśnił agent. — Narkotyki, szantaż i handel żywym towarem. Paru moich kolegów wdało się z nim przed dwoma godzinami w strzelaninę. Mieli szczęście. On pecha.

— Widzę — powiedział lekarz i spojrzał na miejsce w okolicy serca, w którym pistoletowa kula przeszła pierś Lucky Campanella.

Tenże Campanello w ciągu swego czterdziestosiedmioletniego ziemskiego życia czynił samo zło i ze zła korzystał. Nikt nie cieszył się jego istnieniem, nikt go nie kochał, za to wielu pałało do niego nienawiścią. Nie miał krewnych. To wszystko umożliwiło mu wreszcie po śmierci odegrać pewną pozytywną rolę — jego pierwszą.

Po zakończeniu operacji plastycznej Lucky został w specjalnym pojemniku przetransportowany na Maltę, gdzie stał na kotwicy amerykański statek. Pojemnik został natychmiast przewieziony z lotniska na statek, który już po kilku minutach wyszedł w morze.

O północy 20 listopada statek kołysał się lagodnie na wysokości Lizbony poza pasem portugalskich wód terytorialnych. Na wodę spuszczone szalupę. Zajęli w niej miejsca trzech żywi i jeden martwy pan, po czym łódź skierowała się w stronę brzegu.

Wczesnym rankiem, 21 listopada 1957 roku, na białej plaży w okolicy rybackiej wioski Cascais bawiące się tam dzieci oprócz muszelek, rozgwiadz i półżywych ryb znalazły bardzo nieżywego pana ...

EPILOG

1

Jaki jest dalszy ciąg tej historii? Jak się skończyła? Co się stało z Thomasem Lievenem i jego Pamelą? Kto opowiedział nam jego burzliwe przygody? Jak to w ogóle możliwe, że byliśmy w stanie zrelacjonować tu tajne i ściśle tajne wydarzenia naszej epoki?

Pytania się mnożą. Odpowiemy na wszystkie. Nawet jeśli — by to uczynić — musi wyjść z cienia człowiek, który z racji swojego zawodu powinien tkwić w cieniu i na zawsze w nim pozostać.

Tym człowiekiem jestem ja. Ja, autor, który spisał tu dla Państwa przygody i przepisy kulinarne tajnego agenta Thomasa Lievena.

W sierpniu 1958 roku, na zlecenie mojego wydawnictwa, poleciałem do USA. Miałem tam zostać przez miesiąc. Zostałem cztery. Miałem zebrać materiał do powieści. Powieść ta nigdy nie została napisana.

Spisałem natomiast historię, którą właśnie Państwo czytacie. Wpadłem na jej trop tam, za oceanem. A wszystko zaczęło się — jakże by mogło być inaczej — od pewnej porywająco pięknej kobiety.

Ze zrozumiałych względów nie mogę podać nazwy miasta, w którym spotkałem ją po raz pierwszy. Zdarzyło się to pewnego łagodnego wrześnieowego południa. Byłem głodny. Jeden z kolegów reporterów polecił mi znany tu lokal, ze znakomitą podobno kuchnią. Znajdowałem się właśnie w drodze do tego lokalu, gdy ją ujrzałem.

Szła przede mną. Na wysokich obcasach. W obcisłym, beżowym kostiumie. Miała kruczoczarne włosy. Wspaniałą figurę. Bujne kształty. Jak jacht regatowy.

Przyśpieszyłem kroku. Wyprzedziłem ją. Miała wydatne, karminowe usta, wielkie, czarne oczy, kształtne czoło.

Natychmiast zapomniałem o głodzie...

Niech mi wybaczy moja ukochana Lulu, zna mężczyzn i wie, że wszyscy są tacy sami. Nic niewarci, gdy tylko puści się ich samych w podróż.

Przez cały następny kilometr bulwaru prowadziłem mą występłą grę. Już to wyprzedzałem ją, już to pozostawiałem za nią. Im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej mi się podobała. Wybacz, słodka Lulu, wybacz, wiesz, że tylko ciebie kocham!

Dama zorientowała się oczywiście, jakie uczucia mną targają. W pewnej chwili uśmiechnęła się nieznacznie. Nie rozgniewała się. Miłe kobiety nigdy się nie złością. Przyspieszyła tylko nieco kroku. Ja też.

W pewnej chwili doszliśmy do polecanego mi przez przyjaciela lokalu. Wówczas zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Ponętna dama nie minęła go. Wręcz przeciwnie. Weszła do środka.

No to nic, jak tylko za nią, pomyślałem, i też wszedłem do środka. Nie miałem pojęcia, co mnie tam czekało!

W niewielkiej garderobie dogoniłem śliczną nieznajomą. Stała przed lustrem i poprawiała włosy.

— Hallo! — odezwałem się po angielsku.

Uśmiechnęła się do lustra i odpowiedziała tym samym:

— Hallo!

Skłoniłem się, podałem swe nazwisko, po czym odezwałem się w te słowa:

— Moja pani, musi pani wiedzieć, że od urodzenia cierpię na chorobliwą wprost nieśmiałość. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, by zagadać nieznajomą.

— W istocie? — spytała i odwróciła się.

— W istocie. Ale dziś, gdy panią ujrzałem, przemogłem się. To było silniejsze ode mnie. Madame, pomogła mi pani przezwyciężyć mój kompleks. Dziękuję! Trzeba to uczcić. Podobno podają tu wspaniałą pierś bażancią z przystawkami.

Spojrzała na mnie poważnie.

— Fakt, pierś z bażanta jest tu znakomita.

— W takim razie... Pozwoli pani, że pójdę przodem?

Poszedłem. Ruszyła za mną.

Lokal był średniej wielkości, niezwykle przytulny, pełen antycznych mebli i... gości. Tłok, że ani szpilki wetknąć. W kącie dostrzegłem jeden jedyny wolny stolik, ale widniała na nim tabliczka ZAREZERWOWANE. Przemykającemu bokiem kelnerowi wetknąłem w rękę pięciodolarowy banknot i powiedziałem:

— To miło, że tak długo trzymał pan dla nas stolik.

Już po chwili pomagałem damie zająć miejsce.

— Poprosimy dwa razy bażancią pierś z przystawkami, Henry. Przedtem supę z rakowych szyjek. A najpierw aperitif. Co pan powie na wytrawne martini, mister Simmel?

Na szczęście mam hojnego wydawcę, pomyślałem. Przy takich kosztach!

— Wolałbym małą whisky, jeśli pani pozwoli — powiedziałem.

— Ja też. Czyli dwie podwójne, Henry — uzupełniła dama.

— Już się robi, szefowo — rzucił kelner Henry i zniknął.

— Chyba się przesłyszałem? — zważyłem. — Czy on powiedział do pani szefowo?

— Powiedział.

— Dlaczego?

— Bo jestem tu szefową.

Roześmiała się.

— Mógł pan sobie oszczędzić tej pięciodolarówki!

— Ach, wie pani, to i tak pójdzie na konto mojego wydawcy.

— Wydawcy? Czyżby był pan pisarzem?

— Niektórzy tak twierdzą, inni wręcz przeciwnie, miss...

— Thompson, Pamela Thompson — przedstawiła się.

Nagle spojrzała na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

Dlaczego?

— Nagle popatrzyła pani na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem, miss Thompson. Dlaczego? — spytałem.

— Bo jest pan pisarzem, panie Simmel. Mam słabość do pisarzy.

— Jakże się cieszę, miss Thompson.

Nie przedłużajmy, mili Państwo: Zupa z rakowych szyjek była wyśmienita, pierś z bażanta — palce lizać. Gadalem jak najęty. Niezwykle błyskotliwie, oczywiście. Przy mocce już była moja. Zgodziła się pójść ze mną do kina.

— Okay, mister Simmel. Proszę pozwolić, że ja załatwię bilety. Znam właściciela kina. Projekcja zaczyna się o wpół do dziewiątej. Przyjdzie pan po mnie?

— Z ogromną przyjemnością, miss Thompson.

— Powiedzmy, o wpół do ósmej? Będziemy mieli jeszcze czas na drinka.

— Doskonale. A zatem, do wpół do ósmej.

Moi drodzy, jakżeż ja działam na kobiety! Dlaczego, do licha, nie poświęciłem się właściwie karierze filmowej?

2

Tego popołudnia zdążyłem jeszcze pójść do fryzjera, po czym zakupiłem dwie śliczne orchidee i założyłem najwytworniejszy garnitur. Granatowy. Punktualnie o wpół do ósmej, z celofanowym pudełkiem w ręku, zadzwoniłem do drzwi mieszkania, na których widniała mosiężna tabliczka z napisem:

THOMPSON

Nie dano mi długo czekać. Drzwi otworzyły się. Stał w nich jakiś mężczyzna. W wieku około pięćdziesięciu lat. Szczupły, wysoki, z pociągłą twarzą, mądrymi oczami, wysokim czołem i przyprószonymi siwizną skroniami. Szlachetny grecki nos. Niewielki wąsik. Typ mężczyzny, który kobiety tak lubią...

— Mister Simmel, jak sądzę — powitał mnie mężczyzna. — Proszę wejść. Miło mi pana poznać. Moja żona już mi o panu opowiadała!

— Pańska... hrm... pańska żona?

— Tak, żona. Nazywam się Thompson, Roger Thompson.

Za jego plecami powstał jakiś ruch. Do przedpokoiku weszła urocza Pamela. Miała na sobie zieloną, mocno wydekoltowaną, koktajlową suknię w złote arabeski. Uśmiechała się promiennie i niewinnie.

— O, jest pan! Mój Boże, jakie cudne orchidee! Czy on nie jest czarujący, Rogerze? A propos, nie ma pan chyba nic przeciwko temu, że mój mąż pójdzie z nami do kina?

Moja słodka, tak dobrze mnie znająca Lulu śmiała się do rozpuku, gdy opowiedziałem jej tę historię, w końcu rzekła:

— Brawo! Dobrze ci tak!

Ogromnie współczułem samemu sobie tamtego wieczoru w kinie. Bez przerwy uderzałem kolanami w ściankę łóża, a moje siedzenie było twarde i nieprzyjemne. Panował upał nie do zniesienia. Bolała mnie głowa. A gdy jeszcze do tego spostrzegłem, że tuż po kronice państwo Thompsonowie złapali się za ręce, powiedziałem sobie: typowy przypadek zmarnowanego wieczoru.

A jednak i tym razem się myliłem. Jeszcze jak!

Po wyjściu z kina wieczór ten okazał się bowiem najprzyjemniejszym, jaki przeżyłem w Ameryce. Poszliśmy na kolację, oczywiście do lokalu Thompsonów. I jak zjedliśmy, drogi Boże! Mister Thompson zestawił menu. Poszedł osobiście do kuchni. Zostałem przez chwilę sam na sam z Pamelą.

— Gniewa się pan? — spytała.

— Ależ skąd.

— Wie pan, wywarł pan na mnie dziś w południe tak miłe wrażenie, był pan tak sympatyczny... Podobało mi się wszystko, co pan mówił...

— A cóż takiego mówiłem?

— Że lubi pan dobrze zjeść, że chętnie przebywa pan w towarzystwie pięknych pań, że nie chciałby pan już nigdy zakładać munduru, że na całym świecie, wszędzie, gdzie ma pan przyjaciół, czuje się pan jak u siebie w domu...

— Szanowna pani, jestem zmuszony coś jeszcze dorzucić.

— Słucham?

— Ja... mnie... pani mąż też sprawia bardzo miłe, bardzo sympatyczne wrażenie...

Rozpromieniła się.

— Prawda? Taki właśnie jest! Ach, nie zna go pan. Nie ma pan pojęcia, co wspólnie przeżyliśmy. Nie zna pan jego sposobu myślenia. Zawsze podchodziłam do miłości racjonalnie. Nigdy nie zakochałabym się szczerze w człowieku, którego nie mogłabym podziwiać za jego słowa i myśli. W przypadku Rogera była to miłość od pierwszego wejrzenia. Wielka miłość mojego życia...

— Ale... ale w takim razie... dlaczego mnie pani zaprosiła, pani Thompson?

— Pamela.

— Dlaczego mnie pani zaprosiła, Pamela?

— Bo jest pan pisarzem. Zrozumie pan to dopiero później... być może... albo i nie... Wszystko zależy od niego.

— Zawsze poddaje się pani jego woli?

— Tak...

Spojrzała na mnie z promiennym uśmiechem.

— Ale on też mnie słucha! Zawsze. Zawsze pyta mnie o radę. Oczywiście raz po raz zdarza mu się jakaś przygoda na boku, jak wszystkim mężczyznom, ale w końcu do mnie wraca. Wiem, że jestem jedyną kobietą, z którą chciałby żyć. To dodaje kobiecie sił... Zgadza się pan?

Jakie życie jest śmieszne!

Moje marzenia nie spełniły się. Nie dostałem od Pameli tego, czego od niej pragnąłem. Zyskałem za to coś znacznie cenniejszego — przyjaźń jej i przyjaźń jej męża.

W ciągu następnych trzech tygodni spotykaliśmy się prawie codziennie. Bawiliśmy się wspaniale! Zdawało się, jakbyśmy w istocie mieli identyczne poglądy!

Menu, gdzieś w USA, 28 października 1958

Turbot z ostrygami w sosie holenderskim z kawiozem
Filet à la Wellington w sosie maderowym
Kluseczki solzburskie

W czasie tego jedzenia narodziła się myśl napisania tej książki.

Turbot: prawie ugotowanego w osolonej wodzie turbota układamy białym podbrzuszem w górę na uprzednio podgrzanym półmisku, otaczając go upieczonymi ostrygami.

Pieczone ostrygi: otwarte uprzednio przez sprzedawcę ostrygi należy trzymać na lodzie aż do momentu przygotowywania potrawy. Ostrygę należy wyjąć tuż przed pieczeniem. Po osuszeniu ściereczką należy ostrygę obtoczyć w mące, potem w rozbełtanym jajku i tartej bułce. Smażyć krótko na ostrym ogniu, na maśle.

Sos holenderski z kawiozem: należy ubić w małym garnuszku 2 żółtka z odrobiną octu i łyżką gorącej wody, wstawić garnek z tą zawartością w drugi, znajdujący się na piecu z gotującą się wodą, dodać, stale mieszając, 125 g masła. Gdy sos zgęstnieje — nie należy dopuścić do zagotowania — przyprawić solą i cytryną. Tuż przed podaniem należy do gorącego sosu dodać 50 g kawioru.

Filet à la Wellington: należy wziąć środkową część schabu i opiec do połowy miękkości. Po wystygnięciu należy włożyć go na przygotowane uprzednio ciasto francuskie, które leży na uprażonym maśle, szalotkach, pieczarkach, pietruszce i estragonie. Górę schabu obkładamy uprażoną w maderze gęsią wątróbką i plasterami truflii, przykrywamy warstwą ciasta francuskiego, skleamy brzegi ciasta żółtkiem i zapiekamy w piecu na piękny, złocistobrazowy kolor. Po wyjęciu mięsa dolewamy, do pozostałego po pieczeniu masła, madery, wody i przyprawy, uzyskując smakowity sos.

Kluseczki solzburskie: należy ubić białka z sześciu jaj tak, aby powstała sztywna piana. Do piany dodać powoli sześć żółtek, po dwie łyżki mąki i cukru, 60 g rozpuszczonego masła, ćwierć szklanki ciepłego mleka z dodatkiem wanilii. Osobno, w głębokiej brytfannie, rozpuszczamy 60 g masła, dodajemy uprzednio otrzymaną masę i zapiekamy całość tak długo, dopóki spód nie uzyska złotawego koloru. Następnie polewamy całość 1/4 l mleka z dodatkiem wanilii i tak pozostawiamy przez chwilę w przykrytej brytfannie, dopóki ciasto nie wchłonie mleka. Podawać należy posypane cukrem natychmiast, na gorąco, w przeciwnym razie ciasto może upaść.

Często zauważałem, że Thompson mnie obserwuje, zadumany i pograżony w myślach. Potem spostrzegłem, że wypytuje mnie trochę ponad miarę. O moją przeszłość. Poglądy. Doświadczenia. I ciągle na nowo wraca do poglądów. On sam nie mówił o sobie nic.

Zgodnie z celem mojego przyjazdu, gromadziłem materiał do swej kolejnej powieści. Z tej przyczyny kilkakrotnie musiałem opuścić miasto. Za każdym razem cieszyłem się na powrót, bo Thompsonowie zawsze przychodzili po mnie na dworzec, czy na lotnisko. Wreszcie zdawało mi się, że zebrałem już wystarczającą ilość materiału, więc zarezerwowałem lotniczy bilet przez Atlantyk, do Frankfurtu nad Menem. Mój samolot miał wystartować 29 października 1958 roku o godzinie dwudziestej czterdzieści pięć.

28 października Roger Thompson zadzwonił do mnie do hotelu.

— Słyszę, że pan nas opuszcza. Chciałbym wydać jeszcze na pana cześć niewielkie przyjęcie.

— Bardzo się cieszę.

— Powiedzmy, dziś wieczorem o dziewiętnastej trzydzieści?

— Okay.

— Aha, jeszcze coś... Niech pan zadzwoni do swoich linii lotniczych, odwoła rezerwację na jutro wieczór i każe się umieścić na liście wyczekujących.

— Dlaczego?

— Cóż, wydaje mi się, że zostanie pan tu jeszcze jakiś czas.

— Nie rozumiem.

W słuchawce rozległ się śmiech.

— Dziś wieczorem — powiedział — wszystko pan zrozumie. I proszę, na miłość boską, nie przynosić znów orchidei!

Tym razem przyszedłem z trzema orchideami. Pamela była tak porywająco piękna, jak jeszcze nigdy, Roger tak uroczy, jak jeszcze nigdy, a przyrządzone przez niego osobiście jedzenie tak pyszne, jak jeszcze nigdy. Jako zakąskę podano duszonego turbota, obłożonego pieczonymi ostrygami i polanego delikatnym holenderskim sosem zmieszonym z kawiozem.

— Nigdy jeszcze czegoś takiego nie jadłem — przyznałem. — Muszę sobie zanotować przepis dla żony...

— Mógłby pan zanotować sobie znacznie więcej niż moje przepisy — powiedział gospodarz w zamyśleniu.

Spojrzałem na niego. Potem na jego piękną żonę. Oboje się uśmiechali. Pełni życzliwości i sympatii.

— Mój drogi — odezwał się po chwili ponownie Roger Thompson — żywię bezgraniczną wiarę w sady Pameli, a ona od początku uznała pana za godnego zaufania. Muszę być bardzo ostrożny...

— Ostrożny? A to dlaczego?,

— No właśnie... dlaczego...?

Thompson grzebał w swojej rybce. Potem uśmiechnął się.

— Mario, ja nie zawsze byłem właścicielem restauracji dla smakoszy. Nie zawsze nazywałem się Roger Thompson. Mam za sobą bardzo burzliwe życie. Może jeszcze trochę kawioru?

— Nie wygłupiaj się — powiedziała, po czym zwróciła się do mnie: — Mój mąż naprawdę dużo przeżył. Śmieszne rzeczy. Smutne rzeczy. Fascynujące. Zawsze twierdziłam, że ktoś musi to wszystko opisać. Ludzie powinni poznać jego losy. Ku nauce i przestrodze!

— Ku nauce i przestrodze?

— Mój mąż jest przekonany pacyfistą.

— Problem polega tylko na tym — rzekł człowiek, który nosił nazwisko Roger Thompson — czy może pan przyrzec, że jeśli opowiem panu moją historię, nikt nie dowie się mojego prawdziwego nazwiska i nie pozna prawdziwego adresu?

— Tak — odparłem. — Mogę to obiecać.

3

„28 paźdź. 1958 stop godz. 23 48 stop do wydawnictwa schweizer druck- und verlagshaus zürich stop odwołałem przylot stop jestem na tropie nowej story stop ekspres lotniczy ze szczegółami w drodze stop proszę o jak najszybsze zajęcie stanowiska i natychmiastowe przesłanie 1000 dolarów usa stop pozdrawiam serdecznie simmel”

4

„1 list. 1958 godz 09 45 stop po lekturze pańskiego listu informacyjnego schweizer druck- und verlagshaus upoważnia pana do zawarcia umowy opcyjnej na uzyskanie praw autorskich i sporządzenie odpowiedniej dokumentacji magnetofonowej stop niech pan zostanie jak długo trzeba stop 1000 dolarów usa przekazaliśmy stop meyer schweizer druck- und verlagshaus”

Zostałem w Ameryce do 2 stycznia 1959 roku. Gdy odlatywałem do Europy, miałem w bagażu szesnaście obustronnie nagranych taśm magnetofonowych. Odlatując, zabierałem ze sobą do Europy historię pewnego niezwykle i pouczającego życia — przygody i przepisy kulinarne tajnego agenta Thomasa Lievena.

Teraz można już chyba zrozumieć i wybaczyć, gdy powiem, że człowiek, który opowiedział mi historię swego życia, nie nazywał się oczywiście ani Roger Thompson, ani Thomas Lieven. Zrozumiałe stało się chyba, dlaczego muszę przemilczeć nazwę miasta, gdzie żyje i pracuje dziś ze swą piękną żoną. Nawiasem mówiąc, swą restaurację zakupił z pieniędzy uzyskanych z operacji z akcjami DESU, którą relacjonowaliśmy na początku tej opowieści. Pożyczka zaciągnięta u szwajcarskiego maklera Pierre'a Muerrli'ego przyniosła Thomasowi szczęście. Dzięki skutecznym operacjom giełdowym stał się zamożnym człowiekiem. Już latem 1958 roku Pamela poleciała w jego imieniu i z jego pełnomocnictwami do Zurychu, gdzie oddała panu Muerrli'emu 750 000 franków, podjęła z cyfrowego depozytu sfalszowane akcje, podała je i splukała w łazience swego apartamentu. Tak więc, zgodnie z przewidywaniami Thomasa, każdy na tym zarobił i nikt nic nie stracił. Co więcej, nikt nawet nie zauważył, jakiej operacji tu dokonano.

„Roger Thompson” i jego żona stali na tarasie widokowym budynku portu lotniczego, gdy mój samolot coraz szybciej pędził po pasie startowym w stronę dalekiego horyzontu, Atlantyku i Starego Świata. Nagle poczułem wielką żalność w sercu. Żegnaj Pamelo, żegnaj Rogerze, żegnajcie oboje... Zapisałem to, co mi opowiedzieliście. Mam nadzieję, że jesteście ze mnie zadowoleni. Stoi przede mną magnetofon z ostatnim fragmentem taśmy. Jest na nim nagrany głos Thomasa Lievena. Kończę swą opowieść jego słowami:

”Przez całe życie nie ufałem wielkim słowom i wielkim bohaterom. Nie lubiłem także hymnów narodowych, mundurów i tak zwanych silnych mężczyzn.

Mój stary przyjaciel Bastian znów wylądował w Marsylii. Powodzi mu się dobrze. Pracuje w porcie jako szef załadunku. Ma do czynienia z różnymi ludźmi — z Chińczykami i Niemcami, Francuzami, Korykaninami i Arabami. Lubi ich wszystkich, a oni odwzajemniają mu się sympatią. »Równy facet«, mówią, »można z nim rozsądnie pogadać«.

Ja też w swej małej restauracji mam do czynienia z wieloma ludźmi, z białymi, żółtymi, czarnymi. Wśród moich gości są i Żydzi, i chrześcijanie, znalazłoby się też kilku mahometan i kilku buddystów.

Chętnie wyobrażam sobie, że kiedyś nastanie taki czas, gdy wszyscy ludzie na tej Ziemi będą żyli ze sobą tak zgodnie jak przyjaciele Bastiana i goście mojego lokaliku. Dlaczego w odniesieniu do kilku miliardów nie miałyby się sprawdzić to, co tak znakomicie funkcjonuje w odniesieniu do kilkuset?

Robotnicy nazywają mojego przyjaciela Bastiana »rozsądnym«. Wydaje mi się, że rozsądek powinien być bronią nas wszystkich! Każdemu z nas Pan Bóg podarował zdolność myślenia. Wierzmy odrobinę mniej, za to odrobinę więcej myślimy! Skutki będą wspaniałe. Zniknie zagrożenie wojną, gdyż to ludzie, tylko ludzie, są przyczyną wojen, więc oni także muszą umieć im zapobiegać.

Wznoszę toast za ludzki rozsądek. Niech nas wyprowadzi z ciemnej doliny strachu i powiedzie do rajy pokoju i radości.”

JOHANNES MARIO SIMMEL — najbardziej poczytny niemieckojęzyczny autor na świecie, laureat Literackiej Nagrody ONZ (1991).

Urodzony w Wiedniu, mieszka w Szwajcarii, pisze głośnie sensacyjne powieści, okupujące miesiącami europejskie i światowe listy bestsellerów. Jego książki ukazały się w łącznym nakładzie prawie 100 milionów egzemplarzy i zostały przełożone na 31 języków. Krajowa Agencja Wydawnicza wydała do tej pory: „Aferę Niny B.” (1987), „W matni” (1991) i książkę dla dzieci „Autobus ogromny jak świat” (1989).

„**Nie zawsze musi być kawior**” to najbardziej znana powieść SIMMELA, światowy bestseller, który osiągnął łączny nakład ponad 20 milionów egzemplarzy. Ten oparty na schemacie powieści lotrzykowskiej utwór to fascynująca historia agenta mimo woli, Thomasa Lievena, cenionego bankiera londyńskiego, którego los (?) rzuca w wir walki międzynarodowych siatek wywiadowczych — w czasie II Wojny Światowej i w pierwszych kilkunastu latach powojennych — które bohater z właściwym sobie urokiem, bezczelnością i sprytem wodzi za nos (radziecki też).

Jak zwykle u Simmela nie brak tu miłości i seksu, zbrodni, zdrady, pogoni i brawurowych akcji.

Bohater jest także smakoszem i znakomitym kucharzem, stąd powieść zawiera swoistą wykwintną książkę kucharską.

„**KAWIOR**” to napisana z polotem i pełna napięcia, znakomita powieść rozrywkowa, o której Bertrand Russel powiedział: „Tego nie mógł napisać Niemiec. Za dowcipne.”